

Melchior Wańkowicz

Tedy i owędy

Wagary.

Zdaje mi się, że pierwszego podboju na dzikusie z kresów dokonała Warszawa — babką śmietankową.

Przywieziono mnie na egzaminy wstępne do drugiej klasy jak kurę ze związanymi nogami na targ. Ach, przepadło rozkoszne grzebanie się w rodzimym śmietniku, przepadła wolność, oto wjeżdżam pod nóż, zarzną mnie, ktoś mnie pożre, jakiś moloch nieubłaganej wiedzy.

Sponiewierany moralnie, wyprowadzony z sali egzaminacyjnej z najgorszym przecuciem, bo napisałem, okazało się, w dyktandzie rosyjskim „niezabułki” zamiast niezabudki (niezapominajki), siedziałem jak zmokły wróbel nad marmurowym blatem stolika w cukierni, gdy nagle dano mi babkę śmietankową.

Nie znałem babek śmietankowych. Okazało się, że taka babka zewnątrz ma kruche przyrumienione ciasto, a wewnątrz — masę kremową.

Minęły lata, a dotąd czuję nabożne suwanie językiem po podniebieniu, podniecającą radość odkrycia. Potem wywieziono mnie na wakacje, ale babki śmietankowej nie zapomniałem.

Kiedy na jesieni przywiózł mnie rządca „do klas”, insynuowałem mu oną babkę już od samego dworca. Mój opiekun jednak był łasy rzeczy bardziej esencjonalnych i w ten sposób znaleźliśmy się w nowości kulinarnej, bodaj pierwszym barze w Warszawie — „Satyr” na Marszałkowskiej.

Stary, jak to zwykł robić w Kiejdanach, długo i sumiennie tłumaczył kelnerowi, jak ma być przyrządzony befsztyk. Ja tymczasem przykleiłem się w ekstazie do windy na potrawy z kuchni w suterenie. Kelner krzyczał w dół: „Tylko na świeżym maśle!”, a z tajemniczych głębi huczało: „Skąd ja temu skurwysynowi świeżego masła wezmę?”

Kiedy wyszliśmy, począłem zasypywać kiejdańczyka pytaniami, jak nazywała się jego mamusia i czy kucharz go znał? I czy jadł babkę śmietankową? I czy wie, że takie babki śmietankowe są w cukierniach?

Rządca był skonfundowany, wepchnął mnie do cukierni i zaszpunktował potok pytań półtuzinem babek śmietankowych.

Ugryzłem skwapliwie i serce zalał zawód rozczarowania. Ależ to wcale nie ta babka, o której marzyłem przez całe wakacje! Bo ta babka wymarzona nie istniała: to była babka — abstrakt, babka — synteza wszelkich smaków, babka — marzenie, babka — imponderabilium, babka — natchnienie, dające istotny smak życiu, motor życia.

Zgasła gwiazda babki śmietankowej. Na jej miejsce miasto zapaliło sto innych — z cukiernią Wedla, z wielką liczbą rówieśników w parku Ujazdowskim („czy kawaler chce się razem bawić?”), z tysiącem ciekawości i odkryć płynących popękanyimi płytami chodników, kocimi łbami jezdni, która lśniła na głównych arteriach kostką drewnianą.

Rośliśmy jak to chwytiliwe zielsko z każdego pęknięcia w asfalcie. Już babki śmietankowe były za nami, kupowaliśmy „panieńską skórę”, którą toporkami z wielkich bloków odłupywali przekupnie na rogach. Zastąpiła ona cukier lodowaty i strączki świętojańskiego chleba, którym zajadali się ojcowie, i już tę panieńską skórę i makagigi, i chałwę wypierały lody, które najprzód nosili sprzedawcy na głowie, a potem wozili w wózkach, mających kształty łabędzi i okrętów. Nawet jeden pomysłowy przedsiębiorca ulokował się przed szkołą z wózkiem-okrętem ciągniętym przez wielkiego kudłatego psa. Pomańłem go pewnego razu apetycznym kawałem kiełbasy na sznurku. Psisko pognało za smakowitym kąskiem, uciekając od przekleństw ścigającego lodziarza. Rzuciłem się przez jezdnię, pies ostro skręcił za mną i wówczas to zdarzyła się katastrofa „Titanica” na ulicy Smolnej — wspaniały okręt przewalił się na lewą burtę, spędzając wróble z końskich

jablek, na które wysypała się feeria różnokolorowa malinowych, waniliowych i czekoladowych lodów.

Wkrótce już i lody nie wystarczały, bo zapachniała, tym razem, prawdziwa „panieńska skórka”.

Naówczas pensje warszawskie wyruszały na spacer długimi kolumnami ustawionymi w pary. Na przykład taka pensja Rudzkiej, gdzie miałem swoje wzdychadło: już z daleka fioletowיעiała kohorta dziewcząt, ubranych w niezdarne mundurki fioletowe, które samą Marilyn Monroe zamieniłyby w pokutnicę. Nic to jednak nie szkodzi. Na tych pokrzywionych pensjonarskich butach ustawione fioletowe pieńki świeciły spod niezdarnych pensyjnych także fioletowych kapiszoników autentycznie młodymi buziami i nieposkromionymi loczkami.

Cały dowcip był — dojrzeć wzdychadło w odpowiedniej dwójce i... uklonić się. Z tego starczyło przeżyć i dla młodego człowieka, i dla pensji aż do następnego dnia.

Naturalnie sztabacki amant powinien być ubrany nienagannie. Jeszcze przed strajkiem szkolnym, to znaczy kiedy gimnazjum Chrzanowskiego miało język wykładowy rosyjski i rosyjskich pedagogów, my, „Chrzany”, biliśmy o trzy długości wszystkie inne budy. Nosiliśmy mianowicie mundury czarne z niebieskimi mankietami i kołnierzem ozdobionym srebrnymi galonami. Mundur z przodu zapinał się na dziewięć srebrnych guzów, tak jak wszystkie surduty rosyjskie (ustanowione przez Katarzynę, której imię i w rosyjskiej pisowni składa się z dziewięciu liter). Mundur miał z tyłu kieszenie surdutowe, obramowane niebieską naszywką.

Obecne pokolenie z trudnością sobie wyobrazi modny ówczasie kontredans tańczony przez tak skarykaturowanych chłopców i dziewczęta.

Po strajkach mundury rosyjskie z nas opadły, należało więc wysilać się na pomysły indywidualne. Tymczasem sklep ubrań uczniowskich Jaki-mowicza na Miodowej nie uznawał nowatorstwa — szczyt luksusu to były czarne spodnie diagonal z materiału w prążki.

Obok sklepu Jakimowicza był skład z dewocjonaliami Strakacza. Pewnego razu weszli tam dwaj spryciarze, rzekomo przedstawiciele komitetu, który pragnie sprawić swemu biskupowi szaty liturgiczne. Biskup miał być akurat miary pana Strakacza, wobec czego kupiec chętnie się zgodził demonstrować szaty na sobie.

Kiedy już go ubrano w komżę, ornat, stułę, infułę i w rękę wrażono pastorał,

„przedstawiciele komitetu” rąbnęli kasę i wybiegli. Strakacz w stroju pontyfikalnym runął za nimi, uciekający wrzeszczeli: „Ratujcie od wariata!”

Staraliśmy się „prywatnie” powęzać diagonalowe spodnie pana Jaki-mowicza i przypinać „sztryпки”, to znaczy strzemiączka obciągające, co władze szkolne uważały za Sodomę i Gomorę. Z kolei wynaleźliśmy krawców bardziej pomysłowych, którzy na nasz obstalunek robili spodnie kielichowe, niezmierniej szerokości u dołu, tak że pokrywały cały but. Na kurtkę szkolną wkładało się pas szerokości dłoni, na głowę zaś czapkę o niesłychanie wykręconym i wybijałym denku.

I wówczas więc nie brakowało „bikiniarzy”, są oni związani z cielęcymi harcami na wygonie każdego pokolenia.

Taki jednak bikiniarz-pożeracz serc był w dziedzinie inicjatywy miłosnej skrępowany. Przychodził na mszę tylko po to, aby wzrokiem chłonać upatrzoną pensjonarkę. Wzdychał przez cały rok szkolny, a kiedy nadchodziły wakacje, wyjeżdżał z sercem wzdętym miłością, ale nie zamieniwszy ani słowa z przedmiotem westchnień, nie znając nawet nieraz jej nazwiska.

O Don Kichocie z La Manczy! — Dzielnieś patronował naszym marzeniom. Pamiętam, że kiedy poczęły się w starszych klasach wieczorki tańczące, kiedy zasiadł już na kanapach rząd obserwujących mamuś, naciągaliśmy glansowane rękawiczki, ruszając do ataku na panieńskie kibici, prowadziliśmy do kolacji, przypuszczaliśmy szturm do karnetów, na których zapisywały tańce, starając się zając u premiowanych piękności najwięcej miejsc (a te znowu udawały, że zgubiły karnet, kiedy im tancerz nie pasował), wreszcie — bywaliśmy w ich domach z

wizytami. Ale kiedy pewnego razu ujrzałem w Łazienkach w towarzystwie guwernantki podfruwajkę, z którą tańczyłem od dwóch lat, i podszedłem się przywitać, dziewczę ze skamieniałą twarzą patrzyło w dal i przepłynęło wraz z tą obrzydliwą Francuzicą bez słowa. Byłem uprawniony tylko do minięcia ich z ukłonem.

Lata szły, nie mogliśmy się zapleśnić w tych sadzawkach cnoty. Biegło się więc na ślizgawkę do Doliny Szwajcarskiej, gdzie poza pensjonarkami obciociowanymi spotykało się upadłe anioły, to znaczy takie, które zwagarowały z domu same pod jakimś pozorem, szmuglując łyżwy.

Wówczas — roztaczało się przed bogdankami pawi wachlarz wyczynów. Tylko młodsze szczeniaki miały przypinane do butów „halifaksy”; my, lwy ślizgawkowe, mieliśmy „turfy” przykręcone do butów; „sak-sony” z zagiętymi nosami, trudne, ale dobre do „holendrowania”; „panczeny” — długie wyścigowe aluminiowe łyżwy.

Szykiem było poprowadzić węża, kończąc go „pistoletem”, to znaczy jazdą w przysiadzie na jednej nodze, z drugą wystawioną w przód. A kiedy orkiestra grała walca, najlepsi ważyli się na walca na lodzie. A potem — ach, Boże!... — przykłękało się, zdejmując łyżwy tym cudnym bóstwom, a potem — to już szczyt szczęścia — odprowadzało je do domu, żegnając się o blok przed ich kamienicą. Ja myślę, że żadne późniejsze wiele poważniejsze grzechy nie były tak grzeszne, tak uroczo zakazane, z takim dreszczem popełniane — a przecież wątpić należy, czy który z nas ośmielił się pocałować przy pożegnaniu w rękę.

Wieczorem Dolina Szwajcarska była zakazana dla młodzieży szkolnej.

Szwarcowaliśmy się jednak z wielkim strachem, aby pochłaniać widok jakiejś kupiecistki w boa z piór, w kapeluszu z pleuresami (strusie pióra), jak podciąga do pół łydki suknię długą po kostki i śpiewa:

Nie znasz mężczyzny,
Co skład bielizny
Uwielbia... wielbią... wielbią w nas,
Ty jemu troszkę
Pokaż pończoszkę,
A on ci zaraz tralla, tralla, tralla
Tralla... la... la...

Mój Boże... Pamiętam, jak na placu Trzech Krzyży, spiesząc na Nowy Świat, ujrzałem elegantkę unoszącą suknię do pół łydki, bo dzień był wilgotny. Zawróciłem z punktu i szedłem urzeczony tą połową łydki aż do Koszykowej, gdzie skryła się w bramie. Dobrze, że nie na Mokotów, bobym się nie odkleił. Biedne my byliśmy niedojadki, skrępowane jak niemowlęta w powijakach. Kiedy oglądałem w Ameryce oficjalną instytucję „boy-friendów” walących swoje lube po poślądkach, sam nie wiem, czy cieszyć się z ich swobody. Pewno, że to jest prościej. Za granicą zwiedzałem pewien bardzo postępowy zakład wychowawczy koedukacyjny. W dormitoriach spali albo trzej chłopcy i dziewczyna, albo trzy dziewczyny i chłopak.

— Przestrzegamy jako zasady — objaśniał mi siwobrody dyrektor — aby nigdy w dormitorium nie umieszczać dwu par.

— Ależ, panie dyrektorze, wiek szesnaście — osiemnaście lat to sam dynamit. Dlaczegoż chodzić koło tego z ogniem? Jeśli nawet między tą młodzieżą nic się nie dzieje, to niewątpliwie kwitnie onanizm.

— A tak... — dyrektor niechętnie oderwał się od głównego toku, Który go pasjonował — onanizują się, naturalnie onanizują się — mówił tonem uspokajającym.

otóż wracając do tego, co mówiłem...

— Stop!

— Stop!... stop! — wrzasnąłem zemocjonowany. Kto mi więc powróci krzywdy mego pokolenia, straszonego broszurkami z ulicy Świętokrzyskiej? Wspominając lęk, jakiego nam napędzały, przypominam sobie, jak zaszedłszy do naszego proboszcza na wsi, nie zastałem na plebanii nikogo, dopiero w spiżarni chłopaka, który

zażerał się konfiturami i zanosił się równocześnie płaczem: „Aj, biednyż ja, biednyż... Aj, bądźź mnie, bądźź, jak wróci gospodyni...”

powstrzymałem elokwencję, dyrektora. — Jakże możecie do tego dopuszczać?

Teraz z kolei zdumiał się siwobrody patriarcha, mający za sobą prowadzenie przez wiele lat wzorowego koedukacyjnego pensjonatu w Szwajcarii:

— A dlaczego? A cóż to komu szkodzi? Widywał pan ludzi podrzucających trzy kulki jak ten kapitan w „Buncie na okręcie” albo strzępiących nerwowo jakiś sznurek, albo wirujących przyborem do przeczyszczania fajki? To są namiastki nierozsądnie zahamowanego onanizmu.

Tak sądzę, że nasze platoniczne miłości były swego rodzaju klapą bezpieczeństwa, lepszą niż straszenie, mniej ryzykowną niż zezwalanie.

Kiedy byłem w trzeciej klasie, mieszkałem na „stajni” w pokoiku od podwórka na drugim piętrze czynszowej kamienicy. Kamienica od frontu miała secesyjne kariatydy podtrzymujące balkony, ale podwórko było studzienne i brudne. W oficynie mieszkał, co tu gadać, anioł, piąto-klasistka. A jednak anioł zechciał wzrok łaskawy zwrócić na „trzeciaka”. Smygałem do niej przez podwórko ze strachem serca. Przynosiłem jej najpiękniejsze pocztówki z reprodukcjami Wyczółkowskiego, Malczewskiego, Wodzinowskiego, Wawrzeńckiego, Axentowicza. Raz, kiedy wychodziłem, musnęła ustami moje czoło. Nie wiem już, jak skulgnąłem się ze schodów. Wulkan nosiłem w piersi.

Te wiośniane ciągoty łagodził sport, wycieczki.

Wyjeżdżaliśmy kolejką wilanowską. Pod górkę kolejka zasapywała się, musiała cofać się, by brać rozpęd. Wówczas konduktor krzyczał do maszynisty: „Panie Marcinkowski, cafniem troszki”, a pasażerowie wysypywali się popychać.

Na Wiśle znowu konkurowały dwa przedsiębiorstwa żeglugowe — „Fajans” i „Górnicki”. Agent Górnickiego stał na mostku i wielkim głosem wyliczał wszystkie obrzydliwości Fajansa. Od czasu do czasu milkł, nabierał oddechu i rozpoczynał: „Ja na Fajansa nic nie mówię, ale kaźden jeden wie, co za ferajna jest u Fajansa...” itd., itd.

Ale zamiast się promenować statkami, woleliśmy iść na plażę do Ko-złowskiego. Plaże warszawskie były nie uregulowane, porosłe łożami, w których bobrowały tłumy wodniaków. W upalne niedzielne południa Wisła występowała z brzegów od tysięcy kąpiących się, a że Wisła ma dno zdradzie, więc pamiętam niedzielę, w której na przestrzeni od mostu kolejowego aż do końca Wału Miedzeszyńskiego w górę rzeki utonęło trzydziestu sześciu ludzi.

’ Policja, nie wyposażona dostatecznie w motorówki, obciążała odpowiedzialnością Bogu ducha winnych właścicieli plaż. Toteż, czując wodniacką odpowiedzialność i chcąc Bolkowi Kozłowskiemu oszczędzić protokołów, rzucaliśmy się ratować tonących, robiliśmy sztuczne oddychanie, podrzucaliśmy w powietrze, a jeśli tylko niedotrup dochodził do życia, waliliśmy ofermę bez litosierdza w zadek, żeby na drugi raz nie laźł, gdzie nie trzeba. Dochodząc do przytomności, nie całkiem wiedział, czy ma dziękować za uratowanie życia, czy wierzgać bijących. Pamiętam pierwszy elektryczny tramwaj, kiedy wladowaliśmy się na platformkę koło konduktora i jeździliśmy aż do wypróżnienia portmonetek. Pamiętam pierwszy samolot, na którym Francuz Legagneux odskakiwał jak żaba od ziemi na kilkadziesiąt metrów i znowu opadał.

Pierwsze radio przyszło po pierwszej wojnie. Aparat kryształkowy zaczepiłem o kaloryfer i nagle posłyszałem głos ludzki nadawany z jar kiejś prymitywnej stacyjki na Pradze. To było silne przeżycie.

Telefony już były za moich sztubackich czasów, ale w pewnym momencie zmieniono skrzynki oznaczone wiązką promieni na skrzynki z syreną.

Kiedyś zwichnąłem nogę i leżałem w łóżku przez trzy tygodnie. Odwiedzali mnie koledzy i wyprawialiśmy harce z telefonem. Pewnego razu o głębokiej północy dzwonił do „Foki”, dyrektora naszej szkoły Chrzanowskiego (późniejsza Zamoyskiego).

Zbudzony ze snu dyrektor Sznuke dopytywał:

— Proszę, jednym słowem (to było jego porzekadło), słucham...

— Tu dzwoni Towarzystwo Akcyjne Telefonów Cedergren. Zapytujemy szanownego abonenta, czy ma już na telefonie syrenę?

— Zaraz, jednym słowem — mówił zaspany głos — proszę poczekać, jednym słowem, tylko światło zapalę. Tak, owszem, mam już syrenę.

— W takim razie — grzmiał młody pierwotniak najbardziej oficjalnym głosem — Zarząd Towarzystwa Akcyjnego Telefonów Cedergren prosi, aby szanowny abonent pocałował ją w dupę.

Dzwoniliśmy do Korpusu Kaddeckiego imienia generała Suworowa, mówiąc groźnie:

— Dzwoni generał-lejtnant Komarów.

Generał Komarów, komendant garnizonu warszawskiego, był postrachem wojska. Szło za nim zawsze dwu podoficerów kozackich: doński w czerwonych i uralski w błękitnych lampasach. Komarów wskazywał im wojaka źle salutującego albo oficera gwardii, który się odważył nieść choćby najmniejszą paczkę, albo kadeta, prowadzącego matkę pod rękę itd. Kozak zapisywał numer legitymacji lub przepustki. Zobaczywszy go z daleka, wojskowi skręcali w inne ulice. Za to za kozakami podążał rój nas, sztubaków czyhających na widowisko.

Zdarzyło się, że paniczek z gwardii, przybywający ze stolicy, przesiedział się w pace. W odwecie jeden z Wielkich Książąt przyhaczył Komarowa w Petersburgu za „niewłaściwe salutowanie” aresztem domowym.

W Warszawie jednak Komarów był jedynodzierzcą.

Nic tedy dziwnego, że dyżurny telefonista mdlał ze strachu i wrzeszczał słuźbiście:

— Tak toczno, Wasze Prewoschoditelstwo.

Czuając, że jest ugotowany, wydawaliśmy srogi rozkaz:

— Wołać niezwłocznie do telefonu generała Suworowa.

Po czym radowaliśmy się na niewydarzone jęki w słuchawce.

Nie wiem, czy łabędzie ulegają tresurze, ale jednego wytresowaliśmy znakomicie.

Znalazłszy to ornitologiczne nazwisko w księdze telefonicznej, codziennie punktualnie o szóstej informowaliśmy się, czy pani Łabędź zniosła już jajko.

Po kilku ćwiczeniach efekt był wyrównany i niezawodny: na drugim końcu linii telefonicznej czekał już godziny szóstej rozjuszony pan Łabędź i zdjawszy słuchawkę bez żadnych poprzedzających pourparlers mówił:

— Ty, łobuz, ty...

Zdarzyło się, że z głębokiej wsi przyjechał do mnie stryjasek dobrodziej. Ważył dziesięć pudów, a kołnierzyki nr 58 musiał robić na obstalunek.

— Tak cóż, Melas, pójdziem jutro na operetka?

— Obawiam się, że bilety będą rozkupione — zerknąłem na godzinę, właśnie dobiła szósta — połączę stryjaska z biurem zamówień.

Drrr...

Stryjasek wziął telefon i spurpurowiał.

— Ty, łobuz, ty... — zaaplikował pan Łabędź stryjaskowi. Obaj panowie długo i wytrwale krzyczeli na siebie, tym bardziej że powoływanie się na chęć kupna biletów powodowało u pana Łabędzia nawroty szału, na które stryjasek dobrodziej począł się ostrzeliwać z takim rykiem i argumentami tak grubego kalibru, że spłoszona pani Miotłowska, właścicielka „stajni”, przyfrunęła pode drzwi i pacyfikowała.

Minęło wiele lat. Zostałem naczelnikiem Wydziału Prasowo-Widowi-skowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i należała do mojej kompetencji również cenzura filmów. Na cenzurze się paśli poeta Różycki, bajkopisarz Lemański, doskonały prozaik Michał Choromański, redaktor „Przeglądu Filozoficznego” Kazimierz Bleszyński, przyszły profesor Uniwersytetu Warszawskiego Tomkiewicz i wielu innych przyszłych dygnitarzy. Amt był duży, rozrosły, zajmował całe skrzydło Pałacu Za-moyskich, no, a jego naczelnik trzymał w ręku losy kiniarzy.

W biurze straszył duch Andrzeja Zamoyskiego i urzędniczki wymawiały się od

wieczorówek. Wezwałem więc słynnego w tym czasie Guzika na seans spirytystyczny, w czasie którego pojawiła się rzekomo fosforyzująca zjawa hrabiego i poczęła jedną z obecnych trząść za ramiona. Chciałem nieprzystojne poczynania hrabiego i wrzask oprymo-wanej zneutralizować jakimś dowcipem, na co ktoś tak mnie trzepnął pod piątę żebro, że mi zatknęło dech. Mam estymę dla kanclerskiego rodu i wolę przypuszczać, że potężną sujkę zaaplikował Guzik.

W każdym razie nazajutrz w świetle dziennym ponownie dygnitarzo-wałem w swoim wydziale jak Komarów w Warszawie. Toteż zapewne z emocją przedarła się przed moje oblicze dyrektorka Centralnego Biura

Filmowego... pani Łabędź. :

— Czy pani mieszka na Marszałkowskiej 152? — pytam, wstrzymując dech w piersi. Pani Łabędź była wielce pochlebiona:

— Tak... Skąd pan naczelnik wie?

Pan naczelnik był również zachwycony, korciło go zapytać, czy po tylu latach zniosła wreszcie jajko.

Ale i my wówczas, za czasów sztubackich, znaleźliśmy swego pogromcę — Cwiklińską. Zapytana najbardziej urzędowo, czy ma na telefonie syrenę, spytała melodyjnym głosem:

— Czy panowie chcą mi powiedzieć, gdzie mam ją pocałować?

Rzuciliśmy jak oparzeni słuchawkę i spojrzeliśmy po sobie. Uwielbiliśmy Cwikłę i taką nam dała nauczkę!

Czy Cwikła pamięta wśród powodzi otrzymywanych kwiatów skromny wiechetek ze starannie wykaligrafowanym biletem:

„Za głupie kawały z syreną”...

To — my...

Od ściągaczki do belferki.

Czyż to nie awans: przed trzema laty być sztubakiem i nagle zostać — panem profesorem.

Kiedy pierwsza wojna wybuchła, nauczycieli zmobilizowano i otrzymałem lekcje historii w starszych klasach na pensji pani Kurmanowej.

To znaczy — jestem człowiek skończony. Mam uczyć. A dotąd mnie uczono. Z wielką biedą. Mój niemiecki guwerner, pan Bleze, emerytowany nauczyciel gimnazjum w Poniewieżu, zawsze mi przepowiadał, że dalej jak do trzeciej klasy nie dojdę.

Próbując różnych metod bezskutecznie, uciekł się do najbardziej przekonującej — paska od spodni i babka biedaka wylała, nadwerężając poważnie preferansowy kwartet.

Następczyni jego, pani Kosowska, była dyrektorka gimnazjum żeńskiego św. Katarzyny w Petersburgu, mozolnie mnie podciągała na wysokość włarowo klasa, do której to drugiej klasy miałem zdawać w Warszawie... Przy wstępnym jednak dyktandzie jak wiadomo napisałem „nie-zabułki” zamiast niezabudki.

Wówczas stanąłem do egzaminu u Rontalera. Tam każdy zdawał. Popularny „Rondel”, powiewając wielką, malowaną brodą, która wpadała w kolor zielonawy, ustawił nas, kiedyśmy zdali egzamin (wszyscy zdali), w szeregu, pogładził pierwszego z rzędu, autentycznego hrabiego, pod brodę:

— Trzymaj głowę do góry; pamiętaj, że hrabiowie zawsze głowy do góry trzymają.

Po czym zrobiło mu się żal nas, niehrabiów, więc szedł wzdłuż szeregu i, muskając każdego pod brodę, powtarzał:

— I ty hrabia, i ty hrabia, i ty hrabia...

Mimo że i do mnie jeszcze doszedł jakiś kawałek „ithr” i otwierały się perspektywy podhrabienia, dali mnie do innej budy, którą właśnie otwierał emerytowany generał Chrzanowski. Obsada nauczycielska była czysto rosyjska.

U rosyjskiego „Chrzana” popasałem niedługo. Zaczęła się wojna ro-syjsko-japońska. Wychowawca klasowy, Timofiej Timofiejewicz Timofie-jew, z serdecznym duszy niepokojem konstatawał, że ulegamy zgubnym wpływom, skoro dopytujemy, czy żołnierz rosyjski jest na tyle uświadomiony, że wie, o co się bije.

Belfer Siergiej Spiridonowicz Panczenko, pilnujący nas w czasie wolnej godziny,

kiedy który z nauczycieli nie przyszedł, otrzymywał od dyżurnego ucznia karteczkę z pięknie wykaligrafowanym napisem szaliat (dokazują) i dwukropkiem. Trzymał tę karteczkę w rękach, które zakładał na tył wicmundiia, granatowego surduta ze złotymi guzikami i epoletami. Kartka składała się jakby w miseczkę. Przechadzając się między ławkami — ogromny, rudy, nie ogolony, myślami odległy — zbierał na tę karteczkę strząsanie piór ze wszystkich mijanych ławek, tak że w miseczce falowała łyżeczka atramentu.

Za wojną szła szybkimi krokami rewolucja, która wlewała się w ściany czastnoj męskiej gimnazii gienierał-lejtienanta Pawła Piotiowicza Chrza-nowskawo. Już najdłuższa nawet kartka „szalących” by nie starczyła. Szczekaliśmy, miauczeliśmy, meczeliśmy, pialiśmy, gęgaliśmy, kwakaliśmy, kwokaliśmy, buczeliśmy, udawaliśmy ryki lwów na pustyni i wycie wilków, aż wreszcie starsi koledzy powiedzieli, że czas wszcząć walkę o szkołę polską, i wypędzili nas, młode szczątki, na ulicę ku niesłychanej naszej radości i osłupieniu belfrów. Z tego rocznego pobytu w gimnazii wyniosłem jako stygmat męczeństwa sześciokrotny „karcer” (godzina przetrzymania po lekcjach) za rozmawianie po polsku, w czasie której to martyrologii sumiennie porznąłem kozikiem sześć ławek.

Rozpoczął się strajk i niezapomniane „komplety”, w czasie których suchotniczy studenci, mający uczyć arytmetyki, wykładali Marksa i rzucali gromy na tych, którzy, ucząc łaciny, uważali, że najszybszą drogą adaptacji tego przedmiotu jest czytanie pism Szczepanowskiego, myśliciela narodowego.

Wreszcie strajk się skończył zwycięsko. Otrzymaliśmy szkoły średnie z językiem wykładowym polskim, wprawdzie bez praw, ale kto by się tam martwił o to.

Gimnazia przemieniła się w gimnazjum Chrzanowskiego, które wniosło się do własnego gmachu przy ulicy Smolnej, zbudowanego w stylu secesji ludowej.

Do spolszczonego gimnazjum Chrzanowskiego wlało się tysiąc czterysta chłopca. Byłem już w trzeciej — feralnej trzeciej, przepowiadanej przez pana Bleze jako szczyt kariery naukowej. Na szczęście przez całą trzecią ryczeliśmy — socjaliści i narodowcy — „Czerwony Sztandar”

i „Jeszcze Polska”, starając się przekrzyknąć jedni drugim. Naszych kilku anarchistów nosiło czarne fontazie, na co socjaliści sprawili sobie czerwone. Pamiętam, jak przez okna zobaczyliśmy lecący na podwórze grad białych kartek. To piąta klasa o piętro wyżej rwała dzienniczki postępów, które miały być przedstawiane co tydzień rodzicom. Polecieliśmy co tchu na górę zapytać, czy i trzeciaki mają wyrzucić dzienniki. Piątki po krótkim, ale intensywnym namyśle orzekły, że tak. Była to koncesja, bo kiedy ich pytaliśmy, czy facet z trzeciaka może już się „przystawiać” (flirtować), odpowiedzieli unisono, że na to się ma prawo dopiero od piątej klasy. Tego werdyktu nie uznaliśmy, bo mieliśmy w trzeciaku wąsatych dwudziestoletnich chłopów (biedne, zapóźnione ofiary ucisku carskiego), a nawet jednego autentycznego doliniarza, który pewnego dnia oporządził wszystkie nasze płaszcze w szatni i znikł ze świątyni wiedzy generała Chrzanowskiego na zawsze. Toteż trzymaliśmy górną sztandar trzeciej jako starszej klasy, w której uczniom należy mówić przez „pan” i w której nie powinny już wykładać nauczycielki. Przysłanej nauczycielce francuskiego zgodnym chórem skandowaliśmy przez całą godzinę: oui, non — calecpns, aż biedula zrezygnowała. Rewolucja wygasła, więc i w szkole po wakacjach nieco opanowano położenie. Znikły wąsate dragale, fontazie i spod odpłyniętego potoku rewolucyjnego ukazała się istna menażeria nauczycielska, co i nie dziwota, skoro należało korpus nauczycielski zaimprovizować.

„Niemiec”, mały człowieczek ze spiczastą bródką, zaawansowany su-chotnik, błagalnym szeptem strofował, że „moi panowie, zachowujecie się jak przekupki, proszę — nieprawdaż?” Całym swoim cichym zachowaniem prosił, aby mu jeszcze dać pożycz trochę. Beznamiętnie ścierał wodę z fotela, pod którego poduszkę podłożono

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

nalany gumowy balonik, gasił trociczki wstawiane do katedry i kurzące mu w nos i wrywał „bez żadnych kawałów”, niezmiennie według alfabetu. Na to też za każdym razem niezmiennie wstawał siedzący w pierwszej ławce Jaczewski i wygłaszał wierszyk: Morgen, morgen, nur nicht heute — sagen alle iaule Leute. Wprawdzie ten wierszyk mieliśmy zadany na początku roku, a obecnie już wypadało umieć: Wer reitet so spat durch Nacht und Wind, ale nauczyciel bez protestu stawiał piątkę i wrywał następnego, po czym ponownie wstawał Jaczewski i wygłaszał: Morgen, morgen, nur nicht heute. Z czasem jednak Jaczewski począł się drożyć i żądać dwóch stalówek z krzyżykiem albo jedną rondówkę Wasilewskiego. Wobec czego drugi się wyuczył: Wer reitet so spat i przejął klientelę po dawnej umiarkowanej cenie.

Francuz, monsieur Waraszkiewicz, również pragnął być z klasą w zgodzie. Nie było to łatwe, bo zgrało się wcale dobre trio. Na tylnej ścianie klasy wisiała jubileuszowa płaskorzeźba Słowackiego, puszczone w świat nakładem „Tygodnika Ilustrowanego” i przypominająca drzwiczki do pieca. Sznurek od tego medalionu szedł pod ławkami do moich wiernych rąk w środku klasy. Pociągnąwszy za sznurek, odrywało się dolną część płaskorzeźby od ściany, a puściwszy nagle, otrzymywało się czysty i donośny dźwięk.

Zwykle zaczynało się tak, że siedzący w ostatniej ławce gruby Noskowski wołał donośnie przez nos:

— Fcneants/...

Na co siedzący w pierwszej ławce Strakacz, patrząc wprost we Francuza i nie otwierając ust, potrafił piskliwie za każdym razem dwukrotnie wyrzucić:

— Chassis, chassis...

Wtedy mój Słowacki dzwonił dwa razy:

— Bum, bumm...

I wówczas Noskowski rozdzierał się swoim triumfalnym i&n&ants, Strakacz piskał, ja dzwoniłem i tak w koło Wojtek.

Wyśledziwszy źródło dźwięków „Francuz” zainaugurował pakt wzajemnej nieagresji. Sprawdziwszy listę obecności, niezmiennie zwracał, się do mnie:

— Wańkowicz, aJez vous promener*.

Zabierałem wówczas przygotowane już bułki, kolejny zeszyt Sherlocka Holmesa i wynosiłem się na całą lekcję na korytarz. Najwyraźniej uprzedził się do mnie! Był to jednak gentleman, który w zamian za to stałe i niezmiennie stawiał mi bez pytania trójkę za kwartał.

Dyrekcja szkoły jednak była zacofana, nie miała pojęcia o Daltonie i jego temporary dropping oi some subjects” i wylała daltonizującego pedagoga. Na jego miejsce przyszedł energiczny rudawy pan Lasocki z wąsami prosto spod bindy, syn emigranta, były oficer francuski bardzo słabo mówiący po polsku, i z miejsca na pierwszej lekcji oświadczył: — Pszakrew, ja z francuski soldat rady dał, to i z takimi gamenami rady dam.

Jakoż, kiedy na tym Francuzie spróbowałem, aby Słowacki spizowym głosem przemówił do młodzieży, musiałem zaprezentować opiece domowej w najbliższą sobotę „dzienniczek postępów i uwag ciała pedagogicznego” (wprowadzony znów wraz z nawrotem reakcji), w którym zamaszystym pismem lejtnanta dragonów francuskich było napisane: — Wańkowicz zachował się jak sauvage bidel z las.

Dokument ten miałem długo, ofiarowałem go jeszcze narzeczonej; zniszczyła go dopiero wojna.

Łacina, jak zwykle i wszędzie chyba, była najnudniejszym przedmiotem i łaska to boska nad naszą młodością, że mieliśmy nauczycieli bezwiednych komików.

Pierwszy łacinnik, którym nas uszczęśliwiono, już na pierwszej lekcji i z okazji pierwszej koniugacji chwycił nas za serce:

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

— Agricola amat puellam, puella agricolam non amat — rolnik kocha dziwczęcie, dziwczęcie nie kocha rolnika.

Ale dopiero drugi, stary poczciwy magister Wabner, pojawiający się na uroczystościach w długim czesuczowym tużurku z orderem Pro Ecclesia et Pontifice, przypadł nam prawdziwie do gustu. Stary był biegłym łaty-nistą, pisał po łacinie wiersze, chociaż i po polsku popełniał poematy zbożne, w miarę owiane duchem klasycznym, godzące miłosne liryki Horacego z pedagogicznym duchem szkoły.

Tak na przykład chór szkolny śpiewał po łacinie i po polsku jego mazurek:

Quod in aures, puer, ambas. Mini trilos et ineptos? Canis hymnos et amores Neque cessus? Gere mpres.

Quod habes tu in animumaue Et amorem moveas mi? Neque lorma, neque vultu? Copies mi sine cultu.

Cóż mi, chłopcze, tak do uszka Gruchasz niby do serduszka Hymn miłosny, niedorzeczny Bezustannie? Bądźże grzeczny.

Czemże chcesz tak pracowicie Zdobyć dla się serca bicie? Zalotnością i obliczem? Bez nauki — to mi niczym.

Jak widzimy, dziewczę domagało się socrealizmu.

Ze staruszkami dobrnęliśmy w doskonałej komitywie aż do mów Cyce-rona. Od czasu do czasu klasa występowała ze zbiorowym protestem przeciw jakiemuś artykułowi, żądającemu zniesienia łaciny. Odbywała się wówczas cała komedia. Klasa stała jak mur, wypychano mnie jako delegata przed katedrę, przed którą wygłaszałem takie mniej więcej przemówienie: „młodzian polski nigdy nie zezwoli, aby go odrywano od piersi wilczycy — kultury łacińskiej, którą przodkowie, a która...”

Stary wówczas zakładał po napoleońsku ręce na piersiach, odrzucał w tył głowę, przymykał oczy i napawał się. Po czym wygłaszał po łacinie długie i namaszczone przemówienie i wreszcie, zwracając się do mnie, oznajmiał, że za takie chwalebne uczucia w starożytności należałby mi się laur, ale w nikczemnej współczesności może mnie nagrodzić tylko

marną piątką, ale za to rzymską. Po jakimś czasie przyniósł nam do klasy korespondencję do jakiegoś pisma łacińskiego, gdzie moja oracja była podana w całości.

Przy Cycleronie zdarzył się jednak fakt, mogący obrócić w gruzy długie Aąnaeductus Romanus rzymskich piątek. Wabner wyrwał mnie, abym recytował. Co lekcja zadawał nam parę zdań dalej i beznadziejne kujony, których nie brak w każdej szkole, potrafiły już recytować dobre dwie stronice, ja zaś tylko umiałem pierwsze zdanie: Ouousgue tandem abutere, Catilina, patientia nostra?!

Kiedy jednak Wabner mnie wyrwał, wówczas zgrany team poczynał działać. Olszewski i Majewski w ławce przede mną siedzieli zsunięci i wyprostowani jak struny, na plecach Majewskiego leżał tekst Cyce-rona, pytany delikwent stał skurczony w ławce jak najbliższej ściągaczki, Mundek Oliński, półpowstały za mną, miał usta przy moim uchu. Poszłoby wszystko gładko jak zwykle, gdyby nie to, że właśnie Sherlock Holmes wszedł do komnaty starego zamku i tam mu w ciemności ukazał się trup z zielonymi oczami. Aczkolwiek wiedziałem, że to na pewno ten stary łobuz doktor Fu-Czaj-Su zgładził właścicielkę diademu, przesyłając jej. puzderko z jadowitym pająkiem (notabene te sherlocki były pisane przez miejscowych Conan Doyle'ów), ale jednak człowiek przeżywał emocje. Zbudzony z nich nagle, wrzasnąłem z taką wielką siłą uczucia swoje „quosque”, szukając dalszego zdania w podręczniku, który mój sąsiad z ławki, Wacek Matraś, pospiesznie ładował na plecy Ol-szewskiego, że klasa parsknęła śmiechem.

Wabner, któremu się ogromnie podobała ta inwokacja pełna uniesienia, zgromił klasę:

— Ocenic powinniście, że ten młodzian tak' celnie odczuć potrafił ducha Cyclerona. Proszę mówić do nich z katedry...

— O, magister meus! Modesiia juventuti Hcet...

— Ale młodzieńców wawrzynami wieńczono — proszę na katedrę. Idąc więc na tę przeklętą katedrę, zawadziłem o ławkę Strakacza, upadłem rycząc, że złamałem nogę, chętni wynieśli mnie zaraz „do doktora” — uratowałem się.

Aliści stary pamiętał, nie dał się pozbawić uczyty duchowej. Na następnej lekcji, wywindowany na katedrę (podczas kiedy Magister stanął, założywszy ręce po napoleońsku, przodem do klasy, tyłem do mnie), zabrałem z sobą książkę, ryknąłem swoje „quosque” i potem rąbałem z tekstu mowy do senatu nic nie rozumiejąc, pojęcia nie mając, jak stawiać akcenty, ale ogromnym głosem trybuna. Senatorowie, którymi w danym razie byli ci dranie, kulgali się ze śmiechu, spadali z ławek, grzmocili się z uciechy, narażali mnie na straszliwe niebezpieczeństwo.

Ale nieczuły na te wszystkie wybryki profanum vulgus Wabner ucałował mnie w czoło, dał piątkę i wygłosił po łacinie jeszcze jedno pochwalne przemówienie. „Szewca”, naszego matematika Niemyskiego, nie było co brać na naiwne sztuczki dobre dla łacinnika.

Ten piekielny Szewc potrafił oddawać klasówki matematyczne powkładane jedna w drugą — misterny sznureczek „ściąg” sączący się od pierwszego jedynie samodzielnie zrobionego zadania, w które były powkładane coraz nikłej sze, coraz niedokładniej skopowane.

Ale im policja lepsza, tym kryminaliści sprytniejsi. Znalazłem sposób i na Szewca. W czasie klasówki czekał na korytarzu dobry matematyk, ale cóż z tego — Szewc był zbyt cwany, aby pozwolić w czasie ćwiczenia wyjść z klasy.

Przygotowałem więc pod pulpitem ławki pompkę gumową, napełnioną roztworem karminu; strzyknąłem sownie w obie dziurki od nosa i, z zakrwawioną chusteczką, brocząc, wypadłem na korytarz.

Jakże się zdziwił Niemyski, kiedy po kwadransie, niosąc ostrożnie głowę, z chusteczką przy nosie — powróciłem jednak na linię frontu. Miałem jeszcze dwadzieścia pięć minut czasu — aż za wiele, aby czyściutko przepisać.

Następnego dnia Szewc wzywał do katedry i wręczał każdemu poprawione zadanie z oceną.

Kiedy już doszło do „W” i pośpieszyłem po swój kajet, wybałuszył się na mnie i kręcił głową: — Sam lepiej powiedz — jakieś to zrobił? Na ćwiczeniu nie postawił żadnego stopnia.

Po srogim inkwizytorze, księdzu Jamiołkowskim, popularnie zwanym „Jamiołem”, przyszedł ksiądz epikurejczyk, podpora „Kuriera Warszawskiego”, którego czytelników w czas zawsze informował, kiedy i jaki post nadchodzi, kiedy się kończy karnawał — ksiądz Szkopowski, zwany „Szkop”.

Przyszedłszy na pierwszą lekcję, powitał klasę niezrozumiałym: — Moi drodzy, tylko bez głupich kawałów o kamieniu. Okazało się, że w dwóch z rzędu klasach, które obejmował, zaraz po sprawdzeniu listy jakowyś pilny dziubdzius podnosił rękę:

— Proszę księdza, czy Pan Bóg jest wszechmogący?

— Naturalnie, moje dziecko — cieszył się prefekt zainteresowaniami teologicznymi.

— To czy Pan Bóg może stworzyć taki kamień, którego nie może podnieść?

W następnej klasie znowu — bęc! o kamień pytają... Wyminąwszy tę rafę, ksiądz kazał wywietrzyć klasę. Potem kazał wstać i robić gimnastykę szwedzką, co z wielkim entuzjazmem podchwyciliśmy, przy tym tak gimnastyknałem Olszewskiego. pięścią w kark, że ten, myśląc, że to Matraś, trzepnął go na odlew, z pomocą Olszew-skiemu przybieżał Majewski, a Matrasiewi ja, Marczewski i Oliński, siedzący za nami, nie bardzo wiedząc, o co chodzi, zaczęli nas młócić, więc Marczewskiego i Olińskiego poczęła obłukiwać ławka za nami.

Tak jakoś przy pomocy kochanego Szkopa upchnęliśmy pierwsze pół lekcji. Straszliwa to rzecz wysiedzieć czterdzieści pięć minut. Gra się na stalówkach

wetkniętych między deski pulpitu, strzela się z gumki papierowymi strzałkami, czyta się pod ławką Sherlocka — nic nie pomaga. Wreszcie męka wyczekiwania na dzwonek się kończy i w całej szkole powstaje ryk niesamowity, wszystko wywala się z ławek, trzeba przez tę przerwę nałapać jak najwięcej ruchu na następne straszliwe

czterdzieści pięć minut.

W czasie więc małych przerw często jeździliśmy do kąpielisk. Mieliśmy w klasie Karlsbada i Kołobrzega-Kolberga. Część więc klasy zwała się na jednego i część na drugiego, kiedy wchodził nauczyciel z dziennikiem pod pachą, fala dzikusów pośpiesznie odpływała ze stłamszonych kurortów.

Na wielką pauzę urządzaliśmy zawody międzyklasowe. Oddział A tejże klasy, mieszczący się o piętro wyżej, miał Grunwalda, a nasz oddział B miał Jagiełłę.

Jakiś więc czas dzień w dzień urządzaliśmy „Jagiełłę pod Grunwaldem”, przy czym, ponieważ nasz Jagiełło, ogromny, gorylowaty rudzielec, był silny jak byk, gryzł i kopał, więc mieliśmy obowiązek tylko wywlec go z klasy, a już oni swego Grunwalda dostawiali aż z innego piętra. Kładliśmy więc Jagiełłę pod Grunwaldem, po czym Krzyżacy szczypali w tyłek Jagiełłę, a Polacy Grunwalda. Rwetes robił się niesamowity, kłęb ciał toczył się po podłodze, pobojuwisko było zasłane guzikami od spodni. Dozorujący porządku w czasie przerw kulawy nauczyciel Szczuka kuszył bezradnie koło tego oceanu namiętności, po czym zniknął. Znak to był niechybny, że odwoła się do posiłków w osobie dyrektora Sznuka. Zaraz też przez korytarze biegnąc ostrzeżenie: — Szczuka sztuka szuka Sznuka...

Stary Szczuka, silnie ciągnący z litewska, gołębiej dobroci, starał się nam wdroyć więcej zlagodzone formy obcowania. Ujrawszy, że któryś splunął na podłogę, robił na poczekaniu cercle pedagogiczny:

— Ot żeż i niepięknie i na pewno matka ciebie inaczej uczyła. Nu, połóżmy, że siedzisz i rozmawiasz z jaką panią, a w ta pora splunąć tobie chce się? Tak jakżeż matka uczyła, co ty robisz w ta pora?

Jesteśmy zastrzeleni.

— Panie profesorze, mama uczyła, żeby z dziewczynkami nie siadywać.

— Nu, wszelakoż przychodzi się — dobrotliwie tłumaczy Szczuka, nie chcąc podważać macierzyńskiego autorytetu — ot, choćby imieniny tejże samej matki czy inna jaka żałobna okoliczność. Nu, tak cóż ty zrobisz? Ty grzecznie powiesz: „przepraszam panią”, odejdziesz do kącika, od-charkasz się, nu i wtedy znów ją zabawiasz.

W następnych latach szkoła wymutowała się, wyczyściła, na stanowiska nauczycieli napłynęło dużo sił naukowych o poziomie uniwersyteckim, które nie mogły sobie znaleźć ujścia wobec tego, że w Warszawie istniał tylko bojkotowany uniwersytet rosyjski. Fizyk, profesor Boguski, geograf Dąbrowski (autor cenionych książek „Matki”. „Śmierć”, „Felka”), matematyk Ciechanowicz, przyrodnik Jan Sosnowski, poloniści Król i Ni-towski i cała plejada innych, którzy wkładali całą swą duszę w tę polską szkołę. „Franio” Zienkowski, również wykładający fizykę, kiedy demonstrował telegraf bez drutu i kiedy począł mu dzwonić dzwonek w drugim końcu laboratoryjnego stołu, i kiedy poczęliśmy wołać: — Lipa, pan profesor nogą dzwonek naciska! — włożył na stół, żeby wszyscy widzieli, że nie ma lipy. Profesor Boguski, fizyk, wkładający cały żar naukowca w wykłady, na wiadomość, że wykład historii i geografii ma być prowadzony po rosyjsku, skruszył kredę o tablicę i wykladał dalej. Gdy rozległ się dzwonek i powstaliśmy, by go pożegnać — zatrzymał się, a kiedy cisza oczekiwania zaległa, powiedział: — Skarga wieścił: „Głupcy dzieci wasze uczyć będą”.

Młody człowiek o tak pięknych tradycjach szkolnych, który przed trzema laty dopiero sam otrzymał fuksem maturę (o czym dalej) i zaledwie zdążył ukończyć Szkołę Nauk Politycznych i zrobić trzy lata prawa, już wkraczał z wielgachnym dziennikiem pod pachą do klasy w gimnazjum pani Kurmanowej. Wkuł się pierwszej

lekcji, jak umiał, i poszedł, drżał na myśl, że te smarkate o coś się spytają w tył lub w przód. Wprowadziły go dwie wychowawczynie niby na munsztuku. Całą lekcję wykladał, na dwie minuty przed dzwonkiem kolejno wyrwał dwie najbardziej kręcące się z tylnych ławek, kazał powtórzyć wykład, postawił w dzienniku po pałce, poszkodowane ryczały, płakała przez solidarność cała klasa jak owczarnia i odtąd był spokój doskonały — groźnego profesora nie śmiała żadna o nic spytać.

Ze strachu — musiałem nad nimi trzymać ciągłą groźbę. Wprowadziłem — rzecz wówczas nie praktykowana — ćwiczenia pisemne z historii. Już to samo było dotkliwym szczyphem — mówiąc językiem „Ziele na kraterze”. Ale ten szczyph... był z zakręceniem. Mianowicie był nie jeden temat, ale cztery, bynajmniej jednak nie do wyboru. Przyniosłem do klas tyle arkuszy, ile uczennic, na każdym było napisane nazwisko, tak jak siedziały w klasie, i temat. Otrzymując te arkusze w szachownicę, nie mogły ściągać ani na boki, ani w tył. Na pierwszy kwartał 60 procent klasy miało dwóje.

Ćwiczenia poprawiałem w domu i zdarzyło się, że zaadresowawszy list do późniejszej mej żony, wówczas już narzeczonej, bibułę z odbitym adresem zostawiłem w którymś z zeszytów. Na skutek tego poczęła otrzymywać różne anonimy, bardzo smarkate, ale usiłujące insynuować, że widziały mnie z kimś w Łazienkach, albo wyrażające naiwną zazdrość. Widać, jak to zwykle bywa, tyrani wzbudzają miłość. Za to co te pannice wypisywały w onych ćwiczeniach!... Przełożona, niezadowolona z tej nadmiernej srogości przy świadectwach kwartalnych, wyciągnęła do mnie na sesji pedagogicznej kajet z ćwiczeniem z historii:

— Pan ma takie dziwne metody!

W kajecie przy zdaniu „Arabowie nic nie robili, tylko jeździli na wielbłądach i bili kobiety” widniał czerwonym atramentem mój dopisek: „To przyjemne zajęcie”. Wtedy, na tej sesji, na myśl, że przed kilku jeszcze laty przekupywało się woźnych, żeby podsłuchiwali, co się o nas mówi na sesjach — „pan profesor”, uczestnik pełnoprawny takiej sesji pedagogicznej — pęczniał z dumy. Syzyfowe matury.

Rappelez vous, mes enfants, que chaque bonne action est toujouris punie* — powtarzał jeden z kresowych pradziadków, libertyn i hedonista.

Okazuje się, że maksymy przodków zawodzą, bo właśnie w tym wypadku dobra akcja została wynagrodzona: dałem po pysku łamistrajkowi, w wyniku czego otrzymałem maturę.

Kiedy słyszę o łososiu, który przebijając się w górę rzeki, potrafi przeskakiwać przeszkody, myślę, że takie skoki wykonywałem przy każdej promocji z klasy do klasy. Kiedy rozważam ten odmęt dwój w ocenach kwartalnych, z których wyłabudowałem się co wiosną przy wysileniu wszelkich szarmów osobistych i wsparty jedynie ćwiczeniami z polskiego — uważam siebie za takiego łososia. Przyszła jednak matura. Dies irae, dies Ula!... (Czasem miewajm sny, że mam zdawać maturę, budzę się zlany zimnym potem, szczypię się, żeby się przekonać[^] że .maturę już mam, i zaraz cały dzień wygląda słonecznie i szczęśliwie).

Po tylu latach nieprawości, na których usługach stały chwyty ściągacz-kowe — mówię to, skromnie spuszczać oczy — mające wszelkie znamiona genialności, widoków na to upragnione świadectwo dojrzałości... hm... można powiedzieć... tego... nie było. Przemysłne pakty z łacinni-kiem zadeklamowanym za żywa, z „Francuzem”, stawiającym trójkę za to, że się nie uświetniało jego lekcji, z historykiem, którego się gangsterowało (patrz „Ziele na kraterze”), z fizykiem, którego się brało

na dowcipy, z „Niemcem”, który mnie kosztował rondówki wypłacane jaczewskiemu, z polonistą, przekupywanym ćwiczeniami, ze spacyfiko-wanym matematykiem (patrz niżej) — miały się skończyć wobec oblicza komisji maturalnej, która żądała wiedzy, wiedzy i tylko wiedzy.

Skąd ja im tę wiedzę nagle na maturę wezmę? Choćbym zdechtł, nie wyrobię dwuletniego nieróbstwa z matematyki!

Bo z matematyką tak było: na początku szóstej matematyk i jednocześnie wychowawca klasowy, popularnie Szewcem zwany, sprawił sobie nowe buty. Buty skrzypiały. Udało mi się wyprodukować jakąś skrzy-pawkę, zupełnie tak samo skrzypiącą. Co Szewc podejdzie do tablicy albo się ruszy po klasie i skrzypnie sobie ze trzy razy, to ja mu dodam ze sześć. Życ nie mógł, mienił się na twarzy, zwłaszcza że mu na drugą lekcję wyrysowaliśmy na tablicy osobnika czołgającego się na rękach takim sposobem jak czasem pieski po trawie, unoszącego nogi w górę. Osobnik miał taki sam wąs jak Szewc, a nad nogami napis:

„bo skrzypią”.

Szewc się zataił w sobie, skrzypiał po klasie jakby nic i miarkował; nie honor i dla mnie było przestać poskrzypywać, tak jak nie honor myśliwemu pokrzykiwać na niedźwiedzia, póki ten w barłogu siedzi, a jak wylezie — to wiać.

Przez dobre pół godziny trwało polowanie rozjuszonego Szewca, aż wreszcie wpadł na mnie razem z tą skrzy-pawką, kazał zabrać książki i pójść do domu. Szkoła wezwała „opiekę domową”. Opieka domowa — niejaka pani Miotłowska, właścicielka pensjonatu, który przemyślnie wybrałem, została przeze mnie pouczona, że jest opieką domową, włożyła kapelusik z zielonym piórkiem i poszła. Ale została przyjęta niczym sekretarz Cziczierina w czasie rewolucji przez hrabinę Mareszetę Czapską: — Ce juifion ne me suiit pas — odesłała sekretarza z bilecikiem do jego mocodawcy.

Tegoż zdania o zielonym piórku był widać dyrektor szkoły, Sznuć, zwany Foką, bo zawezwał mnie osobiście.

Fokę, starego pocziwego Fokę, łysęgo jak kolano, rumianego jak jabłko i o siwym pięknym wąsie, zwaliśmy jeszcze „Jednym Słowem” od przygaduszki, którą ciągle powtarzał.

Rzecz zrozumiała, że teraz poszedłem z wielkim niepokojem: czy aby Foka nie poznał po głosie głupich kawałów z tą syreną na telefonie.

Ale staremu dyrektorowi co innego było w głowie:

— Słuchaj — mówi serdecznie Foka — co ja ci, jednym słowem, będę Pan mówił, mógłbym być dwa razy twoim ojcem...

— Dlaczego dwa? — zainteresowałem się.

— Zawsze ciebie głupstwa się trzymają — jęknął dyrektor — dwa razy to znaczy, że tyle razy jestem starszy od ciebie, że mógłbym być twoim, jednym słowem, nie tylko ojcem, ale i dziadkiem — no, z wielką biedą, ale mógłbym — tłumiał moje powątpiewanie. — Ty tu swojemu dyrektorowi prześmichy urządzasz, a nie wiesz, co ci grozi: Rada Pedagogiczna mówi, że wszystko dobrze, .ale jesteś zakałą — dyrektor wznosi głos — zakałą, jednym słowem. Bronię ciebie, bo jesteś sierotą, po jakichś pensjonatach mieszkasz — dyrektor się wstrząsnął — takie piórko, jednym słowem... — pokazał na łysinę, przypominając wizytę pani Miotłowskiej — robisz, co chcesz, jednym słowem... I nauczyciele mają ciebie dosyć, pan Waraszkiewicz mówi, że nie może ciebie trzymać na lekcji, bo cały czas z kolegami rozmawiasz.

— Panie dyrektorze, ja przez cały czas rozmawiam z profesorem Wa-raszkiewiczem.

— Widzisz, jednym słowem, jeszcze gorzej. I co ja z tobą zrobię?

Ja też nie wiedziałem. Wspólna troska tak nas jakoś złączyła, że poczęliśmy gawędzić o starych Polakach, a wreszcie okazało się, że udatnie przetłumaczyłem na polski odę „Integer vitae scelerisque purus” Horacego. Foka się rozczulił, wyprawił mnie z błogosławieństwami i z komentarzami do Horacego, oprawionymi w piękny pergamin.

Kazał mi jutro przyjść do szkoły, wpadł widać na biednego Szewca, który o Horacym nie miał pojęcia, Szewc skruszał, zaprosił mnie do domu na kolację, Szewcowa okazała się z kresów, spragniona ludzkiego słowa. Szewcomachia zakończyła się pokojem, sztama zawarta została na całe dwa lata aż do matury, w

ciągu których miałem sakramentalną troję z matematyki na podstawie klasówek, a o klasówce to już starali się siedzący naokoło Wacek, Mundek i Stasiak.

Na maturze trzasnęła mię nie tylko matematyka, ale i fizyka, i łacina. Poczciwy polonista, profesor Król, z rozwianą aureolą białych włosów, wspomagany przez polonistę Sowińskiego, machał moim ćwiczeniem maturalnym z polskiego przed oczami fizyka, łacinnika, matematyka. Dwaj pierwsi zmiękli, ale bestia Szewc złamał tyloletni pakt, nawalił, rozkładał ręce:

— Ja sędzę, że, na dobrą sprawę, to on z matematyki by nie zdał i do piątej klasy.

Ale gubić mnie nikomu się tam nie chciało, wszyscy zgodnie woleli się mnie pozbyć, uchwalono, że na jesieni mam zdawać poprawkę. Naiwny naród te belfry. Jak przez lato odrobić tyle nieróbstwa?

Zafundowałem sobie na całe wakacje „korka”. Nauczyłem go polować, pływać, jeździć konno i paru mniej chlubnych rzeczy — ale jakoś matematykę przeoczyliśmy.

Na jesieni przyjechałem do Warszawy jeszcze głupszy, niż byłem na wiosnę — jeśli to tylko było możliwe. Nie miałem z czym się pokazywać na tę durną poprawkę i humor miałem bardzo kiepski.

Na szczęście napatoczyła się Stasia Kuszelewska, późniejsza tłumaczka Londona, autorka kilku książek, żona najpierw ministra Ignacego Matuszewskiego, potem generała Rayskiego.

Stasia miała bardzo błękitne oczy, bardzo grube jasne warkocze. Nie mogłem jednak przejąć się jej szlachetnym oburzeniem na Cezarego Jellentę, który miał rzekomo w jakimś felietonie napisać, że należy bardziej obnażyć operetkę.

Stasia, przysięgła harcerka, uważała, że należy Jellentę napiętnować.

Jasne warkocze, błękitne oczy i przetańczony wieczorek na pensji Kurmanowej przeważyły. W skrytości ducha myślałem, że operetkę, da Bóg, i tak obnażą, a zapachniała awanturka.

Jellenta ogłosił odczyt o Wyspiańskim w salce na Mazowieckiej obliczonej na sto pięćdziesiąt miejsc. Zakupiliśmy trzydzieści biletów i zmontowaliśmy sześć piątek. Każda piątka była rozsadzona w pięciu miejscach sali i to w środku rzędów. Każda miała swego szefa. Szef pierwszej piątki miał w pięć minut po rozpoczęciu odczytu wstać i przepychać się do wyjścia, jak najmocniej depcząc po nagniotkach.

Równocześnie podrywała się jego piątka w pięciu miejscach sali, każdy usadowiony w środku rzędu, każdy tratujący nagniotki. Co pięć minut miała to robić następna piątka, nim się nie wywoła reakcji Jellenty.

Przy bardzo hałaśliwym wychodzeniu pierwszej piątki Jellenta spieszył się i mocno zirytował. Zrozumiał, że była to zorganizowana manifestacja. Sala była podminowana. Tylko ani Jellenta, ani audytorium nie domyślało się, że to dopiero początek.

Kiedy następnych pięciu młodych chłopców i dziewcząt w różnych miejscach poczęło się przeciskać, następując na nogi sąsiadów, Jellenta, słysząc sykania i jęki, nie przerywając wykładu, wplótł, że Wyspiański recenzją Prokesza o premierze „Wesela” powinien był przejmować się równie mało, jak on „tą grupką osłów, która wychodzi z sali”.

Na to powstałem i gromkim głosem oznajmiłem, że to młodzież polska, która nawołuje do napiętnowania pornograficznych tendencji pana Jellenty, i wezwałem, aby solidaryzujący się z młodzieżą opuścili salę.

Natychmiast z różnych miejsc poderwało się dwudziestu sprzysiężonych, porywając za sobą innych. W westybulu jakieś rozognione paniusie dopytywały, co się stało.

Wyszły, bo już ciż solidaryzują się z młodzieżą, ale chciałyby wiedzieć, o co chodzi. Ba, ja bym też chciał. Tak się bowiem złożyło, że nie zdążyłem przeczytać tego felietonu. Ot i po rozrywce! Co tu dalej robić?

Cukiernia Jackowskiego na Nowym Świecie, srodze zakazywana przez władze szkolne, była miejscem spotkań warszawskiego ćwierćświatka. Ogromna w stylu

dziętnastowiecznym sala z pluszami, złoceniami, żyrandolami była wypakowana po brzegi dandysami, wśród których lśniły wielkoskrzydłe kapelusze, dźwigające ogrody sztucznych kwiatów; wielkie ilości wypchanych ptaków; strusie pióra spływające aż na ramiona bogiń, kryjących twarze woalkami; rajery, to znaczy złociste pióra z ogonów rajszych ptaków; wstęgi, aksamitki, koronki, sztuczne kamienie. Te skomplikowane konstrukcje były upięte na fryzurach spiętrzonych na „postiszach”, to znaczy wałkach z włosia, i umocowane długimi szpilami, które nieraz wykluwały oczy w tramwajach, były więc zabezpieczone metalowymi kapslami. Wśród tego wszystkiego ujrzałem w mundurze rosyjskiego, bojkotowanego przez nas, uniwersytetu byłego kolegę z naszej szkoły. Ustawiłem go pod głównym żyrandolem jak śpiewaka, który ma zaśpiewać arię operową, i rąbnąłem tak, że runął między plantacje kapeluszowe, przewracając stolik.

Zrobił się raban, policja, podlec natychmiast zaczął oskarżać, że to jest polityczne pyskobicie. W cyrkule znudzone szpicle gmerające po moich kieszeniach ożywiły się nagle: oto w czeluściach kieszeni znalazły zwinęty w kulkę kwitek na „Fundusz Wojskowy imienia Żółkiewskiego”. Na tym świstku pozwolono sobie za jedno dwa grosze umieścić, ile wlezie. Była i cytata z Żółkiewskiego: „Nie wiem, czy zwyciężyć mogę, ale zwyciężeni być nie mogę”, i wezwanie do natychmiastowej walki zbrojnej, i czort wie nie co. Szpiclom rozjaśniły się gęby, polecili robić rewizję w moim mieszkaniu, a tam znaleźli pełne szuflady materiałów, dotyczących „Funduszu Szkolnictwa Polskiego”, który prowadziłem, zebrawszy już natenczas cztery tysiące rubli (dwa tysiące dolarów). Na tym kwitku „Fundusz” i w tych papierach „Fundusz”...

Zawarczały druty telegraficzne, wyłapujące byłych kolegów po różnych kątach, poładowano ludzi do więzień i z tego wszystkiego okazała się figa — „Fundusz” miał iść nie na kupno armat, tylko na płacenie wpisów. Z całej Polski więc zostałem siedzieć sam jeden, dręczony w dzień przez żandarmów zapytaniami, skąd otrzymałem ten kwitek, na co niezmiennie dowiadawali się, że od jakiegoś nie znanego mi blondyna na ulicy Smolnej.

Wreszcie przestali się czepiać blondyna, za pyskobicie dali mi w drodze administracyjnej najwyższy wymiar kary — trzy miesiące, ale nagle coś przyplątali z dawnych czasów, historię wyspy na Sosnowej u koleżanki Różyczki (późniejszej wiceministrowej Kożuchowskiej), zaczął się mętlik od nowa, urozmaicony grą w szachy, które ulepiłszy z chleba.

W więzieniu na Daniłowiczowskiej umieszczono mnie w celi z rozczochranym osobnikiem. Od pierwszej godziny zapanowała sztama. Wygłosiłem do niego tyradę na temat posłannictwa narodowego. Było to — omal o Chrystusie narodów. Wyczerpany dwugodzinnym kazaniem zamilkłem. Drab zlął z pryczy i podał mi łapę ogromną jak łopata.

— Towarzyszu — powiedział — jest nasz program.

— To znaczy jaki?

— SDKPiL.

Bardzośmy się polubili. Był redaktorem odpowiedzialnym pisma SDKPiL i już szósty raz odsiadywał. Miał wysoce rozwiniętą technikę siedzenia. Jego warunki redakcyjne wkluczały pierwszoklasną wałówkę, bo odsiadywanie stanowiło jego obowiązek. Był święcie przekonany, że każdy porządny człowiek jest esdekiem, stąd i moje szlachetne idee bez wątpienia musiały być w programie esdecji.

Na konto tego idealizmu zażeraliśmy się pysznymi cielęcymi kotletami z groszkiem i nawet partycypowałem w otrzymywaniu grypsów do mnie kierowanych, zapiekanych w esdeckich podpłomykach. Korzystał z tych smakołyków nawet trzeci więzień, którego przez pomyłkę wepchnięto nam na jedną noc — sztywny jak deska lejtnant niemiecki, aresztowany za szpiegostwo. Traktowany per Kamerad i tuczony esdecką zagrychą, nie rozsztywnił się, nie chciał dyskutować na migi esdeckiego i mesjanistycznego programu, podejrzewał widać kapusiów, przesiedział sztywno na taborecie całą noc, aż go rano z wielkim gwałtem słowiański bałagan przeniósł do najściślej wyizolowanej separatki.

Żywoć mój w tym więzieniu na Daniłowiczowskiej ważył się na dwoje: z jednej strony rodzina przez stosunki zabiegała w Petersburgu o zwolnienie, z drugiej strony poczęliśmy z esdekiem grubszą rozróbę. Do więzienia zsypano za strajk stu dwudziestu tramwajarzy i zażądano, aby skrobali ziemniaki. Esdek orzekł, że to przeciw statutowi więźnia politycznego, rozpukaliśmy się w ścianę na prawo, w ścianę na lewo, w rurę kaloryfera w górę i w dół i niebawem o oznaczonej godzinie czwarte i piąte piętra „polityczne” i część trzeciego — kobiecego — rozbrzmiały waleniem taboretów o drzwi.

My w naszej celi wstąpiliśmy, nie czekając na łomot, na ścieżkę bojową zaraz po przestukaniu instrukcji i poczęliśmy ryczeć składnym duetem:

— Ukażi mnie takuju obitiel, gdzieby ruskij muzyk nie stradał. Esdek miał bas, zaiste, bernardyński.

Na to wpadł naczelnik więzienia, Nazimow. Bezzwłocznie przeszliśmy z pieśni rewolucyjnej na carosławną:

— Sławsia, ach siawsia, nasz ruskij car, Gospodom Bogom dan Hosudar. Esdek bezczelnie wrzasnął:

— Szapku dołoj!

Nazimow, bładz z gniewu, zdjął czapkę, której nie miał prawa mieć na łbie przy śpiewaniu hymnu, i zapytał:

— Czewo szumitie?

Esdek zamiast odpowiedzi wziął z miną senatora przepyszne zrazy zawijane, które tego dnia nadesłano w wałówce, i ku mojej goryczy wyrzucił je w obliczu naczelnika do kibla:

— Rozpoczynamy strajk głodowy, póki z karcu nie zwolnicie towarzyszy, którzy odmówili skrobania kartofli.

— Przedtem zrobimy co innego — zripostował Nazimow — odeślemy was do separatek w forcie.

Fort to było miejsce niesłychanie paskudne — zwłaszcza po naszym „Bristolu” na Daniłowiczowskiej.

W jakiś czas potem rozległ się wyżej wzmiankowany łomot i indywidualne wycia — jak kto tam umiał i potrafił. Potem przestukano nam, że na podwórzec więzienia zajęchały karetki i eskorta. Potem... drzwi się otworzyły, stanął w nich piętrowy i kazał mi zabierać się z wszystkimi rzeczami.

Milewski (tak bowiem nazywał się esdek, spotykałem go już między wojnami, pracował w fabryce zapalek w Mszczonowie) podał mi łapę:

— Trzymajcie się, towarzyszu.

Na dole w kancelarii Nazimow przyjął mnie z kwaśnym uśmiechem. Kazał mi podpisać papierek, na którym wyczytałem, że jest to papierek zwolnienia. — A więc nie do fortu?

— Co komu sądzone, to go jeszcze nie minie — filozoficznie pocieszył się Nazimow.

I rzeczywiście (jak mówił chorąży Orzeszko). Kiedy wybuchła wojna, zaproszono mnie ponownie do siedzenia. Już w drodze do „Bristolu” schytryłem się kupić „antki”, to znaczy gazety, towar w więzieniu zakazany i poszukiwany.

Przebierając się w łaźni w ubranie więzienne, z fachową maestrią wsadziłem „antki” pod ubranie. Witął mnie Nazimow życzliwie, uśmiechali się wszyscy dozorczy — wiadomo, swój gość, szemrany, nie jakaś frajerska łachudra.

Wepchnięty do wielkiej celi pomiędzy zamieszkujących ją dwudziestu sześciu grubasów — brzuch w brzuch — sprawnie usiłowałem poobdzie-lać ich zdumienie „antkami”, ale rzucali się ode mnie w bok z przestraczem. Okazali się knajpiarzami, przyaresztowanymi za wyszynk alkoholu, co w czasie wojny było zakazane. A cóż to za wałówki miało to bractwo... Co za kawiry, co za łososie!...

Knajpiarze uważali, że jestem albo wyjątkowo niebezpieczny kapuś, albo wyjątkowy zbrodniarz. Utwierdzili się w tym przekonaniu, kiedy wałówkę przyniósł z lekka durnowaty Filip, popychadło strażników, o byczym mięsistym karku. Filip,

pamiętny napiwków, witał mnie z wylaniem.

— To jest kat, wieszający ludzi, który dla pozoru ma funkcję roznoszącego wałówki — objaśniałem z nonszalancją — to mój przyjaciel. Ho, ho, pracowało się razem, pracowało...

Na takie dictum wszystkie wałówki ciągnęły sznureczkiem przede mnie. Dopiero wybrawszy z każdej najsmakowitszy haracz, zezwalałem na konsumpcje indywidualne. Pod tę porę zdążyłem już się zaręczyć. Mój przyszły teść pojechał interweniować; narzeczona, w ślady kobiet-bohatek, postanowiła mu towarzyszyć, „bo i tatusia przymkną”.

Pułkownik żandarmerii, z wielką rozwidloną brodą na fiołkowym mundurze, wytworzył nastrój życzliwy i kordialny. W pewnym momencie poprosił narzeczoną, aby poczekała w sąsiednim pokoju, i zwierzył jej ojcu przygnębiający fakt:

— Czy pan wie, że on nie ma paszportu? Czy pan wie, co to za człowiek? Wygląda pan na statecznego obywatela, jakże mógł pan być tak lekkomyślny, aby przyjmując oświadczyzny, nie obejrzeć paszportu?

No, ale zagawędziłem się w zdarzenia późniejsze. Wówczas, po tych wyrzuconych do kibla zrazach, ganiałem, roznosząc przeschmuglowane grypsy, gdy nagle na Nowym Świecie natykam się nos w nos na naszego dyrektora Sznuka. Foka stanął jak wryty:

— Co to?... Jak to?... Jednym słowem... Puścili ciebie... pana...? Ludzie czasem mają olśnienia genialne:

— Panie dyrektorze — wyszeptalem w natchnieniu — wypuszczono mnie przez pomyłkę.

— Jednym słowem... uciekaj... hm... niech pan ucieka za granicę... Zwiesiłem smutnie głowę — cierpienie odmalowało się na twarzy szlachetnego młodziana.

— Ach... Jednym słowem... Nie masz... hm... nie ma pan matury...? Hm... Zachodź, hm... niech pan zajdzie jutro do szkoły, jednym słowem.

Nazajutrz Szewc spytał mnie z rozkoszą o jakieś $2 \times 2 = 4$. Wlepili trój-czynę — wymaszerowałem z maturą w kieszeni... jednym słowem.

W tydzień potem flanuję sobie z nonszalancją po Nowym Świecie, widzę — toczy się Foka. Pozdrawiam go ruchem pełnym gracji moim miękkim borsalino.

— Co to?... hm... jednym słowem... Czemu nie wyjechałeś? Hm... czemu pan nie wyjechał, jednym słowem?

— Panie dyrektorze, już się wszystko wyjaśniło pomyślnie, że mnie nie zamkną. Foka podniósł ręce do czoła:

— Nabrał mię, nabrał!... — rozpacznał bez... hm... bez „jednym słowem”. Był porażony.

Szedłem obok niego milcząc, skruszony. Stary coś ważył.

— No, ale ten Horacy był przetłumaczony wybornie — powiedział. I w tym powiedzeniu było jakby rozgrzeszenie dyrektorskiego sumienia.

Z maturą polską pozbyłem się kłopotu, ale wisiała nade mną matura rosyjska.

Należało ją zdać w charakterze eksterna, bo bez matury rosyjskiej groziła trzyletnia służba w wojsku rosyjskim w charakterze bez-cenzusowca.

W zaborze rosyjskim trudno było zdawać, bo eksternów, przychodzących ze szkół polskich, ścinano.

Wzięliśmy z Mundkiem Olińskim i Piotrusiem Gródeckim spis gimnazjów Imperium Rosyjskiego i odległości ich od kolei: należało wyszukać największą dziurę, w której o sprawie polskiej wiele nie jest wiadomo, natomiast ludzie się nudzą i można ich brać na stosunki osobiste.

Znaleźliśmy Jełatmę, miasteczko -nad Oką, dopływem Wołgi, liczące osiem tysięcy mieszkańców i czternaście cerkwi oraz gimnazjum państwowe.

Niewiele myśląc, kropnęliśmy się do tej Jełatmy, położonej o dziewięćdziesiąt sześć wiorst (sto z czymś kilometrów) od kolei.

Dojechawszy do małej stacji Murom, położonej w głębokich lasach muromskich włodzimirskiej guberni, siedliśmy w tak zwane „rozwał-nie”, niskie sanki — szufle, w których człowiek, opatulony w baranice, leżał półrozwałony tyłem do

biegu koni, i ruszyliśmy w śnieżne zasy rosyjskiego bezmiaru w dwóje sań, dzwoniąc wielkimi dzwonami uwieszonymi u szyi koni środkowych w trójce. W Jełatmie okazało się, że należy czekać na dyrektora, który był wezwany do kuratorium. Tymczasem do hoteliku, w którym zamieszkaliśmy, poczęli przesiąkać miejscowi ośmioklasiści. Co dzień do naszego pokoju wjeżdżał wielki samowar i kilka butelek wódki. Uczyliśmy ich śpiewać „Jeszcze Polska”, co po trzeciej butelce wychodziło wcale nieźle. Kiedy po czwartej oni nas poczęli uczyć rewolucyjnych rosyjskich pieśni, groza poszła po czternastu cerkwiach Jełatmy. Gdy wreszcie przyjechał dyrektor, trzech warszawscy franci, rozpijający jego owieczki, niezwłocznie zjawili się na audiencję.

Dyrektor w granatowym mundurze ze złotymi guzikami, z kozią bródką i imponująco fioletowującym nosem, ze zgrozą spojrział ponad szklami cwikieru na nasze mocno fantazyjne krawaty.

— Czym zasłużyła sobie Jełatma na wasz łaskawy wybór, panowie? Piotruś Gródecki, ciemna masa, lubił się czasem wyrwać. Miałem ja gadać, ale pamiętałem na napomnienia jełatomskich kolegów: „Pobójcie się trochę, rozmawiając z dyrektorem. Nu, co wam szkodzi. A on to lubi”. Robiłem więc artystyczną pauzę, pamiętając na etykietę rosyjską — że władzy należy się bać*. Anielę więc wzrokiem satrapę, a tu Piotruś, sądząc, że się zacukałem — bęc:; — Słyszeliśmy o wysokim poziomie nauk w Jełatmie...

— W Warszawieście o tym słyszeli? — jadowici się dyrektor. I nagle przychodzi mu do głowy, że jakżeż to cała Jełatma, jakże kurator komentować będą inaczej tę warszawską popularność Jełatmy. Jako dowód o wyjątkowym zgoła łapownictwie! Zrywa się dramatycznym ruchem z fotela i krzyczy pół groźnie, a pół błagalnie:

— Na miły Bóg, wyjeżdżajcie! Wyjeżdżajcie! Wot wam kriest (przysięgam), że za nic nie dopuszczę do egzaminów.

* Kiedy Mikołaj I przyjechał do Kijowa, jeden z oczekujących na audiencję gubernatorów narobił w portki. W czasie zamieszania ukazał się we drzwiach cesarz, a dowiedziawszy się, co zaszło, pochwalił gubernatora za wiernopoddańcze uczucie strachu.

Tego wieczoru gęsto zmieniały się samowary i butelki. Nazajutrz skoro świt oczekujące przed hotelem dwie „rozwalnie”, do których ładowano nasz bagaż i podręczniki, otoczyła gromadka jełatomskich maturzystów. Śnieg padał miękkimi, dużymi płatami. Jeden z nich, Popów, wsunął mi w rękę skrawek papieru — było zbyt ciemno jeszcze, zbyt śnieżno, aby czytać.

Zadzwoiły dwa duże dzwony u szyi koriennych*, zruszających sanie. Nasi rosyjscy koledzy, zbici w szarzącą grupkę, zaintonowali bardzo nieskładnie źle poduczone „Jeszcze Polska”.

Na czterdziestej piątej wiorście, kiedy przeprzęgano zmianowe konie, raczyliśmy się z miejscowymi chłopami herbatą. Gość według obowiązującej etykiety małymi szczypczykami dzieli kostkę cukru na szesnaście części i poczyną się skomplikowany rytuał siorbania lekkiej herbaty wylewanej na spodek. Każdą proponowaną przez fundatora szklankę gość przyjmuje inaczej. Już pierwszej zaraz odmawia, równocześnie jednak podsuwając ją do zapraszającego. Następnej odmawia i przyjmuje. Potem poczynają się cuda ze szklanką. Przy którejś tam turze kładzie ją goszczony bokiem na spodek, ale łyżeczkę zatrzymuje na stole. Przy innej już i łyżeczkę składa. Równocześnie, crescendo, idzie wzbranianie się. Wreszcie, wysiorbawszy piętnastą szklankę, gość stawia ją do góry dnem, kładzie przy niej łyżeczkę, na szklance kładzie ostatni nie zjedzony kawałek cukru i zdecydowanym gestem to wszystko odsuwa. Należy wiedzieć, że dalsze naleganie jest nietaktem.

Otóż wtedy, gęsto się pocąc po szesnastu szklanicach wrzątku i ocierając pot z twarzy ręcznikiem haftowanym w koguciki, zaserwowanym jako część samowarowego kompletu, sięgnąłem do kieszeni po zwilgotniałą kartkę.

Popów pisał:

Praszczajcie, wolnyje wy pticy. Zełajem doigo wsiem wam żyt!. Z razswietom

zawtraszniej zarnicy Do nas, towarzyszej, przybył".

Minęło lat sześć, wybuchła rewolucja rosyjska. Biegając po Morskiej w Petersburgu natknąłem się na młodzieńca w mundurze, przepasanego wstęgą nabojów:

— Wańkowicz. To ja. Popów z Jełatmy... Pamiętasz; dałem ci wiersz.

* Koriennaja — koń środkowy, w hoioblach, który idzie klusem, podczas kiedy przisiażnyje galopują. Żegnajcie, wy wolne ptaki. Zabierzcie nasze najpomyślniejsze życzenia. Z zorzą jutra wróćcie do waszych przyjaciół.

Z Jełatmy — pojechaliśmy wprost do Libawy. Od grupy kolegów, którzy się tam skierowali, mieliśmy wiadomości, że w Libawie jest przyjemnie i może iiiie będą ścinać.

Mieszkaliśmy w jedenastu w willi libawskiej Polki. Taty i mamy posyłali forsę w bród — byle tylko ci synkowie brali najlepszych nauczycieli, zarost nam się począł puszczać, kolonia polska nosiła frantów z Warszawy na rękach — żyć, nie umierać!

Był między nami chłopisko starszawy, zarost mu się już dobrze sypał, nieco orangutanowaty, ale pewny swoich wdzięków. Sfingowaliśmy do niego list od kasjerki kawiarnianej, która nosiła czerwoną bluzkę ze złotymi guziczkami i do której podpalaliśmy się wszyscy... Dziewczę naznaczało randkę o jedenastej w nocy, kiedy zamykają kawiarnię.

Ubraliśmy go w żakiet wspólnymi wysiłkami, każdy ofiarował najpiękniejszą część garderoby, jaką posiadał. Wyprawiwszy, urządziliśmy dziki płas radości i raźnie zabraliśmy się do przygotowania „Triumfu Starorzymskiego" dla niefortunnego kandydata na amanta.

A więc, kiedy otworzy drzwi do swego pokoju, czekał go wycelowany wprost na wysokości gęby kij gęsto owinięty skarpetkami, aby sobie nie wykuł oka. Na górze nad drzwiami na kunsztownych dźwigach przechylało się automatycznie wiadro wody. Na dziesięć centymetrów nad podłogą przeciągnięty sztywno sznur łączył się z jedenastu blaszanymi nocnikami, ustawionymi na szafach. Na tę okazję ukwestowana pani Jażdżewska, właścicielka pensjonatu, długo wzbraniała się, że nie może lokatorom odbierać potrzebnych utensyliów. Błagaliśmy, żeby im od ust odjęła, a nam dała na tak wzniósł cel.

Pensjonat, przywarowany, czekał na powrót Adonisa. Jednak Adonis nie wracał, poczęliśmy się zastanawiać, że może niechcący oddaliśmy gorylowi istotną przysługę, i pozasypialiśmy z sercami w cęgach zazdrości o te złote guziczki. Okazało się potem, że złote guziczki ocalały, a niefortunny amant, nie chcąc narazić się na pokpiwania, przesiedział noc w parku, fingując jakąś przygodę. Świtaniem willę zbudził straszliwy grzechot jedenastu nocników. Wyskoczyliśmy z łóżek i jak kto stał, wpadliśmy do pokoju nocołaza. Przemokły do nitki, trzymał się za nos rozkwaszony drągiem. Dookoła poczęły wyglądać główki córeczek Jażdżewskich. Goryl, rozwścieczony, chwycił ów właśnie drąg i runął na aranżera. Wypyrnąłem na zewnątrz, on za mną, pędziłem jak gazela ku morzu, idące z koszami niewiasty z podziwem patrzyły na pomykającego w krótkiej nocnej koszuli, a za nim z drągiem ryczącego wariata w żakiecie, za tym znowu na trzymających się w przyzwoitej odległości dziewięciu nie odzianych.

Wparłem się w morze po pas i począłem perswadować odprasowanemu frantowi latającemu z rykiem po brzegu, aby nie był głupi, odłożył pomstę, przyniósł portki. Brzeg począł się zaludniać, musiał zdjąć blokadę.

Mimo tan intensywnych studiów większość ścięła się w Libawie i ruszyliśmy zdawać do Moskwy. Zasmakowaliśmy w tej turystyce, która nazywała się eksterniczanje (eksternowanie). Do Moskwy przyjechało nowe naręcze kolegów, którzy w szkole byli o klasę niżej (bo -to już minął roczek) — żółtodziobów. Tych znowu swędziała forsę i ciekawość życia. Jeden przez drugiego pozował na doświadczonego w sprawach amora. Papinsynek, syn fabrykanta kafelków, świeżej czeskiej proveniencji, nazywający się coś w rodzaju Nowaczek, smarkacz i żółtodziób, opowiadał o swych miłosnych przewagach i pojedynkach. Młodzież tego nie lubi i postanowiliśmy dać mu nauczkę. Nowaczek zainwestował w pewną dziewczę

tydzień starań, wodził ją po teatrach, ekspensował się, a kiedy dziewczę wezbrało sokiem-jak dojrzała gruszka — podkręcił się mały, sprytny Marianek Kacprzak i gruszkę zerwał.

Okropnie odczuł stratę forsy, zachodów i słodkich perspektyw Nowaczek:

— Świństwo miście zrobili, kolego — oświadczył Mariankowi.

— Tak? —zesztywniał Kacprzak. — Pozwoli pan, że załatwimy sprawę pańskiego zarzutu na innej drodze.

Ta inna droga to był Jurek Dangel i ja, do których zwrócił się, prosząc na świadków.

Wyjąwszy szkło od zegarka, mające imitować monokl, zabrałem Jurka i udaliśmy się do Nowaczka.

— Proszę, siadajcie — ucieszył się.

— W imieniu mocodawcy naszego — sztywniłem się — Mariana Juliana Stanisława Augustyna Ildefonsa Kacprzaka, przyszedliśmy zażądać satysfakcji...

— A cóż ja takiego zrobiłem?

— Użył pan hańbiącego określenia „świństwo”, którym mocodawca nasz, Marian Piotr Ambroży Ignacy Stanisław Kacprzak, czuje się obrażony.

Nowaczek jest przytłoczony tą mnogością imion mocodawcy, moim monoklem, moim mówieniem przez nos (cierpnę, żeby ten Jurek nie parsknął śmiechem, bo jest strasznie śmieszliwy); stara się jednak mówić po koleżeńsku i zgodnie:

— Nieraz przecie i gorzej do siebie mówimy; ale jeśli chce, to go przeproście ode mnie.

Teraz to już nie ja mówię, lecz mój nos. Trąbi tak uroczyście, że sam się dziwuję, trąbi tak groźnie, że chyba groźniej nie będzie trąbić żadna trąba w Dolinie Jozafata.

— Cieszę się, że nie poleje się krew, bo naszym zadaniem jest uchronić od jej rozlewu. Ale nasz mocodawca, Marian Jerzy Władysław Mści-wój Bonawentura Kacprzak, stawia specjalne warunki...

Bestia Dangel nie wytrzymał; wstawił głowę w otwarte okno i ryczy. Nowaczek jednak już zdrętwiał pod tym uroczystym trąbieniem, już widzi przed sobą okropną śmierć:

— Jakie to warunki? — pyta niepewnym głosem.

— Życzeniem pana Mariana Tadeusza Zbigniewa Włodzimierza Eustachego Kacprzaka jest, aby szanowny pan trzykrotnie przebył przestrzeń pod sprzętem zwanym stół, wydając odgłosy właściwe czworonogowi imieniem pies.

Łuna uderzyła na twarz Nowaczka:

— Ja tego nie zrobię.

Uklon... Ostatnie przygniatające spojrzenie przez ogromne szkło kieszonkowej cebuli, rozsadzające jamę oczną... Wyklus krztuszącego się od śmiechu Dangla.

Po całej Polonii moskiewskiej daliśmy znać, że jeżeli Nowaczek zwróci się o świadkowanie — przyjąć... Już my mu damy szkołę... Za te wszystkie bujdy o pojedynkach w Pradze i nie-Pradze, o floretach, rapirach, szpadach, pałaszach, szablach kawaleryjskich, ciężkich dziewiątkach, paradach, krzyżowych cięciach, tercjach, sztychach, trupach, łkaniach, laurach, różach...

Tadzio Pełczyński i Michał Wężyk z Sieradzkiego, poczta Szadek, który kiedyś sam się namyślał, czy mnie nie wyzwąć na ubitą ziemię z powodu, że nauczona przeze mnie klasa za każdym razem, kiedy go wywoływano do tablicy, ryczała: „poczta Zadek” — zostali świadkami Nowaczka. Pojedynek jednak wyznaczaliśmy dopiero za tydzień, aby przedłużyć zabawę. W stołówce o nieapetycznej nazwie „Sanitas”, w której stołowali się wszyscy adepci eksterniczania, odchodziły krew mrożące w żyłach opowiadania o tym, jaki to świetny strzelec jest ten wielu imion Kacprzak.

— Ja byłem z nim na wakacjach w Płockiem — gardłował któryś, udając, że nie widzi siedzącego przez stół za wazonem z wielką sztuczną palmą Nowaczka — wyobraźcie sobie, że ten drań Kacprzak jadąc na rowerze, ze zwykłej piątki brauninga na siedem strzałów sześć jaskółek w locie ubił.

— Ale co to z nim teraz Się robi? — zastanawia się w głos inny. — Nic nie uczy się do matury, tylko całe dnie strzela w strzelnicy. Wczoraj zgromadził się ogromny tłum gapiów. Właściciel strzelnicy proponuje mu sto rubli, żeby strzelał, rezygnując z premii. Samych gipsowych królików ma kilkadziesiąt sztuk.

— Nie je pan? — słychać za majolikowym wazonem głos kelnerki.

— Dziękuję — mówi drewnianym głosem Nowaczek.

Udajemy, że dopiero go spostrzeżliśmy. Kiedy idzie po płaszcz do szatni, rozstępujemy się z ponurym szacunkiem, jaki się należy przyszłemu trupowi. Przygotowaliśmy fajne pistolety pojedynkowe: ktoś znalazł gipsowe skarbonki w kształcie pistoletów.

Mieliśmy biedę-z kolegami, wszyscy bowiem chcieli być na pojedynku.

Zaakceptowaliśmy, ilu tylko było można — po lekarzu i po felczerze na każdego z pojedynkujących się — wybranych spośród maturzystów innych szkół, którzy nie chodzili do „Sanitasu” i których nie znał Nowaczek. Jeden z nich, pamiętam, był z Kowieńszczyzny, nazywał się Suryn i boczył się na mnie, bo wytłumaczyłem kolegom, że Suryn po litewsku znaczy świnia, co jako żywo nie było prawdą.

W oznaczony dzień świtanie pojechaliśmy z Kacprzakiem „lichaczem”, to znaczy dorożką na dętych oponach zaprzęzoną w rysaka, na Worobjo-wy Góry, ulubione miejsce pojedynków, z których po raz pierwszy Napoleon ujrzał Moskwę.

Wyglądaliśmy bardzo godnie. Wprawdzie melonik pożyczony od kolegi był za mały, powiewałem więc nim w rękę pod pretekstem upału, ale tużurki zrobione za równowartość iluś tam godzin starosłowiańskiego języka (pod „starosłowiański” pompowało się „starych” specjalnie udatnie), monokle w oczach, miny uroczyste, neseser skórzany, w którym przechowywaliśmy nieszczęsne gipsy — wszystko razem dostatecznie działało na kelnerów podmiejskiej restauracji.

— Co ich przewoschoditielstwa rozkażą? — podleciał gospodarz.

— Wy czoż budielie pił', baron? (co pan będzie pił, baronie?) — spytał Kacprzak Dangla, który akurat był baronem autentycznym.

— Co pan wybierze, kniaziu? — znalazł się w kropce Jerzy.

— Myślę, hrabio — odpowiedziałem Kacprzakowi — że „Citro” Ka-linkina.

I Baron, kniaz i hrabia obstalowali butelkę lemoniady za piętnaście kopiejek.

Spotkanie wyznaczone było na szóstą rano, ale przeciwników nie było. Mieliśmy „ostrzelać plac”, jeśli nie zjawią się w ciągu kwadransa.

Ale oto ukazał się spieniony „lichacz” i Pelczyński z Wężykiem wywlekli z niego ziemistozielonego Nowaczka.

— Mówił, że nie spał całą noc, chodził po pokoju po napisaniu ostatniej woli i jedenaście much zabił — szepnął Wężyk.

— Powiedzieliśmy mu, że jeśli się wyłamie, to zamiast jednego będzie miał dwa pojedynki, z Michałem i ze mną — dodał Pelczyński.

A tu jak raz nowe dwa „lichacze” — w każdym doktor i felczer. Weszli w smak całej awantury, dźwigając walizy z rzekomymi opatrunkami. W walizie Suryna strasznie chrzęściło: włożył tam szczypce, łyżwy i gong zwędzony w pensjonacie; miało to imitować brzęk lancetów. Jeden z felczerów grubo przesadził: tak domknął walizę, że sterczały z niej na zewnątrz bandaże, notabene pokrwawione kupionym w aptece karminem.

Trzeba było spieszyć na miejsce spotkania, bo a nuż ten nieszczęsny Nowaczek pozna się na kawale?

Na polanie wśród lasu ustawiliśmy przeciw sobie adwersarzy i począłem czytać protokół. Pojedynek był na gwintowane pistolety ze sznele-rami, z muszkami.

Odległość dwadzieścia kroków z podchodzeniem do bariery. Komenda tylko na start, strzał wolny. Potrójna wymiana strzałów, a gdyby te pozostały bez rezultatu, dalej aż do niemożności walczenia i w ogóle...

Czytam ja, czytam ten protokół, a tu widzę — felczerzy z doktorami położyli się na ziemię i aż się kulgają z uciechy.

Zakończyłem protokół wezwaniem do zgody. Sekundanci Nowaczka ukazali mu zwinięte w demonstracyjny sposób pięści, ale on już nic nie widział. Nie reagował. Stał

jak słup.

Zrobiło mi się żal, że oto zabawa już się kończy, czy może uczułem ciekawość, co dzieje się w tym za żywa umarłym człowieku. Przypomniałem sobie, że przed postawieniem na placu wyzwany ma pierwszeństwo przy wyborze albo stanowiska, albo pistoletu. Choć więc przeoczyliśmy tę formalność i przeciwnicy byli już rozstawieni, zwróciłem się do Nowaczka:

— Do pana należy wybór broni lub miejsca. Co pan wybiera? Milczenie.

— Zwracam się z zapytaniem, czy pan wybiera miejsce, czy broń? Milczenie.

Nowaczek rozumie, że do niego mówię, patrzy na mnie szklanym wzrokiem i głos mu nie może wyjść z krtani.

Dopiero na trzecie pytanie, gdzieś z głębi jego jestestwa, jakby poczęły z wielkim trudem ruszać dźwigi mówiącego mechanizmu, jakby z wolna poczynąły się rozżarzać lampy radia, wyszedł niesamowity, drewniany głos:

— Stoję już...

To nie mówił Nowaczek, to mówił człowiek z tamtego świata, człowiek, którego duch już przeszedł Rubikon życia, a tylko powłoka cielesna tu jeszcze chwilowo stoi.

Zrobiło się nam straszno. Kawał doprowadziliśmy za daleko. Szepnąłem do sekundantów Nowaczka, żeby mu doradzili pogodzenie się, żeby zapewnili, że nie będzie miał z nimi pojedynku. Kiedy już mu naszeptali do ucha, a ja jeszcze raz, ale już ludzkim głosem, zaproponowałem pogodzenie się, widzieliśmy jak policzki biedaka poczynają ponownie się zaróżwiać, jak mu powraca życie.

Skończyło się tym razem na szampanie w tejże restauracji, naturalnie na koszt uratowanego z paszczy śmierci. Musiał zapłacić chyba z kilkaset godzin starosłowiańskiego. Atmosfera się rozkrochmała i Nowaczek począł obszernie:

— Kiedy miałem ostatni pojedynek w Pradze...

— Cholera... — zakłęliśmy chórem — patrz, durniu, to były gipsowe pistolety...

Ale nie uwierzył. Ani teraz, ani potem, kiedy po upływie ćwierćwiecza spotkałem go na zjeździe szkolnym. Opowiadał mi o tym pojedynku z emfazą jak o pojedynku realnym.

Nie ma sprawiedliwości na świecie! I w Moskwie nie została oceniona cała naturalna praca. Ściąłem się zaraz na pierwszym egzaminie. Wyszędłem z gmachu zły, ale i trochę rad. Krym jest podobno cudowny! Trzeba będzie z eksterniczaniem skierować się na Krym.

Ale jednak, pomimo tych perspektyw, w duszy było jakoś hadko... Czekam na tramwaj po wyjściu z gimnazjum, aż tu między mnie i tramwaj wjeżdża wolno wlokący się pusty „Wańka” — dorożkarz moskiewski.

— Ty co, taka mać — powiadam — pasażerowi drogę zajeżdżasz?

— A ty co, za archimandrytę tu stanąłeś, podbiec nie możesz? Poczuję się jak rycerz, któremu rzucono rękawicę, i niezwłocznie

stanąłem w szranki. Muszę powiedzieć, że przygotowując się do matury, gorliwie uczęszczałem do dorożkarskich herbaciarni, gdzie na ścianach wisiały stereotypowe ostrzeżenia: Niepiilicznymi słowami sliszkom rugat'sia strogo wospreszczajetsia (Nieprzyzwoitymi słowami zbytnio wymyślać surowo się zabrania). Tam przeszedłem, pojąc się obficie herbatą, dwa dokładne kursy: pisanie listów i przeklinania. Umiałem napisać priwiet s pokłonom (pozdrowienie z ukłonami) na cztery strony listowe... I ponauczałem się kilkupiętrowych przekleństw.

— Ach, żeby cię... — szybko zabębniłem — i żeby sto światów, a w każdym sto państw, a w każdym sto guberni, a w każdej guberni sto powiatów, a w każdym powiecie sto gmin, a w każdej gminie sto miast, a w każdym mieście sto domów, a w każdym domu sto pokojów i żeby w każdym pokoju sto łóżek, i żeby na każdym łóżku stoma ogierowymi... kopytami po stokroć ciebie... przejechali.

„Wańka” zdumiał się; a że koń ciągle szedł stępa, począł go z wolna wstrzymywać, aby nic nie uronić z koncertu.

— Zdechłą sobakę ci wetknąć w d... — perorowałem — i żeby ta zdechła sobaka

wyła, wyła, skrobała, drapała, drapała i wydrapała takiego sukinsyna jak ty sam. Gęba w szerokiej okładzistej brodzie rozjaśniła się. Definitywnie wstrzymał konia i słuchał.

— Żelazo rozpalone nie rozpalonym końcem wsadzić ci tamże...

— Czemu nie rozpalonym? — zainteresował się fachowo.

— Żeby za tamten rozpalony nikt nie mógł wziąć i wyjąć. Szyszkę jodłową grubym końcem naprzód tam ci wepchnąć i pomalutku wyjmować i trzy razy przekręcić, abys ty począł pojmować, jakiś ty sukinsyn... twoja mać.

„Studia” w Alma Mater.

Była taka baraniarka* z kresów — cudo. Durna była ta Alusia (imię zmieniam), ależ i za to jedna z trzech najfajniejszych wytypowanych piękności akademickich.

Kiedyś jej kresowa mama przyjechała z faską miodu, kumpiami i konfiturami zobaczyć, jak się ta Alusia sprawuje. Alusia jednak za głupia była, żeby się źle sprawić. Pojechaliśmy na Wawel i Alusia pyta, co to za rzeka płynie.

— Ależ, Alusiu, nie wiesz, że Wawel nad Wisłą zbudowany?

— No, wiem, że nad rzeką — broni się — ale żeby koniecznie nad Wisłą...

Tenisowaliśmy z Alusia zawzięcie. Wybrała się na rozgrywki w czarnym dessus pod białą wełnianą sukienką i trybuny krzyczały: „jedenastka!” (bo zawodnicy mieli numery).

Alusia, rozgoryczona, że nie broniliśmy jej przed galerią, oświadczyła, że „nie jest żadna znajomości” z nami. Dziewczę lubiło czasem zniecka wyrazić się górnolotnie. Podchwyciliśmy na języki, że Alusia jest „nierządna”.

Oganiało się od nas biedactwo, jak mogło, ale serce miała dobre.

Któregoś dnia jak nieraz siedziałem u niej z kolegą po meczu, aż dziewczę ziewnęło, że chce spać. Beznadziejnie zakochany kolega, który uprosił mnie o asystę, bo Alusia pojedynczego kolegi do pokoiku by nie wpuściła, przewrócił pożegnalnie gałami, westchnął i wyszliśmy. W bramie domu pomyślałem, że dobrze by zajrzeć do Alusi przez szybkę: wymyśliłem, że mam kolegę w tymże domu, pożegnaliśmy się, wszedłem na podwórko i począłem wspinać się po drabinie na mur, dzielący od sąsiedniej posesji. Mur biegł na wysokości pierwszego piętra i okna Alusi, położonego naprzeciw.

Słuchaczka Kursów Baranieckiego w Krakowie.

Tymczasem tego zazdrosnego mandryla korciły jakieś podejrzenia, wrócił, ujrzał, obstąpił i począł się drzeć:

— Złodziej!...

Zrobił się sądny dzień. Stróż wypadł z miotłą, okna się pootwierały, lada chwila Alusia spostrzeże mnie na murze i domyśli się, że byłem podglądek. W rozpacz, ujrawszy po stronie sąsiedniej posesji dach szopy, przylegający do mego muru — skoczyłem. Ale było po deszczyku, pośliznąłem się na łosiowej podeszwie i pojechałem po smołowanej papie bokiem N tenisowego ubrania, którego nie byłem w stanie zmienić od rana. Pogoń narastała. Hycnąłem w jedyne wyjście, a była to znana nocna knajpa Króla na rogu Podwala i Karmelickiej. Knajpa składała się z czterech sal w amfiladzie. W pierwszej był sklep z wiktuałami, w drugiej piwko, kanapki, „maczanka” (specjalność galicyjska) i solidni radcy. Trzecia — kolacje i jeszcze solidniejsi radcy. Czwarta — damska kapela, kiepskie trunki i Sodoma i Gomora. Wpadłem od tyłu na estradę z siedmiu obfitymi Czeszkami w bieli, o łonach przepasanych niebieskimi szarfami, wyróciłem bęben, zawadziłem o puzon i, czarno-biały, sadziłem jak jeleń przez wszystkie cztery sale.

Przyszedł czas, że powetowałem sobie porażkę. Pocałowałem Alusię i Alusia, proszę państwa... rozpląkała się. Czułem się zhańbiony. Tol, mój starszy brat, tłumaczył mi zawsze:

— Możesz nawet zgwałcić kobietę, ale żeby później była zadowolona. Grunt, jak jest na końcu. Ale rzucać się na kobietę, rwać suknię, dostać po pysku i być wyrzuconym — to chamstwo. A jeszcze gorzej, to kiedy się rozplącze. Fuj...

Dobrze jemu gadać... Gwałcić można, ale nie możnai, żeby pląkała. A tu właśnie Alusia pląkała. Spojrzałem z ukosa na te wąskie ramionka, drgające w płaczu i

bezbrotne, i poczułem się skończoną świnia, człowiekiem splamionym na honorze tak, że tylko śmierć może to zmyć.

Miałem lansowany wówczas model pistoletu „Bayard” formatu piątki, a o ogromnym kalibrze dziewiątki. Próba połączenia portatywności z dostatecznym szokiem była osiągnięta kosztem celności. „Ale po co panu dobrodziejowi celność? — wywodził wygadany sprzedawca. — Czy to karabin? Pistolet jest dla obrony. Cały magazynek 6,35 szanpan może w człowieka wsadzić, a człowieczek jeszcze pana szanownego rąbnie. Ale tu — ho, ho... — przystawi mu pan lufę do głowy i główka jak garnuszek się rozleci” — mlasnął z zachwytem. To smakowite zachwalanie językiem kelnerskich zdrobnień narzędzia śmierci przekonało mnie i pistolet kupiłem.

Teraz wyjąłem go ruchem zdeterminowanym, odbezpieczyłem (ciężki idiota!) i podałem gestem dramatycznym Alusi:

— Obraziłem panią — niech mi pani strzeli w łeb.

Pannica (druga idiotka) pochwyciła, zanosząc się od płaczu, pistolet i poczęła mi myrdać po skroni. Widziałem wyraźnie jej palec na cynglu, jej rękę drgającą od konwulsji płaczu. Spotniałem jak sznur. „Główka szanpana jak garnuszek się rozleci” — rozumiałem z całą wyrazistością. Mimo to — nieopisana jest głupota czy romantyzm młodości — siedziałem jak trusia, czekając na strzał, który by nie tylko mnie pozbawił życia, ale i pannę doszczętnie skompromitował.

Na szczęście Alusia załamała się, odrzuciła „Bayarda” na poduszki otomany i padła ze szlochom na moje rycerskie piersi. Nic tam dalej, proszę państwa, nie było, ale Tol nie mógłby powiedzieć: „Fuj!”

Kto mówi, że tylko amory były nam w głowie? A polityka — to pies?... Zebrani pod Wawelem — demonstrowaliśmy. Dobrze już nie pamiętam przeciw komu i czemu, wiem tylko, że srodze się podźwigałem, wynosząc na ramionach pod murami Wawelu, na których był naczepiony orzeł austriacki, kolegę Adama Mirtyńskiego z Jarosławia. Szło o to, aby demonstrował właśnie obywatel austriacki, bo Króle-wiaka mogliby wysiedlić. Adaś darł się więc, że przysięgamy, że nie spoczniemy, aż to ptaszysko zniknie z murów Wawelu. Głos jego był napełniony afektacją, bo go szczypałem w pośladek z pełnego serca.

Komisarz policji krzyknął:

— Panowie, ja protestuję!

Jego kolega spytał tak, aby wszyscy słyszeli:

— Już zaproteutowałeś? No, to chodźmy na piwo.

Mirtyński poległ w legionach i nieco mi przykro, że go zbyt mocno szczypałem.

Po stosunkach, jakie mieliśmy w zaborze rosyjskim, w Galicji była istna bukolika.

Nie mając załatwionej służby wojskowej, nie mogłem otrzymać paszportu na wyjazd za granicę. Wobec tego udałem się na studia „na zielono”. Bogiem a prawdą było to zbyteczne — bardzo łatwo było wówczas przejechać na „lewą” przepustkę graniczną na byle jakie nazwisko. Ale kiedy się ma lat dziewiętnaście, ma się ochotę różne rzeczy robić

lewą ręką przez prawą nogę — byle było bardziej po bohatersku. Wyszukiwałem sam dla siebie pretekst, że muszę się szmuglować „na zielono”, bo szmuglowałem nasze nielegalne pismo pt.: „Dla Polski”.

Pojechałem końmi 96 wiorst do Biłgoraja, stamtąd gdzieś pod Tarnobrzeg, z rąk do rąk. Aż w ostatniej chałupie, tuż przed granicą — przewodnik coś marudził. Kiedy wszedłem do chałupy, okazało się, że klęczy przed obrazem i modli się.

Wyłumaczył, że w zeszłym tygodniu przy przejściu granicy straż zastrzeliła jego kolegę. Nie wiem, czy to była prawda, czy zabieg na wyduszenie większej opłaty.

Wzdłuż granicy był wycięty szeroki trakt, na którym stały warty, a ponadto co pół godziny przejeżdżał ront konny.

Siedzieliśmy pod świerkowymi łapkami, trakt przed nami lśnił żywym srebrem w księżycowej pełni. Nagle na znak przemytnika pomknęliśmy jak zające. Z tamtej strony traktu przewodnik wpadł na płot i począł kłać głośno, rozsuwając żerdzie.

— Ciszej — syknąłem.

— Mogą mnie pocałować gdzieś, my już w Austrii.

To przejście natychmiastowe od strachu do dezynwoltury było uroczyste. Ileż to razy przekraczało się granicę „na zielono”? Po raz drugi — z Prus Wschodnich na Litwę. Załamałem się na lodzie rzeczki granicznej i zanurzyłem po szyję. Huk i grzmot poszedł straszliwy na kilometr dookoła. Sądziłem zamarzła podorywką, a ubranie kostniało w pancerz.

Albo innym razem — kiedy na granicy litewskiej załapał mnie wartownik i wykiwałem się znajomością kilkunastu litewskich słów.

Albo innym razem, kiedy, przechodząc do Polski, zostałem zaprowadzony przez przemytnika na nocleg do stodoły, gdzie na sianku wylegiwali się wartownicy z KOP-u. Nie pytali o nic, poczęstowali się papierosami i zgodnieśmy spali.

Albo innym razem, w czasie kampanii wrześniowej — przez nurt Dniestru, przy akompaniamencie strzałów, z maszyną do pisania nad głową.

Wówczas, wyprysnąwszy z carskich obieży (nawiasem mówiąc, dosyć dobrotliwych), młody chłopak upajał się swobodą austriacką. W czasie Zimmermaniady (protesty przeciw obsadzeniu katedry przez księdza Zimmermana) studenci, walący laskami po kłębach koni policyjnych, otrzymywali ojcowską admonicję.

Pewnego razu Żydzi urządzili wiec protestujący przeciw procesowi Bejlisa w Kijowie, oskarżonego o rzekomy mord rytualny. Proces był ponurą średniowieczną imprezą, tymczasem najgłupszy z rolników wybrał się, aby rozbijać wiec. Zaalarmowani w naszym „Zjednoczeniu”, poleciliśmy, aby przeciąć te wybryki.

Trudno było aranżować kompromitującą bitkę, postanowiłem ich zmianić. Wrzasnąłem głośno, że robimy Gansepiomenade. Takie promenady miały swoje tradycje. Kiedy Gautsch został ministrem, wężyk gęziej promienady przewijał się przez wszystkie kawiarnie, wyśpiewując:

Do dupy z Gautschem, do dupy z Gautschem. Ach, czemuż nie ma Gautsch do dupy iść?

Tenże humor ulicy krakowskiej w czasie wyborów prezydenta miasta potrafił zebrać sporą i groźną liczbę głosów na kandydaturę popularnego w Krakowie śmieciarza. Rolniki więc wywaliły się z wrzaskami za mną. Wywiódłszy ich z sali wiecowej, nie bardzo wiedziałem, co z tym dalej robić, i wiodłem na rynek. U wylotu na rynek złapaliśmy dwóch muzyków podążających do pracy i czapką i papką zniewoliliśmy ich, aby grając poprzedzali pochód. Pochód rósł, z tyłu podążali policjanci, było ich coraz więcej, ale nie reagowali.

Postanowiłem przedefilować przez foyei teatru, w którym odbywało się już przedstawienie, i rozwiązać promenadę. Kiedy wkroczyłem do foyer, zobaczyłem za sobą tylko kilku, ogonek się urwał. Wybiegłszy skonstatowałem, że zażywny pan w mundurze, który wzięłem za mundur portiera teatru, odpycha wchodzących, wrzeszcząc:

— Proszę się rozejść, nachalni kawalerowie!

Skoczyłem więc ku facetowi, z maksimum godności wyrzucając, że to nie nachalni kawalerowie, tylko młodzież polska, która protestuje... hm... tego... przeciw... hm... — właściwie nasza gęsia promenada szła bez żadnego hasła.

Portier na moje dictum wyprostował pierś i wrzasnął:

— Proszę na dyрекcję policji!

— Owszem, tam pana nauczą, jak traktować młodzież uniwersytecką. Portier kroczył pierwszy, prowadząc niejako gęsią promenadę. Burmuszał coraz bardziej na miauki i piski, ale nie reagował.

Tak doszliśmy do gmachu dyrekcji policji. Nagle- rozwarły się wrze-ciądze, ukazując uformowane z obu stron szeregi policjantów.

Rzekomy portier dobył stentorowego głosu:

— Żołnierze!

Zaczynało się to niemal jak przemówienie Napoleona pod piramidami, ale kończyło się konkretniej:

— Rozepchnąć tłum! Aresztować tego — wskazał na mnie.

Poniewczasie zrozumiałem, że to był sam pan nadkomisarz Roczek.

Wylegitymowali mnie i puścili.

Bałem się, że a nuż mnie wysiedlą za kordon, gdzie trzeba by się było tłumaczyć, jaką drogą znalazłem się w Krakowie.

Wobec czego (strach dyktuje rozpacz-liwe kroki) — postanowiłem uprzedzić wypadki i złożyć rektorowi skargę na niewłaściwe traktowanie młodzieży uniwersyteckiej. Koledzy odprowadzili mnie do podwoi rektorskiego gabinetu. Cieszyli się z góry na widok, jak będę wylatywał po minucie przez drzwi. Rektor wskazał mi ręką krzesło i poprosił o wyłuszczenie sprawy.

— Panie rektorze — zacząłem z wielkiego konia — w dniu wczorajszym została brutalnie przez policję znieważona młodzież uniwersytecka.

Oczekiwałem, że Magnificencja, którą niedawno oglądałem na inauguracji roku w gronostajach i łańcuchu, zawrzasnie: „Precz z moich oczu!”

Zamiast tego rektor zapewnił, że niezwłocznie będzie interweniować, i z punktu połączył się z dyrekcją policji.

Dyrekcja policji coś mu tam dudliła w ucho.

— W każdym razie proszę wydać panu Wańkowiczowi zatrzymany indeks i nie nadawać toku sprawie.

Podziękowałem skwapliwie i wyleciałem jak na skrzydłach.

— Wykopsał cię stary?

Zwolniłem tempa, wypiąłem pierś i rzuciłem im na głowę z ogromnej wyniosłości:

— Skarcił policję i kazał mię przeprosić.

— Jak to zrobiłeś?

— Bardzo prosto: on jest pierwszy rok rektorem, a ja drugi rok akademikiem. Jak pourzęduje, to się odfrajerzy.

W dyrekcji policji przyjął mię dyżurny aspirant Piątek i odesłał do komisarza Stycznia. Komisarz Styczeń ze wstrętem obejrzał mnie, nie chciał się panbracić z tą obrzydliwie arogancką gębą, skierował mię milcząco do podkomisarza Marca, który zwrócił mi indeks bez żadnych objawów skruchy.

Poczuwszy już indeks w kieszeni, zapytałem, czy pan nadkomisarz Roczek dostanie wcieranie od prezydenta policji? Pan podkomisarz Marzec ze zgrozą spojrział na mnie — poczuł się obrażony za Piątka, Stycznia, za siebie, Marca, i za wieńczącego cały kalendarz policyjny Roczka:

— To pan powinien dostać wcieranie. Radzę zmiatać.

Co też uczyniłem.

Mieszkałem wówczas na Szewskiej 21 z Kaziem Wyszyńskim, późniejszym radcą ambasady w Moskwie i w Berlinie, zmarłym przed wojną.

Kazik był statystą, wiecznie w problematyce politycznej, poza tym trzymał sztambę ze swymi lubliniakami, najgłupszymi i najpocziwszymi chłopakami w całym Krakowie.

Któregoś dnia, zdążywszy tuż przed szpyrą, skonstatowałem, że Kazik obłożył się ośmiu dragalami, którzy wszystko w domu wyżarli. Wszystkie knajpy już zamknięto, a zresztą zapytuję, z czym miałem iść? Było tuż przed pierwszym — całe draństwo nie wiem, czy naprawdę nie miało ani grosza, czy udawało, że nie ma. Był całą noc otwarty niedaleko na rogu handelek tego właśnie Króla, u którego paradowałem na czarno-biało, a ja miałem w kieszeni dwie szóstki, co by starczyło na piklinga i dwie buły, ale szpyra, którą się płaciło za otwarcie bramy stróżowi, szpyra — święta rzecz — wynosiła szóstkę. Koledzy więc radzili, abym zapłacił szóstkę w tę, poszedł postać pod handelkiem, nawąchał się, bo to syci, i wrócił we wtę — płacąc drugą szóstkę.

Sapałem z wściekłości na to bractwo nazarte moim serem, moją bryndzą, moimi chlebkami Grahama, obżłopane moim mlekiem, bo zjedli i to, co miało być na śniadanie, i wywęszyli jakieś żelazne konserwy; nic nie odpowiadając, począłem wiązać sznurowadła od butów, ręcznik, pas, szelki, stary krawat. Oglądając te wyczyny, robili fachowe uwagi, że to nie wytrzyma ciężaru mego ciała; któryś z

medyków rozwinął teorię, że chociaż nasz pokój jest tylko na drugim piętrze, to jednak, jeśli zwieszę się pionowo w dół i równiutko łbem spadnę na asfalt, zakończę życie pewnie i bez cierpień, z mniejszymi kłopotami jak urywając się ze stryczka.

Nie reagując, istotnie podszedłem do okna i rozwarłem je szeroko; zaraz życzliwi powyscibiali głowy, badając, czy asfalt dostatecznie twardy, i przestrzegając, żebym nie wylądował w skrzynkę ze śmieciami, bo się będę dłużej męczyć.

Na dole szły trzy męskie postacie, szły dosyć chwiejnie, gwizdnąłem do nich zwyczajowy sygnał studencki — pierwsze takty z arii z kurantem ze „Strasznego dworu”. Zatrzymali się.

— Czy panowie akademicy?

Mieliśmy pokój o dwóch oknach. Osiem głów z obu okien wysunęło się z ciekawością.

— A bo co? — pytają ci na chodniku, widząc ten tłum ludu w oknach.

— Niech koledzy się odsuną, bo zaraz skakać będzie — radzi ktoś troskliwy.

— Niech koledzy — mówię z godnością, spuszcżając swój skomplikowany sznur z uwiązany na końcu papierkiem, w który zawinąłem owe dwie szóstki — będą łaskawi przynieść od Króla piklinga i dwie bułki, bo nie mam na szpyrę.

Wzięli i poszli. Mija czas długi, a potem jeszcze dłuższy i kretyni dławią się ze śmiechu, jak to jakimś cwaniakom podarowałem dwie szóstki.

Przestałem z rezygnacją wartować przy oknie, kiedy zagwizdano kurant. Ci sami.

Jeden, który „pod burką wielkiego coś chowa”, każe spuścić sznur. Sznur się napręża ciężko, windujemy z troską, aby się nie urwał. Rozwijamy szary papier, a tu osiem piklingów, szesnaście bułek, ileś tam masła, sera, bryndzy, salami...

I bilet: Salo Fridiker, lekarz dentysta.

I dopisek: I ja też byłem akademikiem.

Uklonił się i poszedł.

— Panie, a któż to panu ten ząb partolił? — interesował się potem doktor Merunowicz, u którego stale się leczyłem.

— Musiałem — powiadam — dług honorowy. I tak skąpo sptacony. Prosiłem wprawdzie o jedzenie „na jeden ząb”, a dostałem na dwieście pięćdziesiąt sześć zębów na jedzenie pełnymi gębami przez wszystkie osiem głów sterczących z okien.

Kiedyś jeden z tych lubliniaków, chłopak z głową w chmurach „nauki”, Stasio Chyliński, główny mózg „Zjednoczenia” (lokal w hotelu „Pod Różą”, Floriańska 14), miał mieć kolejny odczyt. Stasio Chyliński doprowadzał wszystko do interesu narodowego, spał i jadł z interesem narodowym, wraz z interesem narodowym nie mył się i nie kochał się, miał od lubelskiego ojca cebulę z grubym łańcuchem, który mu szedł przez kamizelkę. Każdy odczyt zaczynał od interesu narodowego i kręcenia oraz podrzucania tego łańcucha, kończył interesem narodowym i podrzucaniem i przez cały czas w ogóle manewrował tym interesem i tą potworną dewizką. Spostrzegłszy, że jest mu nieodzowna, wciągnął liśmy go w spór przed samym odczytem i zwędziliśmy zegar z przy-ległościami.

— Proszę kolegów — rozpoczął odczyt — interes na... na... rodowy — począł się jękać, macając się rozpaczliwie po brzuchu — wymaga tego... ten... właśnie... wymaga... — mac... mac... po kamizelce, a tu brzuch bez dewizki nie daje natchnienia.

Zawalił odczyt z- kretelem i trzeba było podeprzeć dyskusją. Odetchnęliśmy więc, kiedy wyharcował, powiewając spod kamizelki języczkiem od koszuli, Władysław Studnicki. Trzymając z obrzydzeniem w dwu palcach odezwę, wydaną przez któryś z odłamów, demonstrując, że nie chce się nią zawałać, zwrócił się z nagłym wylewem zaufania do pierw-szorocznej baraniarki, pulchnej Puppchen z Ukrainy, przejętej zaszczytem znalezienia się w gronie tak mądrych starszych kolegów:

— Proszę koleżanki — zwierzył swoim litewskim akcentem — taką odezwą to tylko można podetrzeć się.

Na wiecu w sprawie równouprawnienia kobiet na Wszechnicy referentka pani Golińska-Tylicka wzywała, abyśmy kobietę traktowali „głębiej i na szerszym

podłozu". Daliśmy jej za to frenetyczne brawa, po czym niżej podpisany wygłosił istny koreferat o pokrzywdzeniu kobiet, przerywany rzęsyistymi oklaskami płci pięknej i pokrzykiwaniami kolegów per „z byka spadł”. Ale za to pewna historyczka również biła brawa najślodszyimi łapkami.

I wtedy... Wtedy, proszę państwa, popełniłem tę jedną z pierwszych zrad.

Zakończyłem referat postawieniem wniosku do uchwalenia:

„Zważywszy wszystkie pomienione krzywdy i niesprawiedliwości, wiec w sprawie równouprawnienia kobiet zebrany w Collegium Maius uchwała natychmiastowe porzucenie przez słuchaczki murów Alma Mater i nie-powracania, aż wszystkie dezyderaty zostaną uchwalone i katedry obsadzone w połowie przez profesorki”.

Osloniony przed rozjuszonymi koleżankami przez gawieź męską, wymknąłem się z wiecu i nie pokazywałem się historyczce przez trzy dni.

A potem już, potem, kiedy rozeszła się hańbiąca wieść, że historyczka--sufrażystka zdecydowała się na karierę panny Howard (patrz: „Emancy-pantki!”), otrzymywała od zgorzonych koleżanek powściągliwe powinszowania, okraszone wyrażeniem nadziei, że „pan Mel musiał bardzo się zmienić”...

Kobiety zawsze wierzą, że my się zmieniamy i że one się nie zmieniają.

Przyjechawszy do Krakowa po półwieku, otrzymywałem od swych akademickich flirtów bileciki i telefony. O Boże — wzdychałem — żebyż były jak krakowski Rondel — ten się nie zmienił, jest zawsze piękny. I tak samo gorąco kochany, jeszcze goręcej kochany po latach rozłąki, jak Brama Floriańska, kościół Mariacki, Wawel, Błonia, Kopiec, Planty. Ach, gdzież to wyliczać, tyle tego...

Jakoby też rok bez wiosny mieć chcieli, Którzy chcą, żeby młodzi nie szaleli.

Jan Kochanowski.

Zielone róże.

W pensjonacie, w którym mieszkalem, zagnieżdżała się — autentyczna dziewica. Nie było to nic nadzwyczajnego, dziewic mieliśmy za wiele. Ależ onaż dziewica miała dobre pięćdziesiąt latek i serce spragnione. Jak to się stało, że nikt się nad niebożęciem w ciągu życia nie ulitował, pojąć nie mogę, ale w każdym razie taka akcja filantropijna byłaby przeczasiała. A dziewica miała serce jak lawa i „skoro ryb łowić nie mogła, na taki się koncept zmogła”: że oto pochodzi z tak starożytnego rodu, że to jej przodek, słynny zabijaka, w czasie jakiegoś łupieżczego napadu ciął dwukrotnie szablą Madonnę Częstochowską i otdąd te dwie blizny.

Pod Madonnę nic nie wyszło.

Wówczas — zaprosiła do siebie istny rarytas: rozwódkę. W morzu dziewic, które mamy posyłały do Krakowa na studia, vel szukanie męża, było to zjawisko otwierające niesłychane perspektywy.

Jeden z kolegów studiujących w Belgii opowiadał, że tam na moście są dwa lwy, które, według legendy, mają ryczeć, kiedy przechodzi dziewica. I milczą jak zakłete. Mówiliśmy z goryczą, że u nas w Krakowie zaryczałyby się na śmierć.

Rozwódka prześmignęła przez salę jadalną pensjonatu, obiecująco falując, i zazdrosna potomkini rycerza zatrzasnęła za nią drzwi; rzekłbyś, brona zamkowa nad zwodzonym mostem zapadła nam przed nosem.

Wezwałem fortele. Twierdzą brano podkopem. Wsunąłem pod drzwi karteczkę:

Jeśli nie chcesz, Jadwigo,

Zakończyć przyjaźni figą,

Otwórz podwoje komnaty,

Wszak nie zwleczem z Ciebie szaty.

Założony fugas wybuchł wewnątrz twierdzy i poczynił spustoszenia w gorącym pięćdziesięcioletnim serduszku. Gorącym, ale i przezornym. Wprzód więc wywiodła na klatkę schodową swego gościa (jak to faluje!), a potem, wpuściwszy mnie do pokoju, wionęła, od razu przechodząc na ty, gorącym szeptem:

— Czemu mnie napastujesz? Wszak i ja mam krew nie wodę. Odparłem, że ja to rozumiem, że sam się z sobą łamię, bo też mam

krew nie wodę, ale że żaden nie miał tego w swym rodzie Soplica, aby sięgać po

dziewicę. Cierpmy więc w samotności.

To rzekłszy — zwiąłem.

Przedsiębiorcza Jadwiga przeholowała: rozwódce podobał się pensjonat, zamieszkała w nim.

Mogła w nas przebierać jak w ulęgałkach. Latały za nią tłumy rolników. Z daleka na chodniku myślałbyś, że to rój pszczół idzie hucząc. W środku tych trutni sunęła królowa. Czasem tylko błysnęło jej gołe ramię i dał się słyszeć lekko gardłowy zmysłowy śmiech.

Wyło we mnie błaganie: „Daj, czegoś nie ubędzie, byś najwięcej dała”

(Kochanowski), ale cierpiałem w milczeniu jak szatan — dumny i nieprzystępny, zimny i obojętny. Była bardziej doświadczona ode mnie, by tych bajronowskich postaw nie kwitować drwiącym uśmieszkiem.

— Jakież to wszystko niedojdy! — zaśmiała się, zatrzasnąwszy drzwi przed odprowadzającym rojem i zdejmując woalkę. — Żaden pojęcia nie ma o tym, że o kobietę nie trzeba się starać, łażąc za nią jak ciele.

— A co należy robić? — burknąłem. Stała już w progu swego pokoju.

— Trzeba po prostu ją wziąć — parsknęła śmiechem, zatraskując mi drzwi przed nosem.

Dobre sobie! Jak to zrobić, kiedy siedzi za zamkniętymi drzwiami. Owszem, chciałaby może, żebym jej jak Jadwidze pod te drzwi podsuwał karteczki. Żeby potem ośmiać przed całym pensjonatem.

Był koniec czwartego semestru, niemożliwe upały. Okna trzymaliśmy otwarte, ona też. Pensjonat był na pierwszym piętrze od podwórza. Wzdłuż piętra starej krakowskiej kamienicy biegła drewniana galeria, na której stały kufry, pordzewiałe wanny, rozpuchnięte balie.

Rzecz najprostsza — przejść do otwartego okna po galerii.

Ale okazało się, że lokatorzy podzielili galerie na oddzielne jakby balkony, odgrodziwszy się od sąsiadów spiżarniami. Musiałem przed każdą spiżarnią wylazić na zewnątrz wisząc na rękach przeciągać się po balaskach. Przebyłem dwie takie katarakty, na trzeciej świeciło jak latarnia morska pożądane okno. Ale kiedym zawisł przed jej loggią nad podwórzem po raz ostatni, zmurszałe balaski pękły i poleciałem na skrzynię ze śmieciami.

Było to o tyle dobre, że nieco wykurzyło ze mnie ciągotki. Szybko zwiąłem na klatkę schodową, wbiegłem na piętro, przekręciłem klucz w drzwiach pensjonatowych i położyłem się nie zapalając światła, kiedy postyszałem głosy na podwórzu. Gromadka ludzi deliberowała nad co-tylkim trzaskiem. Dozorca kłął się, że nie otworzył nikomu wychodzącemu z bramy. Z góry dołączył się niski samiczy jej głos, że na pewno ktoś domowy skradał się do czegoś, ale się ui wał. W głosie drgał śmiech.

Nazajutrz wylazłem na śniadanie bardzo godny. Starłem się maskować ból w stłuczonym boku. Pętała mi się pod nosem w lekkim pe-niuarku, a we mnie rosła zawziętość.

W trzy dni potem rozpoczął się ponowny szturm. Operacja była rozpracowana w skali sztabowej.

O kilka bloków od pensjonatu wstępna faza została zainscenizowana z całym naturalizmem. Pod bramą czekało czterech umówionych kolegów, ja wszedłem na piętro, zbiegałem w podskokach i padłem na ostatnim stopniu, wołając, że wykręciłem nogę. Była wezwana drynda, wieźli mnie nią solennie, idąc koło dryndy, podtrzymując zwichniętą nogę i nawołując dryndziarza, aby jechał jak najostrożniej.

W bramie pensjonatu przyłączył się dozorca, w pięciu wnosili mnie po schodach. Nieśli mnie po korytarzu, omalże nie śpiewając marsza pogrzebowego. Zaaferowana mama Cybikowska, właścicielka pensjonatu, kłopotowała się, żeby mnie nie urazić ściągając ubranie. Łajdaki rozcięli żyłką bok półbucika, rozcięli nogawkę na zwichniętej nodze. Patrzałem na nich dzikim wzrokiem, ale nie mogłem przekreślić tylu już poniesionych ofiar. Wyjęli mi z kieszeni portmonetkę, dali pięć koron

dozorcy. Dranie... za te pięć koron toby każdego z nich przydygował na sam cmentarz, co oby się stało, amen.

Mama Cybikowska, zaobserwowawszy mój wzrok naładowany bezsilną wściekłością, zaniepokoiła się: — Doktora trzeba sprowadzić.

Zatelefonowali więc do z góry umówionego medyka z czwartego roku, nie wiem czemu noszącego pseudonim Hydroksyl. Był już umówiony, czekał na telefon, Wybraliśmy go nie dla jego czwartego roku medycyny, tylko dla wąsów, które go usolidniały.

Tymczasem wjechała kolacja. Mama Cybikowska ze współczucia przysłała podwójną porcję kotletów, paterę owoców i tort. Ledwo pokojówka zamknęła drzwi — zżarli.

— Świnie — mówię.

— Nie irytuj się — mówią — w takich wypadkach najlepszy spokój. Nawet ci nie będziemy przeszkadzać.

Wyszli do pensjonatowego saloniku czekać na „doktora”, bo woleli nie być ze mną sam na sam.

Hydroksyl spisywał się z niebywałą dystynkcją. Aż mama Cybikowska pytała go o telefon, z pewnością będzie go zalecał gościom. Drab bez zająknięcia podał telefon profesora Rosnera, o którym mówiono, że ma rekord w chirurgii: wyciął komarowi ślepą kizkę. Tego Komara z Giełgu-dyszek znałem.

Zaimpresjonowana mamą Cybikowska wręczyła doktorowi dwadzieścia koron (zaliczy mi do rachunku). Judasz wziął nie mrugnawszy powieką. Spekulowałem, że to pewno „na niby”, ale te spekulacje się rozwiały, kiedy orzekł, że prosi natychmiast o posłanie po dużą butelkę koniaku, najnowsza bowiem medycyna nakazuje w takich wypadkach całkowite nieprzyjmowanie pokarmów i koniak w dużych dawkach. W ogromnych dawkach. Bo wówczas hypermia ustroju i hipertensja odczynowa wpłyną na resorpcję wynaczynień tkankowych. Dlatego butelka musi być duża, on poczeka, aż przyniosą, sam zaaplikuje choremu pierwszy kielich. Taki już bowiem jest sumienny. Taka już jego rutyna — na nikim nie polegać. Jaki koniak? Ach, nie — austriacki koniak zawiera za wiele estrów amylowych. Tylko francuski, tak, francuski. Zaraz wypisze receptę do handelku win. A z apteki nic nie trzeba. Był powiadomiony przez telefon o zwichnięciu, nogę nastawił, potrzebne pigułki uśmierzające już mi kazał połknąć. Spokój, tylko spokój. I nic nie dawać jeść. Nic, absolutnie. Nic, nawet herbaty.

Kiedy zdyszana służebnica przyleciała z dużą butelką Martella (jęknąłem: czterogwiazdkowy!...), „doktor” poprosił mamę Cybikowska, aby opuściła pokój, ma bowiem dokonać pewnego zabiegu. Zabieg polegał na tym, że schował butelkę do kieszeni.

Stłoczyli się przy drzwiach, jak najdalej od zasięgu mojej zwichniętej nogi, ale wyjść natychmiast nie mogli, mama Cybikowska by się dziwiła, że zabieg taki krótki.

— Bydlaku, oddaj dwadzieścia koron — syczałem do Hydroksyla. Popatrzył na mnie z zadumą:

— Obawiam się, że ledwo nam starczy na zagrychę do tego koniaku.

— Oddawajcie natychmiast forszę!...

— Ja się obawiam, że ty naprawdę masz gorączkę. Myśl logicznie: jeśli dozorca dałeś piąta za to, że ci podtrzymał jedną nogę przy wnoszeniu...

— Ja dałem!...

— ... jeśli nie żałowałeś sobie dwunastu koron na Martella i to czterogwiazdkowego.

— Ja nie żałowałem!?...

— Tylko, błagam cię, nie denerwuj się, bo twój apparatus circulatorius ulegnie constrictorom i trafi cię insultus haemorrhagicus. No, chodu!

Zgasił światło i bractwo wyłomotało się pośpiesznie za drzwi.

Nazajutrz zamiast śniadania mama Cybikowska przyniosła mi termometr. Byłem ponury, ale naładowany jak butelka lejdejska nadzieją. Z wykrzykników i niedomówień mamy Cybikowskiej zorientowałem się, że nogę skręciłem ratując dziecko z pożaru. Poczuję pewne uznanie dla hien, które żerowały na moim

zewłoku. Jednak to wymyślili fajnie. Mama. Cybikowska twierdziła, że wszyscy w pensjonacie uwielbiają mój postępek. Wszyscy? Przebiegłem szybko myślą tych wszystkich małego pensjonatu. Jadwiga wyjechała do Zakopanego (na tom czekał trzy dni z akcją), reszta — malarz, dwie szpetne baraniarki, jacyś urzędnicy...

Wszyscy?

Leżałem w napięciu. Słuchałem przesuwających się kroków. Wyczą-pali urzędnicy punktualni jak zwykle. Potem wytupotały baraniarki. Z gwizdaniem ktoś przeszedł — to malarz. Kiedy pensjonat się opróżnił, mama Cybikowska ruszała ze służącą po zakupy. Wyszły. A więc?... A więc chyba wszystkie pokoje już puste z wyjątkiem mego... i tego za nadłamanymi balaskami.

Nagle posłyszałem przekręcanie klucza od klatki schodowej. Ale od zewnątrz...

Ktoś wchodził... Po chwili miałem pewność. Do drzwi lekko zaskrobało i Jej głos zapytał:

— Czy można?

Chciałem ryknąć, że można, ryknąć triumfalnie, jakbym był w turniach. Ale długoletni nawyk myśliwski, trening cierpliwości, nim się dojdzie do strzału, wepchnął mi okrzyk do gardła. Zamiast tego omdlewającym, cierpiętniczym głosem wyjęczałem:

— Proszę!

Wsunęła się — cała z rosy poranka. Pobiegła na targ po kwiaty. Pobiegła po winogrona i pomarańcze. Nieba by przychyliła bohaterowi. Przysiadła się, taka nic nie bojąca, do łóżka, rozstawiała kwiaty.

Czy nie za lirycznie nieco? „Chyba w serce, Miłości, proszę, nie uderzaj, ale na każdy członek inszy śmieje zmiierzaj!” — modliłem się Kochanowskim.

Jęknąłem. Przestraszyła się:

— Noga?

— Nie, to ten bok spalony — mówiłem słabym głosem.

Pochyliła się i musnęła ustami moje czoło. War mnie chwycił, aż wbiłem ręce w prześcieradła, żeby nie spłoszyć.

— Czy pani nie zechce otworzyć okna — chrypiałem — duszno mi, doktor (głos mi z wolna zanikał) mówił... że kiedy wielki obszar skóry jest spalony, zmniejsza się płaszczyzna oddychania. Duszno mi...

Pobiegła do okna; w tejże chwili skoczyłem jak pantera, przekręcając i wrywając z drzwi klucz.

— Ach!... — dobiegła do drzwi za późno.

— Mówiłaś — po prostu: brać!...

Na większą elokwencję czasu nie było: miałem pełne ręce roboty.

Tol, stary praktyk, miał rację!... Wszystko jest usprawiedliwione, jeśli tylko potem nie beczy. Wcale nie beczła!

Ale już zbliżał się jej wyjazd. Jak dawniej huczał koło niej rój odprowadzających rolników.

— Niech huczają — przeciągałem się leniwie.

W dniu wyjazdu dała mi zielone róże. Były to białe róże, których łodygi wsadzono w jakiś roztwór zielony. Taka frymuśność była zbyt skuteczna, by ją zmarnować. Galopem zawiozłem je pewnej poczynającej się sympatii, bo musiałem śpieszyć na dworzec. Zająłem przedział jeszcze na odstawionych torach, opłaciłem konduktora, miałem odprawę z tragarzami, którym dałem po koronie, aby nie łapali za rzeczy damy, która przyjedzie w tłumie studentów. Miał te rzeczy brać jeden, wskazany przeze mnie, i zanieść do tego właśnie przedziału.

Siedziałem w przedziale spokojnie, aż posłyszałem niemożliwy gwałt. To nadciągał ten rój rolników, w środku którego przelewał się drażniący gardłowy śmieszek. Przepełacony konduktor sprawdził jej bilet przy wejściu do wagonu, całej eskorty nie wpuścił pod pozorem, że pociąg rusza.

— Otworzę okno! — krzyknęła. Ujrzawszy mnie, nie zdziwiła się. Właściwie oczekiwała tego. Otworzyła okno i dopieroż, bezpieczna, rozdawać szarmy i obiecujące uśmiechy! Każdy z młodych goryli zataczał się pijany rozpaczą, że po

tylu tygodniach łożenia, już najwidoczniej był tak blisko celu. I tylko on...

Wreszcie pociąg ruszył. Wówczas i ja wysunąłem głowę i zbaraniałem stado przesyłałem windhorstem (sztywny słomkowy kapelusz wówczas noszony) najserdeczniejsze ukłony.

Na stacji granicznej żegnaliśmy się bez żalu, jak ludzie mający poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Czekałem teraz na pociąg do Krakowa przychodzący z Królestwa i zobaczyłem bardzo ładną malarkę. Malarka była o ile ładna, o tyle kapryśna. W swoim czasie dała się namówić na przejażdżkę konno. Zamówiłem dwa wierzchowce. W drodze do tatarsalu mówiła, że nienawidzi białych koni. I masz... czekały nas okulbaczone dwa białe konie. Innych nie było. Gwałt, piekło, na wycieczkę nie pojechała, mnie więcej nie chciała znać.

No a tu — idzie...

— Dzień dobry, wyjechałem panią spotkać.

— Ach!...

Spojrzałem na nią wzrokiem, w którym odnalazła piekło namiętności i odmęty psiego przywiązania.

— Po ciebie przyjechałem — ledwo mogłem wyszeptać ze wzruszenia — czułem to nieomylnie: przyjeżdżasz już, wracasz... Ach, Boże...

Była tak stropiona tym żarem uczucia (biedny, nigdy tego nie okazał... jak głęboko musiał to kryć w sobie, jak samotnie, jak dumnie musiał to kryć w sobie, jak się nacierpiał...), tak zaskoczona jego głębią, że zapomniała się dziwić temu tykaniu.

Potem już, kiedy mogłem sobie na to pozwolić, zakpiłem, że to nie było przecucie, tylko zbieg okoliczności.

— A ty myślisz, że się nabrałam?

— Jeśli nie, to skądże spadły na mnie te fawory?

— Miałeś wówczas, pamiętasz, zupełnie czerwone rękawiczki. Przy szarym palcie. To nie twoja zasługa, tylko tych rękawiczek, ty głupku.

A więc nie moja „genialna taktyka okrążenia, zaskoczenia, położenia na obie łopatki i wykorzystania zwycięstwa”, jak się pisze w dziełach batalistycznych, tylko czerwone rękawiczki. Istotnie, w przeddzień wyjazdu wrzepili mi jakieś skórkowe rękawiczki koloru purpury z Tyru. Okazało się, że „dobrze siedziały w szarych tonach palta”, że stanowiły „plamę” i ot, jak się przydały.

Nie przejmowałem się zbytnio rozbitą legendą. W międzyczasie rozwinęły się zielone róże — u tej trzeciej.

Zgłębianie prawa.

Do pałacu Temidy warszawskiej wdarłem się, hm... jakby to powiedzieć... nieco przez kuchnię.

Przyjechałem na wiosnę 1922 roku zdawać prawie ostatnie egzaminy prawne, bo na jesień zostawiłem sobie wzięcie ostatniej, ale największej przeszkody: egzaminu z długiej, nudnej procedury postępowania cywilnego wymagającej wielkiego opanowania pamięciowego. Ilekroć, siedząc u bratostwa w Poznańskim, gdzie się wkuwałem, rzuciłem okiem na te siedemset stron skryptów, zimno mi się robiło, ale pocieszałem się, że w ciągu trzech miesięcy letnich je przebrnę.

Na razie miałem zdawać lżejsze egzaminy, a wśród nich — prawo karne u profesora Makowskiego.

Stojąc w kolejce jako czwarty na korytarzu przed drzwiami jego gabinetu, zobaczyłem, że w kolejce stojącej po przeciwnej stronie korytarza zniknął już ostatni student.

— Co to za egzamin?

— Procedura cywilna u profesora Dynowskiego.

— To mój ostatni egzamin na jesieni. Czy bardzo ścina?

— To zależy. Nie można nigdy wiedzieć, jak wypadnie. Ma hysia na temat, aby student myślał samodzielnie, aby się z nim kłócił.

— Aby się z nim kłócił?... Poczulem wstrząs odkrywczy:

— A jeśli się nie zda?

— To kolega może powtórzyć egzamin jesienią.

Jednym susem stanąłem pod drzwiami profesora Dynowskiego. Jedno wiedziałem: muszę z punktu z czymś się nie zgodzić — resztę zostawmy w rękach opatrzości.

Ledwom stanąłem, wyszedł świeżo zoperowany.

— Jak?...

— Ściął, cholera...

Za biurkiem siedział stary człowiek. Profesor Dynowski był wieloletnim profesorem Uniwersytetu Petersburskiego. Wyglądał śmiertelnie spiłowany spektaklem nieuctwa, który przewinął się przed nim tylokrotnie w ciągu kilku godzin egzaminowania. Myślał, że tamten to już ostatni...

Nie podnosząc głowy, nie patrząc na mnie, powiedział:

— Niech pan siada. Czy tam jeszcze będzie kto po panu?

— Nie, ja ostatni — odpowiedziałem rześko. Znaczyło to: „Już się nie będziesz męczył: puść mnie tylko z trójczyną i obaj będziemy zadowoleni”.

Profesor Dynowski nie pokwitował mojej radosnej komunikatywności; nie podnosząc w dalszym ciągu wzroku, spytał:

— Co pan wie o sądach przysięgłych?

Co ja wiem? Prosta rzecz, że nic nie wiem prócz tego, że mam się z profesorem przy pierwszym pytaniu pokłócić, bo inaczej już przy tym pierwszym zrozumie, że zjawił się przed nim król dzisiejszych osłów.

— Ja się z instytucją sądów przysięgłych nie zgadzam.

Profesor podniósł głowę. Z torbieli oczu ukazał się wodnisty wzrok z iskierką zainteresowania.

— Dlaczego?

Ba, sam bym chciał wiedzieć dlaczego. Począłem gorączkowo łąać; mówiąc jedno zdanie, modliłem się żarliwie o następane:

— Sądy przysięgłych były reakcją na rządy absolutyzmu. Rewolucja francuska wniosła zasadę współrzędów obywateli. Dawało to sztywnym przepisom prawa większą elastyczność.

— No więc?

Ba, żebym ja sam wiedział.

— Hm... ale kiedy w ciągu XIX wieku ustaliła się zasada sędziowskiej niezawisłości, kiedy sędzia otrzymał większą marżę, elastyczność ta nie potrzebowała opierać się na sędziach przysięgłych, natomiast ci ostatni bywali łupem demagogii i eksploatacji krasomówstwa adwokackiego.

Tu czytelnik może powiedzieć:

— Bujać to my, ale nie nas... Coś tam jednak, widać, liznąłeś, panie Wańkowicz, z tych skryptów...

A właśnie, że nie; liznąłem, ale ze Szkoły Nauk Politycznych, którą ukończyłem przed samą wojną.

Profesor wyjął wielką cebulę, spojrzął na zegarek i powiedział:

— No, można by na ten temat wiele powiedzieć pro i contra, ale nie mogę zaprzeczyć, że pan myśli samodzielnie.

Wyskoczyłem z celującym i zdążyłem jeszcze trafić na swoje miejsce w kolejce do prawa karnego.

Profesor Makowski zastrzelił mnie pierwszym pytaniem. Poruszyłem niecierpliwie ramieniem, co miało oznaczać, że skądże ja mogę wiedzieć takie coś, ale pytam:

— Czy mogę wydedukować, panie profesorze? Uśmiechnął się w kruczoczarną brodę:

— Nie, niech już pan lepiej nie dedukuje. Ale był łaskawie ubawiony i wypuścił z trójją.

W kilka dni potem otrzymałem wspianiały dyplom magistra prawa.

Skoro się otrzymało dyplom, należało aplikować w sądzie. Zaprzyjaźniłem się z sędzią sądu pokoju, Łopatto, słynnym z ekscentrycznych przemówień i oryginalnych wyroków. Takim samym ekscentrykiem był sędzia Koziół-Poklewski z sądu okręgowego.

Tam dopiero poznałem aureę, z której poczęła się twórczość Wiecha. Sędzia Łopatto był bardzo bezceremonialny, ale i sam zbierał od warszawskiego ludku, a zwłaszcza od przekupek, pogębki.

Sąd pokoju bowiem był zavalony pyskówkami.

— Panie sędzio, to ona mówi: — Pocałuj mnie pani w dupę. — Czekaj, czekaj — mówię — już cię pan sędzia pocałuje...

Sędzia Łopatto starał się ukrócić pyskówki, oddalał błahe skargi.

— To pan sędzia mówi, że jak mnie nazwała starą krową, to nie obraza?

— Nie.

— No to pan sędzia jest stary byk.

Cyrk to był prawy, ale nie miałem czasu na aplikacje. Umieściłem się więc w wydziale karnym odwoławczym sądu apelacyjnego, w którym, wobec natłoku aplikantów, miałem sesję sądową tylko raz na tydzień. Zarobkowałem zaś na życie jako sekretarz redakcji „Kurier Porannego”.

Zmęczenie podwajała straszliwa w początkach lat dwudziestych komunikacja tramwajowa. Jeździło się, tak samo jak i po tej wojnie, „na grono”, „na cycka” (na buforach) i „na dartego orła”, to znaczy z jedną nogą na stopniu jednego i drugą na stopniu drugiego wagonu.

W rozpaczy chwyciłem się jeszcze czwartego sposobu: czepiania się tramwaju z przeciwnej strony. Konduktor grzmiał na takich, bo ich mógł zmiażdżyć mijający tramwaj. Kiedyś przyszedł mu z pomocą na ochotnika jakiś typek w panamie; stuknął mnie po głowie rączką parasola i nawoływał piskliwym głosem: — Złaż, łobuzie!

Pałając chęcią zemsty, wyrwałem na najbliższym przystanku, okrążyłem tramwaj i uczepiłem się po jego właściwej stronie „na gronie” przylepionym do przedniej platformy, z której mię obrabiał parasolem

gorliwy panamiarz. Wciskając się coraz bardziej, zobaczyłem wreszcie panamę.

Dyszząc ciężko, usiłowałem się do niego przesunąć, co zajęło ze trzy przystanki.

Wreszcie koło Hal Mirowskich docisnąłem się do faceta w panamie z kozią bródką i bez żadnych preliminariów zaaplikowałem mu fangę w nos.

Facetowi poczęła krew ciurkać z nosa, co wyglądało nader dramatycznie. Kobięce głosy poczęły wołać piskliwie: — To łobuz, to łobuz! — tramwaj zatrzymano, zaraz znalazły się dwa chętne świadki i posterunkowy poprowadził nas do komisariatu.

Jako aplikant sądowy poczułem przyptyw krasomówstwa:

— Czyż to nie jest oburzające, że pierwszy lepszy obywatel aroguje sobie prawo wymierzania sprawiedliwości, bijąc drugiego obywatela parasolem po głowie?

....— Panie komisarzu — jęknęła do dyżurnego przodownika kozia bródka — w życiu nie miałem parasola.

— Faktycznie — przyświadczały świadkowie — nie miał... To inny pasażer obrabiał tego pana.

To ci heca!...

Na szczęście kozia bródka był uosobieniem pokojowości. Narzekał tylko, że nie dość, że mu puszczono juchę z nosa, jeszcze go zdjęto z tramwaju. Za Boga nie uległ namowom, aby mnie podać do sądu.

Zważywszy więc na męczące komunikacje związane z tego rodzaju komplikacjami oraz na pracę nocną w redakcji, nic dziwnego, że zasypiałem na rozprawie i stale w nagłówku myliłem imiona sędziego Gromadzkiego i sędziego Chojnackiego.

Pamiętałem, że jeden był Kalikst, a drugi Henryk, ale nie bardzo wiedziałem, który ma jakie imię. Żał mi było przepisywać cały napisany protokół, więc tylko dodawałem u dołu: „Kalikst — czytaj Henryk, Henryk — czytaj Kalikst”.

Dobry staruszek Gromadzki podpisał cztery z rzędu tak poprawione protokoły, ale za piątym spojrzął na mnie ponad okularami:

— Panie kolego, pan żarty sobie z nas stroi?

Jakoś wytłumaczyłem się, postarałem się jednak mieć na baczności. Do liczby antysennyh ćwiczeń włączyłem kręcenie małych kulek z papieru i przytykanie w nie palcem.

Nagle dusza we mnie zmartwiła: kulka trafiła prosto w nos sędziego

Chojnackiego. Stary sędzia fuknął, klapnął się po nosie, pomyślał jednak zapewne, że to mucha, i nie reagował.

W tym to czasie, z tej to nudy ulął się jeden z podlejszych czynów mego życia. Ale i chlubny po swojemu.

Ileż to nieustannie słyszymy kawałów? Stolik Frenkla u Lourse'a, który zbierał się przez lat trzydzieści, ponumerował pono kawały, bo już je znał na pamięć. Mówiło się więc „numer osiemdziesiąt siedem” i stolik śmiał się. Mówiono, że stolik rozporządza trzystu numerami.

I teraz pomyślmy! Tyle kawałów — a czy kto zna kiedy autora? To ; tak jak z szyldami. Po miasteczkach kresowych pełno w nich było zabawnych błędów. A czy kto widział tego pracowitego robaka, który wywodził te kulfony? Mnie się raz udało, kiedy w Borysowie zobaczyłem , staruszka wykańczającego szyld: Zdieś obie dajut, dzierżat za kuśki ', i użynajut, podczas kiedy prawidłowo miało być: Zdieś' obiedajut, dzierżat zakuski i użynajut. Użynać z polska po białorusku znaczy co innego, jak użynać' po rosyjsku, to znaczy jeść kolację.

Otóż z tej nudy w sądzie apelacyjnym stało się, że wymyślony przeze mnie kawał wrócił do mnie już z pokaźną bródką.

Wpadłszy po sesji, a przed „Kurierem Porannym” do „Ziemianki”, opowiedziałem, że zapytana prostytutka, której spisywano generalia (data urodzenia, miejsce zamieszkania, stan rodzinny itd.), na zapytanie schematyczne, „czy była pod sądem”, ująwszy się w boki powiedziała wyzywającym głosem:

— Pod całym sądem nie, tylko pod tem brenetem — przy czym wskazała prokuratora Michaelisa, siedzącego naprzeciwko mnie przy stole sędziowskim.

Otóż w sześć lat posłyszałem w „Ipsie”:

— A wiecie, co się przydarzyło prokuratorowi Michaelisowi? (już wówczas prokuratorowi sądu najwyższego).

Rodzony kawał wrócił do mnie!

Kiedy spotkałem w Tel-Awii Michaelisa, nabrałem w piersi po-wietrza i wyznałem, co było i jak.

— Ach, to panu zawdzięczam? — spytał z jadowitą melancholią. — Ten kawał włókł się za mną przez całe życie.

Mogłem go wprawdzie pocieszyć, że jest to udziałem ludzi znakomitych. Jakiś spryciarz, schwytany przez policję nocną porą we wnęce, ' bramy domu przy ulicy Smolnej, podał bezczelnie, że jest Ignacym Ba-lińskim, prezesem rady miejskiej.

I malowniczy protokół, w którym policjant meldował, jak z bramy go doszły „odgłosy stosunku pozamałżeń-skiego”, przykleił się do szacownego nazwiska ojca miasta.

W TA PORA...

Nie dziwuj się, proszę, czytelniku miły, że się tu niektóre słóweczka podrzyły.

Napędce się działo, z pamięci pisało, Jedno drukowało, drugie gotowało...

Ks. Wojciech Demboięcki „Przewagi Elearów polskich”.

Facecje... gorzkawe.

Na urodzajnym w fantazję gruncie kresowym, na którym kawały uprawiały nawet leciwe matrony (w pewnym majątku wskazywano mi komin, w którym lubiła się chować niedawno zmarła matka licznych dzieci i wydawać przeciągłe jęki, strasząc przychodzącego tam lokajczuka), jako typowa flanca wyrósł Kawaler Wielkiego Krzyża i Wstęgi Orderu Korony Cierniowej, Kawaler Rycerskiego Zakonu Grobu Chrystusowego, Bohdan Zalutyński, Jaśnie Wielmożny Hrabia Palatynu, dziedzic na Repli.

Czyli, tak popularnie zwany — Buba.

— Drogi Buba, cóż ty za order naczepiłeś? — pytam zaintrygowany, spotkawszy go na balu na „Latarnię***. Wiem, że nie zajmował się społecznikostwem ani polityką, że nie był na urzędzie. Więc skąd ta tajemnicza rozeta w klapie fraka?

— At, to proszę ciebie (Buba nieuchwytnie się jąka — tak troszyneczkę, co mu przydaje szarmu i pańskiej nonszalancji), ważna sztuka. Jak to się ma w klapie, to żadnych figli-migli — wprzód musisz zdjąć — bo to order korony cierniowej.

Istotnie, stwierdziłem potem, że Buba ma to wysokie odznaczenie za bliżej mi nie znane zasługi, że ma wspaniałą tricorne, płaszcz biały z krzyżem jerozolimskim, wielką wstęgą — le grand cordon i że jest lojalny w stosunku do tych wysokich dekoracji: nalewając trzeci kieliszek wódki, rozetkę chowa do kieszeni. Ma też tytuł hrabiego Palatynu i wymaga, aby go przy stole z racji tych wszystkich wysokich odznaczeń sadzano przed wojewodą.

Będąc w czasie wojny w Palestynie, dowiedziałem się, że dyplom na taki order, związany z nim tytuł i prawo do regaliów kupowało się za pięć funtów*.

Odtąd sąsiedzi mieli biedę w korespondencji z Bodziem. Naturalnie mowy nie było, aby adresowali inaczej jak „Jaśnie Wielmożny Pan Bohdan Żalutyński”. Wszak już Wacław Potocki się żalił:

Uraziłeś się na mnie, widzę oczywiście,
Żem Ci Jaśriie Wielmożny nie napisał w liście.

Mimo tak pompatycznych adresów listy wracały nie rozpieczętowane z notatką „Adresat nieznan”, podpisaną: „Bohdan Żalutyński, hrabia Palatynu”.

Buba korespondował ze wszystkimi monarchiami świata. Zwłaszcza lubił zdarzenia w królewskiej rodzinie angielskiej, bo wówczas na depezę z Guzewicz (najbliższa poczta) niezmiennie odpowiadał gabinet królewski pięknymi podziękowaniami na cudownym papierze z koronami. A i Negus w czasie wojny abisyńskiej zaszczycił go pono własnoręcznie napisaną epistołą.

W czasie wojny Buba wziął bardzo grube odszkodowanie za zniszczone plony. Nazwano go wielkim hetmanem polnej rekwizycji. Podobno nawet studnie kazał sobie zarekwirować, aby za nie wydębić odszkodowanie.

I wówczas — pokazał „wyższą szkołę jazdy”..

Jeden z moich znajomych opowiadał mi, że zaszedł do Buby do hotelu w Petersburgu. W apartamencie nie było przyszłego hrabiego, ale za to z łazienki dobiegały podejrzane odgłosy.

Przy wannie siedział Buba i jeszcze jeden miły pan. Na stoliku stała butelka z jakąś wypitecznością. W rogu łazienki leżała sterta pudełek po sardynkach. Obaj gentlemani czyhali nad nalaną wanną z widelcami w rękach.

— Co wy tu robicie?

— Ja, uważasz, lubię zakąskę wprost z morza. Świeża rybka - iik! — najlepsza... Wobec tego przy emniaczki wpuścili do wanny kilkanaście pudełek sardynek i zabawiali się ich łowieniem.

Jechali przed pierwszą wojną pośpiesznym ze Stasiem Ejnarowiczem i z lokajem. Buba nałożył papachę, dachę i niebieskie okulary, a Staś zatrzymał pociąg. Buba w tym egzotycznym stroju siadł konno na lokaja, który pomykał od toru, a Staś darł się z wielkim przerażeniem: — Ukradli człowieka, ukradli człowieka!...

Połączonym wysiłkiem konduktorów, oficerów, którzy przyłączyli się na ochotnika do pościgu, i reszty męskiej publiczności udało się odbić porwane niewiniątko, wąsatego drąga, i z powrotem osadzić w wagonie. Ostatecznie nie taka droga zabawa — zatrzymanie pociągu kosztowało 25 rubli.

Polska niepodległa rozszerzyła nieco horyzonty kawałów Bubowych.

Za każdą bytnością w Warszawie telefonował do generała Zająca, inspektora armii, i krzyczał: — Pif-paf! Czy pan generał jest już zabity?

Generała wreszcie te dowcipasy wyprowadziły z równowagi. Kiedy Buba zadzwonił, zamaniono go przy telefonie, tymczasem z drugiego aparatu adiutant sprawdził, kto jest połączony.

Okazało się, że z portiernią hotelu „Rzymskiego”. Zając, rozwścieczony jak lew, pomknął autem, polecając, ażeby po upływie pięciu minut sfingowano, że podchodzi do telefonu. I kiedy wpadł do hallu hotelowego, zastał odwróconego plecami Bube, który po chwili zagrzmiał:

— Pan generał Zając? Pif-paf...

— Generał Zając jestem! Pan do mnie przed chwilą strzelał? Buba nie stracił

zimnej krwi:

— Przecie to jest sezon... Ale po raz pierwszy spudłowałem. I to grubo...

Generał parsknął śmiechem, sprawa rozeszła się po kościach.

Nawiasem mówiąc, nie tylko generał Zajac, ale i ja mógłbym mieć pewne pretensje do Buby.

Pewnego dnia otrzymałem od niego list tej mniej więcej treści:

„Kochany Melu, siedzę właśnie na dansingu w Grodnie. Poznałem bardzo miłą Twoją kuzynkę, pannę Halinkę Wańkowiczównę, która tu występuje jako fordanserka.

Bardzo by chciała zostać diwą filmową i sądzi, że Ty jej swymi stosunkami pomożesz”.

Po paru dniach otrzymuję liścik już od samego dziewczęcia.

„Byłabem w życzeniu zostać diwą. Pan Zalutyński mówi, że kuzyn jest takiego fachu, że może mi to skutecznić. Dla tego piszę z całkiem upewnieniem jako do rodziny, że kuzyn itd.”.

Co tu robić? Piszę tedy:

„Szanowna kuzynko. Rad jestem poznać kuzynkę, wyrażając zdumienie, że ani ja, ani moi krewni, będący w Warszawie, nic nie słyszeli o kuzynce. Proszę uprzejmie zakomunikować, jak na imię było ojcu kuzynki, jak z domu matka i gdzie się kuzynka kształciła. Wdzięczny byłbym też za załączenie fotografii”.

Po jakimś czasie żona mi z miną pełną rezerwy podała kopertę z fotografiami.

Spojrzałem — i oko mi zbieleło... „Kuzynka” uważała za stosowne „w braku innych danych” przysłać mi dane fotograficzne zaftadto szczegółowe... oraz wileński adres.

Byłem pod tym adresem w Wilnie.. Przyjęła mnie w ruderce drewnianej mamusia, od której jechało wódką.

— Więc jak się nazywa szanowna córeczka?

— Wońkiewiczówna.

— Więc nie Wańkowiczówna?

— To wszystko równo.

Kupiec Wałach niebacznie zgodził się na propozycję Bodzia, że ten wystara mu się o zmianę nazwiska. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych było odtąd zasypywane suplikami, w których Zalutyński w imieniu swego mocodawcy obszernie wywodził, do jakich krzywd i do jakich nieporozumień prowadzi takie nazwisko, prosił o przemianowanie na Ogier. Kiedy ministerstwo się nie zgadzało, „opuszczał do pół ceny”, proponując nazwisko „Wnęter” (ogier z ukrytymi jądrami).

Pewnego razu sprzedał to samo zboże kilku Żydom, wyznaczając wszystkim ten sam dzień, kiedy mają zgłosić się po odbiór.

Kiedy się kupcy zjechali, powstał gwałt. Zboże sprzedane im było po niesłychanie niskiej cenie i żaden nie chciał tracić interesu.

— Nie ma rady — rzekł hrabia Palatynu — tylko musicie się ścigać do spichrza: kto prędzej przybiegnie, ten otrzyma zboże.

Kupcy gnali jak opętani, podkasując chałaty, ale kiedy dwóch przybiegło razem, Buba ogłosił, że był to przebieg eliminacyjny i zarządził ponowną rozgrywkę.

Obok odwiecznego żydowskiego tematu kolej jako ekstranowość była ulubionym leitmotivem kawałów. Przecie to słynny w Kowieńszczyźnie facecjonista Żukowski, kiedy dopiero zaczęły chodzić koleje, trafił na szaraczka jadącego po raz pierwszy.

— Pan ma szczęście — westchnął.

— A cóż?

— bo jest taki ukaz cesarski, żeby zachęcić i uhonorować tych, co pierwszy raz jadą, że w bufecie ich i jadących z nimi karnią darmo w tę i w tamtą stronę „na carski szcztot”.

— A jakże to poznać, kto pierwszy raz jedzie?

— Nie bój się pan, już tam oni wiedzą, swoją kontrolę mają. Tylko trzeba kelnerowi, jak pan w pierwszą stronę jedzie, pokazać palcem pod nosem z

prawa na lewo, a jak pan jedzie z powrotem, z lewa na prawo. Spróbuj pan, tylko śmiało!...

Nie chciało się to szlachcicowi w głowie pomieścić, ale rzeczywiście: zjedli, wypili, kelner podchodzi — ffiut!... pojechał ręką pod nosem, kelner głęboko się kłania i odchodzi. Tak sobie pojadali w każdym bufecie, a Żukowski chyłkiem na stronie płacił. Szlachcic był wzruszony, że car jest gotów honorować nie tylko jego, ale i jego gości.

W drodze powrotnej sprosił znajomych, na pierwszej większej stacji jedli, pili, wiadomo, mieli czas, pociągi wówczas miały długie postoje. Ale nic nie pomogły coraz demonstracyjniejsze pociągania wobec zdumionego kelnera — w rezultacie protokół, bo ktoś by z miasta wracał z pieniędzmi, awantura i śmiech po całej Litwie.

Buba napotkał kiedyś biedkę żydowską, której właściciel spał. Kazał odprzęgnąć konia, przełożyć hołoble przez płot i zaprząć konia po tamtej stronie płotu. Jeszcze lepiej postąpili jacyś inni facecjoniści kresowi, o których opowiada bodaj Morawski w swoich pamiętnikach. Byli to braciszkwowie--wagabundy, włóczący się po kweście. Zobaczywszy jadącego śpiącego Żyda, wyprzęgli konia, starszy gruby zaprzągnął się do hołobli, a młodszy siadł na szkapę i pojechał ją spieniężyć.

Żyd obudził się i zobaczył stojącego w hołoblach grubego zakonnika, który go z flegmą objaśnił, że był za grzechy przemieniony w kobyłę i że właśnie o tej porze i na tym trakcie czas pokuty mu się skończył.

W parę dni potem Żyd na targowisku końskim poznał swoją kobyłę już w trzecich rękach. Nie protestował, lecz tylko zbliżywszy się z uszanowaniem do końskiego ucha, szepnął:

— Jegomość, a jegomość, to jegomość znów tak prędko nagrzeszył?

oubu w drodze napotkał kupca, zamożnego zapewne, skoro jechał Pierwszą klasą. Kupiec zdjął buty, co denerwowało Bubę. Wywiązała się sprzeczka. Zdenerwowany Buba chwycił but i wyrzucił przez okno. Powstał straszny gwałt, kupiec żądał odszkodowania, Buba po wielkich targach zgadzał się je wypłacić, ale za jeden but. Doprowadzony do wściekłości poszkodowany, dla zadokumentowania, że mu nic po jednym bucie, wyrzucił go przez okno. Wówczas Buba wyraził mu kondolencję, zwracając ów pierwszy but, który fikcyjnie wyrzucił.

W niektórych pomysłach Buby błyskało średniowiecze.

Wydzielił po spłachetku ziemi na ogród z obu stron szosy przy wjeździe do dworu dwom nędzarskim, najliczniejszym, jakie mógł znaleźć, rodzinom żydowskim.

Wystawił im dwie lepianki mieszkalne i umundurował dziwaczny pluton od prababki do paroletnich bachorów. Ten pluton w dni przyjazdu gości musiał prezentować musztrę formalną z drewnianymi karabinami.

Przy każdej lepiance stały stojaki na te karabiny i budka strażnicza z dzwonem i z napisem: Household Cavalry Hrabiego Pałatynu. Kiedy Zalutyński nadjeżdżał, pierwszy z obu rodzin, który go dojrzał, bił w dzwon, wołał: — Warta pod broń! — obie rodziny wysypywały się na szosę z dwu stron i najstarszy rzucał komendę:

— Smirna, rawnienie na prawa! Wówczas Zalutyński krzyczał z powozu:

— Zdorowo, Żydy!...

Na co Żydzi unisono skandując odwrzaskiwali:

— Zdrawja żelajem, Wasze Impieratorskoje Wieliczestwo.

(było ich bardzo dużo, ale tomów pisać nie mogę, gdyż czeka sekwestrator)*.

W 1919 r. wysłałem depeszę do Wicia Rudominy Dusiatkiego:

«U suczki Chajki (miałem wyżlicę tej nazwy) zaprowadziły się robaki. Radź, co robić».

W trzy miesiące potem przyjechało (70 km z Grodna) dwóch żandarmów i dwóch wywiadowców. Depesza poszła do Oddziału II, stamtąd do województwa, potem do Białegostoku i Grodna. Zaczynają pytać, co ja wiem o ruchu białoruskim, bo «te robaki, to Białorusini»).

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

Gdy śp. król grecki umarł na skutek pokąsania przez małpę, posyłam depeszę do naszego wspólnego przyjaciela Frania Czapskiego, który jest podobny do tych stworzeń: «Król grecki pokąsany przez małpę, podejrzenie padło na Ciebie, radzę zagrymować się, uciekać. Zalutyński».

W Wilnie doręczono Franiowi depeszę, gdy siedział w łożu w teatrze ze swoją ciotką, hrabiną Mareszetą Czapską, w towarzystwie generała Szeptyckiego. Wplątywanie przyjaciół w nieprzyjemności z władzami przypomniały mi żale jego przyjaciela, pana Laubera, który — kiedy podczas pierwszej wojny Turcja przyłączyła się do Niemców — otrzymał od Buby depeszę:

„Szambelanowi i Eunuchowi Dworu Jego Sułtańskiej Mości”.

Wezwanego do cyrkułu spotkał przystaw zdumionym okrzykiem:

— Ot, żeż który już miesiąc z Turcją wojna, a ja i nie myślał, co pod samym bokiem u mnie Turek się zalał!

Napisałem do Zalutyńskiego, jako w pewnym sensie socjologicznego zjawiska, z prośbą, aby mi autoryzował kawały, które posłałem w maszynopisie, i dodał te, które przeczuwałem. Listu nie zapomniałem zaadresować „Jaśnie Wielmożny Pan Hrabia”.

W odpowiedzi na moje zwrócenie się otrzymałem od Buby fotografię w płaszczu Bożogrobowca, w tricornie, z zamaszystą dedykacją. „Melchiorowi Wańkowiczowi — chlubie kresów”. Było to tym bardziej niezwykle, że w owych czasach „Słowo” Mackiewicza umieszczało o mnie sążniste artykuły pt. „Ptak, który kala własne gniazdo” i wezwania do braci ziemian, aby zamykali drzwi przede mną.

Buba jednak rącho i z dosypką autoryzował niezbyt subtelne kawały:

„Kochany Melu, napiszę Ci parę kawałów autentycznych powojennych. Każdy powiat miał swoich facecjonistów. Jest to gatunek, który się pienił na przeżartym podłożu, gdzie nie wiadomo było, co z czasem robić, chociaż starano się go zużyć na pięć—sześć posiłków dziennie.

Wszechświat cały, nawet i światy zagrobowe dbały o dobre trawienie pana dziedzica.

Wnuczka jednego z Napoleonów Obuchowiczów (u nich to imię było lak często, jak w naszej kalużańskiej linii Melchior) opowiadała mi, że dziad co wieczór wstając od kolacji brał ze sobą na talerzyku przekąskę

Urząd skarbowy zająwszy Bubie samochód, przeciągnął przez koła sznur i opieczętował. Zalutyń-

! mając dwa koła zapasowe, zdjął opieczętowanie, nie naruszając pieczęci, zajechał przed urząd skar-

owy, triumfalnie trąbił, wywołał wszystkich do okien i odjechał. Wnet pojawili się zdyszani se-

satorzy z policją, ale zastali samochód na opieczętowanych kołach. Na drugi dzień znowu Zalu-

i trąbił przed urzędem i znowu tłumaczył, że urzędnikom coś się majaczyło. i kieliszek starki na tak zwany podkurka. W pokoju jego stał sekretarzyk, który dzieci lubiły oglądać, bo był ozdobiony głowami zwierząt, rżniętymi z kości słoniowej. Otóż pewnego razu dziad przyznał się, że po śmierci ' ich babki, a jego żony, kiedy zapomniał się i nie zabierał do podkurka, w sekretarzyku rozległo się pukanie, a kiedy je zlekceważył, powtórzyło się to w sposób natarczywszy; zdumiał się wielce, wypił starki dla kurażu i przegryzł: pukanie się nie powtórzyło. Odtąd, ile razy nie przystąpił do podkurka we właściwym czasie, nieboszczka babunia pukała w sekretarzyku:

— Polek, pora, znaczy się, przekąsić...

Wszyscy ci Napoleonowie byli kawalarze, nie pamiętam więc, czy to ten, czy który drugi ponapisywał do znajomych listy, podpisując różne fikcyjne osoby i naznaczając spotkanie w nieświeskim hotelu Felsztejna, w numerze czwartym o godzinie drugiej. Napisał do żeniącego się właśnie o alimenty; do jednej pani z pretensjami dziewicy, rzekomo uwiedzionej przez jej męża; do proboszcza jakiegoś aluzje „de grubis” od dawnej gospodyni; do ziemianina Kleczkowskiego, żeby

wykupił weksle, których ten jako żywo nie wystawiał itd.

O oznaczonej porze spotkali się pod numerem czwartym coraz bardziej zdumieni panowie i panie, a najgorzej, że Kleczkowski przybył z policją. Administracja nieświeskiego Ritza opowiadała:

— Uj, co to było krzyku, co krzyku!...

Hadko przyznawać się do pokrewieństwa z tymi durnymi i zwykle ordynarnymi kawałami, ale „tak cóż ty zrobisz”, jak mówił nieboszczyk generał Żeligowski. Zdarzyło się i mnie zrobić takie zamieszanie.

Miałem przyjaciela, który bardzo wzdychał do pewnej panienki z dworku. Wzdymało go na mariaż i będąc u panny na wsi uprosił mamę, aby raczyła wraz z córeczką być u niego na obiedzie. Zaprosił mnie na czwartego, widać dla dyskursu z mamą. Obiad naznaczony był na drugą i obaj pojechaliśmy po panie.

Tegoż dnia rano w „Kurierze Warszawskim” ukazało się podane przeze mnie ogłoszenie:

Wyjeżdżając na kilka miesięcy za granicę, poszukuję sekretarki o miłej prezencji. Ani znajomość języków, ani stenografia, ani rachunkowość nie są wymagalne. Zgłoszenia osobiste przyjmuję dzisiaj o g 1 m 30 (adres).

To było maksimum, jakie udało się wydębic na „Kurierze Warszawskim”. Za to „Kurier Poranny” bez ceregieli zamieścił ogłoszenie, że młody ziemianin poszukuje „pięknej sekretarki” i naznacza ten sam adres i datę.

Nasze panie były nieco speszone. Bo choć to z mamusią i choć wiadomo do kogo, i choć matka panny razem z matką mego przyjaciela były w Sacre Coeur, aleć zawsze odczuwały luby dreszczyk, jadąc do jaskini Iwa.

Ale lew był w danym wypadku skapcariały na słodko, na małżeńsko, na bogobojno, wzruszony, uszczęśliwiony, marzący, że dziś jeszcze może się oświadczyć.

Czując tę wzbierającą falę świątobliwych afektów, począłem żałować swego wybryku. Ale cóż ty zrobisz?

Otworzył nam drzwi lokaj całkiem „zbity z pantałyku”. Z mieszkania dochodził gwar. Wszedłszy zobaczyliśmy wszystkie fotele, kanapy, krzesła, stołki, taborety, przyniesione z kuchni, obsiedzione przez dziewczyny o przystroju i koafiturach raczej ekstrawaganckich — wszystko kandydatki na wojaż.

Spojrawszy na minę mamy, przeraziłem się i, wychlusnąwszy damy, padłem do stóp dobrodziejki. Dobrze, że była z tej dobrej rasy ludzkiej, którą kawały wpierw cieszą, a dopiero potem gorszą.

Jeden z Napoleonów Obuchowiczów, jadąc kiedyś koleją, narzucił idącemu na stacji do bufetu współpowietnikowi własne futro, a ledwo ten zrobił parę kroków, podniósł alarm, że mu skradł futro, zaparł się, że to znajomy, kazał spisać protokół i zostawił aresztowanego na stacji.

W Lipie (przepiękny stary dwór) tenże Obuchowicz tak oto urządził zakochanego po uszy Wulo Bułhaka. Obiecał, że namówi pannę, do której wzdychał Wulo, że z nim pojedzie en deux saniami. Był tęgi mróz, więc nic dziwnego, że luba siedziała opatulona w dziewięć doch, w kapiszonie, z szalem zakręconym na twarzy.

— Wulo, pośpiesz, już twoja towarzyszka siedzi!

Młodzian siadł, konie pomknęły z kopyta. Przy bliższym „badaniu” w drodze okazało się... że posadzono go koło sprytnie zrobionego manekina...

Facecje uprawiali i bodaj jeszcze uprawiają z upodobaniem i panowie, i panie.

Młoda nauczycielka opowiadała mi historię, jaką przeżyła w Dołma-towszczyźnie u Wierzbowskich w stołpeckim powiecie,

Pani Wierzbowska jest z domu Baczyźmalska (tak jak moja babka), a mąż jej był w zakonspirowanej „piątce” w Krakowie przed 1863 rokiem, której „starszym” był mój ojciec.

Na stacji czekały na nauczycielkę konie i zięć państwa domu, rotmistrz. W drodze wygadała się, że kończąc pensję, mieszkała u swojej ciotki Piłsudskiej w Wilnie.

— O, to źle — zmarszczył się towarzysz podróży — wie pani, moja teściowa, kiedy tylko ktokolwiek wymówi przy niej nazwisko Piłsudski, wpada w drgawki, dostaje ataku. Dziwne objawy! Ale my wszyscy przeżywamy zawsze straszliwe emocje, bo

jest z sercem nie w porządku i lekarz mówi, że tego rodzaju atak może ją zabić. Dlatego w całym domu wszyscy wiedzą, że nie może być to nazwisko wymawiane: niech się pani z tym liczy, bo pani może stać się przyczyną śmierci.

Młode osiemnastoletnie stworzenie poczuło się bardzo nieswojo.

Przy kolacji pani domu posadziła ją koło siebie i wypytywała z wielką życzliwością o jej studia, stosunki rodzinne itd. Panienczka usiłowała wykręcać się, jak umiała, rzucając rozpaczliwe spojrzenia wzywające pomocy. Zdrajca rotmistrz jednak, siedząc w końcu stołu, z ożywieniem rozmawiał z dziećmi. Wreszcie sytuacja stała się nie do wytrzymania. '

— Moje dziecko — rzekła starsza pani — ja widzę, że pani nie chce mi w żaden sposób powiedzieć, jak nazywali się krewni, u których pani mieszkała w Wilnie. Dziwi mnie to i smuci.

— Kiedy, kiedy... proszą pani... ja... naprawdę mieszkałam u cioci.

— Ale jak się nazywała?

Jeszcze jedno rozpaczliwe spojrzenie na zagadanego rotmistrza — ani rusz go ściągnąć na pomot. Niech będzie, co chce!

— Moja ciocia nazywała się Piłsudska...

— Ach, ach!... — woła starsza dama i wywraca się z krzeselka. Twarz jej sinieje.

Rwie bluzkę na sobie. Przenoszą ją na kanapę, trzeźwią.

Młoda nauczycielka płacze. Dopieroż matrona z kanapy powstaje, wszyscy w śmiech.

Pewnego razu pani Hania Oskierczyna z Suchlicz pod Kleckiem postanowiła wypłatać figla Czarnockim z Lecieszyna. Przebraną za starą babę białoruską podwiózł brat niemal pod sam Lecieszyn i dalej pojechał solo. W strachu bożym, żeby nie natknąć się na posterunki KOP-u, stojące w parku*, dobrnęła do werandy. Ale tu jej „nie poszancowało”, bo zobaczył ją lokaj Jerzy.

Lecieszyn leżał przy samej granicy.

— Czaho ciabie, baba?

— Jaż do pani Czainouśkoj...

— Nie ma pani, nie ma. Czaho ciabie tutoka trieba?

Baba" usiłuje coś tłumaczyć...

— Idzi, baba, idzi!

Nie ma co, już nogami tupie i straszy. „Baba” rejteruje, odgryzając się:

— Isz jakij... Sam Czarnouśkij...

W tej rejteradzie z odgryzaniem się wpada na wartownika KOP-u. Zaczyna się dialog Mazura z Białorusinką:

— Proszę dowody osobiste...

— Aś? — pyta „baba” z ręką na uchu.

— Dowody osobiste proszę. Dokumenty!

— Panoczku, dykżeż ja z rodu nie widaia nijakich dokumentów...

— Skąd pani jest?

— Aś?...

— Z jakiej wsi?

— Z Cimkowiczej, panoczku, z Cimkowiczej.

Akurat na drodze za parkiem przechodziła grupa wiejskich chłopaków.

— Ej, chłopcy! — woła kopista. — Skąd wy?

— Z Cimkowiczej.

— Czy znacie tę kobietę?

— Nikoli nie baczyli.

Oj, źle! Nasz „Jasio” zaczyna coś podejrzewać:

— Marsz na strażnicę.

„Baba” widzi, że jest całkiem źle; kiedy uszli spory kawał, staje i mówi z determinacją:

— Proszę pana, ja jestem Oskierczyna z Suchlicz... „Jaski” wytrzeszcza oczy.

— Oni, Czarnoccy, mnie kiedyś zmistyfikowali, więc ja chcę wziąć rewanż.

— Wykluczone! — kategorycznie oświadcza żołnierz.

— Ależ, proszę pana, jeśli oni mnie nabrali, to i ja mogę zrobić kawał.

— Świetnie!

Pani Hania rozwija swój plan. Ale kiedy tylko użyje słowa „rewanż”— żołnierz krzyczy: „wykluczone”.

Wreszcie się dogadali. Ona pójdzie ku domowi, a on ją, na wszelki wypadek, będzie miał na oku.

Tym razem poszczęściło się. Na werandzie w szezlongu, w peniuarze, z Papierosem w ustach zasiadła dziedziczka. Kiedy tak w blasku peniuaru dziedziczka zasiąść raczy, samo słońce jaśniej świeci.

— Dzień dobry, paniczka...

— Dzień dobry, moja kobieto, dzień dobry. A czego to chcecie? „Baba”, bez żadnych wstępów, poczyną „hołosić”:

— A hańbaż mnie, a kiyudaż mnie!... Koronkowy peniuar splywa po stopniach werandy.

— Czegóż to wam, moja kobieto, czego płaczecie?

— A hańbaż mnie, a kryudaż mnie!...

Z postrzępionego chlupotu słów można wnioskować, że jej dziauczyna usiu zimu na rabołu u moiontek chadziła i znowu a hańbaż mnie, a kryudaż mnie.

— Kto wam krzywdę zrobił?

— Hetyj Taduul... a hańbaż mnie..' a doczeczkaż maja milenkaja... Taduł, proszę państwa, to synek dziedziczki, oczko w głowie.

W matce budzi się lwica:

— Stefuś, Stefuś — woła w głąb* domu — chodź tutaj, posłuchaj, co ta baba opowiada...

Wyszedł przed dom Stefuś, który, w przeciwieństwie do swej magni-fiki, dobrze, jeśli sto słów dziennie powie. Słynne było jego przemówienie na wydziale sejmiku powiatowego. Kiedy już wszyscy schrypli i do niego doszła kolejka, Stefuś powiedział:

— Koniunktura... — i zrobił nieokreślony ruch ręką.

A że już tam wszyscy gruntownie wygadali się na temat złej koniunktury i przeciw inwestycji nie na czasie, więc wszystkim starczyło. Była to od niepamiętnych czasów najkrótsza mowa w nieświeskim powiecie.

Widać lapidarny Stefuś wpływał kojąco nie tylko na sejmikową elokwencję, bo i lamentująca „baba” ucałowała go w rękę i skonkretyzowała się:

— Panoczku, dajcie dziesięć hektary i nijakiego styda nie budzie. Dać hektary!

Okazało się, że czego nie wskórały debaty samorządowe, to udało się w debatach alimentowych. Stefuś... bluznął fontanną siedmiu słów:

— Idzi, baba, idzi, u mianie sobaki ziyje... Przetoż poszła hołosiuszy na cały park:

— A hańbaż mnie, a kryuuuda...

Sąd — to była instytucja swoistego sportu. Jeśli Anglik ma krykiet, Hiszpan walki byków, Niemiec kręgle, Amerykanin basket-ball, a Bask pelotę, to polski autochton — pieniactwo w sądzie.

Chłopi białoruscy, prawujący się z równą lubością jak szlachta, natykali się w sądach na przeszkody — język polski, sędziów z Galicji, nie znających miejscowych obyczajów.

polonizacja, reprezentująca ogładę, przychodziła wtórnymi kanałami, nje w najlepszym gatunku, najczęściej przez wojsko.

Byłem na zabawie wsiowej, na której tańce... po francusku prowadził nrzybyły na urlop frant. Jakaś para nie zrozumiała i kręciła się solo:

— Nie baczysz, padła (ścierwo), czto ciapier promenad! — krzyknął zgorszony wodzirej do panny.

Ale w sądzie i temu wodzirejowi zapewne trudno by się było wygadać.

Język polski, język liturgiczny, królujący nawet na nagrobkach prawosławnych cmentarzy, język pański, w znaczeniu dziejowym najlepszy, to znaczy język kultury i ogłady, teraz wlewał się na kresy szymlem papierków i cyrkularzy jako

język urzędniczy.

Tropiłem tę sprawę po sądach, gdzie zrezygnowane i skwaszone galicyjskie doktory praw sądziły białoruskich chłopów.

Było takie miasteczko Zaostrowiecze, nie znane przed tamtą wojną, nowstałe na styku między Polesiem a obszarami białoruskimi — Gdynia białoruska na cyplu południowym nieświeskiego powiatu. Tam, gdzie w czasie pierwszej wojny stała wydma piaszczysta z karłowatymi sosnami, dźwignął się rynek i coś w rodzaju drewnianych sukiennic. Osada doczekała się godności miasteczka i nawet raz na tydzień zjeżdżał do niej sąd pokoju. Naturalnie poszedłem.

W akcie oskarżenia, skoncypowanym po polsku przez miejscowego kauzyperdę, pokrzywdzony Iwan żalił się, że oskarżony Aukim strakto-wał go przez „ty psie”.

— Iwan, sobakaż ty, sobaka — wybucha Aukim — kaliż ja na ciabie pies kazau?

Gdzie indziej sędzia-galicjanin, przeglądnąwszy akta i stwierdziwszy, że skradzione rzeczy były przechowywane w saraje (stodole), wydał zarządzenie, aby owego Saraja doprowadzić do sądu. Inny chciał obłożyć grzywną zeznającego, który twierdził, że przyjechało szmat policji (szmat znaczy „dużo” po białorusku), jako że policji nie można wymyślać od szmat.

Polski obrońca kwiecieście bronił sprawy. „Powód, powoda, powodo-WI” odmieniało się w mowie obrończej przez wszystkie przypadki. Uzyskawszy wyrok pomyślny, zwrócił się do klientki:

No, wygrałem sprawę (w wypadku przegranej mawiał: „przegrał Pan sprawę”) — i zabiera się do wyjścia.

Klientka, babulina, która właśnie była powodem, biegnie za nim, łapie za rękę:

Dziakuju, panoczku — zgina się w ukłonie — ależ my nie za po. wod sudiliś, ala za ziاملu (po białorusku powód znaczy uzda).

Pamiętam, że kiedy po tamtej wojnie zachęcałem chłopów w Białostockiem do zakładania kółek rolniczych, wstał stary chłop i przy ogólnej aprobacie oświadczył, że to gadanie nie dla nich, bo ich paski roli są tak wąskie, że nieraz żadnym kółkiem rolniczym nie obróci.

Naturalnie nie tylko językowe, ale i obyczajowe sprawy stały na przeszkodzie.

W Baranowiczach była jakiś czas sędzią pani Iwaszkiewicz (zginęła w katastrofie samochodowej na Bliskim Wschodzie). Ta znała doskonale białoruski, ale znowu miała kłopoty z płcią, chłop bowiem nie nawykł do tego, aby sędzią była kobieta.

W sprawie o zgwałcenie świadek, pa-triarchalny chłop z brodą ostrzyżoną na łopatę, w łapciach szykownych, bo z rzemieniami, kategorycznie odmawia świadczenia:

— Usio rouno niczoho kazać nia budu.

Pani Iwaszkiewiczowa poczyna się denerwować. Grozi grzywną, pyta o powód odmowy zeznań. Chłop miarkuje, że to jednak nie przelewki,

i ucieka się do polszczyzny, jak zwykle kiedy sytuacja poczyna być grave.

— Bo Wysoki Sąd w kobiecym stanie jestasz.

Na tle ciemnoty i mistycyzmu dosyć obficie kwitło wróżbiarstwo. To nieprawda, że chłop wolał iść do znachora. Chłop do znachora iść musiał, bo doktor był dla niego niedostępny nie tylko materialnie, ale i pojęciowo. Lekarz w jednym z miasteczek opowiadał mi, że pewnego razu przyszedł doń staruszek, skarżąc się, że traci słuch.

— Przecież słyszycie mnie dobrze.

— Pana doktora słyszę...

— Więc o cóż chodzi?

— Dawniej, jak wstawałem, to słyszałem, jak pierdę.

— A teraz nie? — doktor zapisał mu kminku wiatropędneho.

— Dziękuję, panie doktorze. To ja teraz będę lepiej słyszeć?

— Nie, ale głośniejsze pierdzieć.

Inny rozpoznawał czwarty miesiąc ciąży. Dziewczyna zaklinała się, e przyczyną tego jest, że przed czterema miesiącami na suk popała (trafiła na sęk).

— No, to za pięć miesięcy będzie sukinsyn — zakonkludował doktor.

Żydzi, równie kolorowa część folkloru, z językiem też mieli trudności. Sam słyszałem, jak w Kołdyczewie Szalewiczów rzeźnik, który przywiózł ćwiartkę cieleciny, prosił zarządzającą pannę Mariutkę: — Niech panienka sobie tylek zanituje (to znaczy, żeby zanotowała, że wzięła tylną krzyżówkę).

Powstawały więc biura pisania próśb, wypisujące, zwłaszcza w pierwszych latach dwudziestolecia, niesłychane supliki.

W sądzie w Horodyszczu natrafiłem na skargę, zredagowaną w biurze podań M. Lewina: „Ja, niżej podpisana, służyła u Mojżesza Rabinowicza i on zaprowadził ze mną kochalny interes, i ja mam teraz dziecko”.

Szlachta zagonowa wysilała się na język wytworny. Pokazywano mi skargę: „Oskarżona wypięła się na mnie i parsknęła z kiszki stolcowej”.

Nie pamiętam już gminy, w której wystawiono nauczycielce w najlepszej intencji świadectwo moralności: „Co do niemoralności — zadowolili całą wieś”.

Ciocia Różia, właścicielka wesołego domku w Wilnie, nie dała sądowi w kaszę sobie dmuchać. Kiedy na jakiejś rozprawie prokurator pytał, gdzie znajdowało się drugie wyjście z apartamentów cioci Rózi, ta spojrzała ze zdumieniem na prokuratora:

— Pan prokurator nie wie?

— Sąd nie wie — uciał srogo prokurator.

Ciocia Różia odpierała po bohatersku wytaczane jej sprawy o nierząd.

— A pan wojewoda, to nie rząd? A pan komendant policji wojewódzkiej, to nie rząd? Samy najprawdziwszy rząd u mnie bywa.

Wszyscy wiedzieli, jak ciocia Różia zażyła z mańki pana Byszewskiego z Łyntup.

Był to bardzo zamożny obywatel, ale któremu wywrócono, jak i panu Brońskiemu ze słonimskiego powiatu, że póki będzie rozbudowywał dwór poty nie zemrze.

Byszewski więc budował i budował, ale poza tym był skąpy. Siostrzeniec namalował jego portret i zażądał 500 złotych, których Byszewski nie chciał zapłacić.

Siostrzeniec więc wystawił portret w salonie cioci Rózi. Znajomi donieśli Byszewskiemu, że ciocia Różia prezentuje go jako dobrodzieja. Kiedy „dobrodziej” przyleciał z pretensją, ciocia Różia rozpadła się w serdecznościach: jeśli portret podoba się, to ona chętnie go odda, sama zrzeka się zarobku, niech tylko otrzyma z powrotem dwa tysiące złotych, jakie za portret zapłaciła. Siostrzeniec z podziału z ciocią Rózią otrzymał więcej, niż żądał od wuja.

Hoteliki żydowskie na kresach były ośrodkiem wszystkich interesów. Zwłaszcza w początku dwudziestolecia ich stan sanitarny był potworny. W Stołynie oblegała przybysza chmara pośredników, zachwalających hotel „Roma”, hotel „Metropol” itd. Ten, który gością zdobył, poprzedzał go, pokrzykując:

— Ydże sze, ydże sze — man gajt, man gajt. To cob uni w ta pora nie wylewali nocniki.

Potem, zwłaszcza kiedy nastał Składkowski, poczęło się poprawiać. Pod tym względem był to wielki mąż stanu. Byłem w Wołożynie, kiedy raniutko wpadł na inspekcję starostwa. Kroczył ze świtą przez podwórze i nagle stanął jak wryty.

— panie, co to jest? — zainteresował idącego do pracy urzędnika.

Zapytany się stropił:

— Ja to zaraz każę sprzątnąć, panie premierze...

— Nie, ale co to jest?

— Ależ, panie premierze, ja natychmiast...

— Nie, ale co to jest?

— Gównno, panie premierze — wyznał przyparty do ściany.

— Dziękuję panu — ułaskawił generał i z całą świtą ruszył dalej.

Składkowski był biczem bożym na starostów, z którymi walczył o punktualne przychodzenie do biura, o bielienie parkanów i czystość sławojek.

Zostawszy ministrem spraw wewnętrznych, zaraz po nominacji runął raniutko na Łowicz i nie zastał starosty w biurze. Pojechał więc do jego domu i zobaczył...

starostę na dachu wymachującego płachtą — był zawziętym gołębiarzem. Rozmówka między autem i dachem była soczysta.

Przyciśnięci z góry wojewodowie zaglądali gorliwie do ubikacji. Byłem kiedyś z wojewodą wileńskim Bociąńskim (który nie uznawał Białorusów, miał ich za Polaków takich, jak na przykład Kaszubi) na inspekcji. W każdej gminie biegliśmy z punktu oglądać sławojkę.

Pani Kornilowiczowa, córka Sienkiewicza, opowiadała mi, że na papierach ojca, któremu przeszkadzały wrzaski dzieciarni na ulicy, znalazła napis z głębi serca udęczonego pisarza: „Herod, to był wielki król!...” Jeżdżąc po zakamarkach Polski, jakże często powtarzam: „Składkowski to był wielki minister!”

Wojewoda Bociąński oddał się pilnowaniu, czy urzędnicy nie spóźniają się do pracy. Zaczął się kiedyś pod Bankiem Polskim w Wilnie. Spostrzegłszy urzędnika, który się spóźnił, wyciągnął zegarek, podsuwając pod nos urzędnikowi cyferblat. Bank Polski był to tak zwany urząd nie zespolony, nie podległy wojewodzie, urzędnik więc go nie znał, wziął za przekupnia i popędził: „Nie leż w oczy”. Inspekcje osobiste Składkowskiego sięgały aż do gmin, które urządzały konkursy czystości ustępów. Gdzieś w kieleckim województwie pojechał z całą świtą do takiego laureata. Istotnie ustęp jaśniał czystością, ale klucze się zagubiły.

— Po cóż zamykacie, gospodarzu?

— Ba, jeszcze by kto tam za swojo potrzebo poszedł.

Okazało się jednak, że z innego powodu nie doszukano się kluczy: kmiotek, otrzymawszy premię, najspokojniej zainstalował tam suszarnię serów.

Gminy trzymały ze sobą sztamę. Biada pierwszej, do której wpadł bez uprzedzenia. Ale dalej już szedł alarm po linii.

Podjechawszy do jednej z gmin i posłyszawszy dzwonek telefonu, złapał słuchawkę:

— Ten wariat do was pojechał — uprzedzała poprzednia gmina.

— A nawet już jestem — powiedział Składkowski, któremu nieobce było poczucie humoru.

Opowiadał mi, jak pewnego razu, jadąc z Częstochowy do Warszawy, przejechawszy Gidle, zobaczył, że rozwidlają się trzy drogi. Pojechał więc na miejscową komendę policji.

Była późna pora, tylko dyżurny policjant pisał za stołem jakieś zestawienia.

Ujrzawszy ministra, powstał za stołem i zameldował się dziarsko.

Zapytany o drogę, usiłował ją wyjaśnić, nie wychodząc zza stołu.

— Panie posterunkowy — zirytował się minister — proszę łaskawie wskazać nam na miejscu tę drogę.

Zmieszany policjant coś bełkotał. Minister zajrzał pod stół. Okazało się, że policjant, wróciwszy z obchodu, moczył nogi w wodzie i meldował się stojąc w balii.

Jeśli premier rządził patriarchalnie starostwami, to starostowie mieli równie patriarchalne maniery. Patriarchalne maniery mieli też obywatele. Pani Ejnarowiczowa z Borków wchodziła do gabinetu starosty Wierzbickiego w Stołpcach obładowana „pokupkami”.

— Urzęduj, starosto, urzęduj — mówiła uspokajająco, kładąc się na kanapie — daj mnie tylko pospać, póki co.

Nic dziwnego, że tak zaabsorbowany Wierzbicki kiedyś podpisał na siebie wyrok śmierci: z datą, numerem wychodzącym, pieczętąką urzędową; to wydalony urzędnik po raz ostatni przyniósł mu do podpisu pocztę, jak zwykle na rozkaz starosty ułożoną papier na papierze, tak by z każdego arkusza widniało tylko miejsce na podpis.

Tak czy owak jednak podciągnięto w różnych dziurach stan sławojek. Na przykład w Lidzie pani Głóberman, właścicielka hotelu „Petersburskiego”, pękała z dumy, urządziwszy w kuchni klozet ze spuszczaną wodą. Namawiała mnie gorąco, żebym z niego skorzystał. Kiedy mówiłem, że nie czuję potrzeby, argumentowała:

— Niech pan tylko spróbuje. Pan Wańkowicz z Peteszy też nie chciał, a jak popatrzal, od razu zachciał.

Ale Lida to był luksus i wykwiut. Garnizonowało tam lotnictwo i pani Głojbermanowa młodym oficerom bez ceremonii przed jakąś zabawą konfiskowała zapas gotówki, obawiając się, że przepiją. W pocziwych dworkach wiejskich jeszcze po dawnemu gość idący do sławojki otrzymywał „lichtarnię”, parasol, kalosze i biczyk dla opędzania się od psów.

Na samym pograniczu w Dziśnie, miasteczku, w którym stała pustką połowa drewnianych domków z oknami pozabijanymi deskami, hotelik Kaca był równie patriarchalny, ale daleko mu było do innowacji pani Głojbermanowej. Właśnie kiedy nocowałem w tym hoteliku, zjechał sąd a rozprawy. Sędzia starszek irytował się rano, że tyle much jest w ustępie. Podczas przerwy wrócił na obiad, zaszedł do ubikacji i wyraził zadowolenie, że Kac coś zaradził, bo much nie ma.

— Bo uni wszystkie teraz na obiad dla pana sędzi polecili — poinformował Kac zadowolony z pochwały.

Z tym stołowaniem jednak bywało brr... Owszem, w Wilejce objadaliśmy się w hoteliku „Madame Wól”, która zwłaszcza chełpiła się swoim „wołowan” (vol au vent). Owszem, u Lajpunera w Nowogródku jadło się po królewsku. Ale po tych hotelikach-chałupkach przy kolejowych stacyjkach...

Wieczorem do hoteliku Kaca wrócił młody sędzia nieco zawiany. Kac otworzył mu drzwi. Widząc w ciemności jakąś szatę, sędzia serdecznie sięgnął pod chałat.

— Panie sędzio — grzecznie poinformował Kac — to obmyłkie wyszło: to ja — Kac. Tak samo w ciemnym kinie w Mińsku zareplikował znienacka synkowi mego sąsiada jakiś bas:

— Ostawcie, ja duchownoje lico. Bo to był pop.

— Czego pan chce i od głupiego narodu? — mówi Szłoma, właściciel sklepiku na rynku w Słonimie (Żydzi kresowi często wtrącali „i”). — Na dniach dużo u mnie ludzi w kramie było, patrzę ja, jeden taki Wasiuk tureckiego pieprzu i z beczki ciągni. Nu, czekam, co z tego bendzi. A ten Wasiuk tego pieprzu w gemba włożył, gryznuł, oczy jemu pod wierzch zaszli, piana i czerwona z gęby koci się. Tak ja mówię: „Wasiuk, Wasiuk, i jak ciebie nie stydno — syn takowo choziaina i pieprz dlatego kraść?” A on patrzy na mnie, śłozy u niego i z oczu płyno i mówi: „Szłomka,” nie leż w oczy — a to jak plunu, tak zhorisz”.

Kiedy Żukowski, facecjonista kowieński, poprzednik Buby o jedno Pokolenie, umierał, wezwany proboszcz nie chciał iść — myślał, że kawał. Co prawda ów proboszcz nieraz padł ofiarą. Był to hipochondryk i lubił się leczyć. Pewnej nocy zabrał mu Żukowski cichutko ubranie i kaz zwęzić. Na drugi dzień odwiedził proboszcza, gdy ten był jeszcze w łóżku i wyraził zdumienie, że proboszcz spuchł. Toż samo inni namówieni! Przerażony proboszcz wyskoczył z łóżka, chciał jechać do doktora ai nie zmieścił się w ubranie. Było śmiechu na cały powiat. Toteż ter[^] nie chciał dać się nabrać.

Leżał imć pan Żukowski, facecjonista, sławny na Żmudź całą i na tamta stronę Niewiaży, na Litwę, i czekał, aż ktoś ciało pokropi. Poczęli zbie rać się ciekawi. Przyszedł i pachciarz miejscowy, wieczna ofiara. Przymrużył oko, uśmiechnął się domyślnie i szepnął:

— Ciekawość, co on chce wymyślić?...

Ale biedny pan Żukowski już nic nie mógł wymyślić na temat największej facecji, jaką jest żywot ludzki.

Ziemia deszcz pije, ziemię drzewa piją,
z rzek morze, z morza wszytki gwiazdy żyją.

Na nas nie wiem, co ludzie upatrzyli dziwno im, żeśmy trochę się napili.

Jan Kochanowski.

Nalewki i kołduny.

Facecja nie wschodziła na chudym gruncie. Rośla na dobrym żarciu i popijaniu. Nic tam nie było standaryzowane, a więc i napoje. Tak jak każdy powiat miał gospodynię, od której sąsiadki starały się wydostać przepisy na przyrządzenie szynek, tak i każdy dwór miał swoje recepty na nalewki. Już i Rej przenosił rodzime trunki „nad wszelakie witpachery, rotekiery, rywuły, małmazje”.

Mania to dosyć szlachetna i godna poparcia. Krewny mój, Antoś Romer z Janopola pod Rzeżycą na Łotwie, tęgi oryginał, miał żonę uzdolnioną malarkę (między innymi malowała dzieci króla belgijskiego), którą wywoził w pole w specjalnie szklonej budzie — wracał odprężniętymi końmi — polecając malować krajobraz, ale zielonej farby nie dawał, bo najdrożej kosztuje.

Ten to Antoś był również sławny z prokurowania różnorodnych nalewek. Kiedyś, bobrując po Brasławszczyźnie, wpadłem ex promptu do niego wozem bez tryptyku, szoferem bez paszportu zagranicznego i psem bez świadectwa weterynaryjnego, ot, przez grzeczność łotewskich celników, którzy zezwolili przejechać dwieście kilometrów w głąb — na te nalewki.

Popasając po drodze w Józefowie Szachnów, w Prezmie Pereswiet--Sołtanów, trafiłem na Józia Platera.

Józio Plater, jak i Antoś Romer, jak i wielu ich tam, wywodził się z rodów kurlandzkich, Józio nawet z Kawalerów Mieczowych.

— Czy wyście byli pod Grunwaldem?

— Szliśmy z pomocą Ulrykowi von Jungingen, ale nie zdążyliśmy na czas — mówił z żalem.

Ten drugi Kurlandczyk, Romer, był schłopiały i sfrancuziały. Jadło się u niego z mich glinianych, siadywało na ławach i oglądało znako-mite sztychy i książki francuskie.

Petit coin umieszczony w bzach nie miał kanalizacji, ale za to pięknym średniowiecznym gotykiem wypisane powiadomienie:

lei tombent dans les ruines Les pioduits de la cuisine'

Otóż wówczas gościnny gospodarz uczęstował mnie dwudziestu nalewkami, a wśród nich „gadzinówką”.

Kiedy żona jego miała wernisaż, sprosił do „Bristolu” nieco tak zwanej śmietanki towarzyskiej, sporo zagraniczników i produkował nalewki. Zachwycano się coraz bardziej, aż wreszcie amfitrion wniósł dzban owinięty serwetą.

— Smakuje jak stary dębniak o większym procencie alkoholu — delectowali się koneserzy.

— Są to starki — suche.

— Admirable, sec!...

— Very dry Irish usąuebough — isrit it?

— Manzanilla secco?

— Puląue?... Teąuila?

Dolewali, a dolewali, aż zabrakło w dzbanie. Wówczas gospodarz odstłonił serwetę — w dzbanie była żmija, pojona wpięrow mlekiem, a potem zalana spirytusem.

Niektórzy nalewkarze potrafili być podstępni. W drodze z Wilna na Worniany mieszkał ksiądz, który miał własny mająteczek — Wrona się nazywał — i w nim własny kościół. Wpadłem na króciutko (był upały), napić się brzołowiku.

— Jaż panu co lepszego dam — mruknął ksiądz.

— Nie, nie, księżę dobrodzieju — broniłem się... — Jest południe, upały, rozbierze nas, jeszcze wpaść nam trzeba do Olszewa Chomińskich, do Szemietowszczyzny Skirmuntów i na noc nad Narocz.

— Ależ to ani kropli alkoholu nie dodają do tego i zimne, z lodu — kusił ksiądz.

— Słowo?

— Że nie dodają alkoholu? Kapłańskie słowo.

Golnęliśmy z szoferem po szklanicy pysznego lodowatego napoju i pojechaliśmy.

A cóż ten — szofer. Taki on i szofer. Prosto — Boleś.

W samym środku Wołkołaty zaciął mi się wóz — forda miałem wtedy.

Poszedłem po ratunek do wójta — a u wójta jakaś uroczystość, wszyscy pijani i ksiądz miejscowy, eks-kapelan wojskowy, też.

! Tu oto w gruzu padają Co nam w kuchni wysmażają.

90 .

Wracam na środek drogi przez Wołkołatę, patrzę na świnię pochrzą-kuiące koło forda — nie wiem, co robić.

Przyszedł kowal miejscowy z obcęgami, kiedy je zbliżał do karburatora, zabołało mnie w zębie, jakby go miał tymi obcęgami wyrwać.

— Nie rusz pan! — wrzasnąłem wielkim głosem.

— I nie myśli sunonć się — poparł mnie znieznacka jakiś głos. Obejrzałem się. Z drugiej strony podjętej maski stał drobny chłopak w rozwartej koszuli i parcianych spodenkach.

— A ty co? Znasz się na motorze?

— Ja dla tych maszynków to by wszystko rzucił.

I takeśmy się skumali. Rzucić co prawda Boles nie miał co — był sierotą i past krowy. Tak w tych porciętach wywiozłem go z Wołkołaty, w Postawach kupiłem mu nowe oraz wiatrówkę i buty. Bardzo był przemyślny „do tych maszynków” i kiedyśmy, po różnych krążeniach, dobili wreszcie do Wilna, łatwo uzyskałem dla niego prawo jazdy.

— No, to teraz ty mnie wież — rozsiadłem się na poduszkach tylnego siedzenia. Ze skrzyżowania z ulicą Niemiecką wyjechał wóz chłopski. Boles musiał zwolnić, wysunął się z okna wozu i strofował surowym głosem:

— Na bok, chamie!...

Tak oto jeździliśmy z tym „awanssem” razem, przy czym i na mnie pokrzykiwał surowo (i zwykle słusznie), kiedy, przetrzymywałem nogę na sprzęgle, nie w czas zmieniałem biegi albo hamowałem zbyt gwałtownie.

I teraz więc, jadąc od księdza z Wrony, liczyłem się z Bolesiem — moim szoferskim sumieniem.

— Wiesz — powiadam po przejechaniu dwu kilometrów — jedź ty.. ja jakoś tak... nie bardzo...

Przesiedliśmy się, ale w rękach Bolesia samochód począł kocołować aż wjechaliśmy w rów. Siedzieliśmy bezradnie, żaden nie odważał się sięść przy kierownicy.

Aż patrzymy — jedzie ksiądz z Wrony. Koniki u niego takie tłuścien-kie, księżowskie, on sam w płóciennym płaszczu od kurzu.

— A — zatrzymał mierzynki — musi, co majówka jaka w rowie zrobiliście — a zmarszczki mu się zbiegają do oczu, śmieje się.

— Oj, niepięknie — idzie żałośliwy głos z rowu — a słowo dane... jeszcze i kapłańskie.

— Ot, niech mnie ta renka odeschni — boży się ksiądz — jeśli ja choć kapla szpiytutu nalał. Prosto, jagódka do słońca nałożysz, cukrem zasypiesz, na oknie postawisz, słońca przyjdzi, a wiadomo, od kogo słońca? Od Pana Boga. No i co tam w słoju robi się, to nie mój interes.

Aptekarz w Połędze widać jednak mniej się zdawał na inicjatywę niebieską, a więcej na głupi ludzki rozum, bo przez pięćdziesiąt lat fabrykował hadkości, że nie daj Ty, Panie — prosto ludzie jak z durnowatego ' śmieli się, apteka na te nalewki przepuścił, umarł, wdowa w niedostatku zostawując.

Została jednak mieszanka ostatnia — Trisz Divinis.

— Czekaj, pani — mówi jeden gość na stypie — ta wódka nieboszczyka jakbyś i udawczy się. Trzymaj, pani, recepta, nie dawaj nikomu, a tylko sama mieszaj i ziółki sprzedawaj.

No i co państwo powiecie? W kilka lat potem żona kamienicę elegancką kupiła w Kownie.

Dziwna to była wódka. Przygarść dwudziestu siedmiu ziół zalewało się spirytusem. Po kilku tygodniach ekstrakt był gotowy. Goście przyszli — kieliszeczek malutki tej nastojki do wyborowej wlałeś, a na to miejsce do ekstraktu dolewałeś kieliszeczek spirytusu i tak miałeś co popijać po sam kres życia.

Tak ot żeż co: przyszli do mnie na obiad Antoni Bogusławski i Arnold Szyfman. Ja im to, dy sio daję wypić, a nareszcie w ta pora ptaszki wnoszą. Jedzą oni te ptaszki, mało języków nie połkną, a co jedzą — ani weż zgadnąć nie mogą.

A z ptaszkami prosta sprawa była — pardwy. Wiadomo, skąd królewiaćkom wiedzieć, kiedy pardwa z kontynentalnego klimatu ptak, eur-azjatycki, razem z zającym bielakiem trzymają się: na zachód od linii Libawa — Romny ich nie zobaczysz,

razem pod zimę bieleją jak śnieg, razem bure robią się pod wiosną. Na mszarach obszernych ich życie, tam z wyżłem dobrym idź, człowieku — z furkotem wielkim rwie się jakby ze śmiechem spasy na brusznicach „gorgotun”, białym od dołu błyska, jak śniegiem sypie na mszar po strzale. Rzadki ptak. Smaczny ptak.

Ależ jarząbek też ptak smaczny, a ot, co z nim wyszło.

Polowałem ja na niego w Puszczy Rudnickiej z panem Korsakiem (z tych, co to „co krzaczek, to Korsaczek”), znawcą i piewcą lasu.

Prowadziłżeż on mnie, prowadził tą puszcza! Z wieczora wabili my łosie samce przez brzożową tubę. Tak dla śmiechu — to nie Słobódka stryja Piotra: patrzeć, patrzaj, a już co strzelać, to nie — wybaczaj, ale nie masz prawa.

Widzieli my w te dni łosie, widzieli sarny, dziki, ale strzelać można było tylko do jarząbka.

Jarząbek — przyjemny ptak, ma dwa mięsa: czarne i białe. Tak samo przyjemnie polować na niego. Staniesz sobie obowiązkowie w lesie wysokim, sosnowym. Korony wysoko, a tu tylko wielki dzwon zapachu żywicznego i cienia, a w tym lekkim cieniu gałązki cienieńkie pod strop lasu idą, a nieba nie widno. Wyjmiesz taką kosteczkę ze skrzydełka ptasiego i popiskiwać zaczynasz. Jarząbek, wiadomo, ciekawy: zaraz ich cienie po gałązkach poczynają szmorgać, cicheńko, tak jakby w tajemnicy. Najlepiej z dwudziesteczką na nich polować. Ot, tak cichutko puk... i znów: puk... i lecą pod nogi.

Zebrałem ja pęczek, za nóżki powiązałem i na obiad do generała Żeli-gowskiego do Andrzejowa jadę. A po drodze urząd pocztowy: tak i nadałem, powiązane za nóżki, kochanej żonie i dzieciom.

A generał — w Inie: portki i koszula, krawat i kapelusz, sukienka służącej i obrus, portiery i serwetki — wszystko Iniane. W ta pora generał o Inie, tylko o Inie mówił. Posadził mnie na Inem kryta kanapa i mówi:

— Len nas tylko żywi — ot co!

I jak raz — do stołu proszą. „Nu, cóż — myślą ja sobie — przyjdzi się za kanarka na Inianym siemieniu pobyc”.

Ależ nieprawda — indyk był i karp własny z jeziora pana generała. Pan generał — oszmiańczuk skapy — rybami w Wilnie napiwki dawał.

Pojedliśmy tego indyka i pogadaliśmy — o przeszłości.

Było to w ciężkich czasach u końca pierwszej wojny. Generał Dowbor chciał poddać korpus Niemcom, wzburzenie rosło, z wyższych oficerów jedynie generał Żeligowski był za walką z Niemcami i został usunięty z dowodzenia dywizją, którą prowizorycznie objął szef sztabu dywizji rotmistrz Anders, późniejszy dowódca 2 Korpusu we Włoszech. Nasz zamach na Dowbora, któregośmy uwięzili, spełził na niczym. Mój zastępca w redagowaniu konspiracyjnego pisma „Sumienie”, Gielniewski, strzelił sobie trzy razy w pierś, zanim zdołaliśmy mu wyrwać broń.

Dowbor, wypuszczony z więzienia, kazał mnie uwięzić i wyznaczył oddział egzekucyjny. Kiedy noc buntu była skończona i dzień wzeszedł, wysokie rangi korpusu starały się nie widzieć mojej żony, rodzona ciotka powiedziała jej, że rozstrzelają mnie słusznie. Wówczas napotkany Żeli-gowski przeszedł demonstracyjnie przez jezdnię, pocałował żonę w rękę i powiedział:

— Tak cóż ty zrobisz? Ale Polska, wszystko równo, żyć będzie.

— Słaba to była pociecha dla kobiety — śmieję się, wspominając późniejsze perypetie i sąd wojskowy.

— Tak cóż ty zrobisz? Jeden buntuje się i chcą jego rozstrzelać za to, a drugi nie chce buntować się, tak znów to niedobrze.

Opowiadał mi późniejszy premier, Zyndram-Kościałkowski, jak przyjechał do generała Żeligowskiego z rozkazem Piłsudskiego, by jego Dywizja Litewsko-Białoruska „zbuntowała się” i zajęła Wilno, które rządowi polskiemu, związanemu umową suwalską, nijako było zajmować.

— Nu, coż — oświadczył Żeligowski — buntować się, tak buntować się; tylko otżeż, niech mam na to rozkaz na piśmie.

Generał zaprosił się do mego wozu, którym jechałem do Wilna. Poszedł przygotować się do drogi, a ja przypomniałem sobie te dni, kiedy „zbuntowane wojska” jego wkraczały do litewskiej stolicy. Byłem u niego bezpośrednio potem. Przyjął mnie w Pałacu Tyszkiewiczowskim, w asyście Prystora.

Wysłuchał mego długiego spiczu, potarł strzyżoną na jeża głowę:

— Nu, a pan kapitan co o tym mówi? — przechylił się przez wielki wazon do Prystora.

Prystor obciągnął pas:

— Zdaniem pana generała jest... — począł rąbać.

— Nu, tak coż ty zrobisz — powiedział dosyć żałośnie Żeligowski, drapiąc się po głowie.

Kiedy jako ów wielkorządca zbuntowany wysyłał delegację za granicę, delegacja pytała, co ma odpowiadać na znany dla każdego fakt, że Rzeczpospolita przysyła mu pieniądze, przysyła wojsko.

— To i odpowiedzcie tak: „Przysyłają — nu i coż ty zrobisz?”

Teraz siedzi oto tu, na tym folwarczku. Len — to jego kolejna idee fuxe.

Wszystkie te jego kolejne pasje o wyprowadzaniu wojska w pole [to znaczy, żeby lato spędzało pod namiotami], o gromadzie wiejskiej, o Inie, o słowiaństwie — nie są pozbawione rozsądku, ale wypowiedane w sposób rozbrajająco prostoduszny. Ostatnie dywagacje o słowiaństwie, snute w czasie wojny, doprowadziły go bardzo daleko. Antek Bogusławski — który teraz w tym opowiadaniu siedzi właśnie z Szyfmanem przy

stole i wciąż się doczekać nie może, żeby mu powiedział, co za ptaszki je takie, bo ja tymczasem zajechałem aż do Żeligowskiego — opowiadał mi, że wiosną 1940 roku generał go zagadnął:

— Nu, jak pan myślisz? Wywiesi nasz rząd sztandar sławiański czy nie wywiesi?

— Nie zdaje mi się, panie generale...

— Nu, tak ja wywieszę. I na pana liczę.

A widząc, że się ta perspektywa nie uśmiecha rozmówcy:

— Tyleż zgadywali, co znaczy te czterdzieści i cztery. Ot, a ja i roz-kąsił tego Mickiewicza...

— ?

— To znaczy, że w 1944 roku sławianstwo zwycięży.

— Ale tam jest jeszcze: „Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy”...

— Cóż pan chce? Poeta... Musiał poplątać.

Wówczas, kiedyśmy siedzieli tak w dworku andrzejowskim, tkwił raczej w planach gospodarczych, zbijany raz po raz z pantałyku przez naczytanych ekonomistów. Nabożnie słuchał ich wywodów, biorąc to tylko, co mu pasowało, borykając się swoim litewskim uporem z obcymi mądrościami.

— Jak raz po drodze stryjaszek pana znajduje się — zaproponował, siadając do auta — zajedziemy w ta pora?

Trochę zrobiło mi się nijako. Prezes, Stanisław Wańkowicz, były członek Dumy rosyjskiej (parlamentu), wielki obszarnik, znany z bardzo wstecznych poglądów o wielkiej domieszce krajowości (kierunek będący pogłosem historycznego separatyzmu Wielkiego Księstwa Litewskiego), nie aprobował mego jakobinizmu. Nie dziwota, że stryj Stanisław, postradawszy ogromne dobra po traktacie ryskim, osiadłszy na pozostałej mu Peteszy na Wileńszczyźnie, rozżalony był na tę niepodległość, zabierającą mu ziemię na rzecz reformy rolnej. Jak raz na parę tygodni przedtem wysmałił w „Słowie” nie podpisany artykuł, ostrzegający braci-ziemian przed dziennikarzem, uwijającym się po dworach, coś spisującym, coś fotografującym. To było strzelone w bratanka, który wolał nie napataczać się starszej generacji.

— Bo widzisz, pan — dowodził w drodze Żeligowski — stryj aszek pański, prawda, dobrze pisze, ależ i gospodarzy, to i warto posłuchać i zrozumiesz łatwiej. Bo cóż, Staniewicz (procesor rolnictwa na Uniwersytecie Wileńskim) — on wie, ile krowa w Południowej Ameryce kosztuje, ale nie wie, ile w Lidzie.

Zajeżdżamy, wchodzimy, generał przodem, a ja z tyłu, znaczy się, malutki taki zrobiwszy się.

Wyszedł stryjasek, kamizelka u niego czerwona, spodnie pepita, nie inaczej gdzieś w Nizza kupione, bo stryjasek był na Nizza wielki amator, t Tylko popatrzył — miarkui, że tam za generałem sam ten od reformy rolnej koposzy się.

Ależ stryjasek nic. Znaczy się: „Wszak, gdy wstąpił w progi moje, włos mu z głowy spaść nie może”.

— Cóż zrobić — ppowiada — bardzo przyjemnie, proszę do środka. Włos włos, ale to, co pokrywa włosy, nie podobało się stryjaskowi dobrodziejowi.

— Patrzeć nie mogę na takie czapki — akurat obaj z generałi. mieliśmy miękkie, wełniane czapki, powszechnie używane w podróży przez naj rasowszych lordów z pledami — wszyscy franci po Wsiach takie sobie kupują. Jak tylko idzie po wsi w takiej czapce — zaraz wiem: bolszewik.

Po takim dictum zaprosił nas na kolację, a przy kolacji podjęliśmy dyskurs.

Nie tak to już powiedzieć my, bo ja, smarkacz, ledwo pod pięćdziesiątkę miawszy, siedziałem cichutko i z uszanowaniem. Prezes to związku rodowego nie był, bo prezesem był stryj Paweł z Szy pian, ależ co stryj, to stryj, a i jeszcze zagniewany na dodatek.

Generał miał stryja w wielkiej estymie. Wiadomo, człowiek bywały, były poseł do Dumy, były poseł polski na Ukrainie. Jak nie weźmiesz — na każdy bok szanują jego, znaczy się. A generał trapił się bardzo obdłuże-niem rolnictwa i uważał, że jak len nie wyciągnie, to już prosto zginać przyjdzie się.

— Nu, a co pan prezes na kont tego myśli?

Stryj Stanisław uśmiechnął się dobrotliwie na te nieskomplikowane koncepcje rolnika-amatora. Toż tu wyższej polityki trzeba, a ten z Inem sunie się.

Tak tedy mówi łagodnie i wyrozumiale, nu, jak do dzieciuka prosto:

— Żadne takie paliatywy nie pomogą, jeżeli polityka rolna rządu się nie zmieni.

Ot, niedaleko, za ścianą, mamy przykład, u Niemców choćby-Tam jak ziemianin zadłuży się, to rząd przejmuje majątek, zagospodarzy pięknie, oddłuży i, powiedzmy, po jakich latach pięciu oddaje jemu i ziemianin może gospodarować.

Generał słuchał z nabożeństwem i bardzo starannie w głowie sumował. Kiedy stryj skończył i prosił do stołu, stanął dramatycznie w progu „ali jadalnej, potarł jeża i zapytał:

i No a jak on i znów długów narobi? Tak cóż ty wtedy zrobisz? Minęła kupa lat.

Aż pewnego razu z Nowego Jorku przyjechała do nas kuzynka.

Mówimy to, dy sio, aż nareszcie mówi do mnie ona: __ Mój drogi, twoja opinia powinna zaważyć, bo przecie ty teraz seniorem rodu jesteś. Ot jak!...

Z Wileńszczyzny pojechałem na pardwy na północ. Polowaliśmy na doskonałych terenach koło wsi, której cała ludność żyła z wyrobu kołowrotków. Uprzedziwszy miejscowego księdza, że przyjedziemy na obiad, martwiliśmy się, że to piątek.

Proboszcz nas jednak przyjął apetycznie upieczonym prosięciem i wódką z lodowni w zapoczonej karafeczce. Uniósł ręce nad prosiakiem i wygłosił formułę:

Porosia, porosia,

Pieremieniś w karasia,

A siej napitok w czystuju wodu*.

Tymczasem zaś otrzymałem list z domu: moje kobiety dziękują mi za przysłane... kuropatwy. To te jarząbki z Puszczy Rudnickiej!

Przywiozłem więc tym razem pardwy osobiście, a teraz Szyfman i Bogusławski siedzą za stołem i zgadują. Antek zgodził się, że za każdego fałszywie wymienionego ptaka musi wypić kieliszek Ttisz Divinis. Kiedy wreszcie, objechawszy całą dziedzinę ornitologii, zgadł, że to pardwy — już było za

późno...

Sam dopiero w tym dniu miałem powziąć pewne podejrzenia co do tej wódki.

Na razie było wszystko w porządku. Szyfman wkrótce się pożegnał, ale Bogusławski pozostał do kolacji, przy której znowu piliśmy Trisz Divinis. Przeszliśmy do biblioteki. Zeszło do jedenastej. Anteczek był ruszony, ale wyszedł równo, sztywno z bukietem komplementów dla pani domu.

Prosiątko, prosiątko, przemień się w karasia, a napój ten niech się przemieni w wodę.

Następnego dnia o ósmej dzwoni do nas pani Bogusławska, pytając o męża. Po półgodzinie dzwoni samże on:

— Słuchaj, Mel — głos jakiś strwożony — o której od was wyszedłem?

— O jedenastej.

Chwila milczenia, po czym głos grobowy:

— To gdzie ja całą noc byłem? Okazało się — nic nie pamięta.

— A ile pieniędzy miałeś?

— Sto sześćdziesiąt złotych, bo przed przyjściem do ciebie wypłacili mi w „Kurierze Warszawskim”.

— A ile teraz masz?

— Czekać... liczyć... sto pięćdziesiąt pięć.

— No to cię ta noc tak drogo nie kosztowała.

— Ale gdzie ja byłem?

Tak oto pierwszy raz zadebiutowała mieszanka aptekarza z Połagi. W trzy miesiące potem dopiero dowiedzieliśmy się, że Antek zaszedł do mieszkającego na naszym osiedlu Wacława Grubińskiego i tam się przespał, a pięć złotych wydał na taksówkę.

Począłem badać, co by też to były za zioła. Może był między nimi blekot?

Następną ofiarą tajemniczego trunku padł Witold Hulewicz. Rezydował wówczas w Wilnie, jako kierownik radia. Zjechał do Warszawy na doroczny zjazd Penklubu z rewolucyjnymi wnioskami, które miały narobić wiele złej krwi. Przyjechał rano, zatrzymał się na Żoliborzu u brata, zaszedł do nas i jakoś został na obiad.

Dałem mu osiemdziesięcioprocentową „palinkę”, nalewkę węgierską na morelach, którą z nim popijaliśmy na kongresie Penklubu w Budapeszcie, a potem — tak cóż ty zrobisz? — Trisz Divinis.

Miałem po niego zajechać o piątej i zabrać na zebranie. Klaksonuję-Blade twarze wyglądają z różnych okien. Wreszcie wychodzi pani bratowa i mówi, że Witoldowi zrobiło się niedobrze. Dałem gazu i zwałem. Doroczne zebranie było uratowane.

Natomiast okazało się, co przypuszczałem: Trisz Divinis.

Witold wywrócił się na schodach, rozbił nos (ta blizna została mu na całe życie), biegali koło niego do północy, a o północy wyjechał z powrotem do Wilna. Jechał kolejno dwie noce w tę i tamtą stronę, aby się napić wódki, sprowadzonej właśnie z jego miasta.

Powracający z Ameryki dwaj pisarze rosyjscy, Ilf i Pietrow — spółka, która napisała iskrzące się ciętą satyrą „Dwanaście krzesel” i „Złote ciele” — przyjechali do Domeczku na obiad. Towarzyszył im sekretarz Ambasady Radzieckiej, Aleksandrów. Lubilem gości podpoić, ale wiadomo było, że Aleksandrów nie da pić dużo. Rozstawiłem więc łapki gęsto — jak się wiesz paski lepu na muchy: jak nie na tym, to siądzie na drugim.

W saloniku podałem koktejle. Była to sztuka — tak niewinnie nazwać spirytus. Na miarę czystego spirytusu wzięte było pół miary soku grejpfrutowego, do tego nieco, dla zmylenia, curacao, i dla koloru — gre-nadyny.

Wszystko to podane w płytkich szampankach, na oko bardzo niewiele; w gruncie rzeczy szampanka mieściła pół szklanki.

Kiedy, celebując potrząsanie mikserem, nalałem gościom koktejl z miłym akompaniamentem sześcianów lodowych i opatrzyłem go wisienką, Pietrow, spróbowałszy, utkwiał we mnie wzrok ze zdumioną aprobatą:

— Eto — grom Bożij!...

— Jak, jak? — zainteresował się Aleksandrów.

Obaj spryciarze na to chyba gołnęli po szampance — ot jak!... Już im tego nikt nie odbierze.

Mowy nie ma, abym mógł ponowić, z rezygnacją więc poprosiłem do stołu. A tam — na każdym talerzu mały talerzyk. A na małym talerzyku — oliwka owinięta kawałkiem gorącego boczku, przełknięta wykałaczką, drobna przegryzka przy niedrobnym kielichu Trisz Divinis.

Widziałem na twarzy Aleksandrowa wahanie — ale jakże tu zbruta-lizować gościnność, demonstracyjnie zostawiając nalany już kieliszek.

— Nu, po jednym — zaaprobował.

— Po jednym! — podchwyciliśmy radośnie. Trisz Divinis poszedł do spirytusu i począł z nim tańcować. Doleciało białe wino przy rybce, czerwone przy perliczce, węgryzn sześcioputtonowy przyszedł do deseru, wszystko zrobiło się łatwe.

Jeszcze w saloniku przy koktejlu mieliśmy światowe strapienia. Goście opowiadali, jak jechali z Nowego Jorku do Filadelfii i sondowali opinię przeciętnego Amerykanina. Szofer zgadzał się z ich wywodami, że nie powinno być między ludźmi różnic z przywileju, że należy ograniczyć gromadzenie się kapitału w rękę jednostki. Wydawał się zupełnie zrobiony, więc wjeżdżając już do Filadelfii, Ilf spytał:

— No, dobrze, więc do jakiej sumy, według ciebie, powinien być ograniczony kapitał w rękę jednostki?

Szofer pomyślał i wyraził opinię, że... do miliona.

— Poniemajecie — śmiał się Pietrow — on, swołocz, narowił, wsio taki, czto sam do miliona doleziat*.

Ale w bibliotece przy kawie i koniaku (ściślej mówiąc — koniakach bo Aleksandrów niebacznie zainteresował się recenzją Radka z mojej „Opierzonej rewolucji”) — było miejsce tylko na rozczulanie i rozanie-lenie, podczas którego, całkiem już bez sensu, goście łykali ze szklanek (!) jako oranżadę Trisz Divinis, chytrze przymrużając do mnie oko.

Aleksandrów się przepłoszył.

— Nu, pora i cześć znać —: powiada — jedziemy, o godzinie piątej wszak recepcja dla naszych drogich gości w ambasadzie.

Pojechali. W godzinę potem ja za nimi. Salony ambasady były już pełne. Ufa już nie było. Natomiast w kręgu życzliwie rozbawionych gości Pietrow perorował do Kuncewiczowej, ubranej bardzo atrakcyjnie:

— Te Polki, ach te Polki... Jak one się ubierają!... Palce lizać... Ale jak one muszą się rozbierać?...

Nieznośny Aleksandrów spadł na niego jak jastrząb:

— K wam tieleton iz Moskwy.

Uprzątnęli biedaka, a my długo jeszcze ucztowaliśmy — bez solenizantów.

Ktoś podsłuchał, jak radca ambasady, Nadolski, szepnął do ambasadora Owsiannikowa-Antonienki:

— Bieda... U Wańkowicza natiukalis'..."*

Tak cykał sobie oto korowód pijusów z rzadka po troszeczkę przez Domek dla ubarwienia nudnego życia. Trisz Divinis krył w sobie niemożliwe psikusy. Ksawery Pruszyński, który przyszedł z pierwszą wizytą, nagle obudził się w środku nocy na otomanie w gabinecie Kinga, zzuty ze wszystkich szat, które tymczasem schły po odczyszczeniu, i wdziany w Kingowy szlafrok.

Nazajutrz przysłał pani domu bukiet róż i list: „Kupiłem savoir-vivre, ale nie znalazłem pouczenia, jak się zachować w podobnej sytuacji, więc tylko posyłam róże”.

Trisz Divinis — był wspólnik zbrodni chytry i niezawodny. Gość (chyba że posiedział w Domeczku dłużej jak Pruszyński) nigdy nie ulegał katastrofie na miejscu. Wychodził w dobrej formie, wsiadał do siedemnastki w

dobrej formie, a co już się z nim dalej działo, za to Domek nie odpowiadał. F4ie, nie zataję, że ofiarą pijackich praktyk zdarzyło się pewnego razu paść własnej ślubnej żonie, czyli tak zwanemu Królikowi.

Kiedyś prosiła, żeby instancjonować w jakichś wysokich urzędach za jakąś wielce zasłużoną koleżanką.

— Dobrze — powiadam — ale pojedziesz ze mną na kolację i będziesz piła równo ze mną.

Szantaż odbywał się u Simona i Steckiego. Przed każdym kieliszkiem wysuwałem nową koncepcję urzędnika owej koleżanki, którą to koncepcję miałem sformułować po wypiciu kieliszka. A że tych, coraz ge-nialniejszych koncepcji przyszło mi do głowy hm... kilkanaście, więc śmiejąca się moja partnerka dojechała do Domeczku z dziwnymi ideami. W Domeczku właśnie gościł Tol, tymczasem Królik zasiadł w łazience na stołku, zaśmiewa się i powiada, że mu tam najlepiej i że nie wyjdzie.

Dopieroż zgromadzeni pod drzwiami domownicy zaintonowali naprędce ułożoną serenadę:

Słońce wschodzi i zachodzi, A my tu czekamy wciąż: I twe córki, i twój szwagier, I twa Wikcia, i twój mąż.

Wmówiłem następnie w niebogę, że schodząc onego haniebnego wieczoru po schodach u Simona i Steckiego, stłukła wazon z palmą. Odtąd za Boga nie chciała się pokazać u Steckiego („Wiesz, tam jakaś zła kuchnia...”).

Za bardzo wczesnych lat obchodził imieniny jeden z kolegów — Bolek Wścieklica. Było to na Pohulance w Wilnie. Wysuszyliliśmy wszystko, co miał, tymczasem nad ranem począłem się chwalić, że jeszcze pić mogę. Nagle się porwał do współzawodnictwa Staś Janikowski, syn znakomitego podróżnika, towarzysza Rogozińskiego w wyprawie do Kamerunu. Staś, późniejszy radca ambasady przy Watykanie, nie poszedł w ślady swego przygodowego ojca. Ciało miał raczej mdłe, umysł książ-kowca. I nagle takie chuchro!... Poczułem się znieważony.

Bolek nie miał już żadnej wypiteczności — oprócz dwóch trzyćwierćlitrowych butelek... nie oczyszczonego spirytusu, które zaiwanił u ojca w gorzelni.

Czym chata bogata... Postawił jedną butelkę przed Stasiem, drugą przede mną. Piliśmy równo i na komendę. Zrobił się dzień. Nasze organizmy, zrezygnowane, widać machnęły ręką na tych wariatów, przestały się nimi zajmować. W takich okolicznościach nawet Niagara mogłaby przez człowieka przepłynąć, nie tylko te marne trzyćwierćlitrowki, które niebawem stały suche, a my nic... patrzyliśmy na siebie dalej szklanymi oczami, gotowi w nieskończoność.

Wówczas opiekuńcze pijaki wydelegowali dwóch najtrzeźwiejszych aby nas odwieźli do domu.

Mnie dostał się taki najtrzeźwiejszy — Januszek.

Januszek znany był z talentów -dyplomatycznych. Kiedyś przy bufecie przyczepił się do niego zalany Wicus Wagner, wyzywając go od ende-ków. Januszek sam nienawidził endeków. Był dylemat: gdyby się ich odżegnywał, wyglądałoby, że boi się burdy, gdyby zaś nie prostował — wyglądałoby, że jest endekiem.

— Znalazłem genialne wyjście, kochaneczku — opowiadał potem („kochaneczku" wsadzał co drugie zdanie). — Powiedziałem Wicusowi, że jego razem z endekami mam w dupie.

Mistrz więc dyplomatycznej riposty, można powiedzieć — Talleyrand wileński (nawiasem mówiąc pełnił zbawienną rolę mediacyjną przy rozgorzałych w Bratniej Pomocy Akademickiej kłótniach), sprowadził mnie z należytą atencją ze schodów. Była już dziewiąta rano, studenci szli na wykłady. Do rozglądającego się za dorożką Janusza podszedł prezes Bratniej Pomocy, który akurat się napatoczył, i począł z nim coś „ustalać", prosząc o mediację.

Świeże powietrze mnie rozebrało. Nie podobało mi się, że ten tam prezes nie przedstawił mi się. Włożyłem na okazję popijawy dziwaczny tyrolski kapelusik z piórkiem. Zdjąłem go i wsadziłem pędzelek borsuczy prezesowi w nos. Prezes, oburzony, coś zagulgotał z godnością.

— Janusz — krzyknąłem do swego opiekuna — i ty na to pozwolisz? Nie widzisz, że naszych obrażają?! Oj, słusznie biadał Krasicki:

Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku. • Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku (...)

Bo Talleyrand wileński, najtrzeźwiejszy z pozoru, dodany, aby baczyć na me kroki, którego widocznie również ten świeży luft rozebrał — jak nie gwizdnie prezesa z całego serca w pysk!...

prezes miał jednak wszelkie kwalifikacje na lidera, to znaczy szybką orientację: ujrzałem tylko jego piętę szybko bębniącą w dół po drewnianym chodniku Pohulanki.

ja byłem w Wilnie przelotnie. Ale biednemu Januszkowi sprawa ta potem barłoczyła się1 podobno pół roku.

No, ale byliśmy młodzi. Potem już człowiek w trunkach przebiera. Pamiętam biskupa gnieźnieńskiego Laubitza, do którego zajechałem z komisją zwiedzającą wykopaliska biskupińskie.

Biskup Laubitz był znawcą win.

Staiuszek patrzył smutnym wzrokiem, jak Prześwietna Komisja — chlast...

chlast... — oporządza omszałą butelkę.

Zauważył, że ja swój kieliszek potraktowałem z należytą atencją, i powiada:

— Pokażę panu ciekawe stare akta. Wyszliśmy i stare akta okazały się dobrym, starym węgrzynem.

Popróbowaliśmy go z nabożeństwem i popatrzyliśmy na siebie z rozczuleniem.

Kiedyśmy wrócili, kapelan biskupa spytał, zmrużając oko:

— Podobały się panu akta? Nasz biskup patrzeć nie może na profanację dobrego wina. To, co dał komisji, to butelki omszałe, bo omszałe, ale w środku — cienkusz. Ale niechby jego kto chciał oszukać. Próbowali dawniej proboszczowie na wizytacjach pasterskich podsuwać butelki o szacownej marce. Ale Pasterz, kiedy znalazł inną treść niż etykieta, mawiał, patrząc z rozwagą w kieliszek pod światło:

— Suknia Jakuba, ale głos Ezawa.

Ale mało jest ludzi nie ulegających sugestii etykiety. Zarówno na winie, jak na cygarze.

Zwiedzając fabrykę cygar w Hawanie, otrzymałem w darze od dyrektora sześć cygar takich, jakie były specjalnie wyrabiane na zamówienie zmarłego króla Edwarda VII. Miałem nieostrożność wspomnieć o tym w jakimś felietonie. Kiedy wróciłem — już niemal na dworcu rozchwyтали mi amatorzy te sześć cygar. Nagle na trzeci dzień przywędrował poeta Jan Lemański. Katastrofa. Bo pan Jan był znawcą i amatorem dobrych

cygar. Zawsze mu przywoziłem jakiś rarytas. Pan Jan jednak był srogi Zapalając jakiegoś holenderskiego tinchant, mówił łaskawie:

— Dobry... wcale dobry... Ale nigdy Europa nie dogoni Hawany__

po czym następował wykład o eoloiado claro i colorado maduro, aromatycznych drobnych concha, o smukłych, długich panetela, o patykowatych coróna.

Tu nagle się zjawia, a tej hawany już nie ma.

W popłochu pchnąłem pokojówkę do najbliższego sklepu po najlepsze cygara. Ale żoliborska trafika miała jedynie cygara najtańsze — „Tra-buco”. Zamieniłem krajową banderolę na hawańską i wniosłem uroczyście na tacy to dorożkarskie cygaro. -

Pan Jan, zagłębiony w safianowym Lehnstuhl, wziął z nabożeństwem króledwardowskie paliwo, rozpoczął się namaszczony obrzęd obcinania, zapalania, wreszcie pociągania: odrzucił głowę na poduszki fotela, przymknął oczy; czekałem ze strachem na wyrok. Grzybek popiołu, święta rzecz, rósł na tej wspaniałej hawanie. Pan Jan wreszcie otworzył oczy:

— To jest... cygaro — wygłosił z głęboką rewerencją. — Na pewno tytoń z Remedios

— obrócił uważnie cygaro w rękę — chociaż liść zewnętrzny z Vuelta Abajo: to jedyny dystrykt, który daje tak wspaniałą wrapper, otoczkę.

Będąc na Cyprze w czasie wojny, wypaliłem jedno z najgrubszych „cygar pana Jana”. Nasza polska grupa, składająca się z pięciuset „gości Króla Jegomości”, najbardziej zagrożonych przez Niemców, w czas wywiezionych z Węgier i Bałkanów, składała się z dygnitarzy państwowych i intelektualistów wszelkiej marki. To znaczne gremium ogłosiło konkurs na kapliczkę polską, którą mieliśmy postawić Cypryjczykom jako wspomnienie po nas.

Przypomniałem zdarzenie w salonie „Niezależnych”, na którym wystawiony „Wschód słońca” nieznanego malarza zwrócił uwagę koneserów, aż wreszcie doczekał się nader pochlebnej recenzji czołowego krytyka. Wówczas zamieszczono w prasie fotografię osła z uwiązany pędzlem do ogona i akt notarialny, z którego wynikało, że osłu kolejno maczano ogon w kubelku z coraz to inną farbą, karmiono marchwią i podstawiano napięte płótno, po którym z ukontentowaniem merdał ogonem. To ten właśnie osli produkt wzbudził zachwyty.

W rysunkach Pan Bóg mnie pokarał: nie mogłem nigdy narysować najprostszego sześcianu i koledzy przepychali mnie przez lekcje rysunków. Teraz jednak kupiłem sześć brystoli, kredki, machnąłem sześć projektów, posłałem, opatrzywszy godłem, i skonstatowałem, że na wer-

104

nisażu lojalnie je wystawiono. Posuwałem się z tłumem intelektualistów j miałem nieklamana frajdę, jak małpiszony przysuwały się i odsuwały, j wyrokowały: „W tym coś jest...” „To jest pod wpływem Noakowskiego...” Ileż tych „cygar pana Jana” palono nie tylko w malarstwie, ale i w literaturze!

Przy picu i to ważne — czym zakąsić.

W Paryżu, w „Hotel de la Regence”, w którym mieszkaliśmy z żoną, spotkaliśmy kolegę jeszcze z lat szkolnych. Stary kawale*; skąpy, ale trzymający się snobistycznej zasady mieszkania w „reprezentacyjnych” hotelach, wynajmował pokój na poddaszu, w którym podłoga była ukośna. Spał więc jednej nocy głową w górę, a drugiej nocy nogami w górę i robił spostrzeżenia nad różnością snów, związanych z obu postawami.

— Idziesz na obiad? — spotkał mnie w turnikiecie. — Ach! tak mi już zbrzydły te Duvale. Czy nie znasz jakiej niedużej restauracji w pobliżu?

Zapachniał mi dobry obiad i zaraz sprawdziła się maksyma markiza de Vauvenargues, który taki miał wpływ na Voltaire'a: „Wielkie myśli przychodzą z żołądka”. Przyszła mi mianowicie myśl do głowy: „Przecież restauracja pana Montagne jest nieduża”. Pan Montagne był prezesem klubu smakoszków Francji. Poszliśmy więc do Montagne. Kolega, ujrawszy publiczność w wieczorowych strojach, zapał się w wejściu, ale już było za późno.

Po długim przeglądaniu karty wybrał danie najtańsze — smażone makrele. Był jednak głodny i spozierając na moje upychanie, zdecydował dobrać deser. Zażądał brzoskwiń, których cena wydała mu się stosunkowo niska.

Niezwłocznie począł się cyrk. Najprzód wkroczyła, stukając sabotami, dziopa w stroju bretońskim z koszem wiklinowym pełnym brzoskwiń; potem podjechał wózek lśniący mahoniem, niklem, kryształem; potem w jakiś cylinder szklany naładowano wiele brzoskwiń...

— Wiesz — powiada kolega — jednak niektóre ceny są dosyć umiarkowane; przecież to ogromna porcja; pozwól, że każę dać drugie nakrycie; podzielimy się.

Cylinder wsadzono w łód, dołączono prąd, cylinder począł się kręcić w lodzie.

Równocześnie ustawiono na wózku kryształ z żółtym sosem. Wreszcie uformował się pochód ku naszemu stolikowi: poprzedzał go ministrant z wielką złotą warząchwią; za ministrantem inny z miną wtajemniczonego pierwszego stopnia pchał wózek; za nim najgłówniejszy kapłan kroczył z miną dającą do zrozumienia, że to on w zbliżającym się obrzędzie odegra główną rolę; pan Montagne od ołtarza buchającego całopalnym ogniem (przy którym podpichcał idące z dołu przyprawy) wysyłał jakieś błogosławieństwa. ,

— Ależ, mój drogi, nie krępuj się — szeptał kolega, podczas gdy mu grdyka na chudej szyi grała na widok tej spiętrzonych piramidy mrożonych brzoskwiń pod kryształowym kloszem — przecież ja sam nie zjem tego wszystkiego.

Tymczasem pochód się zbliżył do naszego stolika. Należy podziwiać ujmującą skromność, iście gallickie poczucie umiaru: żaden herold nie zaanonsował fanfarami na srebrnej trąbie, nikt nawet nie zameldował. Po prostu drab wiozący wózek odkrył klosz; drab, idący za nim, nałożył... jedną brzoskwinę; trzeci drab, ten ze złotą warząchwia, polał brzoskwinę żółtym sosem; po czym wszystkie trzy draby odpłynęły uroczyście, tylko ich szyje zdawały się drgać skrytym śmiechem z tej drgającej łapczywej grdyki.

— Zapomniałeś kazać podać mi talerzyk — powiedziałem. Pokwitowałem mnie żalonym spojrzeniem jak dziewica poświęcona Mitrze, którą z tamtej strony pieca ognistego łapie kaprawy kapłan, powiedzmy za portmonetkę.

Bieda była z tymi lubiącymi zjeść nie tyle dobrze, co dużo Polakami, jadącymi do Paryża.

— Powiedzże — badał jeden z nich, homo rusticus — gdzie tam dobrze podjeść można. Bo to elegancja, figle-migle. Ojciec-żeż jeszcze twój opowiadał, że jak chciał, żeby jemu w piecu w hotelu napalili, to służąca ze śliniaczkiem na brzuszku pytała, ile wiązek podać, a każda wiązka była po franku, trzy szczapki przewiązane wstążeczką. Elegancja. A zjeść nie ma co.

Przypomniałem sobie „La Reine Pe*-doque”, knajpę Anatola France'a, w której, jak w rzymskiej Canope, wita gości płomień i kucharze kręcący rożny. Obiady tam na owe czasy były po dwadzieścia pięć, a dodatkowe hors d'oeuvre po pięć franków. Ale, jak chciałeś szynki, to ci podtaczano całą szynkę, jak chciałeś masła, to przynoszono glinianą michę z wetkniętą drewnianą łyżką.

— Jakże się jadło w „La Reine Peditoque?” — spytałem eks-sąsiada po jego powrocie.

— A niech ich. Nu, na pierwszy raz niczego sobie: podjadłem, jak się patrzy, tej szynki, wiadomo, nabiegawszy się, jeść chce się. I szynka niczego sobie — mówią jambon de Parma, ale cygaństwo — musi od nas jałowiec sprowadzają. Tylkożeż, czuję, patrzą na mnie i szepczą. Wiadomo durny naród, nie zwykły jeść. Na pierwszy dzień z ranią poszedł ja do tej ichniej Rotondy, zjadł bułeczek małość, płacę ja kelnera, tak ten co nie oszalał: Voilh un monsieur qui a mangé huit biio-ches... — krzyczy. A te Francuzy brawo dali. Pójdąs raz z tej całej szynki, zmyślił ja drugi raz przyjść. Tylko jak wszedł ja — aże zbledli te Francuzy. Nu, ale nic — szynka, tak szynka, miska masła, tak miska... Tylkoż przy rachunku podlatui ichni metrdotel i siuli kelneru druga karteczka. Cóż okazui się:

Addition: Beurre 25 h Jambon 50 ir

A niech oni skisno!...

W obcych stronach popadysz i nieraz nieporozumienie wychodzi. Bohater Lejkina, chcąc zjeść prosiaka, dysponował „dziecko świni”.

Pamiętam, czuć nie dzieciukiem będąc, pojechałem po maturze do Włoch. Kiedyśmy dojeżdżali do Florencji, jeden tubylec mówi, żeby obowiązkowie drobne ptaszki smażone próbować, uccellini nazywają się.

Aż na upstrzonej misie w rozmaite wzory Dwanaście wróblów niosą nam z kalafioru. Wacław Potocki „Bankiet wioski”

Zakonotowałem, żeby pamiętać, że to jak Benvenuto Cellini.

— Benvenuto, Benvenuto... — powtarzałem. Napatrzyłem się w Uffizi Botticellich: pamiętałem, że to coś na „B”, i zamawiam:

— Porcję Botticellich.

Kelner przyniósł — butelkę wody mineralnej Botticelli. Na deser zaordynowałem winogrona (uva).

— Uova — mówię (a to znaczy — jaja).

A on pyta ile. Co ja jemu powiem, że pięćdziesiąt jagódek? Więc mówię:

— Mołto — i jeszcze gest robię, pokazując, że kopiasto. To on pyta:

— Ben cotto?

Wariat, winogrona „dobrze ugotowane” będzie podawał. Ja wiem, że po tych dwóch butelczynach Chianti Val d'Oro jestem pod gazem. Ale żeby kelner był podpity?

— Crudo — mówię (surowe).

Ani okiem nie mrugnął, przywykł do ekstrawagancji, przyniósł michę jaj na surowo.

No, ale już na swoim jedzeniu, powiedzmy choćby na przykład, na tymże kołdunie, to już mnie nikt nie oszuka.

Wprawdzie Jan Chryzostom Pasek rymował na temat kołdunów:

Bo to świńska potrawa, jeść się jej nie godzi. Widzę, Litwin a świnia w jednej sforze chodzi.

Ale co on tam wie, ten koroniarz.

Kołdun jak łoś... Jedyne, pono, predyluwalne zwierzę na naszej ziemi, cudaczne ze swymi łopatami, garbatym karkiem, brodą. Musi nam starczyć i za dziobaka, i za kazuara, i za kangura, i za kiwi.

Kołdun nam musi starczyć za ongiś pożerane łapy niedźwiedzie, bobrowe ogony, pryski (łosiowe chrapy), pawie pieczone z saporem, za kin-dziuk i za szwilpiki, i za skrydle, i za skiłładź. Sprężyno życia, wielowładny brzuchu,

Co ziemię całą utrzymujesz w ruchu, Tobie, któremu hołdują i trony, Brzmią moje struny.

Kanterbery Tymowski.

Ależ i rzadki to w nasze czasy zwierz — kołdun akuratny.

Zdarzyło się z wieczorem literackim do Wilna przyjechać. Wieczory te w klasztorze pobazylińskim odbywały się w celi, gdzie Mickiewicz był więziony.

Żeby taką rzewność przetrzymać, wiadomo, nie podjadłszy, nie dasz rady.

I ot, na dworcu, trzech mnie czekało i każdy na obiad do siebie ciągnie. Tak ja pytam, u którego kołduny będą. Okazuje się — u wszystkich trzech.

Wtedy ja ich porządkiem w rzędzik ustawił i pytam po kolei:

— Z majerankiem?

Okazuje się — u. wszystkich z majerankiem. Obowiązkowie.

___ A czy nie na wołowym łoju okażą się czasem?

Patrzają oni na mnie i nic nie mówią, smutne tylko takie zrobili się. Ot — myślą sobie — co z najlepszych synów ziemi wileńskiej robi się w Warszawie. Koroniarz regularny... Jakże to i do głowy przypuścić, żeby kołdun nie na baranim łoju był”.

Westchnął ciężko pan Jan Bułhak, fotograf znakomity, wziął mnie pod rękę.

— I nie gadaj wiele, panie Melchiorze, nie w żmurkiżeż bawić się do korzennych wileńczuków na kołduny przyjeżdżając. Po kopie na nas dwóch na Świętojerskiej już przygotowane. A jak mało będzie — do nich pojedziem zaprobować.

Ostatni raz przed wojną zdarzyło się jeszcze zjeść akuratne kołduny. Pewno, że nie u jakiegoś tam Steckiego — że talerz rosółu dadzą, a w nim pływa tuzin jakichś drobnych pierożków. (Mann w „Buddenbroo-kach” mówi, że „to smakuje, jakbyście język wywiesili za okno”.) Ale u siebie — w Jodańcach. Czytelnicy „Ziela na kraterze” wiedzą, że gospodarzyła tam Reginowa, siostra starsza, która na spótkę ze mną tę resztówkę miała.

Kiedy na rok przed wojną nastąpiło przywrócenie stosunków dyplomatycznych z Litwą, na dwa miesiące przed jej wybuchem wybrała się na Litwę wycieczka polskich pisarzy i dziennikarzy. Było ich trzydziestu, doprosiłem trzydziestu Litwinów i przyjąłem w Jodańcach sześćdziesiąt osób. Główną atrakcją był konkurs — kto zje najwięcej kołdunów.

Kontrola była sroga. Wydawało się po pięć kołdunów. Kołdun jodański bowiem, bez żadnych idiotycznych uszu z ciasta, kołdun pełniarki po brzegi, był taki duży, że całą dużą łyżkę od zupy zajmował. Dawać więcej jak pięć — to już szósty nie będzie gorący jak się patrzy.

Otóż przy każdym pięciu kołdunach gość otrzymywał karteczkę z numerowanego bloczku, na której wpisywał nazwisko. Żadnego oszukaństwa nie mogło być.

Do pół kopy ciągnęło wielu, ale potem coraz to zaczęli odpadać.

Litwini straszliwie gorączowali się, żeby ich na ich własnej ziemi, w ich własnych litewskich kołdunach ci korniarze nie przezarli.

Wystawili zawodnika — Goliata. Liudas Girą nazywał się, prezes ichnich literatów. Piątkę za piątką łupi i z talerzem po nowe leci.

A tymczasem po naszej stronie Dawid znalazł się. Maleńki, cicheński, Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z Mostu”. Patrzą ja i zdębiałem: czternaście kartek prezentuje i po piętnastą idzie.

A tu litewski Goliat już na wolne obroty przeszedł. Widzę ja, trzy kołduny u niego na talerzu leżą i zamyślony jakiś taki siedzi, oka jemu wylazły jak u krowy wzdętej na koniczynie.

— Nie ma dziwu — tłumacza Litwini — już siedemdziesiąt dwa kołduny upchnął. My mu mówim, żeby zatrzymał się — na pewno i tak już jest królem kołdunowym. Tak on oddycha i na wiadomość czeka jak punktacja u innych.

— Boże mój! — lecę ja do Piaseckiego, a ten już siedemdziesiąty drugi kołdun niesie do gęby.

— Stój, poczekaj! — krzyczę. — Równowagę polsko-litewską naruszyysz, w innej my tu roli przyjechali.

A on, takież bez zrozumienia człowiek, pod moje krzyki ten kołdun połknął i za siedemdziesiąty trzeci bierze się. Chwycił ja za łyżkę, perswaduję:

— Nie już ty, drobne ciało, w tym nędznym brzuszku tyle kołdunów zmieścił. Nic, tylko oszukaństwo wychodzi. Litwini zakrzykno, że nowa umowa suwalska*.

— Nijakiego oszukaństwa tu nie ma — mówi Piasecki — żona moja z Lidy, widać w posagu spryt do kołdunów mi wniosła.

— Ale jak ty to robisz? — zainteresowałem się.

— Bardzo prosto: po każdym pięciu kołdunach jeden kieliszek Trisz Divinin.

Policzył ja prędko, że to już czternaście kieliszków wlał, i w samej rzeczy, oczki jemu malutkie takie zrobili się i maślane.

— I zjesz te trzy kołduny jeszcze?

— Co to trzy — mówi — ja zaraz po dalsze pięć idę.

— I nie myśl tego robić — mówię. — Litwini nie przeboleją.

— A ot i będę — mówi — co mnie Litwini? U mnie wyższy cel, jak przejść przez Girę. Ja założył bank rozbić, żeby u ciebie, znaczy się, kołdunów więcej w garnkach nie okazało się. Ot, i wstydu tobie narobię na całą Litwę.

Poleciałem po pomoc. Ludzie z jego obozu politycznego nadbiegli, tłumacza, rozczulił się:

— I nie w myśli mnie było psuć, co Jagiełło zaczął. Niech już będzie moja krzywda pro publico bono.

Skoczyli my do Giry, na siłę siedemdziesiąty trzeci kołdun jemu wepchnęli, jak indyku orzechy włoskie w skorupach przed Wielkanocą się wtyka, no i rozumie się, muzyka tusz, Liudas klęknął, stęknąwszy, przed panią konsulową Harwatową, z jej ręką figurkę polskiego świątka przyjął.

Minęło dwadzieścia lat. W Londynie wykombinował Szyszko-Bohusz panią, która robi kołduny. Zorganizowaliśmy. Et, szkoda gadać... A teraz przenoś moją duszę utęsknioną...

Kiedy po dwudziestu latach wróciłem — i myśleć bałem się o kołdunach. Wiadomo, staroreżymna rzecz. Plan perspektywiczny na ich miejsce jadłem, harmonogramem zagryzałem.

Aż kiedyś przychodzi zaproszenie z Wałbrzycha. Czytam ja, czytam, podpis rozpatruję — okazuje się sam najprawdziwszy kowieńczuk: całe tam gniazdo kowieńczuków w tym Wałbrzychu okazało się.

No i pojechałem. Co ja im podałem do strawienia — mniejsza. Ważniejsze, co oni umyślili mnie podać. A umyślili niewąsko: okazało się, że jest tam nie tylko kowieńska, ale i wileńska kolonia. I wileńczuki, i kowieńczuki chcą mnie przyjąć — kołdunami. Wieczór po wieczorze.

W ten pierwszy dzień zaszedł do mnie prezes do hotelu.

— A co, pójdziem coś przekąsić? — pyta.

— I nie namawiaj, waćpan. Od rana poszczę, herbaty tylko z cytryną na śniadanie wypiwszy. Okazjaż bo jaka: pierwsze kołduny po dwudziestu latach.

— Dwadzieścia lat bez kołdunów? — zdumiał się.

— Były jakieściś, ale czy to można za kołduny liczyć? Pomyśl pan — zniżyłem głos do tragicznego szeptu — ten jedyny raz w Londynie to przez maszynkę mięso przepuszczali.

A on, widzę, zdetonował się jakby, pokręcił się, zmyślił sprawę pilną i poleciał.

Wieczorem kołduny jak się patrzy. Trisz Divinis też. Pan aptekarz z Kowna Bańkowski, który we Wrocławiu mieszka, specjalnie na tę uroczystość przyjechał i mieszkankę przywiózł — on jeden receptę zna.

Śpiewali my „Za Niemen hen, precz” i śpiewali „Ty pójdziesz górą, a ja doliną”, i „Stała się u nas wielka pogłoska, zabiła męża Pani Twardowska”, a nareszcie „Siejau ruta” i „Jurgis imk mania”.

Aż na koniec nadojadać zaczęli, coby mistrz (ja, znaczy się) mowę wygłosił.

Wstają ja ta mowa mówić i tylko czuję — Trisz Divinis do wielkiego palca u nogi ciurk... ciurk... i z powrotem, znaczy się, do głowy... Póki w wielkim palcu on,

to i ja przytomny, ale jak do mózgu doska-kuje — Panie Boże, zmiłuj się,

— Ot — mówię — tylkoż na Kowieńszczyźnie umieli gościa uszanować. Kołdun, kiedy akuratny, jak jego językiem do podniebienia przy-ciśniesz, w sześciu miejscach naraz sok musi puskać. Koroniarze suną się widelcem jego jeść, śmiech prosto. A łyżka po kołdunach zabierać

nie dam, rosół pewno będzie, tak jego tą samą łyżką tłuszczem obroszą jeść trzeba — inaczej zaszkodzić może.

Wtedy pocałowali my się wszystkie na lewo i na prawo, a pewno w górę ^ w dół, pamiętam bowiem, że kolanko jakieści koło mnie sterczało, tak ja te kolanko dla pewności cmoknął. Wiadomo, grubianinem naprzeciw takiego kolanka nie okazesz się.

A tu jedna sąsiadka spod Poniewieża wstaje i wiersze własne na cześć kołduna mówi. Udatnie nawet poskładane:

Oj, te kołduny nasze z Kowieńszczyzny, Nie ma na świecie do nich podobizny.

Smaczne robiły je nasze kobiety, Na stronę nawet sztrasburskie pasztety. Z maszynki mięso tu nie uchodziło, Zbyt bowiem klejkie i zmiążdżone było...

W tym momencie prezes, który również Trisz Divinis pod stół" nie wylewał, pochylił się do mnie:

— Ot, i ta z tą maszynką czepi się... Czy wiesz pan, wtedy, jak pan w hotelu mnie o tym wspomniał, poczułem prosto nóż w serce: a nie już może z maszynki przygotowują? Poleciałem jak oparzony, dobrze serce moje czuło: ustawili maszynkę na najgrubszy numer i zabierają się do kręcenia. — Zmiłujcie się! — krzyczę. — Drugi Londyn wieszczu chcecie w Wałbrzychu sprawić? Tęsknoty pielgrzymiej nie ukoić? — Tłumaczyli się: — Jak tu na czterdzieści osób, ileż to kop kołdunów ręcznie nasiekać? — Ale sami rozumieli, że trzeba. Po biurach posłali, z robót pozrywali wszystkie kowieńczuki, lekarz kowieńczuk zwolnienia hurtem na tę okoliczność dawał — zdążyli... '

Nazajutrz byłem na kołdunach u wileńczuków.

Potem nastąpiły liczne podchody: które kołduny lepsze? Ale tej tajemnicy strzec będę aż do godziny śmierci.

W godzinę śmierci zwierzę, jak jest we zwyczaju, jednej tylko osobie formułkę zamawiania róży, którą mnie jedna ciotka przed śmiercią przekazała, oraz wiadomość, które kołduny w Wałbrzychu były lepsze: kowieńskie czy wileńskie?

Lasy kochane, zielone chłodniki,

Drzewa, przyjemny szum dające z siebie,

Trawy, pagórki, biegnące strumyki,

przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie;

Elżbieta Drużbacka „Pochwała lasów"

Pan Pisanka sprzedaje las

Tego dnia błędziłem na północ od Wilna. Miałem przerwę między jedną częścią podróży a drugą.

Po drodze, ostępami nieprawdopodobnymi, dotarliśmy do niedawno „odkrytych” przez samych wilnian jezior Gulbińskiego i Zielonego, które tkwią jak świetliściejące oko w zielonych gajach.

W takich chwilach jeździec wolno popuszcza cugli i błądzi miedzami, przecina pagórki rżysk i przejeżdża między pniami lasu. Automobilista nie ma tych możliwości. Ale (mieliśmy mały fiacik 508, przerobiony na typ łazika) — może skręcać na każdym rozdrożu na dróżkę mniejszą. Raz. I jeszcze raz. Aż wreszcie po którymś tam zakręcie, na którymś tam już kilometrze szmaragdowej, dawno trawą porosłej drogi, roześmiane rumianki wyskoczą nad jakimś poprzecznym bezapelacyjnym rowem, wytrzeszczą życzliwe buzie i poczną się potrącać i chichotać, i gęźbić bielą idącą w dal łąki, a srogi potwór sapnie przekładnią na tylny bieg i wróci z baśni na szosowy świat.

I otóż, po powrocie na szosowy świat, a ciągle jeszcze niedosyci, „George'a” wileńskiego nieciekawo — w bok od drogi ujrzeliśmy zwykłą fanfarę dworu — hejnał zielony drzew. A że słońce zachodziło i cienie szły długie jak treny wymaglinowanych księżniczkowych szat, kiedyśmy się z kuzynkami w dziecinnych zabawach bawili „na niby”, więc i drzewa zrobiły się większe, największe, ogromne, zielone, czarne od zieloności, rpchwiejne, poszumne, niemożliwe, baśniowe.

Smygnęliśmy małym autkiem i małą żmijkową alejką, „wsuponiliśmy się”, wdążyli skokiem z szosy w tę zieloność jak w inny świat, do którego w bajkach się człowiek dostawał przez ucho końskie, przez przekręcenie pierścienia, na złotej rybki rozkazanie, na wróżkowe zawołanie.

W środku rósł dwór jak wielki grzyb zmurszały. Po nadpróchniałych deskach jakiegoś wysokiego tarasu, omijając dziury i chybające się listwy, schodził, wielki cień ciągnąc za sobą, jakiś ktoś. Okazał się starym panem o zwisłych wąsach. Dokonawszy tego zejścia z wyżyn, ważył się na nogach dosyć ponuro z rękami w kieszeniach. Poczuliśmy się jak małe smaczne Jaśkowe ciało, kiedy się dostało do zaczarowanego pałacu ludożercy olbrzyma i całym swoim drżeniem rozumie, że bajka teraz pożre rzeczywistość w odwet za te wszystkie inne razy, kiedy rzeczywistość zgryza bajkę, niebacznie i samotnie w jej świat wychyniętą.

Pamiętacie, jak to zwykłe w takich bajkach bywa? — mały Jaś ma jakiś glejt w świat bajkowy, choćby ciupuchną nóżkę nietoperza, łączącego te dwa światy. Olbrzym się dąsa, odkłada pożeranie na aby chwilkę, ale nasze serca oddychają; już wiemy, że gdy go nie pożarł od razu, to już cwany Jaś się wykaraska.

Tedy mówię:

— Jestem Melchior Wańkowicz. Olbrzym wyraźnie miękcieje.

— Z których Wańkowiczów?

— Syn Melchiora z Kalużyc... Stary pan mówi głosem, który znam:

— Z ojcem pańskim pracowaliśmy w Mińskim Towarzystwie Rolniczym; był jego prezesem.

Znam ten głos. Ten głos — ustalenie, kto zacz. Niegdyś, gdy do samotnego dworu na wykarczowanej polanie podjeżdżał gość — a inaczej nie jeżdżono, jak zbrojną gromadą — dopiero ustalenie, kto zacz, otwierało podwoje gościnności.

A że słońce zachodzi, stary pan bierze mnie za ramię i prowadzi do wnętrza.

W stołowym na stole krytym ceratą zastawiają nam cały asortyment kumpi, mleka zsiadłego, kartofli, kruchych ciasteczek. Jest i gorąca potrawa: wielkie plastry borowikowe, cięte w poprzek przez cały grzyb, kładzione na takimże plastrze słoniny i podsmażane.

Dziedzic nazywa się pan Pisanka. Dawniej pono ród ten nazywał się inaczej, ale za któregoś Zygmunta przodek jeden, na banicję skazany, do Kozaków przystał, na Siczy do wielkiego znaczenia przyszedł, a że był krasny jak panna na gębie, więc

przezwno go Pisanką. Któryś z owych Pisanków trzysta siedemdziesiąt lat temu wrócił do Wielkiego Księstwa Litewskiego i wziął za Szymkowską ogromne dobra. — Spróbuj pan tej substancji — przerywa sobie opowiadanie, podsuwając jeden z półmisków — otóż brat stryjeczny mego ojca, ostatni marszałek szlachty, przegrał Pikiliszki w karty; błazen wtenczas byłem, ale pamiętam. Teraz ja mam sto włók, więc jestem osobistość niebezpieczna dla Polski.

Z tą Polską nie bardzo w zgodzie jest pan Pisanka. Oblegany przez nakazy i formularze, inspektorów, instruktorów, sekwestratorów, egzekutorów, mówi, że żeby nie ta trocha lasu, która mu została, toby już całkiem nie wytrzymał. „A tak — pójdziesz na cały dzień do lasu i odchwycisz się...”

— Niech pan zaprowadzi księgowość — powiadam — to będzie pan ochroniony od dowolności w wymierzaniu podatków.

Pan Pisanka purpurowieje. Jak wrzaśnie w pasji najwyższej:

— Ja nie ekonom dla rządu, coby jemu książki prowadził!

Biedni ludzie epoki liberalistycznej nie mogą pogodzić się, że się na nich nasunęło współczesne państwo. Jeden z takich ziemian starej daty oburzał mi się na zarządzenia sanitarne, nakazujące wybicie krów tkniętych epidemią wąglika:

„Tak co? Moje krowy czy rządowe? Po mojemu tak: kiedy zechcę, tak niechaj i wyzdychają. A rządowi co do tego?” Biedni ludzie... duszą się pod tym innym ciśnieniem, miotają się, rozpaczają, rozgoryczają. Pan Pisanka ma wiele i różnych zastrzeżeń.

— Nie lubi pan urzędników?

— A niech oni skisno... Własnego lasu rąbać nie dajo! A skąd obywatel pieniądze ma mieć, kiedy nie z lasu?

Nu, cóż — rąbać nie dajo. A pieniędzy trzeba, wiadomo. Wojewodzie, wiadomo, przykrość odmawiać obywatelom. Tak on wszystko kierui na referenta leśnego, Repeczkę. Że to nibyści jakiś „urząd niezespolony” — nie wiadomo już, co wymyślą.

A ten Repeczko, nu, jak nagrana katarynka: „Dyrekcja lasów dy dyrekcja lasów, ministerstwo dy ministerstwo”.

A niech oni skisno!... Nie ma rady, tylko trzeba jechać do Warszawy, popatrzeć co za herody takie zebrali się na szyja szlachecka*.

Nu, ot, zebrali się my we czterech (zapomniałem nazwisk p.m.), a naj-pierwszy, znaczy się, hrabio Tyszkiewicz z Izabelina — sam tam tylko las, jak widzi, ziemi tylko tyle i zostawione, żeb pod zajazd pałacu z wieżyczkami z czerwonej cegły podkocić się.

Nu, cóż, przyjechali my, Tyszkiewicz, wiadomo, graf do grafa, do hotelu hrabi Przeździeckiego „Polonia” ciągnął, ale my znarowione już z dawnia do „Saskiego” hotelu na Koziej, tak i on z nami do kompanii tam wziął stancja.

Pan Pisanka, oryginal, który dziesiątkami lat nie bywał w bliskim Wilnie, w swoim czasie uzyskał dyplom inż. leśnika i dialektem mówił dla facecji.

Nu, cóż, siedzim my w tej Warszawie, drogo, że niech Pan Bóg zachowa, i za nic audjencji u ministra rolnictwa dostać nie mogę. To on jednego dnia u francuskiego posła na obiedzie (po modnemu — śniadanie nazywa się), to on na drugi dzień na wystawie wstążka nożyczkami psui.

Nu, choć ty siadysz płacz.

— Ot, jeżeliby do dyrektora gabinetu trafić — mówi do Tyszkiewi-cza jeden, co wszystkie warszawskie chody zna;

— A kto to taki?

— Bohuszewicz*.

— A czy nie Józik jemu na imię?

— Zdaje się, że Józef.

— Nu, tak jeżeli on Bohuszewicz — mówi jeden sąsiad — dy Józef, dy jeszcze z Rozaniszek okaże się, takżeż jego ciotkę szwagier mego dziadka do chrztu trzymał.

I co pan powiesz? — Józiuk i samy najprawdziwszy okazawszy się. W tri miga nam audiencja urządził, tykożeż spieszajcie, mówi, mówcie krótko i porządkiem, bo minister straszć zajęty, a zezłować jego — najgorsza rzecz.

Nu, wchodzim my, a on na stojący nas przyjmui, zajęty taki, znaczy się.

— Czym panom mogę służyć?

Tyszkiewicz, jak umówione było, mówi za wszystkich za nas:

— Ot, my cztery obywatelowie z województwa wileńskiego zrozumieli, co bratu-włościaninu ziemia dać trzeba.

— Nu? — zaciekawil się minister.

— Nu, tak my przyszli ziemia nasza na reforma rolna zadeklarować. A minister ten samy — nu, jakbyś jego miodem kto maznął:

— A drogieńkie wy — mówi — a siadajcież proszę, a czy czasem zapalić nie w życzeniu?

Sam na kanapa zawalił się, my siedli naokoło stołu, wzięli kaźden po „marszałkowskim” (w rocznicę** ich sprzedawać nie wypuskali). A minister pyta się:

— A ile ziemi dajecie?

— Ja dwa tysiące dwieście hektary ofiaruję — mówi Tyszkiewicz.

— A ja tysiąc dwieście.

— A ja osiemset.

Nu, cóż i ja sama małość dodałem — sześćset hektary, to już z tym brzeźniakiem nad ruczajem licząc.

Kaźden, rozumie się, deklarował więcej, jak miał. Wiadomo, jak konia targujesz, zawsze cena stawiasz dla początku nieakuratna.

Ależ ten minister i nie myśli targować się. Oczy wypuczył kiedy jaka czerepacha i prosto postękuł:

— Kochani... kochani...

Widza ja — nijakiego oszukaństwa on i nie miarkui. Obojentnie jakość mnie na duszy robi się. „Bieda!... — myślę ja sobie. — Ot kiedy lecieć będziem i z tych marmurowych schodów, tykożeż ratunek w tym, co dywan miętki”. A minister wziął słuchawka z jednego telefonu, słuchawka z drugiego,

łokciem na dobawka dzwonek naciska.

— Panno Maniu — mówi w jeden — proszę nam herbaty do gabinetu podać.

— Panie Józefie — mówi w drugi — proszę pozwolić do nas.

A tu lokaj przeze drzwi na dzwonek wchodzi, on jemu każe własne jego auto przygotować, cob nas odwieźli, gdzie tylko chcemy.

— Panno Maniu — mówi, która w ta pora za innym lokajem, co taca niós, była wszedzsy — popatrzaj, czy nie ma tych cygarów, co ten holenderski miaister mnie sprezentował?

Aż tu wchodzi onże Józiuk. Miarkui od razu, co nam poszancowało jak k.anonikowi na odpuście, ale służba, wiadomo, tak nie mówi nic, stoi pochylwszy się, znaczy na letu gotów chwytać słowa ministra.

— Panie dyrektorze — mówi minister — ot te zacne obywatelowie prosto konstytucję trzeciego maja urządzają. Nu, z polską szlachtą polski lud i wszystko takie. Tak zmiłuj się pan, pokręć się, fotografów i wszystko takie, nu, konferencja prasowa i tam dalej... ^

Siedzim my jak upieczone. Patrzą ja i potnieją, jak Tyszkiewicz cy-garka psui.

Ależ kiedy i Józiuk ministru koniec obcina... Tfu... nie śmieję się pan, co mnie język skopyciwszy się; cygarka, znaczy się, obciął.

Nu, obciął ja moja cygarka na ten sam manier i wiadomo — cygarka ministerska, co papieroska naprzeciwno niej! Tak ja z pełnego serca zaciągnął się i natychmiastowie czuć, czuć ministru całej herbaty na jego okrągły stół nie zwrócił. A niech ją francyk... Tylko widzę — Tyszkiewicz kątem ust jakby śmieję się, a sam pyk... pyk...

Dopieroż ja zmiarkował, co cygarka jak lulka palić trzeba: pociągnął i

wydmuchnął, pociągnął i wydmuchnął. Jakaż to palenia — chyba tylko zdatne na komary, kiedy w lesie styrczysz, ciecieruków czy ta sama słonka karauląc.

Naładzili my się wszyscy pykać, a nasz minister pykun najpierwszy, widno przywykszy. Rad taki siedzi, a to dy o sio pyta, aż tu jakiś jeszcze inny wchodzi z papierami, siada akt spisywać.

Ot, żeż poczuł ja goroncość w całym cieie, jakby na trzeciej półce w bani siedząc. Ot, żeż weźmi teraz ten minister wienika, jak zmiarkui oszukaństwa, i obmacerui, że ani siądziesz, ani położysz się. Wyciongnął ja nosówka, szmorgam po łysinie, pot, wszystko równo, występui.

A Tyszkiewicz noga na noga założył.

— Doskonale cygareto — mówi. — Sam akurat Rotszyld takie mnie siulił.

I jeszcze takie, i jakie takie, minister śmiei się, wychodzi, aż tu już nie ministerstwa żadna, a w Izabelinie siedzim i mała małość dla kuriasz-czych anegdoty puskać poczniem. I tak między tym a tamtym ten szelma Tyszkiewicz mówi, że ot, panie ministrze, akta jeszcze podpisać nie mo-żem, bo tam na tej ziemi las stoi, tak jego wprzędzi wyciąć trzeba.

Jak on to zeznał, tak ja czuje, jakby rzepa połknął i ta rzepa z powrotem z brzucha do gardła wskoczywszy.

— Nu — mówi minister — tak ścinajcie ten las i oddawajcie ziemia. Poczulem, jakby rzepa nagle odetknęła gardło i garkna*, jak te krę-kaczy** na gałęzi, na całe gardło:

— Dziękujemy, panie ministrze.

Tyszkiewicz koso tak tylko na mnie spojrział i mówi tak rozwiązle, jakby o niczym ważnem:

— Tak i ja myślę, trzeba zrobić...

Tu drugi sąsiad zgoroncował się i wyrzucił zapieczzone z serca:

— Tylkoż ten Repeczko.

A Tyszkiewicz znowu śmiejący mówi:

— Taki dziwak, referent wojewódzki od spraw gospodarki leśnej.

— Nu, my jemu napiszem — powiedział minister — na te konto wam martwić nie przyjdzie się.

I prawda. Zarazżeż Józio poleciał zezwolenie na wyrąb lasu pisać i na wieczór z Wileńskiego Wokzału my wyjechali.

Las ścięli, sprzedali, czy nie rok minął, już i te pieniądze jak któremu to i blisko rozeszli się, aż tu Repeczko strogi papier przysłał: „Czy dacie chłopom ta ziemia?”

A czyż my im ta ziemia nie siulili?

A ziemia po wyrębie, wiadomo. Słońce we wrzosie naprzód wypaliło dziurkę jak ten spodek, potem, patrzysz, już te łysinki jak talerz, jak półmisek, jak stół, jak plac. A potem te place razem zeszedli się i sytkie piaski hulać poczęli.

— A na szłoż nam, panoczku, hełtyje piasoczki? — pytają chłopi. Płaczą, proszą się, po rękach całują, za nic nie chcą.

Zdrowo my z nimi męczyli się, już i prosili, i straszili. Widzą, że źle im przyjdzie się, ostatniego ratunku próbują:

— Panoczku, kab w bumazie napisać, szto my nikoli hettaj ziemi pachać nie budziem.

— Durniż wy, durni, że i w Ejszyszkach nawet mądrzejsze. Toż wasza ziemia będzie, to i woła wasza, czy ją orać, czy nie.

Stoją, drapią się w głowę:

— Nikoli niewiedoma, panoczku: najeduć paniczi, niejkije ahronomy, prikażuć pachać, na wiek zagubiać.

Czy wiesz pan, do czego nas doprowadzili? Po pięćdziesiąt złotych za hektar my im dopłacili, aby tylko temu Repeczku dogodzić.

Przypadliśmy sobie z panem Pisanką do serca. Namawia, żeby nocować, i wypuszcza pod tym tylko warunkiem, że jeszcze zajadę.

— Dobrze, zatelefonuję przedtem, żeby pana zastać.

— I nie telefonuj... Ja nigdzie nie wyjeżdżam. W Wilnie dwa i pół lat nie byłem.

Ot, najdalej, to za tymi lipami będę.

— Na spacerze?

— Nie, na cmentarzu.

Pan Pisanka ma siedemdziesiąt pięć lat. Ale wyprowadza nas do podjazdu, do którego się schodzi po klawiszach zmurszałych desek. Trzyma wysoko kulistą lampę naftową.

Warknęło auto i wpadło w aleję. Za nami kulista lampa płynęła z powrotem w czeluści domu.

Wracaliśmy na bity trakt.

A więc do szerpentynek i stają na mecie. Oba szanowni ludzie (...)

Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz”.

Pojedynek Protasewicza z Jeśmanem.

Okazuje się, że aż po wiek XX przechowały się podobne sprawy. Kiedy już mi uszy prześwidrowano po dworach widmem radykalnego posła Małskiego, nowoczesnego Szeli, który ciągnie na czele watah osadniczych z nożami w zębach, aby zrobić „kęsim” ziemiańskim brzuszkom, pan Józef Godlewski, prezes Związku Ziemian powiatu słonimskiego, postanowił dać mi definitywną odtrutkę na moje jakobińskie ciągoty:

— Powiozę pana po powiecie. Pokażę panu, jak my, ziemianie, pracujemy.

Pojechaliśmy zresztą dalekim sierpem po tym kraju — aż za Nowogródek, pod Lidę, do Wereskowa Brochockich. Popasaliśmy w Issajewiczach pani Brońskiej, autentycznej Turczynki, którą pan Broński nieboszczyk zwiózł do Polski. Uroczą gospodyni oprowadziła nas po dziwnie zabudowanym rozłożystym dworze, w którym dwa odległe budynki usiłowano łączyć przez gazon trzecią budowlą poprzeczną. Bo Cyganka dziadowi pana Brońskiego wywróżyła, że poty będzie żył, póki będzie budował. Ale nie pomogło. Tak jak nie pomogło panu Byszewskiemu, który, obarczony takąż wróżbą, całe życie rozbudowywał swoje Łyń-tupy.

Popasaliśmy w majątku Horka pana Jana Niezabitowskiego, rasowego szlachcica, ongiś dyrektora banku w Szanghaju, który teraz na roli się parał, oglądaliśmy na starym cmentarzu za majątkiem, cmentarzu puszczonego między starodrzewie i kłęby krzewów, gdzie groby patrzą z tarasów zielonych, wyniesionych ponad równinę w dal idącą — kamień święty na dwóch innych głazach-olbrzymach wsparty. Kiedyś pod nim było miejsca tyle, że karoca czwórka koni mogła przejechać, teraz coraz bardziej cała ta budowla ręką kaprysu przyrody w ziemię wchodzi. A szkoda — bo kto pod tym głazem przelezie, temu wszelka choroba oczna przechodzi. Pop miejscowy, obawiając się, że tłumy napływające z daleka doprowadzą kiedy do katastrofy (głaz poprzeczny jest tu tak nisko, że trzeba się pod nim przeczołgiwać), kazał otwór ziemią podsypać i zasklepić; ale zaniewidziawszy, wnet ziemię z powrotem odsypać kazał, przyklepać, sam położył i wzrok odzyskał.

Tak jednego dnia trafiając na tej ziemi, pono deskami zabitej, a przecież zawsze w zamięłowanych peregrynatów obfitej, na Szanghaj, na Turcję, na jakiś mit z przedwieków, podjechaliśmy wreszcie do Rohotnej pani Rojcewiczowej, słynnej konnojezdki, secundo voto byłej żony naszego znanego kawalerzysty, która właśnie miała ruszyć w samotny rajd konny na Polesie. Wyszła piękna wampowata pani w towarzystwie sześciu białych chartów na nasze spotkanie — aż się prześliczny lamusik z siedemnastego wieku dziwował.

— No, ale pan mi pokazuje ciekawości, a miał pan pokazać pracę —interpeluję prezesa.

— Doskonale — powiada. — Ot, w następnym dworze, w Borkach, pozna pan nie peregrynata, lecz zasiedziałego szlachcica, pana Protasewicza. Jest to gospodarz starej daty, co teraz jest najpewniejsze. Chociaż — zastanowił się pan prezes — i on lubi innowacje: ot, na przykład sam nie ma elektryczności, ale lokomobilę postawił nad stawem, żarówki poumieszczał w wodzie i rybom w nocy świeci: że to

„jak rybie weselej, to tłuszciesza robi się”...

— Bardzo to przemyślnie wykombinowane — powiadam. — I wiele jest inwencji gospodarczej u naszej szlachty. Wskazywano mi teraz jednego, który majątek puścił na eksperymenty orki pługiem żaglowym. Przejeżdżałem też kiedyś w Słuszczyźnie przez majątek Jana Jodki, który dwór tak zbudował, że w wysokiej suterenie stały chlewy, nad tym kuchnie, a nad nimi na pierwszym piętrze właściwy dwór. Wszystko to dla racjonalnej organizacji pracy, żeby obierzyny i pomyje spadały wprost do koryta. W imię też tej organizacji stworzono wysoki nasyp i goście zajeżdżali wprost na wysokość pierwszego piętra. A pan Niezabitowski w Choczy to pokazywał mi wynalezioną przez siebie dachówkę bez kantu i bojler. Zmartwił się, kiedy mu powiedziałem, że mam też bojler w domu. A mój ojciec, to, wie pan, studnię urządził tak...

Ale nie ma czasu już o tej studni opowiedzieć, bo wjeżdżamy przed dwór — co tu gadać — cudo nie dwór: stary, modrzewiowy, wybrzuszony nadbudówką na piętrze, przybudówkami w odmęt starodrzewia.

To jakiś przemyślny cieśla naśladował Mansarta i Lepautre'a albo dzieło Fontany — nie istniejący już pałac marszałka Bielińskiego, znany nam tylko z rycin.

Wyszedł przed dwór pan Protasewicz, wspaniały typ ze staropolskim wąsem, i zaraz w ganku, nie witając się jeszcze, woła:

— I nie namawiaj, panie prezesie, bo ja na ten wasz Związek Ziemian jeździć nie będę...

— Dlaczego? — pyta pan Godlewski, gramoląc się z auta.

— Jakież to ziemianie? To prosto, same złodzieje — pali zaperzony pan Protasewicz.

Tableau! Przecież po to mnie obwożą, aby zadokumentować pracę i cnoty Związku Ziemian...

Szanowny prezes rzuca rozpaczliwe spojrzenie, które widać pan Protasewicz pochwyił, bo przyskakuje do mnie i woła:

— No, bo powiedz pan sam... Nazywają się: weksle grzecznościowe! Nu, dobrze: ja podpisuję, oni podpisują... I cóż wychodzi? Ja płacę, oni nie płacą. Tak czyż to nie czyste złodziejstwo wychodzi?

Wchodzimy do domu. Dom stoi na czterech Ewangeliach, które przed ćwierćtysiącleciem przodek zakładający jego fundamenty kazał w każdym węgle wmurować. Pyszne czeczoty. Pan domu ochłonał, zakrzętnął się, wyszedł po swoje panie. Dom, choć stary, nie miał — dobry dawny wynalazek! — wirydarzyku óstrokrzewów, przez który labiryntem powóz gościa kołował, nim dojechał, tak długo, aż jejmoście były w stanie się odziać i ustrojone w progu witać.

— Widzi pan — prezes pośpiesznym szeptem tuszuje fatalny casus — gospodarz jest krewki, to i zirytował się sprawą w gruncie rzeczy niewinną: potrzebowaliśmy pieniędzy na pracę związku, wystawiliśmy weksle grzecznościowe, wzajemnie żyrując. Sąsiad, pan Jeśmian z Berdowicz, coś nie dopatrzył terminu i weksle z żyrem Protasewicza poszły do rejenta. Dowiedziawszy się o tym, pan Protasewicz powiedział któremuś z sąsiadów, jadącemu do Berdowicz:

— Powiedz temu staremu capu*, coby weksle wykupywał...

Sąsiad, dobra dusza, zaprzął bryczkę, taradaj, taradaj — poczłapał się do pana Jaśmana perswadować.

— Co, ja cap?! — krzyknął pan Jeśmian. — Kiedy tak, to ja jemu pokażę capa!

W tym trakcie wchodzi gospodarz i przedstawia córeczki. A ta jedna pszczelareczka, a ta druga aktoreczka (sic...), a ta trzecia biegała, skakała koło burbuleczka (burbulek — małe dziecko).

Po reweransach i znajomościach, kiedy prezes Godlewski, misji szczytnej przepomniawszy, począł koło trzech córeczek kręgi napuszyste toczyć niby cietrzew na wiosnę, pytam papę dobrodzieja, gdyśmy wtulili się w kął kanapy:

— Co to, pono z panem Jeśmanem mieli panowie nieporozumienie?

— A cóż, zabić mnie chcieli — mówi pan Protasewicz. — Przyjeżdżam ja znaczy się, na stacja, a żona z końmi list przysyła: „Nie jedź. Zabijać

przyjechali!..." Nu, ja, znaczy się, nazad do pociągu i jak durny
jj — chodu do Wilna. A w drodze spotykam kolego, tak on mówi:
Nie bieduj. Kup taka książeczka Boziewiczza, tak tam wszystko akuratnie napisane.
Szukam ja tego kodeksa honorowego u Makowskiego — nie ma!
Szukam ja jego u Zawadzkiego — nie ma!...

Mówią:

— Jedź do Grodna. Tam krepość, oficerowie, oni ciągle zabijają się,
tak tam na pewno kodeks znajdziesz. Jadę do Grodna — nie ma! Mówią:
— Jedź do Białystoku — tam urzędniki, toje sioje, im wszystkie kodeksy potrzebne
— znajdziesz.

Jadę do Białystoku — nie ma! Mówią:

— Jedź do Warszawy, tam we dwóch zebrali się i nadrukowali ten
kodeks — Gebethner i Wolff.

Wtedy zazłutem się — gdzie mnie jego, tego kodeksa, po całym świecie szukać. Aż
już, Panie Święty, i tym mordercom pewno dokuczyło czekać i wyjechali.
Przyjeżdżam ja do domu (w tym miejscu pan Protasewicz wytrzeszcza na mnie oczy z
niesłychaną zgrozą) i, powiedz pan, siedzą na wsi (pan Protasewicz odbębnia
każdą sylabę pięścią po stole) i cze-ka-ja...

Tylko ja zjawiłem się — już są... Dwa oficerowie z Lidy okazali się.

Zrobili samowarek. Tak i ja robię samowarek (na baczość, ręce wzdłuż szwów,
p.m.)

— Zapalcia, panowie... Nie palą!

— Siadajcia, panowie... Nie siadają!

— Tak cóż, na stojący przyjechaliście korzennego szlachcica zamordować?!

Tłumaczą, że nie, tylko, że to honorowa sprawa i cob im takóž dwóch posłać. Nu,
wczepili się, nic nie poradzisz. Włożyłem frak, czarny krawat...

— Czarny krawat? — upewniam się.

— Wiadomo, na ta żałobna okoliczność. Kazałem zaprzęgać czwórkę, jadę sąsiada
prosić. Ale cóż... Jesiennie poro było, co nie dziesięć wiorst wyjechałem, koła w
kołdobina popadły i rozłamała się. Cóż ty zrobisz?

— Mikolka, odprahaj prawuju lejco-wuju — mówię.

Siadłem konno... i jadę jeszcze czy nie dwadzieścia wiorst. Przyjechałem w
charakterze markiza, można powiedzieć. Bo spodnie całkiem czekoladowe zrobili
się.

Tak ot na siłę dostałem jednego świadka. Na drugiego zmyśliłem prosić rejenta ze
Słonimia. Taki dobry człowiek, gruby, kość drobna, żabi król nazywali jego.
Przyjechał ja do Słonimia na rano i prostożeż do niego. Patrzę, aż on w łóżku
jeszcze.

— Powitać dziedzicuńcia. Akcik jaki pewno?

— Nie, panie sędzio kochany. Ja do pana sędzi na żałobna okoliczność. Jak
zrozumiał, co i jak, kołdra zaciąga, malutki taki pod nią zrobił się:

— Khm... khm... oj... kłuje pod łyżeczką... Och, dziedzicuńciu, dobrodzieju mój,
a toż choory taki jestem... Khe... khe... ot, jak kaszlam — żeby tylko nie z
krwią. Maliny zaparzone na noc piłem, żywokostu dali, majskim balsamem smarowali
stopy. Frydman dwanaście baniek postawił... Khe... khe... nie mogę, panie...
cuńciu złocisty. Bóg widzi, że za nic nie mogę...

Cóż z nim zrobisz? Plunałem i poszedłem... Tylkożeż z tej złości kaloszy
zapomniałem, wracam i słyszę, jak rejent do żony mówi:

— A widzisz, duszko, zawsze mówisz, co ja za późno do kancelarii chodzę. A ot,
co by było, jakby ja już na nogach był. Przez tego starego durnia jeszcze i mnie
by postrzelili.

Nu, tak ja myślę za drzwiami stojący: posy^ć i temu sekundantów czy nie? Ależ ja
dwóch zgrzebać nie mogę, a tu czterech trzeba będzie. To ja po icichutku kalosze
wziąwszy i odszedł.

Dalszy ciąg ciekawej opowieści przerwały panie.

A co do sprawy — pono załagodzili ją sąsiedzi.

Spytałem, jakie też warunki były pana Jeśmana, aby obraza została zmyta.
„Cóż — mówił pan Jeśman — jaż tylko chcę, coby on przed bramą z bryczki wylaz, konie za bramą zostawił, a sam gdyby szedł z gołą głową, stanął przed domem i tak do całego domu powiedział:

— Szlachetnego rodu Jeśmanów nie chciałem obrazić”.

Tak oto przefiltrował się do słonimskiego powiatu mit o Canossie.

PERYPETIE.

A jako żeglarz, gdy już w porcie stanie, Miłe ma przeszłych bied przypomnienie, Miło mu pomnieć na wichry, na skały, Gdy uszedł cały.

Zbigniew Morsztyn

Winszuję ci, Majorze, jfeś złowił Hrabika (...) Nie wypuszczaj go z klatki bez trzystu dukatów;

Adam Mickiewicz „Pan Tadeusz”.

Rad starafsia!...

Ani się człek spodział, jak zjechał na dziadzia opowiadającego wnuczętom, jak to illo łempore bywało.

Było to na Bliskim Wschodzie. Siedzieliśmy pod namiotem po ukończeniu kursu jednej z podchorążówek. Któryś z elewów z oburzeniem opowiadał, jak to mu odcięto nie zapięty guzik. Starsi, co to w Polsce przeszli pogrzeby zapalek, czyszczenie podłogi szczoteczką do zębów, słowem — prawdziwe cukanie, słuchali pobłażliwie. Wtedy opowiedziałem o swoich przewagach w 119 piechotnym pułku. Rząd rosyjski matur polskich nie uznawał i należało odsługiwać trzy i pół roku bez żadnych praw cenzusowca.

Przyjechałem do zaboru rosyjskiego po skończeniu Szkoły Nauk Politycznych i będąc na trzecim roku prawa w Krakowie — kiedy już od kilku miesięcy rocznik poborowy był wcielony do kadry.

Stawałem do poboru w Kownie — z mocnym postanowieniem otrzymania lokaty w pułku piechoty, stacjonowanym w Mińsku, gdzie miałem przygotowane chody (trudno przypuszczać, bym chciał być frajerem na żołdackiej zupce przez trzy i pół roku).

Przewodniczący komisji poborowej, stary pułkownik (te stanowiska były już półemeryturą), kiedy rzeško wypaliłem, że na nic się nie żalę, z sympatią powiedział:

— Znaczy, chcecie służyć cesarzowi „wiarą i prawdą”.

— Tak jest, Wasza Wysokodobreurodzonosc, chcę służyć w królowej broni.

Pułkownik był piechociarz i całkiem podbiłem jego serce. Skierowanie do 119 Piechotnego Kołomińskiego Pułku zwykłych prowincjonalnych obdartusów nie nastęczało żadnej trudności.

Zjawiłem się w koszarach — fircyk prosto z zagranicy — z laseczką, w meloniku, w zamszowych rękawiczkach. Zaprezentowałem się panu feldfeblowi, jako że mam tu odsługiwać swoje trzy i pół roczku, aby ułożyć się, kiedy rozpocząć wojskową edukację.

— Ja już pana nie mogę wypuścić — powiada' feldfebel.

Jak to? Co to? Gwałt! Wieczorem byłem zaproszony na bardzo miłe przyjęcie.

— Oto pański diad'ka — prezentuje mi feldfebel jakiegoś oberwusa. Na co dzień dzielna armia cesarska chodziła w mundurach „czwartego sroka” (czwartej sorty). Pierwszą taką srokę wkładało się podobno tylko na carski smotr, a ta czwarta była bez ogona i podskubana.

Obdartus — który miał być wychowawcą przystawionym do mnie, ciągnie taboret, zaprasza, żeby siadać.

„Grzeczne ludzie” — myślę sobie.

Aż tu czuję coś zimnego na głowie. To diad'ka miał w rękawie maszynkę i nie zdążyłem stęknąć, kiedy wygolił mnie na łysą pałę.

Spałem tej nocy bez rzeczy, bo na miasto nie miałem nikomu możliwości dać znać, na jednym łóżku z jakimś Tatarem. Tatar ział węglowodorem, a ja kombinowałem całą noc, jak będę się wydobywać z. tego całego interesu.

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

Rano rota, czyli kompania, poszła na plac robić musztrę formalną. W ogromnej kazarmie został tylko służbowy, ja, jako głąb, którego nie można wypuścić nawet na podwórzec koszarowy, zanim nie nauczy się salutować, i przystawiony do mnie diad'ka.

— Jak przyjdzie dowódca półkompanii, pamiętaj odpowiadać zuchowato — uczył gorliwie diad'ka. I na miejscu wyłożył siedem odpowiedzi, jakimi rozporządza żołnierz w rozmowie z przełożonym.

Zdrawja żelaju — kiedy przełożony wita.

Tak toczno — gdy się potwierdza.

Nikak niet — jeśli się przeczy.

Pokorna błagodariu — gdy dziękuję.

Rad starafsia — gdy przełożony dziękuję.

Szczasliwio ostawafsia (życzę szczęśliwie pozostawać) — gdy przełożony żegna.

Razreszitie do wietra (proszę o pozwolenie pójść do wiatru) — gdy się ma nagłą potrzebę.

Uzbrojony w tę wiedzę — oczekiwałem z bijącym sercem, łysym łbem i łachmanami czwartej sroki na grzbiecie.

Około dziesiątej wlaź do sali koszarowej senny, gruby sztabs-kapitan Niemiec, dowódca półkompanii.

Służbowy zaraportowafsia — typowe rosyjskie wyrażenie, jeśli się język splącze przy raportowaniu.

Postanowiłem od razu wyrzucić dobre wrażenie i z lekka przechrząk-nąłem gardło.

Gruby Niemiec szedł sennie przez salę, zamyślony lichy wie o czym i widząc kątem oka dwóch żołnierzy pod oknem, rzucił od niechcenia przepisowe pozdrowienie:

— Zdarowo!

— Zdrawja żelaju, Wszebrdje!...

Aż do pułkownika mówiło się Wasze Błagorodje (Jego Dobra Uro-dzoność), pułkownikowi Wasze Wysokobiagorodje, generałom brygady Wasze Prewoschoditielstwo (Jego Wyśmienitość), generałom wyższych rang Wasze Wysokoprewoschoditielstwo (Jego Wysoka* Wyśmienitość).

Ryknąłem tak znakomicie, że posłyszałem za sobą struchlały szept diad'ki:

— Nu bieda!... Pieriedai sakramientu.

Szwab odemknął rybie oczy i podpłynął majestatycznie:

— Ty czto tak rewiosz? (a ty czego tak ryczysz?)

— Rad starafsia — odwrzasnąłem, sugerując delikatnie, że biorę zdumienie za pochwałę.

Stałem cały czas z ręką przy czapce, bo regulamin nie pozwalał odjąć ręki, zanim na to nie pozwoli zwierzchnik. Sztabs-kapitan zobaczył na moim ręku sygnet.

— Zdjąć mu ten pierścień...

Diad'ka przystąpił do operacji z pewnym zmieszaniem.

— A co, czyżby pierścień był złoty?

— Tak jest — potwierdził diad'ka.

— A ty gramotnyj (piśmienny)?

— Tak jest — ryknąłem z wielkim przekonaniem.

— Cóż ty, szkółkę parafialną skończyłeś?

— Nikak niet — załamałem się.

— No widzisz, szkółki parafialnej nie skończyłeś, a chwalisz się, że gramotny — sapał zwierzchnik i miał już odchodzić, ale przypomniał sobie, że jednak pierścioneł był złoty.

— A jakie twoje zajęcie?

Tego dnia czytałem w rozkazie dziennym: „Melchiora Melchiorowicza (syn Melchiora) Wańkowicza, małogramotnawo chlebpaszca (mało-piśmiennego oracza — jako że ze wsi) zaliczyć z dniem jutrzejszym na kocioł”.

Melduję więc:

— Oracz, Wszebrdje!...

— Skąd?

— Z ihumeńskiego powiatu.
— Stamtąd przyjechałeś?
— Nikak niet...
— A skąd?
— Z Krakowa.
— Z Krakowa?!... A ty co tam robiłeś?
— Na uniwersytet chodziłem, Wszebrdje!
— Fiut!... — gwizdnął ze zdziwieniem. Obejrzał dokładnie ciągle prężącego się z ręką przy daszku:
— Proszę odjąć rękę — przyzwolił.
W ten sposób dekonspiracja nie trwała długo i zaczął się mój żywot w armii rosyjskiej jako dziwnej species żołnierza, bo przecież mający nawet sześcioklasowe wykształcenie obywatele rosyjscy cieszyli się prawami jednorocznika.
— Ooo-o-tcze nasz!... — intonuje zapiewająco.
— Iże jesi na niebiesiech da światifsia imia Twojo! — odpowiadamy chórem.
Jest jeszcze ciemno i salę koszarową oświetlają lampki naftowe.
Modlimy się — spędzeni z całej Rosji: Tatarzy, Żydzi, Łotysze, Litwini, Gruzini, Czuwasz, Mordwin i Czeremis, i jak się to wszystko Eurazjactwo nazywa.
Stoimy półkołem — nad nami uniwersalny Bóg Imperialny. Na lewo — ikona, lśniąca złotymi blachami, na prawo — lśniący orderami, z błękitną wstęgą przez ramię car.
Teraz robimy pół zwrotu w prawo, ku carskiemu portretowi.
— Błagowiernomu Gosudariu Impieratoru Nikoiaju Aleksandr owiczu — intonuje zapiewająco.
— Sława — odpowiada chór.
Zaspokoiwszy potrzeby duchowe, stajemy do przeglądu. Dziś każdy ma przed sobą wystawić rzeczy. Żołnierz powinien mieć dwie skrzynki: na czyste rzeczy jedną i na brudną bieliznę — drugą.
O trzech ode mnie stoi wąty, bładny chłopak: Chachoł — Ukrainiec.
— Co, masz tylko jedną skrzynkę?
— Pieniędzy nie mam... — odpowiada z jakimś półskowytem chłopak. Żołd nasz wynosi trzydzieści kopiejek miesięcznie, a za skrzynkę trzeba dać rubla.
— Pieniędzy nie masz? — mówi z krzywym uśmiechem feldfebel. — Masz je w...ć.
Tymczasem, jak co dzień — chłopak idzie pod karabin z pełnym obciążeniem na dwie godziny.
Brudny świt poczyną się wdzierać do kazarmy, za której oknami wstaje mętny lutowy dzień. Lampki naftowe kopcą i gasną. Wyciągnięty do przeglądu pomost sękatych dłoni ma trupi mat.
Wychodzimy na podwórzec, miesząc śnieg z błotem. Musztra formalna — nudna, monotonna, bez końca. Jakiś Wotiak już trzeci miesiąc nic nie rozumie. Miarkuje po innych, co robią, i często się spóźnia. Zuchowaty kapral z wąsikami wychodzi z siebie. Przez tę ofermę wpadnie kiedyś na jakiejś generalskiej inspekcji.
Wywołuje Wotiaka przed front. Krępy chłopak o skośnych oczach i żółtej twarzy występuje z rezygnacją.
Drużyna zamiera z ciekawości. Dotychczas ani razu pan kapral nie użył tego samego przekleństwa. Jest ono zawsze jedyne, wielopiętrowe i bardzo pomysłowe. Żołnierza bić nie można, ale można „poprawić postawę”. Plutonowy poprawia postawę uderzeniem z dołu w brodę. Z rozciętej wargi płynie krew.
Potem następuje gimnastyka. Jest w kompanii ogromny, tłusty Łotysz — głuchy. Na komisji poborowej podejrzewano symulację i odesłano go do pułku na ispytanie. To słowo ma dwa znaczenia — wybadanie i wy-torturowanie (pytka). Tak każe tradycja jeszcze od czasów Piotra I, który w „Ustawie o badaniu świadków” takie daje instrukcje:
„Bardzo też pożytecznie bywa posamprzód (s pierwa na pierwych) dzielić świadka,

ledwo wejdzie, mocno kijem po głowie, od czego ten bardzo zdumiony bywa". Wspinamy się po pochyłej drabinie' na rękach i, osiągnąwszy ostatni szczebel, zeskakujemy na komendę. Łotysz komendy nie słyszy, więc wisi. Drużynowy powtarza komendę z odwróconą twarzą, nie zdradzając się żadnym gestem. Łotysz wie, że za zeskoczenie bez komendy będzie karany. Ogromne, nalane ciało straszliwie ciąży. Ręce drżą. Poprzez ramię widać umęczoną, przekrzywioną głowę, usta wpółotwarte jak u zdychającej ryby i siniejącą twarz. Wreszcie ręce nie utrzymują ciężaru i spada w śnieg.

— Ty, co się spóźniasz, komendy nie słyszysz, łotewska mordą?

Łotysz patrzy nie rozumiejącymi oczami. Jeśli zeskoczył bez komendy, to go znów poślą wisieć, a wieczorem odstoi nieposłuszeństwo pod karabinem. Wisi więc zawsze aż do ostatecznego wysiłku.

Na obiad wracamy do koszar. Zwykle jest kapuśniak albo wędzona ryba, albo suto kraszona kasza. Mięso, które jest w zupie, spryciarze by wyłowili, więc się je rozdaje oddzielnie. Dyżurny wyciąga brudny kułak:

— Masz swoją porcję.

W kułaku na drewnianym przetkniętym ukazuje się maleńki kawałek mięsa.

Zupę jemy po sześciu z miski. Już mam swoją łyżkę — okrągłą zupełnie, drewnianą, pięknie malowaną i glazurowaną. Siorbiemy zgodnie tłusty kapuśniak obficie zaprawiony liściem bobkowym.

W kącie sali szamotanie. Widzę powalonego na ławę dużego Żyda. Feldfelbel meldował kapitanowi, że Żyd nie je, bo jedzenie nie jest ko-szerne. — No cóż, trzeba go pokarmić — powiedział obojętnie kapitan.

Teraz więc trzymają Żyda za ręce i nogi; tłoczą mu w usta kawał słoniny. Drobne białe kawałki oblepiły przebijający rudy zarost. Wzrok umęczonego bydłęcia, oczy, którymi patrzył anemiczny Chachol i głuchy Łotysz, i skośnooki Mordwin.

Po obiedzie — siowiesność', czyli katechizm żołnierskiego myślenia. Na długich ławach siedzą rzędem biedne troglodyty. Znudzeni drużynowi przed swymi drużynami ciągną niezmiennie:

— Co to takiego żołnierz?

Obcojęzyczni żołnierze uczą się dźwięków na pamięć:

— Żołnierz jest to wierny sługa cara i ojczyzny.

Do sąsiedniej kompanii wczoraj przyszedł sprawdzić postępy dowódca batalionu.

Inorodiec* zapytany, komu wartownik ma prezentować broń, odpowiedział:

— Gosudariu Impieratoru, Gosudarinie Impieratrice, Naśledniku Cesa-rewiczu, inostrannym osłom i osłannikam — metoda fonetyczna zawiodła

0 jedno „p" i okazało się, że ma prezentować broń „cudzoziemskim osłom".

Z tym prezentowaniem broni przez wartę to i w naszym wojsku na emigracji bywały kazusy. Wyjeżdżałem z „fasoniastego" 15 pułku ułanów będąc po cywilnemu. Nagle w wartowni robi się rwetes, chłopcy się wysypują, ustawiają, prezentują broń, prężą się, mało im kości ze skóry nie wyleżą. Pomachałem kapelusikiem h la Charlie Chaplin, bardzo zdumiony,

I pojechałem.

— Bo widzi pan — tłumaczyli mi potem skonfundowani oficerowie — wzięli pana za biskupa Gawlinę.

Pewnego razu na naszą słowiesność' zawitał dowódca kompanii, kapitan Nasiekin, a widząc mnie na ławie z pobożnie przyklepionymi według regulaminu dłońmi do kolan, wykrzykującego razem z innymi tekst nowej mądrości, której uczyliśmy się chórem, powiada do feldfelbla:

— Zwolnić Wańkowicza z tego. Dajcie mu książeczkę i nauczycie się.

Bardzo nie spodobało się to feldfelblowi. Dał książeczkę, a po tygodniu zaważwał na egzamin:

— Kiedy wartownik ma prawo użyć broni?

— W trzech wypadkach, proszę pana feldfelbla — dudnię jak grzmot: — Na rozkaz dowódcy, dla obrony powierzonej sobie osoby lub mienia i dla obrony własnej.

— A co, nie mówiłem, że takie uczenie na nic? — zwraca się feldfelbel do

zebranego audytorium podoficerów. Po czym zwracając się do mnie:

— Nie jest powiedziane „dla obrony własnej”, tylko „dla obrony własnego życia”.

No i wróciłem na ławę przylepiąc ręce do kolan i wyrzaskiwać skandowane chórem teksty.

W pułku było dwóch cenzusowców. Ci mieszkali na kwaterach prywatnych i bynajmniej nie zadawali się ze mną. Zresztą jak się mieli zadawać, kiedy nie otrzymywałem przepustek? Rekruta nie wypuszcza się trzy miesiące za obręb koszar, bo tyle czasu powinno upłynąć, nim nauczy się salutować.

Słuchałem więc, stojąc pokornie w swoich łachmaniastych srokach, jak cenzusowcy w świetnie przypasowanych szynelach rozmawiali o tematach z eleganckiego świata. Plutonowy Stolarow, w cywilu petersburski malarz pokojowy, frant i pożeracz serc, dufny w swoje trzy naszywki, pozwala sobie wtrącać się do eleganckiego dyskursu na tematy niewieście:

— Ee, że tak rzekę, pozwolę sobie spytać, ile panowie płacą? Strąceni z wyżyn zachwytów nad jakąś Lidoczką, cenzusowcy milkną, ale jednak nie odważają się zignorować władzy.

— My par amour — chmurnie odrzuca któryś z nich (na miłość).

— Par amur?

— To znaczy — darmo.

— O!... ja też prawie paramur, za trzydzieści kopiejek. Wzdychałem ciężko. Gdzie tu paramur — w tych łachach, w tym zamknięciu...

Po miesiącu usilnego uczenia salutowania feldfelbel, omaślony przez brata, pod strachem bożym zdecydował się dać mi przepustkę, każąc przysiąc, że wsiądę w dorożkę na podwórku w koszarach i wyląduję aż w mieszkaniu brata i że nie przejdę miastem nawet jednego bloku; nie słyszane to rzeczy bowiem, aby rekrut mógł opanować w ciągu miesiąca trudny kunszt salutowania, zwłaszcza salutowania generałów, którym się stawało we front. Niechybnie bym się sypnął i on miałby przykrości.

Brat, często przyjeżdżający do Mińska, zarezerwował w swojej kamienicy trzypokojowe mieszkanie z szafką pięknie zaopatrzoną w wypitecz-ności.

Natychmiast się przebrałem. Droga jakiegoś wewnętrznego samozadość-uczynienia — jak najbardziej egzotycznie: pumpy, kratkowana czapka angielska, fajka.

Nie trzeba było długo szukać „paramur”.

Pod wystawą sklepową stanęły trzy dorzecznice dziewczynki i obserwowały mnie z zajęciem.

— Nieuźeli Szeriok Hołms (Czyżby to był Sherlock Holmes)? — posłyszałem szept.

— Yhm — stwierdziłem flegmatycznie, nie wypuszczając fajki z gęby. Wierzyć nie chciały swej przygodzie.

— Co pan robi w Mińsku?

Skombinowałem, że daleko nie ujadę, jeśli nie będziemy rozmawiali po rosyjsku.

— Słuchajcie — zniżyłem głos, nadając cudzoziemski akcent — możecie mi pomóc.

Słyszałyście o sprawie Landru?

— Oj, ten Sinobrody.

— Ten morderca.

— On jest aresztowany...

Obejrzałem się, czy nikt nie słyszy, zniżyłem głos:

— Z tym aresztowaniem — mistyfikacja. On jest — zrobiłem pauzę, przenikając dziewczęce słynnym szerlokowskim spojrzeniem — w Mińsku.

Były straszliwie zemocjonowane. Miałem je w ręku. Czy nie zechcą mi pomóc? Umiem po rosyjsku, bo Sherlock zna różne języki, ale nie znam mińskich zaułków.

Naturalnie, że pomogą. Naturalnie, już idą sprawę omówić.

Mieszkanie zrobiło na nich wrażenie.

— To jest melina Scotland Yardu — powiedziałem nonszalancko — pijemy whisky czy

gin?

Zasada „w...ć trzeba”, to znaczy, że żołnierz powinien wypełnić każdy rozkaz, obowiązuje nie tylko anemicznego Chachła, który ma w ten sposób wydostać dodatkowy kuferek, ale idzie po drabinie hierarchicznej w górę, w niewiadome dale, aż do cara zapewne.

W kazarmie wisiało sześć obrazków, ilustrujących dzieje Napoleona. Pewnego razu dowódca kompanii, osobistość, która zniżała się do nas nader rzadko, powiedział do feldfebla, że ma objaśnić żołnierzom znaczenie tych obrazków.

— Tak toczno!...

Po kolacji wziął lampę naftową w rękę i kazał posuwać się kompanii stłoczonym tłumem za nim.

„_ ot, tu, znaczy się — pokazywał szturm pod Lodi — na most, znaczy się, prze Napoleon, a Niemiec nie daje.

Traktat w Tylży objaśniony był najkrócej:

— Tu, znaczy się, siedzą...

Za to ostatni obraz — Napoleon siedzący nad urwistym brzegiem Świętej Heleny — dał pole do pedagogicznego popisu:

— Prawosławne cari, znaczy się, postanowili Napoleona zasadzić na wyspę.

Zrozumiano?

Widać zrozumiano, bo nikt pytań nie stawiał.

— Tfy, ty czort! — splunął feldfelbel siarczyście, spostrzegłszy, że przysłuchiwałem się jego wykładowi.

Sala zasypiała. Tylko pod lampką stanął w pełnym obciążeniu pochodowym Chachoł odbywać codzienne dwie godziny za nieposiadanie kufierka.

Po kilku dniach pułk miał sensację. Chachoł, wypuszczony na przepustkę, zarznął w ciemnej uliczce przekupkę. Złapanemu odebrali łup: było czterdzieści kopiejek srebrem i trzynaście miedziakami. I tak skrzynki by nie kupił.

Po miesiącu dosklamrzyłem się pierwszego posłania do okolodka, to znaczy do szpitalika pułkowego.

Miałem symulować chorobę nerek. Umówiony sanitariusz miał mój mocz zmienić na mocz naprawdę chorego. Na skutek tego miałem być posłany na komisję, w której zasiadał wtajemniczony lekarz Polak.

Nikt w pułku nie wierzył, aby taki maminsynek miał naprawdę fun-gować przez trzy i pół roku jako małogramotnyj chlebobaszec. Wiadomo było, że się wykręcę.

Zdarzała się jednak gratka, by każdy mógł się jakoś na mnie pożywić.

Póki szło o drobne płotki, nie było to groźne. Ale pewnego dnia...

Właśnie moje detektywki-ochotniczki były w komplecie. Przechodziliśmy skrócony kurs śledczy, w którym wielki nacisk kładłem na sztukę

przebierania się. Właśnie któraś się wdziała w brata czerwony frak do konnej jazdy i białe spodnie^ kiedy zabrzmiał dzwonek; przyodziany w jedną ze zrzucanych kiecerek, w kapeluszu na głowie, obejrzałem się rozpaczliwie, ale nie ubrane dziewczyny pochowały się, gdzie która mogła. Dzwonek znów zadzwonił natarczywie, machnąłem ręką i pobiegłem otworzyć. Na szczęście był to Tol.

Ujrzawszy mnie w tych szatach, bystro się zorientował i runął w głąb mieszkania, wydając entuzjastyczne okrzyki.

Teraz on miał pełne ręce roboty, kiedy znów zabrzmiał dzwonek. Spojrzeliśmy rozpaczliwie po sobie: nikt nie był w niewariackiej toalecie.

Podążyłem, jak stałem: w pąsowej sukience i kapeluszu, z woalem na twarzy. Otworzyłem i zdębiałem: we drzwiach stał kapitan Nasiekin, dowódca kompanii.

Zwiąłem bez słowa, wmiotłem dziewicę do przyległego pokoju i rzuciłem bratu: — Nasiekin!...

Brat krzyczał przez drzwi jakieś nieartykułowane Miłosti piosim i rwał na sobie szaty.

Skuleni jak trusie wysłuchiwaaliśmy rozmowy, ktora zawiązała się za drzwiami.

Nasiekin był jak miód. Chwalił mnie jako żołnierza — owszem, obserwował mój fechtunek na bagnety (uczyłem się tego w „Strzelcu” w Krakowie). Ale rozumie, że

dla inteligenta gnicie w pułku jest nie na miejscu. Co tu mówić — on sam ma dosyć wojska. Zamierza wyjść do cywila i założyć sklep. Brak mu do tego jeszcze trzystu rubli...

Brat westchnął. Nie było to wygórowane żądanie. Ale obawiał się, że spełnienie jego da jakieś poszlaki mogące skierować podejrzenie na lekarza Polaka, który działał bezinteresownie. Rozłożył więc ręce:

— Ja to samo uważam, panie kapitanie. Ale mój brat to, cudak — podoba mu się wojsko, chce je odsłużyć wieroj i prawdoj.

Adeptki Scotland Yardu podsłuchały prawosławną rozmowę.

— Kotku — powiedziała dziewczyna w rajtroku — tak jakż z ciebie Sherlock Holmes?

Oddział chorebzdów maszerujących do okołodka miesi cierpliwie błoto mińskiej uliczki. Zapiewają dyszkantem intonuje:

— Sołowiej, sołowiej — ptasziczkaa!... (słowiku, słowiku, ptaszyno...)

— Szto ty tak żaiobno pajosz... — podchwytyjemy, dopytując z wielkim zainteresowaniem słowika, czemu tak smutno śpiewa (— Cholera jemu w bok — mrczy idący koło mnie Żyd, czując, że mu się wlewa woda w dziurawy but).

Frantowaty Stolarow, prowadzący oddział, od czasu do czasu podcina tempo.

— As... As... As!... Nagle się rozwarł:

— Smirna-a-a!... Rawnienje na — prawa!...

To po chodniku szedł kapitan Nasiekin. Dał znak ręką, żeby kompania stanęła.

Stanęliśmy, depcząc błoto w miejscu. Na to, żeby stanąć nieruchomo, powinna być wydana inna komenda. Nasiekin nie zadawał sobie tej fadygi, tylko skinął na mnie, depczącego gorliwie w pierwszej czwórce, abym wystąpił.

— Nu, co, chory?

— Taić (oczno, Wasze Błagorodje...

— A co jest?

Nie bardzo wiedziałem jeszcze — serce czy nerki, ale mówię:

— Serce.

Kałmuckie oczki zmrużyły się, pobiegła od nich sieć filuternych zmarszczek.

Potem jedno oczko odwinęło się z chytrym podmrugnięciem:

— A serce niebos' (bez wątpienia) zdrowe? Co? Poczulem, jak mi do pięt spływa zimny dreszcz.

Rraz... Rraz... Rraz... — miesi za mną błoto nieruchoma kompania.

— Nikak niet! — wrzeszczę rozpaczliwie. — Chore, Wasze Błagorodje.

Chlup... chlup... chlup... — maszeruje w miejscu oddział.

— Oj, zdrowe, zdrowiutkie. No, nic... wszystko można załatwić... Cóż, zdarza się, że choć młody, a jednak choruje. Wiadomo, chorego w wojsku trzymać nie można. Tylko trzeba należycie załatwić, ot, co... — mówi z naciskiem.

— Rad starafsia — powiadam, tym razem z prawdziwym przekonaniem. Wróciłem, oddział ruszył. Zapiewają zaintonował:

Soldatuszki, brawy rebiatuszki, A gdzie waszi żony?

— As... as... as...!

— Naszi żony, sztyki nawostriony, wot gdzie naszi żony!... — ryknęliśmy zgodnie.

Widać Nasiekin będzie szantażował. Było mi czarno na duszy.

W szpitalu, dzięki pewnym chodom, zatrzymano mnie na badanie, które miało trwać około dwóch tygodni.

Życie w szpitaliku pułkowym jest całkiem inne niż w pułku.

Dowiedziałem się, że postrach całego szpitala, rudy feldfel, powiózł pacjenta do Petersburga, do domu obłąkanych, i mieliśmy tydzień laby. Dobroduszny lekarz pułkowy Kisielew był wiecznie pijany.

Na drugi dzień po moim przybyciu, kiedy łąziliśmy jak senne muchy w szpitalnych

szlafrokach i pantoflach, zaproponował znieńacka:

— Dawaj, lebiata, w czechardu igrat' (zagrajmy w czechardę). Czecharda polegała na tym, że grający skaczą jeden przez drugiego.

Ten, który przeskoczy, niezwłocznie staje w kolejce z pochyloną głową i zaraz następny skacze przez szereg kolegów.

Złote więc były czasy. Bałagan doskonały i używanie na całego.

Przestała wisieć nad nami groza uznania za zdrowego. Izba chorych najchętniej stosowała swoistą karę dyscyplinarną — odesłanie do pułku jako wyleczonego.

Z pułku przychodzili zacukani ludzie — i na tych było używanie, zanim oni z kolei nie skombinowali, że to przecie — szpital, że doktor pijany, a felczera nie ma. Wszystkim rządziła młoda, grubiotka siostra, krasawica, że tylko łyżką jeść. Oczy na nią wyłaziły, ale siostra, wiadomo, nie sołdacka to rzecz. Więc pozostawały nam tylko psikusy.

— Chleb... eee... chleb... eee... kradli — stęka zrozpaczony Tatarzyn, który przyszedł z pułku ze swoim chlebem, jako że chory ma prawo do wiktu szpitalnego dopiero kiedy zostanie zaliczony na kocioł, więc w dniu przybycia (zawsze rano) zostaje bez jedzenia do następnego rana.

— Melduj siostrze.

— Eee... Melduj... Jak — melduj?

— Stań na baczność i mów: Siostrze... Twoja mać... Chleb mi... (następuje niecenzuralne wyrażenie, które ma oznaczać „skradli”).

Pędzi siostra przez salę. Krew z mlekiem... Piersiami trzęsie. Tatar się melduje:

— Siostrze... eee...

— Ty czego?

— Siostrze... Twoja mać...

— Ty czto rugajeszsia? (Ty czego wymyślasz?)

— Nikak niet, siostrze... twoja mać, nie wymyślam. Chleb mi — dodaje plugawe słowo błagalnie, chcąc przejść prędzej do sedna rzeczy.

— Durak! — woła piskliwym głosem siostra przy grzmotach śmiechu. — Ty co się łajesz?

— Nikak niet... twoja mać — tłumaczy Tatar — nijak nie łaję. Chleb mi... twoja mać.

— Durak!... durak!... — purpurowieje siostra i wylatuje z sali.

Całkiem rozpuścił się nasz okoiodok.

Kaptienarmus, to znaczy prowiantowy kapral swierchsroczny (służby stałej, była to bowiem lukratywna funkcja), był na rekonwalescencji po złamaniu nogi. Starszy już człowiek, kuśtykał za nami wszystkimi i nudził, by grać z nim w warcaby.

Wspólnymi więc siłami wwindowaliśmy go na wysoki piec, z którego biedaczyna bał się zeskoczyć ze swoją nogą.

— Zdejmiemy cię, jak odszczekasz wszystkie nie doważone porcje. Certowanie się nie pomogło. Zaczął posłusznie szczekać:

— Hau... hau... hau...

— Jeszcze.

— Hau... hau... hau...

— Głośnij!...

Nagle posłyszeliśmy kroki i pyrgnęliśmy do sąsiedniej sali. Doktor Kisielew znalazł się bko w oko z kaptienarmusem szczeającym na niego z wysokości pieca.

— Ot — zainteresował się ze zdumieniem — kapral zawodowy, a po piecach łązi i szczeka.

Przyszedł z koszar młody chłopiec Ukrainiec. Chachoł dostał taki wycisk w pułku, że zrywał się na baczność przed każdym, co na niego wrzasnął władczym tonem komendy.

Pod jego łóżkiem położyliśmy puste pudełko od zapalek. Przez dwie dziurki w ściankach przeciągnięta nić woskowana była uwiązana do dwóch zapalek przylegających do wewnętrznych ścianek. Nić podwójnie naciągnięta, biegła pod

szeregiem łóżek aż w drugi koniec, gdzie napięto ją na cygarniczkę od papierosa. Po czym wskazano Chachłowi łóżko mu przydzielone, oświadczając, że przedwczoraj zmarł na nim dobosz i słyszano w nocy werbel rozlegający się z tego łóżka. Chachoł zastrachał się, błagał o inne łóżko, sterroryzowano go władczą komendą. Wreszcie usnął.

Wówczas poczęliśmy przygotowania. Dostarczono mi fartuch sanitariusza. Włożyłem do kieszeni łyżeczkę oraz tubkę z pastą do zębów i czekałem.

Jeden z żołnierzy, położywszy się na łóżku w drugim końcu sali, począł kręcić cygarniczką, naprężona nitka wywołała terkotanie pod łóżkiem Chachła. Obudzono go:

— Co ty, czort, zębami zgrzytasz?...

— Nijak nie, Jego Dobrzeurodzoneść, nie zgrzytam... Tu ponowiło się terkotanie.'

— Barabanszcik! — wrzasnął Chachoł i począł uciekać.

Na to tylko czekano. Skrępowano go i polecono meldować „doktorowi”, że zaszedł wypadek furii.

Wkroczyłem na salę z godnością. Wszyscy, z wyjątkiem trzymających delikwenta, stali każdy przy swoim łóżku.

— Baczość! — wrzasnął któryś.

— Spocznij — powiedziałem — gdzie chory, co się stało?

— Jego Dobrzeurodzoneść — meldował mi jeden z żołnierzy — porwał się z krzykiem, że mu jakiś dobosz wlaź do łóżka, i dalej ganiać po sali. Jasne, że zwariował.

Chłopak ciężko . dyszał. Zmiarkowałem, że znowu, jak nieraz w dzikich figlach, przebraliśmy miarę. Położyłem rękę na jego czole i powiedziałem spokojnym głosem:

— Ty się, bracie, nie obawiaj. Tu są sami swoi. Nikt ci nic złego nie może zrobić.

Chachoł uspokoił się, kiedy kazałem trzymającym go odstąpić.

Należały się jednak współautorom jakieś circenses, poleciłem więc „furiatowi” usiąść na łóżku i zdjąć koszulę.

Kazałem mu brać głębokie oddechy, opukałem, wsadziłem łyżeczkę do ust, przyciskając język i badając gardło, co audytorium chłonęło z niebywałą rozkoszą. Poczuli się do inicjatywy. Posłyszałem żarliwy szept — spojrzałem w bok, szepczący wyciągał flaszeczkę atramentu, po którą pobiegł do kancelarii.

— Atramentem mu... wysmarować, żeby siostrze się podobał. |— Kładź się — powiedziałem.

Nagle, pochylony nad łóżkiem, poczułem, jakby mróz poszedł po sali. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że we drzwiach stanął Fiedotow, ów rudy felczer, groza szpitala, który wszelkie niesubordynacje karał adnotacją „zdrów” i „wypiską” ze szpitala. A tu czekała mię jeszcze jedna analiza.

Rozpaczliwe myśli zakotłowały mi się w głowie. Nasiekin, trzy i pół roku, studia...

Fiedotow stał zdezorientowany. Słyszał, wchodząc, mój autorytatywny ton, fachowe podejście, widział na mnie biały kitel używany przez lekarzy, wiedział, że na miejsce skompromitowanego Kisielewa ma przyjść następca, nie widział (tymczasem) moich-gaci i pantofli za łóżkiem. Jak je zobaczy, wszystko się skończy.

Spojrzałem obojętnym wzrokiem na felczera i powiedziałem bardzo fachowym głosem do „chorego” :

— Wstań no jeszcze. A pan jest felczerem? — zwróciłem się do Fie-dotowa.

___ Tak toczno — machinalnie odpowiedział osłupiały.

Wówczas wstąpiła we mnie bezczelność rozpaczy:

___ Dementia praecox — stwierdziłem — proszę mi przynieść natrium bromatum (gdy wyjdzie, ucieknę).

Na czerwonej gębie, ujętej w otok przyciętej w prostokąt rudej brody, widać sto dwadzieścia siedem znaków zapytania i czterdzieści cztery wykrzykniki. Widać mu przez łeb przebiega, że a nuż w czasie jego nieobecności przydzielono nowego

lekarza? Wydaje się to, zupełnie niemożliwe, poinformowano by go przecież na wstępie. Ale przecież i fartuch przed nim lekarski, i wzięcie lekarskie, i terminologia... Chory już się pokornie unosi, w feldfeblu, widzę, jak coś się przełamało ku wykonaniu rozkazu, gdy nagle ktoś w głębi sali prychnął śmiechem. Feldfebel hycnął za łóżko, zdekonspirował moje gacie, moje pantofle szpitalne i spaşowiał:

— Łóżys', durak!... — huknął na Chachła. — A ty paszol won...

Nigdy w życiu nie wypełniał równie skwapliwie żadnego rozkazu. Leciałem przez amfiladę sal jak zając zruszony przez psy gończe. W czwartej sali wpadłem na swoją pryczę i nakryłem się z głową.

Z rana byłem niespokojny, czy też rudzielec nie dojdzie, kto w nocy pełnił niedozwolone praktyki lekarskie.

Istotnie, po śniadaniu wezwano mnie do kancelarii. Na nic tak pięknie oddawany mocz wysokoprocentowych nerkowców, na nic jakieś proszki, od których biło serce, na nic misterny komplot, w który wpompnałem sporo rubli i dotąd nie wiem, jak wysoko ich strumyczek dopłynął... Wszystko na nic... Rudy feldfebel wypisze na karcie ewidencyjnej „zdrów”, uformuje się po obiedzie kolumna ozdowieńców, zapiewają przygwizdnie i pocznie:

Soldatuszki, biały rebiatuszki, A gdzie waszi żony?

Jednak w ustronnym pokoiku czekał na mnie bez świadków... Nasiekin. Przyszedł odwiedzić chorego żołnierza swojej kompanii. Po zakątkach srogiego reżimu wojskowego tułały się takie sentymentalne tradycje, jak choćby i to wieczne próbowanie strawy żołnierskiej.

Kiedyś znieacka do naszego pułku zjechał z Wilna dowódca 4 Korpusu, do którego należeliśmy, generał Nowosilcow. Wszedł nieoficjalnym wejściem od podwórca koszarowego i natknął się na dwóch żołnierzy, niosących na drągu kocioł. Kazał zatrzymać, podać sobie łyżkę drewnianą, którą zza cholewy wyciągnął jeden z niosących, i łyknął gorącego płynu.

— Czort... — splunął z obrzydzeniem — toż przecie pomyje.

— Tak jest :— potwierdzili służbiście wyprostowani żołnierze, którzy wynosili odpadki do chlewu pułkowego.

Ta tradycja była tak wkorzeniona, że nawet niski order Włodzimierza IV stopnia miał w swoim statucie przewidziane, że jego kawalerowie mają prawo kontrolować jakość strawy we wszelkich przytułkach i zakładach rządowych. Pod tym płaszczykiem zapewniano możliwość przeżywania się podupadłym właścicielom orderu. Za to wstęga błękitna Andreja Pierwozwannawo dawała prawo „wchodzenia bez przeszkód do wszelkich damskich łaźni”. Dawano ją jednak starym panom, którzy już z tego kotła badać strawy nie byli w stanie.

Tak tedy Nasiekin przyszedł spełnić obowiązek dbałego dowódcy. Zdrętwiałem i postanowiłem schować się za kanon siedmiu dozwolonych żołnierzowi odpowiedzi (niech tam cywil-brat cały interes ubija).

— Jak się macie? — pyta Nasiekin po przyjacielsku.

— Rad starafsia, Wszebrdje...

— Jakże z tym sercem?

— Pokorno biagodaiiu, Wszebrdje...

— Można by panu pomóc... Chce pan zwolnić się z wojska?

— Nikak niet, Wszebrdje... Nasiekin się zniecierpliwił:

— Przecież pan jest inteligentny człowiek, możemy gadać po ludzku...

— Tak toczno, Wszebrdje... Zniecierpliwiony Nasiekin szarpnął wąsa:

— Nu, proszczajtie (do widzenia).

— SzczastHwo ostawał'sia.

Z Fiedotowem się upiekło. Z samego rana sanitariusz, który dla mnie fałszował analizy, położył nieznacznie na stoliku felczera dwudziesto-pięćiorublówkę z kartką: „Boskiemu starszemu felczerowi Fiodorowi Fiodorowiczowi Fiedotowowi, ojcu żołnierzy”.

Odtąd przechodząc koło mnie, wydawał w rudą brodę jakieś bawole pomeknięcie.

Znaczyło to: „Ale ty, jednak, uważaj!...”

Kiedy brat przyszedł do szpitala i mówił, że wszystkie analizy wskazują na wielką ilość białka, Fiedotow zamruczał w wielką rozwidloną brodą:

— Nado dołożyć .

Mogło to oznaczać: „Należy zameldować o tym”, ale brat wolał to zrozumieć tekstualnie i dołożył siedemdziesiąt pięć rubli. Nasiekin też otrzymał swoje trzysta rubli.

I niebawem wyfruwałem ze Sto Dziewiafnatcatawo Piechotnawo Koło-mienskawo Półka — z powrotem, na Alma Mater Jagiellonensis.

Ale tylko z rocznym odroczeniem na leczenie nerek.

Nie zarzyna się kury, mającej i w następnym roku znosić złote jaja.

Flirty z medycyną.

Kiedy zbliżał się termin mego odroczenia z wojska z powodu rzekomej choroby nerek, wojna już trwała od kilku miesięcy i mój kołomiński pułk został wybity w Prusach Wschodnich do nogi. Komisja poborowa dla mieszkańców Warszawy urzędowała, nie wiedzieć dlaczego, w Mińsku Mazowieckim. Cała Warszawa chciała wymigać się od wojska i miejscowi lekarze w tym prowincjonalnym mieście, powołani do zasiadania w komisji, wyawansowali na bogów dzierżących w ręku los poborowych. Już w tym pierwszym roku było krucho i powoływano czerwone i niebieskie karty, to znaczy osoby zwolnione od normalnej służby wojskowej w czasie pokojowym, poszerzano też coraz bardziej liczbę roczników.

W tej sytuacji jedyną pewną rzeczą było mieć „biały bilet”, ale na biały bilet nie wystarczała ani krótkowzroczność, ani przytępiony słuch, ani plattfus, ani zastarzały bronchit, ani nieżył, ani plamki w płucach, ani piasek w nerce, ani nerwica serca, ani skrzypiąca wątroba, ani żadna z sześćdziesięciu trzech ułomności kwalifikujących jedynie do biletów niebieskiego lub czerwonego, które już dawno maszerowały. Na biały bilet trzeba było być wysokoprocentowym schorzeńcem, ja zaś miałem dwadzieścia dwa lata spędzone ze strzelbą i na koniu. Nie mogłem dopytać żadnej znajomości z lekarzem w Mińsku Mazowieckim, przeżegnałem się więc, siadłem w pociąg i pojechałem na wariata, dla pewności jeszcze w warszawskim mieszkaniu założywszy opaskę na oko.

Przepchnąłem się, pojękując, przez zbity tłum pod drewnianym parterowym domkiem. Oko, rzekomo, miało być wybite właśnie przed chwilą, więc wpuszczono mię poza kolejką.

Powstrzymałem lekarza sięgającego po opaskę i sam ją zdjąłem:

" Być lekarzem to nic innego, jak być pocieszycielem.

— Oko jest zdrowe, panie doktorze — powiedziałem — założyłem naszkę, żeby pana nie narazić na gadanie, że przyjmuje pan młodych zdrowych ludzi. Jestem z trzeciego roku prawa w Krakowie. Oto zaświadczenie o moim odroczeniu z powodu choroby nerek. Stan mój, niestety, nie poprawił się. Ponieważ potrzebna będzie analiza białka, więc czy nie mógłbym jej zrobić przedtem i z rezultatem analizy stanąć na komisji?

— Owszem, jeśli pan do tego załączy świadectwo lekarza, który pana stale leczy.

— Naturalnie.

— Niezupełnie. Bo komisja liczy się tylko z trzema nazwiskami lekarskimi.

Tu doktor je wymienił. Wyraziłem zachwyt:

— Właśnie leczę się stale u doktora Jakowskiego — łągałem jak z nut.— Już idę. Ile się należy za wizytę?

— Synu — powiedział doktor — przecie to nie wizyta. Wyleciałem jak na skrzydłach po tym „synu” leczyć się u doktora

Jakowskiego. Naumiany byłem, jak się symuluje chorobę nerek w te i we wte. Doktor Jakowski, któremu nie powiedziałem, że chodzi o zwolnienie, zbadał mnie sumiennie, coś mruczał, że nie wydaje mu się, aby mój stan był zły, ale kazał sobie przynieść analizę moczu.

Pojechałem do starszego kolegi, już lekarza, doktora Kapuścińskiego, praktykującego w szpitalu Przemienienia na Pradze. Przyniósł mi na dnie butelki mętny mocz i powiada:

— To jest mocz niemal od umierającego. Pamiętaj dopełnić do wierzchu, bo inaczej każdy lekarz pozna symulację.

— Wodą?

— Głupiś. Wodą to i ja bym dopełnił.

— Kiedym nie w natchnieniu.

— Ja też. A szwendać się z tym po szpitalu nie mogę, bo podpadnie. Leć do kogo na miasto, tylko pamiętaj, że laboratorium przyjmuje ana-, lizy tylko do jedenastej.

Wziąłem „sałatę” i człapałem po kolegach, żadnego już w domu nie było. Było już koło pół do jedenastej, kiedy złapałem jednego.

— Krwi bym dla ciebie utoczył — powiada — ale nie uryny. Serce nie sługa, ale i inne organy też.

— Słuchaj — powiadam w rozpaczy — siostra twoja jest w domu. Poproś.

Była to akurat ta dobrze wychowana panienska, która uważała za szokujące przywitać się ze mną w Łazienkach, gdzie spacerowała pod ochroną guwernantki. Przed półrokiem wyszła za męża. Kolega zawahał się, zniżył głos do szeptu:

— Ona jest w ciąży. Co będzie, jak poznają, że jesteś w ciąży?

Nie wiedziałem, co będzie, ale na zegarku była za dwadzieścia pięć minut jedenasta.

— A domownicy? Ratuj!...

Podrapał się w głowę i znikł, a po chwili wrócił z napełnioną flaszką.

Potem zdołałem stwierdzić, że w tym mieszkaniu była jeszcze babka, pies i kot. I dotąd nie wiem, za kogo się mam modlić.

Doktor Jakowski, otrzymawszy analizę, zasępił się. Nie ma co, jak tylko wojna się skończy, wyśle mnie do Heluanu. Naturalnie o wojsku mowy nie ma, oto zaświadczenie.

Dotąd nie wiem, czy dał się nabrać, czy też podjął narzuconą rolę.

Przyszedł 1915 rok, Niemcy zajęli Warszawę, do Krakowa na studia nie mogłem wracać, uzyskany „biały bilet” (inwalidzki) bronił od wojska, nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Podjąłem pracę dla wygnańców, których wojna wyrzuciła z Polski. Pierwsze kroki były niefortunne. Urządziłem schronisko i przybyły je zwiedzić dobroczynne patronki. Nieco się zdumiały, kiedy nad zlewem w kuchni ujrzały napis:

Jeśli tu urządzisz pranie, To otrzymasz tęgie lanie.

Ale kiedy wkroczyły do dormitorium, w którym dookoła pod sufitem biegła zbożna sentencja:

Pilną pracą spraw to, bracie, Byś miał więcej dzieci w chacie.

— damy orzekły, że katolickie populacyjne idee szerzę w zbyt ekstrawagancki sposób i wylano mnie na zbity łeb z Towarzystwa Pomocy Żołnierzowi Polskiemu (TePeŻePe).

Począłem pracować w Polskim Centralnym Komitecie Obywatelskim, instytucji o pełnomocnictwach rządowych, której prezesem był późniejszy premier, Władysław Grabski. Transporty polskie popchano aż na Syberię. Było jasne, że to niepowrót na długie lata, bo trudno będzie się przedzierać do Polski po wojnie przez demobilizacyjny chaos (przyszedł, w istocie, większy, bo rewolucyjny). Gdy więc jedna część pracowników

centralnego komitetu polskiego zawierała z obszarnikami Ukrainy i Białorusi kontrakty na osadzenie u nich na robotach rolnych reewakuowanego pod front polskiego żywołu, inna część miała go wydzierać z dalekich obieży-
Na tę drogę ubrano nas w mundury wojskowe z rangami odpowiednimi, tylko że na szlifach (pagonach) złota lama była nie gładka, jak u oficerów, tylko w plecionkę, jak u urzędników wojskowych. Taki mundur przysługiwał wszystkim

organizacjom społecznym, współdziałającym z armią, zwykle powoływanym przez samorządy, tak zwane „ziemstwa”. Do tych organizacji wpychali się wszyscy dekownicy, wszystkie mamine synki, zadając szyku długimi kawaleryjskimi płaszczami, szablami, ostrogami iure caduco itd.

Ponieważ w czasie wojny wyszedł dekret zezwalający na noszenie pamiątkowej broni, więc i ja przypasałem szablisko, które znalazłem u nas w domu, z wygrawerowanym na klindze napisem w starej francuszczyźnie:

A Dieu mon ame, Ma vie au roy, Mon coeur aux dames, UhoneiiT pour moy'

— I po co panu taka szabla? — spytał mię kawalerzysta jadący na urlop z frontu.

Front nie cierpiał ziemgusarow.

Pomyślałem, że ma rację, trzeba było sobie dodać powagi z innej strony — inaczej nie mógłbym się przedzierać przez te zwały zatorów ludzkich, kolejki kwaterunkowe itd.

Przepisy rosyjskie kazały nosić odznaki bojowe na lewej stronie munduru, a naukowe na prawej. Skoro już wówczas miałem ukończoną Szkołę Nauk Politycznych, to dlaczego miałem być poszkodowany tylko dlatego, że zagraniczne wyższe zakłady naukowe takich oznak nie miały? Obstałowałem medalion duży owalny na wzór Akademii Medycznej. Polecilem grawerowi wyrysować sztucznie splecione trzy litery ADL. Litery te były złote na czerwonej emalii, a cały medalion obrzeżał otok z białej emalii. Było to więc i patriotycznie po polsku, i naukowo, i imponująco.

— Co znaczy ADL? — pytali koledzy.

— „Aby do lata” — wyjaśniłem — bo przecież do lata może się wojna skończy.

— A jak władzom będziesz wyjaśniał?

— Czytaj, co na białym rancie wygrawerowałem.

Na białym otoku drobne złote literki głosiły: Academie des Lettres.

— A gdzie jest ta akademia?

— Po wojnie może ją założą.

Zdarzyło się, że jechałem kurierem z Moskwy do Kijowa. Kurier był dla uprzywilejowanych, więc oficera z frontu w nim nie uświadczyl. Miałem sypialny przedział. Zobaczyłem, jak do tegoż wagonu wchodzi oficer w czerkiesce, gibki jak trzcina, południowiec, zapewne jakiś ksiązę kaukaski, i dwie damy sprawiające wrażenie szansonistek najwyższej klasy. Przeciągnął zapach francuskich perfum, spoczęły na mnie spojrzenia brunetki i blondynki i Kaukazczyk zamknął za nimi drzwi przedziału.

Ale damy widać nudziły się i miały oczka bystre.

Kiedy już pociąg był w biegu, do mego przedziału zapukał ich opiekun.

— Panie doktorze (widać zauważył mój znak), jedna z pań zachorowała.

Pospieszyłem chętnie. Przede wszystkim kazaliśmy Kaukazczykowi zamknąć drzwi z tamtej strony, po czym począłem konsultację. Okazało się, że leżąca na dolnym łóżku blondynka ma skurcze, musiałem więc masować nogę. Wówczas leżąca na górnym łóżku brunetka poczuła sensacje nerwowe. Wymieniliśmy cenne informacje — ona, że jest bardzo nerwowa, ja — że specjalizuję się w chorobach nerwowych. Zbadałem ją ku obopólnemu zadowoleniu, obie oświadczyły, że chciałyby się poleczyć dokładnie, i dały swój adres w Kijowie.

Ale do drzwi już bombardował zazdrosny dzikolud i musiałem konsultację skrócić.

Rano, gdy zbliżaliśmy się do Kijowa, zapukano ponownie. W progu przedziału stał, błyskając wilczymi kłami, właściciel pięknych sąsiadek poinformował, że skurcze się ponowiły. Pospieszyłem chętnie z pomocą, aczkolwiek spojrzenia czarnych jego oczu nie bardzo mi się podobały. Wprowadził mnie do przedziału i znikł bez wzywania. Nachyliłem się nad blondynką, zamierzając poszerzyć wczorajsze zabiegi, kiedy nagle postłyszałem za sobą tubalny głos:

— A wy czto nachoditie, kolega?

Za mną stał lekarz w mundurze pułkownika, którego wezwał dzikolud.

— Proszę, niech pan pułkownik zbada — usunąłem się grzecznie, a kiedy pochylił się nad chorą, popędziłem do ustępu o trzy wagony dalej i

przesiedziałem w nim po bohatersku, mimo rozszalałych szturmów — aż do Kijowa. Muszę powiedzieć, że zawsze miałem powołanie do stanu lekarskiego i sporą liczbę wyzdrowień na swoim koncie.

Najczęściej leczyłem sugestią, metodą doktora Cue, można powiedzieć. Miałem dobre wyniki zwłaszcza za pomocą wróżenia z ręki kobietom do czterdziestki. Zwykle stawiałem diagnozę:

— Mąż nie może zrozumieć takiej kobiety jak pani. Okazywało się, że ja, na odwrót, bardzo dobrze ją rozumiałem. Mając dobre rezultaty, zawsze broniłem sugestii w leczeniu. Pewien wzięty bardzo wśród Polaków lekarz w Ameryce powiedział:

— Zobaczmy, jak z elektrycznością.

Kazał mi położyć rękę na płytce — zapaliły się cztery lampki mikroskopijne jak główki szpilek.

— Powinny się zapalić wszystkie sześć. O, teraz ja dotykam pana ręki. Widzi pan, zapala się piąta. Znaczy to, że moja elektryczność silniejsza.

Więcej już u niego się nie pokazałem.

— Niech mi pan nie mówi nazwiska tego doktora — wołał następny lekarz — wstyd mi pomyśleć, że tacy szarlatani są między nami.

Dlaczego szarlatani? Błagi pacjent potrzebuje nie mniej niż lekarstwa.

Nad jeziorem Miadzioł leczył znachor-Tatar. Pozałem mu się na zmyśloną chorobę. Napisał trzydzieści strofek pismem arabskim, przypuszczam, że wersety z Koranu. Kazał co dzień jeden taki pasek spożywać.

Kiedy wróciłem do Wilna, dopiero sobie przypomniałem, że pewna bardzo chora, bardzo wynędzniała kobieta błagała mię o lekarstwo od tego znachora. Była w takiej rozpacz, kiedy jej nic nie przywiozłem, że przyrzekłem jej być u znachora w następnym objeździe. Ale nie złożyło się.

Wróciwszy, zobaczyłem z okna, jak przechodzi ulicą. Prędko nalałem do butelki wody, dosypałem soli i wręczyłem jej z bardzo skomplikowanymi wyjaśnieniami co do sposobu zażywania. Przestałem się wstydzić mego oszustwa, kiedy po kilku miesiącach spotkałem na ulicy rześką, odmłodzoną kobietę. Na pewno na Sądzie Ostatecznym jej gorące podziękowania zostaną rzucone na szalę przeważającą moje nieprawości.

Czasem też uciekałem się do hydroterapii.

Z sześciotygodniowego kursu harcerskiego w Skolem (hm... hm... w 1912 roku) wróciłem na kresy z książeczką „Pomoc w pierwszej potrzebie”. Był to cenny wkład w lecznictwo pań dziedziczek, które z całą pocziwością aplikowały rycinę na ostry atak ślepej kiszki. Wkrótce zasłynąłem ze swoich talentów lekarskich na całą okolicę.

W sąsiedztwie gospodarowała młoda wdówka. Za życia ganiała swego Ksawcia jak burą sobakę, ale po śmierci nieoczekiwanie rozwinęła kult jego pamięci.

Mianowicie wyspecjalizowała się w mdleniach z ostrego wdowieńskiego żalu na wszelkich zebraniach towarzyskich. Tradycyjne to schorzenia, o których już Kochanowski pisał:

Wolne syropy i pigułki ckiwe, I z sublimatem fluksy zaraźliwe, Łażnie codzienne i kadzenia różne Bez skutku próżne.

Sąsiedzi pochrząkiwali z powątpiewaniem: „Że też pani Ksawerowa, jak nie ma gości, nigdy nie zemdleje”. Ale sąsiadki się rozczuły.

Na imieninach w pewnym sąsiedztwie pani Ksawerowa idąc przez salon nagle upadła, i to bardzo sztucznie — nie w przód, a na wznak. Zesztywniała wyniesiono do damskich pokojów, skąd długi czas dochodziło trwożliwie kokoszenie się. Nic, widać, nie pomagało, bo poszło ogólne wołanie:

— Wołać Mela.

Skoczyłem do kieszeni palta, gdzie była moja „pierwsza pomoc”, stanąłem pod drzwiami komnaty, gdzie leżała zemdlona.

— Zaraz, zaraz!... — uspokajałem przez drzwi, szukając w spisie „Omdlenia”.

Na odpowiedniej stronie było wyliczone sześć sposobów — od wążania amoniaku, aż

do coraz skuteczniejszych. Dyktowałem kolejne pięć, ale nie pomagało nic. Popłoch wzrastał. Nie bacząc na nic, wpuszczono mnie do pokoju, gdzie na łóżku leżała obnażona do imentu na skutek zabiegów dyktowanych w pierwszych pięciu punktach.

Z resztką nadziei kierowałem akcją ratowniczą według szóstego punktu:

___ Proszę przynieść ze dworu miskę ze śniegiem i z lodem — dyktowałem jednej dziopie.

___ Proszę skrócić z ręcznika z surowego płótna jak najtęższą pytę — dyktowałem drugiej.

Kiedy wszystko było gotowe, wymoczyłem dobrze pytę i kazałem obrócić śpiącą królowną na brzusek.

___ Teraz — uniosłem pytę z miną arcykapłana mającego poderznąć gardziel niewinnemu koźlęciu — będziemy mocno chłostać pośladki (termin naukowy, wyczytany w punkcie szóstym).

Jedwabne rzęsy pani Ksawciowej drgnęły, z karminowych usteczek wionęło:

— Ach, już mi lepiej...

Wypadek ten ostatecznie ugruntował moją famę. Sąsiadki ubóstwiały moją wnikliwość, absolutnie radziły przerzucić się na medycynę. Tym razem i u sąsiadów zyskałem uznanie. Stoliki, przy których grali w winta, nie posiadały się z uciechy. Bardzo im ta kuracja przypadła do serca:

— Melas, ależ tobie trzeba wciąż doglądać ta chora... cha... cha... cha... A to, jak widzi, poczni mdleć i znowu... cha... cha... cha...

Trzeba starszych słuchać. Zostałem czymś w rodzaju domowego lekarza pani Ksawciowej. Przez empirię doszedłem do siódmego punktu leczenia tego rodzaju schorzeń. Pani Ksawciowa przestała mdleć.

Jest to karygodne, że rezultatów nie ogłosiłem w prasie lekarskiej. Ale sprawiedliwości stało się zadość, skoro po powrocie do kraju zostałem zaproszony do zasiadania w jury na pamiętniki lekarzy. Niepewnym głosem na posiedzeniu zawiązującym zapytałem, czy inni członkowie jury też nie mają dyplomów lekarskich. Okazało się, że tylko ja — doktor honoris causa.

Jak to jednak człowiek jest czasem na wozie, czasem pod wozem: czasem sam leczy, a czasem samemu lekarze w kość dają.

Kiedy w czasie tamtej wojny ilość tęgich i zdrowych jak byki inwalidów zaopatrzonych w „białe bilety” rozmnożyła się jak gwiazdy na niebie, wyszedł ukaz: przebadać ich wszystkich jeszcze raz. Jeśli nie miał ręki — zobaczyć, czy mu nie odrosła, jeśli był garbaty — sprawdzić, czy mu kark nie wygładził.

W armię „białobiletowców” jakby kij wetknął. Spotkałem jednego takiego ziemgusaia w skromnym mundurze junkra (podchorążego). Miał pecha:

— Lekarz Polak w Berdyczowie obiecywał mnie zwolnić i nie dopilnował. Wstydzi się tego, obiecał, że za to zwolni kogo innego, którego skieruję.

Berdyczów? Brzmiało to niepokojąco. Mówiło się: „pisz na Berdyczów” w znaczeniu, że to trud daremny, a ten tu mi mówi: „jedź na Berdyczów”.

Berdyczowski doktor zatroskał się:

— Przewodniczący komisji stupajka, pułkownik rozżarty na „białe bilety”. Nie wierzy nam, nie bez słuszności, za grosz. Na szczęście leczy się u mnie. Dam mu wzmożoną dawkę laxative, a pan niech czeka już rozebrany pod drzwiami, aż go zeprze.

Kiedy też na drugi dzień wrzasnęli na mnie, skoczyłem przed komisję jak łania, nagusieńki.

— No cóż — mruknął wtajemniczony lekarz — nerki, należałoby badać szpitalnie, ale łóżek brak, wszystkie powinny być dla naszych rannych bohaterów.

Inni kiwnęli głowami, wyskoczyłem za drzwi. Ledwo naciągnąłem bieliznę, kiedy posłyszałem rozsrożony bas:

— Co? Znowu jeszcze jednego zwolniliście!... Skaranie boskie! Srnać spokojnie nie można. Wołać tego białobiletczyka.

Wówczas chwyciłem ubranie i buty w naręczce i runąłem w dół po schodach.

— Na dworzec! — wrzasnąłem do zdumionego dorożkarza. Ubrałem się w dorożce.

Ostra to dama, ta medycyna. Zwłaszcza jeśli z nią flirtować pod przymusem. Ale ten przymusowy flirt poznałem dopiero w pół wieku potem.

Gazeciarskie psoty i poty.

Instynkt dziennikarski sprowadza się do tego, co ma kolor i życie.

Burton Rascoe.

Chętniej myślę o sobie jako o dziennikarzu niż jako o autorze.

G. K. Chesterton.

Pogaduszki prasowe.

Pędzić go wdn! — grzmiało coś z wielkiego pokoju na tyłach redakcji „Kuriera Porannego”, Marszałkowska 148.

Był rok 1922. Kończyłem moje prawo, zaczęte przed wojną, miałem żonę i dwie córki, trzeba było jakoś zarabiać, Witold Giełżyński zasygnalizował, że „Kurier Poranny” poszukuje współpracownika, i w ten sposób znalazłem się w poczekalni pisma razem z jakimś sympatycznie wyglądającym młodym człowiekiem.

Z wielkiego pokoju wyszła sekretarka, pani Wasilewska, i grzecznie oświadczyła młodemu człowiekowi, że... niestety... już obsadzone.

Chciałem się wynieść również, ale mrugnęła i po chwili zostałem wpuszczony do grzmiącego przybytku.

Ujrzałem siedzącego na łożu, owiniętego kołdrami olbrzymia z guzowatym łbem. Był to naczelny publicysta „Kuriera Porannego”, Kazimierz Ehrenberg*. To on grzmiał teraz:

— To bezczelność — legitymował się dyplomem Szkoły Dziennikarskiej!...

— Ta-a-a-ki f-f-acet tto juuz zgu-zgu-zgu-biony dla dzie-dzie-dzienni-karstwa — przyświadczał inny, którego poznałem jako Witolda Noskow-skiego.

Nawiasem mówiąc — może i mieli nieco racji? W wiele lat potem, kiedy byłem zapraszany na wykłady w Szkole Dziennikarskiej — swoich elewów spotykałem następnie na różnych placówkach, ale ani jednego w dziennikarstwie.

— Cóż robić, cóż robić — zacierał krótkie pulchne rączki, latając po gabinecie, właściciel „Kuriera Porannego”, Ludwik Fryze — kanikuła, urlopy, trzeba kogoś...

Syn Gustawa, syna Aleksandra I i p. Dzierżanowskiej, wychowywanego przez W. Ks. Konstantego Gustaw Ehrenberg był autorem pieśni „O cześć wam, panowie!”...

Wobec tego spojrzeli z obrzydzeniem na mnie i, znużeni wrzaskiem skapitulowali. Zostałem zaangażowany za jakąś mierną bardzo kwotę „do wszystkiego”.

Wypiąłem pierś, broniąc, resztek godności:

— Z wyjątkiem wierszowego, jeśli będę co pisał. Spojrzeli ubawieni:

— Z wyjątkiem wierszowego — zgodził się łatwo Fryze. Pomyślałem sobie: „Trzy lata najpierw będziesz ganiał do sklepiku

po szynkę dla Ehrenberga”, ale wyszedłem z dumnie podniesioną głową.

Nazajutrz stanąłem do pracy. I zaraz nazajutrz... kazano mi iść na dół i...

łamać numer „Przeglądu Wieczornego” (bratni organ „Kuriera Porannego” ukazujący się po południu).

Było to, jakby chłopakowi na posyłki, który zaangażował się do huty, kazano wypuścić zawartość wielkiego pieca albo woźnemu teatralnemu zagrać Hamleta.

Mężnie polazłem w dół do zecerni po wąskich schodkach. Mignęło mi przez myśl, że przecie na szafot zwykle się wchodzi, tymczasem ja schodzę.

Na szczęście miałem taką siaką praktykę w łamaniu pism młodzieżowych oraz w wojsku. W Korpusie u Dowbora wydawałem konspiracyjne wobec władz korpusowych pismo „Sumienie”. Pismo, którego łamy sam wypełniałem od pierwszej do ostatniej stronicy, dla konspiracji drukowało się na dużej pedałówce ustawionej w jednym z wagonów pociągu pancernego; załoga była zakonspirowana; miałem składacza, który nie miał pojęcia o łamaniu.

Tu zaś mnie czekał na dole ze sznurkiem do mierzenia w dłoni me-trampaż-delicja.

Tuż obok już leżały składy w kolejności działów. Trzeba było tylko czasem kilka wierszy wyrzucić lub dopisać. To mi się bardzo podobało. ; ;

Skończyć łamanie należało o drugiej. Pięć minut przed drugą ukazałem się na górze, gdzie nawet przygodni współpracownicy zlecieli się oglądać frajera. Ale miny im zmierzchły, bo już widzieli wysyłane kolumny szczotkowe. Ehrenberg powiedział:

— Panie kolego, rzymska piątka.

— Iz plu-plu-plusem — dodał Witold Noskowski.

Tylko Fryze przyszedł z dramatyczną miną, o ile można mówić o dramatycznym wyrazie pulchnego i dobrodusznego oblicza.

— Panie, pan mi zjadł całą puentę...

Pan Ludwik odziedziczył pismo założone przez ojca. Stary Fryze zerwał z dostojnym dziewiętnastowiecznym sposobem redagowania i nieraz go można było widzieć, jak, uczepony beczkowozu, gnał do pożaru.

Synowi jego z tego wszystkiego zostały... sprawozdania z wyścigów. O ile wiem, nic innego nigdy nie napisał. No i właśnie tu uciąłem mu

puentę— p.p-panie Mmmelchiorze, niech pan sobie zapamięta — pocieszał Noskowski — ile razy pan skróci co autorowi, tyle razy pan dowie się, że właśnie pan wyrzucił najcenniejszą puentę.

Z wolna „dziewczyna do wszystkiego” wywansowała, istotnie, na zapchajdziurę.

Według teorii Fryzego nie można było oddzielić funkcji adiustującego materiału prasowy od funkcji łamacza. Dlatego też, przeszedłszy na stanowisko sekretarza „Kuriera Porannego”, musiałem przychodzić na godzinę osiemnastą, bo wówczas zaczynało się adiustowanie. Nie była to tak prosta sprawa. Zwłaszcza Kwiatkowski, reporter kryminalny, pisał takim językiem, że poprawiałem czerwonym ołówkiem, poprawiałem zielonym, „poprawiałem” piórem, wreszcie, w pół z płaczem, miotałem to wszystko na ziemię i pisałem od nowa.

Tkwic zaś musiałem do szóstej rano, bo wówczas kończyło się łamanie. W obrębie tych dwunastu godzin miałem dosyć czasu, aby pisać wstępniak do „Przeglądu Wieczornego”. Artykuł każdy musiał wypełniać jedną szpaltę, pierwszą na drugiej stronie, od góry do dołu. To też była dobra szkoła zwięzłego pisania.

Ehrenberg, przechodząc kiedyś przez redakcję, posłyszał, że biedzę się nad brakiem tematu. Rzucił mi temat jak psu kość i odtąd nieraz pożywałem z pańskiego stołu.

Gdzie się jednak ,odkułem na skapstwie Fryzego i marnych poborach, to były tak zwane „michałki”, to znaczy sensacyjne szczegółiki na ostatniej stronie. Fryze na odczepne wyznaczył mi premię — 2 grosze za wiersz (potem w „Kurierze Porannym” brałem 30 groszy za wiersz, aż doszedłem do światowego rekordu — 2500 złotych za wyraz — to znaczy 5000 złotych za slogan „Cukier krzepi”).

„Michałki”, jak „Kura zabiła dziecko”, „Cielę z dwoma głowami”, „Szympanś zakochany w Murzynce”, „Testament słoniu” itd., wycinałem całymi stosami z polskiej prasy w Ameryce. Fryze mnie nieraz interpelował, skąd bierze mi się taki ohydny język, którego nie mam we wstępniakach. „Język ,kołczeje na myśl o 2 groszach” — informowałem uczciwie. Kiedy „michałki” doszły do wysokości czterokrotnej moich poborów, źródła natchnienia zdekonspirowały się.

Mieszkając w Nowym Jorku otrzymałem list od Głogowskiego, redaktora „Związkowca”, w którym mnie zapytywał, ile bym brał za stały felieton, sugerując 5 dolarów.

Odpowiedziałem listem pełnym godności: „Pisać za 5 dolarów od felietonu nie pozwalają mi przekonania; za 10 dolarów będę pisał, ale bez przekonania; za 15 dolarów będę pisywał z przekonaniem; a za 20 dolarów mogę pisywać bez przekonania”.

Wszystko robiłem... aż do przyjmowania telefonów włącznie. Noskowski, człowiek wielkiej kultury, świetny znawca muzyki, dziennikarz ze starej szkoły krakowskiej, nie mógł opanować jąkania się. Umówiliśmy się, że telefonując z Genewy sprawozdania z Ligi Narodów, będzie je śpiewał, bo wówczas się nie jąkał. Wobec czego istotnie muzykalnym głosem wyśpiewywał mi najcudniejsze arie operowe z librettem: „Na dzisiejszym porządku dziennym znalazła się sprawa itd.”

Pan Witold był zabawnie wybuchowy; wściekał się, kupując buty, że mu nad głową ryczy głośnik.

— Niech pan sobie wyobrazi, mówię: „Jak możecie znosić te wrzaski?” A ten szwec mówi: „To tylko z początku trudno, potem można się przyzwyczać”.

Kiedyś Związek Filmowców przesłał zaproszenie na „film prywatny” z typu cinema-cochon. Jadąc na ten seans, spotkałem w tramwaju Nos-kowskiego.

— Jadę do kina, nie zaszedłby pan?

— Ja... jadę ddo Se-e-ajmu — mówi z godnością. (Ten młokos proponuje mi wycieczkę do kina, niech to zostawi dziewczynkom.)

— Ale to cinema-cochon — podmrużnąłem. — Już tu wysiadamy. Pan Witold wyskoczył, nim tramwaj się zatrzymał. Biegając, tłumaczył mi zasapany:

— Pod wieżą; Eiffla zaproponował mi jakiś łobuz cinóma-cochon. A kiedy zebraliśmy się nas ze sześćdziesiąt osób, wleciał drugi łobuz, krzyżąc: „Police!” Wieliśmy na łeb na szyję, ale ja tak myślę, że pewno nie było ani żadnego filmu, ani żadnej policji.

Potem Noskowski przeniósł się do endeckiego „Kuriera Poznańskiego”.

Usiłował się tam utrzymać dziennik sensacyjny, ale gdzie zaś... Poza tym jego redaktor, Tadzio Święcicki, zwany „Szpicbródką”, był leń, co tu gadać. I nieraz musiał heroicznie wydobywać się z gaf zawinionych lenistwem. Kiedyś przyjął na odcinek nie dokończoną powieść pewnej grafomanki. Babina, dorwawszy się do druku, nie zamierzała powieści kończyć, wydawcy wylili z wściekłości, aż zoprymowany Szpicbródką kazał, żeby w ciągu trzech odcinków wszyscy poumierali, pożenili się, porodzili się, jednym słowem — pokończyli nawiązane wątki.

Innym razem nie wysupłał się tak łatwo. Znalazłszy na biurku jednego ze współpracowników wywiad z generałem Raszewskim, byłym oficerem pruskim, dowodzącym armią wielkopolską, ucieszył się, że to go zwolni pisanie wstępniaka, machnął na rękopisie „borgis na interlinię” i poszedł na wódkę.

Nazajutrz autor wywiadu zajrzał w gazetę i zatoczył się z wrażenia. Na pierwszej kolumnie mieścił się ślicznie wydrukowany wywiad, po-pstrzony nawiasami „generał prosi, żeby o tym nie pisać”.

Trzecim dziennikiem w Poznaniu był katolicki i ziemiański „Dziennik Poznański”, który zwrócił się do mnie o felietony. Czym by tu począć — zastanawiałem się, jadąc tramwajem. Nagle zorientowałem się, że przede mną siedzi z brodą, z wielkim krzyżem na piersi, w pasie z mory... tak onże „chłopisko starszawy, nieco orangutanowaty, ale pewien swych wdzięków” (patrz „Syzyfowe matury” str. 26), który w ataku furii wparł mię w morze po nieudanej eskapadzie romantycznej. Ho... ho!... spuściłem skromnie oczy. Bąkaliśmy to i owo, ale obaj wiedzieliśmy, że myślimy o tamtym.

Nie, nie można było tego pominąć. Świętobliwy więc kolega, doczekawszy swego przystanku, powstał i czekając, aż tramwaj stanie, począł:

— Wiesz, kiedy pomyślę o tych naszych wspólnych breweriach...

Sapnąłem niezdecydowanie. Mogło to znaczyć: „Hańba im!...”, ale też mogło znaczyć: „Dobre były caszy!...”

Kolega jednak wybrał drogę pośrednią, filozoficzną. Przeciskając się do wyjścia, powiedział:

— A jednak myślę, że kapłan, który obcuje z duszami ludzkimi, musi znać różne strony życia.

Poderwało mię i precisnąłem się do wyjścia. Był już na trotuarze, tramwaj ruszał:

— Proszę księdza — krzychałem — proszę księdza!... Odwrócił się ku mnie.

— Melduję, że różne style grzesznego życia się zmieniają, studiować trzeba całe życie.

Redaktor „Dziennika Poznańskiego” puścił felieton i zrobiła się burza. Musiał wciągać żakiet, jechać przeproszać biskupa Hlonda, a do mnie wystosował epistołę

per „precz z moich oczu!”.

Nie mam szczęścia z duchownymi sprawami. Z Panem Bogiem nie woiuję, ale sługom jego podpadam raz po raz. W „Hubalczykach” zamieściłem ustęp, w którym zapalczywy ksiądz Ptaszyński, wstępując do oddziału, składa przysięgę, że po wyzwoleniu Polski da publicznie na rynku swemu biskupowi w gołą d... dwadzieścia pięć za list pasterski, idący Niemcom na rękę.

Trzeba, że „Hubalczyków” wydało wydawnictwo katolickie. Jego redaktorka, wyszukując pchełki, które mogą zadrażnić cenzurę, zachowała się jak ów człowiek z bajki Kryłowa, który rozpatrując bukaszki, słona to i nie primietił — okazało się, że ów biskup i obecnie urzęduje. Gwałt zrobił się nieopisany. Wycofać!... Ale co wycofać, kiedy w tydzień książki nie było.

„Kurier Poranny”, który w czasach, kiedy stary Fryze jeżdżąc do pożarów zabierał „Kurierowi Warszawskiemu” czytelników, napotkał z kolei pogromcę w postaci młodego i kinetycznego „Czerwoniaka”, który z kolei wrywał płatami z „Kuriera Porannego” żywe mięso. Biada, kiedy mu coś stanęło na drodze, jak na przykład Angerman, naczelnik prasowy z Prezydium Rady Ministrów. Dzień w dzień było coś

o Angermanie, cała Warszawa wiedziała już o Angermanie, aż wreszcie któregoś dnia zaczerniało najgrubszym konkordansem przez kilka szpalt:

Angerman porwał cztery nieletnie dziewczęta.

Pod tym zaś biegło doniesienie ze Sztokholmu, że w wezbranej rzece Angerman utonęły cztery dziewczynki.

Spotkawszy pana Angermana w Detroit, rozpamiętywaliśmy te dokucz-liwości w żywocie urzędnika poczwiwego.

Opuściwszy „Kurier Poranny”, drukowałem w nim co niedziela cało-stronicowe felietony.

Bardzo ciężko było z wydobywaniem honorariów. Dyrektor wydawnictwa Orłowski twierdził, że porządek musi być, wypłaca więc honoraria w każdy piątek o dwunastej godzinie. Okazało się jednak, że nie wypłaca ani minutę wcześniej, ani minutę później. Coś tak jak ten znachor, który kazał dziewczynom zażywać dwie i pół kropli lubczyku o wschodzie słońca i biedule nie mogły utrafić.

Spudłowawszy przez trzy piątki, przyleciałem z awanturą do mego następcy na ongiś zajmowanym stanowisku, Wiewiórskiego. Roztoczyłem mu wstrząsający obraz mojej nędzy i niegodziwości kasjera. Wiewiórski słuchał z głęboką uwagą, najwidoczniej poruszony. Kiedym się wreszcie zatknął, odchylił się na amerykańskim fotelu i założył oba knykcie za wycięcie kamizelki pod pachami. Podniósł na mnie oczy, a w oczach lśniła głęboka dla mnie życzliwość: — Kolego Melchiorze — powiedział z czułą perswazją — czyż to w pieniądzach szczęście?

Kurwar”, jak w skrócie nazywaliśmy „Kurier Warszawski”, miał linie niezachwianą: „Drukujemy ogłoszenia — o Polsko!” Pamiętam, jaki wstrząs przeżył szanowny organ, zapewniwszy, że będzie trwał pod sztandarem „osła białego”. Zecera, który zamiast „r” wsadził „s”, wylano.

Z tą korektą nigdy nie można być pewnym. Kiedy Gebethner i Wolff przed tamtą jeszcze wojną podjął zbiorowe wydanie dzieł Prusa, po wszystkich korektach, rewizjach, superkorektach rozdano raz jeszcze personelowi odbitki z premią pół rubla (to był dobry obiad) za każdy znaleziony błąd.

Kiedy sprezentowano pierwszy oprawiony egzemplarz pierwszego tomu, pan Gustaw Wolff zbladł: błąd był w tytule.

Z wycieczki samochodowej pisałem dla „Kuriera Warszawskiego” cykl pt. „Ziarna po Polsce”. W powiecie leskim znalazłem się zaraz po wielkich zaburzeniach, przy czym doszło do sprowadzenia batalionu wojska. Rozgorączkowany pisałem całą noc, o świcie zostawiłem śpiącą żonę i jechałem jakieś opętane ilości kilometrów na najbliższe lotnisko, aby pilotowi wsadzić w rękę kopertę popstrzoną

rozpaczliwymi napisami „Bardzo pilne!” Po czym pojechałem aż do Konstancy. Wróciwszy po sześciu tygodniach do Polski, popędziłem do redakcji.

— Artykuł pana? — witał mię życzliwie dobroduszny olbrzym, redaktor Trzebiński.

— Jest, a jakże, jest, nawet już bodaj złożony...

— Ależ przecie to takie aktualne było, rewelacyjne...

— Przecie felietony z Konstancy wypychaliśmy wszystkie, boby minął sezon. Ale na te tam bójki jest sezon i latem, i zimą. Drugi je cyplata toż kuszat' chotiat, panie kolego (inne kurczątko też chciałyby podziobać nieco honorarium), po sprawiedliwości trzeba rozkładać, po sprawiedliwości. Zasada, że pośpiech źle działa na trawienie, królowała nie w jednym tylko „Kurierze Warszawskim” i nie tylko przed wojną.

Po bitwie pod Monte Cassino ruszył pościg za Niemcami na Rzym. Pościg Korpusu Kanadyjskiego tak gwałtowny, że wpadaliśmy do osiedli z jednego końca, gdy z drugiego wycofywali się Niemcy. Wreszcie rzekę pod Frosinone, na której cofający się zerwali most, przebyłem pontonem gumowym z pierwszymi saperami.

Brygadier kanadyjski wściekał się, zachodził w głowę: przecież 5 Armia Amerykańska miała przeciąć drogę odstępującym Niemcom, ruszając od morza w głąb lądu, na wschód. Potem okazało się, że jej dowódca przełożył łatwe laury pierwszego wkroczenia do Rzymu nad uganianie się za Niemcami.

Gdy wieczór zapadł, nie poszedłem spać, gnałem nocą do Neapolu, do kwatery „Orła Białego”. Przyjechałem o świcie, zdażyłem na dziewiątą wysztyftować korespondencję, po czym wróciłem na linię.

Ku memu zdziwieniu w najbliższym numerze nie ujrzałem mojej korespondencji.

— A jakże — tłumaczył przez telefon zastępca redaktora — pójdzie w następnym numerze, na ten już mieliśmy zobowiązania.

— Ależ to aktualne...

— Wszystko jest aktualne...

— Nawet ten esej o Słowackim? Czyż żołnierze nie są ciekawi, co po bitwie pod Monte Cassino działo się na naszym lewym skrzydle?

W telefonie posłyszałem ziewnięcie:

— Jak pan im poda, co było na lewym, to zaraz zechcą wiedzieć, co było na prawym...

A co do niewłaściwego sezonu, to również nie jeden redaktor Trzebiński miał zastrzeżenia.

Marian Dąbrowski, właściciel „Ikaca” („Ilustrowany Kurier Codzienny”), zawarł ze mną umowę na drukowanie w odcinkach „Smętka”. Rękopis był gotów dopiero na listopad i Mieczysław Dobija, z którym miałem na pieńku, zwrócił mi go jako „napisany po sezonie kajakowym”.

Po tym liście założyłem teczkę „curiosa”. Było w niej nieco kawałów, szkoda, że zaginęła.

Bodziec do założenia nowej dała recenzja W. Grubińskiego o „Zielu na kraterze”, w której arbiter elegantiarum rozdzierał szaty, że książka nie powinna być ukazać jako... sadystyczna. Bo zakładaliśmy się z dziećmi o „szczypta z zakręceniem”.

I ta emigracyjna teczka się zadziała. Nowy bodziec dla krajowej teczki „curiosów” dała mi redakcja zamawiająca artykuł na 22 Lipca na temat „Jak się czuję po powrocie do Polski”.

Napisałem, że jest to wielka radość dla pisarza, kiedy jego „słowo zmienia się w ciało”. Że cieszę się, gdy widzę, jak słowa książki o Hu-balczykach zmieniają się w czerwoną cegłę szkoły ich imienia, rozmowa z Kajką w głazy jego pomnika, słowa o bitwie o Monte Cassino w okręt pod tą nazwą itd.

„Ależ panie Wańkowicz — napisał, odsyłając artykuł, redaktor — oni bardzo dobrze wiedzą, że statek nazwano z powodu bitwy, a nie z powodu książki”.

Gdyby Słowacki przesłał temu redaktorowi „Smutno mi Boże”, to otrzymał pouczenie: „Panie Słowacki!... Ludzie dobrze wiedzą, że nie Hia Pana Bóg »niebo

tak złoci i morze«, tylko dla wszystkich i że tak robił przed panem i po panu tak robić będzie".

Cóż dziwnego, że człowiek „cyniczał". Posłałem Witosowi, kiedy był premierem, wcale z nim nie rozmawiając uprzednio, gotowy wywiad do podcyfrowania z wszystkimi „premier uśmiechnął się", „premier potarł czoło". Otrzymałem tekst z parafą i poszło.

Jakiś czas redagowałem „Gazetę Wileńską", zwalczaną namiętnie przez endecki „Dziennik .Wileński", który redagował J. Obst, zwany przez nas w skrócie Jobst. Jobst był pomysłowy. Dowiedziawszy się, że studenci mają go za coś tam obić, obwiązał fizys. Kiedy wpadli, wziął się boleściwie za policzek, powiewając długimi uchami:

— Już byli...

Jobsta organ ukazywał się rano, a moja „Gazeta" po południu. Dowiedziałem się, że w jutrzejszym numerze będzie świństwo w nas wymierzone.

— Kolego — powiedziałem do dziennikarza, którego nikt nie znał w Wilnie, bo właśnie tegoż dnia przyjechał z Warszawy — pojedźcie o trzeciej w nocy do drukarni „Dziennika", wtedy już jest po wszystkich korektach i nikogo nie ma w redakcji. Powiedźcie, że jeszcze coś trzeba zmienić, i pędźcie ze szczotkową odbitką do mnie.

Na odbitce już przełamanej porobiłem w paru miejscach odnośniki, dezawuuujące twierdzenia w tekście, i na drugi dzień Wilno zataczało się od śmiechu.

Po trochu, po trochu, Aż fortel chwycił.

Ezop „Kruk i dzban".

Mityczny dr J.P. Zajączkowski

A teraz — mówiłem, grzebiąc w kupie depeesz — odczytamy depezę gratulacyjną od dr. J. P. Zajączkowskiego.

Było to w restauracji w Pałacyku Sobańskich, w której wydałem bankiet na pięćdziesiąt osób z powodu przyznania Andrzej ewskiemu nagrody za „Ład serca", wydany przeze mnie w „Roju".

Dziwne to było towarzystwo; od .prałata Kornilowicza i Ojca Kolbe (zginął następnie w bunkrze głodowym, do którego poszedł, ratując współwięźnia) — poprzez Akademię Literatury in corpore (w tym Iłła-kowiczówna, która postawiła za warunek, żeby jej dać kurę z grysikiem), aż po „Wiadomości Literackie" (jednak bez Grydzewskiego, który siedział u wezglowia chorego psa), i skrajną lewicę (z Dembińskim rozstrzelanym przez Niemców) z grupy wileńskich komunistów (poczętej przez monarchistę Mackiewiczza).

Depezę dr. Zajączkowskiego pokwitowano krótkim oklaskiem. Tak się składało, że nikt go nie znał osobiście, aczkolwiek ceniono powszechnie niezwykłą erudycję pisarza, który tłumaczy jedną książkę na miesiąc, pisze jedną na kwartał, zabiera głos na wszelkie możliwe tematy i sypie faktami i cytataami jak z rękawa. Pomimo tak niezwykłego stażu był to człowiek jeszcze w pełni sił. Sam byłem przy jego urodzeniu. Było to w 1925 roku, kiedy to „Rój" startował żółtą biblioteczką historyczno-geograficzną po 30 groszy tomik. Chodziło o wyparcie tak zwanej szundliteratury i w biblioteczce pisali między innymi: Sieroszewski, Tuwim, Ejsmond, Kuncewiczowa, Ossendow-ski, Bandrowski, Ossowiecki, Ignacy Matuszewski, ale wszystkich ich brał o trzy długości dr J. P. Zajączkowski.

Narodził się z chwilą, kiedy Melcer-Rutkowska powiedziała, że za nic w cyklu „Słynne miłośnice" nie podpisze książeczki o „Roksanie, ukochanej żonie padyszacha", bo to zwykła kompilacja.

___ No, ale jakoś przecie trzeba podpisać — głowiłem się. — Wie pani, Podpiszemy panią jako, no, powiedzmy, doktora Zajączkowskiego.

___ A jak znajdzie się jaki prawdziwy doktor Zajączkowski?

___ To mu dodajmy „J" i jeszcze „P". Drugi taki niełatwo się znajdzie.

Odtąd nie chcących się podpisywać autorów i tłumaczy zastępował coraz częściej zbiorowy pseudonim — dr J. P. Zajączkowski. Z czasem sławetny doktor miał ręce tak pełne roboty, że mu stworzyłem do pomocy innego — nazywał się dr M. H.

Majewski (sam pod tym pseudonimem napisałem „Wyprawę Livingstone'a", a na emigracji „Rzeź w Aninie" w „Wiadomościach").

Ale dr J. P. Zajączkowski górował nad dr. M. H. Majewskim.

Kiedy jakiś profesor ze Lwowa przyjechał przedyskutować z kolegą Zajączkowskim problem nowego spojrzenia „na Napoleona", trzeba było staruszka zapewnić, że dr J. M. Zajączkowski jest na wojażu zagranicznym.

Kiedy wreszcie coraz liczniej w recenzjach poczęto wyrażać zdziwienie, że „tak wytrawny tłumacz" tak... sknocił, sam poczułem się Pigmalio-nem. Zapytującym tłumaczyłem, że Zajączkowski jest mizantropem, nie opuszczającym swej pustelni w Beskidach, i że zabrania udzielać komukolwiek swego adresu. Uważano to za chęć niedopuszczenia do niego propozycji innych wydawców i bąkano o wyzyskiwaniu przez „Rój" chorego człowieka. Uważano, że ten rój powinien za to kiedyś znaleźć się w ulu.

Wobec czego po bankiecie dla Andrzejew. siego postanowiłem urządzić takiż bankiet na cześć dr. J. P. Zajączkowskiego z rozesłanym uprzednio obfitym serwisem, zawierającym dane biograficzne (odludek pracujący w ukochanych Beskidach, nie bywający w sto'icy), wykaz twórczości i głosy prasy o tym kongenialnym tłumaczu, Buyu nr 2, można powiedzieć. Miała też być dołączona fotografia Roosevelta z doretuszowanymi wąsami. Na sam bankiet miała przyjść depesza, że jubilat nagle zachorował, ale specjalnie zamówiony stenograf miał zapisać wszystko, co na jego cześć powie prezes Sieroszewski, a za nim wszyscy akademicy. Do Trzaski i Michalskiego posłana była notatka do nowego wydania encyklopedii, także z dołączeniem fotografii, adresu i odznaczeń do polskiego „Kto jest kto".

Niestety, wojna przerwała tę tak świetnie rozwijającą się karierę literacką. Były pogłoski, że dr J. P. Zajączkowski zginął w obozie koncentracyjnym. Nic dziwnego, że z prawdziwym zadowoleniem dowiedziano się nagle z listu jego, drukowanego w 1948 roku w londyńskim „Dzienniku Polskim", że żyje, a wiadomości jego jeszcze się pogłębiły.

„Dziennik Polski" wydrukował list jakiegoś profesora, zwracający uwagę, że właściwa nazwa dorsza jest wąłosz. W tydzień potem zaoponował dr Z Stągetło, twierdząc, że dorsza' nie należy nazywać wąłło-szem, tylko pomuchłą. „Dziennik Polski" zamieścił i ten list, z pewną irytacją jednak zaznaczając, że uważa sprawę za wyczerpaną i dyskusję ucina. Trudno się dziwić tej irytacji, skoro się zważy, że był to rok, w którym kotłująca się na wyspie brytyjskiej kilkusettyśięczna masa Polaków, wyrzuconych z siodła, miała tysiączne sprawy na głowie.

Widać jednak odezwał się autorytet tej wagi, że „Dziennik Polski" poczuł się zmuszony ustąpić i wydrukował pt. „Ichtiolodzy! Litości!..." trzeci list w sprawie dorsza, vel wąłlosza, vel pomuchli, który brzmiał jak następuje:

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę mi wybaczyć prośbę o uwzględnienie mego głosu mimo zamknięcia dyskusji, ale Zjazd Ichtologów w Brukseli, z którego wracam, nie' pozwolił mi na zareagowanie natychmiastowe.

Właściwą nazwą tzw. popularnie dorsza jest pitłosz wzgl. pitługa. Nazwa pierwsza używana była przez Kaszubów, natomiast nazwa druga miała prawo obywatelstwa w imporcie do dawnej Polski, datującym się widać od dawna, skoro Rej pisał:

...za nic tchną pitługę mają,

Jeno karpie a szczuki doma poławiają...

Oba te terminy znajdujemy u Lindego, natomiast prof. M. Siedlecki w swojej wiekopomnej „Faunie wód morskich i słodkich" (Akad. Um. 1936, Kraków) używa słowa pitługa, tak jak ono otrzymało wiekowe obywatelstwo.

Inst. Bałtycki w wydanej przed samą wojną „Terminologii morskiej" (Bydgoszcz 1939, str. XII plus 128) zaleca termin pitługa. Z wysokim szacunkiem Dr J. P.

Zajączkowski

Asystent ichtologów w Puław. Inst. Ro!n. « 312 Finchley Road, London, N. W. 3

Red. Dr Z. StageUo, autor ostatniego listu na ten pasjonujący temat, prosi nas o sprostowanie, że jego nazwisko brzmi Stagello, a nie Stagiello.

Okazało się, że wojna nie została zmarnowana dla dr. J. P. Zajączkowskiego. Znany i ceniony tłumacz, znawca epoki napoleońskiej, spraw szpiegowskich, specjalista od perypetii pierwszej wojny, słynnych procesów, wyśmieniony ekspert lotniczy, koneser mody damskiej, kronikarz baranów w Australii, wyrocznia w sprawach baletu — był ponadto ichtiologiem.

Okazało się, że znakomity Zajączkowski jak zawsze miał rację. Bo oto niebawem nadpłynął do redakcji list językoznawcy, dr. M. H. Majewskiego, wspomnianego już wyżej autora „Wyprawy Livingstone'a”, którym ten uczony komunikował, że rzeczownik pitługa w początkach XVII wieku poszerza się w formę czasownikową, jak o tym świadczy stop z ilLekcji Kupidynowych”, przypisywanych Kasprowi Twardowskiemu (którą to rzecz biskup Szyszkowski w 1617 roku na indeksie ksiąg zakazanych umieścił): Dorwawszy się do miodu gach wdówkę nadużył: Obłapić nie obłapił, a tylko spiłtużył.

Adres 312 Finchley Road, który podał dr J. P. Zajączkowski, był adresem Domu Literatów. Tegoż dnia kiedy ukazał się numer z jego listem, zanim ktokolwiek zdążył wziąć do rąk „Dziennik Polski”, rozległ się telefon i jakiś starczy głos poprosił zaspanego poetę Sułkowskiego (onże cięć w Domu Literatów w zamian za bezpłatny pokój), że chce mówić z doktorem Zajączkowskim.

W Domu Literatów mieszkał miły chłop, dobry kolega mający poczucie humoru, Tadeusz Zajączkowski (pisywał w „Świecie”, „Żołnierzu Polskim” itd., zmarł w Warszawie w marcu 1959). Ze zdumieniem przyjął pytanie, „na jakich źródłach opiera szanowny kolega twierdzenia, tyczące nomenklatury dorsza?” „Szanowny kolega” opędział się, gadali jak gęś z prosięciem, zakończywszy rozmowę rzucił się do „Dziennika Polskiego”, ale mu przeszkodził telefon od następnego rozjuszonego ichtiologa.

— To ani chybi Wańkowicz — wydedukował Dom Literatów. A że lud pisarski jest chwyliwy na neologizmy, przeto tegoż dnia jeden z nich obezwał krzątającą się niemrawo koło obiadu małżonkę „tchlą pitługa”. Po czym Zajączkowski, stefonowawszy się ze mną, wystosował do „Dziennika Polskiego” list pod pseudonimem, opatrzonym naukowym tytułem, w którym wywiódł, że dla dorsza nie jest właściwy termin po-muchla ani wąłosz, ani pitługa, tylko — jak to stwierdza kronika kanonika Gniewosza z Bełzca — ciołkosz.

Tymczasem redakcja „Dziennika Polskiego” szalała: lingwista dr M. H. Majewski, wynykawszy gdzieś listę polskich jadłodajni, poszczuł specjalnymi listami właścicielki stołówek w Birmingham, Glasgow, Cardiff, Newcastle, Edynburgu i Perth, aby stanowczo żądały od redakcji autorytatywnego wyjaśnienia, pod jaką nazwą mają podawać codlinga, to znaczy dorsza w jadłospisach. Bardzo bowiem pragnęły zakamuflować dorsza, jako że rozgoryczeni stołownicy zachęcali się do tej najtańszej ryby: ...Jedzcie dorsze, g... gorsze”.

Przygotowywałem się, by wprowadzić pod dyskusję jeszcze z pół tuzina nazw, popartych poważnymi tytułami naukowymi i podmurowanych solidnymi cytatami ze staropolskiej literatury. Niestety jednak, ten autentyczny, żywy Zajączkowski przeholował. Ciołkosz to był działacz emigracyjny i kiedy redakcja go spytała, czy nie sprzeciwia się wydrukowaniu listu Zajączkowskiego, zawrzasnął wielkim głosem. Kawał, zbyt grubymi nićmi szyty, spruł się przed czasem i kariera dr. J. P. Zajączkowskiego została na emigracji zwichnięta.

Równocześnie jednak w kraju w roku 1947 zagrzmiał w „Odrodzeniu” głos tego wybitnego pisarza. Okazało się, że dr J. P. Zajączkowski znalazł przystań po perypetiach wojennych w Grójcu, skąd zaprotestował przeciw przyznaniu nagrody Jarosławowi Iwaszkiewiczowi za jego, bodaj, nowe włoskie.

Zakołtowało się. Ripostując, dr J.P. Zajączkowski w polemice z Watem reasumował: „Pisał o mnie Kisiel i Żółkiewski, Iwaszkiewicz i Ważyk, Wat i Przyboś. Mogę bez przesady powiedzieć, że pod wpływem wszystkich tych wzmianek zaczynam

naprawdę wierzyć w swoje własne istnienie. Czy pamięta Pan nowelę France'a »Ogrodnik Putois«? Jest to opowieść o tym, jak to wymyślono kiedyś osobę nie istniejącego ogrodnika, by się wykręcić od nudnej wizyty — i jak potem osoba ta stawała się coraz bardziej niezbędna w najrozmaitszych sytuacjach życiowych, jej charakter

wzbogacał się o coraz to nowe wady i ułomności, by wreszcie zmaterializować się całkowicie jako sprawca zajścia w ciążę pewnej cnotliwej kucharki. Otóż mam wyraźne poczucie, że jestem czymś w rodzaju ogrodnika Putois".

Istotnie, niebawem nastąpiła dematerializacja — tym razem dr J. P. Zajączkowskim okazał się Jerzy Pański, w swoim czasie współpracujący z „Rojem".

Tak oto skończył się mityczny dr J. P. Zajączkowski. A szkoda... Taki zbiorowy pseudonim to nad wyraz pożyteczny katalizator, stwarzający nowe wartości w procesach polemicznych bez czyjegokolwiek kosztu personalnego. Czyż nie pożytecznie by było, gdyby na przykład Sandauer

Przeprowadził na nim wiwisekcję na temat taryfy ulgowej?

Byłoby pożądane, aby ktoś stworzył ponownego uniwersalnego robota.

Wykrywam zamachowca.

Będąc na Kubie, ciekaw byłem tamtejszej prasy. Wielki dziennik, który poszedłem odwiedzić, miał wówczas, w 1926 roku, 65 000 nakładu, to znaczy więcej niż jeszcze w pięć lat potem „Ilustrowany Kurier Codzienny", największy dziennik w trzydziestomilionowej Polsce. Ludność zaś czytająca Kuby stanowiła wówczas 1 200 000 białych — poza tym liczyła 1 800 000 Murzynów, przeważnie analfabetów. Znalazłem się w duplice fabryki cygar: w wielkiej hali żelbetowej — dwadzieścia sześć biurek, na każdym maszyna do pisania i elektryczny młynek. Pośrodku wzniesienie cementowe z biurkiem naczelnego redaktora, ogrodzone żelazną sztachetą.

— Czym mogę panu służyć?

Wywaliłem kupę listów polecających, wynikało z nich, że na Kubę zawinęła perła piśmiennictwa, największy dziennikarz, największy wydawca, w ogóle wszystko największe.

Przejrzał rekomendacje baranim wzrokiem:

— Więc czym definitywnie mogę panu służyć?

— Chciałbym zapoznać się z organizacją pisma.

— Manuel — krzyknął do jednego z biurek — zapoznaj pana z urządzeniem pisma.

Manuel zaprowadził mnie do drukarni:

— To jest linotyp — powiada — czy mogę jeszcze panu czymś służyć? Nie?...

Pozwoli pan, że przeprowadzę pana do wyjścia.

Znalazłem się na ulicy nieco odurniały.

Oficer gospodarczy holenderskiego handlowca zwierzył mi przy kieliszku w jednym z kabaretów Hawany wiadomość, która mię poderwała:

poprzednim rejssem przewiózł na Kubę Ukraińca Olszańskiego, który miał rzucić bombę na prezydenta Wojciechowskiego.

Był to rok 1926, jesień. W kraju kończył się właśnie proces przeciwko Steigerowi, który rzekomo miał rzucić ową bombę na Targach Lwowskich. Stoiaca w tłumie baletnica, krzycząc histerycznie, wskazywała na Żyda, Steigera.

Sylwetka Steigera, buchaltera, nie zaangażowanego w żadnej wywrotowej organizacji, sympatyka syjonizmu, zupełnie nie pasowała do inkryminowanego zarzutu. Władze jednak nie chciały się kompromitować tym, że nie ujęły sprawcy. Sprawa się ślimaczyła i przerzuciła na fluktua antysemitki. Było to bez sensu, bo żadna żydowska organizacja, nawet Bund, nie szła drogą terroru. Żydzi byli niezmiernie podnieceni. Proces, będący wykwitem policyjnej siuchty i społecznej kołtunerii, poczwarył się na życiu publicznym.

A więc Olszański na Kubie? Rzecz prosta, cały mój wysiłek poszedł w kierunku odszukania tej legendarnej osobistości, o której wieści w prasie dwoiły się i troiły i o której nie wiedziano u nas w kraju nic pewnego.

Postanowiłem uderzyć wprost — poszedłem do komitetu ukraińskiego. Wskazano mi adres ukraińskiego domu noclegowego. Wrzesień w Hawanie to nie żarty. Wszedłem się klatką schodową, na którą drzwi wszystkich mieszkań były rozwalone, odstawiając ociekające potem półce leciwych Hiszpanie. Drzwi od domu noclegowego były również rozwalone. Na brudnych kojach leżeli rozwaleni mołojcy, u wejścia dwie rosłe deliny grały w walcaby. Przedstawiłem się jako Aukszołajtis, dziennikarz litewski, pragnący nawiązać kontakt z Olszańskim. Wydali wrogi pomruk i poczęli się zbliżać, zaciskając kułaki wielkie jak bochenki chleba. Dostyc więc szybko zrobiłem drogę w dół. Pomyślałem, że mogę znaleźć sojuszników w Żydach.

Roztopiałem się w tym piekielnym upale i mdlałem na samą myśl, że będę lepnąć po jakichś tam żydowskich komitetach, których adresy dopiero muszę zdobyć, że będę odsyłany od Annasza do Kajfasza, aż „Leerdam” wyładuje całą cebulę.

A gdybyż tak spotkać jakichś Żydów? Ale jak rozróżnić Żyda w tym kreolskim tłumie?

Przebierałem oczami przechodniów. I co znaczy nos reporterski!... Podszedłem do dwóch typków i zagadnąłem:

Przepraszam, czy panowie nie mówią po polsku? I dlaczego nie mamy mówić, dlaczego? — zabrzmiało mi w uszach jak harfa eolska.

Bracia drodzy, to ważna sprawa. Jestem dziennikarz. A tu podobno skrył się istotny sprawca zamachu na prezydenta Wojciechowskiego...

— Olszański? Ten łobuz, ten... On tu tańczył hopaka w nocnym kabarecie.

— Oj!... — jęknąłem. — Jak jego zobaczyć, jak? — zawsze zarażam się stylem rozmówców.

— On już nie występuje. Z czego żyje? Dziewczynkami się zajmuje. Niby to je uczy tańczyć jako „berliński stołeczny tancerz-artysta”.

Stanął na tym, że będą go szukać. Mam im depeszować godzinę przybycia statku, na którym będę wracał z Meksyku do Europy. Oj, czas do Meksyku, czas, bo mi Olchowicz, redaktor „Kuriera Warszawskiego”, gotów tak napisać, jak Krzysztof Radziwiłł do ochmistrza swego syna, który „w drodze” ugrzązł na dwa lata ze swym wychowankiem w Norymberdze:

Nie na tom go do cudzoziemskich krajów wysłał, nie na to na taki koszt się waży. Siedźcie tam sobie, jako raczycie, bo o was pewnie ani wiedzieć, ani myśleć nie będę, póki o was w Niderlandzie nie usłyszę, i halerza jednego nie poszlę, choćbyście w turmie zgnić mieli.

— Czy pan gra w bridża? — pytał Józef Rettinger, urodzony w Krakowie, doktor Sorbony, członek Labour Party, ożeniony z córką angielskiego parlamentarzysty, w czasie ostatniej wojny pułkownik angielski, doradca generała Sikorskiego, skaczący do Polski.

Wówczas Rettinger organizował w Meksyku Międzynarodowy Zjazd Związków Zawodowych, po czym miał na rok jechać wraz z żoną do Chin.

— Nie, nie gram.

— To szkoda, zagrałibyśmy ze starym.

— Ż jakim starym?

— Z prezydentem Meksyku.

Nie znałem wówczas możliwości tego polskiego Trebitsch-Lincolna i zirytowałem się na samochwalstwo.

— Z bridża rezygnuję, ale niech mi pan urządzi wywiad z ministrem spraw wewnętrznych.

— Z ministrem spraw wewnętrznych? — Rettinger podniósł słuchawkę. — Halo, boy, przyjeżdżam do ciebie z polskim dziennikarzem.

Po chwili wkraczaliśmy do gabinetu ministra Tejedy, eks-geometri. Po kwadransie rozmowy byliśmy przyjaciółmi. Kiedy żegnaliśmy się kordialnym abrazo (uściskiem), wyczułem pod połą marynarki pana ministra przytroczony rewolwer wielkich rozmiarów.

— Ale, ale... — wołał jeszcze od wyjścia minister Tejada — macie tu bilety na

trybunę rządową na jutrzejszą Olimpiadę.

Olimpiada sportowa państw Ameryki Centralnej była w 1926 roku wielkim wydarzeniem politycznym na tle usiłowań zmontowania bloku tych państw. Zwłaszcza komentowano sobie udział Kuby, idącej na pasku Stanów Zjednoczonych. Olimpiada miała trwać trzy dni, ale mnie już czekał statek, odpływający do Europy, mogłem więc być tylko na pierwszym dniu, co wykorzystałem dla pomsty nad dziennikiem hawańskim. go przecież byłem pierwszą jaskółką z Olimpiady.

„France”, którym wracałem, luksusowy transoceanik o wyporności 17 000 ton, nie miał nic wspólnego z pocziwym cargo, którym przyjechałem do Meksyku. Przez dwa dni podróży między Meksykiem a Kubą poznaliśmy się już nieco. Grałem zawzięcie w szachy z posłem radzieckim w Meksyku, Polakiem Pestkowskim, ziemianinem z Kaliskiego, którego brat był bodaj równocześnie prokuratorem w Polsce.

Były, jak na każdym statku, wampy, królowe danego rejsu, i była, jak zwykle, jedna ofiara — milionerka amerykańska, stara panna z pretensjami.

A ponieważ równocześnie w miejscowej filii „Louvre” pracowała jako sprzedawczyni piękna dziewczyna, która była na procentach od obrotu, nasyłałem po kolei do Amerykanki coraz to innych eleganckich młodych ludzi, którzy tłumaczyli, że — według europejskich pojęć — kobieta, którą dwa razy młody człowiek spotka w tej samej sukni, przestaje dla niego istnieć.

Potem okazało się, że nim dobiliśmy do Saint-Nazaire, co zajęło siedemnaście dni, podeksycytowany babsztyl zdołał zakupić dwadzieścia trzy toalety, a do tego hurmę dodatków oraz szereg kufrów.

Tymczasem jednak zawiniliśmy do Hawany. Już znowu na bastionie starego hiszpańskiego portu, który mijamy, wita nas wielkimi literami ogłoszenie FORD i wiele mniejszymi: Vivat presidente Machado. Zestawienie znamienne dla zrozumienia, kto tu rządzi.

Prowadzona przez pilota „France” sunie wzdłuż białej Hawany. Już z daleka widzę na nabrzeżu moich żydowskich przyjaciół, których uprzedziłem telegraficznie.

Już są na tropie. Jedziemy. Za kulisami trzeciorzędnego „Varietés”, połączonego z kinem, znajdujemy Metyskę o kaczym nosie. Owszem, uprzedziła Olszańskiego, że chce się z nim widzieć litewski dziennikarz, ukszołajtis. Omawiamy wspólnie, że spotkanie nastąpi w warsztacie pobliskiego żydowskiego szewca, wtajemniczonego we wszystko.

aJ3c w tymże dniu czas, popędziłem, dysząc zemstą, do owego hisz-słuego dziennika. Tym razem poszedłem po prostu do pierwszego okienka, w którym przyjmowano prenumeratę, i położyłem skromnie fotografie z Olimpiady. Panienka zadzwoniła, posłała fotografie, niebawem telefon spytał o cenę.

— Po dziesięć dolarów od sztuki — powiedziałem, głupi frajer — i jeszcze podpisy dorobię.

Dali sześćdziesiąt dolarów, zaprowadzili na to cementowe klepisko, Murzyn, nie pytając, zdjął ze mnie marynarkę, puścił wiatraczek, podsunął syfon, otworzył maszynę i przyniósł kawy.

Napisałem zamiast podpisów artykułik na sto wierszy.

— Dziękuję — mówi jakiś robot i już zerka na drzwi, żebyśmy sobie szedł, a Murzyn pakuje na mnie marynarkę.

— A honorarium?

— Przecie miał pan dać podpisy.

— To nie podpisy, ale artykułik. Zmartwił się:

— Chodź pan do redaktora sportowego — powiada.

Redaktor sportowy siedział przy linotypie i walił, bestia, prosto na linotypie swój artykuł.

A tu naokoło otoczyły ciekawe gęby.

— U nas "W Polsce — powiadam —" nie ma zwyczaju pisać darmo.

— Ale my nie mamy wierszowego: wszyscy jesteśmy na kontraktach miesięcznych.

— Możecie mi wypłacić pobory miesięczne.

Radość. Najwięcej się cieszy małopud, który mnie wtedy linotypem uraczył. O, byki! To tak z wami gadać trzeba...

— Piętnaście dolarów za tekst — powiadam. Dali. Z honorami wyprowadzili.

Nazajutrz w warsztacie szewskim prowadzonym przez galicyjskich Żydów, dowiedziałem się, że Olszański już się nawiadywał i ma powtórnie nadejść. Pytał, czy na tym Litwinie da się coś zarobić.

— Zarobić mu się nie da — mówię — ale mogę go nakarmić.

— Przecie z takim nie może pan iść do eleganckiej restauracji — mówi z jakąś zabawną starokrajską rewerencją właściciel warsztatu i wskazuje mi o dwie kamienice podrzędną knajpkę.

Niebawem wszedł Olszański. Mały drobny chłopak, brunet o oliwkowej cerze. Czoło ma niskie, skośnie ścięte, zdradzające ciasnotę umysłową. Usta wąskie, wygięte silnie, znamionują okrucieństwo i zmysłowość. Nozdrza cienkie, oczy błyszczące.

Twarz wysunięta w jakimś odrażającym

grymasie w przód niby ryjek drapieżnego, ale słabego zwierzątka. Jego zachowanie się jest mieszaniną bezczelności i lęklivosti. Ruchy niespokojne i wzrok, rzucający na strony, jeszcze bardziej potęgują wrażenie dzikości i słabości.

Kiedyśmy wyszli z warsztatu, wziął mnie na spytki. Znając dosyć zamarki tego wszystkiego, co się kotłuje na wschodzie Rzeczypospolitej, ludzi i organizacje, nazwy i nazwiska, jako tako zdaję ten egzamin. Uspokojony, zatrzymuje się na progu, przywołuje rosnącego draba i odprawia go.

— Ce mij bojewyk — wyjaśnia.

Jesteśmy więc sami. Możemy mówić. Posiłkujemy się polskim — językiem naszych wrogów. Na stole pojawia się koniak z trzciny cukrowej i przekąski. W ciągu rozmowy wielokrotnie musiał spocony mosso przynosić coraz nowe pełne kieliszki, aż naokoło powstał szmer zdziwienia i zainteresowania. Tu, pod tropikami, nie umieją ludzie pić po słowiańsku.

Nie umiem pić, nie lubię i nie mam specjalnie mocnej głowy. Zaobserwowałem jednak dziwny fakt: ilekroć piję nie dla towarzystwa, 'ecz w jakimś celu, nieskończone strugi alkoholu niemal zupełnie nie mają na mnie wpływu. Widać wola ma dużą mocność przeciwdziałania.

— Zamachu dokonałem 5 września 1924 roku o godzinie trzeciej minut piętnaście po południu — zaczyna Olszański. — Urodziłem się jako syn wiejskiego parocha w 1905 roku, w 1918—19 jako czternastoletni chłopak walczyłem przeciw Polakom w armii ukraińskiej. Wtedy poległ mój szwagier, Szymon Szeremeszko, pozostawiając wdowę z synem. Na jego mogile — patetycznie oświadcza — poprzysiągłem Polsce zemstę. Koło Chyrowa pod Samborem założyłem własną organizację. Żelazną (kilkunastoletnią — p.m.) ręką trzymałem swoich ludzi. Łączności z żadnymi organizacjami ukraińskimi nie miałem. Wiele aktów sabotażu przeprowadziliśmy na własną rękę. Zabiliśmy dwóch policjantów; we dwunastu napadliśmy, w roku 1923 na pułk piechoty, będący na manewrach w Karpatach, koło Turki.

I rozbiliście ten pułk? — zapytuję z namaszczaniem, trącając się nowym kieliszkiem koniaku.

Właściwie to było w nocy. Zabiliśmy wartownika i porwaliśmy a karabiny maszynowe i piętnaście zwykłych. Ale w ogóle broni mieliśmy dosyć, zakopanej od czasu wojny z Polską. Dynamit kradliśmy w kopalniach borysławskich. Mieliśmy uskładanych z górą sto kilogramów. w tym czasie poznałem Waczaszczuka, zabójcę zdrajcy Matwiasa, dyrektora seminarium żeńskiego. Waczaszczuk wprowadził mię do ukraiń-lei bojowej organizacji, do której wstąpiłem ze wszystkimi swymi ludźmi. Przysyłano nam instruktorów, którzy uczyli nas techniki wybuchowej. Zgłosiłem się do swoich władz konspiracyjnych z propozycją wykonania jakiegokolwiek zamachu.

Polska urządziła we Lwowie Targi Wschodnie, mające świadczyć o polskości tej naszej stolicy. Trzeba było zaprotestować.

Bomba, którą mi wręczono, był to dwunastocentymetrowy cylinder o średnicy ośmiu

centymetrów. Siła jej równała się sile dwunastu granatów ręcznych. Naładowana była kawałkami żelaza, które były zatrute. Najmniejsza więc ranka wywołałaby niechybną śmierć.

5 września stanąłem przed kawiarnią „De la Paix”, trzymając w ręku opakowaną bombę. Zasięg jej był obliczony na piętnaście metrów.

Wtem masa zakołysała się. Posłyszeliśmy tętent ułańskich koni; oddział kawalerii poprzedał powóz prezydenta.

Rozepchnąłem wokoło siebie tłum i silnie wyrzuciłem bombę, podbijając ją w górę. Zatoczywszy wielki łuk, padła prosto na konie, wiozące prezydenta, i stoczyła się z nich na bruk, dymiąc silnie.

Tłum rzucił się do ucieczki w prawo ode mnie. Zacząłem uciekać w inną stronę, aby się od niego odłączyć. Powóz prezydenta popędził galopem dalej, oddział zaś ułańskiej eskorty wjechał w tłum i zagroził mi drogę, ale tłum mię wypchnął na jakieś miejsce bardziej otwarte, gdzie było luźniej.

Wszedłszy w boczną uliczkę udałem, że idę z dwiema kobietami, które przechodziły tamtędy. Nie zaczepiony przez nikogo, dotarłem do Janow-skiego Przedmieścia, stamtąd zaś przemknąłem się na dworzec.

Następnego dnia w towarzystwie komendanta przemyskiego bojowego okręgu wyjechałem do Przemyśla. Tam, po sześciu dniach, zdałem poprawkę z języka ukraińskiego, która mi stała na przeszkodzie do uzyskania prawa stawania do egzaminów maturalnych.

Potem wyjechałem do Krakowa, bo moje władze uznały, że w Przemyśle jest za gorąco.

Tymczasem rozpoczęła się sprawa Steigera, co zwracało śledztwo w innym kierunku. Ale kochanka komendanta, który mię wywoził ze Lwowa, wygadała się przyjaciółkom, że ukrywam się w Krakowie. Więc organizacja dała mi bilet do granicy i dziesięć dolarów.

Za przeprowadzenie przez granicę dałem trzydzieści rentmarek i zostałem bez grosza. Telegiafowałem więc do naszej organizacji w Berlinie, ale tymczasem nawinąłem się na oczy jakiemuś agentowi niemieckiemu, który mnie aresztował i powiózł do Bytomia. Tam mnie skazano na trzydzieści rentmarek kary za nielegalne przejście granicy. Wtedy zeznałem całą prawdę. Niemcy odnieśli się do mnie życzliwie i karę darowali.

W Berlinie komitet ukraiński wyznaczył mi czterdzieści dolarów pensji miesięcznej. Zdałem też tam na ukraińskich kursach maturę (egzaminowali mnie poeta Lepkij, profesor Kozela, Lewicka i inni), która dawała prawo wstępu na uniwersytety niemieckie. Byłem uczniem akademii sportowej, poza tym kierowałem egzekutywą ukraińską w Berlinie.

— Jakież były pańskie obowiązki w tym kierunku?

— Tak w ogóle... — Olszański pochyła się ku mnie, silny zapach koniaku kubańskiego bije od niego — prowadziłem robotę przeciwpolską. Ja też dziennikarz jestem — bije się w piersi — ale to tajemnica. Redagowałem za pieniądze niemieckie „Pressenberichten”, gdzie umieszczano się wszystkie głosy, kompromitujące Polskę. Ale, panie — kiwnął się ku mnie bezwładnie — niech pan o tym nie pisze, boby Niemcy byli wściekli.

— Doskonale — powiadam; nie napiszę, jak rak świśnie (przestaję się już krępować). Moso, бага el tavor de tiaerme dos copas mas de conac". No, dobrze, panie Olszański, ale jeśli tak się wiodło panu w Berlinie, to czemuś pan stamtąd wyjechał?

— Nie mogłem dłużej siedzieć. Był proces Steigera. Złożyłem zeznanie urzędowo. Powstał gwałt, partia Severinga domagała się w Reichstagu mego wydania. Nasi Ukraińcy wyprawili mnie do Meksyku. Jednak w drodze mnie nastraszone, że Meksyk wyda mnie Polsce. Zostałem na Kubie.

— Jakże przyjęli tu pana Ukraińcy? Olszański zbywa to pytanie milczeniem.

— Jakże się tu panu powodzi?

— Źle bardzo. Po trzy dni nie jadam. Zapomnieli o mnie wszyscy. Chciałem jechać

do Kanady; ale tam są Polacy, dowiedzieli się, mówią: „Niech już tu tylko przyjedzie, to zębów nie pozbiera”. Więc boję się jechać. Delegat ukraiński z Kanady, Kurydyk, obiecywał przysyłać regularnie co miesiąc dwieście dolarów. Ale ani razu nie przysłali. Skąd by tam — widziałem przecie wszystkie złodziejstwa Kurydyka tu, na Kubie.

— Tańczy pan podobno?

— Teraz nie. Tu jakoś na trepaka patrzeć nie chcą. Ot, ma pan fotografię" — to mój kostium. s

Na podanej kartce fotograficznej, przeretuszowanej przez kiepskiego fotografa, widnieje Olszański w kostiumie operetkowo-kozackim, w zuchowatej pozie.

— Wie pan co, panie Olszański — powiadam — czas już na mnie, statek zaraz odpływa. Ja tę fotografię zabieram. Ma pan dolara.

Kelner, proszę, jeśli laska, o jeszcze dwa koniaki.

Dopijamy ostatnie kieliszki.

— Ja pana odprowadzę — upiera się Olszański, chowając dolara. Dopijamy ostatnie kieliszki.

— Moja jakajaś babka — bełkoce całkiem pijany Olszański — wieszła za jakohoś polskocho korola,- ja i przynawafsia do toho ne choczu.

— Niechże Wasza Królewska Mość siada —

namawiam, pakując go do taksówki; niebawem mkniemy przez ciasne uliczki Hawany. Dojeżdżamy do portu. „Espagne” kołysze się daleko od lądu. Wsiadam do motorowej lancia. Olszański czepia się mnie kurczowo. Marzy, ażeby kapitan zabrał go jako prostego majtka, jak stoi.

Z trudnością się od niego odczepiam i krzyczę na obsługę, aby odbijała prędeż.

Warknął motor. Między łodzią a pomostem zaczął się szerzyć pas burej wody, pokrytej tłustym mazutem.

— Do widzenia, atamanie!... — krzyczę. — Podziękowanie od polskiego dziennikarza. Akuratnie wszystko opiszę. Do widzenia, szefie egzekutywy i arcytrąbo (oj, źle jest — teraz dopiero zwolniły nity w głowie).

Szeroko rozkraczony, patrzy za mną Olszański baranim wzrokiem. Przesyłam mu parę uprzejmych ukłonów i ginie mi z oczu. : Nadludzkiem wysiłkiem, czepiając się poręczy, spelzam w dół do mojej kajuty i walę się na łóżko.

Rano steward wraz z herbatą przynosi mi na tacy dziennik kubański; zajęty Olszańskim, zapomniałem go kupić.

Steward, promieniejąc, demonstruje mi pierwszą stronę z wielkim tytułem mojego reportażu przez całą szerokość szpalty i sześciu fotografiami, które dostarczyłem.

Ale cóż za wstęp pompatyczny: „O naszym wielce szanownym koledze z Europy, słynnym pisarzu polskim”. I zachwyty nad moim pisaniem. Pomściłem niefortunna pierwszą wizytę.

Prosto z dworca jak z procy skoczyłem do „Kuriera Warszawskiego” z opisem spotkania z Olszańskim. Z ramienia „Kuriera Warszawskiego” bowiem jeździłem do Meksyku.

„Kurwar” z rozkoszą drukował wszystkie korespondencje o walce z Kościołem, ale nie puszczał tych, które wskazywały na wyzysk ludności przez Kościół — największego obszarnika Meksyku. I cóż powiecie? — Kondzio, dobra dusza, pozwolił mi równocześnie te artykuły drukować w masońskiej pono „Epoce” Rosnera. Teraz wziął z mej ręki rękopis, ucieszył się, że to taka rewelacja, zastanowił się i powiada:

— Wiesz, najcenniejszy materiał staramy się umieszczać w niedzielę, teraz jest wtorek. Ale wiesz, Strzetelski założył „ABC”, to oni ci skrót tego zaraz wydrukują.

Naturalnie, że „ABC” materiał porwało, poprzedzając go wywiadem ze mną („pan Wańkowicz zrywał ananasy wprost z drzewa”?) i opatrując korespondencję zdjęciem Olszańskim w kozackim stroju, które otrzymałem od niego.

Dopiero potem „Kurwar” uroczyście wywalił uprzednio przez inne pismo wysany

tysiącwierszowy materiał. A mimo to, że skrót „ABC” przetelefonowało już osiem pism, ten artykuł z „Kuriera” przetelefono-nowały w całości „Ilustrowany Kurier Codzienny” i „Chwila” — pismo syjonistyczne we Lwowie (pod triumfalnym tytułem Veritas vincit!).

Sąd wezwał mię do Lwowa, odrzucił prośbę o zbadanie mnie przez rekwizycję na miejscu. To był dodatkowy koszt wyprawy na drugą półkulę.

To do anything in this world we must jump in and scramble through as well as we can.

Sydney Smith.

Biegi z przeszkodami.

Na parę lat przed wojną Rada Ministrów miała coś tak tajnego, że postanowiła się zebrać nie w Prezydium Rady Ministrów, które, a nuż, mogło być obstawione przez obcy wywiad, tylko gdzieś prywatnie.

— Romek, może u ciebie?

Roman Górecki, aczkolwiek nie należał do Rady Ministrów, należał do sitwy. Toteż miał posadzinę nielichą — prezesa Banku Gospodarstwa Krajowego. To jemu zdarzył się na zjeździe legionistów zabawny casus:

— Tak, tak, obywatelu — mówił do innego leguna, z którym był w jednym batalionie legionowym, a który dzięki możnym protekcjom dostał posadę w Zakładzie Oczyszczania Miasta — razem dźwigaliśmy tę Polskę.

Legun też już miał w czubie i przyświadczył:

— Dźwigaliśmy, obywatelu generale, dźwigaliśmy... Tylko że obywatel złapał tę Polskę za cycki, to ma mlisko, a ja podsadzałem za dupę, to mam gównno.

Zebrała się więc Rada Ministrów w apartamentach Banku Gospodarstwa Krajowego. Niedużego wzrostu generał Górecki ginął w swoim gabinecie za biurkiem, którego można by użyć jako welodromu. Korciło mnie i korci dawniej szlacheckie, teraz poszlacheckie życie ponad stan. W swojej „Sztafecie”, wydanej przed wojną, robiłem analogie luksusów w Banku Gospodarstwa Krajowego i innych „biurowcach” do epoki saskiej.

Kiedy Rosja dotknęła Morza Czarnego, rozkwitła Ukraina, a za nią reszta Polski. Zda się, że zbiorowe szaleństwo ogarnęło tych ludzi. Świętochowski cytuje, jak dzieciak Dominik Radziwiłł wydawał 200 000 zł rocznie na „koszta stołu, piwnicy i światła”, jak u Sanguszki grały trzy kapele. Soroka w pamiętnikach pisze o kilkumiesięcznym objeździe dóbr swoich przez X. Adama Czartoryskiego w tysiąc koni: jedna bryka była spiżarnią, druga piecem do pieczenia chleba, trzecia kuchnią, czwarta ciastkarnią, piąta kawiarnią, szósta fajczarnią itd.: w karmazynowym jadalnym namiocie siadało wygodnie 60 osób na skórzanych krzesłach itp. Rezydenci księcia zrzadzili, że ojciec jego raczej by się pod ziemię zapadł, niżby z tak niepokaźną garstką podróżował. Briickner podaje, jak Raczyńscy wydali trzy bale i dwa przyjęcia po 100 osób na imieniny córki dziewięciomiesięcznej, jak u Lubomirskich w Dubnie przez cały czas kontraktów dzień w dzień szalało trzysta osób, jakie rzeki złota płynęły w Anopolu Jabłonowskich, Tuczyńskich, Korcu Czar-toryskich, Sławucie Sanguszków.

Bo też ludzie epoki Stanisławowskiej nie rozumieją, że gospodarka narodowa nie może być odskokiem od ogólnego życia, od pracy całego narodu, od zespołu norm, wiążących prywatne inicjatywy w jedną całość.

Sam Tyzenhaus, czołowa postać w uprzemysławianiu tej epoki — niepomiarkowany w ucztach, rozrzutny, aranżer własnego baletu, za nic sobie mający sądy, zajeżdżający sąsiadów.

Nałogi przeszłości przeważają. Taka gospodarka pociąga za sobą upadek całego aparatu gospodarczego.

Tepper, bankier, zdawałoby się — człowiek z innego świata, narzekając, że Polska sprowadza z Paryża rocznie 36 000 beczek wina, a drugie tyle z Węgier, sam swojej rodzinie pozwala małpować szlachtę. Jan z Dultli Ochocki w swoich pamiętnikach zapisuje, że herbatę u Teppera przygotowywano na angielskich

węglach, że bieliznę córki jego posyłały do prania do Paryża.

Przechodząc do współczesności międzywojennej, pisałem w tejże „Sztafecie”: Kiedy się patrzy na te wszystkie porfiry i jaspisy w naszych urzędach, na te dywany i witraże, na te liberie i auta, człowiek w sobie szuka miary — czyli też to już wszystko należy się prestiżowi państwa, czyli — naprawdę — już wszelkie potrzeby przedtem zaspokojono?

W tym czasie byłem znowu w Paryżu u szefa gabinetu jednego z ministrów. Pan szef, w alpagowej marynarce z mankietami gumowymi, siedział za przepysznym empirowym biurkiem z brązami. Na półkach jego gabinetu stały pięknie oprawne w cielejącą skórę tomy, jak wino omszałe, z lekka myszką tracące. W tych książkach, w tym przepysznym biurku i senatorskim fotelu była cała nastąta dostojność starej kultury francuskiej, nawarstwiony dobrobyt wieków.

Nad tym biurkiem wisiała, przyciągnięta szpagatem, tak aby znaleźć odpowiednie miejsce, zwykła kuchenna lampka z blaszonym, malowanym na zielono kołnierzem. Ta lampa i ten szpagat, te gumowe mankiety — to była Francja aktualna, Francja skąpa i oszczędna Maupassanta i Zoli, Francja dorabiająca się w toku dziejów.

Opowiadał mi pewien nasz finansista, że kiedy gościowi z dumą pokazywał podwójne drzwi do swego gabinetu, biurko jak boisko sportowe i salonik przyległy, skomponowany z najwymyślniejszą prostotą, Franci" melancholijnie zuważył: — My na to nie mamy pieniędzy, bo je wam pożyczamy. W 1928 r. dojechaliśmy do olbrzymiego deficytu naszego handlu zagranicznego — 800 milionów złotych. Są kraje, w których ludzie właściwie nie bardzo wiedzą, co by tu z pieniędzmi zrobić. Posłać by im na rozplódek stu naszych szlachciców, tzn. w ogóle Polaków — ci by im pokazali wyższą szkołę jazdy!...

Otóż teraz mogę zdradzić, że ten dygnitarz, któremu Francuz zazdrościł gabinetu, to był Roman Górecki.

Zaczęła tedy Rada Ministrów obradować w tych pięknych apartamentach, aż ci się tu coś za kotarą ruchnęło. Wiatr? Skąd? Zajrzał któryś z ciekawszych ministrów, aż ci tam zatajony Wrzos, korespondent ongi „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, po ostatniej wojnie mąż zaufania Kubitschka, prezydenta Brazylii.

Trudno, musiał sobie, biedak, radzić.

W czasie wojny wybuchł na południu Włoch bunt więźniów (dezerterów i rabusiów) w polskim więzieniu wojskowym. Wyrzuceni strażnicy nie mieli dostępu do wnętrza, więzienie otoczono pierścieniem wojska; zastałem bramy zawarte, ustawione ciężkie karabiny maszynowe, żołnierzy w hełmach, bagnet na broń. Mowy nie było o dostaniu się do środka. Dowiedziawszy się, że z ramienia sądu wojskowego akcją kieruje prokurator Sobotkowski, ucieszyłem się — był to znajomy z Warszawy prawnik, któremu kiedyś odstąpiłem garnitur „dyrektoriat”, kupiony u Sieradzkiego w Kaliszu. Przysłał żonie bukiet i zapewnienia wiecznej wdzięczności.

Okazało się, wieczna wdzięczność nie może kolidować z obowiązkami służbowymi. Ukazał mi blade oblicze przez kratę bramy i nazdu-miewał się, jak mogę nawet przypuszczać...

Zeżłościłem się i zakomunikowałem, że nie tylko mogę przypuszczać, ale że niebawem uścisknę mu dłoń — już nie poprzez kratę.

Pojechałem do komendy placu dowiedzieć się, kto dowodzi wojskową obsadą. Okazało się, że podpułkownik Melik Somchjanc, jeden z oficerów ormiańskich na kontrakcie przed wojną, uczestnik bitwy pod Monte Cassino.

Podjechałem więc znowu pod więzienną bramę:

— Proszę prosić pułkownika Somchjanca.

Ukazał się w hełmie, z pistoletem na pół biodra, w spinaczach jak za najlepszych czasów na linii.

— Panie pułkowniku, z rozkazu dowódcy Korpusu, w celu zweryfikowania zajścia z dowódcą 3 kompanii.

Zajście to bardzo bolesne, jedyne w czasie całej kampanii włoskiej:

dowódca kompanii podległej podpułkownikowi Somchjancowi odmówił ruszenia do natarcia i został na miejscu usunięty od dowodzenia.

Sprawa drażliwa, wiem, że dla Somchjanca ważna. Stuka słuźbiście obcasami:

— Tak jest!... Otworzyć bramę.

Kiedy wszedłem do lokalu sztabowego, uniosła się, błyskając oczami, oburzona postać prokuratora:

— Och — odpowiedziałem — ja wcale

nie w sprawie buntu w więzieniu. A czy jest jaki bunt? — dziwię się bezczelnie.

— Ja, po prostu, w sprawie wywiadu z podpułkownikiem Som-chjancem o akcjach, nie mających nic wspólnego z obecną. Proszę, panie pułkowniku — wydobywam notes.

Biedny Somchjanc się kręci, coraz przybiegają meldunki. Doznaje ulgi, kiedy go ułaskawiam do stosowniejszej chwili, i sam zabieram się do oglądania przebiegu.

Nadciągnęła kompania komandosów, chłopcy na schwał, pięści jak bochny, wywlekli pierwszą celę, nakładają kajdanki, niebawem cała reszta poczęła się dobrowolnie ładować na transport do innego więzienia.

Wieczorem jadłem obiad z Sobotkowskim. Widząc, że się odprężył, bo nie doszło do rozlewu krwi, powiedziałem:

— Ale z prasą — lepiej nie walczyć.

Kiedy przyjechałem do Polski na parę miesięcy przed październikiem 1956, w dwa dni po moim przyjeździe miał być Zjazd Frontu Narodowego. Był u mnie jeden poseł, prosiłem go o wyrobienie mi prawa wstępu.

— Co pan? — zdumiał się.

Nie bardzo wiedziałem, co to za Front Narodowy, ale się zirytowałem jak zwykle, kiedy mi nie dają czegoś zaobserwować. Więc kiedy poseł, żegnając się, pytał, kiedy się zobaczymy ponownie, poinformowałem go uprzejmie:

— Jutro — na Froncie Narodowym.

Kiedy wszedł-następnego dnia na posiedzenie, byłem pierwszą osobą, na którą się napatoczył.

Ale kiedy po zdarzeniach październikowych została zwołana z całego kraju Narada Aktywu Partyjnego, sprawa wyglądała trudniej. Człowiek, zajmujący wybitne stanowisko w hierarchii partyjnej, rozkrzyżował ręce:

— Ja sam nie otrzymałem wstępu; przecież tam muszą się zmieścić delegaci z całego kraju.

Istotnie nikt mi nie mógł nic pomóc. Poszedłem na wariata ze strugą delegatów w długich wyglansowanych butach, z teczkami, która wlewała się do Pałacu Kultury. Funkcjonariusze, sprawdzający karty wejścia, długo kręcili w ręku podane przeze mnie zaproszenie:

— Towarzyszu, to nie to...

— Ach, przepraszam — wykrzyknąłem — to zaproszenie na Zjazd Literatów. O, proszę...

Znowu obracają w ręku, obracają...

— Ach, przepraszam — mówię — co to? Zaproszenie na Zjazd Dziennikarzy? Jakiż jestem roztrzępany... Zaraz...

Długo grzebię w portfelu. Okazuje się — zostawiłem kartę wejścia w domu, ale niewątpliwie figuruję w rozdzielniku. Niech to pójdą sprawdzić.

Proszą się, błagają, że nie mogą.

Przypomina mi się sytuacja z końca września 1939 roku, kiedy przeszedłem nocą wpływ Dniestr na rumuńską stronę, nie mając rumuńskiej przepustki. Były wieści, że Rumuni pakują do więzienia. Umówiłem się z towarzyszem, że kiedy natkniemy się na wartownika, wyskoczy w przód i wytłumaczy zdyszczanym szeptem, że prowadzi polskiego ministra. Gdy tak się stało, podszedłem z godnością na obliczu i ze strachem w sercu, ale uspokoilem się, kiedy żołnierz trzasnął kopytami.

Położyłem mu dobrotliwie rękę na ramieniu, życząc sobie, aby nas eskortował do władz w Czerniowcach... odległych o 40 kilometrów. Wypraszał się gorliwie, że ma służbę, więc przestałem się upierać i poszliśmy dalej bez niego.

Więc i tu zdecydowałem się sam tę sprawę załatwić. Znalazłem się wewnątrz i

odetchnąłem. Ale okazało się, że jestem tylko w kularach, a przy wejściach na salę ponownie sprawdzają.

Nie ma co — któregoś z pilnujących porządku posłałem do biura po wyjaśnienie, a sam siedząc na kanapce patrzy, jak tłumy się wlewają.

Przyleciał ktoś z władz. Mówi:

— Niemożliwe. Mówię:

— Możliwe, tylko niech pan poszuka wyżej.

Poszedł. Mija czas. Korytarzem płyną coraz inne grupy. Przeszła grupa w cyklistówkach w jodełkę, teraz idzie grupa w cyklistówkach w kratkę.

Czy to odznaka jakichś ugrupowań?

— Ach, nie, najwyższej odznaka terytorialna: po prostu dany powiat otrzymał przydział cyklistówek w jodełkę, a inny — w kratkę. Ale już nie ma jodełek, nie ma krątek, pusto się robi, siedzę sam. Leci spóźniony minister. Proszę: ___ Wpuśćcie na Boga!

Zacukał się minister. Patrzy na Ważnego Organizatora: ___ Słuchajcie, towarzyszu, cóż tam za tajemnica być może, gdzie trzy tysiące ludzi słucha? Popatrzeli na siebie. _ Idź pan — mówią — w górę. — Sami idą po schodach za mną, gotowi prysnąć. Na balkonie jakaś obstawa przy drzwiach. Jacyś dziennikarze:

— Zajmijcie się obywatelem.

— Czemu nie mamy się zająć?!

No i wlałem. Słyszę, mówią, że na wszystkich szczeblach organizacji partyjnej muszą być zmiany. Nawet na najniższych.

— O, Jezu! — słyszę z chłopska rozmazujący głos za sobą, pełen przerażenia. — Nawet na najniższych!...

Po południu miałem złośliwą przyjemność relacjonując posiedzenie memu wysoko w partii postawionemu przyjacielowi.

Odtąd zbeczelniałem. Zawsze to przyjemnie łątkę jakąś przypiąć wysokim władzom.

Przypomina mi się z książki pt: „COP”, wydanej przed wojną:

Zaiste — beztroski Sandomierz. Województwo i dowództwo dywizji ma w Kielcach, Sąd Okręgowy, Dyрекcję Kolejową i Dyрекcję Lasów Państwowych w Radomiu, Inspektorat Szkolny i Powiatową Komendę Uzupełnień w Ostrowcu, Ubezpieczalnię w Tarnobrzegu, Dyрекcję Poczty w Lublinie, Kuratorium Szkolne w Krakowie, Inspektorat Akcyzy w Opatowie i nawet stacja kolejowa leży w innym województwie — lwowskim.

Jest coś wzruszającego patrzeć w ten beztroski bezład, w dawny porządek rzeczy, wiedząc, że idące lata dawnych przeobrażeń zmiotą tę przeszłość bezpowrotnie.

Wchodzę do starostwa i czytam plakat z wyszczególnieniem zajęć urzędnika.

Starosta, nazwisko, w rubryce „obowiązki” — „kieruje starostwem”. Wicestarosta, nazwisko, w rubryce „obowiązki” — „zastępuje starostę”,

Pouczywszy się w ten sposób co do kompetencji, czytam plakat na prawo, zatytułowany „Proste Myśli”, podpisane pleno titulo:

Dr Włodzimierz Dziadosz.

wojewoda kielecki.

Rozbieramy sobie te aforyzmy na pamiątkę z Sandomierza. Na moją część wypadł następujący:

„W walce ze złem należy dłoń uzbroić w brutalny miecz — nawet słowo którym zło potępiamy, powinno mieć siłę zabijania. Wytworzone formy zła ośmielają”.

Jeden z ministrów czyta afisz i pociesza nas: „To falsyfikat”.

Kiedy wychodzę na ulicę, słyszę, że jakiś woźnica umączoną gębą klnie pomocnika per „skurwysynu”. Spostrzegam, że „proste prawdy” wojewody Dziadosza zawędrowały pod strzechy.

Chwilkę mi się robi tak nudno, że leciałbym jak ów byk na Góry Pieprzowe i rył w ziemi. Ale reflektuję się, że nie ma potrzeby. Szczejnie pseudodwu-dziesty wiek, rozpleniony na partykularzu, nie skrępowany kryteriami, zadu-lany w sobie i śmieszny.

Już idzie — Polska Nowoczesna.

Jesienią w 1939 roku, zobaczywszy w kawiarni bukareszteńskiej doktora Olgierda Górkę, podszedłem do niego:

— Dziękuję za przesłane materiały.

Doktor Górka patrzy na mnie groźnym wzrokiem i sapie.

— Przecież mówię z doktorem Górką? — pytam i już się załamuję w sobie — wieczne niepoznanie ludzi...

— Nie, to nie doktor Górka — to wróg pana nr 1 — wojewoda Dziadosz.

Już idzie Polska Nowoczesna!... Hm... za każdym razem jest naj...

najnowocześniejsza i za każdym razem jest ta sama. W 1919 roku, kiedy tamtoczesny Rząd Lubelski (bo już okupacja austriacka pękła, a niemiecka jeszcze się w Warszawie trzymała) rozplakatował (sami ministrowie chodzili z kubkami), że reforma rolna, że powszechne ubezpieczenie, że prawo głosowania kobiet, że powszechne nauczanie, że orzeł ma być bez korony etc. — po tej wojnie okazało się, że chodziła czapla po desce.

Ciekaw więc byłem tej drugiej naszej młodości: ledwom wróciłem, zostałem zaproszony na uroczystość odsłonięcia pomnika Kajki.

Oto pierwszy felieton, który popełnił marnotrawny i niepoprawny syn, powrócony na ojczyzny łono:

Obchód kajkowski w Ełku był urzędową galówką w najgorszym powiatowym wydaniu w stylu dziwnego pomieszania „państwowotwórczych” sloganów z obyczajami sarmackimi.

Po wysłuchaniu pod pomnikiem sztywniackich przemówień, ozdobionych twierdzeniami, zdradzającymi gruntowną nieznamość tematu, wreszcie wysypaliśmy się — jak chłopcy z przydługiego nabożeństwa do karczmy — na bankiet w Prezydium Rady Narodowej.

Po krótkim przemówieniu w stylu nunc est bibendum (Encyklopedia La-rousse'a tłumaczy, że tym okrzykiem czci się zrobienie nieoczekiwanej kariery — un grand succes inespéré" — po polsku to oznacza: „czas chlać...”) — pojrzelśmy po jadłach i napitkach. W najbliższym promieniu szarego końca, na którym siedziałem, była łososi, a węgoryk, a rybuchna faszerowana, a rybuchna w galarecie, a majonezik, a sałatka jedna, druga, a jajeczko nadziewane, a polędwiczka grzeczna, schabik nadobny, tandem grzybki przeróżną modlą, tandem kurczątko z nadzieniem niewąskim, przyrządzone z rozumem. Tandem aromatyczny bigosik, dopieroż wody różnolite, a wina za granicą edukowane, a torty, a ciasta, a owoce, a kawuchny — palce lizać!...

Ledwo jednak człek sięgnął po rybuchnę, wnet ci go poderwali o głodnej gębie ku wyrzuceniu „Sto lat” dla jednego dostojnika. Wstaliśmy, odryczeliśmy akuratnie.

Ledwom się sunął ku łososiowi, już ci wstawaj, już ci krzycz „Sto lat!...” dla drugiego.

Przysiadłszy, za jajeczkom się wziąć próbował, aliści trzeciemu kadzić z powstawaniem przyszło.

Zmożony tą gimnastyką, smętnie przypomniałem sobie fraszkę Kochanowskiego:

Prze zdrowie gospodarz pije, Wstawaj, gościu! A prze czyje? (...) Odpoczniesz nogom kiedy? (...) Chłopię, wymknij ławkę moje,

Już ja tak obiad przestoję.

Temperatura rosła. Jeśli z początku, przepomniawszy jakowych wzniosłości: „Jako nieme bydłęta do żłobu z okółu idą ludzie, Boga nie pomnąc, do stołu” (Wacław Potocki), to już niebawem „Wiwat Pan!... Wala się, wadzi, wrzeszczy upojona tłuszczą” (Krasicki).

Kiedy organizatorce moich odczytów jeden z prominentów chciał wlać wody za gors, a inny żenię mojej ślubnej proponował, aby mnie dla niego rzuciła, chociaż snadniej macią by mu być mogła, tedy: „Że człek słuszny i z mowy, 1 stroju, każe ustąpić żenię do pokoju” (Wacław Potocki).

Ale i w drugim pokoju nie lepiej: „Po skończonym bankiecie wynijdę z pokoju, aż w izbie pełno szkła, krwie, obu końców gnoju” (ks. Starowolski w „Reformacji

Obyczajów Polskich").

„Krwie" nie widziałem, ale co do reszty...

Nazajutrz budzę się w hotelu przesiąkniętym wyziewami pokajkowskich

„uzewnętrznień". Wyskakuję na świeże powietrze, pytając napotkanego organizatora słowami Opalińskiego („Na polski in genere zbytek") — „Czy nie nazbyt gąb i brzuchów daremnych?"

Ale urzędnik rześko odpowiada:

— Chwalić Boga, starczyło.

— Z czego starczyło?

— Ano, po prostu, wyasygnowano 10 000 złotych na koszty przyjęcia z funduszków Rady Narodowej.

— Z pieniędzy podatników?

Potem część pijaków pojechała na grób Kajki. Pijany bełkot usiłujących wypić brudzia ze zmarłym był wysłuchany przez obecnych przy grobie niedobitków mazurskich i nagrany dla archiwum. Dla przyszłych badaczy neo-saskich obyczajów. Obyczajów? — bez wątpienia. Ale chyba nie neosaskiej epoki. Bo oto 2 tego kwaśnego hotelu uciekłem do biblioteki. 1200 abonentów w dziale dla dorosłych, 500 w młodzieżowym, przeciętnie 150 wypożyczeń dziennie. Gdzież coś podobnego było w przedwojennej Polsce?

Któż to czyta? Ci sami pijacy po wytrzeźwieniu czy jacyś inni Polacy? Trudno mi się z tym wszystkim pozbierać.

Na, rzecz biblioteki w Ełku wysłałem 100 złotych z komentarzem na prze-kazie.

„Sto złotych na zakup książek jako ekwiwalent za niezawiniony udział w darmowej uczcie z grosza publicznego w Prezydium Rady Narodowej w Ełku w dniu 28 września 1958 r."

Nie rechocz, Emigracja Wewnętrzna! Bo oto ten felietonik ukazał się w... cześć jej i chwała... w „Trybunie Ludu".

Ale cześć i chwała Lmtd, jak znaczą w Anglii spółki z ograniczoną odpowiedzialnością — ograniczona cześć i chwała.

Bo oto byłem na innym przyjęciu — dwa oczka wyżej niż w Ełku: na przyjęciu dla wiceprezydenta Nixona, wydanym przez Radę Państwa.

Co prawda, to prawda: przyjęcie było znacznie skromniejsze niż w Ełku. Było w nim jednak małe ale: wypadło w beźmięсны poniedziałek, ale mięso podano.

Po co Nixonowi ten kawałek mięsa? Zaimponujemy mu?

W Anglii, kiedy otrzymywano materiały na kupony, a rodzina królewska pojechała z urzędową wizytą do Południowej Afryki, prasa uspokajała obywateli, że królowy szyją sukienki z resztek, które babunia Mary przechowywała sprzed wojny w kufierku. Na czarną godzinę.

Hipokryzja? — Na pewno... Ale oznacza: „Prawo to samo dla wszystkich".

Bohater narodowy Wielkiej Brytanii, Montgomery, wizytuje po wojnie podchorążówkę. Po ukończonej wizytacji patrzy na zegarek — do końca zajęć pozostaje dwie godziny.

— Panie pułkowniku — mówi do komendanta szkoły — daruj pan chłopakom te dwie godziny na pamiątkę mojej bytności.

— Of course, noi (Jasne, że nie...) — odpowiedział pułkownik i pognął elewów do klas.

Prawo jest prawem — nie do przekroczenia ani przez bohatera narodowego, ani przez króla. Dlatego, kiedy w czasie wojny wezwano obywateli, żeby w wannach czarną kresą zaznaczyli, ile mają napuszczać wody, król Jerzy skrupulatnie się tego trzymał.

A Nixon jest ze świata anglosaskiego. Jakżeby to fajnie było powiedzieć, podając mu rybkę:

— Sorry, Mr Nixon, pan sam to wiesz, co my rozumiemy: chuda fara. Pan sam to wiesz, skoro trzecią pożyczkę nam bulicie. Ale nie na smakołyki, Mr Nixon, nie na smakołyki. Jeśli panu rybka nie w smak, to rekomendujemy doskonałe kluseczki kładzione.

Otóż tak to mniej więcej przyprawiwszy chciałem w prasie polskiej pisać.

Redaktor Zaprzyjaźniony powiedział:

— Świetny temat.

Coś mnie kolnęło. Kto to już tak kiedyś mówił przed wojną?

Ana — Kondzio Olchowicz.

Znaczy: teoretycznie — świetny; praktycznie — do chrzanu.

— Ale przecie o Ełku „Trybuna Ludu” wydrukowała.

— Obywatelu — przeszedł nagle redaktor z „kochany panie Melchiorze” — Ełk jest na innym szczęblu, a Warszawa na innym.

Oddaliłem się, przeżuując tę złotą myśl. Jeszcze muszę dojrzewać. Jeszcze mi się wciąż wydaje, że król angielski i Mr Smith kapać się winni według tych samych praw i że od Warszawy można wymagać tego samego, czego się wymaga od Ełku.

— Pan jesteś wciąż Alicja w krainie czarów — powiedział Redaktor

Zaprzyjaźniony surowo i dobrotliwie.

Powiedział to tak sugestywnie, że nawet nie zwróciłem się tym razem do „Trybuny Ludu”.

A jednak może źle zrobiłem. Może w redakcji tej „Trybuny Ludu” powiedziano by mi:

— Towarzyszu, hm... tego... Obywatelu, hm... tego... Panie, hm... tego... — aż wreszcie, trafiając na właściwy tytuł — kolego Wańkowicz, co prawda, to prawda, że z pana druga Alicja w krainie czarów. Ale po troszeczkę z tejże krainy jest zapewne Nixon. No, to dawaj pan ten artykuł, niech do Nixona dojdzie w serwisie. Niech chłop ma rekompensatę za to, że nie mógł się pochwalić Eisenhowerowi tą zjedzoną kluską. Bo będzie mógł powiedzieć: „Wiesz, Ajk, mięso to oni żrą, kiedy nie powinni. Ale pośmiać się z samych siebie umieją. To też coś znaczy”... Ja również myślę, kończąc rozdział o prasowych figlikach, że, owszem, to coś znaczy.

Czasem — aż za wiele znaczy.

Kiedy ruszyłem w objazd odczytowy, wszędzie natykałem się na appro-batio miejscowych władz, z poufną adnotacją: „Ale nie dawajcie mu nic jeść, bo nażre się i obszczeka...”

No i pielgrzymowałem — o suchym pysku.

„Tili — pęka z dumy King — będziesz 25-letni jubileusz literacki obchodzić mając 37 lat”.

„Ziele na kraterze”.

Tirliporek w opałach.

To jest wzruszające — trafić po latach na tego samego człowieka albo w to samo miejsce. Tak po dwudziestu latach spojrzałem na rozrosły park żoliborski, w którym drzewa kiedyś zasadzały rączki moich dzieci.

To samo w lekturze. Przyjechawszy do Polski, na czwarty dzień ruszyłem kajakiem. Z tym samym uczuciem stałem nad tym miejscem Łośny — „Wiernej Rzeki”, którym brnął ku Niezdołom ranny Odrowąż.

Pomyślałem, że zabawnie może będzie czytelnikom „Smętka” i „Ziela” natknąć się na tarapaty podrosłego Tirliporka i na to, jakże to wykluła się jego muza od czasów, kiedy stworzył pierwszy wiersz na temat „Pan Ludwik jest bardzo wesoły i zawsze go gryzo pscoty”.

Tę muzę niegodny Tirliporek, który urósł tymczasem w panią Martę, zdradził dla Demeter, takiej trzecioklaśnej, bo obrodziła zaledwo dwoma dziećmi, aleć zawsze i tych dwoje „ćmokta” i wycmoktuje z matki wszystkie siły.

Jednak zemsta, choć leniwa, zagnała ją w nasze (dziennikarskie) sieci. I to jakie!... — w Ameryce, gdzie pot wycisną z każdego lenia.

Po opuszczeniu kurzej farmy przypomniała sobie pierwsze honorarium w „Płomyku” — 82 złote z groszami wypłacone dwunastoletniej korespondentce za reportaże z wyprawy kajakowej na Mazury z ojcem. Poszła więc do tygodnika „Time” tak jak stała, z ulicy, bez żadnej protekcji, prosto do okienka przyjmującego oferty.

Okienko tajemniczo pracowało trzy miesiące, nie dając znaku życia, aż wreszcie pewnego dnia zadzwoniło, komunikując, że została przyjęta.

— Tatusiu — przesłoniła słuchawkę — pytają, jakie stawiam warunki.

— Dolar miesięcznie.

Bo przecie to nie posada, lecz kariera.

Wyznaczyli 75 dolarów tygodniowo jako „reserczerce”

(zbierającej materiał). Babunia przesunęła się do rondli w jej domu, a ja na miejsce babuni do rondli w naszym. Tak się zaczęło.

Z prasą, do której się weszło przez personalne-apersonalne okienko, było nieco inaczej niż w Polsce, choćby w dobrodusznym „Płomyku”, gdzie siedział dobrotliwy redaktor obierając pomarańczę. Jak zresztą z wielu innymi rzeczami w Polsce.

Choćby z medycyną.

Od lekarza u nas wymagało się zarówno przed wojną, jak teraz, aby był przyjacielem chorego, a od prasy, aby miała poczucie obywatelskie.

Od lekarza w Ameryce wymaga się, aby dobrze leczył, a od prasy — aby dobrze informowała.

W dziennikach polskich przed wojną, nawet największych, jak „Kurier Warszawski”, nie można było uświadczyc żadnej encyklopedycznej książki od „Encyklopedii” po „Słownik wyrazów obcych”. Było szykiem dawać do drukarni materiał pisany ręką, z poprawkami i skreśleniami; ze-cer jest od tego, aby się męczył. Twórca przez bardzo duże T nie będzie sobie tym głowy zawracał.

Przenieśmy się więc do Ameryki, choćby do redakcji tygodnika „Time”, pisemka nielicznego, mającego trzy miliony nakładu plus specjalne wydania w Europie i Ameryce Południowej.

Jest czwartek, dzień rodzenia się nowego numeru. W salce konferencyjnej w gmachu „Time’a” przy V Avenue zbiera się konferencja współpracowników: redaktorów i reserczerok.

Naczelny redaktor zagaja:

— Na tapecie mamy pucz w Gwatemali. Powiódł okiem po obecnych:

— Bili i Jessie.

To znaczy, że będzie o tym pisał redaktor Bili, a materiał dla niego przygotowuje reserczerka Jessie.

Podział Indochm. Jimmy i Jane.

Francuscy nurkowie osiągnęli cztery tysiące P^łdziesiąt metrów — Tom i Betty. Marta pracuje już trzy miesiące. Już jej podnieśli tygodniowe pobory do 100 dolarów, nadto trzynasta miesięczna pensja, nadto cztery urlopy rocznie. Praca jest tak wyczerpująca, że pismo uważa to za konieczne. Ale wciąż jeszcze na odprawach jest pełna emocji. Ach, żebyż jej znowu nie przydzielono do tego nieznośnego Boba O'Brieña. Sam nie wie, czego chce, czepia się reserczerok niemożliwie, żadna z nim pracować nie chce.

— Pierwsza na świecie łódź podwodna — Bob i Julia.

1 Marta odetchnęła. Julia, drobna, nerwowa dziewczyna włoskiego po. chodzenia, znowu będzie pobekiwać z wściekłości.

— Brechta „Hunger Gedichte” — Alex i Rose-Marie.

Teraz Marta poczyną się denerwować z innego powodu. Łączenie par dobiega końca i według przyjętego zwyczaju ostatniej parze przydziela się szlagier numeru — tak zwaną cover story, to znaczy najdłuższe opracowanie, sięgające trzech, nawet czterech stron, któremu poświęcona jest cover, czyli okładka, często rysowana przez Arcybaszewa, syna znakomitego pisarza rosyjskiego.

— Prawo głosowania kobiet w Szwajcarii idzie w odwłokę — Steve i Margareth.

Napięcie wzrasta. Jeszcze tylko dwie pary do połączenia. Marta wprawdzie marzy o cover story. Jest to jakby wyzwolenie na czeladnika. Ale ma tremę. Jest magistrem socjologii Pennsylvania University, jednego z najpoważniejszych, trafiła do USA w drugim roku wojny, tu już skończyła college, ale zawsze ma polski akcent, wciąż jeszcze nie jest dwoma nogami w tym amerykańskim świecie.

— Pierwsza atomowa fabryka w Rosji. Alex i Dolly. A więc — padnie na nią.

— Przedwczoraj, dziewiętnastego października Naser podpisał ostatecznie umowę, na skutek której Limeys (żartobliwe przezwisko Anglików) wynoszą się z Egiptu.

Cover story o nim — Jerry i Marta (!!!)

Cała pociecha, że wypadł jej Jerry — irlandzki dobroduszny dryblas sześć stóp i trzy cale wysoki.

Po sesji Jerry się ulatnia. Ma czas się martwić.

Marta poczyną się miotać. Jej obowiązkiem jest napisać całkowity artykuł — z puentami, mottami, cytataми, tak żeby mógł żywcem iść do druku. Artykuł ten w sobotę wieczór ma dać Jerry'emu. W poniedziałek rano Jerry ma jej dać do przekontrolowania, co z tego zrobił.

Przede wszystkim nadaje depesze do korespondentów w Egipcie, Libanie, Izraelu, Iraku, Syrii, Jordanii.

Następnie zamawia u głównej bibliotekarki odpowiednie książki. Biblioteka „Time'a" ma 35 000 tomów. Kwalifikowane urzędniczki biblioteki wyszukują książki, potrzebne ustępy zakładają zakładkę.

Dział filmowy ma mikrofilmy poważniejszych pism. Najważniejsze z nich są trzymane pięć lat, inne — rok. W tym dziale również trenowani pracownicy wybierają filmy na dany temat.

Wówczas dzwoni do egipskiej ambasady. Po czym zanurza się w encyklopedii, robi ramkę (tabelkę) do wpisywania napływających wiadomości. Godziny pracy redakcyjnej się skończyły. Dziś będzie pracować długo, pojawia się kelner z restauracji z listą potraw: obiad płaci redakcja. Za pierwsze dwie nadprogramowe godziny otrzymuje o 50 procent więcej, za każdą następną — 100 procent. Ale nie o to chodzi, tylko aby się nie zbłąźnić. ,

Na drugi dzień rano zażywa benzydrynę. Wielu zażywa stale behzy-drynę rano, barbiturat na noc. Jest depesza na pięć tysięcy słów od kairskiego korespondenta. Sama ta depesza znacznie przekracza rozmiar zamierzonego artykułu'. Korespondenci z Bejrutu, Jerozolimy, Damaszku, Bagdadu, Ammanu dorzucają po kilkaset słów. Na biurko sypią się kartki z wypisami z książek, z filmów.

Jej zwierzchniczka, kierowniczką reserczu działu zagranicznego, nie dowierza nowicjuszcze, sama przegląda depeszę-artykuł kairskiego korespondenta, którego opracowanie jest trzpieniem preparowanego artykułu.

— Słuchaj, Marta, on tu pisze: „Naser był tak mało znany, że nie figurował w egipskim »Who is who« (»Kto jest kim«)". Depeszuj zaraz o podanie dokładnej liczby nazwisk, bo to wygląda na pisanie od ręki. Czytelników emocjonuje, ile ludzi było ważniejszych od Nasera, w chwili kiedy się wybił.

Depesza leci. Jest popołudnie piątkowe. Wpadł Jerry:

— Cóż tam słycać?

— Sprawdzamy liczbę nazwisk w egipskim „Who is who".

— Nonsens. W ogóle nonsens kogokolwiek o cokolwiek pytać. Byłem w Egipcie w czasie wojny jako korespondent wojenny. Baj, baj, różyczko. Nie zesmaz się tu na skwarkę, całe sadełko wycieknie.

Marta jest pulchna i aluzje swawolnego Dyzia, tego trutnia, dla którego zbiera miód, pogarszają jej humor. Wpiera nos w papierki.

W sobotę rano odbiera telefon z Kairu. Korespondent tamtejszy jest niewyspany i wściekły. Depeszę otrzymał wczoraj, w piątek, to znaczy w święto muzułmańskie, kiedy redakcja „Who is who" była zamknięta, "ojechał do drukarni — była zamknięta też. Wynaleziony w mieszkaniu prywatnym kierownik drukarni za odpowiedni bakszysz pojechał do drukarni, znalazł panienki, które liczyły nazwiska. Jest ich 10 738. —

Czy jesteście zadowoleni? — pyta bazyliżkowym głosem. — Bo ja nie-zepsuliście mi partię golfa w klubie na „Zamaleku"*.

Marta pisze. W małym pokoju domu zbudowanego przy najwspanialszej avenue świata, gdzie każdy centymetr gruntu idzie na wagę złota __

stoi sześć biurk jedno przy drugim, przy których jej koleżanki-galernicy

przerabiają nadane tematy.

Przyniesiono jej obiad z restauracji, pisze długo w noc. Jest za późno by jechać do odległego o pięć kwadransów domu w jednej z dzielnic rezydencjalnych. Idzie do wygodnego hotelu „Statler”, pogrąża się z rozkoszą w wannę — jutro batalia (za hotel płaci redakcja). Zażywa barbi-turat na sen.

Nazajutrz przybiega na godzinę przed zaczęciem urzędowania. Zażywa benzydrynę. Na biurku leży przepisana w trzech egzemplarzach jej praca. Jeden egzemplarz porwie Jerry, drugi ma iść do zwierzchniczki.

Wpadł Jerry — silny, zwarty, gotowy. Niedziela to magiel dla niego. Porwał maszynopis, czyta:

— Wiesz, to ja użyję, to powiedzonko arabskie, że każdy człowiek winien splotzić syna, zasadzić drzewo i wykopać studnię. Skąd to wzięłaś?

— Ojciec powiedział, on też był długo na Bliskim Wschodzie — mówi nadęta. Czyżby ten obrzydliwy Jerry wziął to tylko z całej jej pracy?

Dzwonek. Wzywa szefica:

— Napisałaś: „Matka Nasera, czarnooka Sudanka”. Skąd wiesz, że czarnooka?

— Wszystkie Sudanki są czarnookie.

— Może być wyjątek. Depeszuj do Kairu.

Na poniedziałek Jerry prezentuje swój artykuł. Bezczelny typ! Po-skracał tylko i dodał parę kwiatków.

Marta te kwiatki bierze pod magiel. Jej obowiązkiem jest postawić kropkę pod każdym słowem i podcyfrować każdą stronę. W razie nieścisłości, nawet tych, które napisał Jerry, nie on odpowiada, ale ona.

— Jerry, a skąd to wzięłaś? A to?

Jerry się wścieka. Między writerami i reserczerkami panują stosunki jak psa z kołem. Pisarz chce pisać ciekawie, reserczerka odpowiada za dokładność.

— Dobrze, masz rację, że pytasz, skąd znam kolor auta Nasera. Jakiś przyjemniaczek mógł je widzieć i popisz się listem do redakcji. Ale czego się czepiasz, że „Naser uśmiechnął się”? Nie mógł uśmiechnąć się? Kto sprawdzi, czy akurat w tym momencie nie uśmiechnął się. I w ogóle — co to ma za znaczenie?

Jest to luksusowy klub na wyspie na Nilu.

— A może on nigdy się nie uśmiecha? — wątpi ponuro Marta. Jak ta przekłeta cover story powalkuje się jeszcze parę dni, to i ona będzie taka.

Szefica wzywa:

— Tu napisał Jerry, że pod królewskim pałacem siedzą żebracy.

Wszystko podkropkowane. Sprawdziłaś? f

— Jerry mówi, że sam widział.

— Jerry był w czasie wojny. Sprawdź.

Marta pcha depeszę, ale jest już druga w poniedziałek. A nuż odpowiedź przyjdzie za późno? Jerry będzie się pieklił, jak mu wykreśli. Oni wszyscy się pieklą, że im się bez sensu wyciska soczystość z tego, co piszą.

— Tatusiu — telefonuje, czepiając się ostatniego ratunku — czy żebracy siedzą pod pałacem królewskim w Kairze?

— Siedzą.

— Czy i teraz?

— Siedzą; czemu nie mają siedzieć?

— Ale czy wiesz to na pewno?

— Przecież na czarodziejskim dywanie nie latam co dzień do Kairu — złości się przodek. — A zresztą jakbym był w piątek, to ta wariatka powiedziała by, że w sobotę mogli już nie siedzieć.

— Tatusiu!... — jakieś rozpaczliwe pochnykiwanie słycać w słuchawce. Benzydryna i barbiturat w niej tańczują — każde ciągnie w inną stronę.

rodziciel — nie masz co się zabijać o to;

jest taka, że istnieje ogromna nierówność; Naser nie jest cudotwórcą i żebracy wciskają się w każdy kąt. Możesz to zostawić.

— Dobrze tatusiowi mówić.

W poniedziałek wieczorem wraca artykuł od naczelnego. O czarnych oczach Kair jeszcze nie odpowiedział, skreślono. Zebraków potwierdził (nieoficjalnie) sekretarz ambasady egipskiej — to jako trybut ciemnoluda dla blondynowatej i pulchnej Marty. Maszynopis frunął do drukarni. Marta wraca o normalnej porze do domu. Wtorek i środa są dniami wypoczynku, więc upierze i uprasuje bieliznę, zluzuje matkę, która pójdzie obrządzać dom ojca (który przez pozostałe pięć dni gotuje strawę dla siebie i dla żony), i może wyrwie się z córeczkami na lody. We czwartek — chodziła czapla po desce (sesja rozdzielająca prace do nowego numeru).

*V sobotę uderzył grom: przyszły ironiczne listy do redakcji, zapytuje, odkąd to Kair jest portem? Gapa Jerry napisał: „Kiedy Faruk na swoim jachcie opuszczał Kair...”, a druga gapa, Marta, nie poprawiła mu na „Aleksandrię”.

Ale z takim error jest jak z nieślubnym dzieckiem. Ten, który je spłodził, spaceruje^ wymachując laseczką, a cały ciężar spada na reserczerkę! Nieszczęsna kropka pod „Kair” wędruje z odpowiednią notatką do errors report. Oj, Tirliporku! — jak tak stracić wianeczek po trzymiesięcznym zaledwie chodzeniu z „Timem”?

Po dwu tygodniach Marta jest wezwana przed oblicze święte świętych — ; Mrs Peckham (pensja roczna 35 000 dolarów plus dodatki).

Mrs Peckham jest szefem reserczerki wszystkich działów. Mrs Peckham przyjmuje struchlałą z uśmiechem na ustach: — Winszuję — pokazuje „Reader's Digest” — przedrukowali cover story o Naserze i przysłali 800 dolarów. Wydzielałam ci tylko 80 dolarów, bo był tam niedopuszczalny błąd. Widzisz, „Reader's Digest” poprawił „Kair” na „Aleksandrię”.

— Czy wiesz, tatusiu — fulminuje wieczorem Marta — Jerry dostał całe pozostałe siedemset dwadzieścia dolarów!... A to przecież on byka strzelił, nie ja.

— Krakowiaczek nic nie winien, pocałował, bo powinien, Krakowianka temu winna, bo pozwolić nie powinna.

— I jeszcze ta reserczerka w „Digest”, która się tropnęła. Jeszcze większy wstyd. I te przyjemniaczki, czytelnicy, którzy się wyśmiewają ze wszystkich stron, a każdy taki list zostaje przypięty do mego errors report.

— Czekaj — pocieszam — bądźmy i my przyjemniaczkami. Jak tak, to tak... Smalimy list do redakcji „Digest”, tylko mi pomóż w mojej angielszczyźnie.

— A o co?

— Wczoraj na noc przeglądałem ten numer. Jak zwykle na końcu jest streszczenie jednej powieści. Rzuciłem tylko okiem i tak wciągnąłem się, że czytałem aż do trzeciej w n^cy, nim nie skończyłem. To są wspomnienia byłego oficera brytyjskiego wywiadu, teraz zamieszkującego w Calgary w Kanadzie. Spisał je wytrawny reporter, znakomity Reynolds. Facet, zrzucony do Francji okupowanej, jest po pewnym czasie ujęty przez Niemców i niesłychanie torturowany. Z wolna zacząłem podejrzewać lipę. Pomyśl: przywiązują go do fotela, tylko ręka wolna oparta na stoliku, gdzie bloczek i ołówek. W ustach klin trzymający je otwarte; badający siedzi z dużym elektrycznym czajnikiem; leje mu war w usta — ale ten nie wydaje; potem wrzątek; wreszcie ukrop. Nie wydał. Wówczas wchodzi siostra ubrana na biało z anielską buzią i lewatywą w ręku, ale lewatywą z kwasem siarczanym; facet nie wydaje, więc go wypuszczają z wypalonym wnętrzem. Anglicy nocą przysyłają samolot, ku-rują, no i dobrze, jest teraz nauczycielem w Calgary. I obydwoma końcami funkcjonuje znakomicie. Przecież to jakaś niesamowita bujda...

Minęło paręnaście dni — zrobiła się niesłychana awantura. „Reader's Digest” przeczytali w londyńskiej Intelligence, powiadomili, że „bohater” był przez cały

czas oficerem biurowym w dwójce, na krok się nie ruszył. „Reader's Digest” kaja się. Firma wydawnicza, która równocześnie wypuściła książkę, nie tylko wycofuje nakład, ale zwraca pieniądze za sprzedane egzemplarze.

Reynolds tłumaczy się, że autor jest skromnym nauczycielem w Cal-gary, mającym najlepszą opinię. Żyje cicho, jest cały oddany skautingowi. To go właśnie zgubiło. Przed kilku laty w pogawędce przy ognisku mówił o wyczynach brytyjskiego wywiadu; podobało się, więc dodawał personal touch przez wtrącanie tu i tam: „byłem, widziałem”. Z wolna było coraz więcej tego. I histprijki się-zaokrągliły. Pocziwiec robił to nie dla swej chwały, tylko dla podniesienia serc. Jak to bywa — w nieskończoność powtarzana historia tak przywarła do niego, tak się z nim zrosła, że sam w nią uwierzył. W tym stanie znalazł go Reynolds.

— Widzisz — mówię do Marty — to większy wpadunek. A jak ci twoja szefica powie, że nastąpił nie w ich wydawnictwie, to jej wskaż „Life”, który należy do tego samego koncernu. Jest tam 'streszczenie innej książki: „Z włóczęgami na lamparty”. Facet w dżungli południowoamerykańskiej nadzieja na pikę jednego po drugim jak dzwonek śledzia na widelec. Zobaczysz, i to kiedyś wystrzeli.

Nadszedł dzień zadośćuczynienia. Skromniutkiego zadośćuczynienia, ale dobra psu i mucha...

Był to już rok 1953, we Włoszech podał się do dymisji de Gasperi. Był środek lata, nowojorskiego lata, kiedy wielkie metropolis jest jedną wielką duszną łaźnią.

Na szczęście numer już był zamknięty. Już klęska niefortunnego chadeckiego premiera była na wszelkie boki wybadana, rozżuta, precedzona, każde słowo było przez reserczerkę podpunktowane, już materiał poszedł do ekspedycji i w redakcji zapanował błogi relax, któremu to słowu filolog Jakobsen z Harwardu nie umie znaleźć odpowiednika w języku polskim, które jednak dobrze się tłumaczy przez odprężenie.

W gabinecie naczelnego zebrali się magowie, aby radzić o nowym numerze przy szklance whisky and soda, ale i tam to radzenie było odprężone, bo raz po raz było słycać końskie śmiechy.

Tylko wśród ławicy opustoszałych biurek Marta czekała na ostatnie fotografie. Jest to czynność niemal mechaniczna: fotografie przychodzą z gotowymi captions (podpisami) wysprawdzanymi stokrotnie, a probowanymi wyżej i najwyżej. Mimo więc zmniejszonej czujności nieszczęsna reserczerka poruszyła się niespokojnie, obejrzała fotografię rodziny ustępującego. Siedziała na niej wąta, niepozorna figurka de Gasperi w otoczeniu rodziny — żony i czworga dzieci. Napis zaś głosił: „Wydatne rezultaty osiągnięte nędznymi środkami”.

Marta zapukała do gabinetu:

— Oh, Marta, włącz — chcesz high-ball?...

— Nie — wymawiała się — mam sprawę do Griffitha. Olbrzym wyszedł ku niej za próg.

— Ja nie wiem, Griff — spytała — sam obejrzyj, czy to można tak puścić?

Ucieszony Griffith znikł na chwilę i wnet buchnął głośny amerykański śmiech.

— No, to można powiedzieć — orzekł rodziciel — że zostałeś gęsią kapitolijną „Time'a”. —

— Czemu? — wydęła się zabawnie, po dziecinnemu, jak za Tirlipor-kowskich czasów.

— No bo te gęsi gęgały też nieco na ślepo.

— Mamo!... — nie pozwól. ' Królik już leciał jak nastroszona kokosz.

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ.

Polak z przyrodzenia.

Ma ustawiczną chciwość do podróżowania; Którzy mają dukaty, bawią się rozkoszą Kosteryą do Polski i france zanoszą.

Opaliński „Worek Judaszów”.

Poliglotyzm.

Przez wiele wejść włamywać się trzeba do świata. Stoją w jego obwodzie świątynie

wiedzy, sztuk wszelkich i wszelkich umiejętności. Z nie lada to sapaniem przybysz znad Wisły odciąga ciężkie wierzeje każdego tempłu. Ale wszystkie one stoją w obrębie jednego ogrodzenia: obcości językowej. Bóg, rozgniewany na dociekliwość ludzką, burząc mury Babel, wznosił na jej miejsce ten mur między ludźmi.

Furtki te, furtki języków i dialektów, idą w tysiące. Przez którąś z nich szturmująca drobinka ludzka zawsze przecieknie. Byłem w tych drobinach'polskich, widziałem, jak się zaczynało od jakichś oui i yes i najdziwniejszych manana, bukia, szalom, calimera, damnasziara, nami lahamam — pod każdą furtką inaczej.

Miałem wrażenie, że obserwuję szturm plemników do jajników cywilizacji. Ileż tych plemników zemrze, nim jeden, na miliony, zapłodni jakieś jajeczko w którejś ze świątyń odrębnych cywilizacji.

Wielka to rzeka dziejów. Ale przykucnijmy przy jej maciupkich źródełkach. - Hoża Mariszka usługiwała mi w Bukareszcie. Chcąc ją posłać po jaja, Przysiadalem i pokazując, że coś ze mnie wylatuje, gdałem; na mleko myczałem jak krowa i pokazywałem (figuralnie) gest dojący Mariszkę; a Kiedy prosiłem o szynkę, musiałem kwicząc demonstrować (figuralnie) ścinanie płatów szynki z Mariszkowych pośladków.

Taka oto wąska furtka wiodła do templów, w których królowali jacyś rumuńscy poeci i myśliciele, nie znani światu, jakby był nie znanym rati, gdyby nie przeniósł się do francuskiego tempłu.

Czasem poniektórego bardziej krewkiego Polaka podrywała niecierpliwość. Kiedy byłem w czasie wojny na Cyprze, gdzie ludność mówi po grecku i po turecku, zaproszon nas do cerkiewki greckiej na obchód jakiejś uroczystości narodowej. Spóźniłem się — i co widz moje oczy na kazalnicy? Rodak wgramolił się i prze mawia po polsku. Tym razem to Grecy byli na poi skim kazaniu.

Na Cyprze też spotkały nas pierwsze kontakty z Brytyjczykami. Cypr — to klasyczna wyspa bry. tyjskich emerytów. Dostojnik, który całą służbę odbył w Egipcie, zaprosił mnie na lunch, po czym oprowadzał po swoim pałacyku.

— Tu — mówi, wprowadzając mnie do biblioteki — może pan czytać książki. Proszę zachodzić, ile razy pan chce, bez dzwonienia, drzwi są otwarte. Może pan zabierać książki do siebie. Tutaj stoi szafka barowa. Będę rad, jeśli zechce pan sobie kombinować koktejl. A teraz wyjdźmy do ogrodu. Widzi pan, o, na tym drzewie są najlepsze pomarańcze.

Widząc, że mam zezwolenie w nieobecności gospodarza opijać go, objadać i rządzić się jego księgozbiorem, spytałem żartobliwie:

— A jeśli zechcę się przespać? Ogromny pan skinał buldogowatą głową.

— Proszę tędy — wiódł mnie na pierwsze piętro — to jest pana pokój. Serdeczności było wiele, ale język — cholera (jak mówił Reymont po długim pobycie w Paryżu).

Ten język, wypatroszony z płci, z deklinacji, z koniugacji, po pierwszym miesiącu nauki wydawało się — jest już, już w kieszeni. W tym okresie już korci do wygłaszania mów po angielsku jakimś hermetycznym aproksymatywnym językiem, którego wysłuchują zbarania Angliki. Ale zaraz potem angielszczyzna pokazuje, co umie: zwija język w trąbkę w beznadziejnym the, poucza, że bardzo miła lady Worcester wymawia się „Uster”, zasypuje różnymi, zdawałoby się, nic nie znaczącymi up, in, oii, ouł, które znaczenie tego samego czasownika obracają o 180 stopni i wprowadzają w gąszcz idiomów nie do przebrnięcia.

— Dorit push my leg — powiedziałem do sąsiadki.

— Ależ ja pana bynajmniej nie trącam w nogę — zaczerwieniła się młoda elegancka Angielka.

Należało zaś powiedzieć zamiast push (trącać), puli (ciągnąć), co oznacza coś w rodzaju „niech pani mnie nie nabiera”.

Kiedy pierwsi lotnicy polscy przybyli do Anglii w czasie bitwy powietrznej o Londyn, widząc, że angielscy koledzy podążają do samolotów, pragnęli im

powiedzieć „Boże was zachowaj”. Zamiast jednak potrzebnego słowa preserve wydał im się w słowniku odpowiedniejszy synonim pickle'

— Niech Bóg was zamarynuje — życzyli serdecznie.

Trudno jest wierzyć słownikom. Żona przechowuje słownik francusko-nolski jeszcze z czasów pensjonarskich. Słowo prude przetłumaczono w nim: „wstrętna niedajka”.

Autoi słownika musiał tego dnia być bardzo rozgoryczony.

Polacy natykali się dużo nieporozumień. Dziecko, posyłane do sklepiku po mąkę, wracało ze skargą, że je wyrzucają za drzwi. Ale bo też młody obywatel powtarzał uparcie sklepikarce „mąki”, a to znaczy po angielsku — małpa (monkey).

Nie tylko temu malcowi wydawało się przedwcześnie, że zna język.

W Hartford Foundation (dom pracy twórczej pisarzy amerykańskich) poznałem Maxa Eastmana. Wysoki, wspaniały jeszcze w swoich siedemdziesięciu czterech latach mężczyzna, w czasie rewolucji październikowej zadeklarował się jako komunista, ożenił się z siostrą Krylenki (były głównodowodzący Zachodnim Frontem Rewolucji, następnie prokurator generalny Związku Radzieckiego). Od tamtych czasów zmienił poglądy, ale lubi się popisywać rosyjską rozmową.

Kiedyś Penklub w Los Angeles zaprosił nas na bankiet.

Zastrzegając się, by mnie nie wypychano do oracji, ale wbrew tym zastrzeżeniom zostałem nagle wezwany do wygłoszenia przemówienia, i to jedyne przemówienia w imieniu całej naszej grupy.

Należało zacząć, sakramentalnym zwyczajem, od dowcipu, a przy tym osłonić swój Penglish (Polish-English), w którym przemawiałem.

— Obawiam się — powiedziałem, wskazując na siedzącego za stołem Eastmana — że uczestnicy tak się zrozumieją ze mną, jak ja z Maxem. On wyobraża sobie, że świetnie mówi po rosyjsku, a ja, że po angielsku. W drodze opowiedziałem mu kawał, który mi opowiadał Radek. Max dutifully (z poczucia obowiązku) odeśmiał się przez należyty okres czasu, a potem opowiedział mi z kolei inny kawał, który posłyszał od Radka rozważałem ten kawał całą resztę drogi i... „Wiesz, Max — zwróciłem się do Eastmana — doszedłem do przekonania, że opowiedziałeś mi ten sam kawał”.

Bo ja wiem... Może i rację miała ta pani, o której opowiadał mi Sylwin Strakacz, długoletni sekretarz Paderewskiego. Paderewski chciał jej pomóc, spytał więc, czy zna jakieś języki. „Nie — odpowiedziała — i dumna jestem z tego”.

Bo czyż nie można sobie radzić bez języka?

Wiele by o tym mogli powiedzieć nasi Jasie, ilwodziący włoskie markizy i doludne Szkotki.

Przy pewnym włoskim gospodarstwie kazałem zatrzymać wóz.

— Zygmuś — mówię do szofera — pójdz do gospodarza, starguj kaczkę. Ale po cóż erkaem z sobą ciągniesz?

— Łatwiej się porozumieć, panie1 redaktorze — odpowiedział rzeško. Tak więc, ulawszy jeden puchar dla poliglotty i jeden dla spryciarstwa, udajemy się w kształcące podróże.

Luksusowa ciupa.

W 1926 roku płynąłem holenderskim cargo (handlowcem) „Leerdam” do Meksyku. Handlowiec miał trzecią klasę rozbudowaną — jechało nią trzystu kilkudziesięciu ludzi, w tym grupa kilkudziesięciu Żydów z Polski, na Antyle, do Meksyku i do Brazylii.

W pierwszej klasie za to było tylko dziesięć miejsc. Łącznie z kapitanem, intendentem i lekarzem okrętowym — jedynymi oficerami statku, którym regulamin pozwala na stykanie się z pasażerami, zasiadało nas dzień w dzień do trzech luksusowych posiłków fatalne trzynaście osób.

„Leerdam” ładował troskliwie w portach San Sebastian, Vigo, San-tander i Coruna olbrzymie ilości cebuli hiszpańskiej, stojąc po parę dni, tak że cała droga, łącznie z osiemdziesięcioczerogodzinnym postojem w Hawanie, trwała miesiąc, w

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

czasie którego zjedliśmy wspólnie dziewięćdziesiąt posiłków — może było to zbyt krótko, aby spożyć razem przysłowiową beczkę soli, ale bądź co bądź...

Bądź co bądź to dosyć, aby poznać swoich towarzyszy podróży: czteroosobową rodzinę hiszpańską, jadącą do krewnych na Kubę, dwóch handlowców holenderskich, młodego niemieckiego geologa, jadącego na jakieś badania na Jukatanie, młodą Duneczkę, nie wiem po co jadącą i...

I stop... Dziewiąta osoba była jednak trudna do rozeznania.

Dwie spośród trzech jadących kobiet — stara Hiszpanica, robiąca robótki i opędzająca swoje stadko, i Duneczka nie były niczym nierozpoznawalnym. Duneczki trzymały się kawały. Kiedy raz zjawiłem się nie ogony, na drugi dzień zapukał do mnie steward z przyborami do golenia,

tłumacząc, że posłała go duńska miss. A po powrocie na ojczyznę łono

stwierdziła, że zdumiona małżonka otrzymała kabel z morza po gielsku: Mąż ma się dobrze tylko musimy go co dzień golić - Dagna.

Chyba wydostała adres u intendenta, grubasa łasego na niewieści wdzięki, którego wystrychiwała na dudka. Natomiast Duneczkę wystrychiwał na dudka srogi regulamin. Bo kiedy usiłowała coś przygadać d któregoś z młodszych oficerów, chłopaków jak malowanki, malowanie pierzchła, niemo salutując.

Za to ten dziewiąty nie rozeznany pasażer...

Była to niezmiernie elegancka Francuzka. W-tym miejscu należałoby się zastanowić — co znaczy elegancka.

Już w porcie załadowania, w Rotterdamie, zwróciła uwagę jej niezmierna ilość eleganckich kufrów. Jakoż w ciągu trzydziestu dni mieliśmy nieustanny przegląd mód.

Na pokładowanie — kostium kąpielowy bajadera; czerwona peleryna spahis; turban soi ferino albo toxtroł.

Po południu (na koktejl) — w czarnej piżamie w haftowane złotem chińskie smoki z brylantowymi oczami, z długą cieniutką cygarniczką.

Ale dopiero wieczorem miały nam wyleźć oczy: dama spływała do jadalni literalnie co dzień w innej kreacji — to z dżetów, to z pajątków, to z lamy, to z cekinów.

Mało tego — co wieczór miała inną, przystosowaną do sukni biżuterię. Nadto — rajery, nadto — intrygująca puder-niczka na podwiązce pod kolankiem.

Stateczek był najskromniejszy ze skromnych (tyle, że nas świetnie karmiono).

Przejazd nim był wiele tańszy niż transoceanikami. Publiczność była biedna; jak „Leerdam” istnieje, zapewne nigdy nie pojawił się na nim żaden smoking, nie odbył żaden dansing ani żaden wieczór kapitański. Do kolacji przychodziły Hiszpanięta w całodziennych, dosyć sfatygowanych ubraniach, handlowcy w kraciastych koszulach, Niemiec w dżinsach. Zjawisko; przepływające między nami w zapachu wykwinnych per' fum paryskich, było w tych warunkach czymś egzotycznym.

Duneczka starała się na razie sprostać, ale nie był to krótki sprint — trzydzieści dni na morzu. Na pierwszych trzech okrążeniach zademonstrowała nam kolejno trzy sukienki, potem, bidula, usiłowała klecić coś n^owego, dodając jeden znany dół do drugiej już znanej góry, potem dodawała wstążeczkę, szaliczek, paseczek — było coraz rozpaczliwiej.

Tego dnia, kiedy przysłała stewarda z brzytwą (było to już na wysokości Azorów), powiedziałem, przymrużając złośliwie oko:

Dagna, przestań się męczyć, już jeden wróbel rywalizował z papugą i zdechł. Spojrzała na mnie bazyliżkowym wzrokiem jak na dentystę. Ale kiedy dentysta wyrwie już ząb, czujemy się jak nowo narodzeni. I Dagnie ulżyło. Niepotrzebnie się wysilała, prawdę mówiąc, ze swoją świeżą buźką i śliczną figurką. Pognębiająca bowiem ją dama miała, hm... hm... właściwie musiała mieć po pięćdziesiątce. Diabeł by się zresztą rozeznał w jej wieku, tonącym w tym makijażu, masażu i plużeniu.

Pytałem się, wiele by lat Klorynda miała, Która co dzień farbami twarz swą malowała. Słuchaj, rzecz mi jeden, ta twoja kochanka

W dzień miewa lat dwadzieścia, a sześćdziesiąt z ranka.

Ignacy Mogilnicki'.

Zachodziliśmy w głowę — co robi taka milionerka na naszym handlowcu? Ona, Francuzka, mieszkająca w Paryżu, mająca do rozporządzenia wspaniałe transoceaniki z Havre, z Saint-Nazaire?

Najdziwniejsze było, że ta elegancka dama mówi wrzaskliwym głosem ulicy francuskiej, tym, który znamy z piosenek Mistinguett i z paryskich bottes. To, co w nich miało wdzięk, w konwersacji na obojętne tematy dnia było niesłychanie wulgarne.

Kto więc jest ta elegancka paryżanka? Jakimi drogami trafiła pomiędzy nas? Robiło się coraz cieplej. Co za wariacja pchać się w sierpniu pod tropik? Ale walka z Kościołem, w czasie której eksplodowały bomby i wypełniały się więzienia, a której jechałem się przyjrzeć, mogła się skończyć, gdybym czekał zimy.

W kajutach, mimo huczących dzień i noc elektrycznych wachlarzy, było duszno, wytapialiśmy się więc z potu, leżąc pod baldachimami na Pokładzie.

Pewnego razu padła mi na kolana ryba latająca. Dziwny message ze wzdymającego się miliardami ton wody żywołu morskiego, wypełniającego pole widzenia od horyzontu po horyzont. Tak pada liść z drzewa,

kiedy, leżąc na wznak na leśnej polanie, podróżujemy z bezmiarem obłoków. Ale ten liść jest z przeznanego i swojskiego leśnego bezmiaru A ta ryba latająca? Bezmiar niewymiernych spraw srebrną bryzgą pały mi na kolana.

— Panie, niech mi pan natrze plecy niveą — mówi swoim wrzaskliwym głosem Francuzka z sąsiedniego leżaka.

Robię to bez zapału. Dama „pod tropiki” pokazuje wszystko, co by powinna trzymać pod kluczem. Ciało w dotknięciu ma rychle, zwiotczałe tutaj nie pomoże już żaden makijaż.

Duneczka, przeciągając się jak kot, mówi półsennie na przemykające się granatowe sylwety oficerów:

— Taki żar. Po co oni się męczą?

Po pokładzie idzie w inspekcji kapitan w niepokalanej bieli. To jest znak.

Młodzi oficerowie pędzą do kajut, wyłaniają się w białych mundurach.

Kapitan przystaje przy nas:

— Morze Sargassa — wskazuje za burtę — jutro już Kuba.

Za burtą dziwny widok. Statek posuwa się łąką. Zielona łąka idzie w bezkres. To algi, to słynne Morze Sargassa, przez które z przerażeniem przedzierał się Kolumb. Przez generacje żeglarzy powtarzano legendy o zielonych kopcach, którymi zarosły unieruchomione na zawsze okręty.

Wieczorem, późno w noc, staram się złapać dech w płuca. Z daleka przez prawą burtę widać na bardzo dalekim brzegu paciorki światła.

— To Key West na cyplu Florydy — wyjaśnia służbowy oficer — huragan stamtąd idzie na zachód-południe. Prosto na Veracruz.

Veracruz to port meksykański, w którym mamy lądować.

— Gabnie nas?

— Gabnąłby, gdybyśmy nie stali trzy dni na Kubie dla wyładunku.

Hawana jest najnowocześniejszym miastem tropików. Postawiona na białym koralowcu, wita nas wąską gardzielią portu, nie przenoszącą trzystu metrów. Z obu stron gardzieli stoją omszałe hiszpańskie forty z maleńkimi okienkami kazamat.

Dalej zaraz port rozszerza się świetlistą wodą, przycumowujemy do nowoczesnego nabrzeża.

Do „Leerdama” podpływają barki pełne ananasów. Podróźni trzeciej klasy nie mogą wyjść na ląd, będą się tu skwarzyć pełne trzy dni. zanim się nie wyładuje hiszpańska cebula. Chciwie więc wyciągają ręce po ananasy, które im z barek podają na kilkumetrowych bambusach. Jest to, na razie jedyny uśmiech z zaklętych krain, w które jada, jest to taki zwiastun z obcych bezmiarów jak ta ryba latająca.

Okazuje się, że szczęście i marzenie, skoro już da się osiągnąć, jest zwykle niezmiernie tanie. Gdzieś w Warszawie ubrana na czekoladowo panienka u Wedla tylko gościom, którzy płacili droższą cenę za najlepší-asortyment czekoladek, kładła na wierzchu pudła jeden ucukrowany krążek ananasa. Tutaj cały ananas, naczupirzony zielonym pióropuszem, kosztuje siedem centów.

Wzywają mnie do trzeciej klasy, aby pomóc lekarzowi w rozmówieniu się ze wzdętym rodakiem. Nie dziwota: zjadł osiem ananasów. Lekarz każe posypać mu brzuch talkiem. Bezkłopotliwa metoda. U nas, jeśli kto się przejadł, to smarowano brzuch masłem i przysuwano wzdętego do pieca, aby skóra się rozciągnęła i nie pękła.

Wtedy pokazano mi między pasażerami z Białegostoku piękną Idkę.

Jadę zwiedzić fabrykę cygar.

W fabryce cygar wielka hala, przy ladach ze zwałami brunatnych liści robotnice, niektóre bardzo ładne Kreolki. W środku podium cementowe, z którego boss dozoruje. Przypomina to także wzniesienie na galerach, z którego zwierzęcy bambaszi z kolczykiem w uchu nadawał rytm uderzeniom wiosł. Upał niewymowny mimo olbrzymich wiatraków. Robotnice w jakichś leciutkich chitonach na gołe ciało. Widzę, jak jedna z nich w pewnej krańcowej fazie dobierania liści, kiedy należy zasklepić cygaro, odgarnia chiton i roluje cygaro o udo.

Wieczorem wybrałem się do kabaretu. Wyróżniłem się w smoking, a licząc się z upałem, wziąłem trzy zapasowe krochmalone kołnierzyki.

Nim dojechałem do kabaretu, kołnierzyk miałem w harmonijkę. Przed wejściem na salę poszedłem do toalety, wytarłem szyję, napudrowałem, założyłem nowy i, wyświeżony, począłem rozglądać się po sali, szukając miejsca.

Ca colle, mon chouchou! — wrzasnął ku mnie przepity głos kobiety.

Francuzica, łyskając na mnie spod naklejonych rzęs, roztoczyła pawie wdzięki nad ceberkiem z szampanem. Siedziała przy intendencie statku niemal na własnym dekolcie, bo tak daleko szedł ostry szpic wycięcia na Plecach.

Intendent, w białym smokingu tropikalnym z płytko wyłożonym kołnierzykiem (będę miał naukę), był już na gazie.

— Place ton denibie (umieść swój zadek) — zachęcała dama, nalewając dla mnie kieliszek.

Na scenkę wpadło sześć dziewcząt, mających tylko cash sexe i biustonosze.

Dobrane pępuszkami jak lejcowa czwórka, poczęły ewolucje niczym cyrkowe koniki. Nastrój wzrastał z minuty na minutę, sala i mnie już poczęła kołować przed oczami.

— Szybko równasz krok — cieszył się intendencja — napij no się jeszcze. ,

Napiliśmy się jeszcze. I jeszcze. Tyleśmy mieli przytomności, aby powściągać naszą towarzyszkę, która się rwała na scenkę pokazać tym śafauds hawańczykom, jak się tańczy prawdziwego kankana. Ta solidarna akcja połączyła nas ciepłym uczuciem braterstwa broni.

— Kiedyś taki swój chłop, to ci powiem, czego bym nie powinien był mówić.

Poprzednim rejssem przywieźliśmy na Kubę twego rodaka.

— ?

— Ale to nie był zwykły rodak. To był ... ek!... niezwykle rodak. Taki, co rzucił bombę na waszego prezydenta.

— Na naszego prezydenta?...

— Toś o tym nie słyszał? Po prawdzie to taki rodak, nierodak, Ukrainiec, diabli was wiedzą, jak się to liczy. Olszański się nazywał ... ek!...

— Olszański? — wytrzeźwiałem natychmiast.

Jaki był skutek tej wiadomości, piszę w rozdziale „Wykrywam zamachowca”.

Znowu jesteśmy na morzu. Już znikły światła Kuby. Jest blisko północ, a ja jeszcze nie decyduję się wejść do kabiny. Duszno jest, duszno jest, rozpaczliwie duszno. Żadnego wiatorku. W czarnych, najsmolistszych ciemnościach pobłyskują to tu, to tam światełka. Naokoło, w ogromnym promieniu, dyszą wyspy i wysepki Antyli, West Indii, wielkiej morskiej pościeli świata, która przechwytyje od

wieków żeglarzy, podążających do Ameryki, od Kolumba po Alaina Gerbault. ,
Pod mostkiem kapitańskim kiwa się od kilku godzin w miarowym ruchu para
marynarzy. Na pokładzie przy przeładunku na Kubie oliwa zrobiła tłustą plamę.
Marynarze mają uwiązaną na dwu linach ciężką szwa-brę, którą kolejno przeciągają
po plamie tam i z powrotem. Sądzę, że to jest ćwiczenie karne.

Z cienia wyłania się postać pierwszego oficera, który zwalnia wreszcie
marynarzy. Obawiam się, że zostanę sam, i czepiam się żywych ludzi.

— Co pan myśli o wyczynie Alaina Gerbault (który przepłynął samotnie ocean)?
Zapewne nie miał tu (pierwszy oficer wskazuje na czoło) wszystkiego w porządku.
I znika.

Me wiadomo, jak tu rozerwać tę lepka upalność, duszność, nudę, samotność
tropikalnej nocy. Nieraz dziwiłem się, jak zła jest dżungla. Dlaczego u nas las
jest łaskawy, bez trujących płazów, owadów i roślin? Ten wilgotny żar i w
człowieka sączy zbrodnię.

Pukam mściwie do kabiny Francuzicy.

Otwiera mi w nocnej koszuli oszytej walansjenkami &crue. Walansjenki są koloru
brudnożółtego, koszula wygląda, jakby była brudna.

___ Rozmawiałem z kapitanem — mówię — zakomunikował, że za godzinę znajdziemy się
w oku cyklonu, idącego na Veracruz. Załoga wy-sprawdzała bloki przy szalupach
ratowniczych, ale cóż to pomoże...

Przerażona wyskoczyła z kabiny. Kabiny mieliśmy na poziomie pokładu. Pobiegła do
burty, jakby chcąc zobaczyć huragan. Ale za burtą była gorąca, czarna smoła i
cisza.

___ Rozumie pani? To zawsze tak, kiedy się zbliża oko cyklonu...

___ Och — jęknęła i nagle zobaczyłem, że zadziera koszulę — jak
jestem przestraszona, je dois pi-pi — kucnęła bez żenady tuż przy mnie.

— Niechże pani choć szlafrok jaki narzuci — powiedziałem rozdrażniony. Ta noc
strasznie biła po nerwach. Czuję do baby wstręt i nienawiść, ale jeszcze
bardziej bałem się zostać sam.

Wróciła już bardziej opanowana. Cóż jej mogło na mnie zależeć? Była zbyt
rutynowana, żeby nie zrozumieć, że tu nie znajdzie przygody. Była zbyt
wystraszona, by sama miała tej przygody pragnąć. Mogła sobie pozwolić na
narzucenie byle czego, odelżałoby jej może, gdyby przez chwilę mogła być starą
przestraszoną kobietą bez szminki.

Ale co znaczy nałóg konia chodzącego
przez całe życie w zaprzęgu!... Nie było jej dosyć długo, wróciła a quatre
epingles, w peniuarze solferino, z manelami na kiściach rąk.

Usiadła w tym wszystkim na leżaku rozklapnięta i żałosna.

A jednak pomogła mi jej obecność wyzwolić się z beznadziei tej nocy. Poczuję to
co Amerykanie nazywają story, i nastawiłem uszu.

Na nią też cisnęła noc, a może poczucie
niebezpieczeństwa? Pod tym podwójnym
ciśnieniem pchało ją do zwierzeń. Ale mimo
to zwierzenia były ostrożne. Mówiła, że zrobiła majątek w Stanach Zjednoczonych,
że wróciła z nich przed pięciu laty do Paryża i za}0 żyła duży hotel. Teraz go
sprzedała...

I więcej nic. I już tylko milczenie między dwojgiem ludzi, którzy Sa
przeraźliwie samotni.

— Niech pani idzie spać — ja to wszystko zmyśliłem o huraganie Ten huragan już
nas wyprzedził, już był w Veracruz, w którym nas czekają niemiłe niespodzianki.

Wstrząsnęła się:

— Co pan mówi? /

— Przypuszczają, że molo będzie zniszczone i rozładowywać będą nas szalupami. A
tymczasem jedyny pociąg do Mexico-City ojejdzie.

Nazajutrz pohuraganowy still przeszedł na rzecz lekkiej bryzy. Było nieco
znośniej. Na pokładzie zjawiło się bóstwo, które zaakrętoowało się w Hawanie do

Rio de Janeiro, portu docelowego naszego handlowca. Była to Kreolka olśniewającej urody z cerą, która dziwnie łączy alabastrową białosć ze spatynowanym na śniadawo złotem.

W Hawanie, zdaniem moim, są najpiękniejsze kobiety świata. Trzysta lat hiszpańskiej krwi nastalej na tropikach.

Kiedyś w witrynie wielkiego jubilera widziałem klejnoty lekko wirujące w blasku reflektorów. Tłumy stały jak urzeczone, chłonąc te załamywania się błysków za niedostępną szybą.

Tak samo czułem się, stojąc na centralnym placu Hawany, na którym o podwieczorkowej porze w niedzielę odbywała się zwyczajowa promenada.

Wewnątrz posuwał się krąg seniorit z mamami. W przeciwnym kierunku poruszało się koło caballeios.

Krąg wewnętrzny jarzył oczami najpiękniejszymi w świecie, brwiami, ząbkami, karnacją i kibiciami, jakich nie ujrzysz w tak wyrównanym standardzie nigdzie, no nigdzie.

Caballero, zrównując się w kolejnym okrążeniu z ubóstwianą, składał głęboki ukłon i dreptał w oczekiwaniu następnego mijania.

Z tych wąsików i baczków, z tych kibici i usteczek bił żar tak wysokiego napięcia, że czułem się jak ten gap, któremu zza grubej szyby pobłyskuje Kohinor.

I oto nagle — nie ma szyby: na pokład naszego okrętu upadła taka cudna ryba latająca z odmętów niedostępnego nam kreolskiego świata.

Cały „Leerdam” męski się przeobraził. Aż do ostatniego oberwusa marynarza stapał silny, zwarty, gotowy, z wypiętymi torsami.

Piękność zdawała się tego nie widzieć. Siedziała w niedbalej, lecz skromnej pozie na leżaku, bez żadnego tam pokazywania kolan, z lekkim indyjskim złoto-bordowym szalem na ramionach. Ale dosyć oglądać było tę najdoskonalszą z łydek, aby domyślić się reszty.

Właśnie w tę łydkę wpatrzyli się jak sroka w kość dwaj komiwojaerzy z Rotterdamu, z którymi przez całą drogę zamieniłem zaledwie kilka zdań. Jeden z nich wreszcie powstał ze swego leżaka i skierował się do mnie: __ Czy pan mówi po hiszpańsku?

__ Tylko restauracyjne słowa i wymyślenia.

__ Wszelakoż może pan wyrozumie, o co jej chodzi.

Podszedłem do piękności. Leżała ze spuszczoneymi rzęsami. _ Seniorita, per favore, non abla espaniol! — grzdykałem z włoska po hiszpańsku — come sta? Firanki rzęs podniosły się, wyjrzały cudnej piękności oczy:

— Doscientos dollars.

— No, właśnie — w jeden głos wykrzyknęli z desperacją Holendrzy — stałe mówi to samo.

— Czegóż panowie nie rozumiecie? — mówię wściekły.

— Zgadza się przespać za dwieście dolarów.

Jeszcze jedna tajemnicza rybka latająca, wychluśnięta, straciła blaski i poczęła cuchnąć.

Okazało się, że obawy, dotyczące wyładunku w Veracruz, były słuszne. Molo było zniszczone, stanęliśmy na redzie. Przyjechało wiele mundurów meksykańskich, ci z rewolwerami, to pewno policja.

Teraz wynurzyli się z dolnego pokładu pasażerowie trzeciej klasy odizolowani od nas przez całą drogę. Komisarz statku krzątał się przy nich, wreszcie przyprowadził do mnie Idkę z Białegostoku i trzymając w ręku papiery jej dotyczące, prosił, bym jej wytłumaczył sytuację. Była ona, wraz z komentarzami Idki, następująca:

żydzi, którzy przed wielu laty wyemigrowali z Białegostoku, podali Przez białostocką gminę żydowską, że poszukują dla swego pobożnego syna panienki z pobożnej rodziny żydowskiej. Wymieniono się fotografami i z Meksyku przysłano Idee zaproszenie. Oblubieniec miał przyjechać z rabinem i dopiero po zawarciu

ślubu na statku Idka miała prawo, Już jako obywatelka meksykańska, zejść na ląd. Do kadłuba statku akurat dobijała szalupa. Siedział w niej brodaty bi i blade młodzieniec w chałacie i z pejsami. Jakiś inny Żyd w chałacie, to mógł być przyszły teść, jacyś mniej ortodoksyjnie wyglądając, mężczyźni i kobiety, to pewno rodzina.

Przy trapie był ścisk przybyłych kutrów i łodzi. Łódź z oblubieńcem czekała. Idka, w perkalikowej kolorowej sukience wyciętej pod szyją w pantofelkach na wysokich obcasach, patrzyła, przegięta, w dół, przestrzeń była nieduża,, widziała ich wyraźnie. Obserwowałem ją z zainteresowaniem. Usta dziewczyny się zacięły, czerwień warg zwinęła się, scho wała, ściągnęła w jedną kreskę. Rozumiałem, że to samo robi się z dusza dziewczyny z Białegostoku. Wyrwała się z getta we świąty, na których drugim końcu czekał ją także Białystok i oblubieniec talmudysta, pozostający na utrzymaniu rodziców.

Bosman z „Leerdam”, sprawujący na dole porządku wyładunkowe, znalazłszy się przy łodzi oblubienca, wskazał grupie Żydów kolorową sukienkę. Łódź ich przysunęła się na nasz pion. Mieliśmy ich tuż, jak na dłoni, widzieliśmy, jak wznoszą aż modlitewne, rozjaśnione twarze.

Dziewczyna zacisnęła palce na balustradzie. Podałem jej sześciokrotną lornetkę Zeissa. Zobaczyła talmudystę na całą soczewkę, każdy pukiel jego pejsów.

Wyciągnęła do mnie lornetkę:

— Ja go nie chcę, ja go nie chcę, ja będę wracać, ja idę zamknąć się w kajucie, niech pan idzie rozmówić się, ja go nie chcę, ja go nie chcę...

Pobiegła w dół do kajuty. Poszedłem do saloniku, w którym roztasowały się władze portowe. Zobaczyłem Francuzkę, siedzącą między dwoma uzbrojonymi policjantami. Nastrój był sztywny i grobowy. Skłoniłem się jej, ale nie mogłem rozmawiać.

Komisarz statku, i tak zwarzony, na wiadomość, że Idka odmawia wzięcia ślubu na pokładzie, zachmurzył się jeszcze bardziej:

— .Szyfkarta jest płacona w jedną stronę, kto więc zapłaci za jej powrót?

Zwrócimy się do konsula polskiego.

Ale urzędnicy meksykańscy wytłumaczyli, że konsula polskiego jeszcze w Meksyku nie ma. Istotnie, konsul generalny Marchlewski miał dopiero przybyć. Nie ma rady

— Idka musi jechać z „Leerdam” aż do Rio de Janeiro, tam jest konsul polski.

To wszystko opóźniło moje własne sprawy, a była jeszcze nadzieja złapać pociąg. Rzuciłem się do swych bagaży, kiedy wynurknąłem z nimi, już nie było Francuzki, już nie było szalupy z Żydami.

Pociąg jednak odszedł, nie wiedziałem, co robić z dniem. Pojechałem pod Veracruz, między pola ananasów na grzędach, przedzielone żywą zielenią bananowców. Wróciłem do hotelu, wziąłem najgorętszą kąpiel potem zimny prysznic, posypałem się talkiem i wieczorem zszedłem do hallu.

Jeszcze drzwi do sali restauracyjnej nie były otwarte. Wśród osób zekujących siedział komisarz z piękną Kreolką z Kuby. 1_ Dobrze się mają oficerowie gospodarczy statków — powiedziałem .— ewczę przecież głośno urbi et orbi, że ta przyjemność kosztuje dwieście

dolarów. Intendent, prekursor Sandauera, rześko odpalił:

___ Marynarzom przysługuje taryfa ulgowa.

___ Co to było z tą Francuzką?

___ Aresztowano ją. Czuję, że coś śmierdzi w tym interesie. Ale nie przypuszczałem, że aż tyle. Baba przed laty zamordowała i obrabowała swego kochanka w Cleveland, bogatego przemysłowca. Szła w lata, pewno wolał zerwać, a ona, widać, wolała to uprzędzić. To tak jak w pokera. Zaryzykowała kartę, na razie udało się, czmychnęła z grubszym groszem do Paryża. Kiedy ziemia zaczęła się jej palić pod stopami, postanowiła przedostać się nielegalnie do Stanów przez Rio Grandę (rzeka oddzielająca Stany Zjednoczone od Meksyku, p. m.). Ameryka nie zna paszportów, można w niej łatwo się zgubić. Ale Francuzi tropnęli się, czekał ją na miejscu list gończy. Jechała pod innym nazwiskiem, niż list opiewa, rysopis jednak dokładnie ten sam. Nawet myszka na udzie.

— No, tu pan mógłby być ekspertem.

Puścił tę uwagę mimo uszu:

— No, cóż, nie udało się. Siedzi w więzieniu w Veracruz.

— Siedzi tu w więzieniu? Czy nie powinniśmy jej odwiedzić?

— Pan zapomina, że jestem na służbie, że jestem komisarzem „Leerdam”. Jak by to wyglądało?

Podwoje z hallu do restauracji otwarto szeroko. Podążyłem za komisarzem i Kreolką, podszedłem do pustego jeszcze kontuaru, pośpiesznie zamawiałem dwie zimne kolacje w koszyczku na miasto, owoce, butelkę wina. Krótko mówiąc — wałówkę.

Taksówka zawiozła mnie do więzienia. Był to gmach z czerwonej cegły z małymi okienkami. Była późna pora i miałem słabą nadzieję, że uzyskam zezwolenie na rozmowę przez kraty. W każdym razie chyba jej doręczą wałówkę, Wsunąłem do koszyka bilet wizytowy.

W kancelarii więzienia przyjęto mnie rzeczowo i uprzejmie. Urzędnik W1ęzienny skinął, bym szedł za nim. Wyszliśmy innym wyjściem na podwórze. To, co ujrzałem, wywarło na mnie straszne wrażenie.

Podwórzec tkwił między czterema trzypiętrowymi korpusami z czerwonej cegły, Cały ten wielki plac był podzielony szeregiem płotków e aznych w jedną i drugą stronę. Płoty, przecinając się, formowały szereg klatek o powierzchni około 5 na 5 metrów. Każde dwa rzędy klatek stykały się z sobą i były oddzielone od następnych dwu rzędów wąskim przejściem.

W klatkach kłębiło się jakieś pandemonium. Tłumy rozchełstanych wiedźm z rozrzuconymi siwymi kudłami, Murzynki, Metyski (półkrwi murzyńskiej), Kwarteronki (ćwierćkrwi), Chinki, pół-Chinki, podindia-nizowane Meksykanki, Mulatki — wszystko to, ujrawszy mężczyzn, wpadło w furję, rzucało się na wznak w bezwstydnym pozach, wołało charkotem najbezwstydniejszych słów i gestów. Na niektórych ciałach widniały zrogowacenia fioletowe, białe, brunatne. To tropikalna choroba skóry, Mai de Pintos, w której skórę zheblowuje się kawałami wielkości spodków.

Truchlałem na myśl, że mógłbym trafić w ręce tej tłuszczy, przypominającej mityng chimer z Notre Damę. Ze zgrozą szukałem w tym tłumie mojej szykownisi paryskiej.

Ale urzędnik szedł szybko w kierunku poprzecznej oficyny. Weszliśmy na schody, pokryte puszystym czerwonym dywanem. Na dzwonek na pierw~szym piętrze otworzył nam służący w kremowym tropikalnym smokingu z czarną muszką. Poprowadził nas w głąb, zapukał, drzwi otworzyła elegancka pokojóweczka w liberyjnej aukiencie z czepeczkiem i mikroskopijnym fartuszkim.

— Proszę poczekać — zaprosiła do saloniku — pani kończy manicure.

— Kto tam? — odezwał się wrzaskliwy głos. — Z „Leerdam”? Wwa-lajcie się tu, chłopaki!

Siedziała w sypialnym przy gotowaini, sarong indyjski zsuwał się jej niedbale ze zbyt pełnych ramion: w bonneciku ze wstążek pompadoui wyglądała razem ze swymi atłasowymi pantofelkami o wielkich pomponach marabout zupełnie chez soi*.

Nieco się stropiła, ujrawszy mnie w towarzystwie urzędnika więziennego, zapewne oczekiwała wizyty swego amanta z „Leerdam”. Ale niezwłocznie wróciła do swego swobodnego sposobu bycia i wyciągnęła upierścienioną rękę do dzwonka, podczas gdy drugą wykańczała mani-curzystka.

Kiedy zamawiała trzy kolacje, radząc się nas nad wyborem win, rozglądałem się ze zdumieniem, usiłując zrozumieć, w jakim znalazłem się świecie.

Był to solidny mieszczkański apartamencik o tanich pseudoeleganckich meblach. Kotara pluszowa zasłaniała okno. Siedząc przy niej, starałem się nieznacznie odchylić fałdę, ale Francuzka spostrzegła ten ruch:

— Są kraty, naturalnie są kraty — roześmiała się krzykliwie — boją się, abym nie uciekła paść ostów po górach.

Wiec cóż to znaczy? — zatoczyłem ręką. Z. Przecież mi nic nie dowiedli. I w ogóle nie dowiodą. Taki więc trzymany póki nie ma wyroku, może korzystać z pensjonatu wię-zSnego. Ale też zdzierają za to wszystko w czwórmasób. A có to pan

ma za koszyczek?

Obracałem swoją wałówkę z zażenowaniem.

_ Butelczynę zachowamy - roześmiała się - a to - zwróciła się do pokojówki - proszę dać tym biedaczkom w podwórku.

__ Ale pani chyba tam i po wyroku nie wsadzą? -wyrwało mi się.

Urzędnik tkwił, nie było miejsca na rozmowę.

_ o la la — odpowiedziała, manipulując swoją długą cygarniczką.

Po raz pierwszy poczułem coś w rodzaju podziwu dla jej niespożytej żywotności. Na ciepłych morzach.

Przyjemnie jest tapląć się w morzu. Zwłaszcza w południowym morzu, ale przy brzegach. Nie lubię arogancji morza. Nic nie mam w sobie z ciągotek Alaina Gerbault. Z lasów jestem, z łąk, nie dla mnie ani góry, ani morze — wroga bestia, hucząca na człowieka miliardami ton żywiołu.

Co innego — plażka grzecznitka, morzeczek (czy mórzko?) przymilne, liżące pięty plażowiczów. A przy tym brzeg morski to nasilona strefa wieków. Na takich brzegach najkolorowiej kwieci się życie i najdłużej przechowuje się ciepło z dawnych lat.

Rozumiem, dlaczego ludy pchały się ku ciepłym morzom. A ja w ich ślady.

Tak kiedyś dopchaliśmy się z żoną w pogoni za słońcem aż do Alicante, w którym czekaliśmy na statek na Baleary.

Alicante jest to zakątek całkiem zafrykanizowany z lasami palmowymi, z akweduktami, z płaskimi dachami, z berberyjską ludnością. Upał był nad upały, algi morskie śmierdziały jodem, moskity cięły, żona walczyła z nimi trociczkami.

Konaliśmy od tych trociczek, dusiliśmy się pod mos-kitierą, statek nie nadchodził, groziło mi, że się całkiem rozpiję z miejscowym teniente

(porucznikiem) — dowódcą kilkunastu drapichrustowatych żołnierzy w starej cytadeli, górującej czterysta metrów nad Alicante. Wdrapywałem się tam, uciekając żonie, z wolna zżeranej przez moskity i dogorywającej w trociczkach.

Teniente Fernando — w mundurze, pantoflach na gołą nogę, w cywilnej panamie i ze stale utrzymanym dwutygodniowym zarostem — wyłaził natychmiast z czeluści fortu z narychtowaną fiaską wina Alicante i popijaliśmy, patrząc w dół na śmierdzący port i gwarząc o mujeres ligeras (kobietach lekkich obyczajów).

Pewnego dnia teniente Fernando spotkał mnie podeksytowany: począł odwalać toreadora, machając panamą, która miała mu być muletą (chusta na byka) i zadając w próżnię ciosy butelką, która wyobrażała estoque (szpadę) — była bo podniecająca wieść: do Alicante zjeżdża corrida comica.

W oznaczony dzień przed corrida przyszedł po nas sefior Fernandez ogolony jak się patrzy. Zastanawiałem się, czy na drugi dzień będzie miał od razu standaryzowaną dwutygodniową brodę. Za te wszystkie liczne flachy Alicante podejmowałem go, jak umiałem. Piliśmy Xerez de la Frontiera, wyhodowany gdzieś między Kadyksem i Sewillą, kata-lońskie Tarragona, ciężkie Riocha z dolin nad Ebro, czternastoprocentowe wina Walencji, płakaliśmy gorzko, że czemuż to los okrutny kazał nam minąć się z powołaniem torera, przerabialiśmy estocada a volapie (biegnąc do byka) oraz recibiendo (czekając na jego atak), przy czym senior teniente był espadą, a ja bykiem.

Żona, zaniepokojona tymi praktykami, usiłowała wyperswadować nam corridę, aleśmy się uparli i zagarnęliśmy i ją na arkanie obowiązku i trwogi o zbyt wylewnego małżonka.

Ponieważ wszystkie bratałactwa z teniente odbywały się na migi (jako że poza słowami „dla palących" i restauracyjnymi nic nie umiałem po hiszpańsku), więc to, co zobaczyłem na corrida comica, zatknęło mnie niespodzianką.

Na scenę ze zwykłymi ceremoniami wprowadzono... ciele, a jako to-readorzy

wystąpili klowni. Z biednym zwierzęciem przerabiano rytuał wszystkich trzech suertes (fazy pikadorskiej, banderillskiej i espady), kłuto go pikami [garrocha), wbijano po kolei trzy pary banderilli, krwawiących w żywym ciele. Toro był nieźle już podrosłym rasowym byczkiem ze słynnych vaca-das (hodowli) sąsiedniej Murcji. Schylał kształtny łeb o małych foremnych rogach i szarżował nieulekłe na dręczycieli, którzy wyczyniali bła-żeńskie skoki. Ten byczek o nieskazitelnie równej szyi lśniącej krótką sierścią, zgrabnym kopycie, prześlicznym spadku karku od rozrosłej klatki:piersiowej ku wąskim, dobrze związanym kłębom — był królewiczem wobec ludzkiej bezpiecznie znęcającej się gawiedzi. Widowisko ciągnęło się, aż biedne zmęczone zwierzę zrozumiało, że zbliża się nieunikniony koniec, stanęło bezradnie i zaryczało żałośnie.

Żona się rozplakała:

— Biedne dziecko, on woła „m-a-a-m-u-u-u!...”

Wystąpił klown imitujący espadę, aby dorżnąć z natrząsaniem się krwawiące zwierzę. Wówczas, poruszone żoninym płaczem, wymusowały we mnie wszystkie wypite wina. Powstałem i, wychylając się z łoży ryknąłem:

— Barbaros, parricidas!...

Wykroczyliśmy demonstracyjnie po tym pierwszym cielaku (ogółem miano ich sześć zarżnąć) i usiedliśmy na tarasie restauracji, aby ochłonać, co pojąłem dość swoiście, wtrajając litr wina z lodem.

— Czy pan każe podać co z kuchni? — zapytał kelner. — Mamy świetnie tuczone kuropatwy. O, proszę — wskazał nad moją głowę.

Kuropatwa wisząca nade mną była wciśnięta w tak małą klatkę, żeby nie mogła się poruszać, co sprzyjało tuczeniu. Chwyciłem klatkę i rozbiłem. Wyzwoliwszy ptaka, poszedłem spać. Hotel był uczciwy i nazajutrz zarezerwowano mi przy śniadaniu kuropatwę na zimno. Zjadłem.

Żona była rozgoryczona i wypominała mi tragiczne losy Nusia, o którym pisałem w „Zielu na kraterze”. Było to prosiątko zakupione przez kucharkę, jak legenda niosła, u kobieciny, która trzymała prosię wraz z dzieckiem w chałupie.

Rozpieszczone prosię z całym zaufaniem powędrowało za dziewczynkami po schodach na górę do ich pokoju. Zostało nazwane Nusiem, wystrojone w kokardę, dopuszczone do spacerów i zwierzeń.

Zapłaciło niewdzięcznością, rosnąc na tęgą świnię. Kucharka pod nieobecność żony i córek zarżnęła wieprzaka, ściągając żale i gromy na swoją głowę i powódź świniny na swoich prywatnych gości, bo nawet mnie zabroniono zjeść kęs.

— No dobrze — mówi żona — tam miałeś wytłumaczenie, że świnia rosła, ale tu sam przecie wyzwoliłeś biednego ptaka, a potem zjadłeś.

— Uważam, że postąpiłem jak liberator. Jak typowy liberator.

W tym pchaniu się na południe chętnie przyjąłem propozycję Polskiego Radia, aby odbyć z „Batorym” pierwszy jego rejs — ze stoczni Mon-falcone pod Triestem przez Dubrownik, Barcelonę, Casablanke, Maderę, Lizbonę, Londyn — do Gdyni.

Już w Warszawie w „Galu” (linia Gdynia-Ameryka) był ścisk. Zostałem spłoszonych urzędników pod biurkami i na środku sali Belę Gelbart (późniejszego kapitana Czajkę), żądającą, aby ją wziąć darmo — jako maskotkę.

Nie tylko lud morski, ale i liczni turyści pamiętają postać kapitana Borkowskiego, który wówczas objął nowo narodzony statek. Tyleż czasu przeszło, tyleż zdarzeń się przewaliło od tamtej epoki, kiedy „Kapitan Siedmiu Oceanów” improwizował na gitarze stance w najniemożliwszych językach na cześć najniemożliwszych turystów przedziwnych narodowości, których zapraszał „na soczek” (65 procent) do swojej kabiny.

I oto na jakiejś uroczystości polsko-morskiej w porcie Nowego Jorku zabrzmiał nade mną lekką chrypką znajomy głos:

_ Mistrz Wańkowicz?

Obejrzałem się — nade mną stał... Borkowski. Wypisz, wymaluj, taki sam jak przed ćwierćstuleciem, kiedyśmy ruszali w pierwszy rejs1 „Batorym”.

I „Batory” wówczas miał motor młodszy, i ja serce mniej zmęczone. Ale nie

„Kapitan Siedmiu Oceanów”. Taki sam był zapewne, kiedy przed pierwszą wojną prowadził statki, taki sam, kiedy ze stoczni Mon-falcone ruszał w pierwszy rejs „Batorym”, i taki sam teraz, na przystani Hoboken. Zasuszył się, zakonserwował i już chyba taki trwać będzie wiecznie, po wszystkie czasy.

„Batorym” płynął raz sześć, z tego cztery razy przez ocean, raz w konwoju torpedowców angielskich z Port Said do Terentu i raz wreszcie wówczas, kiedy „Batory” wyruszał ze stoczni Monfalcone w swój pierwszy, dziewiczy rejs. Kapitan Borkowski był zapewne tęgim marynarzem, ale na pewno jeszcze lepszym hotelarzem i propagandystą.

W pierwszym, regularnym już rejsie, z Gdyni do Stanów Zjednoczonych, złapała nowiutkiego, prosto z igły „Batorego” silna burza morska. \ Wylękli pasażerowie kurczowo trzymali się różnych uchwytów i co rusz pytali, czy nie czas nakładać pasy ratunkowe.

Bujanie było jeszcze w apogeum, kiedy już nadszedł przez radio komunikat meteorologiczny, z którego wynikało, że „Batory” wychodzi z niżu.

Kapitan Borkowski, popukawszy w barometr, skombinowawszy, że sztormowa pogoda się kończy, burknął do Meissnera, pierwszego oficera:

— Chodź pan do pasażerów,..

— Zaraz, tylko kożuch zdejmę :— mówi Meissner.

— Nie, tak jak stoimy. — I zwracając się do marynarza: — Chluś-nij na nas po wiadrze wody.

Wwalili się więc, srogie dwa morsy oceaniczne, tak jak byli na mostku — w butach za kolana, w kożuchach srogich do pięt, w kapuzach morskich, z lunetami na piersiach, z latarkami u pasów. Szli przez grządki stremowanych, zbarowanych paniusi, rozchlastując po dywanach mokość, ścinając blade światła salonów mroźnym strachem.

Wściekłyby się stary, gdyby zobaczył, że idący za nim Meissner daje porozumiewawcze znaki, że ta opera bulio to jest pic z elektromontażem. Przeszli tak bary, pograżyli się w labirynt korytarzy — aż do kabiny biskupa Okoniewskiego.

— Ekscelencjo!... —"zagrmiał Borkowski. — Zrobiliśmy wszystko, co marynarz powinien uczynić, ale nie ręczę za bezpieczeństwo statku, jeśli Bóg się nie zmiłuje...

Tu runął, pławiąc się w ogromnym kożuchu, na klęczki, srodze ciągnąc Meissnera za sobą:

— Ekscelencjo, błagamy o modlitwę w czas nawałnicy.

Więc Pasterz Morski wnet podjął modły, jakoż i niezwłocznie poczęły się uspokajać odmęty. Nazajutrz podczas lunchu kapitan uroczyście potwierdził cud, który się zdarzył na „Batorym”.

Pierwszy oficer, Meissner, to była klasa! Nie tylko w tej „cruzie” Triest — Gdynia, kiedy 620 burżujów, wyladowanych grubszą forszą, obżerało się, piło, werandowało, flirtowało, byczyło się za wszystkie czasy, kiedy co drugi z nich to był dygnitarz jadący darmo, a tacy są najbardziej wymagający, kiedy każdy chciał być na mostku kapitańskim, każdy uczył Meissnera nawigacji, kiedy wszystkie paniusie żądały na wyścigi, żeby je prowadził w Barcelonie do autentycznej knajpy marynarskiej, ale i z apaszami też, w Casablance - do zakazanej dzielnicy, na Maderze, aby je zwoził saneczkami po wyslizganych kamyczkach z wysokich gór, w Lizbonie, aby im towarzyszył na corridę, w Londynie, aby im kupował pieski, a w Gdyni, aby to wszystko nakupione pomagał szmuglować. Był to Anioł Cierpliwości z dygnitarzami, z paniusiami, a nawet z pewnym grubasem (hm...), który po silnej zaprawie w barze wlażył na maszt, na górze wytrzeźwiał i za Boga obawiał się zleść; to była Przystań Spokoju, kiedy pewna mężateczka, odbywająca podróż poślubną, podcięła sobie żyły w ataku zazdrości; była to Opoka Pewności, kiedy (gdy „Batory” z Gdyni po tym pierwszym rajdzie ruszył do Nowego Jorku) dystyngowana dama wszorowała na salę w kankanie,

a jeden generał drugiemu generałowi w wylewie przyjacielskich uczuć rozwalił przy barze na łbie express do kawy; było to wcielone Pewność i Zaufanie, gdy mi podebrał córki na swój „Cieszyn”, kiedy musiały szwarcować się do Francji przez Belgię (bo Niemcy, w odwet za „Smętka”, odmówiły im wizy przejazdowej). Meissner to był Słup Ognisty, kiedy się pojawił ze swoją „Warszawą” w tureckim porcie Mersin i zabrał mnie na Cypr (zaraz potem storpedowano mu tę „Warszawę” razem z transportem indyków, które wiozł na Boże Narodzenie do To-bruku).

Monfalcone! Słońce i lapis-lazuli; kolorowe sukienki i „pleasery” zbawionego tłumu turystów. Sześciuset dwudziestu ludzi jadących w trzytygodniowy rejs. Dubrownik — figi i wino; winogrona i wino; homary i wino. Kupuję butelkę najdroższego wina, na jakie stać Dubrownik — za uczciwe przedwojenne 35 złotych. Droga do Barcelony. Imieniny Wojciecha Kossaka. Zdrajcy wypchnęli mnie, abym trzymał przemowę. Rozczuliłem się — diabeł podkusił, że ofiarowałem ono wino. Quisquis magna dedit, volu.it sibi magna remitti (kto dużo dał, radby z tego miał). Więc zaraz się przysiadłem do mistrza z gotową gębą. Ale mistrz był nie w ciemną bitą — dał mi wina okrętowego, a moją flaszczykę przyniańczył dla lepszych gości.

Barcelona... Do tego czasu już sześciuset dwudziestu luda burżujskiego, nagrzanego słońcem, pompowanego winem, rozkręciło się, powiedzieć można — rozegziło się. Żeglowaliśmy pod znakiem Byrona:

Dziś czas na wino i na kobiety młode Jutro zaś — na' kazanie i sodową wodę.

Dansingi przeciągały się do późnej gwiazdnej nocy.

Zajmowałem oddzielną kabinę, co było przywilejem, ale okazało się dokuczliwe. Byłem oblegany przez znajomych, którzy prosili o klucz do kabiny, aby poprawić włosy.

— Tylko niech pan nie wraca z godzinę.

— Tak wiele czasu trzeba, aby włosy poprawić?

— Ach, mam taką niesforną szewelurę.

— Dobrze, załatw pan tę swoją „szewelurę” w ciągu godziny, bo i ja kiedyś spać muszę.

A tu już drugi stał w kolejce. Okazało się, że z kluczem jest jak z pożyczoną książką: idzie sznureczkiem.

Przymusowo więc leżakowałem na pokładzie do białego rana, tam zaś byłem nachodzony przez nie takie, którymi radził zająć się Byron.

W wieńcu tych wydziedziczonych wtórnych produktów dansingu czułem się jak wojski, który to urząd był, jak wiadomo, urzędem opieki nad samotnymi kobietami, kiedy mężczyźni oddają się działaniom bojowym.

Podstarszawe panie wspomagały się intelektem i biadoliły nad gruboskórnością młodzieży:

— Wie pan, moja przyjaciółka, taka subtelna, tłumaczyła swemu chłopcu, że kobieta musi być nie tylko Mesaliną, ale i Beatrycze, chciała go prowadzić po kręgach intelektu. Zgodził się z tym, że powinno być między nimi życie duchowe. Na następną wizytę przyniosła Baudelaire'a Przeczytała o kochankach-kotach. A on powiada, że od kotów uczyć się nie potrzebuje. I że już przeczytała Baudelaire'a, wobec czego... okropność!...

— Chamujemy, droga pani — ziewałem (o Boże, kiedyż będę mógł pójść spać?...) Uławszy w ten sposób kilka kropli Pallas Atenie, truchtowaliśmy oględnie,

„intelektualnie” pod ołtarze Wenus. Paniusie napompowały się samotnie koktejlami w barze, a „wino jest mlekiem Wenus”.

— Ach, panie Melu (wraz ze skracaniem się nocy Melchior kurczył się w Mela), dziś po południu będziemy w Barcelonie... Czy zna pan Barcelonę? i

— Drugi port morski Hiszpanii... Katedra... Produkcja mydła i gliceryny... 760 000 ludności...

Ale tym razem to moje intelektualistki miały ochotę powiedzieć: „przeczytał pan, no to kładź się pan do łóżka...” Oczywiście — figuralnie. Brzmiało to tak:

— Ach, okręty z dalekich mórz,.. Marynarze... (tum je miał...) Spelunki

portowe... (jak, jak, proszę paniusi?). Taniec apaszów...

— To raczej w Paryżu.

— Wszystko jedno — ta sama dzika egzotyka. Protest człowieka, rozumie pan, człowieka zmęczonego strychulcem wyrównanej cywilizacji.

Robił się już dzień, klucza mi nie odnoszono, byłem coraz bardziej markotny.

— No, możemy pojechać na dansing w Barcelonie — ziewnąłem.

— Na dansing? — spojrzały na mnie z dyzgustem.

Na drugi dzień zalił się poeta:

— Ależ mnie obiegły te baby!... Skarżą się na pana: że bez polotu, że proponuje pan wulgarny dansing. Że nie ma pan imaginacji. Owszem, czytały pana książki, ale ta sawantka się wydeła: „Jego imaginacja przypomina skrzydła strusie: pomagają biec, nie pozwalają się wznosić”.

— A one chcą się wznosić? Myślałem, że raczej upaść.

— Chcą, ale się nie przyznają. Najlepsza jest prezesowa, ta żona grubego fisza ze Śląska.

— Ta z butonami brylantowymi?

— Aha... Mówi, że „zaś jak się jeździ, to trzeba wszystko widzieć. No nie?”

— Es ist nichts tuichtbaiei als eine Einbildungskraft ohne Geschmack* — ekał Goethe. — Baba wyrwała się od męża i puszcza wodze fantazji. A cóż ta trzecia?

— Aspazja, ona za nic nie zgadza się na eskapadę, ale chce być do niej przymuszona.

Roześmiałem się. Aspazja, jak ją nazywano w „Ziemiance”, to było dziewczę przekwitające, ale trzpiotowate, nie mogące zdecydować się, czy ma być pierwszą naiwną, czy natchnieniem geniuszów. W środku tego tkwiła „Modlitwa Dziewicy” („Boże, daj męża...”). Aspazja ma ze mną na pieńku, odkąd jej zaserwowałem Rousseau: „Gdyby wszyscy mężczyźni mieli sens w głowie, to każda lilie lettrke (mądrząca się pannica) zostawałaby murowanie w staropanieństwie”.

— Właśnie, ona boi się pana kpin, ale w gruncie rzeczy aż piszczy na jakąś ryzykowną wyprawę.

— Ach, mój Boże — jęknąłem — tenże Rousseau napisał, że intelektualistki są i e Ueau (biczem bożym) dla męża, dzieci, przyjaciół, służby i dla całego świata.

Ale dobrze — jakem struś, tak te gęsi polecą.

— Eurypides powiedział — wstawił się złośliwie w moje cytaty poeta — że nie ma nic tak złego, jak kobieta zła, i nie ma nic tak dobrego, jak kobieta dobra.

— Nil desperandum — kobieta jest jak konopie: trzeba ją tylko od-paździerzyć. W danym wypadku odpaździerzyć z ekstrawagancji.

— Prezesową i sawantkę niech pan sam sobie odpaździerza. Ale As-pazję — może warto oszczędzić.

— Ja już od Dubrownika widzę, że tu pana wzdyma.

Barcelona wrzała. Było to przed samym wybuchem wojny domowej i na wszystkich placach przemawiali mówcy z prowizorycznych skrzynek.

Znużony myszkowaniem po tym czymś, co nadciągało, wylądowałem w zabawnej knajpce, skupiającej barcelońską cyganerię. Właśnie szarżowałem, udając byka z corridy, na prześliczną dziewczynę, która, zaimprovizowawszy kapę toreadorską z szala, z parasolką w ręku imitującą espadę, robiła zręczne uniki i dziobała mnie, gdzie popadło, kiedy we drzwiach knajpki zagrzmiało:

— Ta karczma Rzym się nazywa! Kładę areszt na waszeci...

We drzwiach stał kolega-pisarz, któremu umknąłem, pozostawiwszy go obwieszonych intelektualkami.

— Są wszystkie trzy w taksówce — oznajmił grobowym głosem. — Strusiu, weź orle loty. Czekają na pana.

Obejrzałem się z żalem na mego rozkosznego toreadora, ale już przysnął. Natomiast władował się za nami do taksówki hiszpański malarz z rozwianą grzywą.

Poeta, który zarywał z włoskiego, informował taksówkarza pośpiesznie-

— Niente dansing... Molto atractivo... Niente cabaretto... Solamente signorine... Volamo signorine nudę... Non troppo caro...

— Si... si... bordello — zakonkludował malarz. I szybko podał adres taksówkarzowi.

Sawantka paliła rezolutnie papierosa, prezesowa falowała łonem, ondulacją i świerkała butonami, Aspazja struchlała.

Na odrapanym przedmieściu w odrapanym domu po odrapanej klatce schodowej wdrapaliśmy się przed odrapane drzwi, które otworzyła otyła Hiszpanica w szalu, grzebieniach, z nausznicami, a za nią cisnęły się trzy dziewczyny w negliżach. Sawantka ruszyła dzielnie poprzez to wszystko, za nią płynęła szumiąc wydętą spódnicą prezesowa. Ale Aspazja zaparła się w przedpokoju.

Malarz, który czuł się najwidoczniej zupełnie w domu (Hiszpanica mówiła mu: Pepito), zrobił ruch, jakby zamiatał przed Aspazją pył pióropuszem:

— Niech się seniorita nie obawia. Cervantes powiedział... Tu stanął w pozie, jakby recytował ze sceny:

— La mu/e/ que se determina a ser honorada entre un exercito de soldados le puede ser. To znaczy, mademoiselle — tłumaczył kaleką francuszczyzną: — „kobieta, która chce być szanowana, potrafi być szanowana nawet wśród największej zgrai żołdaków”.

— Niente paura! (nie strachać się) — wrzasnął poeta i podał okrągło ramię Aspazji.

Salonik, do któregośmy weszli, był obstawiony złoconymi mebelkami z bambusa.

Na kolana Hiszpanowi wskoczyła jakaś roznegliżowana piękność w niebieskich desusach. Ku poecie sunęła inna w różowych. Byłem przezorniejszy i w czas zrejterowałem za fotel prezesowej. Sawantka, nadrabiając widocznie miną, syczała w stronę poety:

— Podziwiam gust pana...

Bogu ducha winien poeta rozeźlił się:

— A którą z tych piękności radzi mi pani zaszczycić wyborem? Śląska prezesowa nie poznała się na kontuzji warszawiaków:

— No, jak już co, to tę...

Poeta popchnął wskazaną dziewczynę ku matronie:

O, Lesbio Katowicka, o, Bilitis Śląska, Dyguję Ci kawałek hiszpańskiego kąska.

Pierwszy oficer, Meissner, to była klasa! Nie tylko w tej „cruzie” Triest — Gdynia, kiedy 620 burżujów, wyładowanych grubszą forszą, obżerało się, piło, werandowało, flirtowało, byczyło się za wszystkie czasy, kiedy co drugi z nich to był dygnitarz jadący darmo, a tacy są najbardziej wymagający, kiedy każdy chciał być na mostku kapitańskim, każdy uczył Meissnera nawigacji, kiedy wszystkie paniusie żądały na wyścigi, żeby je prowadził w Barcelonie do autentycznej knajpy marynarskiej, ale i z apaszami też, w Casablance - do zakazanej dzielnicy, na Maderze, aby je zwoził saneczkami po wyslizganych kamyczkach z wysokich gór, w Lizbonie, aby im towarzyszył na corridę, w Londynie, aby im kupował pieski, a w Gdyni, aby to wszystko nakupione pomagał szmuglować. Był to Anioł Cierpliwości z dygnitarzami, z paniusiami, a nawet z pewnym grubasem (hm...), który po silnej zaprawie w barze wlaź na maszt, na górze wytrzeźwiał i za Boga obawiał się zleźć; to była Przystań Spokoju, kiedy pewna mężateczka, odbywająca podróż poślubną, podcięła sobie żyły w ataku zazdrości; była to Opoka Pewności, kiedy (gdy „Batory” z Gdyni po tym pierwszym rajdzie ruszył do Nowego Jorku) dystyngowana dama wszorowała na salę w kankanie, a jeden generał drugiemu generałowi w wylewie przyjacielskich uczuć rozwalił przy barze na łbie express do kawy; było to wcielone Pewność i Zaufanie, gdy mi odebrał córki na swój „Cieszyn”, kiedy musiały szwarcować się do Francji przez Belgię (bo Niemcy, w odwet za „Smętka”, odmówiły im wizy przejazdowej). Meissner to był Słup Ognisty, kiedy się pojawił ze swoją „Warszawą” w tureckim porcie Mersin i zabił mnie na Cypr (zaraz potem storpedowano mu tę „Warszawę” razem z transportem indyków, które wiózł na Boże Narodzenie do To-bruku).

Monfalcone! Słońce i lapis-lazuli; kolorowe sukienki i „pleasery” zbawionego tłumu turystów. Sześciuset dwudziestu ludzi jadących w trzytygodniowy rejs.

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

Dubrownik — figi i wino; winogrona i wino; homary i wino. Kupuję butelkę najdroższego wina, na jakie stać Dubrownik — za uczciwe przedwojenne 35 złotych. Droga do Barcelony. Imieniny Wojciecha Kossaka. Zdrajcy wypchnęli mnie, abym trzymał przemowę. Rozczuliłem się — diabeł podkusił, że ofiarowałem ono wino. Quisquis magna dedit, volu.it sibi magna remitti (kto dużo dał, radby z tego miał). Więc zaraz się przysiadłem do mistrza z gotową gębą. Ale mistrz był nie w ciemną bity — dał mi wina okrętowego, a moją flaszczynę przyniańczył dla lepszych gości.

Barcelona... Do tego czasu już sześciuset dwudziestu luda burżujskiego, nagrzanego słońcem, pompowanego winem, rozkręciło się, powiedzieć można — rozegziło się. Żeglowaliśmy pod znakiem Byrona:

Dziś czas na wino i na kobiety młode Jutro zaś — na' kazanie i sodową wodę. Dansingi przeciągały się do późnej gwiazdnej nocy.

Zajmowałem oddzielną kabinę, co było przywilejem, ale okazało się dokuczliwe. Byłem oblegany przez znajomych, którzy prosili o klucz do kabiny, aby poprawić włosy.

— Tylko niech pan nie wraca z godzinę.

— Tak wiele czasu trzeba, aby włosy poprawić?

— Ach, mam taką niesforną szewelurę.

— Dobrze, załatw pan tę swoją „szewelurę” w ciągu godziny, bo i ja kiedyś spać muszę.

A tu już drugi stał w kolejce. Okazało się, że z kluczem jest jak z pożyczoną książką: idzie sznureczkiem.

Przymusowo więc leżakowałem na pokładzie do białego rana, tam zaś byłem nachodzony przez nie takie, którymi radził zająć się Byron.

W wieńcu tych wydziedziczonych wtórnych produktów dansingu czułem się jak wojski, który to urząd był, jak wiadomo, urzędem opieki nad samotnymi kobietami, kiedy mężczyźni oddają się działaniom bojowym.

Podstarszawe panie wspomagały się intelektem i biadoliły nad gruboskórnością młodzieży:

— Wie pan, moja przyjaciółka, taka subtelna, tłumaczyła swemu chłopcu, że kobieta musi być nie tylko Mesaliną, ale i Beatrycze, chciała go prowadzić po kręgach intelektu. Zgodził się z tym, że powinno być między nimi życie duchowe. Na następną wizytę przyniosła Baudelaire'a Przeczytała o kochankach-kotach. A on powiada, że od kotów uczyć się nie potrzebuje. I że już przeczytała Baudelaire'a, wobec czego... okropność!...

— Chamujemy, droga pani — ziewałem (o Boże, kiedyż będę mógł pójść spać?...) Uławszy w ten sposób kilka kropli Pallas Atenie, truchtowaliśmy oględnie,

„intelektualnie” pod ołtarze Wenus. Paniusie napompowały się samotnie koktejlami w barze, a „wino jest mlekiem Wenus”.

— Ach, panie Melu (wraz ze skracaniem się nocy Melchior kurczył się w Mela), dziś po południu będziemy w Barcelonie... Czy zna pan Barcelonę? i

— Drugi port morski Hiszpanii... Katedra... Produkcja mydła i gliceryny... 760 000 ludności...

Ale tym razem to moje intelektualistki miały ochotę powiedzieć: „przeczytał pan, no to kładź się pan do łóżka...” Oczywiście — figuralnie. Brzmiało to tak:

— Ach, okręty z dalekich mórz,.. Marynarze... (tym je miał...) Spelunki portowe... (jak, jak, proszę paniusi?). Taniec apaszów...

— To raczej w Paryżu.

— Wszystko jedno — ta sama dzika egzotyka. Protest człowieka, rozumie pan, człowie-ka zmęczonego strychnulcem wyrównanej cywilizacji.

Robił się już dzień, klucza mi nie odnoszono, byłem coraz bardziej markotny.

— No, możemy pojechać na dansing w Barcelonie — ziewnąłem.

— Na dansing? — spojrzały na mnie z dyzgustem.

Na drugi dzień zalił się poeta:

— Ależ mnie obiegiły te baby!... Skarżą się na pana: że bez polotu, że proponuje

pan wulgarny dansing. Że nie ma pan imaginacji. Owszem, czytały pana książki, ale ta sawantka się wydeła: „Jego imaginacja przypomina skrzydła strusie: pomagają biec, nie pozwalają się wznosić”.

— A one chcą się wznosić? Myślałem, że raczej upaść.

— Chcą, ale się nie przyznają. Najlepsza jest prezesowa, ta żona grubego fisza ze Śląska.

— Ta z butonami brylantowymi?

— Aha... Mówi, że „zaś jak się jeździ, to trzeba wszystko widzieć. No nie?”

— Es ist nichts tuichtbaiei als eine Einbildungskraft ohne Geschmack* — ekał Goethe. — Baba wyrwała się od męża i puszcza wodze fantazji. A cóż ta trzecia?

— Aspazja, ona za nic nie zgadza się na eskapadę, ale chce być do niej przymuszona.

Roześmiałem się. Aspazja, jak ją nazywano w „Ziemiance”, to było dziewczę przekwitające, ale trzpiotowate, nie mogące zdecydować się, czy ma być pierwszą naiwną, czy natchnieniem geniuszów. W środku tego tkwiła „Modlitwa Dziewicy” („Boże, daj męża...”). Aspazja ma ze mną na pieńku, odkąd jej zaserwowałem Rousseau: „Gdyby wszyscy mężczyźni mieli sens w głowie, to każda lilie lettrke (mądrząca się pannica) zostawałaby murowanie w staropanieństwie”.

— Właśnie, ona boi się pana kpin, ale w gruncie rzeczy aż piszczy na jakąś ryzykowną wyprawę.

— Ach, mój Boże — jęknąłem — tenże Rousseau napisał, że intelektualistki są i e Ueau (biczem bożym) dla męża, dzieci, przyjaciół, służby i dla całego świata.

Ale dobrze — jakem struś, tak te gęsi polecą.

— Eurypides powiedział — wstawił się złośliwie w moje cytaty poeta — że nie ma nic tak złego, jak kobieta zła, i nie ma nic tak dobrego, jak kobieta dobra.

— Nil desperandum — kobieta jest jak konopie: trzeba ją tylko od-paździerzyć. W danym wypadku odpaździerzyć z ekstrawagancji.

— Prezesową i sawantkę niech pan sam sobie odpaździerza. Ale As-pazję — może warto oszczędzić.

— Ja już od Dubrownika widzę, że tu pana wzdyma.

Barcelona wrzała. Było to przed samym wybuchem wojny domowej i na wszystkich placach przemawiali mówcy z prowizorycznych skrzynek.

Znużony myszkowaniem po tym czymś, co nadciągało, wylądowałem w zabawnej knajpce, skupiającej barcelońską cyganerię. Właśnie szarżowałem, udając byka z corridy, na prześliczną dziewczynę, która, zaimprovizowawszy kapę toreadorską z szala, z parasolką w ręku imitującą espadę, robiła zręczne uniki i dziobała mnie, gdzie popadło, kiedy we drzwiach knajpki zagrzmiało:

— Ta karczma Rzym się nazywa! Kładę areszt na waszeci...

We drzwiach stał kolega-pisarz, któremu umknąłem, pozostawiwszy go obwieszonych intelektualkami.

— Są wszystkie trzy w taksówce — oznajmił grobowym głosem. — Strusiu, weź orle loty. Czekają na pana.

Obejrzałem się z żalem na mego rozkosznego toreadora, ale już prysnął. Natomiast władował się za nami do taksówki hiszpański malarz z rozwianą grzywą.

Poeta, który zarywał z włoskiego, informował taksówkarza pośpiesznie-

— Niente dansing... Molto atractivo... Niente cabaretto... Solamente signorine... Volamo signorine nudę... Non troppo caro...

— Si... si... bordello — zakonkludował malarz. I szybko podał adres taksówkarzowi.

Sawantka paliła rezolutnie papierosa, prezesowa falowała łonem, ondulacją i świerkała butonami, Aspazja struchlała.

Na odrapanym przedmieściu w odrapanym domu po odrapanej klatce schodowej wdrapaliśmy się przed odrapane drzwi, które otworzyła otyła Hiszpanica w szalu, grzebieniach, z nausznicami, a za nią cisnęły się trzy dziewczyny w negliżach.

Sawantka ruszyła dzielnie poprzez to wszystko, za nią płynęła szumiąc wydełą spódnicą prezesowa. Ale Aspazja zaparła się w przedpokoju.

Malarz, który czuł się najwidoczniej zupełnie w domu (Hiszpanica mówiła mu: Pepito), zrobił ruch, jakby zamiatał przed Aspazją pył pióropuszem:

— Niech się seniorita nie obawia. Cervantes powiedział... Tu stanął w pozie, jakby recytował ze sceny:

— La mu/e/ que se determina a ser honorada entre un exercito de soldados le puede ser. To znaczy, mademoiselle — tłumaczył kaleką francuszczyzną: — „kobieta, która chce być szanowana, potrafi być szanowana nawet wśród największej zgrai żołdaków”.

— Niente paura! (nie strachać się) — wrzasnął poeta i podał okrągłe ramię Aspazji.

Salonik, do któregośmy weszli, był obstawiony złoconymi mebelkami z bambusa. Na kolana Hiszpanowi wskoczyła jakaś roznegliżowana piękność w niebieskich desusach. Ku poecie sunęła inna w różowych. Byłem przezorniejszy i w czas zrejterowałem za fotel prezesowej. Sawantka, nadrabiając widocznie miną, syczała w stronę poety:

— Podziwiam gust pana...

Bogu ducha winien poeta rozeźlił się:

— A którą z tych piękności radzi mi pani zaszczycić wyborem? Śląska prezesowa nie poznała się na kontuzji warszawiaków:

— No, jak już co, to tę...

Poeta popchnął wskazaną dziewczynę ku matronie:

O, Lesbio Katowicka, o, Bilitis Śląska, Dyguję Ci kawałek hiszpańskiego kaska. Co pan zaś za wygłupy wyczynia — bronila się prezesowa, nie z0 wiedząc, czy ma być wdzięczna za madrygał, o co za pohańbienie miłości, co za pohańbienie miłości!... — szlochała Aspazja.

Hiszpanica, wnosząca wermut, postawiła tacę i wzięła głowę Aspazji obfite łono — że nie ma się co martwić, że przecie jej przyjaciel nic złego nie robi, to igraszki...

Nastrój się nie kleił, nie wiadomo było właściwie, co robić. Sawantka powiedziała:

— Jvjo, to może pojedziemy?

— Jak to, a rrdzika egzotyka"? A „protest człowieka zmęczonego strychnulcem cywilizacji”? Teraz sawantka powiedziała:

— Bez wygłupów.

Brzmiało to jak Canossa.

Przytomniak-poeta czując, że szykuje się odwrót, szybko znalazł się „na poziomie”:

— Aspazjo — powiedział z siłą — niech oni tu zostają, ja panią odwożę, myślałem, że jedziemy do kabaretu — lgał jak najęty — tu nie dla pani miejsce. Anioł omal upadły podniósł na niego wdzięczne spojrzenie.

— Wszyscy idziemy — zdecydowała sawantka.

— Takie coś — ociągała się prezesowa. — Jak już przyjechaliśmy gdzieś aż na to przedmieście...

Zapłaciłem pospiesznie i oganiałem intelektualistki do wyjścia.

Sawantka jednak w progu saloniku stanęła i pocałowała którąś z dziwek w czoło: akt solidarności i współczucia z poniżoną kobiecością.

I alibi na wypadek naszych niedżentelmeńskich niedyskrecji w Polsce.

Na drugi dzień sawantka traktowała Bogu ducha winnych męskich aranżerów eskapady z miną wyniosłą, mającą zaakcentować całą niskość naszego postępuku. Za to Aspazja darzyła poetę promiennymi spojrzeniami,

Wieczorem poeta poprosił mnie o klucz od kabiny. Miał poprawić szewelurę.

Westchnąłem, wziąłem gruby tom i poszedłem na leżak. Ale z zadowoleniem skontastowałem, że nikt już, żądny egzotyki, mnie nie nachodzi.

Ale cóż może słońce i wino! Koran mówi, że w każdej jagodzie winnego grona siedzi jeden diabeł — ileż diabłów siedziało w każdym z nas, kiedyśmy się zbliżali do brzegów Maroka. Globtroterzy i wszytkowiedze

między nami, których wysłuchiwałam przed każdym portem, w powodzi cyfr o sztuce i o handlu, i o geopolityce uronili słowo Bus-Bir __ i już ospali i opici turyści nastawili uszu: Bus-Bir, to był największy dom publiczny świata, całe ogrodzone miasto, dzielące się na cztery dzielnice: murzyńską, arabską, żydowską i aryjską, gdzie mieściło się pono osiemset prostytutek tych czterech nacji. Bus-Bir ufundowała wielka spółka akcyjna, a duży pakiet akcji należał do ministra Loucheur, właściciela „Petit-Journal”. Było więc jasne, że „Powstawszy lud ten będzie cudzołożyl”. (Deu-teronomium XXXI, 16).

Hrabiny i księżne, obficie wkropione w ten tłum turystyczny, były w rozterce. Bo jakże to pominąć taką osobliwość. Sam Loucheur, minister zaprzyjaźnionego kraju!... Choćby przez pietyzm.

Sawantka — nabrała wiatru w żagle. „Uwaga — ostrzegam poeta — znowu zaczyna dryfować na nas. Intelktualnie...”

Miał Goethe rację:

Wenn geht es zu des Boesen Haus Das Weib hat tausend Schrltt voraus
Tymczasem okazało się, że prezesowa „dryfuje” na inną ofiarę męską — Arkadego Fiedlera.

Kiedy przedstawiliśmy się jej jeszcze w Monfalcone jako Melchior i Arkady, wydeła się:

— Bez wygłupów, czy to dlatego, że „mącz” (tak wymawiała) nie mógł mi dać opieki, panowie zaś takie joki mogą czynić, nie?

— Ależ, pani prezesowo, to wielkie imiona, apostołowie Słowiańszczyzny — monitowała sawantka.

— To byli raczej Cyryl i Metody, łaskawa pani. A my nawet świętych patronów nie mamy. Taki król Melchior był poganin i choćby się powstydzil tego. Kacper i Baltazar dawali złoto, dawali równie cenną myrrę, a ten Melchior tylko kadził...

— Takie coś — zdumiewała się prezesowa.

— Z moim patronem, imperatorem Arkadiuszem, było o tyle lepiej — wypiął pierś Fiedler — że mordował eunuchów nadwornych.

— Radzę pani prezesowej wobec tego rodzaju szczytnych tradycji przyjaźnić się z Arkadym.

— Takie coś...

Ale ryba haczyk połknęła i teraz, kiedy przycumowaliśmy do nabrzeża w Casablance, Arkady przycwałował z rozwianym włosom:

— Panie Melchiorze, już spuszcza ją schodnię... Wiejmy, bo prezesowa przyssała się, by ją szapronować do Bus-Bir. Ojej!...

fen ostatni okrzyk był skierowany w stronę pomostu spacerowego, którego^ wylotu ukazała się prezesowa.

Obejrzałem się za Fiedlerem, ale już zobaczyłem tylko pomykające iety. Pomknąłem za nim, susem jelenim przesadziliśmy schodnię. Jeszcze nam mignęły na szczytach kadłuba „Batorego” wyciągnięte dwie białe dłonie — i już pomykaliśmy zaułkami Casablanki, wolni i szczęśliwi.

Arkady oparł się po tym sprincie o wystawę sklepu, ścierał pot z czoła:

__ Maluczko, a wsiaklibyśmy.

_ Bernard Shaw twierdził, że kobieta doprowadza wszystkich mężczyzn do wspólnego mianownika.

__ Pomyśleć, że przez nią moglibyśmy upaść...

__ „Lećmy i odtąd nigdy nie niżajmy lotu”.

Arkady i Melchior, można powiedzieć jak dwa białopióre anioły, jak nowocześni Cyryl i Metody, stanęli przed bramami dziwnego przybytku. Mur to był srogi tę dzielnicę Bus-Bir opasujący. Czarne Senegalczyki, bagniet na broń, dzierżyły wartę w bramie warownej. Żadna z ośmiuset dziewczyn nie mogła się za nią wydostać.

Za to wewnątrz przybytku było ich nieograniczone królestwo. Chodziły po ulicach nagie lub półnagie. Siedziały po kawiarenkach na kolanach żołnierzy Legii

Cudzoziemskiej. Ciągnęły beczelnie na różnorakie cinema-cochon. Bezwstyd niczym nie maskowany, niczym nie krępowany przelewał się ulicami.

Przypatrz się, jako grzeszą mężczyźni szkaradzie Zazdrozcząc na oborze koniom, bykom w stadzie

Wespazjan Kochowski

Melchior i Arkady, stanąwszy do siebie plecami, przewinąwszy się ramionami, nogami odkopując się od rozbestwionych tyralier prostytutek, stworzywszy w ten sposób o"bronę jeża, przepychali się z wolna ku wyjściu.

Nagle pomiędzy bagnietami Senegalczyków w bramie zajaśniał dostojny pochód. Okazało się, że nie tylko prezesowa marzyła o wizycie w burdelu. Nabrał się legion księżnych i hrabin.

Trudno było leciwym hrabinom zdobyć przewodnika na tę eskapadę, aliści znalazł się Pan Bywały, mocno po sześćdziesiątce, który się podjął opieki nad tak ekskluzywnym gronem. Pan ten należał do tak zwanej "półtorej szlachty", skaczącej i nie mogącej doskoczyć do pełnej krwi arystokracji, Cóż więc mogło być dla niego lepszym wejściem, jak znaleźć się z kupą księżnych i hrabin w tak intymnej przygodzie?

Ujrzeliśmy szeroką bramę wypełnioną po brzegi hrabiowskim czworo bokiem. W pierwszym szeregu pośrodku tkwił Pan Bywały, z jednej strony mając uwieszoną księżną, z drugiej hrabinę. Do księżny Ignęła sromotnie przez nas porzucona, prezesowa, a hrabiny kurczowo się trzy.! mała baronowa, pięćdziesięcioletnia porcelanowa lala. Za tym pierwszym rzędem widniały trzy dalsze piątki skłuczone ramionami, z imaginacyj. nymi przyłbicami spuszczone na twarz, z imaginacyjnymi kopiami pochylonymi ku szatanowi — dzielny rycerski cuneus eksplorujący lądy nieznane w imię wiedzy.

Sawantki ani Aspazji między nimi nie było. Za wysokie progi... Pan Bywały, ujrzawszy, co się dzieje za bramą, struchlał. Poczuł jednak, że oczy przodków patrzą na niego, że ci przodkowie każą — trwać... Poczuł się jak Żółkiewski, przebijający się ruchomym obozem warownym przez pohańców. I ku pokrzepieniu ducha spłoszonych hrabin począł wykladać najnaukowszym głosem, jak to należy badać życie seksualne ludów pierwotnych, jak trzeba iść w ślady wielkiego naszego rodaka Malinowskiego, który badał życie płciowe dzikusów.

Tymczasem tyraliery gamratek, na jedną chwilę porażone niezwykłym ingresem, porzuciły łatwe utarczki z żołnierzami Legii Cudzoziemskiej i zwały wilcze koło.

Pan Bywały w tym wszystkim był jak Archimedes zajęty li tylko nauką, kiedy nakoło wylili żołdacy Marcellusa:

— Ellis Havelock, współcześnie żyjący filozof, pisał, że „bez elementu sprośności nie powstałaby i moralna koncepcja”.

W tej chwili z kawiarenki wypadła mała kudłata Arabeczka, wyglądająca na czternaście lat. Przebiła pierścień „żołdaków Marcellusa” i stała sprężona do skoku. Mała, z kudłami na oczach, spod których na czole błyskał błękitno tatuowany znak jakiegoś szczepu, z piersiami już dobrze zarysowanymi i wywalonymi z rozchełstanej koszuli, miała w sobie tyle z rozjuszonego zwierzęcia, że oczy damskiego czworoboku przywarły do jej błyskających ślepiów jak oczy hipnotyzowanych królików.

Pan Bywały tylko nie spostrzegał niczego, napawał się erudycją, którą przed wyprawą pospiesznie się naładował w okrętowej bibliotece:

— A Thomas Hobbes — zerkał na trzymany w ręku papierek — filozof siedemnastego wieku, twierdził, że „myśl ludzka szybuje równie odważnie w świętości, jak i w sprośności”.

Arabeczka przysiadła do skoku, hrabiny stuliły się jak kuropatwy, kiedy nad nimi krąży jastrząb.

— Coleridge — dukał Pan Bywały — również szybował „na skrzydłach sprośności”.

Dziki krzyk, przechodzący w gwizd na najwyższej nucie, przeszył powietrze. Jak kuła miotnął się biały kudłaty kłębek — Arabeczka wczepiła się w punkt centralny

Pana Bywałego, czworobok prysnął w jednym mgnieniu oka. Byłyby tam hrabiny sromotnie wyłapanie i sprawione jedna drugiej, gdyby nie przemożna chęć widowiska, która utrzymała pierś-eń napastniczek na stanowiskach obserwacyjnych. A było na co patrzeć.

Arabeczka poszła za taktyką tego kundla w „Szkicach węglem”, który schwycił za... kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin... i dopiero poczuwszy pełno w pysku, począł... targać”.

Pan Bywały uderzył napastniczkę po świętokradczej dłoni, co ją rozwścieczyło do ostateczności. Uczuwszy w ręku pełno, drugą poczęła operować koło guzików, chcąc hrabinom ekshumować obiekt znany im już tylko z zamierzchłych wspomnień.

Pan Bywały począł się kręcić, to zaciekle, uczone diabelstwo wirowało za nim. — óte toi!... — krzyczał. Ale tam...

— Niech pani wypuści!... — kapitulował, chrypiąc po polsku błagalnie jak duszony przez psy zając.

Ale tam...

Księżna, prysnąwszy z czworoboku, padła na moje łono. Obserwowała ze zgrozą wirującego Pana Bywałego. Właśnie był na nowiu, odwrócony tyłem, ale za chwilę... Ach, za chwilę — ujrzymy pełnię.

— Panie, niech go pan ratuje!... — błagała.

— Raczy księżna pani uwzględnić — odpowiedziałem z rewerencją — że ja sam mam też coś do stracenia. („...Nie dałbym, co mam w płótnie, i za sto tysięcy” — zaklinał się Waław Potocki).

Na szczęście już biegli, już dopadali czarni Senegalczyki w błękitnych mundurach z najeżonymi bagnetami. Oderwali Arabeczkę jak wessaną pijawkę od zwiotczącego tułowia Pana Bywałego.

We wdzięcznych jego słuchaczkach obudziła się tradycja matron, które opatrywały rannych po bitwie. Nieporządnie sformowaną kupą, eskortowaną przez bagnety, wywlekły zewłok swego przewodnika za bramę.

Spoczywaliśmy na tarasie wielkiego hotelu „Mammounia” w Marra-keszu, syci wrażeń po tylu wyczynach. Podziwu godne, jak szybko te damy zregenerowały się.

Objuczone sprawunkami, jeszcze się podniecały jakimiś niesłychanymi okazjami. Za pół godziny odjeżdżaliśmy do portu, skąd ruszaliśmy na Maderę.

— Jeszcze wpadniemy do suków (sklepy arabskie), kto z panów zechce dać nam eskortę?

Popijaliśmy mocno mrożone białe wino, tuż za ocienionym tarasem ział żar piekielny, w który by trzeba skoczyć. Widać rozebrały mnie jednak wyrzuty sumienia z powodu stchórzenia w Bus-Bir, bo powstałem i (co prawda to nie grzech), z lekka się zataczając, ofiarowałem się na chaperona.

Zaraz za krętą uliczką na placu Diema-El-Fua poczynały się suki. Szło się między nimi alejką, pokrytą matą, przez którą sżyło słońce. Idące panie, kupcy siedzący w kucki i pijący zieloną herbatę miętową albo palący nargile, osiołki przeciskające się z partiami towaru — wszystko było w słoneczne pręgi.

Weszliśmy do któregoś z suków i podczas kiedy damy wpadły w furję targowania się, rozsiadłem się na zydlu inkrustowanym perłową macicą i siorbałem z małych fiżżaneczek piekielnie czarną kawę, którą mi nalewał gospodarz. Wodząc wzrokiem dosyć mętnym po wnętrzu sklepu, zawadziłem nim o długą strzelbę w arabskim stylu, to znaczy obficie ornamentowaną masą perłową i o fantastycznym profilu kolby. Takimi strzelbami wywijała pędząca na rumakach „fantazja”, rodzaj arabskiej „dżigitówki”.

— Ile za to? — spytałem sennie.

Gruby kupiec już był przy mnie, już ocierał flintę z kurzu, już się zaklinał, że ten jedyny egzemplarz dostał mu się przez istny cud, niemal za darmo po zmarłym szejku. Ile zechce? O, on wie, co to są Polacy. O, Polakom nie można dać byle czego. O, on tu nawet (to mówiąc roztwierał księgę safianową) ma świadectwo od swego najlepszego przyjaciela, grafa Cydzika. Co on chce za to? — Tylko tyle, ile sam zapłacił: tysiąc franków.

Trochę mnie to poruszyło. Tysiąc franków, o ile pamiętam, było to dwieście złotych. Za takie cudo? Może bym już mu dał te tysiąc franków, coś odtargowawszy, gdybym , mniej wstawiony. Ale nagle jakby chmura nieprzytomności podniosła SL we mnie, a z nią pijacka złośliwość.

__ Dam ci dziesięć franków, Ozdobo Wiernych.

Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu tłusty Arab odjechał jak wirujący • huczący bąk w drugi koniec sklepu. Ręce wyrzucone w górę wskazywały zgrozę, przerażenie, osłupienie. Damy chwyciły go w obroty.

Zapadłem w nirwanę, z której przebudzony zostałem zbliżającym się buczeniem, kupiec-bąk sunął do mnie:

— Dla pana, jako dla Polaka, osiemset franków.

__ Piętnaście franków.

Pantomima powtórzyła się.

Cwierkot damski i gardłowe zaklinanie się kupca wzrastały, bo wskazówki zegara się posuwały. W trakcie tego naleciał na mnie z pięć razy, corazniżając cenę. Osądziłem, że doprowadzi mnie do ruiny, jeśli będę dodawał po pięć franków, więc dodawałem po cztery, po trzy lub dwa. Kiedy damy wychodziły, dopchnął mię jednak, bestia, do dwudziestu pięciu, na czym zerwaliśmy stosunki nieodwołalnie i stanowczo.

Kiedy wychodziliśmy, tknęło mię coś w plecy. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Arab ofiaruje mi to cudo po zmarłym szejku. Weźmie te dwadzieścia pięć franków, bo mają właśnie święto A-Id, As-Saghir, w którym daje się prezenty przyjaciom. On więc mi daje flintę jako prezent, a ja mu daję te dwadzieścia pięć franków jako prezent jego córeczce. Ale prosi, abym zaświadczył jego gościnność i wielkoduszność w safianowym albumie, w którym wpisują się najwięksi tego świata, o tu, obok wpisu grafa Cydzika.

Istotnie, zobaczyłem napis zamasztył pismem:

„Rodacy, nie dajcie się wykiwać, jak ja się dałem, temu cwaniakowi”. Dopisałem się równie zamazyście:

— „Cydzik, jesteś pomszczony...” Na tarasie flinta wzbudziła zachwyty.

— Och — powiedziałem niedbale — nie chce mi się z tym wlec, mogę ustąpić za sto pięćdziesiąt franków.

Mało mnie nie rozerwali: „Ja pierwszy zauważyłem...”, „Ja pierwszy Prosiłem...”, „Ja...”, „Ja...”

Ułamałem zapałkę, szczęśliwiec, który wyciągnął los, zapłacił sto pięćdziesiąt franków i porwał flintę w objęcia. Do odejścia autobusu było dziesięć minut — popędziłem z tarasu, wpadłem do suku, położyłem sto pięćdziesiąt franków na ladzie i zaordynowałem sześć karabinów, najwidoczniej cudem rozmnożonych po śmierci walecznego szejka (jak po- mnie poinformowano, jakieś miasteczko w Bawarii produkowało te

strzelby systemem taśmowym, używając jakiejś kalkomanii imitując i inkrustację; naturalnie z takiego karabinu nikomu nie udało się Wy strzelić).

Wpadłem przed hotel z naręczem strzelb, kiedy już wszyscy siedzieli w autobusie.

Nabywca pamiątkowego karabinu słynnego szejka zzieleniał Inni nabijali się z niego, szczęśliwi, że wyciągnęli zapałki z główkami

— No, zobaczymy, kto się będzie śmiał ostatni — w Gdyni na cle Z tremą zbliżałem się do brzegów ojczyzny, przeżuając w sobie pouczenia Reja:

Nadobna to rzecz do cudzych krajów się przejeżdżać, a tam się ukazać byle nie tylko z poskoczki, z perfumowanymi rękawiczkami, z pstrymi kabatki do domu przyjeżdżać.

Co tam — kabatki!... Cały arsenał wiozę.

W Gdyni na cle nie dałem nikomu tknąć moich flint, sam je niosłem. Celniki rzuciły się jak kruki. Poprosiłem o dyrektora cel.

— Panie dyrektorze, czy wwóz antyków do Polski, jednym słowem — wzbogacenie kraju o dzieła sztuki, jest obciążony cłem?

— Ależ gdzie tam, ależ nie, panie redaktorze.

Kiedy przyjechałem do Warszawy, jeden karabin dałem memu lekarzowi, jeden architektowi Tołoczcze, który budował mi willę, jeden memu adwokatowi, Stasiowi Święcickiemu (patrz w „Zielu” zgadywanki z Trylogii). Muszę lojalnie wyznać, że Tołoczko przyjął dar z miną zagadkową, ale lekarz kupił za tysiąc złotych wschodni modlitewnik, aby mieć tło, na którym zawiesił bezcenną orientalną flintę szejka. U Święcickiego w latach okupacji Niemcy zrobili rewizję, znaleźli broń. Powiesili go na Pawiaku. Jeśli mój dar odegrał w tym jakąś rolę — byłaby to najstraszliwsza z grotesek.

Na razie na przystani podsunięto mi mikrofon. Wyraziłem głębokie przekonanie, że podróże kształcą.

Turyści generała Sikorskiego.

Wiele się łądów zdeptało, wiele się krajów obeszło,
a ziemia wciąż była polska pod każdą żołnierską podeszwą!

Władysław Broniewski.

Turyści generała Sikorskiego.

Andrzej!... — idąc ulicą Tel-Awiwu nagle natknąłem się na dwumetrowego dryblasa, mego siostrzeńca. — Skąd ty tu? _ Przez Węgry. _ Gładko poszło?

— Właściwie tak. Szliśmy przez Słowację, gdzie były niemieckie komendantury, aleśmy się prześliznęli na Węgry. I Węgrzy nas złapali.

— No i co?

— Eee, oni tak samo nie cierpią Niemców, ale się ich boją. Więc dali nam wina, krzykliwi Eljen LengyeH", ale tłumaczyli się, że nas przepuścić nie mogą. Nie wydadzą nas Niemcom na granicy, jak mają rozkazane, ale dopilnują, żebyśmy poszli z powrotem. Jakoż odstawili nas na granicę i dopilnowali przejścia.

— No i co?

— Przesiedzieliśmy w krzakach i poszliśmy z powrotem. I znowu nas Węgrzy złapali.

— No i co?

— Eljen Lengye! nie krzykliwi, wina nie dali i odstawili z powrotem.

— No i co?

— Posiedzieliśmy w krzakach i poszliśmy znów, i znowu nas złapali.

— Ach jej! No i co?

— Wina nie dawali, nic nie śpiewali, tylko dali po mordzie. Odstawili nas i powiedzieli, że jeśli jeszcze raz nas złapią, to wydadzą Niemcom.

— No i co?

— Posiedzieliśmy w krzakach...

Dalej..., chodziła czapla po desce. Jak w kraju do znudzenia opowiadano sobie o ucieczkach we wrześnie, tak na emigracji — jak kto szedł przez jakie zielone granice.

Dziwnieź to było wojsko ci „turyś • Sikorskiego”. Po raz pierwszy Zo baczyłem ich w większym skupisku w pustyni irackiej. Niemożliwy upał Przy tym — jak mi się skarżył jeden dzielny wojak — „płeci nie ma” A ta, co jest, dwie kobiece kompanie transportowe, żywcem obstawiona przez oficerów.

„Transportówki” były tak osaczane, że, biedulki, nauczyły się nie tylko rzemiosła szoferskiego, ale i szoferskiego języka, inaczej by nie dały rady.

Zdarzyło się, że jechał naczelnny chirurg, generał Szarecki; zobaczył ciężarówkę, spod ciężarówki wyglądają łydeczki — kierowczyni wlała pod wóz, coś poprawia. Grzeczny staruszek kazał zatrzymać samochód, przechylił się do łyde-czek i pyta:

— Może pani można w czym pomóc?

— Od...I się, ty ...synu — posłyszał spod wozu. Co miał robić? Od-jechał.

Toteż z radością przyjęto wiadomość, że pojedziemy do Włoch. Z tego powodu Adolf Czybygdymy- (bo i pod takim pseudonimem pisywałem) w artykule pt. „Jak faktycznie będziem w zimnem włoskiem kraju”, tak oto bedekerował wojakom: Pewno wleziem na te włoskie nóżki, jak mróweczka na Telimenę — od trzewika. Faktycznie to nic szczególnego nie przyuważaray w tem Apulijskiem trzewiku:

kamienie jak cholera i owce na nich. Znowu, znakiem tego, będzie baranina na łoju dwa razy dziennie i nie było co pyrgać ileś tam kilometrów.

Ale wolnego... Doczekamy się np. miejsca postoju w takim Sorrento. Bo to już niedaleko, zaraz nad kostką tej włoskiej nogi. Co to zawsze w gramofonach się darli: „Wróć do Sorrenty i wróć...” On jej to i sio, a ona nic, tylko żeby do tej Sorrenty wracać.

O co się rozchodzi, paniusiu szanowna? On nie wróci, bo dał dęba ze swoją luftwafą, my na jego miejsce przyszli całym Korpusem.

Z Sorrenty dawać będą przepustki na Capri, wyspa od brzegu 45 minut, ale rzyganie przy przejeździe obowiązkowe. Tam w Marina Grandę mieszkają hrabiowie i we wogóle for oiiicers only, ale po drugiej stronie wyspy jest Marina Piccola, a tam znowuż u Rybaka Giovanniego przespać się można. 1° jest od afrykańskiej strony, to czasem nalatuje sirocco — taki makaroniarski hamsin w tym zimniejszym kraju raj iracki przypominając.

Włochy jest naród muzykalny, nie można powiedzieć, i każdy jeden z katarynko i z morsko świnko chodzi i rozpoznanie na zakochane kuchty robi.

Tak, śpiewający, pojedziemy dalej, Wezuwiusz nam będzie pichcić, on też, stary dziad, rad jest, że ocalał, bo go amerykańscy lotnicy bombami skutecznie kombinowali.

W Neapolu to się wszyscy zapiszemy na członków Towarzystwa Archeologicznego.

Jest tam przy muzeum taka Camera Pornographica. Taki Pompejań-czyk ze swoją good tnamad' różne sztuki odstawiał, a tu go zasypało, crzy-suszyło i oglądają go po dwóch tysiącach lat. A wpis do towarzystwa* nie droższy od biletu do kina.

Znakiem tego każdy jeden archeologiem zostanie. W tej kamerze przed wojną nadybałem polską parę, odbywającą podróż przedślubną. On jej pokazuje zamazaną płaskorzeźbę, gdzie Pompejczyk sędziego odstawia: wsadza do kozy. To ona pyta: „Gdzie to? Gdzie to?” To ja palcem poprowadziłem po rzeźbie: „O, tu, proszę pani”. Myślałem, że tego faceta nagła krew zaleje.

• Tylko dla oficerów.

Co prawda, sam Czybygdby dostał się do Włoch później niż jego czytelnicy.

Leżałem bowiem sześćdziesiąt kur w szpitalu w Cassasin.

W szpitalu tym dawano' na obiad pół kury gotowanej i na kolację drugie pół kury.

Zamiast bawić się tam w jakieś indywidualizowane diety. Nawet nie protestowaliśmy — po łojowym mięsie baranym, dawanym nam w świątek i piątek na Bliskim Wschodzie. Ale łapiduchom, pytającym, jak długo jest się w szpitalu, przypinało się łątkę, odpowiadając, że tyle to a tyle kur.

Ja tak przeleżałem swoje sześćdziesiąt kur przez Tutenkamoniaka, z którego sobie zakpiłem nad jego grobowcem w Luksorze. Facet ze złotą bródką w walek zwiniętą, wiadomo, był mściwy, całą ekspedycję lorda Carnarvona wytracił, to i na mnie się mścił — już dojeżdżając do Kairu miałem gorączkę i nie chciała ustąpić w żaden sposób.

Gorączka była mała, ale stała. I w ten sposób zdeorientowane łapi-duchy zapakowały mię do szpitala.

Szpital i więzienie — to najmiłsze miejsca, jakie w życiu pamiętam (naturalnie pod warunkiem, że w więzieniu nie dają wycisku, a w szpitalu nie jest się chorym). Bo w obu tych instytucjach odcięty jest od człowieka czas i zmaganie się z jego terminami. Są szachy, jest książka 1 P°legiwanie. I nikt niczego nie wymaga.

Sąsiad na łóżku obok, podporucznik rezerwy, z cywila telegrafista z Baranowicz, książek nie uznawał, hołdował konwersacji: Panie redaktorze, a czy pan był w Zaostrowieczu?

Nudzi jak cholera!...

— Nie jestem żadnym redaktorem — obcinam i staram się wrócić do gazety.

Podporucznik zacukał się; zrozumiał, że uczył się mnie zbyt niskim stopniem.

— Przepraszam, panie re... panie mistrzu. Kapitalny facet!...

— Mistrzem to już przestałem być od pół roku — mówię srogo. — Pan porucznik nie

czytuje rozkazów do Korpusu: inaczej by wiedział że z mistrza otrzymałem awans na wieszcza.

— Przepraszam, panie re..., panie mi..., to jest... panie wieszczu.

- Ucieszony, wróciłem do lektury, ale podporucznik żuł w sobie wiadomość o nie znanym mu stopniu służbowym i wreszcie, nie mogąc pokonać rozpierającej go ciekawości, spytał:

—! Przepraszam najmocniej, panie re..., panie mi... to jest — panie wieszczu. A czy pan wieszcz może jeszcze awansować?

— Tak, mogę, na wieszcza narodowego. Ale po to trzeba być najmniej dwa lata w stażu wieszcza.

Tu kapitan, leżący po drugiej stronie sali, huknął:

— Panie poruczniku, ale wieszcz Wańkowicz jest tylko wieszczem p.o. To znaczy jest wieszczem czasu wojny, nie zaś wieszczem służby stałej.

Interesującą dyskusję przerwało wejście prześlicznej młodej siostry, do której wzdychał cały szpital. Siostrzyczka przysłała postawić bańki staremu majorowi. Cały szpital z nabożeństwem obserwował jej lekkie ruchy, jej zręczne rączki, które po zdjęciu baniek robiły lekki masaż. Major czuł się bohaterem chwili i rozkosznie posapywał.

Teraz nastąpił obchód sali przez lekarza. Był to młody lekarz, pełen zachwyty dla literatury, niemożliwie szantażowany z tego powodu przez wieszcza czasu wojny.

— Panie doktorze, kha... kha..., oj, jaki mam ciężar na piersiach. Doktor zalterował się. Najwidoczniej Tut-ench-Amon przeszedł z pozycji biernych na czynne.

— Może by tak bańki? — zasugerowałem.

— A, dobrze, przyślę panu siostrę wieczorem.

Sala obserwowała tę rozmowę jadownicę. Wszyscy rozumieeli, o co chodzi.

Wieczorem — wkroczyła siostra, zwana przez jednych „żandarmem”. przez innych po prostu „mopsem”.

— Komu bańki?

•— To panu porucznikowi — powiedziałem pospiesznie.

— Ależ ja wcale żadnych banków nie prosił — mój telegrafista zaciągał kołdrę pod brodę.

240

ferpliwość sali wyczerpała się. Jednym głosem huczała, że te bańki wieszcza.

Mops zajrzał w skierowanie: tak jest, moje nazwisko stało

jak wół. Bez żadnych ceregieli zdarła ze mnie koszulę, wrzepiła dwanaście krutnych baniek, siedziała czekając, aż dobrze naciągną. Potem paskudny bsztyl pozrywał raz... dwa... trzy... — dwanaście, ani pomyślał o żadnym masażu i odmaszerował.

Na sali uciecha była nieludzka.

Wtedy zgniewałem się na szpital i zameldowałem, że jestem zdrów. Kiedy tylko znalazłem się... na „Batorym”, który wiózł różnych zapóźnio-nych do Włoch, kiedy tylko znaleźliśmy się na morzu — gorączkę jak ręką odjął. Odczepiłem się od Tut-ench-Amona.

Trzebaż, że razem jechał i ów doktorek, którego terroryzowałem. Przyszedł do niego jakiś podpułkownik ze strapioną miną. Okazało się, że przed odjazdem z Port Saidu kupił w aptece laxatit, a potem na przystani jakiś arabski przekupień wrzepił mu słoik z pigułkami rzekomo uformowanymi z roztartej muchy hiszpańskiej plus jochimbina plus zioła jakiegoś derwisza. Wszystko to miało znakomicie wzmacniać zdolności męskie, co wobec perspektyw na signoriny, o których dochodziły już do nas legendy, nie było bez znaczenia.

Nie dziwię się wcale prostodusznemu podpułkownikowi, który gdzieś z prowincjonalnego garnizonu trafił w nastąpiła przez tysiące lat skomplikowaną kulturę Wschodu, że dał sobie zawrócić głowę. Byłem więcej od niego oblatany po świecie, a przecież w ruinach Luksoru jakiś derwisz przekonał mię, że na całej

życie zrobi mnie nieczułym na ukąszenie żmij i skorpionów.

Kiedyśmy z zażądanej przez niego sumy stu funtów zeszli i ugodzili się na trzy funty, znalazł w ruinach skorpiona, posadził mi go na rękę; przyjemne zwierzątko, podczas kiedy mruczał zakłęcia, manewrowało mi nad ręką trującym haczykiem ogona, miarkując, widać, jak najlepiej i wkąsić". Próbę jednak wytrzymałem dziarsko i jestem już na skorpiony unieczulony. Następnie derwisz pociągnął nosem, powiedział, że czuje żmiję, po chwili wyciągnął ją spod gładów i chciał owinać dokoła mojej głowy. Żmijsko rozszyczało się i z pyszczką jej szybko latał języczek — jak czółenka w maszynie do szycia.

Załamam się, prasnąłem płazem o ziemię, no, ale trzy funty honorowo wypłaciłem.

Biedny podpułkownik miał kłopot: obie flaszeczki wyglądały tak samo.

Nasz doktor bezradnie je obracał. Poradziłem, aby z jednej z nich dać pigułkę kundlowi okrętowemu i zaobserwować, jaką stroną pocznie reagować.

Włochy okazały się dla „płeci” miejscem katastrofy. Był telegraf z Baranowicz miał tu za puszkę konserw w miastach wielkich, odcięty od dowozu żywności — dziewczyny długonogie, jaspisookie, że zapożycz się u Broniewskiego, a na dodatek — same hrabiny. Mogę z dumą wiedzieć, że nikt tak nie wykorzystał tego dobra bożego, jak Polacy Cóż bo za oferta przy płci pięknej był najznamienitszy lord w porównaniu z naszym Jasiem!... Już kiedy pierwsi Polacy pojawili się w Anglii tameczna ludność żeńska zgorzała na to całowanie rączek, na to zmiatanie pióropuszem, na to ścieranie pyłu spod stopek. Anglicy, przyjeżdżający na urlop, kaleczyli język udając Polaków, ale co tam mogło pomóc tym niedojdom. Przy tym mieli na sprawy sercowe zapatrywania dziwnie utemperowane. Opowiadał mi jeden oficer, cieszący się względami pewnej mężatki, że jej mąż zaprosił go na jednego[^] i przy okazji wręczył mu zawiniątko... z piżamą, którą zapomniał polski wojak. Po czym wypili po drugim głębszym z wielkim rozrzewnieniem.

Kiedy przyjechałem do Anglii, zatrzymałem się w Dover. Znajomy mój wrócił z rozprawy sądowej. Wytoczył ją Anglik Polakowi, którego przyłapał w sypialni. Polak ratował się skokiem przez okno i spadł na dach 'Oranżerii. Anglik skarżył o ponowne oszklenie, co w warunkach wojennych było uciążliwszą stratą niż utrata małżeńskiej wierności.

Tak więc we Włoszech lądował królewski szczerp piastowy silny, zwarty, gotowy, który na rodzime krótkonogie, szerokobiodre, obfite „pestki” patrzeć nie chciał.

Bidule mściły się, jak mogły. Sam widziałem, jak grupka żołnierzy czatowała na auto-stop. Jechała dziewczynka z kobiecej kompanii transportowej puściutką ciężarówką. Wychyliła się i krzyknęła urągliwie:

— Niech was Włoszki na rzęsach przewiożą!

Widać tak się gorzko odbiły zachwyty nad rzęsami Włoszek.

Byli nawet frajerzy, którzy pakowali się w związki małżeńskie z Włoszkami — nie bez przykrych niespodzianek. Czasem podpici koledzy ściskali wylewnie żonkosiołów: „Teraz będziemy szwagarami”-Okazywało się, że w jakiejś małej mieścinie małżonka” była powszechnie znana i cały garnizon imiał się za szwagrów.

Z kolei Włoszki miały rozczarowania. Bo każdy jeden adept stanu małżeńskiego był jak nie hrabią, to w każdym razie właścicielem dóbr, przy czym chętnie pokazywał pałac przodków. Zdarzyło się, że dwie Włoszki były zdumione, że pałace ich narzeczonych są takie podobne. Nic dziwnego — w obu wypadkach były to fotografie Belwederu. Kiedy więc rodaczki zostały sromotnie opuszczone, na uwolnione pozycje poczęli się wkradać Anglicy. Dwumetrowy blondas, podpułkownik Griffith-Jones, łącznik brytyjski przy Korpusie, zaręczył się z Krysią Broniatowską, małą, żywą jak skra czarnulką.

Kryśka zaprosiła mnie, abym ją prowadził do ołtarza. Przedtem należało załatwić pewne formalności. Pojechałem autem Griffith-Jonesa z żoną i z młodymi do odpowiedniego urzędu. Griffith-Jones został przy aucie, bo we Włoszech kradziono

auta nagminnie.

Ksiądz, który załatwiał formalności, coraz to stawiał pytania, na które mógł odpowiedzieć tylko pan młody. Dyrdąłem po niego raz po raz z drugiego piętra, raz po raz cybaty Jones sadził w te i we wte cztery piętra.

Ksiądz, który wyszedł z kacetu, zapewne nie był całkiem w porządku z władzami umysłowymi. Najprzód nie chciał uwierzyć, że Krysia, którą znaleźliśmy lata przed wojną, nie jest mężatką, bo nie byliśmy z nią w Rosji, a tam „mogło się coś takiego zdarzyć i nawet sama panna młoda nie pamięta”.

Potem zażądał danych, kiedy był bierzmowany Griffith-Jones (który był katolikiem).

Zdecydowałem się nie lecieć po niego i mężnie poinformowałem:

— 27 lipca 1936 roku.

Obie panie spojrzały na mnie ze zdziwieniem.

— A gdzie?

— W hrabstwie Yorkshire.

Ksiądz zapisał i było po krzyku. Spojrzałem triumfująco na kobiety, kiedy nagle zauważyłem, że ksiądz zapala świece i stawia krzyż. To zna-CZY — stwierdzić zeznania przysięgą. Przyznać się do kłamstwa — to obalić szczęście młodej pary (bo przecie na to, że nie byłem w Rosji 1 nie obserwowałem w niej dziejów panny młodej, nie pomogłoby i sprowadzenie Jonesa na górę).

Przypomniała mi się pewna wycieczka prasowa na Wołyń. Odwiedzi-ismy Poczajów — klasztor prawosławny z obrazem cudami słynącym.

a nasze przyjęcie zdecydowano się odsłonić ikonę. Podchodziliśmy do lei szeregiem między szpalerem czarnych mnichów. Jako prowadzący wycieczkę szedłem pierwszy.. Pomyślałem, że kanony katolickie nie różnią się od prawosławnych, że cudowne obrazy na pograniczu dwu zasięgów kulturalnych strony wzajemnie uznają, że należy okazywać cześć symbolom mniejszości narodowych, niezbyt wygodnie się czujących w ramach państwa. Więc zrobiłem znak krzyża i dotknąłem ustami lewego dolnego rogu ikony.

Wszyscy mnie naśladowali.

Ostatni dostał się w matnię mały drobny Singer (Regnis) — współpracownik pism żargonowych, autor książki „Moje Nalewki”.

Zobaczyłem, jak miota się między dwiema ścianami czarnych ogromnych mnichów. Posuwał się coraz bliżej ku ikonie, nie było już wyjścia. Pomachał więc coś po piersi, co miało naśladować żegnanie się, i ucałował ikonę.

Z tym samym uczuciem determinacji podniosłem dwa palce i uratowałem szczęście młodej pary.

Żona jednak była przygnębiona jawnym krzywoprzysięstwem. Toteż można sobie wyobrazić, jak odetchnęła, kiedy Jones, spytany w drodze powrotnej, czy bierzmował się i gdzie, odpowiedział, że owszem, bierzmował się i... w Yorkshire.

— Skąd panu przyszło do głowy to hrabstwo?

— Mieliśmy świnię tej rasy, nic innego na razie nie mogłem wymyślić.

Starsze panie napominały:

— Tylko niech pan pamięta, nie śpieszyć prowadząc młodą do ołtarza; bo zawsze lecą jak po ogień, a to przecież bardzo solenna uroczystość.

Po tej uroczystości wyrażały swoje zadowolenie:

— Świetnie to wyszło. Starszy siwy pan i ona, filigranowa brunetka... tak dostojnieście szli.

— A bo ja, proszę pań — odpowiedziałem żywo, pochlebiony uwagami — w duchu sobie nuciłem: ram... tam... tatam... trara... rarara-ra ram ta ta tam... I dzięki temu trzymałem wolne tempo.

— Ależ to marsz żałobny/Chopina!

Odznaka broni, panie generale.

Jakiej?

Kaczka dziennikarska.

Biedne „pesteczki"! Ileż wówczas nalykać się musiały nieprzyjem-ości! Gorszono się, że nad ranem widzi się je ostatecznie wyemablowane. Nawet pismo „W Imię Boże" wystąpiło z artykułem gromiącym.

Bvlo to uogólnienie krzywdzące dla ogółu, toteż domagano się od „Ochotniczki", aby zaprotestowała.

Siedząc w kasynie oficerskim przy jednym końcu długiego stołu, zauważyłem, że siedząca na drugim końcu kapitan Naglerowa, redaktorka „Ochotniczki", strzyże uchem na te rozmowy.

— Naglerowa nie może wystąpić z protestem — informowałem, udając, że jej nie widzę.

— Dlaczego?

— „Imię Boże" ma ją w ręku...

Sześćdziesięcioletnia Minia Naglerowa, widziałem, że zmienia się w słuch.

— Bo mają jej fotografię jeszcze z Rosji, z Kirgizem w stogu siana...

— Ja wypraszam sobie twoje wieczne głupie żarty!... — porwała się Minia.

— Ale i ja mam ciebie w ręku.

Tak się zdarzyło, że tegoż dnia rano zapukałem do pokoju Naglerowej; nikt nie odpowiadał, więc wszedłem; pokój był pusty, tylko na poręczy krzesła wisiała przygotowana dzienna koszulka różowa w błękitne kwiatki.

— Chcesz dowodu? Proszę, niech panie sprawdzą, że ma różową koszulkę w błękitne kwiatki.

Minia obrażała się straszliwie, ale nie na długo. Kiedy wyszła jej książka „Ludzie sponiewierani", przyniosła mi egzemplarz.

— Czy to o twoich czytelnikach, Miniu?

Wobec tego dała mi dedykację, w której stało o „niewyparzonej gębie".

Na przyjęciu po ślubie też ojcowiałem godnie w swoim mundurze, gdzie nad dekoracjami powiesiłem na podwójnym łańcuszku bardzo roz-wrzeszczaną kaczkę znoszącą jajko.

Generał Anders, który przybył na przyjęcie, spytał:

— Zdaje się, że znam wszystkie odznaki polskie i angielskie... Cóż to więc za znak?

Tak czy owak, kiedy wojna skończyła się, włoskie „hrabiny" przestały być łase na Polaków, a ci znowu zaczęli myśleć o przyszłości. Należało się przeprosić z Polkami. '

Wracając do hotelu, zastawaliśmy raz po raz na łóżku żony rozpostarty welon. To kolejna kandydatka, której żona matkowała, miała przyjść Przebierać się do ślubu.

W rok potem, kiedyśmy się znaleźli w Londynie, poszła druga seria zaproszeń — na rodziców chrzestnych.

Ale wówczas zwała się nam na głowę fura kłopotów.

Mój status w wojsku był zabawny. Ponieważ Ministerstwo Wojny w rządzie emigracyjnym nie chciało zatwierdzić mego statusu korespondenta i ponieważ wiek i stan zdrowia nie kwaufikował mnie do służby woskowej, więc, abym mógł się znajdować przy wojsku, wykombinowano mi status urzędnika wojskowego na cywilnym kontrakcie. Taki urzędnik miał prawo do munduru z szarżą „zimnego majora", to znaczy dystynkcją na patkach kołnierza, gdzie pod podwójną beleczką tkwiła gwiazdka, podczas gdy u regularnego majora tkwiła nad. Nie chciałem być majorem do góry nogami, chodziłem bez odznak, wojsko mnie znało. Ten status wolontariusza przysługiwał już Zagłobie.

Wszystko było dobrze, aż skończyła się wojna i Korpus przetransportowano na zdemobilizowanie do Anglii. Cywil, aby móc się dostać na wyspę, musiał mieć landing permit (pozwolenie na lądowanie). Wojsko lądowało w zwartych oddziałach. Z jakimś oddziałem wylądowałem i ja, ale potem zaraz okazało się, że nie jestem wojskowym, że przybyłem nielegalnie. A nielegalnie żyć było trudno, bo wszystko się otrzymywało na punkty żywnościowe, bez których żaden sklep nie sprzedał kromki chleba i żadna restauracja nie dała obiadu.

Nadto żona moja, przybywszy po powstaniu do Rzymu, została zweryfikowana jako podporucznik AK, a teraz, po prostu, zdezerterowała z mego poduszczenia, kazano jej bowiem tkwić w stanie skoszarowanym w tak zwanej „beczce śmiechu” (półokrągłe baraki kryte blachą falistą); owszem, dawano przegródki parom małżeńskim wojskowym, ale ja nie byłem wojskowym. Kim byłem? Właściwie nikim, bo i nie cywilem, cywil miał landing permit.

Moje boje toczyły się o:

1. wyrwanie żony z wojska,
2. otrzymanie punktów żywnościowych dla obojga.

Adolf Czybygdyby napisał więc dwa felietony: Oddaj Żonę !...

Nieraz w tej wojnie się zdarzało, że kapralowi-mężowi wyrósł nad głową podporucznik-żona. Mnie to przyskrzybło wprawdzie pod koniec wojny, ale tego przyskrzybło. Pani podporucznik wprawdzie nie miała wielkiego zadęcia wojskowego, uroczo uważając kapitanów za wyższych o jedną gwiazdkę od podpułkowników (na próżno na egzaminie w AK namalowała na każdym kolejno paznokciu coraz wyższą rangę), natomiast trzymała wielki fason krajowy i akacki. Nawet w ciszy małżeńskiej alkowy ja byłem „wy — na emigracji” (panie zecerze, to trzeba złożyć najdrobniejszym nonparelem), natomiast ona była „My — Z Kraju”. Kiedy w Anglii wyleciałem z wojska natychmiast po wylądowaniu, pocieszałem się jak ów, co stracił nogę pod tramwajem: że mógłbym stracić obie nogi, tzn. na domiar być przygotowywany do życia zawodowego przez zawodowych oficerów'. A nadto, że zamelduję się jako rodzina wojskowa i spłynie na mnie deszcz kasz, ryżów, konserw i upragnione jedno jajko ~na osobę tygodniowo.

Obrałem sobie w naszym pokoiku londyńskim nie krępujący żony-wojaka kącik, w którym mógłbym cerować pończochy. To jednak będzie obrazek pełen ciepła rodzinnego: widziałem już, jak się drapie po schodach, niosąc naręcz fasunku, jak jej zdejmuję płaszcz, a ciepłą herbatę już przygotowałem, a na stoliku czysto nakrytym postawiłem kwiatki...

Tymczasem wojak przyszedł bez whisky i bez mydła do prania, bez papierosów i bez czekolady, ale z nakazem — niezwłocznego udania się do beczki śmiechu. Zmiękł, scywilniał i, po dawnemu: „idź... ratuj!”

W rozmowie z panią komendantką, rozpoczętej od propozycji najcyniczniej-szych (czyby żona nie mogła otrzymywać przydziału żywnościowego bez siedzenia w beczce śmiechu), zjeżdżałem na coraz żałośniejsze pozycje: kolejno zrzekałem się papierosów, potem whisky, potem poborów, aż wreszcie doszedłem do kompletnej kapitulacji: niech mi oddadzą żonę taką, jaką wzięli — bez ostróg i pióropuszy, bez NAAFI". Już ją sam utrzymam.

— To już niemożliwe, bo nie ma demobilizacji. Zatknęło mnie.

— Żołnierze, a żona pańska jest żołnierzem, drogi panie — przeciagnęła z naciskiem — muszą być skoszarowani.

Cywilny mąż, przydzielony do wojskowej żony, poczułem w sobie zryw desperacji rezerwistki, której małżonek wędruje „na wojenkę daleką”.

Jak to? Zabierają mi żonę? Kobieta ponad e... siatkę ma maszerować, wybijać krok, ganiać w tyralierze, skakać przez kobyłę, stać na wartach, układać ubranie w kostkę, kiedy mi się ostatnia para skarpetek rozłazi? Niewolnictwo w wieku dwudziestym?...

— Pani komendantko — uprościłem socjologiczne rozważania w zwięzłym ultimatum — ja zaraz każę pani porucznikowi zbierać puste butelki po mleku...

W tym miejscu przypomniałem, że nie mam kart żywnościowych, że nie mam mleka. Nauczyłem się jednak przy wojsku, że należy maskować braki w sprzęcie wojskowym, więc brnę dalej:

— Każę zbierać puste butelki, a kiedy po żonę-dezertera przyjdzie żand meria, pocznę grać po schodach z góry na dół.

Efekt był nieoczekiwany. Pani komendantka okazała się jeszcze być kobiet w stanie szcątkowym. Przypomniała sobie te dobre czasy, kiedy, zamiast młynkować kolbą karabinu ćwicząc rozbijanie wrażeń czaszek, szło się h kina, aby się

wzruszać, jak „się kQChają ten mój Mozzuchin z tą Mija Mają” Spojrzała z głębokim współczuciem na mężczyznę, gotowego w obronie uko chanej poświęcić kaucje za butelki, znalazła radę w głębi współczującego serca-

— Jeśli żona ma zaawansowaną gruźlicę...

— Nawet nie zaczęła jeszcze — szepnąłem zgnębiony.

— Albo chociaż początkowe obłąkanie...

— Jeszcze zbyt krótko w wojsku — czułem, że usuwa się ostatnia deska ratunku.

— To w takim razie — zaawansowaną ciążę. Poleciałem do żony uskrzydłony nadzieją.

— Pamiętasz — powiedziała — krakowiaka, którego śpiewałam dzieciom: „usiadł sobie wróbel, hej, na telegrafie, krowa krowie mówi: — ja tak nie potrafię — oj, dana!...”

Spotkałem go na Piccadilly. Biegł z rozwianym włosom. Joe Smith? Angielski oficer łącznikowy, szczyt flegmy, który śpiąc w schronie w czasie silnego obkładania, budził się na chwilę, otwierał jedno okno, stwierdzał hard lighting' i słodko zasypiał.

Teraz flegmatyczny Joe kłął iście po polsku:

— Psza kreff... You know... Marysza jest oficer.

— Znam ten ból — powiedziałem wzdymając się od wewnętrznej uciechy — pamiętaj, nieszczęsna rezerwistko, że my, Polacy, nie skończyliśmy wojny.

— Komendantka to samo powiedziała. Ale Marysza jest moja żona, to i ona jest Angielka. Poleciałem do naszych, żeby ją wyzwalali.

— No i co?

— Na Alien Station posłali.

— Znam.

— Na Alien Station bardzo chcieli mi pomóc. Clerk pytał tklivie:

— Czy państwo nie zamierzają mieć dziecka? •— Co to pana obchodzi?! — wrzasnąłem.

— Bo wówczas żona mogłaby wyjść z beczki śmiechu.

— To jest rather niemożliwe.

Clerk jest Anglikiem, więc wie, że lather (raczej) miewa w gruncie rzeczy znaczenie jednoznaczne (adiustując ten artykuł do druku, czytałem, że emerytowany minister kolonii Lennox-Boyd wyprawił się na Wyspy Salomona szukać śladów wuja Benia, którego na tych wyspach przed stuleciem według niektórych doniesień, jak relacjonował Lennox-Boyd w prasie, „włóczyli kanibale do kotła, which was rather a sticky end — raczej marny koniec, p.m.). Clerk więc szuka innego rozwiązania:

— Sir, żona jest oficerem Korpusu Przynsposobienia, który ma trwać dwa lata, może pan przypisać się jako rodzina wojskowego.

Ciężka walka.

Joe jest z Horse Guards, jego ojciec jako prymus wjeżdżał przy promocji na specjalnie tresowanym pony na schody w szkole kawalerii w Sandhurst; jego dziadek jest mafekingiem, tzn. weteranem z wojny boerskiej; jego pradziadek w 1857 r. mało nie utłukli własni żołnierze hinduscy, podejrzewając, że dostarczony smar, którym im kazał czyścić rzemienie, jest z tłuszczu świętej krowy; jego prapradziadek w czasie rewolucji amerykańskiej przesiedział w czerwonym mundurze Royal Iniantry czterdzieści jeden godzin na drzewie, pod którym przelatywali rozwścieczeni zbuntowani farmerzy. Joe potrafił tak opowiadać aż do inwazji normandzkiej.

Nie doszedł jednak nawet do dziadka, kiedy clerk skombinował, że wkleić \ Smitha do Polskiego Korpusu Przynsposobienia też byłoby rather. Ale jest tępogłowy jak wszyscy clerkowie, więc ożywia się genialnym, według niego, pomysłem:

— Sir, a czy nie zechciałby pan emigrować? Bo to również mamy przewidziane dla rodzin wojskowych Polaków. Ach, nie? No to już tylko mogę poradzić zwrócić się do Immigration Oiiice.

Dalszy ciąg na nagrobku.

To się stało wreszcie po pięciu tygodniach uganiania po ponurym drewniaku na Egerton Street, Zadanie, i jakim oblatywałem zakutanych w płaszcze oficerów sztabowych (ci do kapitana włącznie morzyli się w beczkach śmiechu), przerastało możliwości zgrupowanych efektywów.

Pyrgałem ze zdwojoną szybkością między egertonowym drewniakiem a Biurem Wojskowym z tamtej strony Hyde Parku, co dzień musiałem mijać tort upchany śliwkami — Albert Monument, i to wszystko po to, aby się dowiadywać, że bez wyklarowanego statusu nie ma kart.

— Ale czyż człowiek ma prawo żyć w Anglii bez kart żywnościowych?

— Bez landing permit pan się w ogóle nie narodził w Anglii jako człowiek. Panu się zdaje w ogóle tylko, że pan żyje. Pan jest projektem, by tak rzec, na człowieka w Anglii, embrionem, jak się to mówi, w łonie matki, który szuka swej drogi wyjścia.

— Nic takiego nie szukam — obraziłem się i poleciałem mimo śliwkowego tortu z powrotem do drewniaka.

— Niech pan znajdzie oddział, z którym pan lądował — poradził mi ktoś na korytarzu.

Ciekawa rzecz: zawsze ktoś na korytarzu znajdzie radę, której kompetentny referent nie da. Mój korytarzowy referent (korreferent) rozwijał całkiem logicznie, że muszę wrócić w poszukiwaniu swego istnienia do miejsca, w którym się począłem.

Rozpisałem listy do różnych instancji w Dover — miejscu swego lądowania — z wynikiem rather smutnym: okazało się, że w spisach transportu nie ma mnie. Nie ma, nie było i koniec. Dotąd byłem nieprawego angielskiego pochodzenia tylko z ojca-transportu; teraz okazało się, że i moja matka-ewidencja nie jest znana. Ciotka-komenda transportowa przez omyłkę czy z litości mnie porodziła, a to nie jest przez prawo przewidziane.

I wówczas, a był to właśnie ów piąty tydzień skrzywienia po drewniaku i bez uszanowania wpadania w ciemnościach głową w dostojne brzuchy najszacowniejszych generałów — wówczas pewien referent podał mi z triumf świstek, na którym stało to whom it may concern (do wszystkich, którzy to wiedzieć powinni), że wylądowałem wprawdzie jako wojskowy 3 stycznia ale zostałem skreślony z ewidencji jako nieprawidłowo zaliczony (a więc •' zwolniony do cywila) w dniu 30 stycznia.

— Pan pułkownik wydał ten papierek tylko dla pana — powiedział surowo w uwzględnieniu bezhagannych zasług.

Wprawdzie zasługa ta nie była bezhaganna — tom trzeci „Bitwy pod Mont Cassino” leżał na składach czwarty miesiąc, przykonfiskowany za krytyk dowodzenia, ale zrozumiałem, że winy moje poszły w niepamięć i radość rai wzdęła:

— No, to już otrzymam karty żywnościowe!...

Referent, widząc rozbuchaną radość, zaniepokoił się o szok, któremu mogę ulec, i ostrożnie począł mnie przygotowywać:

— Z tym pan pójdzie do policji na Piccadilly... — zawiesił głos, pokiwał nade mną smętnym długim nosem — ale wątpię, czy oni panu załatwią...

— To co wówczas zrobić?

— Niech pan znów przyjdzie do nas.

— No to już jestem.

Smutny nos spojrział na mnie z łagodnym wyrzutem. Tak patrzy bona na ławce w parku, kiedy bąk dostał już cukierka i napiera się następnego. Ten boni wzrok zdaje się poprzez zawodową angielskość mówić: „Posklam-rzyj no jeno aby trochę jeszcze, robaczku... jak chwycę za kijaka...”

Zamknąłem pospiesznie drzwi z drugiej strony panareferentowej i wpadłem na korytarzu na korreferenta:

— Panie, nic prostszego, już ja Anglików znam. Easy going — wie pan? Frontem do człowieka. Przecież jasne: to whom it may concern. Stukną pieczętkę i żryj pan, ile chcesz. Nawet frykasy. Daktyle za dwa punkty... O, daj pan kawałek papieru —

wyjął ołówek — tak się idzie...

Pobiegliśmy z żoną, która chciała mnie ujrzyć w radosnej chwili przyjscia na świat. Przy wsiadaniu do podziemnej kolejki życzliwy przechodzień krzyknął, że to me ta, cofnąłem się, ale żona już pojechała, zostawiwszy portmonetkę u mnie. — Nic to — uspokoił życzliwy przechodzień — kiedy raz wsiadła, to, byle nie wyszła na powierzchnię, może krążyć bez ponownej zapłaty i nawet przesiadać się, ile chce.

Bardzo to dobre urządzenie w tych urządzeniach angielskich. Nie stoi się, lecz siedzi w kolejce i co rusz to ogonek się przesiada. Przypomina mi to zabawę w „indyczkę”.

Po małej godzinie, przy kolejnym wrzaśnięciu: — Next!... — najbliższa sąsiadka zmiłosierdziła się:

— To na pana.

Uprzejmy clerk rzucił okiem na pieczęcie wojskowe i oddał mię w ręce dostojnego woźnego, który mię zaprowadził do sąsiedniej komnaty i usadził do nowej „indyczki”.

Po małej godzinie dobrnąłem do następnego derka.

— Przecież pan jest cywilem — zaopiniował nadzwyczaj uprzejmy nowy clerk i wrzasnął: — Back!...

Imponuje mi ten stop demokratycznej grzeczności z totalitarną stanowczością W Jeruzolimie otrzymałem urgens, w którym pisało, że jeżeli się nie stawię, zostanę doprowadzony siłą. Urgens był podpisany: Your obedient servant — „pański posłuszny sługa”.

Nafaszerowałem sobą dawną „indyczkę”. Słońce poczęło chylić się ku zachodowi (czy też moja wciąż krąży w podziemnych labiryntach), kiedy dobrnąłem do dawnego derka.

— Ach, to pan i wojskowy nie jest?

Okazało się, że muszę iść do Immigration Oiiice.

Z pewnym wahaniem stanąłem przed ogromnym Ibex House, w którym mieści się Urząd Emigracyjny, ale ujrzawszy wewnątrz tradycyjną „indyczkę”, uspokoiłem się i zasiadłem.

Kiedy się okazałem „nextem”, uprzejmy clerk odesłał mię z powrotem do policji, bo skoro nie mam wizy, to jestem wojskowy, skoro jestem wojskowy, to figuruję w spisie wojskowym i nie mam landing, a skoro nie mam lan-ding, to czego mogę szukać w Immigration Oiiice?

— Panie — jęknąłem — ja tam byłem... Niech pan da kartkę, że pan nie może załatwić.

— My, Anglicy — powiedział nieoczekiwanie po polsku urzędnik — potrzebujemy wierzyć dla człowieka. To się nazywa demokracja.

— Zobacz pan, że znów tu wrócę — powiedziałem bynajmniej nie pokrzepiony tą lekcją demokracji.

— You will be welcome — będzie pan mile powitany. i

— O!... — ucieszył się następnego dnia clerk w policyjnym urzędzie na Piccadilly, kiedy, wysiedziawszy się w kolejnej „indyczce”, stanąłem przed nim dostatecznie naindyczony. Już mnie począł uważać za starego klienta.

— Ma pan — szybko zapisał skrawek papieru — pójdzie pan do Immigration Oiiice.

— Stamtąd odesłali mnie do was. Patrzył na mnie bezradnie: ten grubas nie chce się toczyć żadną z przewidzianych dróg, żadnym z określonych przez regulations kanałów.

— Wie pan — przyszedłem mu z pomocą — jest w Ameryce taki wynalazek, nazywa się telefon. Pewno go już macie. Zadzwoń pan do Immigration.

— On, veiy good idea, indeed! — spojrział na mnie z zachwytem.

Zadzwoił. Radzili długo. W wyniku czego, promieniejąc zadowoleniem, skierował mnie do H. M. Inspector. Marinę Pier. Dover. Sprawa już stała się całkiem prosta: mała wycieczka do Dover. Tam inspektorowi opowiem wszystko jak ojcu, kropnie mi pieczętkę z datą wylądowania cywilnego, zamelduję się na skrzydłach

już jako cywil do „indyczi” na Piccad i frygaj, bracie, daktyle za dwa punkty. Inspektor jednak nie szedł na żadne tao psychoanalizy, miał przed sobą dokument: jakiś podoficer wpisał mnie jako... majora, nie przyważywszy, że gwiazdkę miałem pod dwoma paskami, a nie nad. A właściwie nie miałem prawa mieć ani pod, ani nad, bo umowa kontraktowa ze mną jako urzędnikiem wojskowym była zawarta tylko na pobyt we Włoszech. Ponieważ okręt, biorący transporty, stał na ziemi włoskiej, więc wkraczać nań miałem pełne prawo w gali moich dwu pasków (byle z gwiazdką pod). Ale z chwilą, kiedy okręt opuszczał włoskie wody terytorialne, powinienem był zderżyć moje paski moją gwiazdkę i w ogóle hulnąć do wody. Tak by niewątpliwie zrobił każdy mający poczucie legalności i regulations wyssane z mlekiem matki po mafekingu dziadku.

— Co mam robić? — pytałem zbielełymi wargi.

H. M. Inspektor pozuł bezgłośnie wargami. W ten sposób na użytek wewnętrzny skonsumował uwagę, że oto taki jest los, gdy się kto nie trzyma regulamina. Co zżuwszy, puścił głos na antenę głosową, z czego wyszło:

— Musi się pan począć odmajarzać. Najprzód na Egerton. Potem w Alieh Station. Potem w Immigration Office. Potem w War Oifice (za tortem śliwkowym przy Hyde Parku). Potem w Police Oilice (wiem, wiem — na Piccadilly Circus), potem w Food Oiiiice (to tutaj już daktyle...)

— Jak długo to potrwa?

— Jak pan nie będzie trafiał na grypy referentów, to dwa do trzech miesięcy.

Tymczasem trzymam się na wielorybim mięsie - jedynym bezkarkowym produkcie. Ale już długo chyba się nie utrzymam...

Dalszy ciąg każę dla wiadomości ciekawych Czytelników wyryć za dwa czy trzy miesiące na nagrobku. Niech, uroniwszy łezkę, złożą na nim, obyczajem z „Dziadów”, garstkę daktyli za na próżno marzone dwa punkty.

Zielone ptaszki.

Przyjechawszy do Iraku, zastałem redaktora Rubla półnagiego, w szortach, które piętrzyły się na wystającym brzuchu i odsłaniały dwa badyle nóg. Potężne elektryczne wiatraki pod przeciwległymi ścianami dmuchały z podłogi na ciekącego potem, stawiając słupy siwych włosów na bokach rozległej łysiny.

— Z nieba pan spadł... Chyba nie odmówi pan poorać w dzienniku? Przecie wojna...

Służba powszechna... Boże, Boże, czego ja tu nie robię... Daj pan te papiery — wyciągnął rękę do podchorążego Witka Domań-skiego i począł latać po pokoju:

— Zobacz pan — pchał mi przed oczy artykuł po artykule. — Not to be published...

Not to be published... Not to be published... Skandal, wie pan, co jest też not to be published? — artykuł, który pan nadesłał o Prusach Wschodnich. Cenzor ma wskazówki, by nie puszczać artykułów o granicach wschodnich, więc skoro zobaczył „Wschodnie” — nie puścił. O polityce nie można, o niepolityce nie można.

Puściłem opis targu na tyłach dzielnicy zakazanej, gdzie w czwartki rodzice z zapadłych kątów przywożą córki na sprzedaż. Diabli nadali, że jakiś szoferak kupił taką dziewczynę za dwadzieścia funtów, przywiózł na kwaterę, tylko skoczył Po papierosy i już związała z całym dziewictwem. Dopieroż wrzask, że pismo niemoralne. A za pański artykulik „Jak faktycznie będziem w zimnem włoskiem kraju”*, znowu gwałt — że zdradza się tajemnice państwowe. Poszaleli ci dwójkarze!... Niemcy z pana artykuliku potrzebują S1ę dowiadywać, że został otwarty front włoski. Chodź pan na obiad, Pogadamy... Co? Że brak jeszcze materiału? — zareagował na cichy jęk Witka. — Panie podchorąży! — zagrzmiał nagle. Rubel, najpocziwszy

olega, najcywilniejsza istota, odkrył, że metody wojackie rozcinają wiele trudności. Odkąd został zaliczony do wojsk pancernych Mączka i i, wany podporucznikiem, były redaktor „ikaca” robił się srogim wo1 kiem, ilekroć go rozebrało lenistwo.

— Panie podchorąży!

— Tak jest...

— Ma być felieton na sto pięćdziesiąt wierszy.

— Nie mam tematu — roztopiał się w upale Domanski.

— Panie podchorąży, dobry dziennikarz ma zawsze temat. Jeździł pan przedwczoraj do Kirkuku? No więc... Napisz pan wrażenia, na przykład „Jeepem przez pustynię”.

— Kiedy tam nic nie ma na drodze. Sam piasek. A jeepami wszyscy jeżdżą. Czym mają jeździć?

— Pan się za wiele pyta. Kiedy ośmioletniego Churchilla oddano do szkoły i zapytał, dlaczego w ablatiwie mówi się o mensa!, bo przecie do stołu nikt się nie zwraca, dyrektor szkoły uprzedził, że jak będzie się za wiele pytał, to you will be beaten and very hard, indeed (otrzymasz rżniętkę, i to dokumentną rżniętkę). Mądry naród, Anglicy. A na dodatek — tu jest wojsko, pan się za wiele mądry.

Począł wciągać koszulę mundurową z czarnym naramiennikiem na lewym ramieniu, wziął trzcinę pod pachę (fason oficerów angielskich) i poderwał jeszcze raz nieszczęsnego Witka:

— Panie podchorąży...

— Tak jest, panie poruczniku...

— Idziemy z korespondentem wojennym na obiad do hotelu oficerskiego, będę tam czekał na felieton.

Zagadaliśmy się o dobrych czasach, kiedy to „lkac” odesłał mi „Na tropach Smętka”, tłumacząc się, że to już po sezonie kajakowym.

Ani spostrzegliśmy się, kiedy się zameldował Witek:

— O, pan podchorąży z felietonem... chwali się... No, sto pięć' dziesiąt wierszy jak ulał, muza pana nie poniosła — zagłębił się w czytanie.

„Jadę, jadę — pisał podchorąży — piasek, gorąco, widzę na telegraficznym drucie trzy zielone ptaszki” •••

— No, widzi pan, wcale dobrze, realistycznie, czytelnik ceni drobne szczegóły dające autentyzm, nie~ koniecznie hiena ma pana pożerać.

Jadę dalej — czytał — piasek, nic nie ma, na słupie siedzi pięć zielonych ptaszków” — panie podchorąży, to kpiny, w całym artykule nic nie ma Poza tymi Ptaszkami-

' ___ no kiedy nic nie było, panie redaktorze.

___ No i co ja teraz zrobię? — szalał Rubel. — Ostatni czas zamykać nUmer, już się nic nie wymyśli.

Chwytał pióro, dopisał: „Dojeżdżamy nareszcie. Nad nami unosi się edem zielonych ptaszków. Takie ptaszki widywał i Nabuchodonozor eżdżąc tym szlakiem. Wieczne nierozeznalne ludzkiego bytu...”

Przekreślił tytuł „Jeepem przez pustynię” i napisał zamasyście — „Zielone ptaszki”,

___ Nie ma innej rady. Będą czytelnicy myśleli przynajmniej, że to jakaś aluzja. Wówczas czytelnik udaje, że rozumie, i nie śmie krytykować. Ciekaw jestem tylko, ile pan podchorąży ma tych zielonych ptaszków w głowie. Ganiaj pan z tym do drukarni — pchał w Domańskiego rękopis — jakbym raz jeszcze na to spojrział, to mnie szlag trafi.

Korpus przeniósł się do Palestyny. W redakcji rozległ się telefon. Sierżant zawodowy podniósł słuchawkę i natychmiast zmienił się w trzask--prask.

— Tak jest, panie poruczniku... Zaraz przekażę, panie poruczniku!... Zwrócił się, zemocjonowany, do Rubla:

— Dzwonił adiutant. Pan redaktor wzywany jest natychmiast do raportu do szefa sztabu.

Nie na odprawę, nie na konferencję, tylko — pęc w pysk!... — do raportu: w pasie, w spinaczach, przy pistolecie, na baczność.

Rzucono się obrządzać Rubla. Zaproszony rotmistrz, znawca etykiety tudzież form wojskowych, pouczał:

— Niech pan redaktor pamięta jedno, na wszystko się odpowiada: i Tak jest, panie pułkowniku”. I, stojąc na baczność, nie trzyma się stóp do środka. I brzuch wciągając — pomiarkował się — no... na ile Się da... I przy wejściu należy trzy

kroki odmierzyć od progu i zameldować się: „Podporucznik Ludwik Rubel melduje się do raportu”. I po skończonym raporcie zrobić w tył zwrot, Na Boga, nie na prawo. I piętę Prawą zatrzymuje się przed przystawieniem do lewej nogi, o, w tej porcji- A potem dopiero ją się przystawia. Potem się odmaszerowuje. Na Boga, nie prawą w przód, "oddano Rubla żmudnym ćwiczeniom.

Drogi redaktorze — radziłem po koleżeńsku, ścisząc głos — pan ma zwyczaj, jak jest zdenerwowany, dłubać w uchu. Niech pan pamięta, ci wojskowi bardzo tego nie lubią.

Pułkownik, przyjmując raport karny w sprawach redakcyjnych od je(j nego z czołowych przedwojennych dziennikarzy, czuł się nieco nie w swoim sosie. Kiedy więc Rubel jak mógł, tak wystukał się w obcasy i wykrzyczał formułkę zameldowania się, szef sztabu począł pokojowo:

— Panie poruczniku, ja tam nie znam się na filozofii...

— Tak jest, panie pułkowniku — wrzasnął z wylaniem Rubel.

— ...ale cóż za burdel z tym narobiliście — sprezentował mu stertę papierów. Był to pokazny tom akt z tytułem: „Zielone ptaszki”, z protokołami badania świadków, życiorysami podejrzanych, ich stanami służbowymi poczynawszy od łona matki, odpisami zeznań, zaświadczeniami protokołami zeznań świadków nieobecnych, przebadanych przez rekwizycję (bo przebywających już w Egipcie, w Anglii i we Włoszech), wreszcie z pismem skierującym według kompetencji z następującą konkluzją:

Oficerowie nasi dwukrotnie przejechali pomieniony szlak, żadnych jednak obiektów wojskowych na nim nie stwierdzili. Zeznania świadków nie dały materiału obciążającego. Wobec czego skierowuje się akta celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności.

Szef Oddz. II Inf. Exp. Inf. Mjr Dypl. (podpis).

Innym razem dwójkarskie „zielone ptaszki” zakończyły się mniej bezboleśnie.

Kwaterna prasowa 2 Korpusu zmieniała jesienią 1944 roku miejsce postoju co kilka dni, nadążając za posuwającym się naprzód wojskiem.

Ucieszyliśmy się, kiedy przyszło nam zatrzymać się w San Giorgio, miłej miejscowości kąpieliskowej nad Adriatykiem. Podczas gdy szef kwatery, dąbroszyczny Wacuchna Sikorski, dunderował swoistym wola-pikiem na porządkujących zajęta willę niewolników włoskich, że closeło non bono, poszliśmy pluchać się w morzu i z wilczymi apetytami wróciliśmy na obiad.

Nie doliczyliśmy się Jaszcz, kinooperatora. Jaszcz był od niedawna z nami.

Londyn przysłał go na filmowanie bitwy o Monte Cassino i pilnie odwoływał do Francji. Jaszcz się martwił, że brak mu zdjęcia pola bitwy z samolotu, i zwlekał z wyjazdem, szukając okazji.

Pod koniec obiadu doszła nas wieść osłupiająca: Jaszcz został aresztowany za szpiegostwo wojskowe.

Rzuciliśmy się do dwójki i ręce nam opadły. Radzono wstrzymać się od interwencji, przedstawiono niezbite dowody: Jaszcz usiłował przeszmyglować SZYfr podając współrzędne polskiego lotniska. Loty bombardujące z Włoch przybierały wówczas wielkie natężenie i nic bardziej zapewne nie mogło Niemców interesować.

Dane co do osoby Jaszcz też były niedwuznaczne: szkoły ukończył w Berlinie, do Polski przyjechał dopiero w 1923 roku, wkraść się do PAT (Polska Agencja Telegraficzna), wszystkie budowy wojskowe w tej agencji urzędowej, nie miały dla niego tajemnic.

Straszne! Kwaterna prasowa była zgnębiona. Tyle się czyta o wszech-obecności piątej kolumny! Takeśmy się irytowali na dwójkarzy, idiotycznie depczących nam po piętach, każących nawet dym z komina łąpać, kiedy się w piecu pali jaki papier. Okazało się, że mają rację, jeżeli w swoim gronie mieliśmy tak niebezpiecznego szpiega, z którym chadzaliśmy na vino rosso i vino bianco, i co inne takie...

Po kilku dniach jednak przyszły refleksje: jeżeli jest winny, no to go już mają,

niech go powieszają, ale póki żyje, to ostatecznie nie wypada zjadać łapanych po polach bezpańskich gęsi, popijać winka, a biedaka zostawiać w natłoczonej, cuchnącej, rozprażonej pauce na ciepłej wodzie i wiecznym corned beefie z puszek. Prawa ręka Wacuchny, młody adwokat warszawski, Ryszard Mossin, został więc wydelegowany nie jako przedstawiciel prawny, broń Boże, tylko jako samarytanin. Miał mu zanieść gęsią nogę, litr wina i zbolałą minę nas wszystkich na temat: „Niech ci Bóg przebaczy, bo my nie możemy”...

Mossin, wysłuchawszy jednym uchem napomnień, poczuwszy szelest procedury, pogalopował jak wyranżerowany Rosynant dragoński, który postyszy trąbkę. Powrócił z widzenia z Jaszczem nabrzmiaty jak Emil Zola w sprawie Dreyfusa, zebrał nas i powiada:

— Wszystko bujda. Jaszcz jest synem polskiego górnika z Nadrenii, to gdzie się miał urodzić? Kończył szkołę niemiecką, bo jaką miał kończy?... Przyjechał do Polski w roku 1923, bo przedtem był nieletni.

— Wszystko to dobrze, ale ten list?

— Ten list? No, cóż ten list... Pamiętacie, jakeśmy się śmieli, kiedy Jaszcz nam zademonstrował to, co nakręcił jako „Bitwę o Monte Cassi-no * — „Bohaterskie furgony dowożą chleb na front”, „Uroczę kantynie zważając na huk dział, nalewają kawę” i różne „przed bo- i „po krwawym boju” z wylegającymi się na trawie żołnierzami.

Sam Jaszcz zgorzał, jak to sobie w całości sprawiedliwie obejrzał, zrozumiał, że musi się w Londynie zaprezentować z czymś więcej. Los mu zdarzył dawnego kolegę kinooperatora z PAT, który wkręcił się jako kinooperator do lotnictwa amerykańskiego. Jedyna droga pokazania czegoś z terenu bitwy, której już nie było, to zdjęcie z samolotu. Dobry kolega obiecał Jaszczowi, że w każdej chwili po niego przyleci, byie wiedział, gdzie jest najbliższe lotnisko, na którym może go podebrać po czym oblecą teren minionej bitwy. Więc Jaszcz go powiadomił.

— Szyfrem?

— Jakim szyfrem? Co dwójka uważa za szyfr, to szereg cyfr po drugiej stronie arkusza. Jaszcz przed odlotem obliczał gotówkę, którą posiada, a poza liram i miał dolary, funty i franki.

— Łatwo to sprawdzić.

Okazało się, że ani skorpiony w Iraku, ani chronicznie nie w porządku closeto non bono nie zwalczyły ducha warszawskiej palestry. Mossin z triumfem wyciągnął skrawek papieru, na którym wynotował wszystkie waluty, wszystkie kursy, według których Jaszcz obliczał swoje kapitały.

Nazajutrz wrócił z dwójki skwaszony. Dwójka orzekła:

— Tak, to tak... Ale jest wojna i pewnie będzie, jak przeczekają ją pod kluczem.

Burza ogarnęła kwaterę prasową. Różnymi naciskami osiągnęliśmy, że nam okazano fatalny list. Mossin skonfrontował go z danymi Jaszcz — pasowało, jak ulał.

Potarmosiliśmy się z tym dalej i wyżej, w obie-że dwójkowe, niedwójkowe. Sprawa była zbyt oczywista, ale dwójka-rzom chodziło o prestiż. Jaszcz w dalszym ciągu ociekał potem i pluskwami. Ale uwiesiliśmy się tego, dwójka zaczęła trzeszczeć pod naszym parciem. Wreszcie zawarliśmy gentlemen's agreement: oto już zbliża się miesiąc, odkąd siedzi w pauce, odbędzie się sprawa, przysądzi mu się miesiąc za lekkomyślność i wypuści się.

Sprawa odbyła się, sąd skazał Jaszcz na miesiąc więzienia. Uznał, że winy szpiegostwa nie było, a ten miesiąc wlepił (bo co miał robić, kiedy go Jaszcz przesiedział) oskarżonemu za nieostrożność w obchodzeniu się z tajemnicami wojskowymi. Sąd jednak uzasadnił niski wymiar kary okolicznością, że list nie dostał się w niepowołane ręce, bo był przy-skrzyniony przez dwójkę.

A potem przyszła wiadomość, że wyrok nie został zatwierdzony, nakazano sprawę wznowić. Parsknęliśmy śmiechem: rychło w czas — Jaszcz ma już bilet lotniczy w kieszeni — niech mu soli na ogon nasypią.

Mossin jednak pojechał zbadać, „co jest na rzeczy”.

na rzeczy, właściwie, nie było nic: zwierzchnik sądowy nic nie miał wko

zwolnieniu Jaszczka, dał tylko nauczkę sędziom, że niewłaściwie zredagowali motywację: „list nie dostał się w niepowołane ręce”. Przed dwójką mieli go w rękach pocztarzy; czyż to powołane ręce?

Jaszczk więc się nie przejął:

___ To sprawa między kauzypierdami; mnie nie tyczy.

___ Królik też tak mówił, kiedy kastrowano wielbłądy.

___ Masz już wszystkie papiery — więc, nim cię nie przyskrzybną.

___ Bo na próżno będziesz dowodził, żeś nie wielbłąd; wywałaszają i tyle...

Popiliśmy zdrowo, wskutek czego rachunki gotówki Jaszczka przestały pasować, jak ulał, do aktów sprawy, i wyprawiliśmy go z jego funtami, frankami i lirami wojować do Francji.

Sporo wody upłynęło w sforsowanych rzekach Chienti i Metauro; w Neapolu i Rzymie znikły autentyczne hrabiny, które porucznicy — nauczyciele szkół powszechnych mieli za puszkę konserw; autentyczni bohaterowie wnikali w arkana sprowadzania z Egiptu „kasztanów” (złotych funtów); naukowe wycieczki do Neapolu kończyły się po pewnym czasie zbiorowym zjazdem jubileuszowym w szpitalu; w polityce świństwo polskie jechało na alianckiej głupocie, potem głupota aliancka na polskim świństwie; spod tego wszystkiego błyskały raz po raz wiadomości o coraz nowych poległych; kto by tam pamiętał o Jaszczku — pół roku minęło, jak 'wyjechał; pół roku takiego czasu — cała wieczność.

Zdążyłem się przenieść spod czułej opieki Wacuchny na closeto bono (nareszcie) do hotelu oficerskiego w Rzymie.

Nagle w pewien dzień upalny, bo już znowu nawracało na lato — wpadł equo admissio przed półmisek z corned beefem i piklami „Pier-dunin” (Pierre Dunin Borkowski — stały znak rozpoznawczy: dziury wielkości pomarańczy w skarpetkach na obu pięcinach) i wybałuszony się na nas, nie mógł złapać tchu:

— Jaszczka w kajdanach przywieźli...

Oficerowi transportowemu, który beznamiętnie wcinał właśnie zielony jak piekło groszek konserwowy, nóż w gardle stanął:

— Skąd?

~ Z Maroka.

— Przecie jechał na desant do Francji.

- Kiedy Kara Mustafa, wielki mistrz Krzyżaków"... Oficer transportowy stwierdził autorytatywnie:

- W tym coś jest. Jaszczk wobec gwałtownych żądań otrzymał priority a przelot. A przeloty idą przez Maroko.

Rzuciliśmy się do dwójki. Dwójka nic nie wiedziała poza tym, że przywieziono i że czeka na sprawę. Otrzymał widzenie. Mieliśmy wrażenie, że oglądamy film wstecz: znowu ta sama klatka filmu, a w ni taka sama klatka więzienia, w której z takimiż samymi pluskwami tak samo się pocąc, tak samo jak przed półrokiem siedzi wywałaszczony Jaszczk z włosiem zmierzwionym i z błędnym wzrokiem.

Okazało się, że wywiązał za prędko, coś mu tam nie dostemplowali w Maroku przyhaczyli o permit wyjazdu do Anglii.

Prosił się, bożył się — nie pomogło. Zadepeszowano do władz wysyłających i do władz odbierających.

Władze odbierające kablowały okay, władze wysyłające zajrzały do akt, do których zdążyło dopłynąć skasowanie wyroku, i zawrzały: „Dawać kajdaniarza z powrotem”. Kablować łatwo, wykonać trudniej. Żadnej tam priority dla facetów jadących na wyrok nie ma. Panowała zdrowa zasada, że jeżeli ktoś jest podejrzany, to im dłużej siedzi, tym lepiej. Miałem kilku znajomych siedzących cztery lata w Rechowot w Palestynie, których po ukończeniu wojny wypuszczono z przyjacielskim sorry.

Z okrętami było ciasno, priori ty była odwrócona: po amunicji szła żywność, po żywności lekarstwa, po lekarstwach koce, a potem znowu trzeba było wysyłać amunicję i znowu wrzeszczano, że nie ma koców. Aby więc mieć spokój, zamknięto Jaszczka z Murzynami i tarantulami pod blachą falistą i nie zwracano sobie

głowy. Pojechałem do wysokich czynników.

— Ostatecznie to dla niego dobrze się składa — tłumaczył wysoki czynnik — sprawę wyjaśnimy raz dwa. Jaszcz będzie miał czystą kartę. A tak — wlokłoby się za nim.

Rzeczywiście nie można powiedzieć — zrobili tym razem raz dwa. I dwóch tygodni nie dano pluskwom rzymskim na miodowy miesiąc

z pluskwami marokańskimi i już wyszła sprawa Jaszcz, którą nadano 5 sądowni, urzędującemu przy 5 dywizji kresowej.

Pojechałem na sprawę. Sąd nie chciał mnie dopuścić. Co innego Mossin, który był obrońcą oskarżonego. Musiałem sterroryzować sąd — trzech leśnych dziadków, byłych sadowników austriackich — swoim war-correspondent.

Przewód był krótki, ale ponad miarę obrzydliwy. Kiedy Jaszcz usiłował odpowiadać na stawiane pytania, przerywano mu po pierwszym zdaniu. nasobione przez Mossina fajerwerki polano kubelkiem zimnej wody. Staruszkowie popełzli na krótką naradę i orzekli: __ pół roku więzienia.

__ Ależ panie prezesie — błagałem — niechże pan pozwoli zabrać mi skazanego choć na dziś, wykapać przed tym półrokiem i dać czystą bieliznę.

__ Co pan? Z tego rodzaju sprawy? Machnąłem ręką i pognałem do zwierzchnika sądu, generała Sulika, dowódcy 5 dywizji.

Pocziwy generał przyjął mnie jak zawsze: a herbatka, a coś przekąsić.

__ Ależ panie generale, kiedy ja nie na herbatę przyjechawszy, tylko na żałobną okoliczność.

Zakłopotał się „Tata-Ryś”.

__ To zostaw nas pogadać — mówi do żony.

— Tajemnic nie ma — mówię chytrze (w takiej sprawie mur, że będę miał generałową za sobą). — Czy państwo czytali Arnolda Zweiga „Spór o sierżanta Griszę”? No, więc pokrótce było tak: w czasie tamtej wojny uciekł z niewoli niemieckiej rosyjski sierżant Grisza (ja wiem, że w armii rosyjskiej nie było sierżantów, mówiłem to Zweigowi, ale nie dał się przekonać!). Tego Griszę złapano na pierwszej linii, posądzono o szpiegostwo, zdecydowano rozstrzelać. Znalazł się tamtoczesny Mossin, dla którego było jasne, że to zwykła ucieczka. Ten niemiecki Mossin stanął na głowie, sprawa szła przez wszystkie instancje aż do Berlina i z powro- tem, dla wszystkich było jasne, że Grisza nie jest szpiegiem, ale wszędzie wbrew zdrowemu sensowi działał wzgląd na prestiż i procedurę. No i po roku termedii Griszę rozstrzelano, jak Pan Bóg przykazał.

Herbatka była dobra, prawdziwa nasza, naparzona na parze, wieczór rześki, gospodarze łaskawi, gość z ciekawostkami. Tata-Ryś rad był, że mu nikt niczym nie kuczy głowy, pokwitował gawędę z należyтым zrozumieniem.

No i ot, wyszło szydło z worka, dzisiaj u pana generała odbył się ostatni akt sprawy sierżanta Griszy...

— Gdzie?!...!

— W piątym sądzie. Opowiedziałem sprawę.

Sulik zalterował się, złapał za telefon.

Panie generale — huczał telefon w pustym pokoju — też to takie Pouczenie zwierzchnika sądowego, to jak rozkaz... Sulik targnął węża:

— Co teraz można zrobić?

W telefonie coś uniżenie skwierczało. Generał odłożył słuchawkę:

— Czy Jaszcz przyjął wyrok?

— Za Boga...

— Niech przyjmie, niech prosi tylko o odłożenie wyroku na po woin-To jedyna droga, żeby go zaraz wypuścić.

Leciałem z powrotem na złamaną szyję. Tegoż wieczoru zabraW Jaszcz ze sobą.

— Jak będziemy wjeżdżać do Warszawy i dziewczęta będą rzucały nam kwiaty, podejdzie do pana dwu kanarków i zaprosi do paki.

— Mam nadzieję, że tego nie będzie — pocieszał się Jaszcz. No i nie było.

Dedykuję „Zielonym ptaszkom” w cywilu.

Drapacz nieba w stylu zakopiańskim.

Jestem członkiem pewnego Instytutu Naukowego na emigracji. Nie wymieniam dokładnie jego nazwy ani miejscowości, ani ludzi — nie o personalne ułkucia tu chodzi. Jestem nawet jakimś tam członkiem wyższego rzędu, rzeczywistym czy jakoś inaczej, na pewno tak jak w przedwojennej Akademii Umiejętności, bo jak w kraju jest PAN, to i na emigracji — „król Jagiełło bił Krzyżaki i pan Krupa chciał być taki”. Z tych zapewne względów w innym okresie emigracji należałem do grupy wykładowców na Wyższych Kursach Naukowych, choć nie mam kwalifikacji nawet na wykładanie w szkole powszechnej.

No, więc jestem na zebraniu owych wyższych członków. Siedzi jedenastu — istotnie czuję się malutki: profesorowie, eks-dygnitarze najwyższej rangi, śmietanka.

Porządek dzienny:

1. Sprawozdanie z akcji zbiórkowej na cele Instytutu w ogóle i Roku

Mickiewiczowskiego w szczególności.

2. Wydanie całości dzieł Mickiewicza.

3. Wolne wnioski.

Punkt pierwszy referuje eks-adwokat, który w okresach bezrobocia we „Free Europe” usiłuje zarabiać w sezonie wiosennym domokrawstwem z nasionami, a na jesieni sprzedają szczotek.

Należy przyznać, że referat jest zbudowany świetnie, zwarty, rzeczowy, operuje faktami.

— Robota na medal — mruknął mój sąsiad po lewej. Był to zresztą, poza mną, jedyny parweniusz w dostojnym gronie: wzbogacił się na biurze wysyłkowym paczek i od czasu do czasu płacił czynsz za pokój, w którym się mieścił Instytut. Miał rację: eks-adwokat jako szef zbiórki nie zaniedbał niczego; zyskał tak wysokich protektorów, że nie powtórzę „lc” nazwisk; umieścił szereg biuletynów i łzawych artykułów w prasie emigracyjnej; rozesłał 10 000 listów pod indywidualnymi adresami polonijnych filantropów. Nareszcie następowało sprawozdanie kasowe, w którym po stronie wpływów zapisano... jeden dolar, przesłany przez jakieś goś polskiego farmera z Kanady.

Byłem porażony. Spojrzałem po zebranych, którzy właśnie oklaskiwali referat. Przewodniczący podziękował referentowi za „świetnie opraco waną akcję” i wyraził żal, że „nie przyniosła ona oczekiwanych wyników”. Żal jednak wyglądał raczej zdawkowo, gdy pochwała była wygłoszona pełną parą. Zacząłem podejrzewać dosyć niejasno, że tym ludziom chodzi o coś ważniejszego niż rezultat zbiórki, o coś, co się mieściło w samej akcji.

Punkt drugi referował eks-minister, który po długoletnim urzędowaniu odkrył w sobie Chłędowskiego na emigracyjnej emeryturze. Daj Boże każdemu zawodowemu literatowi tak wyczuć, tak celnie oddać całe znaczenie Mickiewicza dla ogólnoludzkiej kultury. Referent uważał, że wydanie całości jego dzieł po angielsku jest naszym obowiązkiem wobec świata.

Na jedenastu obecnych na posiedzeniu panów wypowiedziało się dziewięciu.

Pierwszy dyskutant podał konieczność przetłumaczenia również zbioru listów Mickiewicza, drugi zaznaczył wielką wagę przyczynków, które należy podać, trzeci dał przegląd tłumaczy, którym można by powierzyć dzieło, czwarty, że jeden tłumacz nie podoła ogromowi zadania, piąty, że wobec tego należy zatrudnić kilku tłumaczy, szósty niepokoił się, że styl będzie niejednorodny, siódmy wobec tego proponował, żeby zaangażować osobę porównującą teksty, ósmy, że niechże ta osoba ma każdy tekst przetłumaczony przez dwu różnych tłumaczy, dziewiąty reasumował, co powiedzieli poprzednicy, po czym znów zabrał głos pierwszy, drugi „chwilowo wstrzymał się od głosu”, trzeci... „chodźta czapla po desce”...

Patrzyłem osłupiały. W 1919 roku Sejm uchwalił pełne wydanie dzieł Mickiewicza, i to tylko po polsku, i dwudziestolecie nie wyguzdrzyło się z tej uchwały, a tu... po tym jednym dolarze od farmera?...

— Profesorze — pochylilem się do sąsiada z prawej — czy oni wierzą w to, co gadają? Przecie to chyba tak sobie make believe (na niby).

Profesor był z innej mąki. Jedyiny niepolityczny emigrant, przybył tu przed czterdziestu laty jako siedemnastoletni syn fornała i sam się wybił-Dawał bezpłatnie salę na imprezy Instytutu, więc zasiadał na jego Olimpie-Zaczął mu się trząść pulchny brzuszek:

— Naturalnie make believe... Ale wierzą, czemu mają nie wierzyć? Pociągnął krótką fajeczkę i wypuścił z kłębem dymu:

— Jakby nie wierzyli, toby im było nudno.

Tymczasem przed wolnymi wnioskami zarządzono przerwę. Przerwa była potrzebna, by pościagać składki, zanim zgromadzeni prysną do domów. Korzystając z przerwy radziłem się profesora, czyby nie postawić takiego oto wniosku udekorowanego świetną motywacją, nie gorszą od wysłuchanych referatów: ...że oto Mickiewicz jest pochodnią kultury niesionej polskimi rękoma w mroki świata. Ze tedy należy tej żywej emanacji kultury, jaką staje się Instytut, udostępniający światu Mickiewicza, dać godną oprawę. Bo cóż zrobić — taki świat — jak cię widzą, tak cię piszą. Że proponuję dźwignąć gmach Instytutu Naukowego. Że nie wypada inaczej, tylko na ulicy pryncypalnej.

Tu zaczęliśmy z profesorem przewidywać, jak się potoczy dyskusja. Pierwszy przyłączy się z płomiennym przemówieniem; drugi opowie się za tą mianowicie, a nie inną pryncypalną ulicą; trzeci, podkreślając wielką wagę wniosku zgłoszonego, zauważy, że ponieważ na tej ulicy centymetr gruntu idzie na wagę złota, więc. ceny placu nie zamortyzują się, jeśli gmach nie będzie liczył kilkudziesięciu pięter; czwarty powie, że przecież to nie tylko sprawa pieniądza, ale i ducha, wobec czego elewacja musi uderzać polskością; piąty wysunie propozycję, aby to był styl zakopiański, ale zostanie zekpany przez szóstego, że ten styl nie da się przenieść z budownictwa drzewnego, wobec tego siódmy w dłuższym uzasadnieniu będzie dowodził możliwości zaszczepienia baroku nadwiślańskiego; ósmy, reasumując dyskusję, zaproponuje, aby wobec późnej pory Powołać komisję; dziewiąty rześko doskoczy do tego, że wystarczy ko-nusja z trzech z możliwością kooptacji, dziesiąty (to ten sąsiad z lewej, en dorobkiewicz od przesyłek, który płaci czynsz za pokoik) widząc, że postękiwanie nie pomoże, przejdzie na entuzjazm i zadeklaruje, że się zbierze pierwsze dziesięć tysięcy, to on dołoży drugie (cwany chłoń gloria i spokój za jedne nic).

Tak nazłośliwiwszy się na boczku, zapłaciwszy składki i wysłuchawsz w wolnych wnioskach nieodłącznego wniosku, aby dokooptować jak członków honorowych Eisenhowera i Churchilla, poszliśmy do domów Szedłem z referentem projektu wydania całokształtu dzieł Mickiewicza po angielsku.

— Podobno pan minister kupił domek? — zapytałem. Eks-minister zapalił się i długo mi opowiadał, jak sobie załatwił sprawę z bankiem i z hipoteką.

— A nie mógł pan się zdobyć na domek z piwnicą?

— Liczyłem na wszelki sposób, ale nie sprostałbym spłatom. Całkiem przytomny Sancho Pansa! Ale w sprawach de publicis przesiada się na Rosynanta kompleksu. Przypomniał mi się film „Bałałajka”, który widziałem w Rzymie pp zakończeniu wojny, na wstępie do emigracji. Eks-ordynans księcia prowadzi w Paryżu luksusowy dansing „Bałałajka”. Szatniarzem jest generał-gubernator, sam książkę śpiewa przy stolikach za napiwki, hrabiny sprzedają kwiaty i papierosy.

Ale w dniu imienin cara Mikołaja, raz na rok, dansing po wyjściu ostatnich gości rozjarza się światłami na nowo; zaczyna się raut dworski, na którym, na ten jeden krótki przedświt, wszystko wraca do przedwojennych form: szatniarz w zachowanym mundurze generał-gubernatora wkracza na amfiladę schodów i wręcza napiwek kornie zgiętemu ordy-nansowi, swemu chlebobdawcy, który na tę noc jest lokajem; szoferzy taksówek paryskich ukazują się w mundurach kawalergardów i całują w ręce baronessy, które za dnia są babciami w szaletach.

Gdybyż te zbiorowe kompleksy można było skondensować do jednej nocy. Ale

towarzyszą one emigrantom w codziennym dniu. W Londynie zaniósł mnie na herbatkę do Saburowa, zastępcy carskiego ambasadora Benkendorfa w Londynie w czasie pierwszej wojny. Martwiono się, że pretendent do tronu ożenił się z jakąś milionerką amerykańską. Jak że my budiem jawlatsia u dwora kakoj to Amierikanszi (jakże będziemy prezentować się u dworu jakiejś Amerykanicy) — zdumiewały się obecne panie.

Przed wojną wynikł też wśród emigracji rosyjskiej spór po śmierci kijowskiego generał-gubernatora pomiędzy dwoma gubernatorami — który z nich ma otrzymać nominację na generał-gubernatorstwo kijowskie—Spór podobny wśród emigracji polskiej wynikł o stanowisko inspektora Polskich Sił Zbrojnych.

Spotkania z czytelnikami

Kiedy przyjechałem po dwudziestu latach do Polski — musiałem się zastanowić: jakże tu pisać i jakże tu, zwłaszcza, przemawiać do rodaków? Tyle bo kunsztów oratorskich obcych przechlusnęło się nad tą ziemią i tyle bolesnej niemoty nabrała tajna jej wymowa, i tyle zdarzeń, i takie pęknięcie między starą i nową epoką, i moi przedwojenni słuchacze w grobach, a jak nie w grobach, to niedotulani staruszkowie, i młode pokolenie (podobno) — straszliwe chuligany, i inteligenty (podobno) — dialektycy nie z tej ziemi, doktrynerzy, „wszystkoiści”, i że w ogóle — sale mi na odczytach zaleganie nie rozeznana calizna awansu społecznego.

A ja co? — biedny robaczek, już zamorski? Wielu potrzebnych słów nie znam (nie śniło mi się, co znaczy postulować, adekwatny, kulturowy, chała, chałtura, rozróżba, kociak ani projektowanie „na rybkę”, ani gdzie jaka baza pod czym albo co znowu, u licha, dyktuje świadomość) ani w ogóle nie wiem, jak co tu rośnie. Przeciwnie, łatwo mogę powiedzieć, że postawiłem karę na kornerze i wszystko w ogóle takie. Albo użyć słówek, które sam wprowadziłem w krwiobieg polszczyzny emigracyjnej, jak „kundlizm” albo „chciejstwo” (wishlul thinking — pobożne życzenie).

Nasiąkać metodami innego mówienia począłem jeszcze przed wojną.

Przyjechawszy w 1939 roku jako delegat na zjazd penklubów w USA, Po raz pierwszy przemawiałem w Chicago.

Gadam tedy i gadam, cieszę się jak głupi, że to i tamto budujemy rychtyg pod niedalekie bomby, z gęby zrobiłem katapultę ziejącą cyfra-ni1--. aż ci tu raptem w piętnastej minucie tego gadania sala uśmieła się zgodnie, solidarnie, serdecznie.

Zaskoczony, oderwałem się od kolumny cyfr obrazującej wzrost dukcji obrabiarek i zbaraniałym wzrokiem powiodłem po audytorium jednak siedziało jak trusia, poważne, gotowe do ładowań' się w dalszym ciągu wiedzą o matce-ojczyźnie.

— Panie, z czego oni się tak uśmieli ni przypiał, ni przyłatał? pytałem po odczycie starego Romera, niemal autochtona, bo już wówczas trzydzieści jeden lat w Ameryce siedział i z niejednego pieca chleb jadał

— Powinien pan pamiętać — pouczał pan Romer — że ich należy co piętnaście minut odśmiać. Ja też tego nie rozumiałem. Grałem kiedyś króla Kazimierza w „Mazepie”.

Kiedy zboleły wojewoda dowiaduje się

o śmierci syna, król mówi: „...takie rany same się muszą goić — i Łzy mają swoje”. W tym miejscu publiczność parsknęła śmiechem — mijało właśnie przepisowe piętnaście minut.

Potem z wolna uczyłem się tej sztuki. Kiedy poleciał „Sputnik”, napędził strachu nawet leciwym „ledziusiom” (od lady) po małych miasteczkach. Byłem w takim miasteczku, gdzie miejscowy nauczyciel, kreśląc elipsy kredą na tablicy, borykał się z tematem ku rozpaczy audytorium a zapewne i swojej. W pewnej chwili odłożył kredę i 'powiada:

— W South Orange stanu New Jersey był zaś jeden mąż, jego żona i jej przyjaciel. Mąż wrócił bardzo zalany, władował się do łóżnicy, gdzie ze strachu skulił się przyjaciel. Coś mu leżeć niewygodnie, coś tych nóg za dużo.

Liczył, liczył i mówi ze zdumieniem: „Słuchaj, duszko, skąd tu sześć nóg?”

Przytomna niewiasta poradziła: „Wyjdź, honey (miodku), na podłogę, stań na dywanik, sprawdź jeszcze raz, tak ci będzie lżej liczyć”. „Rzeczywiście — uspokoił się mąż — masz rację, tylko cztery nogi”.

Pokazywałem prelegentowi zaciśniętą pięść. U nas pokazuje się brodę — że to kawał z brodą. Ale w Ameryce podnosi się pięść: znaczy to, że kiedy rozkopano grobowiec Tut-ench-Amona — faraon trzymał w zaciśniętej pięści ten oto kawał, zapisany jako najnowszy.

Czasem prelegenci radzą sobie w ten sposób, że „odśmiewają” publiczność przed zaczęciem odczytu.

Byłem u zięcia na jego jajczarskiej farmie w New Jersey. Był to rok recesji, jajczarze byli na skraju bankructwa, do miasteczka Lakewood zjechał z Waszyngtonu przedstawiciel jajczarskiego lobby (biura interwencyjnego przy Kongresie), wszyscy zawiśli na jego ustach, oczekując słów nadziei lub wyroku śmierci.

— Jeden pastor — rozpoczął prelegent — zobaczył trzech chłopców, z których jeden bawił się małym autkiem, drugi aeroplanikiem, a trzeci przeglądał „Esquire” (pismo z podkasanymi dziewczynkami).

„Co będziesz robił, gdy dorosiesz?” — spytał pierwszego. „Będę kierowcą A chwalebnie, chwalebnie... A ty?” — „Będę lotnikiem ___ a chwalebnie... A ty, chłopczyku?” — „Niech ja tylko dorosnę, to już będę wiedział, co robić!”. Sala się „odśmiała”, po czym przystąpiliśmy do rozważania koniunktury.

Na ogół, byle je odśmiać — to te tam audytorium polonijne nie jest zbyt wymagające. „Jak ten lellow (facet) gada, to pewno ku temu przyuczony” — dają w myśli kredyt mówcy i czekają cierpliwie, aż będzie się można wywalić do „bary” na „dabl skacza” (double scotcti — po naszymu: jedna głębsza).

Kredyt dają, istotnie. Kiedym przed wojną przyjechał do Chicago, sekretarz generalny konsulatu, dziennikarz mieszkający obecnie w Warszawie, kolega Stryjewski, przedstawił mnie w redakcji jednego pisma, drugiego, a pod trzecią redakcję tylko podwiózł:

„Niech pan sam zajdzie; oni drą koty z konsulem, to i pana przyjmą jak psy dziada; a w mojej asyście byłoby jeszcze gorzej. Idę więc z wielkim strachem. Brodaty redaktor Barć już od wejścia oznajmił:

— Wiemy już o pana przyjeździe, proszę... — to mówiąc podał mi wilgotną odbitkę korektową przełamanej już pierwszej strony.

Rzuciłem okiem i poczułem, jak fala krwi mi napływa do twarzy. Przez wszystkie siedem szpalt, przez całą szerokość strony biegł złożony calowymi literami tytuł: Chikago przeżywa wielkie dni - opuścił je wielki Paderewski - przyjechał wielki Wańkowicz.

Nie podnosząc oczu, skupiłem się cały w sobie: jak tu zareagować na tę bezczelną kpinę, przechodzącą wszelkie pojęcie?

Tak myśląc poglądam po tekście artykułu, po ogromnym tekście zawalającym całą stronę. Tu — dobrze, tam — jeszcze lepiej; tam — Po prostu wspaniale; sam bym lepiej nie napisał...

Z rozpachy więc przechodzę do najżywszej nadziei. Przed moim przyjazdem redaktorzy naczelni otrzymali moją ostatnią książkę — „Sztafetę”. Ani chybi trafiłem na nieprzytomnego swego wielbiciela. A... pan redaktor... hm... tego... czytał zapewne „Sztafetę”? Pocziwiec sięgnął na zakurzony stolik po obwiązana sznurkami nie rozpakowaną paczkę:

A jakże, mam ją, mam.

Skądże więc... tak zaszczytna recenzja... o wszystkich książkach... Patrzą i niedobrze mi się robi: życiem ulokowana niemożliwa „chałtura” reklamowa rozesłana przez konsul generalny w Nowym Jorku w jednakowych odpisach do wszystkich pism.

Ze słuchaczami polonijnymi stosunki układają się idyllicznie na następującej

bazie: „Ty nie zmuszaj nas do czytania, my nie będziemy zmuszać ciebie, abys gadał z sensem”.

Na tej zasadzie objechałem szczęśliwie całą Kanadę. W jej pryncypal-nym mieście, Toronto, prezentowałem się jako mówca na obchodzie 3 maja. Jest to jedyny dzień w roku, że tak powiem, eklezjastyczno--narodowy, wkluczony do takich świąt kalendarza, jak Pasterka, Rezurekcja, Boże Ciało. Wówczas całe familie z niemowlętami idą wysmarkać się narodowo i im głośniej się krzyczy z patriotycznej ambony, tym głośniej płaczą. A że przy tym dziecięta bokami sali i w przejściach bawią się w kotka i myszkę, czarnego luda i berka oraz że niemowlaki drą się na cały regulator, to tylko uroczystość ociepla.

Miał tego poczucie Włodzimierz Tetmajer, zaszedłszy z Rydlem do kościoła: — Żadne wyznanie tak nie smrodzi w kościele jak katolickie — stwierdził w rozczuleniu. Powinien by dodać: „I żadna nacja, jak polska”.

Otóż wówczas starałem się przebić do jakiegoś zrozumienia rodaków językiem kazalnicy: że jak chodzą do spowiedzi raz na rok obliczać się z grzechów, tak raz na rok na święto narodowe powinni robić społeczny rachunek sumienia. Wiele wisi na tym sumieniu, bo też, jak zapamiętać, uczepliły się Polaków trzy rozzarte ogary. A jeden — ta niewola; a drugi — to ciemnota; a trzeci, najgorszy — to nędza.

Tu wybuchły tak frenetyczne oklaski, że raz jeszcze zdublowałem z tą nędzą — przy ogromnym entuzjazmie.

„Biedny to lud, goniony w Polsce na pańskie — pomyślałem. — Kto, jak kto, ale ja, panie dobrodzieju, mówca rasowy, kość z kości i tam tego... — zawsze z nimi znajdę wspólny język”.

I rzeczywiście, po przemówieniu otoczyli mnie, ściskali ręce:

— Ale pan dogodził temu Nędzy.

Okazało się, że prezes jednego ze zwalczających się stowarzyszeń miał nazwisko Nędza.

Po tym sukcesie Toronto urządziło mi tournee odczytowe od Atlantyku po Pacyfik. Potworzono w poszczególnych miastach komitety przyjęć—Rozesłano zawczasu pod adresem miejscowych prezesów paki książek z „Tworzywem” — pierwszą w historii polskiej literatury powieści⁴ o polonii kanadyjskiej. W obu pismach polskich w Kanadzie grzmiano

przez dwa miesiące o tym, jaki to wielki pisarz zjedzie w zarzucone obieże, do których, istotnie, ani jeden pisarz nie zajeżdżał przez całe pięć lat, od czasów kiedy też samą turę odbył tenże Wańkowicz.

Nocował on wówczas po domach waszych — grzmiała prasa — i oto obecnie przynosi wam plon swej pracy; odnajdziecie w tej książce swoje opowiadania, swoje losy; gdyby wam nie starczyło egzemplarzy, piszcie, doślemy, aby wszyscy mieli książkę na dzień przyjazdu znakomitego gościa do podpisu”.

Bywały i dyskretne pogaduszki na temat, że ot, tam to i tamto, tyle i tyleset dolarów zapłacono za książkę z autografem Mickiewicza. Interes jak złoto. Zjeżdżałem w teren w dwa miesiące po rozesłaniu egzemplarzy. Bałem się nieco zetknięcia z prezesami, jako że to lubiewam pisać podśmieszna-wo, a ludzie prości są śmiertelnie poważni.

Ale prezesy, wyjeżdżające witać mnie na lotnisku w dwa—trzy samochody — z wiceprezesami, sekretarzami, protokołowymi, skarbnikami i nawet „marszałkiniami szatni” — były godne, życzliwe, przyjazne.

Jadąc te parę mil z lotnisk, napataczałem rozmowę na moje „fworzy-wo”. Napataczałem ją w Hamilton, London, Port Arthur, Fort Williams, w Sudbury, w Kirkland, w Winnipeg i dziesiątkach innych, że na wołowej skórze by nie wypisał. Ale okazywało się bez żadnego wyjątku, że przysłane paki, a jakże, stoją w idealnie nie rozpakowanym stanie.

Za to wprowadzanie mnie bywało pełne głębokiego zrozumienia dla mojej twórczości:

— Był zaś jeden taki — Mickiewicz. Ja tam nie wim, jak tam kto, ale po mojemu

(tu palec wskazuje w moją stronę) — to un je lepszy.

Pewien prezes w pewnym mieście powitał mię przy wejściu na salę:

— Jak się pan ma, panie Lechuń?

— Pan prezes się pomylił: tym razem nie Lechoń, tylko ja, Wańkowicz...

Prezes zrobił dłonią gest odganiający muchę:

— Nie szkodzi.

Po czym wiódł mię przed pierwszy rząd, przedstawiając kolejno:

— Pan Lechuń...

— Wańkowicz...

— Nie szkodzi... — Pan Lechuń...

— Wańkowicz...

— Nie szkodzi...

Wreszcie wywindowaliśmy się na podium. Zasiadłem przy stoliku z sekretarzem protokołowym, prezes wgramolił się na mównicę:

— Teraz zaś przemówi słynny poeta polski, pan Lechuń...

Co prawda, to raz tylko w życiu napisałem wiersz, posłałem go z duma

Tirliporkowi, ale rozzuchwalona latorośl odpisała: „Ty już, tatusiu, piSz lepiej prozą”.

Nie chcąc się narażać na ponowne „nie szkodzi” coram publiico, szepnąłem tylko sekretarzowi protokołowemu ze zjadliwą ironią:

— Wierzyński.

Tym razem bydlę dosłyszało i poprawiło się:

— To jest, przepraszam panów i kilkojeich paniów, jako że bandzie mówił pan Wierzyński.

I wieczór odbyłem jako Wierzyński.

Ale i w Polsce zdarzyło mi się w pewnym mieście prowincjonalnym, że działacz, który miał mnie przedstawić, kiedyśmy szli na podium, spytał:

— A jak panu na imię?

Poczułem się oburzony do szpiku kości. Jak to? — nie • wiedzieć, że Melchior? To imię przecież to połowa powodzenia literackiego. Gdybym był, dajmy na to, Stanisławem, można by nic o mnie nie wiedzieć. Ale wyobraźmy, że ktoś w wagonie kolejowym spyta o Melchiora Wańko-wicza? Każdy bez ochyby odpowie, że, ho, ho, że a jakże. Bo jakże nie ma się przykleić w jego świadomości takie cudaczne imię. Nie potrzeba wiedzieć, że w naszej linii dziedziczne, że to bardzo fajnie po hebrajsku znaczy („Melech-Or” „Król Światła”). Po prostu — Melchior. Każdemu się głowy uczepli.

Odpowiedziałem więc z irytacją:

— Moje imię? — Baltazar.

Na widowni siedzieli miejscowi lekarze, inżynierowie, mecenas — naród oblatany.

Kiedy posłyszeli zapowiedź wieczoru Baltazara Wańko-wicza, wszystko to gwałtownie się zaruszało, zaniepokoiło. Taki despekt!... Czyżby umyślny?...

Najgorzej bywało z odczytem o Monte Cassino; wówczas żądnyZwygadania się prezes, zajrzawszy do mojejże książki, sadząc obficie od siebie białymi orłami i Polskami w okowach, opowiadał o bitwie od początku do końca, a kiedy już wielu pozabijał i zziąjany zatykał sztandar na Górze Klasztornej, dopieroż ja musiałem wszystkich od nowa wskrzeszać, sztandar ściągać, klasztor odbudowywać i po tych wszystkich wzniosłych deserach kazać od początku zaczynać od zupy.

Z nową emigracją bywały inne kłopoty:

___ A gdzie jest ten miły brunet — zapytuję odwiedzając po roku ponownie dane miasto — z którym pan prezes witał mnie wówczas na dworcu? ___ jaki on tam brunet, to jest, po prostu, zwykła świnia — odpowiada z goryczą prezes — opowiedział się przeciw legalnemu rządowi Londynie i za Andersem. Rzecz prosta, że nikt porządny nie podaje mu ręki.

A jakże spotkania ze słuchaczami w Polsce? Najstraszniejsze, że tyle ludzi trzeba będzie „repoznawać”. Spotykam faceta, wali mnie po ramieniu i mówi:

___ Jak się masz, byku krasy?

Na pewno kolega szkolny. Trzeba mu się wypłacić równą kordial-nością: '

— Co się z tobą dzieje, zielona małpo?

— Zajdźmy na kawę.

W natłoczonej kawiarni „Nowy Świat” z ledwością znaleźliśmy stolik dzięki usłudze kelnerki. Naturalnie złożyłem to pochopnie na konto mojej pisarskiej popularności. A co tego było powodem — jeszcze się okaże.

Kolega okazał się lekarzem psychiatrą.

— No to mnie zrozumiesz — tłumaczyłem się. — Cóż dziwnego, że ciebie nie poznałem. Własnych ciotek nie poznaję. Co tam ciotek!... Niewiele ich już zostało. Ale dawne flirty. Było dziewczę, które pocałowałem, gdy mieliśmy po kilkanaście lat. Nie widziałem jej pół wieku. Nagle pisze, że miała dwóch mężów, ale żaden jej nie rozumiał. I że — „Melu, nie unikajmy siebie”. Przykucnąłem w swoim hotelu jak zając pod miedzą, nie odpisuję. Pęd... Jest któregoś dnia. A ja, o zgrozo, nie poznaję babuleńki.

Albo inna... Starsza ode mnie rozwódeczka z lat studenckich. Namawiałem ją, namawiałem i nie mogę się pochwalić, że bym tak namówił aż do końca... Zjawia się babulina w siódmym krzyżyku i znowu serce roz-aarte. Płacze... że nie poznałem.

Jest taka fraszka Kochanowskiego:

Teraz by ze mną zygrywać się chciała, Kiedyś, niebogo, sobie podstarzała. Daj pokój, prze Bóg! Sama baczysz snadnie, Że nic po cierniu, kiedy róża spadnie.

Kolega w zamyśleniu mieszał herbatę łyżeczką:

— Temistokles pamiętał dokładnie imiona dwudziestu tysięcy kańców Aten. Nikita, król czarnogórski, pamiętał imię, nazwisko i z wód wszystkich swych poddanych mężczyzn, liczących ponad trzydzieś pięć lat. No, ale oni tkwili w tym życiu, a ty byłeś oderwany od tych osób przez tyle lat.

— Ale, jakich tam lat! — macham z rezygnacją ręką. — W Bagdadzie mieszkałem w hotelu „Semiramis” w jednym pokoju z jakimś kapitanem. Po trzech dniach wspólnego mieszkania przysiadłem się w sali restauracyjnej do stołu z kilku oficerami.

Przedstawiałem się im kolejno, aż jakiś kapitan oświadczył dość opryskliwie:

— Przecież my się znamy.

Jestem tak zestrachany swoim niepoznawaniem ludzi, że próbowałem się wyłabudać:

— Ach, tak, naturalnie, panie kapitanie — rozpromieniłem się — co za przyjemne spotkanie. Ostatni raz, zdaje mi się, „w Palestynie?”

— Nie, dzisiaj przy ubieraniu się — uciał całkiem wrogo.

W oczach kolegi doktora błysnęło profesjonalne zainteresowanie:

— Przejścia wojenne. Może bomba?... Może cegła na głowę spadła?

— Jaka tam bomba... — brnąłem w samopokajaniu — i żebyś wiedział, jakie basy biorę za swoje gapiostwo od ludzi., Przy opracowywaniu książki o Monte Cassino pracowali graficy Haar i Gliwa. Spotykam kiedyś Haara i pytam nieco niepewnie:

— Czy mówię z panem Gliwą?

— A czy ja mówię z panią Herminią Naglerową? — odciał zirytowany Haar.

Kolega doktor zamyślił się:

— Najgorzej z kobietami. Jednego dnia zapewniasz ją, że ma tycja-nowskie włosy, uśmiech Giocondy, wynajduje się takie coś, że niewiasta życie przeżyła i nie podejrzewała. Jest wniebowzięta, spotkawszy następnym razem czeka nowej porcji, a tu patrzę jak cielę na wodę i przedstawiam się.

— O zielona małpo! To i ty też?

— Tak jest, byku krasy.

— Ale tobie w twoim zawodzie ostatecznie to tak bardzo nie przeszkadza. Zresztą lekarz ma sposób mnemotechniczny — pamięta symptomy. Carski minister finansów Witte miał hemoroidy. Jadąc do wód, pokazał się specjaliście w Berlinie, który mu polecił po kuracji znowu się zjawić. Przyjął go z roztargnieniem, ale kiedy zajrzał, gdzie trzeba, zakrzyknął z konfuzją: „Ach, Ekscelencjo!...”

— Widać to jedyny sposób mnemotechniczny: zajrzeć w typowe miejsce.

Fertyczna kelnerka nadpłynęła z ciastkami. Kładła mi na talerzyk bezę miną zniewalającą, że wypiałem pierś. Hm... jest się mężczyzną, póki się nie

rezygnuje. Goethe, kiedy miał osiemdziesiąt lat...

Zielona małpa" pogonił za kelnerką rozmarzonym spojrzeniem: Chciałbym jeszcze raz ją mieć.

— To ją już miałeś?

— Nie, ale już raz chciałem.

podniosłem pięść na znak, że w niej ten dowcip trzymała już mumia Tut-ench-Amona.

Obaj starsi panowie zamilkli dosyć smutno.

— W moim zawodzie gorzej — kontynuowałem gorzkie żale — najgorsza męka to odczyt. Podchodzą znajomi, a ja ich nie poznaję. I nie chce żaden zrozumieć, że ma do czynienia z chorym biedakiem, tylko że tej choroby jeszcze nie sklasyfikowała medycyna. Te sposoby wykręcania się tak przykro się kończą jak w Bagdadzie. Przerzuciłem się do uczciwego sposobu: pytam prosto z mostu, kto jest mój rozmówca.

Kiedyś miałem odczyt na dużej sali. Po odczycie podszedł pan z bacz-kami i pyta, czy go nie poznaję.

— Nie — ucinam — niech pan, po prostu, powie nazwisko. Powiedział.

— Nie pamiętam — rąbię odważnie.

Z prawa ciągnie mnie za rękę dama, której córka kolegowala z wnuczką szwagierki mojej ciotki, z lewa huczy jakiś przerażony drab, żebyśmy poszli na wodę przypomnieć dawne czasy; od frontu nastawia się ktoś inny: na plecach siedzi facet z notatnikiem, który pragnie ustalić; w arier-gardzie korpulentna pani trzyma pęczek pensjonarek, a każda trzyma karnet, a w każdym karnecie mam się podpisać z datą, z zawijasem i z dowcipem. Ale ten tu z baczkami nastawia się profilem i proponuje, że może teraz sobie przypomnę, bo on ma profil charakterystyczny. Nie pomaga. Wtedy przymruża porozumiewawczo oko i pyta:

— A Toruń to pies?

— A co Toruń?

— Niech pan sobie przypomni tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty rok. Szarpany na kawałki, ryczę z rozpaczą:

— Co za tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty rok?

Siedziałem wówczas w drugim rzędzie na lewo na pana odczycie. Doktor wołał płacić i opiniował:

To trzeba było od dzieciństwa leczyć. Kelnerka wreszcie wybuliła z siebie:

Pan mnie nie poznaje? Rzuciłem się ku wyjściu.

Czekając na palto w szatni, chciałem jednak ustalić tożsamość odn zionego po latach kolegi:

— Słuchaj, jak myśmy ciebie przezywali? Rozpromienił się:

— To nie pamiętasz, jak mnie Góral nazwał?

— Jaki Góral?

— No, Górski Wojciech, dyrektor naszej budy na Hortensji.

— Ale... kiedy ja byłem u Chrzana na Smolnej.

„Byk krasny" i „Zielona małpa" poczęli bąkać ekskuzy per „pan" i pospiesznie, i z ulgą się rozeszli.

Przyznam się, że to niepoznawanie jest najcięższym atrybutem moich spotkań krajowych.

Czasem i tu .trafiają się hołdy niepomierne, równie żenujące, jak to porównywanie z Mickiewiczem za Atlantykiem. Jakaś paniusia, rozogniona, powstaje z krzesła i woła:

— Pan jest naszym największym skarbem.

— Niech pani tego szeroko nie rozgłasza — mówię — bo skarby zamykają.

Nie można powiedzieć, pragną mnie życzliwi słuchacze uchronić od tej perspektywy. Niedawno miałem odczyt w mieście powiatowym. Przy stoliku, od którego mówiłem, zasiadł, diabli wiedzą po co, Pan Organizujący.

W pewnym miejscu odczytu Pan Organizujący zabębnił palcami po stole.

I jeszcze raz... I jeszcze raz...

Za tym trzecim razem, po prostu, położyłem rękę na tych bębniących palcach.

— Co pan taki nerwowo? — pytam po odczycie. — Nie mógł pan się wstrzymać od bębnienia?

— Bo pan nie widział, że na sali siedział pierwszy sekretarz, więc sygnalizowałem ustępy, które mógł pan rozwinąć zbyt nieostrożnie.

Skoro wyliczam gafy gospodarzy, należy powiedzieć i o moich.

Na pewnym odczycie weszła lewymi schodkami na scenę ładna panienka w wieku poborowym, aby mi wręczyć kwiaty. Tak cóż ty zrobisz? Ucałowałem ją siarczyście.

Aż tu patrzę — na schodki z prawej gramoli się również z kwiatami, pani w wieku pobałzakowskim. Spojrzałem z takim przerażeniem, że sala się roześmiała („teraz żś wpadł) Co było robić? - wycalowałem tę ciotkę z dubeltówki. o Przywitecznie spotkały S studentki Akademii Wychowania Fizycznego. Po odczycie ustawiły się kolejką do pocałowania. Próbowałem substytuować tę ofertę na rzecz stojącego koło mnie przystojnego fizycznika. Ale się nie zgodziły. Tak cóż ty zrobisz - pocałowałem sznureczkiem, ale w sobie westchnąłem: „Gdy pocałunek ojca na twym czole złożę smutno mi Boże. Miałem kowieńską ciotkę, która z litewska ciągnąc, zdumiewała się: Ależ Melaś gęba u ciebie nie wyszorowana". Darujcie mi. Z tym wszystkim - pograżam się w te spotkania w Polsce jak w świeży zielony las. Po bardzo spalonych stepach obłukiwałem nogi tak długie lata...

Grzechem przezwiska rzeczy przyrodzonych, a nie Grzechem dotykać się ich albo patrzeć na nie.

Jan Kochanowski.

Cztery litery.

Zakazane, a tak naturalne słowo było tak wstydlive, że córkom moim u zakonnice na kursach ratowniczych kazano topielcom ugniatać „górne nasady dolnych kończyn" zamiast po prostu — „pośladki".

Literatura jednak poczyna być raczej zdania tego górala, kiedy użył słowa „rzyć", co wywołało komentarz turysty.

— A jak to po warszawsku? — pyta góral. — Dupa — powiada turysta.

— Tyz piknie.

Toteż słowo to usiłujemy zrehabilitować przez wprowadzenie do towarzystwa słów szacownych nowej części ciała, potrzebnej, jowialnej, a nade wszystko nie pozbawionej inteligencji; podatnej na bodźce wewnętrzne, jednak z dużym samozaparciem stosującej się do sytuacji; ofiarnej, bo odbierającej plagi za grzechy innych części ciała; muzykalnej.

Przecież to Solska przy pełnej sali Filharmonii wygłosiła „Odę do dupy", przecież to Boy widział swój pogrzeb, kiedy na Wawel „będą nieść wielkiego trupa" tego, co „drukował pierwszy rym do biskupa".

Było to w Rzymie w 1946 roku. Rozmawiałem z pewnym podchorążym, kiedy w lansadach zbliżył się Ważny Pan:

— Mistrzu, wieszczu, inicjujemy czwartki literackie w Akcji Katolickiej w pałacyku Boncampagni. Czyby mistrz, czyby wieszcz (było to po ukazaniu się „Bitwy pod Monte Cassino", a przed „Kundlizmem"r „Klubem Trzeciego Miejsca", wizytą w Polsce i innymi obrzydliwościami) nie zaszczycił, nie raczył uświetnić inauguracji słowem wstępnym. Będzie biskup Gawlina — Ważny Pan giął się coraz niżej — pan ambasador Papee z małżonką — głos Ważnego Pana wyoliwiał się — Pan" stwo ministrowstwo Janikowscy — głos przemieniał się w bogobojny szept - całe wyższe duchowieństwo — głos począł smakować tytuły: — księżna taka, hrabiostwo owacy.

Żyłem te lata korespondenctwa wojennego per „kurwa mać", pisałem już wówczas „Kundlizm", poderwał mię ten barok parciejącej poszlacheckiej kultury:

_ Dobrze. Zaszczycę... raczę...

Ważny Pan wysiął za drzwiami w mazi podziękowań.

_ powiem na tej inauguracji — dupa.

Podchorążak, sprytny chłopię, zadziałał przez zaskoczenie, jak go nauczyli w

podchorążówce:

_ Załóżmy się o dobry obiad z koniakiem.

_ Co tam podchorążaków na koniaki naciągać, wystarczy kawa z dwoma ciastkami u garbuska.

Garbusek-kelner na chodniku przy małej kawiarence obsługiwał wszystkie nasze dysertacje.

Przybiliśmy i zaraz potem zrobiło mi się żal. Impreza karkołomna sprzedana za dwa ciastka z kawą!...

Powiedziałem sobie: „Jak mały zysk, to duży obrót”. Nazakładam się z tylu ludźmi, że garbuska będę miał darmo na cały rok.

— Panie — złapałem Pierwszego Lepszego — będzie inauguracja Akcji Katolickiej, biskup, ambasadorowie, ministerstwo...

Pierwszy Lepszy wypiął pierś, czekał na zawieszenie na niej jakiegoś zaproszenia.

— Otóż, załóżmy się, że powiem cztery litery.

Pierwszy Lepszy uwiadł:

— Powiesz pan, czemu nie ma pan powiedzieć?

A jednak — udało mi się założyć z osiemnastoma. Hyr poszedł po Rzymie.

Powodzenie inauguracji było zapewnione nie tyle dzięki zapowiadanej osobie biskupa, ile że powiedziane będzie...

Zaczęło mi się robić nijako. Prawda, że od dawna uważałem, że pocziwej części ciała dzieje się krzywda. Należy język poszerzać. W Stanach Zjednoczonych aż do XX wieku słowem nieprzyzwoitym było leg (noga). należało mówić limb (kończyna). Liczny poczet przodków literackich, od Kochanowskiego poczynając, stawał o tę uciśnioną w szranki.

Czy jednak właściwe było wybierać pole bitwy na inauguracji Akcji Katolickiej? Ale kości były rzucone. Osiemnastu zaangażowanych materialnie trąbiło

O zakładzie, odwrót był odcięty. Rozpaczliwie nic mi nie przychodziło do głowy.

Pałacyk, w którym miał się odbyć czwartek inauguracyjny, pękaj

U wejścia stał Ważny Pan z Panem Dostojnym. Pan Dostojny, okazało się, uroczyście po kawiarniach zaręczał, że żadne takie coś na inauguracji zdarzyć się nie może i że gdzieżby piewca Monte Cassino...

Prowadził mię teraz z Panem Ważnym w górę po marmurowych schodach, wyłożonych puszystym dywanem. Podtrzymywali mię obaj pod ręce, rozsiewali kadzidło uwielbienia, figuralnie stapałem pod rozpiętym baldachimem.

Przeprowadzono mnie wzdłuż rzędu życzliwie i dostojnie chwiejących się ku mnie prałatów we fioletowych pasach — wyglądali jak pas barwnych ukwiątów porastających skały, poruszanych łagodnym prądem.

Dygnąłem przed Najdostojniejszą Eminencją, przed Najwspanialszym Generałem, zamiotłem pióropuszem pył przed dostojnymi stopami Ambasadora i Ministra Pełnomocnego, przepiruetowałem przez perfumy Dostojnych Małżonek i zostałem wgnieżdżony w fotel pierwszego rzędu między wielkimi.

Sala mi huczała na karku, pot wybijał na skronie, w głowie było przeraźliwie pusto, jedno wiedziałem, jednego się trzymałem: Nie poddać się!... Polec w obronie...; W obronie dupy? Pfuj, jakże ja to powiem?

A tu winduje się na podium Pan Ważny i proponuje uczcić.

Więc wstaliśmy i odcelebrowaliśmy. Ostrożnie spojrziałem po sali. Aż oczy ćmiło od buź niewinnych, anielskich, przybyłych po mannę niebieską. Czuję się, jak ten brudas Almanzor, który się wkradł na dostojną biesiadę, niosąc zarazę.

A już uspokoiło się i na mównicy ukazał się Pan Dostojny. Pan Dostojny zaczął zapowiadać inaugurację i zapowiadać Mnie.

Mówił, że Pierwszy Inauguracyjny Wieczór Literacki będzie poświęcony Ziemi Wileńskiej, której Wierny Syn (tu pierwszy ukłon w moją stronę) przedstawi nam (drugi ukłon) i przepoi nas (trzeci ukłon), On bowiem (to znaczy Ja) w swoim nieustannym... jak Słup Ognisty tej Ziemi...

Tu oderwał się od dygania w moją stronę, bo cały dążył za słupem ognistym, wznosząc oczy, wyciągając rękę w górę. Szedłem wzrokiem za tymi wyczynami i już siebie* widziałem wyniesionego pod sufit na wyciągniętych dłoniach Arcykapłana — Pana Dostojnego, dłonie te wydłużały się w niteczki, już się rozwiały, już tylko ja wyniesiony pod strop pałacyku unoszę się jak Czysty Ekstrakt i zaraz pocznę zlewać na głowy w dole uduchowione łaski słów uświęconych.

Grot zimny przeszył mi serce — ładne słowo uświęcone!...

A tu Pan Dostojny schodzi z mównicy i już tylko kiwa się i kiwa ku mnie, a wianuszek prałatów pulchnie mnie oklaskuje, a pan ambasador tak palce do palców przybliża — symbol klaskania, a sala grzmi huraganem oklasków (że to niby on z NAS, w NAS), a pan Ważny do trzech stopni na podium wiedzie i już stoję na podium, i już przede mną masa ludzka nie rozeznana, i widzę, że zapomnieli o głupich zakładach, że będą chłonać każde słowo i mają się jednym zakrztusić? Więc rozumiem, że tamte zakłady wymazane i nikomu nie w głowie, i już się rozgrzeszam, już płynę pod strop. I jeszcze jedno dotknięcie do Matki Ziemi, do tych słuchaczy, z Nich siła. I nagle widzę w oćmie niewinnych loczków gęby srogie gęby zbójcekie osiemnastu zbójców, co się założyli. A każda gęba już się raduje, już srogimi wąsiskami rusza, rzekłbyś, smakują z góry ciastka od garbuska.

„O, takie syny...” — myślę, ale już przez usta płynie manna narządzona na moim załamaniu, na mojej kapitulacji, mówię o ziemi, idę jej polami, tłukę się kałamaszką między jej rojstami i wrzosowiskami, a tu, cóż ty zrobisz, na pierwszy plan się wypychają gęby osiemnastu, gęby zadowolone, gęby drwiące. Jużem pobobrował z moimi słuchaczami między ziołami sprzedawanymi na Kaziuka, już wchłonał ich pogańską moc, blekotum łyknął czy co, dość, że kiedym dalej, na północ, w górę pojechał, na grochowinach przede mną siedziało tylko tych gęb osiemnaście i już wiedziałem, że niech się dzieje, co chce, ale je trzasnę.

Tak dojechałem na jarmark doroczny do Budzławia, na który się schodzą dziady z trzech województw. Stałem między dziadami i opowiadam o zaropiałych ślepcach, kikutach wymachujących o litość, jaglicy dziecinnej sprzedawanej za miedziaki, wyławiam z chóru jęków, skamleń, modlitw i pieśni pobożnych jedną:

A na tym kaściele dzwonnica wysoka, Jakiej nie widziała człowieczyna oka, A na tej dzwonnicy Szwienty Jurgis stoi I wielkam szydlam w dupa diabła koli. Ach, jak jęgo boli!...

Przepadła moja kawa! — słyszę bolesny okrzyk redaktora Rubla, i lawinę śmiechu i oklasków.

Ostrożnie, ostrożnie ciągnę od najdalszych, najzyczliwszych rzędów ku pierwszym dostojnym. Jeszcze nie widzę twarzy Ekscelecncji, ale już widzę, że złoty krzyż drży drobno; znak, że Dostojny Brzuch się śmieie. Idę wzrokiem w prawo, w lewo po pasach fioletowych, pasy fioletowe to samo. Podnoszę tedy wzrok wyżej, widzę, jak Ambasador i Minister Pełnomocny kończą się reasekurować spojrzeniem na prawo, spojrzeniem na lewo i uspokojeni, z uśmiechem tolerancyjnym pochylają się do Dostojnych Małżonek, a Dostojne Małżonki w siódmym niebie. A zwłaszcza „ułańska mama”, ambasadorowa Pape'e, siostra partyzanta Hubali.

Śmieje się sam pan Józio Poniatowski, ongi redaktor „Orla Białego” który mi za niemoralność przerwał „Listy perskie nie-Monteskiusza”. Tłumaczył sobie, że należy mieć poczucie humoru, starał się nawet śmiać nieswoim głosem, aż wreszcie załamał się i powiedział, kłaniając się zacierając ręce i rozpluwając się w łagodzących uśmiechach:

— Co prawda... tego... ale z drugiej strony rozumiem, że należy mieć poczucie humoru.

Rozumiałem, że wygrał sprawę, ale widzę, że kłanianie się z uśmiechami i zacieranie rąk idzie dalej:

— Jednakże... chociaż ja sam się lubię pośmiać...

— No, więc wszystko w porządku — powiadam.

— Ale z drugiej strony... choć rozumiem, że żołnierz potrzebuje rozrywki...

— Aha...

— W pewnych okolicznościach jednakowoż... choć niewątpliwie pisarz ma swoje prawa...

, Długo jeszcze „jednakże... zważywszy... z drugiej strony...” przytaczał mi same argumenty na moją korzyść, aż ostatecznie wyklaniał mi i wy-uśmiechał moje listy z „Białego Orła” i tak poczęta ariostyczna powieść o .Wschodzie (Persji; Iraku, Syrii, Libanie, Palestynie, Egipcie) — ska-piała...

Co prawda w jednym z tych listów, kiedy dawno nogi naszej nie było w Persji, pozwoliłem sobie na dowcipas, że kapiemy się w źródle mineralnym, w kryształowej Abalii, której wody są odprowadzane do pałacu szacha; wyraziłem zadowolenie, że mamy jakąś łączność z szachem. W dwa tygodnie po ukazaniu się tego felietonu dowództwo Wojsk Polskich na Wschodzie otrzymało od władz londyńskich depeszę: „Wstrzymać nieprzytomne ataki Wańkowicza na szacha perskiego”. A jak wysoko postawiony podpis... I do tego pleno titulo...

A teraz odśmiał się porucznik Poniatowski, odśmiałyby się może nawet generał wysyłający groźny telegram.

Zwyciężyliśmy — ja i moja protegowana.

Przeczekalem dystyngowane śmiechy, które niejako nobilitowały nie styngowaną dupę. Rozzuchwalony, czuję w sobie świętego Jerzego, który właśnie w to miejsce ma dźgnąć tych osiemnastu, ma ich dobić.

___ Proszę państwa: kapitan Drelicharz na Gardzieli przestrzegał przez radio inne czołgi, że teren zaminowany, więc żeby się nie pchały, bo nie ma frajerów w wojsku polskim”. Są, niestety, i tu nawet, na tej sali, jest ich aż osiemnastu.

Sala wie kto i bije oklaski, aż mierzchną na gębie. Tedy Rubel, a za nim pozostałych siedemnastu poczynają się drzeć:

— Bis!

— Bis, bis!... — piszczą wyzwolone na chwilę wywodki urszulanek, zmartwychwstanek, które przykaczowano parami w schludnych ordynkach na podniosłą uroczystość. Ekscelencja robi rękami po pasie jakiś nieokreślony masaż, znamionujący: „Pax vobiscum, dosyć tego”, Pan Ważny leci jedną stroną sali, Pan Dostojny drugą z rozmachanymi rękami — minimaxami.

Ale to już nie ich sprawa, tylko moja i tych osiemnastu drani, którzy mnie wyzwali.

Tedy — bisuję:

Mówię, że jak się zaczęła niepodległość, premier Witos, mądry chłop, wyprawił się na kresy poszerzać bazę polityczną stronnictwa „Piast”. „Piast” — wiadomo, bogaci gospodarze, Polacy. Skąd takich weźmiesz? Chyba szlachta chodackowa. Dawajcie szlachtę chodackową. A do kogo pojechać, kto u nich coś znaczy? Znaczy — pan Rymaszewski w nieświeskim powiecie pod Kleckiem.

U pana Rymaszewskiego bywałem. Mieszkał pan Rymaszewski w chałupie chędogiej, ale słomą krytej. Wiadomo — chłopski to byt już od dawna. Jedyne rozróżnienie, że panny Rymaszewskie pracowały w polu boso, ale w „mitenkach”, to znaczy rękawiczkach z obciętymi czubkami palców; jedyne wyróżnienie, że pan Rymaszewski na niedzielę do kościoła ubierał się w czarny alpagowy garnitur ze spodniami na cholewy i z czarnym krawatem na białej „maniszce” (krochmalony przodek).

Pan Rymaszewski gości przyjmował szkatułką metalową, w której pieczołowicie przechowywał wywód herbowy i nadania królów polskich. Cud, że ta szkatułka przetrwała przez pogorzele dziejowe. Woskowe pieczęcie świadczyły niemy głosem protestu — boć nic już z przywilejów szlacheckich pod caratem nie zostało z jednym wyjątkiem: szlaccica nie można było karać chłostą.

I oto pan Rymaszewski ma witać głowę państwa, równego królom, którzy przywilej szlachecki ubezpieczali. Wielki to, doniosły, wzruszający dzień. Pan Rymaszewski od dawna już przed wrotami obejścia stoi w swoim świątecznym ubraniu, w długich spodniach, w krawacie czarnym z tacją, na

której chleb i sól.

Przyjechali roztrzęsionym fordziakiem łapacze, nadażył za nimi lśniącą szewroletą pan starosta, potem chryslerem pan Wojewoda, za nim we wspianym cadillacu — Włodarz tej Ziemi, Królów Następcą, Dysponent Żywotów, Szafarz Łask. Wystąpił pan Rymaszewski, podał tacę. Głęboko się skłonił kmięć z Wierzchosławic, tacę adiutantowi przekazał. Wtedy pani Rymaszewska podała mężowi szkatułkę.

Spojrzał Witos na pergaminy i nie rozumie. Wojewoda szepcze usłużnie, że to herbowe nadania.

Nie w smak poszło Witosowi. Szukał na tej ziemi oporów przeciw rozzuchwalonemu jaśniepaństwu.

— Po cóż wam, panie Rymasewski, te papirki? — zamazurzył.

Mądry był chłop Wincenty z Wierzchosławic. Nosił długie buty, premier czy tam nie premier, nie włożył za Boga krawata, nawet kiedy królową rumuńską przyjmował. Gdyby raz włożył krawat, gdyby zaczął mówić jak Andrzej Kijowski, wraz by się skończył.

Pana Rymaszewskiego war oblał. Jezus Maria! — to o królewskich nadaniach. To ten...

Od butów Witosowych podniósł oczy na kmiotkową koszulę, która tkwiła tam, gdzie mu się marzyła delia i czaple trzęsienie.

— A ot, po to, że jak chamuków — tu pchnął samozwańca sztywnym starczym palcem w pierś — w dupa bili, to nas nie mogli.

Kto by to widział? W amerykański ziemi?

Pół „Ziela na kraterze” to z opowiadań żony, którą „kwitowałem z konceptu” w myśl Wacława Potockiego:

Kwituje mąż z konceptu, choć się żenię zdarza, Dostyc ma, że nie szuka w domu kałamarza, Cnotliwa, trzeźwa żona...

Choć sama nie pisze, dość, że nie przeszkadza, Nie kłóci, nie hałasi, mężowi dogadza.

Nagle — „poszukała kałamarza” z winy czytelników „Ziela na kraterze”, zarzucającymi pytaniami — co dalej? Napisaliśmy więc tę część książki na wspólnie (oby tylko teraz nie zaczęła „hałasować”).

Mój „przylacieł” i kolega.

(opowiada babunia).

Las stał w białoróżowych bukietach rododendronów i w dywanach mchów.

— Naziwa się po polsku: mech — małe łapki przesunęły się przez przeświecone popołudniowym słońcem wszystkie odcienie mchowych zieleni aż po głęboki brąz.

Daleko zaszła polszczyzna Ewy od tej mroźnej zimy 1949 roku, kiedy przyjechaliśmy do USA. Las wokoło naszego farmerskiego domku tonął w głębokich śniegach. Odkopywaliśmy co rano łopatami ze śniegu dom jako pierwsze przeszkolenie amerykańskie: do it yourself (zrób to sam), jak wszyscy naokoło.

Ewa miała wtedy półtora roku i gdy zobaczyłam ją w kapturku i płaszczku barszczowego koloru, który donaszała po dzieciach amerykańskich sąsiadów, nie mówiła jeszcze żadnym językiem. Popatrzyła na mnie dro-piato-szarymi oczkami i podniosła obie rączki w jednopalczastych rękawiczkach, dając wyraźnie do zrozumienia, że wcale, ale to wcale nie ma ochoty na seli-help (samodzielną) podróż wśród śniegów do domu. Trzyletnia Ania przepedałowała koło nas na dzieciennym rowerze z okrzykiem: „Hi!” i zniknęła za zakrętem.

Wzięłam Ewę na ręce i tak rozpoczęła się gorąca przyjaźń moich amerykańskich lat.

Słów nie było nam potrzeba, tym więcej, że wielki bernard sąsiadów stowarzyszył się z nami również bez słów. Od razu było widać, że kompania jest dobrana. Za pośrednictwem Ani powiększyła się o sąsiedzkie dzieci: Evelyn i Suzy, Henry i Freddy, z którymi Ania porozumiewała się zabawną angielszczyzną.

Ania nie bała się niczego, ani lasu, ani zapadającego zmroku, ani tego, że chłopcy są mocniejsi od dziewczynek. Biła się na pięści doskonale i zdobyła

sobie w tym dziecinnym dzikoludztwie przodujące miejsce.

Chodziła po obrębie farmy sama, zapuszczając się krzewami w las. Wtedy posłyszałam pierwsze polskie słowo Ani:

— Aniu, gdzie ty? — wołam zalękniona.

— Tu-ci! — odnalazła się w gąszczu leśnym.

Innego znów wieczora wystraszona matka obszukiwała las, aż wreszcie znalazła dziewczynkę wtuloną w miękki mchowy dołek, gdzie spała smacznie.

Moja spacerowa kompania rosta jak na drożdżach i porozumiewaliśmy się coraz lepiej.

Najpierw piosenką:

A piesek: hau, hau! A kotek: miau, miau... A baranek: be, be, be... A Ewunia: he, he, he!

Pomagali nam w rozumieniu treści piosenki i sąsiedzki pies Princy, i nasz kot Pópiołek, i baranek, którego przysłała ze swojej farmy „ciocia” Krysia.

Ewa rozglądała się w otaczającym świecie spoza mojej spódnicy, od której nie mogłam odczepić jej łapek.

— Boiś... — motywowała — i z naciskiem raz jeszcze: — Boiś!... Freddy byje (bije), Ania — byje, Evelyn — byje, Henry — byje... świści (wszyscy) byjum (bija).

Przetoczyło się lato w spacerach po lesie, w zabawach w piasku i polskich kołysankach.

Wytrząsałam z pamięci cały zapas przywieziony z Polski: że „srocza kaszkę warzyła, ogonek sobie sparzyła”, że „latała mucha koło Woj-tusia ucha” i że „chodził Baj po ścianie w czerwonym kaftanie”. Wkoło nas latały muchy i bzykały osy, a zamiast sroczek skrzeczały blue jays (sójki amerykańskie).

Dzień na farmie był wypełniony ciężką pracą. Ania z młotkiem lub szpadlem w rączkach poważnie towarzyszyła tacie i na polecenie mamy odnosiła sąsiadom zakupione jajka. Ewę pakowała mama do jednego z maleńkich wagoników, rozwożących pokarm wzdłuż kurników. Kur było tysiąc i pięćset i malutka Ewa. Czasem, mimo zbiorowego gdakania w kurnikach, przespała czas czekania, aż mama skończy robotę, a zdarzało się, że kiwnąwszy się wypadała z wagonetki i protestowała wielkim płaczem.

Gdy skończyła dwa lata, wyprawiła się z korkiem zbierać jajka.

uważaj, jajko, bo będzie jajciecnicia...

Pewnego popołudnia ujrzałam mamę, trzymającą pod pachami dwa wrzeszczące dzikoludki, kompletnie czarne: pozrzucały sukienki i starannie od stóp do głów umazały się błotem. Mama postawiła je pod pompę i, splukawszy błoto wydzieliła po solidnym klapsie. Po czym, wzięwszy z obu stron pod pachy, niosła, świecące pupkami, do domu. Cisza przedwieczorna farmy została zmacona takim wrzaskiem, aż poderwały się w kurnikach zasypiające na grzędach kury. Wybiegam przed dom, odbieram ten bagaż i pytam — co się stało?

Byłyśmy brudki, a teraz jesteście tłuczki - pochlipują (jajka „brud-ld” idą do umycia, a „tłuczki” - do kuchni).

Ewa, uratowana z jakiejś kolejnej dziecinniej rozpaczki, objęła mnie rączkami i powiedziała z całego serca:

— Ty mój przyłacieł, ty mój kolega!... Bernard Princy też zresztą był „przyłacielem”.

— Bo do nas przylatuje — tłumaczyła.

Princy sprowadzał na nasz ganek do przygotowanej dla niego miski bezdomne psiny

— chyba z całej leśnej okolicy! Siadał z daleka i patrzył, jak jadły dary dzieci, wyproszone od mamy przy pomrukiwaniu taty.

Kot Pópiołek był przykładem spełniania obowiązku; z dumą przynosił na ganek złapane myszy, uzyskując uznanie taty, i z pogardliwą miną przyjmował moje wymówki, gdy przyniósł nam na ganek pisklę z gniazdka nad werandą.

Gdy o milę huczała autostrada, tu była szczerza wieś.

Ojciec raz przyniósł oposa, którego utłukł kijem; innym razem przydybał skunksa zakradającego się do kurnika, stoczył z nim zwycięską, ale tragiczną walkę, bo musiał zrzucić ubranie przed wejściem do domu i długo się szorować pod prysznicem.

Uczył życia i świat otaczających nas ludzi. Wszystkie trzy przyjmowałyśmy entuzjastycznie propozycje mamy: wyjazdu w sąsiedztwo i do miasteczka. Auto nasze było starym furgonikiem, w którym drzwi trzeba było zaczepiać o haczyk kawałkiem sznurka. Kochaliśmy go — Wszak otworzył nam świat!

Ledwie odświętowaliśmy pierwszą polską Wilię z opłatkiem, pierwsza choinkę, która olśniła dzieci świeczkami i podarkami, a już mamy obcho dzić pierwsze uroczyste urodziny Ewy. Trzyletni Kopciuszek, patrzący nieco trwożnie na świat zza mojego fartucha, dostał różową sukienkę i po złocistą koronę i promienieje, przyjmując wyszorowaną i strojną sąsiedzka kompanię. Ewa gasi na imieninowym torcie swoje trzy świeczki a chór wyciąga:

Happy birthday to you,
Happy birthday to you, Happy birthday, dear Eva,
Happy birthday to you!...

Dzień jest niezwykle uroczysty i nawet chodzący swymi drogami kot Popiołek wytrzymuje jakoś błękitną kokardę na szyi.

Urodziny Popioła urządziła Ania, zapraszając dziewczynki z ich kotkami. Kolacja była rybna ku pełnemu zadowoleniu Popiołka. To za pośrednictwem Ani nasza grupa towarzyska powiększa się o zwierzęta. Znosi nam najrozmaitsze gatunki owadów, glist, żab, motyli i ptaków. Robi samodzielne odkrycia, nim w kilka lat potem (nie należących już do tego opowiadania) dożegluje do mikroskopu. Lato jest niezwykle upalne i Ania znajduje w lesie dużego żółwia, ginącego z pragnienia. Z amerykańską zaradnością swoich czterech lat stara się oblać go wodą ze starej leśnej studni, zawiesiwszy się rączkami na pompie. Ten fragment naszego życia uwiecznił „Life” wraz z Anią, jej warkoczykami, żółwiem i staroświecką studnią. Oczywiście do naszej kompanii okresami należą i maleńkie żółciutki kurczątko świeżo wyklute w inkubatorach na farmie „wuja” Benia. „Wuj” Benio i „ciocia” Ruta są właścicielami wielkiej farmy w sąsiedztwie. Z Polski już dawno wyjechali i życie spędzili w Belgii. Coś jednak ciągnie ich na naszą skromną farmę, do naszych dwóch dzikolud-ków z jasnymi warkoczykami.

Serca Beniów podbiła dawno Ewa, którą, zajechawszy do nas, zastali o zmroku samą jedną i płaczącą w łóżeczku; wracając z miasta powtórnie wstąpili, aby sprawdzić, czy rodzice są już w domu.

Tego Ewa pamiętać nie może, ale wita ich tak serdecznie, tak uprzejmie przynosi krzeselko cioci Rucie, pytając, czy nie chce się czegoś napić, że ciocia Ruta zdumiewa się:

— Beniu, Beniu, chodź! Co to dziecko mówi?!

Ewa ma ledwie trzy latka.

Iski obyczaj i kultura przyszły też do dzieci z farmy sąsiedzkiej, e stare srebra i zastawy stołowe serwuje pani Górską, babunia Małgosi i Jagusi, wraz z obyczajem, przywiezionym z dworu kresowego z Polski. Kiedy jeden z sąsiadów Polaków sprzedał farmę i wyemigrował do miasta, pani Górską wzdychała: „Znowu polska ziemia przeszła w obce ręce”. Prócz tej oazy przeszłości wkoło otacza nas nowy, polsko-amerykański świat. Bułki przywozi wielkim truckiem* „wuj-Chleb”, po mleko wędrujemy co dzień przez las do właścicielki dwóch krów, „cioci Mu”, a liczne ciocie” i „wujowie” polscy z Nowego Jorku pojawiają się w każdą niedzielę, obładowani paczkami dla dzieci. Stragan z owocami i jarzynami przy drodze do nowego Jorku prowadzi ciocia Hela, chrzestna matka Ani, która rozpacza nad naszą „dipisowską” farmą serdeczną opiekę. Nie pozostaje w tyle farma wuja Heńka, który pomaga rozstrzygać problemy stolarskie farmy i wraz z ciocią Janka mają, ku szczęściu Ewy, która wielbi „bebiki” (od baby — dziecko), małą córeczkę, chrzestną córkę

naszego taty.

Koledzy taty, robotnicy z fabryki dywanów, uradzają, żeby jaj nie sprzedawać hartownikowi. Tata rysuje wielkie napisy na tekturowych tablicach i umieszcza je z przodu i z tyłu obu małych figur, które z dumą defilują przed fabryką reklamując po amerykańsku świeżutkie Thursday eggs, które co czwartek rozkupują koledzy z dywanowej fabryki.

Na ogół dzieci, urodzone tutaj, lepiej od nas znoszą gorący a bardzo wilgotny klimat. Trzeba się do niego przyzwyczaić, tak jak do pracy fizycznej na farmie i do tempa amerykańskiego życia.

Tata wychodzi na nocną szychtę do fabryki o dwunastej w nocy, wraca rano o ósmej. I jakież to spanie w ciasnym domku z małymi dziećmi? Tym bardziej że farma wymaga jego współdziałania. Mama obrządza swoje tysiąc i pięćset kur wraz z wywożeniem nawozu i wszystkie sprawy domu i dzieci opierają się o nią. Kiedyż ma spać? Za północ trzeba czyścić jajka, po które raniutko przyjedzie dealer, o szóstej już budzą się dzieci, w międzyczasie trzeba zejść do piwnicy podsyćć drzewo-węglowy piec, by nie wygasł do rana, a nierzadko utulić po drodze "rStłasnny" sen o Babie Jadze, którą ucieleśnił psotny kuzyn spędzający z nami wakacje.

Nawet ja, rodzinie oszczędzana, nie wiem, jak pozbierać się z kościąmi po ogrodowej robocie, a ból krzyża po całodziennym gotowaniu — zmywaniu — sprzątananiu — prasowaniu nie daje zasnąć.

Ochroniamy zbiorowym wysiłkiem pisanie dziadunia, który ślęczy nocami, wspomagając mamę wieczornym czyszczeniem jaj.

Raz po raz grypa umiejscawia kogoś z nas w łóżku. Dziś zaziębiona jest Ania i mama tak pięknie uczesała jej warkocze i taką ładną dają koszulkę „od cioci Heli”, że przechodzący przez pokój dziadunio mówi:

— Tak wyglądasz pięknie, jakbyś była w szpitalu, który ma odwiedzić królowa angielska.

— Wiesz — mówi tajemniczo Ania powracającemu do domu tacie królowa polska przyjedzie do Ani.

— A czy ona ma chryslera, jak ciocia Marysia, czy przyjedzie truc-kiem? — zwraca się do mnie — eksperta polskości.

— Trakiem — mówię — ale ona i tak jest królową...

Santa „Klas”.

(opowiada dziadunio).

— Dzieci, gdzieście się podziały?

— My tu... — dochodzi stłumiony głos.

Babunia schodzi do piwnicy i widzi lalki rzędem usadzone pod ścianą.

— Przecież ty, babuniu, tak robiłaś z rannymi w czasie powstania.

— Wychodźcie — babunia robi sobie wyrzuty.

— O, ja też nie chcę jak ta dziewczynka, co pomagała żołnierzom, być „szczurem piwnicznym” — winduje się z piwnicy Ania.

Ale czteroletnia Ewa coś marudzi. Wreszcie ukazuje się przejęta i zwierza babuni:

— Wiesz, Niemcy zajęli śpital. Ale nie bój się — ja im dałam jabłko, które Baba Jaga dała Śnieżce, i oni zasypiają. Ewa najprzód nauczyła się żegnać; a teraz już umie „Ojcie nasz”.

— To już mam dwa słowa do Pana Boga — cieszy się.

Ale nauka „trzeciego słowa” do Pana Boga, mianowicie Zdrowaśki, jeszcze szwankuje:

— Módl się za nami gzecnymi, któzi się do Ciebie uśmiechamy (pomieszało się, coś z „Pod Twoją obronę”).

Problem grzeszności widać w tym wieku jest równoznaczny z problemem grzeczności, a uśmiech — jedyną ucieczką wobec sił tego świata. Mała Ewa przed zaśnięciem nakazuje daduni:

— Psinieś skoć tep (taśma klejąca), żeby babunie do łóżiečka psykleić... Zęby

nie odeśła.

A kiedy babunia się gniewa, Ania oświadcza stanowczo:

— Nie chcemy takiej baby-sitelki, co się złości.

Jak tu chować te amerykańskie dzieci? Wczoraj odprowadzała Anię do szkoły i widziała, jak chłopaczyska ze starszych „gradów czubiły się nie na żarty; na to wypadła z zabawką tommy-gun (karabin maszynowy) w rękę siostra, krzyknęła: Hands up! (ręce do góry!), wszystko zamarło z podniesionymi rękami i zagnała całe towarzystwo do klasy.

Babunia jeszcze nie nauczyła się operować tommy-gunem, więc, starym ojców naszym szlakiem, wylewa obficie smrodek dydaktyczny:

— A że widzisz, Aniusiu... A że już kończysz sześć lat... a że to już taka duża dziewczynka... A zobacz, jaka jest rozsądna Nel „W pustyni i w puszczy”...

Ania spuściła bose nóżki z łóżeczka. Dwa warkoczyki nad podziw grube okalają poważną twarzyczkę.

— Moja babuniu — podnosi błękitne oczy, które czasem robią się jakieś oleiste, powłóczyście, dziwnie urzekające — sześć lat i osiem lat, to wielka różnica.

Ale widać uważa, że i babunia ma część racji, bo przy wieczornej Zdrowaśce po słowach: „módl się za nami grzecznymi” urwała, zastanowiła się i dodała z przekonaniem: „i niegrzecznymi”.

Nauki babuni nie idą całkiem w las. Ania jest wzięta do „obrzydliwego” doktora, który zawsze najpierw zmani „lolipopami” (lizaki), a potem znienacka robi „pik” (zastrzyk). Lepiej więc zapobiegawczo wrzeszczyć przekraczając próg poczekalni. Tym razem, naumacniana przez babunię, Ania nie płacze, ale siedzi boczkiem na części krzesła, przytulona do ściany.

— Czemu tak siedzisz bokiem?

— Żeby dać miejsce z prawej strony aniołkowi, co mnie do dobrego namawia, i nie dać miejsca z lewej temu, co mnie kusi.

Otoczający dzieci świat nie jest nigdy pusty; zaludniają go aniołki, smoki, Baby Jagi, wróżki. Byłoby to źle, gdyby nie to, że pomiędzy życiem prawdziwym a wyobrazeniowym istnieje stały solidny most „na niby”. Po tym moście przesuwa się, co potrzeba w miarę zachodzących okoliczności, i ma się kompletny spokój światopoglądowy.

Ania straciła pierwszy ząb. Uciecha. Nosiła się z nim, aż zgubiła. Tragedia. Bo przecież wróżka za ząbek schowany pod poduszkę podkłada prezent. Ania poradziła sobie, podkładając bardzo podobny kamyczek. Na drugi dzień zamiast niego znalazła mały budzik. Nre posiadała się ze szczęścia, że ją budzik będzie budził do szkoły. Na drugi jednak dzień nie obudził, znikł, natomiast leżał list od wróżki, która spostrzegła, że otrzymała kamyk. Bardzo starannie wywodzony list Ani tłumaczył, że ząbek naprawdę był, tylko zginął. Na drugi dzień budzik okazał się pod poduszką. Ale w tymże dniu Ania mocno rąbnęła Ewę po łepetynie. Budzik znów znikł, a w liście wróżka napisała, że go zwróci pod warunkiem takim: budzik na każdą niegrzeczność ostrzegawczo zadzwoni. Po trzecim ostrzegawczym dzwonieniu — wróżka go zabierze na zawsze.

__Pisz list — radzi daduna... spiritus movens całego szantażu na biednym dziecku.

__ Trzeba pomyśleć — mówi poważnie Ania.

Myśli dzień, myśli dwa. I decyduje się nie pisać. „Bo przecie tak się może zdarzyć, że będę niegrzeczna”. Woli nie mieć budzika i nie wyjaśnionych sytuacji.

Ewa — ta by naobiecowała wszystkiego, czego by tylko wróżka zechciała.

Ale Ania — myśli.

— Wiesz, babuniu — mówi z goryczą, — nie warto się modlić... Wszystkie modlitwy mówiłam, żeby u nas w ogródku biegały wiewiórki. A czy On je przysłał? Wcale nie... Już nigdy nie będę się o nic modlić... Nie

warto... Nie da... A kiedy babunia, spłoszona tym bezbożnictwem, poczyna coś

tłumaczyć,

dziecko surowo przerywa:

— A ty w Warszawie modliłaś się?

— Tak...

— No i widzisz, co ci zrobił...

Z Ewą nie ma intelektualnych kłopotów. Wyprawiła się z daduną do sklepu, do odległego o milę Glen Cove. Daduna, lew salonowy z tej to szkoły, która uważała, że damom perły się kładzie pod nogi i nie ma nic dla nich za drogiego, ze ściśniętym sercem, macając w kieszeni papierowe dolary, powiedział:

— Wybieraj...

Bo na półce były kolosy lalkowe po kilkanaście dolarów. Nie tylko mówiące, nie tylko zamykające oczy i chodzące, ale i mające bijące serca, ale i mające prawdziwe włosy, które można czesać.

Na szczęście drobna laleczka za dolarów 2,95 miała koronkowe majteczki i to zupełnie oczarowało Ewę.

Drogę powrotną do domu przeszliśmy w upojeniu, - Ewa jedną ręką tuliła lalkę, drugą trzymała mnie za rękę. Droga z Glen Cove szła cały czas pod górę. Mała mimo to cały czas szła w radosnych podskokach, z policzkiem przytulonym do mojej dłoni. Bardzo to wszystko było skomplikowane i możliwe jedynie przy wszechobejmującej radości, która rozpieła drobna figurę. Mój Boże! — czy istnieje jakakolwiek cen aby człowiek dorosły dostąpił takiej euforii?

Lalkę na mój wniosek nazwaliśmy Eulalią. Zdetronizowała przywie zioną przez dadunę z Kanady Melanię.

To były dziecinne igraszki. Zbliżał się kataklizm doroczny nazywany santa Claus.

Nie dało się ukryć przed damami, że „Santa Klas” ma zwyczaj nanoszenia naręczy podarunków. Ewa, myjąc Eulalii nóżki i układając do snu obiecuje jej kołyskę, sukienkę, żelazko z deską do prasowania, szafę na ubrania, parasolkę, willę, automobil i lichy wie co. Uważamy, że bardzo niepedagogicznie wychowuje dziecko. Wreszcie Santa Claus zwałił się na Amerykę i na nasze biedne życie.

Dalibóg — nowoczesne pogaństwo.

Już na wiele miesięcy przedtem po licznych szkołach Santa Clausów uczono kandydatów nosić brodę i poduszkę na brzuchu i pokrzykiwać tubalnym głosem „Ho !... HO !...” Już na wiele miesięcy przedtem ogromne Department Stores zamawiały żywe renifery, które mają wozić oryginalnego amerykańskiego „świętego”. Fabryki całą parą przygotowywały miliony figur.

Santa Claus w niczym nie przypomina świętego Mikołaja w dostojnych biskupich szatach.

Zdawny to był zwyczaj, od żaków krakowskich się pono jeszcze wywodzący, że w dniu świętego Mikołaja student, przebrany za świętego Mikołaja, w asyście Krakowiaka, Anioła i Diabła zbiera datki (za moich czasów) na Towarzystwo Szkoły Ludowej.

Wyruszyłem kareta z wielkim kolorowym sztandarem i w asyście przebranych kolegów. Pókiśmy objeżdżali obchody, zamówione przez ochronki, żłobki, szkoły, szpitale, domy starców i inne świątobliwe instytucje, szło jako tako. Ale potem, kiedy poczęliśmy kwestować po knajpach, miałem kłopot z aniołem. Był nim Kazio, późniejszy wielce szanowany eskulap. W swojej lnianej peruce, której by się nie powstydział żaden platynowłosy wamp, w swojej różowej damskiej koszuli z koronkami i z gębą naróżo-waną, sypiąc wonnym pudrem, wyglądał nie tyle na pierwszorzędnego anioła, ile na trzeciorzędną anielicę.

Pijaki po knajpach zachwycone, że im się nadarzyła tak miła sposobność okazania nabożności, łapały anioła, sadzały na kolana i tak mi go podpoily. że bestia rąbnął kekuoka, najrozpuśniejszy wówczas taniec. Musiałem go pod troskliwą opieką diabła wyprawić do domu.

Amerykański Santa Claus jest to drab brzuchaty z mocno czerwonym nosem w krótkiej czerwonej kacabai, uwielbiający tumult i wrzask. Toteż nie cieszy się

żadnym szacunkiem, a fabryki, wyrabiając go z plastyku lub gumy, zachęcają do kupna, bo jest tak trwały, że endures the haid punishments (wytrzymały na najgorsze traktowanie). Biją go, szczypią i popychają, ale bo też prowadzi się nie jak święty.

Na dworcu poprzez huk reklam, snucie się tragarzy, wrzask i łomot dochodzą pobożne pienia: to procesja murzyńskich dewotek w grubo krochmalonych krótkich komżach, sterczących do pępka, trzymając zapalone świece, bierze udział w tygodniu competition (zawodów) różnych wyznań. Na zakończenie wjeżdża Santa Claus na motorze Diesla. Już i reny, zdaje się, pójdą do dymisji razem z czołowym renem Red Nose (Czerwononosy), któremu na nosie zapala się i gaśnie czerwona żarówka.

Zdarza się, że towarzyszy mu mistress Santa Claus — pani Santa Claus w grubym negliżu.

— Cóż tak narzekasz na mechanizację Santa Clausa? — pyta babunia. — Czyż nie narzekasz, że gospodarstwo domowe zabiera tyle czasu? A tak, czekaj, przyjdzie czas, że pokręcisz kurek w ścianie, połkniesz syntetyczną pigułkę i wrócisz do pracy albo do zabawy. Twój święty Mikołaj, którego po Krakowie obwoziła konna kareta, tego nie uznawał, ale Santa Claus...

Daduna skończył otwieranie automatycznym otwieraczem puszek z bulionem. Równocześnie taką samą puszkę otwierało sto pięćdziesiąt milionów Amerykanów. — Wiesz, do nas z trzech powiatów zjeżdżano do Alinki uczyć się jakiegoś specjalnego sekretu kucharskiego. Z tej plazmy nowogrodzkiej indywidualistycznych panien Alin rodził się Mickiewicz.

— Ania i Ewa znajdują inną plazmę.

Szaleństwo nowopogańskiej zmechanizowanej orgii Santa Clausa było na schyłku. Wszędzie po ulicach wiatr nosił strzępy jego czerwonej kacabai. Dzieci były przesyccone prezentami i wrażeniami, zblazowane.

Daduna szedł ulicą trzymając Ewę za rączkę. Od małej figury z dołu szło nieustanne gadulenie. Nagle bystre oczki wypatrzyły nową sensację: w biurze podróży w oknie ustawiono stajenkę; autentyczną stajenkę, o jakiej opowiadała babunia, z osiołkiem, z wołkiem, z pasterzami, z Dzia-dziusiem i z Najświętszą Panienką w błękitnym welonie.

Mała zatrzymała się, przeżegnała się solidnie i z namaszczeniem i powiedziała „drugie słowo” — „Ojczy nasz”. Daduna starał się ukrócić ten zwracający uwagę performance, ale się nie dało. Ewa poczęła wybijać jakieś korne pokłony, uroczyste żeganie się i zabrała się do „Zdrowaś Maria”. Podniosła pociemniałą ze wzruszenia twarzyczkę ku oknu którym jakieś utlenione wydry z ubawieniem pokazywały sobie tę scenę i wówczas po raz pierwszy daduna posłyszał, że już opanowała i „trzecie słowo”:

— Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinie śmierci naszej Amen.

Something special.

(opowiada babunia).

Wyjazd z farmy najmocniej przeżyła Ania. Czy działały tu jakieś atawizmy pokoleń osiadłych na ziemi — nie wiem. W każdym razie nie dotrzymała kroku amerykańskiemu way oi lite, które pędzi po przestrzeniach Ameryki, z łatwością pozostawiając za sobą dom wraz z całą zawartością, wymienia auto na coraz nowy rocznik i swój job na coraz to inny i do poprzedniego niepodobny.

Ewa i Popiołek rozpoczęli tylko — każde na swoją rękę — poszukiwania babuni po wielkim nowym domu na Long Island i otaczającym go ogrodzie.

Popiół zinspektował wszystkie kąty i miauknął głośno pod drzwiami naszego mieszkania. Gdy uchyliłam drzwi, podniósł na mnie oczy z lak ludzkim wyrazem, że raz jeszcze przekonałam się, jak zbyteczne są słowa:

— Ach tak — odetchnął z ulgą — jesteś, no to dobrze. Będziemy tu sobie żyć.

A tymczasem Ewa rozpaczała, obiegając dom:

— Zgubiła się babunia...

Biegnę na jej głos, ale już obiegła dom w pogoni za mną. Biegnę, ale mała ma szybsze nóżki; więc zawracam, biegnę w przeciwną stronę, by jej przeciąć drogę, ale i mała, widać, zawróciła, bo słyszę jej głos z przeciwnej strony.

— Ba-buu-naa!... Ba-buu-naa!... Wreszcie stuknęliśmy się nos w nos.

— Jest!... Znalazła się!...

Trudno opisać napięcie ulgi i uradowania w tym okrzyku.

Ania rozejrzała się w nowym miejscu, widzi dzieci idące do szkoły.

— Mamusiu, ja pójde do szkoły. Za mała jeszcze jesteś.

O, nie — mówi Ania — widziałam: przed szkołą są dzieci mojego size'u (to znaczy „wymiaru”, według którego jej kupowano sukienkę)

Nie na próżno uczyliśmy się przez zimę i lato czytać i pisać na ruchomych literach, rachować na obrazkach i przedmiotach. Da sobie radę choć do size'u brak jeszcze pół roku.

Czytaliśmy namiętnie: najpierw kolorowe serie dziecinne, wynajdy. wane przez Anię w food-storze przy zakupach żywności — o Cinderelli o Śnieżce i krasnoludkach, o angielskim Donald Ducku, włoską historię Pinocchia, i „Bajki” Andersena. Wszystko to czytamy po polsku, oczywiście z angielskich tekstów. Doszłam już do takiej wprawy czytania strona za stroną angielskich książek po polsku, że po odkryciu sklepu papierowego „naszego pana” na Colony, gdzie można kupować i książki, stosujemy ten sam system do książek, na które wydajemy wszystkie zasoby pieniężne nas wszystkich trzech.

Przysyłają nam czasem z Polski paczki książek dziecinnych. Słuchane są uważnie, z rozmysłem, ale nie przylegają do życia. Tylko Ewa domaga się powtórnego czytania bajek w „Bazarze polskim”. Przywiózł nam go jeden z „wujów” z Nowego Jorku, mówiąc z żalem:

— Moje dzieci już nie chcą czytać po polsku...

Podobno piętnaście tysięcy książek dla dzieci produkują rocznie w USA. Mamy co czytać...

Wpakowałam się w serię opowiadań o Tosi i Luciu, co mieszkali w Polsce. Seria ta ciągnęła się przez całą zimę i żadnym innym opowiadaniem nie można zastąpić jej dalszego ciągu. Westchnąwszy, pomna na zeszłoroczną interpelację Ani: „Powiedz, co to ta Polska, o której ciągle mówicie. Ania nie wie, Ania nigdy nie widziała...”, postanowiłam serię wypełnić treścią z różnych okolic Polski.

Próbowaliśmy czytać „O krasnoludkach i sierotce Marysi” Konopnic-kiej. Szło powoli i trzeba było wydobywać z siebie inwencję skrótów i wyjaśnień.

Do naszej kompanii przybył teraz gramofon, który „umie” wygrać polskie melodie.

Mama zastaje takie ochocze rond mazurkowe i takiego kujawiaka, że nawet ona nie śmie zapędzić do łóżek.

Jeszcze trochę, jeszcze kilka miesięcy mamy, aby się nabawić, naczytać, naspacerować, natanńczyć, narozmawiać. Potem już Anię zabierze szkoła. Jest w domu książka „O Małgosi, Swineczce, Piesku Fufciku i niegrzecznym Króliczku”, którą napisał dziadunio, kiedy mama była jeszcze małą dziewczynką — i w dodatku z kolorowymi obrazkami:

— B-a-r-t-ł-o-m-i-e-j-c-z-y-k-a — sylabizuje Ania.

I wzruszonym głosem mówi zdziwiona:

__ ja już umiem czytać!...

Droga od pierwszych kart elementarza: „tu las — tu lis — a tu Ala”, czytania dziecinnych książek jest u Ani bardzo krótka. Na próżno ambicja rozpiera małe ciało Ewy, pracowicie składającej na dywanie litery ruchomego alfabetu — nie może nadażyć za „Anusią”.

Nasze zainteresowania mnożą się. Ania inicjuje coraz inne zabawy, w których biorą udział misie, lalki papierowe i lalki „prawdziwe”, coraz większe, takie, co zamykają i otwierają oczy, takie, które można myć, lalki z włosami, które można układać w loki, pies Skrzat, przyjaciel Po-piołek i dzieci mieszkające wkoło naszej ulicy. Jedziemy pociągiem, okrętem i samolotem, urządzamy sklepy,

szpitale i teatry, zapraszamy na podwieczorek dziadunia i rodziców i mieszkamy w najrozmaitszych miastach. Oczywiście wszystko to musi być po polsku, bo jakże inaczej z babunią?

Czasem Dziwożonka wymyśli nieoczekiwaną zabawę: w dzieciennym pokoju spiętrzyły się meble dzieci i lalek, tworząc warszawską barykadę, a z niej wysunięte dwa kije-lufy:

— Beng, beng! — odzywa się barykada — beng, beng! — dopóty, oóki wszyscy, rodzice i dziadunio, i ja ze Skrzatem, nie leżymy jak dłudzy na podłodze.

— Skąd ci to do głowy przyszło? — pytam strwożona nawrotem wspomnień.

— A taką jedną książkę z Warszawy znalazłam z obrazkami u mamy... Główny hazard naszych wieczorów to gra w „Starą Pannę”. Dziadunio uczestniczy w niej namiętnie.

— Babuniu — woła Ania — źle wybrałaś sobie męża, nie gentleman!

— Nie martw mnie — mówię — dlaczego nie gentleman?...

— Wyśmiewa się z tych, co przegrywają w „Starą Pannę”.

Ewie trzęsą się łapiny, żeby nie przegrać! Wkrótce obwieszcza z rozpaczą, że jest Starą Panną na całą noc, do czego dziadunio umie jakoś doszachrować mimo skupionej na nim naszej uwagi.

— Nie mów nic do niego — żąda ode mnie zrozpaczona, a po namyśle, prosto z serduszka dodaje: — Daj mu tylko jeść, zięby nie umził...

Wieczne czytanie, gdy dzieci po umyciu są już w łózkach, to nasza własna godzina.

Nigdy nie można znaleźć mniej ciekawego miejsca, gdzie nie szkoda "y się było zatrzymać. A poza tym: a nuż mama wcześniej wróci z Nowego Jorku i zobaczymy ją? Mama pracuje w Time'ie" i bardzo późno wraca.

— Gdybym ja była „boś" (czytaj: boss — to znaczy przełożony) — mówi Ewa — wsiłtkie mamusie wychodziłyby do domu o tsi godzi prędezej niż inni ludzie.

— Do Ciebie, Bozie, rącki podnosię... — wyciąga do góry ręce Ewa. Klęczą obie w nocnych koszulinach. Dziś nie powie „dobranoc" mamusia.

Ania więc już się wysuwa z naszego ciepłutkiego dnia. Kocha szkołę i zakonnicę, ma mnóstwo koleżanek, które ją odprowadzają do domu i boy-frienda, który nosi jej książki.

— Czy nie za wcześnie na pierwszą komunię świętą Ani?

— Ania is something special — odpowiada sister Philip. I Ania jej nie zawiedzie.

Ania jest special. Istotnie.

31 maja przystępuje Ania do pierwszej komunii. W przeddzień po raz pierwszy w życiu idzie sama do kościoła. Ku memu zdziwieniu wybrała kościół polski, Świętego Jacka.

Wzrusza w niej wiara w to, co mówią starsi, i w to wszystko, co jest przez szkołę do wierzenia podane.

Jest jeszcze bardzo dziecinna i rozpacza, że na jej białym sercu grzechy robią czarne kropki!

Młodsza siostrę trzyma w ryzach moralnych. Wrzask! — to Ania „kujnęła" Ewę:

— Babuniu, ja chcę ją oddać pod opiekę Matki Boskiej, a ona mówi, że jak Matka Boska nie zrobi tego, o co ona prosi, to ona pójdzie sobie do piekła.

Wspólnymi siłami zabieramy się do małego poganina, ucząc go „kolejnego słowa do Pana Boga". W szkole mówi się oczywiście tylko po angielsku.

— Wolę mówić po angielsku — decyduje Ania.

Rozumiem. Wszak po angielsku mówi sister Philip, którą Ania kocha swoją gorącą, niespokojną, dziecinną duszka.

— Oczywiście — mówię — ale ze mną to już mów po polsku, dobrze? Ustaliłyśmy za obopólną zgodą nauczenie się wierszy polskich. Mama ze wzruszeniem przyjęła wiersz Konopnickiej, którym dzieci podziękowały jej za święcone:

Ścielże się, obrusie, Jako śnieżek biały, Mojej mamy rączki drogic Ciebie

nakrywały...

Wieczorami, odbywszy lekcje szkolne, wracamy do swego programu. Opowiadania wciąż emocjonują, więc dalej wędrujemy w naszej polskości.

Nową pasją są zagadki i przysłowia. — Gość w dom — Bóg w dom zaskakują nas dzieci powitaniem różnorodnych gości z Nowego Jorku.

Nasze wieczorne przedstawienia dla rodziców komponuje po polsku (bo babunia nie miała by roli!) - Ania, która powoli harmonizuje swoje życie duchowe: angielskie szkolne z polskim domowym. Za to Ewa nie ma żadnych trudności patriotycznych:

— Ja urodziłam się w Polsce.

— Urodziłaś się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej — protestuje rzeczowo tata.

— Kto by widział: na obci, amerykański ziemi?

Istotnie: faux pas!

Ewa ustawia sobie hierarchie rodzinne:

--Ja najbardziej kocham rodziców. Ci ty?

— Nie, ja najpierw dziadunia, a potem rodziców i was.

— Jak ty taka dla moich rodziców, to idź z mego domu! I natychmiast łagodź sytuację:

— Psieciś ja też kocham twego dziadunia...

Oczywiście na pierwszym planie jest mama. Gorące i codzienne czekanie na mamę na stacji longislandzkiej kolejki stanowi część składową naszego dnia. Gdy telefon mamy powiadomi o późnym powrocie, zaczyna się płacz i podchody dla zdobycia możliwości czekania.

— Nie mogę zasnąć — popłakuje Ania — wczoraj nawet nie czułam, jak mnie pocałowała.

Ewa rozmyśla, że lalkom jest równie przykro, jeśli się je zaniedbuje.

— Wiesz, powiedziałam swoim dzieciom (lalkom), że ja żrobie week-end dziesięć dni otill (to znaczy, że weźmie- dziesięciodniowy urlop).

W stosunku do daduny ma Ewa pewne zarzuty:

— Ty mnie ścipieś, bijeś, dokuciaś!

— Ewuniu!...

— Tak! Jakby ci kto zabrał Dzwonaczka (misia) i porozstawiał buty, ciby ci było psijemnie?!

Muszę przyznać, że nie byłoby mi przyjemnie. Takie duże dziecko... — zaczynam.

Nie takie znowu duzie: jeden, dwa, tsi, ćtery — i juś!

Dziś daduna jest baby-sitterem i matka telefonuje, czy dzieci są grzeczne. O, tak — odpowiada Ania — szykujemy lasso na dziadunia.

Spracowany dziadunio — baby-sitier mówi grzecznie dzieciom dobra noc.

Sprawiedliwa Ania oceania:

— Ty też jesteś aniołek, taki średni aniołek — dodaje. Daduna melancholijnie rozmyśla:

— Gdzie mnie tam takiego grubego do nieba wpuszczą...

— Wpuszczą na pewno — pociesza Ania. Wtem straszne podejrzenie wkrada się do jej serca:

— No chyba, że nie jesteś ochrzczony.

— Ochrzczony to ja jestem — wzdycha — ale Ewie dokuczam. Ewie ściska się serce, że jednak za to dokuczanie daduna odpokutuje aż tak straszliwie, i pośpiesza go pocieszyć:

— To ty tak, na trosieckie do ciścia wskociś i ducho swoje umyjeś. W rodzinnych stosunkach objawia się solidarność kobieca:

— Doskonała zupa — mówi tata.

— A widziś, nie chciaeś się zienić z niktem (to znaczy... z nikim) — ujawnia swoje odkrycie Ewa — a jaką maś zionę?!...

— One pracują, a wy jeszcze mówicie, że w domu nie ma roboty! — dopełnia Ania, gramofonik, nagrany podsłuchanymi rozmowami.

Równie śmiało atakują dadunia, gdy powiedział jakiś złośliwy żart o babuni:

— Żeby tak mówić na swoją własną, kochaną żonę — kiwa głową Ania.

— Babuni nie dokuczaj — mówi Ewa na wyjeźdźnym do cioci Heli. — Mozie ci psiwieziemy prezenty, a mozie nie dostanieś.

„My, trzy panienki” (to znaczy, że babunia jest tą trzecią) — jak mówi Ania, musimy być solidarne.

Opinia o babuni jeszcze się waży na ogół:

— Babunia jest anioł — stawia twierdzenie Ania.

— Ale ciasem daje klapsy — rozważa Ewa.

Tylko w pracach gospodarskich babunia ma ustaloną opinię:

Panna Babunia — wycenia Ania — jest Panna Wszystko, Ania jest

Panna Trochę, a Ewa jest Panna Nic! Opinia ta krzywdzi trochę Ewę, która, choć leniuszek, ma niezwykle

zgrabne w pracy domowej łapki.

— Cinderella! (kopciuszek) — przymila się Ania, która też woli siedzieć w książkach — zrób za mnie, co mama mi kazała...

Ewa pracowicie drepce za mną po domu, komentując najnowsze nasze lektury:

— Robinson miał kozę, która wszędzie za nim chodziła... To tak, jak ja za tobom

— podejmuje z całym poczuciem humoru moja pięciolatka-

Ewa we własnym zakresie kolekcjonuje słowa od mamy: „mojem zdaniem, rozpoczyna,

„sprawa załatwiona” — oświadcza niespodziewanie - zrobiliśmy gafę” — wygłasza

swoją opinię. Mój przyłacieł-komik, oryginalnie wyraża swoje myśli w chwili moralnego napięcia. Biegnę przerażona, bo dokazując z Anią uderzył głową w kaloryfer. pr_ Jak to było?!

_ Słysie stuk, a tu raptem patsie — krew... Mowy wrzask w ogrodzie: __ co się stało?!

__ Jakieś dzikie zwiezie ziacieło mnie gryźć, ma dwa bziuski — płacze Ewa ugryziona przez osę. U Ewy zadziwiają reakcje uczuciowe, o tyle doroślejsze od jej dziecinności.

_ Te kwiaty nazywają się niezapominajki — prowadzę lekcję polskiego przy sadzeniu kwiatów w ogrodzie — i daje się je tym, co chcemy, by o nas nie zapomnieli.

_ Wsiśko jedno, i tak nigdy ciebie nie zapomnę...

Pochylam się nad grządką. Jak ta niteczka serca przeprowadzi to małe przez ten szeroki, wielki świat?...

Rodzice wyjechali na urlopowe dwa tygodnie. Polecili zdarzenia naszego żywota znaczyć w kalendarzu, a co się przeszkobało, znaczyć dzieciom krzyżykiem — do omówienia po powrocie.

No i Ania zabazgrała czarnym ołówkiem rysunek Ewy — po czym, po długim namyśle, sama stawia na kalendarzu polecony przez rodziców krzyżyk. I pyta z drżeniem w głosie:

— Jeden krzyżyk na tydzień to niedużo — prawda?

O „Piaściu” i o piasku.

(opowiada dziadunio).

Z babunią dzieci bobrują naokoło farmy. Czteroletnia Ewa jeszcze trzyma się rączką za spódnice. Pięcioletnia Ania harcuje jako szpica i znosi wiadomości:

— Babuniu, pan Appleton zrobił garaż dla ptaszka.

Istotnie, przy skręcie do farmy Appletonów wisi domek dla ptaków.

Więc babunia, dzień po dniu, godzina po godzinie, nieustępliwie, jak człowiek, którego zasypują piaski, odgarnia te asocjacje, podsuwa polskie kwietne a polne, mówi o śniegu puszystym, o tym, jakby dzieci jechały sankami przy dźwięku janczarów.

— Tobyśmy jechały z Howdy-Doody, babuniu?

Howdy-Doody, stary znajomy dziecinnych opowiadań — jest obecnie bohaterem telewizji. Lodziarz sprawił sobie samochód, na którym siedzi figurka Howdy-Doody, i jeździ dzwoniąc.

Babunia robi znów gest, jakby coś odganiała.

Dzieci pochłaniają w telewizji programy cowboyskie. Wrzeszczą „bang--bang!”, udając strzelających cowbojów.

Babunia kąpie je naprzód w łazience, potem kładzie do łóžeczek i obficie zmywa tych cowbojów opowiadaniem o sierotce Marysi, która ście-reczką i szczoteczką uprzątała sto komnat, aż się dziwowali rycerze, że taka pilna i porządna.

Dzieci przepadają za bajkami babuni. I za babunią.

— Jakby u wulwołta (sklep z tanią galanterią) spsedawali ciebie — wyznaje Ewa — to ja by sobie kupiła te włoski i te očki. i ten nosecek...

— I te ręki — dodaje praktyczna Ania, której „te ręki” nakładają na rozbite kolana dziesiątki plastrów.

Daduna jest omijany, bo „ścipie”. Daduna jest proklamowany jako dangerous (niebezpieczny czarny charakter), przed którym lepiej się schować za babuniową spódnicę. No bo jakże !... Takż jeszcze Ewa była okruszynek, kiedy ją mama sadzała na ganeczku pod oknem. Z okna z góry daduna przyskał wodą i malec się wydzierał:

__ Maaamuuu — deść pada!

Matka, zwana przez dadunę „Pumą”, wpadała od roboty, nic nie rozumiała: słonko pięknie świeci, czego się to Pumiątko drze?

Ale kiedy pewnego razu skombinowała... Brrr...

Czasem daduna wychodził na ganek i rozpoczynał najgłębszym basem partię

Arcykapłana z „Aidy”:

_ - Radames, pohamuj się!...

Wystraszona latorośl wrzeszczała, Puma sadziła długimi skokami, daduna nikł i nie pokazywał się aż do obiadu.

Czasem daduna był lew. Ryczał straszliwie i dwuletni maleńtas wiał na pałętających się nogach.

Wówczas lew mówił najprzytulniejszym głosem:

— Już ja nie lew, Ewuniu, już ja twój dziadunio.

Ewunia biegła wobec tego do dziadunia wyszlochać na jego łonie resztę strachu, ale kiedy już już dobiegała, w daduni budził się lew i ryczał.

Jeśli Pumi vel matki i Królika vel babuni nie było w okolicy, operacja ta powtarzała się kilkakrotnie.

Ale daduna dostępuje odpustu całkowitego, kiedy opowiada bajki. Wysypuje całego bazarza polskiego — o kijach-samobijach, czapkach-niewid-kach, żar-ptakach.

Babunia narzeka, że się zaśmieca łepetyny.

— Zdrowsze mają łepetyny niż my — odpowiada daduna — dzielą sobie świat na make believe (na niby) i na „prawdziwo” i temu, i tamtemu dają zupełnie równe prawo obywatelstwa.

No discrimination marzeń. 'Daduna wali nimi w zasypujący piasek Mówi o Babach Jagach (Baba Jaka) i o smoku w jamie, co małej Ewie się pomieszało i prosi zawsze o bajkę o „śmok-jamie”. Smok-jama bowiem zawsze straszliwie ryczy w interpretacji dadunowej i całe towarzystwo czyha, kiedy ryknie. Tak samo audytorium gorliwie trąbi na piąstkach razem z trębaczami zapraszającymi na ucztę, szuka porwanej Blondelli po wszystkich szafach, które mają reprezentować sto dwadzieścia wież zamku czarownika — Blondellę można znaleźć pod wieżą, pod którą jest mokro, „ale bo ona ciągle płakała” — upewniają się co do tej mokrości. Z Teksasu i z Arizony, z Nevady i z Nebraski i ze wszystkich 50 stanów wieje, zasypuje piasek. Już dzieci rozróżniają żółty autobus szkolny, wożący dzieci do szkoły. Już Ania za kilka dni pojedzie tym „autem-busiem”... po raz pierwszy. Od babuniowej spódnicy... Od bajek o sierotce Marysi...

Babunia to rozumie i cieszy się radością i oczekiwaniem Ani. Kupiła jej nawet piórnik, w którym na każdym przedmiocie jest wyryte „Ania”. Ania nie posiada się ze szczęścia i upewnia się, czy otrzymuje piórnik „na kipać” (to keep — otrzymać na własność).

A babuni bajki raptem odbiegają daleko od sierotki Marysi. Do samego dna. Daduna słyszy, że małe idąc spać napierają się, by babunia mówiła jeszcze raz o

„Piaściu”.

Wówczas daduna siada przy łóżeczkach i sam poczyna opowiadać
o Piaście.

Piast był kołodziejem, to znaczy robił koła.

— Wiem — kiwa głową ze zrozumieniem Ania. — Tyremaker... To on miał gasoline station? (stacja benzynowa).

Otóż ten Piast miał syneczka, Ziemowita, który ukończył siedem lat.

I wtedy mu zrobiono postrzyżyny.

— Czy go pan Jones (fryzjer) posadził na kręcącym krześle? — pyta Ania.

Ale Ewę uderzyło, że kończył siódmy roczek, był to więc jego birth-day; Ewa pyta, czy dostał ubranie „kowbojsika”. Otóż do Piasta na tę uroczystość przyjechali aniołowie.

— Czy truckiem? — interesuje się Ania.

Daduna wyjaśnia, że na skrzydłach spłynęli z nieba. Babunia pospiesza dydaktycznie:

— Piast ich przyjął gościnnie, posadził na ławie: jego żona Rzepicha przyniosła wszystko, co miała najlepszego; bo oni nie byli egoiści to znaczy nie byli skąpi, bo to bardzo nieładnie, jak ludzie są skąpi i egoiści.

Ewuni już się chce spać, bo już „ćmokaty” palec wpełznął do buzi.

Jeszcze jednak rozdziera oczki i pyta sennie, pełna współczucia:

— A ci dzieci tych skompów bawią się z dzieciarni egoistów?

— A jak aniołowie siadają, żeby nie pogiąć skrzydełków? — pyta Ania. Dadunę korci powiedzieć, że oddają skrzydła do cloakroom (szatnia), ale mu szkoda tej zaciszości wieczoru i tych główinek z lnianymi warkoczykami. Więc mówi, jaka to była ważna rzecz, to przyście aniołów, bo wtedy ludziom się zdawało, że bogini nocy na wieczór zasnuwa welony, że boginka wiosny śpi pod lodem z jaskółkami... — Prawdziwo? — zwracają się dwie główiny do babuni. Jak tu odpowiedzieć: Jeśli się odpowie, że make believe, to też będzie nieprawda. Jeśli pogrzebać „śmok-jamę” i Babę Jakę, i boginki w tym piasku, to też nie będzie prawda.

Ania długo stara się nie zasnąć, bo mamusia przyrzekła przywieźć bransoletki.

Mamusia późno wraca z Nowego Jorku, kiedy dziewczynki już śpią. Przyklęka, całuje rączki, nakłada wąskie blaszki rozpoznawcze na cienkim łańcuszku: żeby dzieci się ucieszyły, gdy się obudzą.

Okazuje się, że są to blaszki rozpoznawcze, które rozdaje dzieciom Ameryka, gotująca się „na wszelki wypadek”.

Kiedy daduna przed snem zachodzi spojrzeć na dzieci, widzi, że ubrana w numerek rozpoznawczy rączka wysunęła się z łóżeczka i sztywno tkwi w próżni. Pospieszenie chowa rączkę dziecka pod kołderkę.

Na drugi dzień Ania idzie do szkoły. Babunia odprowadza ją z Ewą. Malec straszliwie zazdrości siostrze.

Babunia zachodzi do kościoła. Jest pusto. Dziecko klęka i chwilę trwają w milczeniu.

— O co prosiłaś Bożę?

Ostatnim razem prosiła o „pana Skrzatunia”. Pan Skrzatunio, to foks-terierek Skrzat, którego leczą na egzemę. Mała więc prosiła Bożę, żeby Skrzatunio się nie drapał.

Ale dziś jest zakłopotana:

— Nie widziałam Matki Boski...

— Jest tam przy ołtarzu na lewo. A o co chciałaś Ją prosić?

— Ja Jej chciałam powiedzieć: „Pilnuj Dzieciątka, bo Ci je Herod zabije”.

Między babunią i telewizją.

(opowiada babunia).

Czas leci. Już i Ewa chciałaby jechać „autembusiem” do szkoły.

— Ale z babunią — upewnia się.

Wreszcie rodzice zdecydowali się na przedszkole.

— Ide do „psiedskol” — wpada do mego pokoju Ewa. Przygotowaliśmy więc kolorowe kredki i wielki zeszyt. Pierwszy dzień bawi nowość, drugi — oblewa łzami: męczy krzyk i hałas, trudny do rozumienia „angielski” dzieci. Pociesza nieco, że na pewno babunia będzie czekać u furtki szkoły.

— Dziś tylko parę łezek upuściłam — mówi Ewa w radosną chwilę spotkania.

Wypełnia się ono takim gadaniem o dzieciach i pani nauczycielce, że przechodnie odwracają się z uśmiechem. Zasypuje mnie żądaniami: lodów, upragnionego ołówka i tylu innych rzeczy, a jeśli coś z tego spełni się w sklepie „naszego pana”, wracamy tak szczęśliwe, że chyba tę szczęśliwość będziemy obie pamiętać całe życie.

Ania, otoczona koleżankami, idzie naprzód, obwarowuje swoją samodzielność, żeby nikt nie posądził, że jeszcze w drugim oddziale ktoś po nią przychodzi.

Ewy nie mogą przekonać, żeby szła z koleżankami:

— Ja chciem ś tobom... — zaciska łapkę na mojej spódnicy. Więc jeszcze darowany mam ten rok „przyjaźni”?...

Ewa kocha wychowawczynię przedszkola, jasnowłosą Patrycję:

— Ale nie tak jak ciebie — zastrzega się.

Bo jej serce — jeszcze, jeszcze... — jest w domu. Co dzień przynosi roi ślicznie obmyślane prezenty: kasztan, pudełeczko, wachlarz z papieru i rysunki zrobione w przedszkolu.

Nasza przyjaźń zachowuje się i na rok przyszły, kiedy idzie do pierwszego oddziału szkoły. I znowu wybuchy radości i gadania witają mnie Przed szkołą.

— Wiem, mój kolega dziękuje Bogu za buty.

— Buty ważna rzecz.

— Ale ja dziękuję za kwiaty i za ptaszki.

Chwała Bogu, że już w 1 grade istnieje instytucja boy-friendów, bo jak ma sobie dać radę mała dziewczynka, co myśli o kwiatkach i ptaszkach gdy przecież najważniejsze są buty cowboyskie?

Co prawda jeszcze w „psiedskol” trafiłam na scenę, gdy chłopcy z 1 giade podbiegali do furtki, śpiewając jakąś piosenkę, natrzęsając się z przedszkolaków. Na drugi dzień Ewa wyjątkowo dużo jadła na śniadanie:

— Musie duzio jeść i być mocna. Teraz już ma boy-frienda.

Boyfriend ma okrągłe różowe policzki, sterczące włosy i teczkę pełną ciekawości dla Ewy i stale odprowadza nas do domu. Starsze dziewczynki śmieją się i wykrzykują:

— Ewa kocha Tomka, Ewa kocha Tomka!

— Idźcie! — oburza się Ewa: — ja kocham tylko mamusię i babunię. W dalszym ciągu, jak kura ziarno, wydziobuje Ewa najbardziej fascynujące słowa z rozmów starszych.

— Wiem, mam problem.

— Ooo...

Okazuje się, że było tak: kupiłam jej od dawna upragnioną czerwoną torebkę z chusteczką, ołówkiem, grzebykiem i notesem, taką, jak mają „doroste panie”. Nie wiedziałam, że mama, molestowana, odmówiła jej kupienia. Kiedy wyszło na jaw, że Ewa zataiła to przede mną, załatwiły z matką „problem” między sobą po cichutku, aż dopiero dowiedziałam się od Ewy:

— Wiem, i lodów na plaży nie dostałam, i mama całą grządkę zadała do pielenia...

Pomyślała chwilę i westchnęła:

— Jak raż do szpitala pana Olbryzma jestem...

To była bajka o szpitalu pana Olbryzma dla niegrzecznych dzieci, gdzie „skapy, egoiści i kłamci” odizolowani są w ciemnej komóreczce od innych dzieci.

Naradzamy się teraz, w drodze ze szkoły, na kogo głosować na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

A zaczęło się tak:

— Czy ty jesteś za Yankesami czy za Dodgersami? — pyta Ania.

— Ja? Ja- za Ajkiem.

Ania poważnie daje mi wyjaśnienia, że to chodzi o baseball, i gdy się kazuje, że jestem za Yankesami, dusi mnie w uściskach. Ona i Dianę są za Yankesami i właśnie gazety doniosły, że Ania, ja i Dianę wygrałyśmy kontra Magdalen, Ewa i Suzy, bo Yankesi odnieśli zwycięstwo w Brooklyn. Teraz Ania przynosi ze szkoły duży portret Ajka i pyta, czy może go zawiesić w dzieciennym pokoju.

— Aniusiu — mówi Ewa — Ajk sie teraz Stivension naziwa.

Ania przypięła sobie i mnie znaczki: I like Ike: my dwie jesteśmy za Ajkiem. Ewa ma skądś znaczek z nazwiskiem Stevensona:

— Ja za Stivensionem.

Dziadunio — wieczny sprzeka — nosi znaczek I like Krajewski. Kra-jewski jest to Polak, handlarz świń z New Jersey, który „leci na prezydenta”. Czemu nie ma lecieć? Każdemu wolno obstalować i rozdawać guziczki, jakie chce.

Agituję za Ajkiem.

— Pieprziam, na drugą election będę ś tobom. To trudno, każdy może mieć swój gust.

Dictum jest przekonywające. Zresztą nie ma czasu na dalszą agitację, bo musimy iść do szkoły. Ewa przygotowuje czerwone dzieciinne parasoliki, bo deszcz pada:

— Ja weźme ten ze świnką. Ty weź Ani parasol — wy obie jesteście

za Ajkiem. Przekonania polityczne dzielą mnie z moim przyjacielem!

Nowy rok szkolny zaczęliśmy wspaniałym Halloween'; przebrane dzieci chodzą od domu do domu, przyjmowane cencikami i słodyczami. Ania jako Aiice in wonderland - „Alicja w krainie czarów” i Ewa „Czerwony kapturek” przynoszą ku memu przerażeniu obfite łupy. A co by było, gdyby mama przebrała Ewę, jak chciała, za „stracha na wróble”?!
A w domu doczekaliśmy się ważniejszej rzeczy, na którą cała rodzina zbierała cenciki - telewizji, którą mama chce ulżyć moim wychowawczym wysiłkom, bo jak mówiła Ania:

— Nie zawsze - mówi - w Ewie dobry aniołek. _

Ania krótko trzyma Ewę, wykazując wszystkie jej moralne nieprawości.

Ewa jej słucha i nawet palca nie cmokcze w szkole wobec surowego zakazu Ani, co „nie chce się za siostrę wstydzić”.

Już w zeszłym roku wyprawiła się do przedszkola Ewy z „wywiadówką”:

— Babuniu, dziś ja idę po Ewę.

— A ty — zwraca się surowo do Ewy — powiedz miss Patrycji, że przyjdzie po ciebie starsza siostra i chce z nią pomówić.

— Dobrze — mówi potulnie Ewa. I wykonywa sumiennie polecenie. Sprawozdanie z wywiadówki streszcza Ania krótko:

— Stoi jak słupek, nie bawi się z dziećmi, za mało umie po angielsku. Grzeczna jest — owszem.

Ewa jest pełna podziwu dla „Aniusi”, naśladuje ją we wszystkim. Ale i Ani czasem się „nie uda”:

„Kochany tatusiu — zostawia ojcu kartkę na stole — przepraszam cię, że byłam niegrzeczna. Twoja kochana Ania”.

No to i Ewa chce listem przeprosić, że była niegrzeczna:

„Kochana babuniu” — pisze sama.

— Czy możesz napisać literę „p” — zasłania rączką początek — a literę „z”? A jak się pisze „sz”?... A dalej dopisz, że byłam niegrzeczna.

Napisany przeze mnie list podpisuje, zalepia kopertę, nalepia markę i przynosi:

— Do ciebie list...

Na szczęście wolno patrzeć na telewizję tylko do obiadu. Tak powiedział nam tatuś, więc apelacji nie ma.

Telewizja zapoznaje nas szczegółowo z życiem cowbojów. Wielbimy wszystkie trzy Roy Rogersa, kochamy Annie Oakley i przejmujemy się przygodami Lone Ragera.

Filigranowa Ewunia dostała od panienki z cukierni „Sombbrero” dwa papierowe rewolwery i robi na ulicy: „beng! beng!”

Widząc we mnie niepokój i niezadowolenie ze zdarzeń, reprodukowanych w obrazach, po- spieszają uspokajać:

— Nić się nie bój, skońci się dobrze! Te dobre zwyciężo tych złych.

Czapki z ogonem racoona, jaką nt>sił Da- vid Crockett, budzą tęskne pożądania i z tru- dem mogę wytłumaczyć, że noszą je tylko chłopcy.

___ ja i tak chcę być chłopcem — replikuje Ania — obetnę włosy, spalę suknie. I tak zawsze chodzę w szortach.

Przez tę telewizję dzieci zanudzają, żeby kupować jakieś cereale, proszki, szorowania, mleko Praem i czekoladę Bosco i wiele innych rzeczy. Kryją się w tym najrozmaitsze „bonusy” w postaci obrazków z życia cowbojów i rancherów.

___ Mam dla ciebie psiepis — wręcza mi Ewa reklamę szamponu Hallo — najpierw się pertumuje, potem myje włosi, potem wyciera, a potem całuje naziecionego.

Zdaje się, że znowu pogniwała się na dadunę i proponuje mi innego mężia”.

Mówiła nawet, że może ożeniłby się ze mną królewicz:

___ Chociaż jesteś już trochę stara — dodaje sprawiedliwie.

Mieszkamy z dziadunia na pięterku i wejście tam to jest święte świętych. Dzieci wiedzą, że nie można do nas dzwonić.

Tymczasem na dole w pustym mieszkaniu (bo rodzice w pracy) albo Ania „kujka”, albo, po prostu, czas się dłuży. Kiedy wychodzę, znajduję więc małą rozciągniętą na dywanie przed drzwiami na schodach, czekającą cierpliwie wraz z foksterierem Skrzatem.

Ewa zbiera dla mamy bukiety i stawia je na toalecie z kartką „Ewa całuje”. Dziś nazbierała liliowych chwaścików, które nazwała „lilianki”. Tak urodziło się nam nowe słowo „lilianki”. Przy zbieraniu tych kwiatków trafiliśmy na chore drzewo.

— Wiesz, ja mam w sobie taki magie, zie mi smutno, jak kto w książce umiera albo drzewo chore, albo zwierze co boli...

Nauka manier też nieco postąpiła:

— Najpierw biorą przy jedzeniu goście, potem zwyciajni ludzie, dopiero potem dzieci.

Ewa ma wrodzony wdzięk i uprzejmość w stosunku do ludzi:

— Przykro mi, że pani nie ma day-off (wolnego dnia) — mówi do panienki w kawiarni, a panu pracującemu w sklepie:

— Ja bardzo żałuję, że pan nie może iść z nami do movies* na Snież-kę...

A cóż dopiero, kiedy w deszczowy dzień przychodzi listonosz:

Pewnie pan ma dużo roboty, a taki deszcz! Naturalnie, że cały ten „Wersal” odbywa się po „angielsku”.

Ale wdzięczność małe serce wyraża po polsku: pewnego dnia sąsiedzi przysłali jej upragnioną „dorosłą” torebkę. Biegała po pokoju czerwona z radości, rozkładała rączki i powtarzała:

— Poćciwe ludzie, bardzo poćciwe ludzie!

Dobre maniere Ani wyprowadzają się z lektury: w prostej linii od uroczego człowieka... londyńskiego dorożkarza z książki „Black Beauty”

(„Mój Kary”). To za nim poczęła powtarzać grzecznie: — „Yes, Sir!... ___

Jak się będzie nazywała 'książka, którą piszesz, Sir? — zaserwowała dziaduniowi.

Następne pojęcie o zachowaniu się ladylike pochodzi z „Little women” („Małe kobiety”) Alcott i w porę przypomniane — czyni cuda!

Ale „Dziwożonka”, jak nazywamy Anię, zawsze robi niespodzianki. Mamy własnych przygodnych przyjaciół — z ulicy. No i dostaliśmy zaproszenie na party —

podwójne zaręczyny córki i siostrzenicy. Szesnaście pokoi, wspaniały bufet, fontanna z ponczem. Czuję się nieco onieśmielona w tym nieznanym domu. Ja, ale nie Ania! Ania zachowuje się jak najswobodniej, przyjmuje prezenty z młodszą

panną domu, przynosi mi kawałek indyka z sałatką: — Zjedz. — Obejrzała dom, ogród, otoczenie, marki aut. Dowiedziała się, że lodów nie będzie i orzekła:

— Chodźmy. Gdy ja się zaręcę, zrobimy party i zaprosimy ich.

Bardzośmy się wyrobili życiowo. Nie drzę już wieczorem przed potokami łez na

dźwięk telefonu, że to dzwoni mama, „żeby się dzieci kładły spać, bo przyjdę późno”.

Mama telefonuje, że zostaną w Nowym Jorku na „Halce”. Telefon przyjmuje Ewa: — Jedźcie wsiści, ja i Ania będziemy pilnować porządku w domu, zmyjemy naczynia i będziemy z książkami ciekaw. To nie ja — to Ameryka dała Ani i Ewie zaradność i przyzwyczajenie polegania na sobie. Gdy siedmioletnia Ania skaleczyła nogę, padając na ulicę z roweru, nim dobiegłyśmy z Ewą, już któryś z robotników, budujących tam garaż, wziął ją do auta i zawiózł do szpitala zatamować silne krwawienie. Zastaliśmy Anię w sali opatrunkowej, zdaną pod opiekę dyżurnego lekarza i pielęgniarki,

— Właśnie prześwietlono i zabandażowano nogę — przywitała nas Ania spokojnie.

Ania już urodziła się taka dzielna.

Serduszko Ewy podchodziło z innej strony do tej amerykańskiej dzielności i zaradności.

— Ja to powiem za ciebie — spieszyła z pomocą mojej angielszczyźnie przy zakupach, biorąc w nich żywy, pełen kobiecego rozsądku udział.

Prawdziwą dzielność wykazała pięcioletnia Ewa w szpitalu, gdzie wycinano jej migdałki. W nocy niespodziewanie przyszedł krwotok z gardła. Wezwaliśmy lekarza.

— Doctor, I am bleeding (mam krwotok)... — powitała „naszego doktora”.

Wtedy to w szpitalu wybuchła gorąca przyjaźń z dziaduniem, który nie tylko nie dokuczał, ale przeżywał najgoręcej wszystkie perypetie i niepokoje. To do daduny — nie do mamy ani do babuni — poruszyła paluszkami mała łapka, gdy biedne, chore gardło było zatamponowane watą, to daduna najczęściej biegał do szpitala, to jemu nasz Cierpliwu-szek zwierzył się, że chce wracać do domu. I tak już zostało: męskiej opieki w razie jakiejś emergencji szukała mała kobietka u daduny.

Kontynuujemy nasze szczęśliwe wieczory, gramy w warcaby, domino, loteryjki i wyścigi. Podszepnęłam Ani pisanie „Dzienniczka zdarzeń domowych”. Muszę przyznać, że mój „przylacieł” nie wygląda w nirn nazbyt pochlebnie. Za to zachwycający jest w deklamacjach.

Muzinek Bambo w Afryce mieszka, Czarną ma skórę ten nasz koleżka — — produkuje Tuwima.

Na tygodniowej stronie dziecinnej „Związkowca” z Toronto odkrywamy wspólnie „Bal jarzyn”:

...kartofelek podskakuje, burak z kapustą tańczy, pan kalafior z -krótką nóżką prędko biegnie za pietruszką...

Wtem pomidor prędko wpada i cebulce ukłon składa: ty, cebulko w sukni złotej, czy do tańca masz ochotę?...

Tu deklamatorka proponuje potańcować, bo do tańca zawsze ma ochotę! Ale Ania już nagli o wieczorne czytanie.

W II grade Ani niestety nie jest kierowniczką sister Philip.

— Nie lubię teraz iść do szkoły! — mówi Ania. Robi się nieposłuszna, przynosi ze szkoły podpieranie się pod boki, złośliwe uwagi i lekceważące miny. Wreszcie po raz pierwszy w życiu mówi:

— Mówić i mówić po polsku! Dostyc mam mówienia po polsku! I w ogóle Magdalena powiedziała, że jej babcia mówi, że w Polsce nie ma bibliotek, a ja bez czytania żyć nie mogę.

Ultimatum jest wyraźne.

Tak bardzo wystrzegaliśmy się z mamą, żeby ze słowem „Polska” nie szedł w parze żaden przymus, żeby towarzyszyły mu rzeczy piękne upragnione i pełne ciekawości.

Ale po angielsku pół dnia dzieci mówią w szkole, w tym języku się uczą i bawią.

O Polsce opowiadamy jak i o wielu innych rzeczach na świecie, tając drżenie serca.

Rada w radę wysłaliśmy Anię na obóz polskich harcerzy. Dziwożonka zdecydowała o sprawie sama: owszem, pojedzie. Postawiła tylko warunek: żeby jej nie zmuszali do jedzenia kapusty.

Obóz harcerek przekonał Anię, że Polska nie jest pomysłem starszych. Sprawa polskości została przesądzona bez naszego udziału.

I z całą swoją sumiennością poczęła prawo harcerskie wprowadzać w życie. Do wieczornego pacierza włączyła słowa modlitwy za Polskę, kuksnąw-szy przy tym Ewę, żeby nie zapomniała dodać tych słów do swego pacierza. Ewa dokłada indywidualnie tak długą listę osób, za które się modli, że nawet Ania protestuje.

W kilka lat potem, po długim niewidzeniu, opowiadałyśmy sobie tysiąc rzeczy: ja o Europie, Ania o Ameryce. W pewnym momencie wpadłam na sprawy polskie i... zmieniałam temat.

— Mów dalej — Ania podniosła na mnie swe szafirowofiołkowe oczy w ciemnych rzęsach — mów dalej, przecież ja kocham Polskę.

Babunia — w ślady królowej Jadwigi.

(napisali Ania z dziaduniem)

Jak Ewa po swojemu myśli: „dopóty dzban wodę nosi, dopóki się nie zrobi herbata”.

No, właśnie...

Zapakowaliśmy wobec tego panny i wysłaliśmy na polski obóz harcerski.

Po ukończeniu obozu naczelnictwo poprosiło mnie o felieton. Odmachną-tem więc jakimś „dwie dziurki w nosie i skończyło się”, ale Ania wróciła od cenzury babuniowej z decyzją:

— Babunia mówi, żebyś to wszystko podrzął (to znaczy „podarł”).

Poleciałem z protestami, ale skończyło się jak zwykle. Tym razem dekret głosił, żebym siadł pod drzewem przy stole w ogrodzie i zrobił wywiad z dwugwiazdkowym ośmioletnim zuchem — Anią, wspomaganym przez siedmioletniego jednogwiazdkowca — Ewę.

A oto, co się wspólnym sapaniem napisało:

Jak nas mamusia przywiozła, to najprzód druhna Renia pokazała nam łązienkę — takie rzeczy, a potem poszliśmy na czarną kiszkę (ponton) i Pomidor (Ewa Malewicz) pokazał nam, jak fikać kozły. A potem bawiliśmy się w „sarny” i w „czyżyka”.

— A potem jadliśmy — dodaje Ewa.

— Ale przedtem zaśpiewaliśmy modlitwę:

Błogosław, Panie, dary te Nim spożyjemy je...

— A czy Ewa nie grymasiła spożywając... dary te?

Bo Ewa, co tu gadać... tu zwalili jej wszystko w rondelki i po tej czarnej kiszce i po tym „czyżyku” z rondelka jak wymiółł.

— Ale po obiedzie ryczała — mówi Ania. Nie żeby skarżypycie. Ale po sprawiedliwości, bo przecie do gazety, a wtedy podwójnie się nie kłamie: bo się jest zuchem harcerskim — raz; i że w gazecie to już nikt nie kłamie — dwa. Można tylko podać ważny powód usprawiedliwiający Ewę: zdobyła obóz i nie umiała z kamyków ułożyć słowa „zuch” To „ch” nie wychodziło ani rusz.

— Jak zaczynałyście dzień?

— Jak tylko wstałyśmy, to jeszcze przed myciem miałyśmy gimnastykę, którą prowadziła Stara Dobra Mrówka. Bo każda miała swoją nazwę: ja byłam Stokrotka, Ewa — Wiśnia, Jagusia Siedlecka — Trawka, Krysia Dziekońska — Czerwona Koniczynka, Bo my wszystkie razem to był Sad.

Więc Stara Dobra Mrówka pokazywała przy gimnastyce, jak jabłonki się kłaniają, jak trawki się chwieją, jak żabki skaczą. A potem szłyśmy się ubierać, a potem do łązienki, najprzód te, co mają warkocze, bo najwięcej czasu trzeba było, nim druhna je zaplotła.

— A Ewa, przepraszam — Wisienka — nie ryczała? Okazało się — nie. A jak babunia czesze — ryczy.

— Ale potem ryczała — stwierdza nieubłagany Kato-Ania, onaż Stokrotka — bo nie mogła zapiąć trepa.

No, ale znowu jest okoliczność łagodząca. Ewa wie, że ma być „odważnik”, to

znaczy taki, co wszystko umie, na wszystko się odważy. Tylko nie na te trepy, gdzie złośliwy guzik przyszył się za daleko.

Po obiedzie — wypoczynek i cisza pod jabłoniami. Dziewczynki leżą pół godziny i nie można rozmawiać. Słońce chodzi przez listowie, boża krówka przyleciała i dziwi się dziewczynkom z miasta.

— A potem — mówi Ania — układaliśmy mapę Polski z kamyczków, miasta, Morze Bałtyckie.

— I te wszystkie Heli — dodaje Ewa.

— I smoczą jamę.

— I kopicie Kościuszką.

— A potem jechaliśmy kąpać się do jeziora Bantam.

— A wieczorem było ognisko, więc wkładaliśmy sweterki i spodenki.

— Ja podkładałam drewnienka — wyrывa się Ewa.

— To nie najważniejsze — monituje z powagą Ania — więc na ognisku najprzód śpiewaliśmy piosenki.

— Dajże jej zaśpiewać — mówi dziadunio, widząc, że Ewę wzbiera chęć popisu. Więc Wisienka śpiewa żabim głosem i nieco fałszywie tekst jednego z kwiatków sadu: Niezapominajki Są to kwiatki z bajki, Rosną nad potoczkiem I mrugają oczkiem.

___ No i palą fajki — dorymowuje dziadunio-sprzeka

Dwugwiazdkowy zuch, Ania, przywraca porządek relacji:

___ Potem zaczynały się więc (to „więc” jest najczęstszym słowem) pogadanki przy ognisku. Stara Dobra Mrówka...

. ___ ...mówiła o pałacu, w którym wszystkie króle były zakopane przerywa Ewa.

Bo to było o Wawelu — wyjaśnia Ania. Raz królowa Jadwiga szła i widzi smutnego pana i pyta: „Popatrzcie, kochane służebne, dlaczego ten pan taki smutny?” A ten pan mówi, że ma dużo dzieci i grubą chorą żonę, która dużo je, a on nie ma dolarów. Ale królowa też nie miała, ale miała buty, a na nich diamenty. Postawiła nogę na cementu i mówi: „Zdejmujcie te wszystkie diamenty”. A tu na cementu został ślad stopki królowej Jadwigi i dotąd jest.

— Król Miłościwy (przydomek kierowniczy) — wtrąca Ewa — powiedziała, że zobaczymy tę stopkę, jak wrócimy.

— A potem śpiewaliśmy modlitwę wieczorną:

Słoneczko już gasi złoty blask,
Za chwilę niebo błysnie światłem gwiazd,
Dobranoc już..

Aż przyszedł taki dzień, kiedy to się zdarzyło.

Bawili się w szukanie „polskiej flagi”, która była gdzieś ukryta. Po różnych znakach pierwszy Skowronek (Elżunia) ją wytropił. Siedli, zziębnięci po tych poszukiwaniach na rozległym terenie, i poczęli bawić się w wileńskiego „Kaziuka”, układając z kamyczków Matkę Boską Ostrobramską i serce na kształt piernika, jaki wypiekają na odpust świętego Kazimierza.

Ledwo odpoczęli i „Bocius” (druhna prowadząca) poderwała je do gry „ko...ko...ko...”, kiedy przybiegł Król Błystek (starsza druhna) i woła:

— Stokrotka!... Chodź zmierzyć mundurek.

Bo Ania już w zeszłym roku kurs odbyła, kończy drugi, może jej przyznają drugą gwiazdkę. Należy się mundurek.

— A mnie? — skrzypi Ewunia.

— A tobie — koci ogon — mówi srogo dziadunio.

No i przyjechała na obóz komendantka główna — druhna Ewa. W przeddzień zamknięcia kursu i zlotu przyjaciół ustawił się dwusereg przed masztem z flagą.

— Czuj!... — wita się druhna Ewa.

Następuje rozdanie pierwszej gwiazdki. Ale to nie jest rozdanie automatyczne.

Dwie dziewczynki nie otrzymały. To nic, podciągną się na rok przyszły. Daduna wie z całą pewnością, że jeszcze trzecia miała nie dostać: za

pełno kwiku przy trzewiku i przy kamyku (z którego nie układał się napis). A teraz wszystkie składają przyrzeczenie:

— Obiecuję być dobrym zuchem pierwszej (drugiej) gwiazdki. Wtedy Konie (starsi harcerze) grają „Jeszcze Polska”, sztandar zsuwa się z masztu. „Jeszcze Polska” zagrano tylko przy rozdawaniu gwiazdek Bo to nie śpiewka. Ania monituje Ewę, która chce zaśpiewać:

— Przy tym stoi się na baczność.

Dalej to już sam daduna wie, co było, bo przyjechał z babunią na zakończenie obozu.

Ewa, obłapiwszy łapinami babuniowy podolek, czerwona z wrażenia, wyskoczyła na obóz. — Nasza babunia przyjechała!...

Cóż za eksplozja radości może nastąpić w takich siedmiu latach. Trzęsąc się z wrażenia, przyciągała koleżanki jedną za drugą:

— Mówcie jej — babunia!

— Wiesz — mówię — to jest wielka nagroda za lata pracy.

Mówi się: nigdy człowiek starszy tak żywo nie przeżywa radości. A spójrzcie na babunię!... Taje!... Roztopi się jak osetka masła w słońcu.

Przecież zawsze się śmiałem, że babunia siedząca w fotelu ma już uformowane wgłębienie, w którym lokuje się maleńtas ssący palec. Że jest na pół drogi do kangura.

Nim jeszcze zjechali goście, wrzała praca.

Konie męczyły się, dobijając ostatnie listwy w pawilonie harcerskim, który zbudowały, a Sad wyśpiewywał swój hymn sadu:

Złociste gruszcзки świecą jak gwiazdeczki pomiędzy listeczki.

Ale potem... O retę...! Ale potem zwałiło się dwieście dwadzieścia cioć

(przepraszam: i babciów), jedno po dzieci, - drugie z dziećmi na kurs następny.

Rozsiadło się to wszystko z sandwiczami, butelkami, wózkami z niemowlętami i pytali gospodarzy (państwa Malewlczów, na których farmie był obóz), pomykających boczkami: „A państwo — skąd? A państwo — do kogo?”

A państwo byli z Polski i do rodaków i cieszyli się na to urwanie głowy.

W południe była barwna defilada-dożynki przed obliczem dziedziców. Wszystkie roślinki i kwiatki były w kolorowych bibułkach. Ustawiły się. rzędem i demonstrowały, że są prawdziwy sad, a nie latawce, ba, jak wrosły w ziemię, tak stały przez długą godzinę, kiedy składano plony gospodarzom, potem dekorowano Konie orderem „walgo-deską” za zbudowanie pawilonu, potem mówiono kuplety. Była spieka, roślinki stały jak mur — nawet te, co

nie dostały gwiazdek. Bo harcerz jest karny. A rodzice dziwowali się, co w dwa tygodnie można uczynić z dzieciaków, które im się rozbiegają jak karaluchy.

Najwięcej żal było Dyni, która w tym wszystkim tkwiła jak jedna wielka kula schowana z głową, nie widząc świata bożego. Bardzo dumna była z tego spocona Dynia.

Ania przybiegła do dziaduniów:

— Czy widzieliście moje ręce — nogi na baczność?

Właśnie. Widzieliśmy, kiedy sztandar wpływał na maszt.

A wieczorem odbyły się żywe obrazy. Szczerbaty Anioł mówił do Rzepichy, którą była najgrubsza dziewczynka, trzymającej za rękę okrutnie wąsatego Piasta:

„Z wyroków Bożych ty i ród twój panować będziecie przez wieki wieków nad tą krainą”.

A Ania była Wandą, co nie chciała Niemca. Stała w powłóczystej szacie w towarzystwie dworzanek — Dorotki i Elżuni, kiedy nadbiegli strażnicy (Jagusia i Danka) i zdyszczanym głosem raportowali:

„Pani miłościwa, Rytygier z wojskiem przybywa”.

A już Konie na murawie rozłożyły błękitną Wisłę. Więc Wanda — buch do Wisły. Z wielkim realizmem.

Teraz po obozie jest kłopot z rewizjonizmem historycznym Ani:

— Babuniu, czy dziadunio jest Litwin? Bo król Błystek mówił, że pochodzi z Litwy, a przecie z Litwy pochodził król Jagieł. On był bachelor (kawaler) i mówi do Jadwigi, czy może ją ożenić. Rozpaczała, rozpaczała, rozpaczała, rozpaczała...

— No, dobrze — mówi zniecierpliwiony dziadunio — ale co w końcu?

— W końcu mu powiedziała, że dobrze. Jak babunia tobie.

Nasza kamienica.

Stoi na rogu Rakowieckiej i Puławskiej. To tu w pierwszym dniu powstania poległ w ataku „Baszty” na bunkier mój bratanek, Rom, to tu długie miesiące tkwił krzyżyk z dwu poprzeczek z napisem chemicznym ołówkiem „Knot”, bo taki był jego pseudonim.

Stara landara-kamienica stała wypalona, ślepiąc czarnymi ramami okien. Przyszedł czas, że na niższych piętrach zamieszkali ludzie. I przyszedł czas, że nadbudowano wyższe piętra i na piątym piętrze przydzielono dwupoko-jowe mieszkanie właśnie dla mnie.

Kamienica jest zbudowana przez zespół Zjednoczenia Budowlanego czy jakoś tam i tylko parę mieszkań takich jak moje oddano kwaterunkowi, karząc je za to gorszą klepką — bukową. W innych mieszkaniach mieszkają cieśle, betoniarze, posadzkarze i inni robotnicy.

Windy nie mam — chyba że jeżdżę inną klatką schodową na szóste piętro. Te pięć pięter wspinam się klatką schodową typu piwniczno--kuchennego, z poręczą ze wstęgi metalowej, z wąskimi lastrykowymi stopniami, nie śmierzącymi jeszcze kotami dlatego, że wpierv muszą się rozgospodarować ludzie.

Z okien mego mieszkania widzę kino „Moskwa”, sąsiaduję z więzieniem i mam przed oczyma pętlę tramwajową. Dalej jednak rozlega się widok na Wisłę, po której przesuwały się żagle po linii z niewiadomego w niewiadome.

Znajomkowie przypochlebnie dziwiają się — jak mogli przydzielić panu mieszkanie w tak hałaśliwym punkcie? Ale hałas z dołu pięciu pięter Przychodzi jak szum morza — nie szkodzi po Ameryce.

Byłem u kilku pisarzy w domu ekskluzywnym, z portierem, kryształową windą i marmurowymi schodami. I myślę, że ktoś, kto mi dał te dwa pokoje ze zwykłymi bielonymi ścianami, nie skrzywdził mnie — że może bym „tam” gorzej pracował. Za drzwiami mego mieszkania pulsuje życie wielkiej natłoczonej kamienicy. Ale jest to życie ludzi pracy. Zachodzimy do siebie, mówimy o naszych kłopotach.

Kiwają głowami z lekkim politowaniem nad jakąś moją komódką z epoki, trzymającą się na słowo honoru, posklecaną drewnianymi kołkami, albo nad stolikiem z czasów saskich, kleconym ćwiekami kowalskimi ręcznej roboty Ubolewają nad pokryciem kanapy, posklejanej z resztek znalezionych w wozowni, pokrycie z epoki obfituje w plamy, których nie dało się usunąć Potem idziemy do ich mieszkań, oglądamy kwiatki i ptaszki malowane przez szablon na ścianie, podziwiamy nowe dywany z fabryki, moim zdaniem, zbyt drogie, i nagadawszy się o meblach, o braku wody i gazu, mówimy o ich pracy i o mojej pracy, stawiając uczciwy znak równania między nami, z wzajemnym zrozumieniem generalistów. A potem już ze zrozumieniem aż do szczegółów — o dzieciach.

O dzieciach należyście odhodowanych, schludnych, zadbanych

Ta kamienica — to mikrokosmos Polski. Z jej drobnych trosk uczę się trosk dużych.

Pewnego razu na szóstym piętrze, nad sobą, posłyszałem kucie muru i wzburzone głosy.

Pobiegłem i zobaczyłem tłum wzburzonych kobiet. Dwaj murarze, ochraniani przez asystującego milicjanta, zamurowywali wejście do suszarki, obsługującej wspólną pralnię. Takich suszarek było cztery na kamienicę liczącą 69 rodzin. Jedną już zabrali na rzecz poszerzenia mieszkania jakiegoś protegowanego szczęśliwca.

Pozostałych więc trzech kamienica pilnowała czujnie. Znalazł się i teraz amator-sąsiad na kolejną suszarkę. Komitet Blokowy zgłosił protest, otrzymał decyzję na piśmie... Aż tu nagle .. Bez uprzedzenia o zmianie decyzji.. Bez pozywania

kogokolwiek do złożenia wyjaśnień... W asyście milicjantów, od razu z murarzami... Od razu fakt dokonany... Najazd jak za dawnych szlacheckich czasów. Robotnicy ponuro odpowiadają:

— My nic nie wiemy... Nam kazali... Ale widać, że i im wstyd.

Kobiety bezsilnie się miotają. Władza z pistoletem to władza.

— Wiadomo — biednym zawsze wiatr w oczy.

Pobiegli do Urzędu Mieszkaniowego. Ale urzędnik ich nie przyjął — czasu nie ma dla 69 rodzin, które ulegają bezprawiu.

Wtedy przybiegli do mnie. Pralnia mi niepotrzebna, bo oddajemy pranie na miasto.

Ale wziąłem przedstawicieli Komitetu Blokowego ze sobą. Wyszedł niechętnie przed drzwi dygnitarz.

— Pana przyjmę, a ci panowie niech poczekają.

— Dlaczego? Przecież to przedstawiciele swej kamienicy.

Okazuje się — za wysokie progi.

No, gadam więc sam. Wzywają urzędników. Okazuje się, że Komitetu Blokowego nie zawiadomiono, bo to me urząd, nie ciało formalne

— Ale reprezentuje lokatorów. A gdyby to był interes jednego lokatora, czy miałby prawo otrzymać powiadomienie o zmianie decyzji (nie mówiąc o tym, że zmiana decyzji poza jego plecami jest nadużyciem)? Więc z jednym byście się liczyli, a z zespołem wcale?

Akta wjeżdżają. W osnowie ponownej konspiracyjnej decyzji i metraż mylny, i normatyw fałszywie wyinterpretowany.

Nie mam wątpliwości, że to nadużycie. Żądam wysłania urzędników, sam ich wiozę, mierzą, spisują protokół- tak jest, władze podały inne cyfry niż lokatorzy w swej skardze, podały fałszywy metraż, lokatorzy mieli rację.

Żądam wstrzymania robót. Zaczyna się groteska. Raz po raz przychodzą urzędnicy, grzecznie pukają do drzwi mieszkania, gospośka odpowiada, że ona wpuszczać me ma prawa, odchodzą potulnie. A wewnątrz roboty szaleją.

Biegnę wyżej i jeszcze wyżej, i najwyżej — do ostatecznej instancji. Wszędzie rozdzwaniają się telefony, konsultują się przy mnie, kiwają głowami -^ okazuje się, że najniższe instancje mówią wyższym, a wyższe najwyższym, że lokatorom stała się krzywda.

Żądają przesłania akt z niższych instancji. Owszem, mogą sobie żądać. Przy codziennym moim dopominaniu się akta z jednej ulicy na drugą idą dwanaście dni. A roboty w suszarce aż warczą.

Przychodzi sprawa do wyższej instancji. Jestem na rozprawie. Biorę rzeczoznawcę.

Metraż, normatywy, po stronie lokatorów. Poprzednią decyzję uchylono cichcem, przez zaskoczenie, zrobiono najazd z milicją. Sprawa chyba jasna...

Ale komisja odsyła sprawę — do ponownego rozpatrzenia przez tę instancję, która popełniła te wszystkie nadużycia.

Urywa mi się zaufanie do władz nadzorczych. Widać należy wyrzucić nacisk. Dzwonię do pisma, przysyłają dziennikarza i fotografa. Fotografuje wilgotną bieliznę po jednoizbowych mieszkaniach, chorą kobietę pod jej nawisem, dzieci raczkujące. Straszliwie rozmnaża się nasza kamienica, coraz jest ciasniej, coraz bardziej zawilga.

Na wszystkich szczeblach — radosny optymizm. Szlachetne oburzenie. Nikt tam inaczej nie mówi, tylko że lokatorom bezprawnie wydarto suszarkę. Pocieszają, że ponowna instancja przywróci praworządność.

Nie było mnie dwa miesiące w Warszawie. Kiedy wróciłem — zastałem wyrok na niekorzyść lokatorów, bo — „roboty adaptacyjne zostały po-czynione”.

Władze te, w jeden głos oburzające się władze, nagle stały się filozofami — „przecie pan powinien rozumieć, że komisja to ciało niezależne”. I radzą — apelować.

Maluczki jestem. Podły. Załamane się. Nie mogę życia poświęcać tej suszarce.

Tym bardziej że cała kamienica mówi — „daj pan pokój. Biedni bogatych nie przemogą”.

Nie, bojownicy nie mieszkają w naszej kamienicy. Prości, uczciwi ludzie mający na swoje potrzeby swoją użytkową moralność, swoją użytkową filozofię, swoją solidarność maluczkich.

Kamienica jest solidarna. Niedawno cykliniarz Piętka (w tym opowiadaniu miejscami podaję nazwisko i fach fikcyjne) wrócił urznięty w sztok. Rozstawił się na środku podwórza i przed sześciu piętrami oficyn, które rozwarły okna, dał taki koncert wymyślań, że oko bieląło. Wymyślenia były na temat, że pan Piętka źle zarabia, a wymierzone były wyłącznie i skoncentrowane na najwyższym dostojniku, o którego linii politycznej pan Piętka był jak najgorszego zdania i o prowadzeniu się mamy dygnitarza miał zadziwiająco dokładne informacje. Kamienica wezwała milicję, po czym pospólnie z władzą dygowała pijaka do mieszkania, zaklinając na wszystkie świętości, aby raz już stulił gębę i szedł spać.

Ciepły naród ci Polacy.

Na ogół jednak w kamienicy naszej nie ma pijackich wrzasków, pozdrawiamy się wszyscy przy spotkaniu, rządzi nami pan Franciszek, który przed pierwszą wojną nazywałby się stróżem, przed drugą — dozorcą, a przed trzecią nazywa się gospodarzem.

Rządy jego to jest absolutyzm oświecony w najlepszej formie. Kiedy do windy za mną pcha się chmara dzieciaków, pan Franciszek zjawia się z miotłą i moje podania, że do windy można brać cztery osoby, a za jedną osobę należy uważać troje bachorów, są odrzucane w trybie doraźnym.

Dzieciaki naszej kamienicy — według pana Franciszka jest „tej zarazy” sto i czterdzieści i jedna sztuka — to jest kompania, w której przebywam co dzień. Miałem tę nieostrożność, że kiedy po raz pierwszy wnieśli mi paczki, dałem im po parę cukierków. Od tego czasu padł na mieszkanie numer 35 srogi serwitut: na piąte piętro towarzyszy mi gromada a discretion, wszystko to wlewa się do mieszkania, po kolei obraca się na moim amerykańskim kręcącym się fotelu, po kolei przykłada sztuce do magnesowego trzymadła w kuchni, podziwia rękawice traperskie z bobra, wirującą lampę, karykaturę „pana Wańkowica” („chyba to je bzuch aż Za wielki i cego pan Wańkowic język wyciągnął?”).

Jeden nieposkromieniec dojrzał wagę na listy — co to jest?

___ Waga na listy. Połóż coś, to zobaczysz, ile gramów.

Eksperymentator ze wstrzymanym oddechem kładzie na wagę ciężką kopertę i w tej chwili, kiedy waga idzie w dół, ostro dzwoni telefon; odskoczył jak oparzony. Ot i uciecha dla całej kompanii.

Opatrzni czterema landrynkami każdy (wczoraj nadzieliłem dwadzieścia sześć brudnych łapiąt, przy czym nic nie rozumiejącym dwuletnim maleń-tasom, wtaszczonym na szóste piętro, siostrzyczki wyciągają łapiny — żeby było bez oszukaństwa) wywalają się na lastrykowe schody i jeszcze długo słychać pod drzwiami kotłowaninę i surowe sprawdzanie: — Ty ile dostałeś?

Na wypadek, jeśli się pomylił, dzwonią i reklamują, a ja ryczę straszliwym głosem Bobym inaczej miał dzwonki cały dzień.

Raz mi zabrakło cukierków — w kuchni na dnie wielkiego pudła blaszanego było dużo okruchów. Zsypałem w torąbkę.

— Podzielcie się — mówię najstarszemu.

Kiedy po chwili wychodzę na schody, widzę rząd z pootwieranymi buziami. Ten najstarszy uformował lejek, chodzi wzdłuż szeregu i każdemu w gąbkę cyka. Okazuje się — nie wyliczył, że tego proszku cukrowego jest tak dużo, i kiedy za którymś tam razem przechodzi szereg, patrzą na niego oczy trwożne i rozpaczliwe — już w gębusiach nie ma miejsca, a tu jeszcze pragnie się przyjąć następną dosypkę.

Raz nawaliło ich tyle, że zorientowałem się, że więcej jak po dwa cukierki

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

(wprawdzie te większe, nadziewane, w papierkach) — nie ob-skoczy.

Wywalilo się bractwo za drzwi, ale po chwili — dzwonek. U progu zdyszana ekipa:

— Prose pana, ta czarna Jadźka to mówi, że ona do takiego chama, co daje dwa cukierki, nie będzie chodzić.

Matka czarnej Jadźki jest porzucona przez męża, z trojgiem drobiazgu. W ogóle po cukierki do mnie nie zaglądną dzieci kamienicznej arystokracji, tylko najbardziej proletariackie wróble.

Czasem, kiedy jest tylko jeden przedmiot do dania, urządzone są jakieś zawody albo po prostu losowanie.

Mnie się zdaje, że tym razem padnie na Ryśka.

Ustawiłem w rzędzie, pocynam liczyć:

— EntliCzek, pętliczek, czerwony stoliczek, szklanka się rozbiła, starej babie nos oparzyła.

Ale nie doszło o dwa takty do Ryśka. Tedy, nie przerywając, kontynuuję:

— Panie Janie Kapistranie, czemu nie grasz na organie? Grałem, grałem, zapomniałem, ale teraz przypomniałem...

No, a tym razem przeleciało Ryśka. Udaję, że nic nie spostrzegłem, i mruczę dalej:

— Uno, duo, tres, zając, żaba, baba, pies!...

Jest! Akurat pies padł na Ryśka. Inaczej mówiłbym: „Ewa, dewa, po-maguli.. ” itd. do skutku.

Starsze chłopaki tropnęły się.

— Bo pan Wańkowicz nakieruje zawsze na kogo chce.

W tych dzieciach jest wielkie poczucie sprawiedliwości (przy podziale kruszynek nikt nie jest skrzywdzony), ale też są to dzieci ulicy, dzieci pookupacyjnej Warszawy, które mają kult dla cwaniactwa. Tym razem uwielbienie dla mego cwaniactwa góruje nad poczuciem niesprawiedliwości. Rysiek otrzymuje starą taśmę do maszyny.

Na drugi dzień, kiedy wracam z miasta, dopada mnie sztafeta:

— O raj, ale Rysiek od mamy rżniętkę dostał.

Okazało się, że pojawił się rodzicielce „rha zebkę”. Tak się usmarował taśmą.

— Rysiek! — wołam. — Dostałeś rżniętkę?

— No!..

Ma to znaczyć: „no, naturalnie”. Wszystkie rżniętki są mi referowane przez delikwentów rzeczowo, bez rozgoryczenia, tak chłop mówi, że grad wybił żyto — coś niezależnego, naturalnego, związanego z istnieniem wszechświata.

Czasem zamiast cukierków jest guma do żucia, a czasem — baloniki. Ale baloniki dają pole niesłychanemu pieniactwu i kwerulanctwu. Najprzód, że jak wieść gminna niesie, wyłapują je pono tatusie dla celów użytkowych. Ale sądzę, że to plotka.

Natomiast w kole obdarowanych następują srogie litygacje.

Dzwoni dzwonek. We drzwiach —

petent, który przydygował przez pięć pięter trzyletniego, rozbeczanego i zasmarkanego. Jest to dowód rzeczowy łącznie z resztą balonika w łapce — który pękł. Uważają jak w wojsku — że za sprzęt zniszczony

w czasie działań bojowych należy się nowa sorta. Pod Piedimonte w czasie chwilowego zacisza kapelan wyskoczył ze schronu, kucnął, rąbnęło, wpadł ze spodniami w garści. Podoficer mundurowy wydał mu nowy pasek zaprotokołowawszy: „w zamian za utracony przy działaniach bojowych”.

A tu właśnie były bynajmniej nie zmyślane działania bojowe — chcieli mu odebrać balonik.

Przychodzą wymienić balonik żółty na czerwony, reklamują, że dany balonik był krótszy, a że miał dziurki, znawcę się porobiły na gatunki baloników.

No więc ryczę straszliwym głosem — i tylko już widzę przerażone pięty migające w dół.

Zdobyłem sobie nietykalność mieszkania, ale biada mi, skoro się wyłonię.

Przed zejściem idę do kuchni i trwożnie poglądam w dół. Kuchnia wychodzi na

podwórko, które od rana do nocy rozpiera niesamowity wrzask.

Oceniam, że sytuacja dla nie spostrzeżonego przemknęcia się jest taktycznie odpowiednia. Dziewczynki bawią się w koło młyńskie, chłopaków wyniosło na przymurek. A ponieważ moja klatka schodowa jest przy bramie, to się przemknę. Naiwne rojenia!... Powietrze przeszywa indiański wrzask pierwszego, który spostrzegł, i już mam całą bandę na karku.

Zwłaszcza mnie przyskrzybli, odkąd nabyłem samochód. Chwila siadania do samochodu i zapuszczania motoru jest powodem tak nasilonego wrzasku, że we wszystkich oknach wychylają się głowy, mowy nie ma o wyjeździe incognito.

Na razie, póki wykańczano garaż, auto stało na podwórku. Na wystawie w Klagenfurt kupiłem urządzenie alarmowe. Jeśli się je odbezpieczy, zostawiając wóz na postoju, to przy dotknięciu karoserii gdziekolwiek, od kufra po maskę, zaczyna balansować platynowe wahadełko i wóz dwadzieścia jeden razy daje sygnał. Kiedy ucichnie i nieproszony intruz zabiera się do niego ponownie, cała operacja się powtarza.

Zaraz w pierwszą noc około godziny drugiej cała kamienica została rozbudzona przez niesamowite trąbienie. Do pana Franciszka wpadł zalte-rowany, z lekka zawiany gość:

— Ja mu nic nie zrobiłem, dotknąłem byle tylko. A on...

Wróblom kamienicy spodobała się mercedesowska gwiazdka — nuże nią kręcić. Antena — też. Na zderzakach najmniejsze maluchy odprawiały rozkoszne „buj... buj...”

Kiedy ryczałem z okna, zwisali, tak jak byli

zaczepieni, łepetykami w dół, spod spadających czuprynek patrzyły przerażone oczy. Wyglądali jak nietoperze uczeplone stropów.

Tedy pan Zygmus, to znaczy inicjatywa nie tylko prywatna, ale i po. myślowa, zainstalował mi włącznik do prądu elektryzującego karoserię, — Panie Zygmysiu — powiadam — byle tych szkrabów szlag nie trafił z samego wrażenia. Wie pan, zwiedzałem więzienie w Ameryce. To jeszcze było przed wojną. Pokazywali mi fotel elektryczny, potem dalej poszedłem zobaczyć cele śmierci, w których dwu oczekiwało na jutrzejszą egzekucję. W załomku korytarzyka zobaczyłem sznurek przeciągnięty

od ściany do ściany. „To jest sznurek dla zasłonki, którą się tu powiesi - objaśniał naczelnik więzienia — żeby skryć zeskwarzone ciało pierwszego skazańca przed wzrokiem drugiego, kiedy się go poprowadzi z kolei na egzekucję”. Wie pan, byłem pod wrażeniem. Wracamy przez salę z fotelem elektrycznym, a tu, widzę, towarzyszący mi urzędnik konsulatu kazał się usadowić w fotelu, podwinęli mu rękawy i nogawki, założyli mu elektrody — tylko rygiel ruszyć w tablicy napięć. Spojrzałem na tę głupio rozradowaną gębę, złość mnie wzięła, poprosiłem naczelnika, by mu tam puścili lekki prądek. Ale nie zgodził się. W

Konstantynopolu sułtan, ułaskawiając skazanego w ostatniej chwili, kazał, kiedy skłoni głowę na pieńku, przejechać mu szyję mokrym ręcznikiem. No i delikwent z wrażenia skonał.

Panu Zygmysiowi bardzo podoba się taki pomysł. Pan Zygmus ~ to jedna radość życia, beczka optymizmu i niefrasobliwości. Hasło życiowe: „zrobi się”.

Rachunki? Fe!... „Do wójta nie pójdziemy!”...

Dowiedział się ode mnie, że chciałem mieć głośnik Philipsa, ale, niestety, można go dostać tylko w Katowicach Na drugi dzień przywiózł głośnik.

— Tak sobie skopzyłem, ja bym dla pana do Rzymu skoczył.

— A... ilem winien?

— Tylko rachunek za głośnik. — I znowu: „do wójta nie pójdziemy”. Coś tak zaczynają się stosunki układać między mną i Zygmysiem jak między jednym z bohaterów „Wojny i pokoju” a jego „lichaczem”, który jest na zawołanie dzień i noc, nie bierze pieniędzy, zaś patron od czasu do czasu funduje mu rasowego rysaka.

Dojeżdżam kiedyś do Warszawy wozem nie przesmarowanym, w którym najeździłem już o tysiąc kilometrów za dużo. Z wyrzutami sumienia pozwalałem sobie na przejechanie

z Rakowieckiej na Nowy Świat. Odstawiam Zygmusiowi wóz do naprostowania zderzaka. Smarować dam komu innemu, bo u Zygmusia mogą natowotować „po warszawsku”, to znaczy maznąć naoliwionym palcem po czubku każdej z czterdziestu dwu smarow-niczek. Nazajutrz — nie ma ani wozu, ani Zygmusia. Na trzeci dzień — są.

O, i umył pan wóz na dodatek? Ilem winien?

— Co tam będziemy o grosze się liczyć.

Zajrzałem w licznik: osiemset kilometrów przybyło.

— Skąd to?

— To tak — musiało się skoczyć.

— Na nie przesmarowanym wozie?

Kiedy się oddaje wóz, trzeba wszystko zeń usunąć. Chłopaki w prywatnej inicjatywie oczyszczą go jak mrówki — sam szkielet oddadzą.

— A gdzie te oryginalne mercedesowskie lusterko?

— Nie ma? To ciekawe. A było...

Poszło na fundusz samopomocowy. Sam z niego korzystam. Stłukłem oryginalną latarnię, ileż trzeba czasu czekać na sprowadzenie.

— Nic się pan nie bój, panie Wańkowicz. Tu jedna Szwajcarka dała swego mercedesa, to jej się podmieni.

A Szwajcarce może Zygmusiowa samopomoc podmieniła moje lusterko... No więc daję wóz Zygmusiowi bez niczego, skrzętnie opróżniony. Oddałem też raz, znowu dla jakiejś blacharskiej poprawki, na ostatniej oliwie.

Wrócił wóz, zanurzam bagnet, w gardle mi zaschło jak na tym bagnecie: ani śladu smaru. Patrzę na licznik — kochany Zygmus beztrąsko utłukł na kończącej się oliwie nowe dwieście kilometrów. No więc pan Zygmus ze smakiem założył mi pułapkę na szkraby. Postawiłem wóz i patrzę z okna. Podleciała pierwsza horda i odskoczyła szybko z oznakami popłochu.

— On kopie!... — posłyszałem głos pełny pretensji. Poszedłem do roboty, spokojny już o swoją gwiazdkę, o swoją antenę. Po pewnym czasie coś mnie skusiło wyrzeć na podwórko. Ujrzałem skupione audytorium wtajemniczonych i werbowników, którzy ściągali frajerów z kamienicy i z ulicy. Frajer dotykał wozu, wrzeszczał, powiększał liczbę wtajemniczonych.

Kiedy już tych zbrakło, autochtoni naszej kamienicy zabrali się po dawnemu do mojej gwiazdki, do mojej anteny — przez szmatkę.

Sam sobie napytałem na głowę utrapienia, kiedy mi przyszedł do głowy pomysł przy wyjeździe na miasto zabrania pasażerów ile się da, srodze wypytawszy, czy matki pozw

Jeśli się stoi pod Cedetem, to jeszcze pół biedy - m zatknąć lodami. Ale trzeba przyznać, że i gdzie indziej, o suchej gębie, wyczekują cierpliwie.

Mam wóz, który budzi zainteresowanie. Moi pasażerowie więc obejmują rolę cyceronów, udzielając fachowych wyjaśnień.

— Panie Wańkowic, jeden pan psysed, pytał, cyja to taksówka?

— Coście powiedzieli?

— Ze nasego tatusia.

Musiał obywatel mieć nie lada ćwieka, widząc sześciu chłopaczków w jednakowym mniej więcej wieku.

W jeździe jestem niemożliwie dopingowany:

— Panie Wańkowic, czy pan Wańkowic psegoni te zielono Warszawie?

— O, juz sezdziesiąt pan Wańkowic jedzie.

Na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej jest zbudowana pomysłowa „zariba”. Tak się nazywa w Indiach zasadzka na tygrysy. Po zarobie biega czterech myśliwych, z pałkami i „zgaduj zgadula”, czy się uda przejechać. Kiedyś nie udało się i byłem haczony. Moje wróble przycichły. Kiedy już ruszyliśmy, najstarszy sformułował swoją opinię:

— Taki chomąt się cepiał pana Wańkowica..

Było w tym niesłychane poczucie wyższości pasażera limuzyny. Od czasu pierwszej przejażdżki skończył się mój spokój: ,

— Panie Wańkowic, niech pan nas weźmie...

— Nie mogę, daleko jadę.

— Gdzie pan jedzie? — zawodzą żebraki.

— Do Turcji.

— Do Turcji pan Wańkowic jedzie — informują jedni drugich. Rozumie się, że mamy by nie pozwoliły. Sprawa skończona.

Parę dni to skutkuje — do Turcji, znaczy, brać nie mogę. Ale pewnego dnia nie uwierzyli:

— Pan Wańkowic nie jedzie do Turcji, bo jak pan Wańkowic jedzie do Turcji, to zone bieże.

Oczy są spiczaste, wszystko zobaczą — inny but, inne ubranie. Mam wygodę, bo przychodzący goście są informowani, czy w domu jesteśmy oboje, czy tylko pani Wańkowiczowa

Intryguje ich też, że nie chodzę regularnie do pracy.

— Panie Wańkowic, co pan robi?

— Słonia uczę czytać.

Jest to przyjęte z należytą rewerencją. Ale pewnego razu „pani” zadała o pisarzach polskich i „mówiła o panu Wańkowicu”. Została więc poinformowana, że mieszkam w ich kamienicy i że uczę słonia czytać.

Jeżeli „pani” spotka pana, który ujrzał w moim aucie synków-sześćcio-raczków, to powezmą o mnie bardzo kolorowe wyobrażenie.

Tak się zdarzyło, że „do Turcji” wyjeżdżałem w godzinie, kiedy wróble były przymknięte w szkole, więc podebrałem ze sobą tylko ośmioletniego Stasia Wiśniewskiego i sześcioletniego Wilczka.

Obaj w epoce, w której się to dzieje, należeli do Sztabu Ścisłego.

Sztab Ścisły ma turnus mniej więcej miesięczny (o jego obowiązkach będzie niżej) w odróżnieniu od innych funkcji, które są dyżurami dziennymi, jak Regulacja Ruchu.

Regulujący ruch ma obowiązek — zanim pan Wańkowicz wyprowadzi wóz z garażu, zapuści motor i udzieli kilku miodopłynnych pouczeń na temat niewieszania się auta itp. — nad wyraz szybko porwać z garażu ekwipunek, składający się z czapki uniformowej, pasa białego z taką pochwą na pistolet, pałki policyjnej, gwizdka, mankietów z czerwonymi kołami i „lizaka” (na drażku biały krążek w czerwonym otoku), ma otworzyć bramę, zamknąć garaż, tłuc pałką wieszających się, wylatywać przed bramę, stać na chodniku i uprzedzać przechodniów.

Natomiast funkcja na dłuższy turnus była najpierw jedna: wynoszenie śmieci — jedyna funkcja nie pełniona honorowo, lecz opłacana zawrotną sumą dwu złotych od wyniesienia. Ale mały sześcioletni Wilczek uparł się, że stworzy sobie inną funkcję stałą.

W tym miejscu parę słów o Wilczku. Jest mały, ale duchem wielki. Ten sześcioletni maluch bez dwu zębów pcha się między dziewięcioletnie — ba! — dwunastoletnie wielkości tego świata.

Ekipa takich wielkości wybrała się z panem Wańkowiczem na Kiermasz Książki pod warunkiem, że się ich odwozić nie będzie. To blisko od naszej kamienicy, więc sami wrócą na wypadek, gdybym ugrzązł.

W istocie ugrzązłem. Już nie mówię o samych „Hubalczykach”, których dwa tysiące sprzedał w tym dniu wydawca, wszystko co miał. Ale autografy! Niezrozumiała namiętność rozlana po wszystkich częściach globu.

Na Olimpiadzie w Londynie, przyglądając się kolejkom po autografy do gwiazd sportowych, wydobyłem wieczne pióro i stanąłem w gotowości. Jakichś dwóch chłopaczynów z wahaniem podsunęło się o autograf — nie byli widać pewni, czy ten sympatyczny grubas to rekordzista w skoku o tyczce czy w skoku wzwyż. Ale potem już poszło. Machałem piórem aż do wyczerpania atramentu, ale na próżno —

podsunęto mi usłudźnie długopis.

Moja ekipa szmygała od Belwederu po Piękną i z powrotem. Nazbierali cenników, nie cenników, grali w loterię książkową, pili jakąś lemoniadę z Panawańkowiczowej kasy, latali za wozem głośnikowym, kiedy nagle załamały się te rozkosze. Pełni oburzenia przywlekli do mnie małego Henia, krnąbrnie pobekującego.

— Ten gnój — tłumaczyli zdyszani jeden przez drugiego — mówi, że matka kazała mu w domu być. I teraz musimy go odprowadzać. I wszystko przez tego gnoja.

Wyrwałem „gnoja” z rąk oprawców.

— Możecie zostać. Sam go już odwiozę.

— Panie Wańkowic, to i nas pan przewiezie.

Uspokoiwszy autografową kolejkę, że zaraz wracam, pędzimy już w poprawionych humorach. Mały „gnój” coś kombinuje, prosi, żeby zatrzymać auto o parę domów przed naszą kamienicą:

— Powiem mamie, że byłem u kolegi.

Nasza kamienica uwikłuje mnie w coraz nowe niegentlemańskie sprawy — honoruję delatorstwo, przymkam oczy na Cwaniactwo, konspi-ruję przeciw mamom.

Przestępstwo wspólnie popełnione zbliża. Zbliżyło i nas z Heniem.

Ponieważ pomoc domowa przychodzi o dwunastej, wyjmując po drodze listy ze skrzynki, a listy przynoszone są zwykle koło jedenastej, Henio postanowił zdyskontować różnicę czasu i koniunktury, ponieważ jest to pora, kiedy starsze dzieci są w szkole. I co dzień o jedenastej windował się na piąte piętro, dzwonił i prosił Boga, aby nie trafiło na pana Wańkowicza, który ryczy straszliwie, że dzieci nie mają prawa dzwonić.

Pani Wańkowiczowa, również sterroryzowana przez małżonka, widząc szczerbatą, puciołowatą gąbkę, odprowadza małego Henia szeregi dni z niczym. Ale chłopak pojawiał się na następny dzień o jedenastej, meldując, że listy już są w skrzynce.

— Jakie to dziecko jest wytrwałe — instancjonowała.

No i Henio otrzymał pierwsze doświadczenie życiowe: nie zrażać się trudnościami.

Został — listonoszem. Pobory są wprawdzie nader nędzne — dwa cukierki. Ale cukierki jakieś — które pani Wańkowiczowa gdzieś kupuje — bardzo ogromne. A piastowanie klucza do skrzynki to nic? To jest solidne stanowisko, proszę państwa, zaraz po Regulatorze Ruchu i omal takie, jak Wynoszący Śmieci.

A pomyśleć jeszcze; że tak niedawno Henio-dygnitarz był najnędzniej-szym z delikwentów. Złapany przez Regulującego Ruch za czepianie się auta, wyjeżdżającego tylnym biegiem z garażu, był wleczony w kierunku Trybunału Panawańkowiczowego, kwiczał jak prosię, wydzierał się, aż mu koszulina podjechała pod brodę i świecił brzuszkiem na całą kamienicę. Wobec tego wielkiego strachu odroczyłem sprawę.

Kiedy powróciłem z miasta, Henio, niepomny przestępstwa, wesolutki jak szczygieł, wleciał z całą świergącą bandą na piąte piętro po cukierki. Pan Wańkowicz, włożywszy lojalnie i w jego miseczkę z łapek cztery landrynki, zamknął drzwi na schody, otworzył drzwi szafy na których łącznie z krawatami wisiało kilka pasków i powiedział:

— Teraz dobierzemy komisyjnie pasek najlepiej pasujący na rżniętkę dla Henia za czepianie się auta.

Malec spanikował się i trzeba go było i tym razem ulaskawić

Te wszystkie jednak procedury odstraszały od czepiania się wozu z tyłu, co łatwo powiększyłoby ilość szczerbatych poza harmonogramem matki przyrody.

Tymczasem „do Turcji” wyjeżdżałem po inny harmonogram w towarzystwie Henia i Stasia, członków Sztabu Ścisłego.

Harmonogram mego objazdu szykowało mi od dwu miesięcy Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, informowany co dzień .przez telefon o postępach w robocie harmonogramu, nabożnie przygotowałem specjalną tekę na przyjęcie tego, co, wyobrażałem sobie, obfituje w wykresy, aneksy, warianty, szkice perspektywiczne

itp. Żona też bardzo była ciekawa wiedzieć, co to za harmonogram.

Zostawiłem chłopców w aucie pod Pałacem Kultury, którego dwunaste piętro zawalone było (jak sobie wyobrażałem) pracą nad skonstruowaniem harmonogramu (spieraliśmy się z żoną, jak to brzmi; ona twierdziła, że niepotrzebnie mieszam do tego monogram, że pewno to się wymawia harmonograf, ja nie byłem pewien, czy nie elektronogram, jako że używa się do obliczeń maszyn elektronicznych — w ogóle byliśmy ciekawi, dumni z Polski i podnieceni).

Uroczą pani Krysia Weselińska, kapłanka Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, pod której skrzydłami czułem się jak u mamy zarówno w objazdach nad Nysą, jak nad Bugiem, powitała mię radośnie:

— Jest już harmonogram — i wręczyła mi karteczkę. Na karteczce było napisane:

„Lubelszczyzna 14—17 IX, Rzeszowszczyzna 29 IX—5X, Krakowskie 7X—15 X”.

— O dalszych szczegółach dowie się pan w Lublinie, Rzeszowie i Krakowie.

Włożywszy harmonogram w przedziałek portmonetki, zeszedłem na dół. przed Pałacem Kultury spostrzegłem zabeczanych Stasia i Henia z roz-burzonymi włosami, Henia z szybko wzbierającym sińcem pod okiem, Stasia z rozciętą wargą.

Okazało się, że do samochodu podeszło dwu wyrostków z rowerem i poczęli sięgać po klucz. Na protesty Stasia zapytali rzeczowo:

— Chcesz dostać?

— Nie — skwapliwie powiedział Staś.

Ale mały Wilczek wczepił się w czuprynę napastnika — z wiadomym rezultatem.

Zarażony męstwem Staś stanął w luce po poległym, ale starcie skończyło się jak wyżej.

Wyrostek wyszarpnął klucz, wskoczył na rower, jego towarzysz na ramę i popędzili. Staś i Henio rycząc gnali za nimi, wzywając pomocy przechodniów.

Szukaj wiatru w polu.

Wezwane pogotowie z warsztatu przyjechało nas ratować. Zbeczani wróciliśmy do domu. Pani Wankowiczowa promieniejąca otworzyła drzwi:

— Masz harmonograf? Popatrz, zestawiałam stoły, będziemy go rozpatrywać.

— Nie, elektronogramu nie ma, ale i klucza do mieszkania też — -skradziony razem z kluczem od auta. Wyjeżdżam, luba, na turę odczytową, a ty czekaj wizyty złodziei.

Poza Sztabem Ścisłym, poza Dyżurnym Ruchu obsługuje nas szereg sprawnie zorganizowanych agencji.

Agencja Informacyjna działa bez zarzutu:

— Panie Wańkowic, dzisiaj u pani Kłosikowskiej rety! jak strzelnęło... Tu już należy się małe wyjaśnienie. Nasza kamienica jest, widać, czymś w rodzaju poligonu doświadczalnego dla gazowni miejskiej. Piecyki w łazienkach w naszej kamienicy mają pomysłowe zapłony z opóźnionym działaniem: najprzód taki piecyk nic nie reaguje, a potem rozlega się potężny huk: kołpak cały nad piecykiem wali w sufit łazienki, sadze padają jak przy wybuchu Wezuwiusza, po chwili na podwórku ukazuje się z rozwianym włosiem jakaś kolejna pani Kłosikowska, w czarnej twarzy oczy zieją szaleństwem. Wróble nie posiadają się ze szczęścia i żyją oczekiwaniem następnego wybuchu.

Kiedy hukło „u pana Wańkowica”, sensacja była zwiększona. Ekipa ratunkowa z dwudziestu kilku par nóg jak burza przemknęła koło miotły pana Franciszka i wwaliwszy się do mieszkania, ze szczerą satysfakcją zastała zboląłego, czarnego jak szatan pana Wańkowicza w objęciach niebieskiego szlafrocza pani Wańkowiczowej.

Chwila konsternacji, po czym jakiś głos stwierdza:

— To pan Wańkowic, bo ma tyse włosy.

Pan Wańkowicz znowu wzywa już czwartego z rzędu gaziarza, tym razem na pewno dobrego. Pierwszy brał dwadzieścia złotych, drugi

• trzeci po pięćdziesiąt, ten teraz policzył sto złotych, ale to już będzie a amen. Tych „amenów” było już razem cztery — cały pęczek.

To jest dochodowy interes mieć taki piecyk w eksploatacji — pisałem w jakimś

felietonie — przypominam, jak przed wojną chłop, od którego wykupiono grunt pod budowę fabryki, przyszedł z reklamacją, że zapomniał dodać do rachunku wierzby. «Tako wirzbo, to je jak dobro śwynio» — tyle pono miał z wiciny corocznie, co za dobrą świnię. Dla moich gaziarzy taki piecyk to jest «jak dobro śwynio» czy jak krowa, którą można wciąż doić".

Napisałem felietonik, aż tu w kilka dni — drrr... Otwieram drzwi, stoi inżynier „w imieniu gazowni", stoi z nim monter (pewno już taki z najlepszych). Przystano ich, aby mistrzowi itd.

. Ucieszyłem się, pokazałem rurki, kurki: wiercili, kręcili, orzekli, że teraz na amen i że rachunek przyślą.

Na drugi dzień — wstrząs: z kranu — jeden wąż, z kurka — wąska dziurka, co do płomyka — się nie przetyka. Nic nie wynika.

Dzwonię. Są. Pukali, stukali, piec rozwalili, napaskudzili, poszeptali, zaopiniowali:

— Weźmie się na warsztat i będzie na amen. Ptak strzelany, pytam:

— A ile będzie kosztowało? Alteracja. Konsultacja:

— Koło dwustu złotych.

— Ale to już z gwarancją?

Zerknął inżynier na montera, monter na inżyniera. Pięknie tak, grzecznie odpowiadają, ale sens jasny: nie ma frajerów w gazownictwie polskim.

Machnąłem ręką na piec, co gazownikom złote jaja nosił. Do krewnych chodzę się kąpać.

Ale kiedy instytucje publiczne nawalają, nasze agendy kamieniczne się rozrastają. Już i Agencja Detektywna się kłuje:

— To Stasiak piłką zbił lampkę nad garażem panu Wańkowiczowi. Zastanawiam się, czy zachęcać do delatorstwa. Bo żadne przestępstwo się nie ukryje, wszystko jest wysypane z punktu. Kiedy wóz czasem zostawiam na podwórku, pytam na wariata, srogim głosem:

— Kto mi dziś włożył na zderzaki?

Okazuje się, że supozycja nie była bezpodstawna; w mig mam listę tych, co się czepiali, zestawioną przez tych, co się dziwnym zbiegiem okoliczności nie czepiali.

Pewnego razu zawisłem w windzie jak małpa w klatce. Wisiąłem długo. Bo winda w kamienicy warszawskiej, okazuje się, jest jak sypialny królowej hiszpańskiej; kiedyś w tej sypialni powstał pożar od węgielną który wypadł z kominka, ale, na nieszczęście, nie było pod ręką dwórk mającej uprawnienie wkraczania do sypialni. No i pałac się spalił.

Ale zarząd wind jest nieugięty. Wówczas kiedy ja „zasiadłem", okazało się, że w piwnicy przepalił się korek. Na zdrowy rozum nowy korek wkręci dozorca i po krzyku. Ale pan Franciszek nie ma prawa ingerencji w windziarskie sanktuarium. Podczas kiedy wisiąłem, zaalarmowano zarząd wind. Ale tam trzeba było zmobilizować dwóch ludzi. Czemu dwóch — nie wiem, ale to nie dowcip: dwóch, odpowiadam za informację. Dopiero wtedy tych dwóch zmieniło korekt. Wobec tego dojechałem na kolację, na którą podano przypalony obiad.

Jeden z lokatorów mi się zwierzał, że na wszelki wypadek ma zawsze przy sobie portatywny portfelik-szachownicę: kiedy winda stanie, przerabia sobie gambity.

Żona mu w tym przeszkadza niepotrzebnymi irytacjami, więc ma dla niej na podorędziu krzyżówki.

Ale wróćmy do Agencji Detektywnej. Na drugi dzień już wiedziałem, że „jak pan Wańkowicz pojechał windą, to ten Ludwikowski z pierwszego piętra wsunął drut w dziurkę i zaraz stanęło".

Ludwikowski, chłopak patrzący spode łba, został na drugi rok w tej samej klasie. Kiedyś mu to wypomniałem, odtąd się boczy. Na niewidziane więc zadekretowałem, aby mu dali wycisk.

Czasem sam muszę ferować wyroki. Wojtek („Cybaty"), który mi towarzyszył w aucie, ułamał na podwórzu kamienicy, w której byliśmy, gałązkę bzu: — Żeby w

aucie pachniało panu Wańkowiczowi.

— Nie chcę w wozie kradzionego bzu — powiedziałem — możesz sobie dymać do kamienicy z powrotem na piechotę.

Na szczęście kamienica była niedaleko. Ale chłopak czuł się moralnie skrzywdzony. Czy słusznie zrobiłem?

Zdarzyło się, że i sam własnoręcznie zaszczyciłem jednego z klientów rżniętką.

Powstał kiepski zwyczaj — dzwonienia do moich drzwi i wiania. Kazania wygłaszać

— to rozbestwić. Niechby się wydało, że się miotam, niechbym -począł bezskuteczne pościgi po piętrach za znikającymi sprawcami — to by wnet uświęciła się swoista corrida, w której zawsze byk przegrywa, a toreadorzy zbierają laury.

A tymczasem sypało mi się w uszy. Ludwikowski mówił, że dzwonić do mnie

Augustyniak, Augustyniak donosił na Sikorę, a Sikora na Ludwikowskiego.

Wszystkich zaś trzech raporty zgodnie wskazywały na Mi-siaka.

Niewątpliwie wszystkie doniesienia były słuszne. Przez wziernik w drzwiach udało

mi się kiedyś własnoocznie dojrzeć znikającą sylwetkę ośmioletniego Misiaka.

Przy najbliższym rozdawaniu cukierków kazałem zostać Misiakowi i dwum biegłym.

Wypiąwszy najlepszą część jego cielesnej istoty wlepiłem w nią serdeczną rżniętkę i wypuściłem na schody w asyście biegłych (obserwujących przebieg z głębokim zrozumieniem) drącego się

jak zarzynane prosię.

Po chwili usłyszałem dzwonek do drzwi. Aha!... idzie interwencja domowa.

Wsunąłem w kieszeń szlafroka pistolet gazowy — może wreszcie będę miał go sposobność wypróbować, jeśli konferencja u szczytu będzie storpedowana.

Kiedy otworzyłem drzwi, zrozumiałem, że jestem bezbronny. Stała przed nimi Misiakowa we własnej osobie, jedyna w kamienicy pijaczka, której pijane powroty szokują kamienicę.

Od młodości mi to wdrożono, że do samic się nie strzela, tymczasem egzemplarz był rozjuszony i groźny:

— Dlaczego pan zbił mego syna?

Uczą, jakie uniki stosować przy ataku rekina — między innymi należy uderzyć go w

nos, bo ma bardzo czuły; ale tu ten przepis był nieskuteczny. Kiedy szarżuje

nosorożec, należy czekać spokojnie, uskakuje się w ostatniej chwili, bo zwierz

idzie rozpędem po prostej; ale Misiakowa wyglądała zwrotniejsza. Kiedy szarżuje

byk — można go skierować na chustkę (capa); może by się dało skierować Misiakowa na jakąś fajną kaszmirową chustkę, ale jej nie miałem pod ręką.

Spróbowałem więc wziąć przeciwnika „na hrabiego”.

— Proszę — skłoniłem się — jeśli chce pani pomówić o synu — wskazywałem wejście do mieszkania.

Chwył był najfatalniejszy:

— Ty mendo!... — zareplikowała rozjuszona mazowiecka Niobe.

Struchlały zatrzasnąłem drzwi i pobiegłem po notes. Skulony za drzwiami notowałem wiązanki hojną dłońią rzucane na grobowce mych przodków, barwne makaroniki splatające wieńce na moją skroń pospołu z pradawnymi piastowskimi słowami, niesłychanie zjadliwe supozycje dotyczące mojej cielesnej powłoki, pełne pomysłowego ciepła życzenia dotyczące mych dalszych losów.

W serwisie porannym Agencji Informacyjnej na następny dzień otrzymałem wiadomość, że stary Misiak, wróciwszy wieczorem z pracy, zerznął synowi skórę fachowo, poprawiając moją partacką robotę, a nadto rozszerzył operację na pyską małżonkę.

Minęło parę miesięcy. Zaczęły się wyjazdy na kolonie. Tadzio (pseudo „Dziewka”), który wynosi śmiecie, przyszedł z zastępcą — małym Mi-siakiem.

— On już dostał od pana, to się będzie dobrze sprawiał.

— No — potwierdził zalecany kandydat.

Minęło lato. Kiedy zaczął się rok szkolny, przyszedł skierowany przez matkę:

— Mama prosi, żeby pan Wańkowicz pożyczył na kupienie mojej tarczy szkolnej pięćdziesiąt złotych albo lepiej sto — powiedział.

— Lepiej pięćdziesiąt — powiedziałem wręczając pieniądze.

Ale skończmy z kompetencjami Agencji Detektywno-Obyczajowej, przejdźmy do innych agend.

Agencja Pogotowia Technicznego informuje skrupulatnie, że dziś należy jechać lewą windą, bo, winda prawa nie chodzi.

— Panie Wańkowic, wody dziś nie ma, dopiero jutro...

Jutro wiem, co będzie: pewnikiem najmniej w jednym mieszkaniu ktoś poszedł do pracy, zapomniawszy dokręcić rozpaczliwie kręcone krany, i woda zalewa już mieszkanie o piętro niżej.

I tu, kiedy kolej przyszła na mieszkanie pana Wańkowicza — Pogotowie Techniczne naleciało z kubekami, ścierkami (jeden chwycił szlafrok pana Wańkowicza — niech mu tam...) i osuszyło mieszkanie. Maleńtas, który egoistycznie chciał zerować na cudzym nieszczęściu i popędził po okręcik, aby go puszczać, został skarcony. Agencja Widowiskowa jest równie bezcenna. Zawsze od niej dowiaduję się, kiedy mówiłem w radio.

W radio bowiem panuje zdrowa zasada: „Masz nagrać, a reszta — to niezdrowa ciekawość”. Niezdrowa ciekawość u prelegenta, niezdrowa ciekawość u słuchaczy. Wystarczy, że w programie się pisze: „Reportaż”. A jaki reportaż? O czym? A kto go wygłasza? Przecież to nie byłoby końca, chcieliby wszystko wiedzieć. „Zrój, co ci dają”. Spartańska zasada.

No i tu mnie ratują wróble:

— A pan Wańkowicz wcoraj psez radio mówił... A pana Wańkowicza wcoraj ciocia w telewizji widziała... a dzisiaj w „Kulisach” o panu Wańkowicu stało...

Czasem agencja udziela nie tylko informacji, ale i wnikliwych porad:

— Niech pan Wańkowicz — byłem informowany o „Bazie ludzi umarłych” — na to kino pani Wańkowicowy nie bieże, bo bardzo nerwowe.

Oho! To nie są wiejskie ćwoki, te wróble ulicy warszawskiej — wszystkowiedy. Ten sam gatunek widziałem lądujący w Ameryce i po roku wodzący rej między Amerykanami.

Zapomniałem o Służbie Łączności: ganiają z karteluszkami do stolarza, elektryka, tapicera, ślusarza i spawacza, którzy w pewnym kątku mego pokoju mają stałe i wielce lukratywne dożywocie: już piąty miesiąc pracują nad lampami jarzeniowymi, które, kiepski wariat, że to tańsze w eksploatacji, miłe dla wzroku, kazałem sobie założyć.

Znacie bajeczkę „Chodziła czapła po desce”? — No, to posłuchajcie:

Stolarz założył lambrekiny.

Tapicer obciągnął lambrekiny i założył portiery.

Elektryk założył jarzeniówki.

Wtedy lambrekiny, zrobione z surowego drzewa — się spaczyły.

Wiecie, co już dalej — to posłuchajcie:

Stolarz założył nowe lambrekiny.

Tapicer je ponownie obciągnął.

Elektryk założył ponownie jarzeniówki.

W nocy wszystko runęło, bo było zbyt słabo umocowane.

Wiecie, co już było dalej? To posłuchajcie: Ślusarz mocniej przybił lambrekiny.

Elektryk założył jarzeniówki. Tapicer ponownie poprzeciągał sznurki.

Jarzeniówki się nie paliły. Wezwany elektryk stwierdził, że tapicer pozrywał mu połączenia. Dalej to już chyba nawet wy, autochtoni, nie wiecie:

Elektryk założył jarzeniówki.

Tapicer poprzecinał sznury.

Jarzeniówki się nie paliły.

Wezwany elektryk Nr 2 orzekł, że elektryk Nr 1 jest patałach, bo nie

zeszwejsował złączy i przy pociąganiu sznurków złącza się luzują.

Wezwany spawacz poszwejsował złącza, ale pozrywał urządzenia tapi-cerskie.

Wezwany tapicer założył wszystko po raz czwarty, zainkasował należność po raz czwarty i dziś stwierdziłem, że jarzeniówki się nie palą.

Znajomy dekorator filmowiec radzi mi elektryka Nr 3, który ma być lepszy. Ale przedtem mam wezwać stolarza, bo w ogóle lambrekiny są do niczego — dławiają całe światło. Potem już je tapicer w tri miga obje.

— A potem już tego elektryka Numer Trzy?

— Przedtem ślusarza, bo tylko ślusarz taki ciężar pewnie umocuje.

— A potem elektryka Numer Trzy?

— Jeszcze przedtem spawacza, który zeszejsuje.

— A potem już elektryka Numer Trzy? — mówię radośnie — I wówczas będzie się paliło?

W tym miejscu filmowiec robi malowniczy unik. To tylko Allah może wiedzieć.

Nic złego nie powiedziałem filmowcowi, bo filmowcy to są złoci ludzie: co jakiś czas kupują u mnie prawo filmowania tej czy owej książki, płacą solidnie za to prawo i dematerializują się. Jestem jak Cygan, który co dzień sprzedawał psa za dwadzieścia złotych, pies do niego wieczorem wracał i następnego dnia znowu był sprzedawany.

W sobotę zdrzemnąłem się po obiedzie i zbudziła mnie solidna kropla, która

trafiła w sam nos. Okazało się, że tapczan jest odcięty lekką frędzlą kropei.

Skoczyłem na górę do mieszkania młodego małżeństwa, pp. Włodarczyków, które jednak okazało się suchutkie z wyjątkiem rozkosznego niemowlaka.

Przyszedł sąsiad z lewa, p. Sajewski, sąsiad z prawa, p. Parapura, i odtąd rozpoczęła się Narada Nieustająca, do której od trzech już dni zgłaszają akces coraz nowi delegaci.

Komisja Konstytucyjna do badania niezrozumiałego zjawiska — w składzie: p.

Wańkowicz, p. Włodarczyk, p. Parapura — dokooptowała gospodarza domu, p.

Franciszka. Diagnoza jednak p. Franciszka, stosowana do wszystkich zjawisk w domu, że „wszystkiemu winne te zarazy”, to znaczy 141 dzieciaków w kamienicy, które mu psują windę — po krótkiej wymianie zdań została odrzucona.

Wobec czego komisja w składzie Wańkowicz, Włodarczyk, Sajewski i Parapura dokooptowała technika, p. Jaroszczyka, po czym udała się do mieszkania p.

Wańkowicza i komisyjnie wyborowała mu w suficie dwie wielkie dziury, przez które miało szybko ściec wszystko. Ten zabieg mistyczny nic jednak nie pomógł, skłonił natomiast p. Wańkowiczową do ustawienia ostatnich rozporządzalnych garnków.

Wobec czego pp. Wańkowicz, Włodarczyk, Sajewski, p. Franciszek, Jaroszczyk i Parapura udali się do zamieszkałego w tejże kamienicy

inżyniera budownictwa sanitarnego, Petrykowskiego, który planował urządzenia wodociągowe w tejże kamienicy.

p. inżynier, złożony oświadczenie wstępne, że co innego jest planowanie, a co innego wykonanie, wniósł od siebie do akcji balię i brytfannę i przystąpił do badań. Za jego wskazówkami komisja dokooptowała jako członka anonimowego Samotnego Kawalera, który wolał pozostać nie ujawniony, wniósł bowiem do akcji woreczek z kali hypermangani-cum.

Komisja podzieliła się na Podkomisję Nadawczą i Odbiorczą. Komisja Nadawcza lała kali hypeimanganicum p. Włodarczykowi do wanny, a Komisja Odbiorcza o piętro niżej obserwowała, czy kapie fioletowo.

Czas urozmaicany był tylko wrzaskiem niemowlaka przez ścianę. Tu, zdaniem oblatanych w sprawach technicznych członków podkomisji, diagnoza była łatwiejsza: cegłę ścianki działowej ustawiono nie tak, a siak. Budowniczy, który projektował dom, wyjaśnił, że co innego jest planowanie, a co innego wykonanie.

Po stwierdzeniu definitywnym, że nic fioletowego nie przecieka, ściągnięto siostrzaną podkomisję z góry, po czym odbyła się połączona sesja, która wyłoniła hipotezę, że woda ścieka nie z wanny p. Włodarczyka, tylko... z kanalizacji.

Znalazł się ofiarny Mucjusz Scewola, który wziął kroplę na język, oświadczył, że nie wyczuł żadnych domieszek żywnościowych.

Pełna zdumienia komisja rozeszła się późną nocą i tylko p. Wańkowicz do godziny

pół do drugiej pobierał od p. inżyniera skrócony kurs hydrauliki. Po czym, skoro kapanie nie ustawało, obaj panowie podążyli wśród nocnej ciszy do p. Franciszka, który, jak tak, to tak, zamknął dopływ wody na trzy górne piętra.

Spędziwszy resztę nocy w półśnie w drugim pokoju, rano dnia następnego p.

Wańkowicz stwierdził, że interesujący sznureczek dziurek znowu sobie kapie.

W międzyczasie przybył ósmy członek komisji, lokator spod p. kowicza, do którego

z kolei doszła woda, z rozpaczliwym: „ależ mospanie mnie kapie po głowie”.

Ucichł jednak, skonstatowawszy rząd misek i półmisek stanowiących piękny pokaz polskiej wytwórczości sprzętu gospodarstwa domowego oraz dwa lochy wyborowane w suficie.

Poproszony o pomoc inżynier telefonował do Pogotowia Wodociągowego, czy jakoś tam, ale pogotowie odpowiedziało, że może tylko przeciąć wodę od ulicy. Byłoby to jakby spalić blok miasta dlatego, że w jednej kamienicy pluskwy się załęgły.

P. Wańkowicz nie chciał być Cezarem i cofnął się przed tym środkiem zaradczym.

Natomiast żadne pogotowie nie działało — był piękny dzień letni, na domiar dożynki.

Wobec czego przy szmerze kropel, który wpływa kojąco, p. Wańkowicz z p.

inżynierem spędził resztę dnia na pisaniu pism groźnych i rozpaczliwych wszystkim, wszystkim.

Następna noc minęła na czuwaniu, ale zaraz rano w poniedziałek komisja urosła do jedenastu osób: zjawili się przysłani przez władze pp. kierownik, technik, pomocnik technika — silni, zwarci, gotowi i p. Wańkowicz miał możliwość uzupełnić wiadomości teoretyczne kursem praktycznym.

Ekipa techniczna pukala, stukala i spierała się, czy dana rura jest rurą gazową czy wodociągową. P. Wańkowicz naiwnie się zdumiał, że skoro są z Administracji Domów, to zapewne mają plan urządzeń, ale ta wysoce laicka uwaga została zbyta milczeniem, jak na to zasługiwała.

Podkomisja więc techniczna Wielkiej Komisji, nie ustalwszy ostatecznie, jaka to też rura, ruszyła na górę do p. Włodarczyka, gdzie w błyskawicznym tempie zapadły wnioski wprowadzające nie rozwiązujące sytuacji, ale określające obowiązki p. Włodarczyka: ma wannę rozwalić na własny koszt, albowiem zatknął przewód.

Wprowadzając p. Wańkowicz piersią własną zasłaniał sąsiadów z góry, przysięgał, że w obecności inżyniera wyciągnięto z rury kłak pakuł, co'znamionuje, że puściło uszczelnienie; wprowadzając zaklinał, aby zbadano pp. Włodarczyków, którzy pakułami nie porastają, ale to miotanie się w obronie bliźniego zostało przyjęte sceptycznie.

Po trzech godzinach komisja wzrosła do osób trzynastu, zjawili się bowiem monter i pomocnik.

Monter i pomocnik ochoczo rozwalili glazurę w wannie p. Włodarczyka i opuścili kamienicę, robiąc passy uspokajające.

W trzy godziny po nich woda poczęła kapać. Przybył czternasty członek komisji w osobie konsultowanego telefonicznie przedstawiciela Administracji Domów. Passy uspokajające, że jutro — w trzecim dniu potopu — dołączą nowi członkowie komisji, dodały nieco otuchy.

Kiedy jednak rozległ się dzwonek z redakcji w jakiejś tam sprawie, p. Wańkowicz gęsto się tłumaczył, że jest załamany na duchu, wykonywać nic terminowo nie może. Wobec czego redaktor działu miejskiego chętnie doskoczył na czternastego członka komisji, prosząc o dokooptowanie piętnastego — fotoreportera.

Jutro trzeci dzień sesji. Wysunięto wniosek, żeby, o ile skład komisji będzie się powiększał w dotychczasowym tempie, znaleźć jej odpowiedni lokal, podzielić się na podkomisje, zebrania zaś plenarne wyznaczyć raz na tydzień przez cały czas kapania. Niektórzy członkowie zastrzegają jednak dwumiesięczne ferie wakacyjne.

Słońce już zachodziło, kiedy u drzwi rozległ się nieśmiały dzwonek. W proggu stały też same maleńtasy-hieny, które już raz zamierzały żerować na katastrofie gazowej, z małym okręcikiem — słyszeli, że u pana Wańkowicza można puszczać

okręty.

Miski jednak są wynoszone i maleńtasy spotkał zawód. Obejrzawszy krople, zdecydowały:

— Dom płacze. Istotnie.

Czasem wróblęta dygują wizytujących okazjnych. Pewnego razu dzwonią, anonsując gościa z dużą paką:

— Pewnie panu Wańkowicowi ciocia przysłała kielbasy — informuje któryś, którego dom widocznie obdarzyła ciocia kielbasą.

Ale to nie były kielbasy. To były — rękopisy do oceny. Bo okazało się, że po redakcjach siedzą kliki, ja zaś jestem uważany za Samsona, który przybył, by je oślą szczęką porazić.

Innym razem pod drzwi przywiedli panią. Taka sobie pani, tylko przy kapeluszu wisiał jej jakiś fikolek z ciuchów, który absorbował całą moją uwagę.

Pani, okazało się, jest z Garwolina i przybyła „złożyć mistrzowi hołd”.

Posadziłem ją na kanapce i zaproponowałem, by przystąpiła do składania.

Hołd zaczął się od relacji, jak uciekała we wrześniu i jakie wówczas opinie wyrażał szwagier.

Fikolek tańczący na głowie usypiał mnie. Kiedy ocknąłem się, wizyta już trwała pół godziny, byliśmy dopiero w szóstym dniu wojny i szwagier przypuszczał...

W tym miejscu pomyślałem, że do gadżetów (wynalazków) przywiezionych z Ameryki należy dodać jeszcze dzwonek na podwórko, który by na wypadek zatwardziały gości dawał znać wróblom, że mają wpadać z wieścią:

— Panie Wańkowic, całka kamienica się pali!...

Ostatecznie są już do tego nieco teoretycznie przygotowani, odkąd przyjechał wóz radiowy, który przeciągnął na moje piąte piętro kabel dla nagrania wywiadu.

Podśluchałem wówczas takie uwagi:

— Mojej babci ciocia to ona spaliła na Pelcowiźnie, bo na schodach był ogień.

Tatuś mówił, że mogłaby dymać przez okno, jakby sznur był.

— To pewno pan Wańkowic takie uządzenie robi...

— Idźże ty, jakby się zerwał, toby strażaków pozabijał.

— Może tylko panią Wańkowico-wą spuści — usiłuje znaleźć wyjście jedna z dziewczynki.

Dziewczynki są nieco popychane i krzywdzone w tym towarzystwie, ale mają swoje pomysłówki.

Zaczeło się tak, że po nieśmiałym dzwonku ujrzałem dwa warkoczyki solo i piękny dyg. Oznaczał on prośbę: żeby pan Wańkowic wpisał się do albumiku.

Były tam już wszystkie koleżanki wpisane, wszystkie przysięgi o tym, że „tysiąc lat przemienie, a nasza przyjaźń nigdy nie zaginie”, wszystkie wschodzące słońca nagryzmołone. Wpisałem więc i ja ochoczo coś o piramidach i o tygrysie, i o naszej przyjaźni. Bardzo było pięknie, no i strzęsła się na mnie lawina albumików.

Kiedy wykryłem, że jeden albumik podsunęła jak kukułcze jajo własna „pani” ze szkoły, zreflektowałem się, że nie mam licencji hurtowej, i znów, biję się w piersi, począłem srodze ryczeć na dzwonki u drzwi.

Więc i to się ucięło, aż pewnego razu...

Aż pewnego razu usłyszałem ciche szkrabanie do drzwi na wysokości plus minus psiego nosa.

Ale to nie był psi nos, tylko kokarda. Olbrzymia kokarda naczepiona na główinę chyba ze trzyletniego maleńtasa. Maleńtas trzymał w wyciągniętej łapinie — albumik. I strasnie się bał. Nie wyłuszczywszy, co i jak, kiedym otworzył drzwi — pierzchnęła, ale się zaplątała na pierwszych schodkach. Złapana, wydała czatującą o kondygnację wyżej ośmioletnią siostrę, Halinkę Półtorak. Wpisałem się więc: „Halince Półtorak, nachodzony nieborak”.

Wówczas, po fali reklamacji o dary, po fali albumików, zarysowało się nowe

niebezpieczeństwo:

Pewnego razu kilkunastoletnia panienka przyszła prosić o pomoc w wypracowaniu „Zemsta za mur graniczny”.

Przyjąłem propozycję z treścią. Mam siostrzenicę, która z wypracowania własnego otrzymała celująco. Po czym, przeczytawszy moją książkę, postanowiła zabłysnąć, naśladowując mnie, i otrzymała niedostateczny.

Co gorzej — nie bardzo pamiętam, co ten cholerny Papkin robił z kro-kodylkiem. Była późna pora i znajomi nękani o to przez telefon odpowiadali równie nieuprzejmym głosem, jak sąsiedzi Minkiewicza z ulicy Cecylii Śniegockiej, do których drzwi o drugiej w nocy kolejno dzwonił z pytaniem — kto była Cecylia Śniegocka?

Jakoś tam poszło — i w parę dni potem miałem zapotrzebowanie na Orzeszkową. Sądzę, że do wiosny obkuję wszystkich pozytywistów.

Pan Franciszek radziłby raczej użyć na te wróble ludzkie jakiejś trutki na szczury. Trutki nie trutki, ale powziąłem piekielną myśl.

Dzwonił do mnie Stanisław Mackiewicz, złożony na łożu boleści, że nie ma cytryny.

Miałem cytrynę z plastyku, w której znajdował się diabelski ekstrakt z trzydziestu cytryn. Za pociśnięciem cytryna tryskała skondensowanym kwasem.

Wychodząc z bramy, obskoczony przez wróble, zaproponowałem, by pootwierali gęby: — Cyk...

Pierwszy chłopak tyknął po bohatersku, zakrył twarz dłonią jak porażony Rzymianin togą i dał miejsce następnemu.

— Cyk!... — następny był równie mężny.

— I mnie, panie Wańkowic, i mnie...

Przypomniałem, jak na wystawie w Paryżu stanąłem w kolejce przed Puits de la Verité — studnią mądrości. Była to rura stercząca w ziemi — rodzaj peryskopu. Wrzuciłem monetę, odsłonił się szyber, rozświetlił się napis: „Pozwól i innym być głupim”.

Naturalnie — pozwoliłem. Obserwowałem jakiś czas z uciechą frajerów. Ale frajerzy też chcieli mieć uciechę i żaden nie zdradził — tak jak i ci moi chłopcy.

Mackiewiczowi przyniosłem zaledwie pół zawartości rozczęstowanej cytryny.

Jest cicho, kiedy to piszę. Błąkające się po podwórzu małe dzieci z ciężkimi kluczami od pustych mieszkań, uwieszonymi na wstążeczkach u szyi, mają już mamy wyrobnice na krótką noc. Wróble kamienicy już śpią.

Jutro znowu pojedę „do Turcji”. Może gdzie dalej... Ale wiem - _ na wieczór znajdę się w Polsce. I znpw, z rozterki dnia, zanurzę się w głębokim śnie — naszej kamienicy.

Czasem na lastrykowych schodach napotykam i innych lokatorów — tych z przydziału kwaterunku, tych z klepką bukową.

— Dzień dobry koledze!

— Ależ tak, poznaję, kolega Stołagiewicz.

— Zajdźcie pogadać!

Owszem zaszedłby, ale chwilowo nie może, musi skoczyć przedtem do Indonezji — coś tam buduje.

Przez schody mieszka inżynier Suchowiak, przed wojną spotykałem go u Cegielskiego. Korek się przepalił, któż poratuje?

Inżynier Suchowiak jest specjalistą od maszyn, więc do tej wysoce odpowiedzialnej operacji deleguje syna, inżyniera elektryka.

Po pewnym czasie — znowu wyskakuje korek. Ale tym razem nie udało się: młody inżynier wyjechał na dwa lata na praktykę do Europy, a tata śmignął na Bliski Wschód. (

Żona, zasapana, przynosi wystawną żywność w ogromnej torbie:

— Wiesz, poznałam bardzo miłą babunię (żona to stanowisko społeczne uważa za najbardziej zaszczytne, jako że sama należy do związku zawodowego babuń). Ta

babunia mówiła mi o kłopotach mieszkaniowych. Teraz jest jej nieco lżej, bo zięć frunął na pół roku do Persji.

Stypny kraj ta Polska widziana z tej naszej kamienicy: tak biedna i taka prężna.

Nasza kamienica za nami. Zielony Nieborów. Żona — kwitnie na tym swoim Mazowszu.

Na cmentarzu w Kurzencinie kładę płytę na grobie brata, którego zastrzelili tu Niemcy 13 września 1944 roku, w czterdzieści trzy dni po śmierci jego syna, poległego w pierwszym dniu powstania, i na dziewiętnaście dni przed śmiercią córki, poległej w ostatnim dniu.

Wczesne lato z zieleni przechodzi w złoto, wypełniają się ku jesieni rogi obfitości. Czy tu naprawdę działy się te straszne zdarzenia?

W hallu pałacu w Nieborowie stoi popiersie Niobe. O czymże tu masz świadczyć na tej ziemi, żono Amfiona, matko wybitych, przez dziewięć dni nie grzebanych dzieci?

W muzeum pobliskiego Łowicza wiszą czerwone plakaty z czasów okupacji, obwieszczające śmierć. Jeszcze nazwiska i jeszcze, i jeszcze.

Pomiędzy nimi fotografie z tamtych lat, działalność Czerwonego Krzyża. Wątle krzyżyki z brzozy znaczące groby, miejsca rozstrzelan. To nie tylko Czerwony Krzyż — to tysiące troskliwych rąk.

Czerwone płachty wiszą martwo. Te białe patyki brzozowe wyglądają, jakby miały puścić listki.

Są listki. Ależ ta ziemia bucha!...

Przyjechałem z wypadu odczytowego, siedzimy w parku w Nieborowie, opowiadam żonie, jak mnie przyjęto w szkole podstawowej.

Jakież to wyprasowane, wypucowane, co za pliseczki na sukienkach, jakie kanty na chłopcowych spodniach! Kiedy na mnie sypał się piase-rzek gdzieś w irackiej pustyni, a tutaj czerwieniały te plakaty i nie ustę-pliwały te gałązki brzozowe na miejscach rozstrzelan — ich jeszcze nie' było na świecie.

Ależ te oczy dziecinne — oczy, które ujrzały świat po wojnie: czyste, przejrzyste, nic w nich nie ma, wszystko być może, na razie odbijają się w nich obłoki.

Stare nauczycielki uwijają się koło nich jak troskliwe kokoszę. Stare nauczycielki są siwe, przezroczyste jak papier. Stare nauczycielki, kiedyś za ruska jeszcze, rosły w naiwnej popowstańczej młodości w sferze bohaterских legend, które zblakły jak sztych Poniatowskiego skaczącego do Elstery. Właściwie te dzieci wieku atomowego, które im się dostały, to raczej kaczęta, tylko patrzą, jak pluchnąć w nurt.

Stare nauczycielki robią, co mogą. Czuję się jak biskup na objeździe parafii, czuję się jak sam wypłowiwały książe Józef, który wylazł z ramek i od którego siwe nauczycielki żądają, aby przemówił o honorze Polaków. Już pierwszy chłopaczek w granatowym ubranku chrząknął, wszystko stężało, nieco się przedłuża kłopotliwa cisza, bo chłopczyk — ma w rękę ściągaczkę. I zaraz mię infuła przestaje uciskać i przestają uwierać ima-ginacyjne baczki księcia Pepi, które czuję na twarzy — ściągaczka przy płynęła jak arka przymierza między dawnymi i nowymi laty. Z zerknięcia wychodzi: „Drogi Dostojny Gościu”...

Ale już nic to nie szkodzi, ściągaczka przemogła wszystko, dostojny gość poczuł się w swoim sosie, gotów się bawić w berka.

Chłopczyk skończył swoje kilka zdań, sztafetę przejęła plisowana spódniczka: — Wiemy, że w tak sławnej książce „Monte Cassino” (potem i tu skonfiskowałem ściągaczkę, chociaż dziewczynka, wiadomo, że dziewczynki są kujony, nie zerknęła w nią ani razu. W ściągaczce, dla wszelkiej pewności, pani nauczycielka napisała „Małe Kasino”)...

Łepetyna jak strzecha przechwytuje dziewczynkę:

— ...Jak będziemy starsi, przyrzekamy, że przeczytamy tę piękną książkę, choć tak smutną, bo pan pisał ją z myślą o tych po nas...

OlabogaL. Toż nie po was, głąby kochane, tylko po nas, starych dziadach, którzy figurowali na plakatach czerwonych i leżą pod ocmą gałązek brzozowych, na

których miejscu teraz rady gminne w utrapieniu dźwigają szpetne cementowe monumenta.

— My chcemy być tymi godnymi następcami po tamtych naszych bohaterach — zapewnia czwarta z rzędu puciołowata gębusia.

A to mnie uraczyli... Piąte mówi:

— A może i coś miłego się panu przytrafiło, to radzi będziemy posłuchać...

Siwowłosa autorka tego wszystkiego spogląda z niepokojem na mnie: może wieszcz narodowy uzna za obrazę przypuszczenie, że mu się mogło coś miłego przytrafić w martyrologicznym łańcuchu jego wzniosłych czynów?

Teraz na mnie kolej i naprawdę poczynamy się bawić w berka pod czujnym okiem najpoczciwszych, najkochańszych narodowych kapłanek.

Więc, oto — tak:

Biały Orzeł, rozumie się — myk oczkiem na siwowłosą kohortę i zwierzenie, jakem się objadł włoskim kozim serem. Walka o wolność naturalnie i zaraz dla chłopców — jak się strzelało z moździerza (bardzo szczegółowo), dla dziewczynek — jak kwitły maki, śpiewały słowiki i jak marmurowe aniołki mrugały na żołnierzy przez zwalone ściany kościołów.

Idziemy do pałacu na obiad. Katarzyna II ze wstęgą błękitną świętego Andrzeja przez obfite łono patrzy dumnie na dwu dygnitarzy, którzy zjechali z Warszawy.

— A ta tu co robi? — gorszy się jeden.

— No, zawsze z dobrego domu — odpowiada drugi — ale co my tu robimy?

Ależ kalejdoskop!

Kiedy wychodzimy po obiedzie, widzę, że od frontu — źle! Wycieczka szkolna.

Autografy...

Czmychamy na drugą stronę i tu nas dopada eguo admisso (na zdyszonym koniu), jak mówił nasz łacinnik, dwunastoletni chłopaczek:

— Pan Wańkowic!...

Ba, pewno, że pan Wańkowic... A ty skąd, bo poznaję wróbla z naszej kamienicy.

— Bo tu cała nasza szkoła z Narbutta na wycieczce.

Już zwała się i reszta z indiańskimi okrzykami. Istotnie kilkoro z naszej kamienicy. Zdyszana „pani” zbiera nogi za nimi, nie bardzo jeszcze wiedząc, co się stało.

Ci z naszej kamienicy promienieją. Są bohaterami dnia. Karmimy ich kolegów autografami, lichy chciało, że podpisałem się pieczętką z przenośnej niklowanej puszki z tuszem. Trzeba było wszystkim napieczęto-wać adresy. Brr... — straszna przyszłość rozwiera się przede mną, już widzę siebie z wizytą u ministra Wieczorka z prośbą o wymianę mieszkania.

— Co tam nowego w naszej kamienicy...

— Oho!... Same nowe. Mamy drużynę piłki nożnej.

— Drużynę piłki nożnej?

— No!...

— A kto ją wam zorganizował?

— Pan Gorzkowski.

— Inżynier Gorzkowski?

— No!...

Owszem, znałem inżyniera Gorzkowskiego. Ten miał klepkę dębową. Młody inżynier.

— I koszulki już mamy...

— Kto wam kupił?

— My sami. Pan Gorzkowski kazał nam zbierać w kamienicy butelki i stare gazety.

— Czemuście się do mnie nie zwrócili?

— Przecie my i tak panu Wańkowicowi śmiecie wnosim.

— Racja i to. No, a jak ze spodenkami?

— Teraz na spodenki zbieramy.

Przyjazd z Nieborowa odbył się z wielkim jubilem. Samochód wjechał w bramę ugarniowaną na zderzakach, przed nim w ekstatycznych tanach Podążali wierni, maluchy pyrgały pod koła, mamy wydawały pawie

okrzyki z okien, klucz do garażu porwało sześciu zawodników i zakotłowało się we wzajemnym wyrwaniu. Przez czas niebytności wyroily się nowe dzieciaki, które dotąd raczkowały po domu. Bez końca tego!...

Rozgrabiono kilkanaście walizek, worków, pledów, toreb, krzesło ruchome, kapelusze, laskę, lornetę, dwa aparaty fotograficzne, radio przenośne, płaszcze. Pan Franciszek, jak Archanioł u wrót raj, stał już z miotłą przy windzie, więc wszystko pocwałowało schodami na piąte piętro. Maleńtas jeden, któremu udało się z zażartego boju wyrwać moją kurtę, ubrał się w nią, ale kurta była długa za pięty, apelował rozpaczliwie do mnie, dostał jako rekompensatę pusty kanister, który powinien zostać w garażu, ale nie miałem już co dać; zresztą znieś go z powrotem z równą frajdą.

Ludwikowski od czasu zmajdrowania windy, w której zawisłem, unika mnie. I teraz stoi z daleka w wejściu do jednej z klatek schodowych, obserwuje ruch, sądzi, że go nie widzę.

Obchodzę z walizką koło łukiem, zaszedłem go niespodziewanie.

— Weź to — mówię krótko, podając mu walizę.

Na górze okazało się, że w przywiezionym pudełku czekoladek znalazło się jeszcze czternaście sztuk. Trudno, czekoladki otrzymają tylko ci, co nieśli ciężkie rzeczy. Nie potrzebuję tego kontrolować, podaję kolejno otwarte pudło. Łapina, która już zawisała nad przepyszną czekoladą z likierem, w złotym papierku, cofa się:

— Ja tylko niosłem chusteczkę pani Wańkowicowej. Ludwikowski stanął na wysokości zadania: ustawił po cukierki rzędem, najmniejszych na przedzie, tak jak tego wymagam; każdemu nastawiał dwie rączki w miseczkę, bo inaczej cukierki padają na podłogę; następnie kierował obdzielonych ku wyjściu.

Zbliżyłem się do niego z pudełkiem czekoladek. Spojrzał na mnie niepewnie, wziął najmniejszą, spojrział na mnie tak jakoś po męsku i powiedział:

— Przepraszam.

Było to w trzy miesiące po tym wypadku, kiedy mnie zawiesił w windzie.

A tu jeszcze dociągają z dołu maluchy, pozbawione łupu. Pełzną w drugim rzucie, wybierały po schodach powylatywane z kieszeni monety, wieczne pióro, cudny szczyryk. I wszystko odnoszą wiernie i z celebrytami minami.

W nagrodę następuje wielka uroczystość — każdy dostaje po cegiełce bubble gum — gumy do żucia, z której wydymają baloniki. To jest marzenie marzeń rzadko osiągalne, odkąd pan celnik za funt gumy rąbnął pięćset złotych cła prohibicyjnego. To znaczy, nakładanego na produkty zbędne. Pięknie zbędne! To jest produkt naj... naj... najpierwszej potrzeby.

Uff!- Wynieśli się. Już się roztasowałem, już wchodzę w pracę.

Dzwonek Mówi mi serce, że to jacyś reklamanci. Lecę do drzwi jak chmura gradowa.

Ale tym razem to nie maleńtasy, przychodzący wymienić cukierek czerwony na zielony. Jeden z tych „moich” chłopaków przyprowadza jakiegoś może piętnastolatka — z tych, co są zbyt dorośli, żeby ganiać za „panem Wańkowiczem”.

Ten „mój” spiczastym oczkiem zauważył przy wnoszeniu bagaży, jak z przedziału na mapy w wozie wyjąłem pistolet. A ten piętnastolatek powiedział: „Idź ty, głupi, to na wodę” Więc ten mój się odął w mojej obronie: „Ty sam głupi, pan Wańkowicz nie będzie wodą strzelał”. Więc przyszli sprawdzić.

No, jakże nie przyjąć obrońcy mojej czci? Demonstruję im „Waltera”, który przeżył ze mną wojnę. O, ten czerwony punkcik ostrzega, gdy pistolet jest nie zabezpieczony. Jeśli się nosi kulę w lufie — ot tak — to się rozporządza ośmiu strzałami. Z biodra strzelać? Jak cowboye? — Nie, tak nie umiem. Ale patrzcie — ten rękaw przestrelony: to ułatwiałem sobie strzelanie w Nieborowie do celu, opierając pistolet na lewej ręce. Tak się zresztą nie strzela, to nie po sportowemu. No i rękaw uszkodziłem, i pani Wańkowiczowa jest zła, bo tego się nie załata.

Od dziś kamienica wie na fest i na amen, że „pan Wańkowicz ma prawdziwe kulki”.
Chodzę jak paw.

Zapraszam inżyniera Gorzkowskiego. Jak to się poczęło? — Zobaczył, że „kopia” na podwórku, zaproponował, że im pomoże. No i jest drużyna z szesnastu, licząca od lat ośmiu do dwunastu; wyranżerowaną piłkę otrzymali w Legii; otrzymali też kąć na boisku. Chłopcy są chętni i karni. Jeden, który kopnął kolegę w grze i został zgromiony, obraził się, porzucił boisko. Drużyna pozwoliła mu wrócić pod warunkiem, że przeprosi drużynę i inżyniera Gorzkowskiego. O innym donieśli, że pali papierosy; musiał wybierać między paleniem a należeniem do drużyny. Ach, kiedyż jeszcze sprawią sobie spodenki!... Będą wówczas grali z jakąś inną drużyną.

— Hm... kiedy będą mieli spodenki... Inżynier podchwytuje:

— Dobrze, przyjdziemy do pana, ale niech to nie idzie im zbyt łatwo; jak coś zbiorą, to może pan dopełnić. Ja zawiadomię.

Powoli uczę się tych dzieci. Mylnie sądziłem, że cukierki są wielką atrakcją. U nas na wsi to co innego. Ze stacji kolejowej jechało się czterdzieści kilometrów, przejeżdżając siedem wsi. Wsie miały u wylotów z obu stron wrotnie zamykane na noc. Ale my jechaliśmy w dzień. Otóż cała dzieciarnia, zoczywszy nadjeżdżającą bryczkę, biegła w dyrdy wrota zamykać, a potem otwierać. Właśnie dla tych cukierków. Było we zwyczaju podjeżdżać stępą, aby ostatni szkrab z rozdętym brzuszkiem i na pałkowatych nóżkach, nierzadko z jaglicą, mógł się na czas doczłapać. Tak, dla tych dzieci cukierek był objawieniem.

Ale moje warszawskie wróble chodzą odęte cukierkami. Nieraz widzę, że taki ma całą torebkę cukierków, które wyjada. Więc po cóż pędzą po schodach na piąte piętro? Aby dostać głupie rytualne cztery landrynki? Doszedłem do przekonania, że to sport.

Wobec czego poczułem się wyzyskiwaczem i nieopatrznie za każdym razem coś w zamian za ten rajd demonstrowałem. A to krzyż z odłamków pocisku, który miał zabić pana Wańkowica, na dowód czego wisi na ścianie pergamin iluminowanym pismem podpisany przez dowódcę korpusu; a to pistolet gazowy — strzelisz, strzelony przewróci się, a po dwu godzinach odzyskuje przytomność i maszeruje zdrowiutki do domu; a to radio mieszczące się na dłoni; a to maszynę elektryczną do masażu stóp (cóż za wrzask, co za uciecha...); a to deseczkę z nazwami produktów i kołkami kolorowymi, zatykanymi w dziurki przy nazwach dla pamięci; a lodówkę!... A piecyk elektryczny, w którym się kręci rożen. A szczotkę do czyszczenia ubrania, która równocześnie wsysa kurz. A scotch tape...

Kiedy jednak już i odkurzacz przepraktkowaliśmy, i froterkę, i kiedy już z lornetki się napatrzyli na dalekie żagle na Wiśle, i naoglądaliśmy się własnych paznokci przez powiększające szkło („panie Wańkowicz, jeszcze ja nie widziałem...”) — zaczęła mi wysychać inwencja. Wówczas popełniłem rzecz straszliwą: pokazałem im obrazki w „Monte Cassino”.

Mały Józio ma takiego wujka, który tam wszędzie był, strzelał ze wszystkich najstraszliwszych rodzajów broni, Józio więc jest raczej ekspertem przy tych opowiadaniach, co mnie znakomicie odciąża.

— Taka armata to może strzelać dookoła ziemi.

— Czy tak, panie Wańkowicz? — zwracają się wszystkie oczy na mnie.

— No, nie całkiem — nie chcę podrywać autorytetu Józioowego wujka. Słuchają nabożnie, grzecznie, nie pchają się, nie mażą książki paluchami-

Czasem tylko wyrwie się zdumione: — O, cholender! — ale zaraz mu inni zwracają uwagę: — Jak się wyrażasz?

Dawkuję skromnie — parę kartek na raz. Kiedy zamykam książkę, wstają bez sprzeciwu, nie napierają się, grzecznie mówią do widzenia i wychodzą. Ale i tak wkrótce trzeba będzie ratować się „Smętkiem”, a potem „Sztafetą”.

Nie mogę sobie darować gruboskórności:

Pewnego razu posłyszałem dzwonek. Przez wziernik widzę — nasi chłopcy. Z punktu mnie krew zalała. Przeprowadzam żelazne prawo: że nie można do mnie dzwonić, że

kto zadzwoni, ten z góry jest przegrany.

Otworzyłem z impetem: za progiem stał team sześciu najstarszych chłopców.

Wyprostowali się i wyskandowali, widać przećwiczone przedtem, wezwanie:

— Prosimy pana Wańkowica, żeby nam pokazywał na książkach.

Burknąłem, że nie mam czasu, i zatrzasnąłem drzwi.

Wróciwszy do biurka zorientowałem się, że pada deszcz. Mieszkania przepelnione, matki wyganiają — tu się chronili...

Przeszedłem do kuchni, wyjrzałem na podwórko. Puste, zmywa je deszcz. Na schodach wrzaski niesamowite — jest to jedyne miejsce, gdzie te dzieci mogą się chronić poza szkołą.

Dyskretnie patrzę we wziernik. Stoją na platformie, rozdzielają role w jakiejś zabawie. Tuż pod wziernikiem jakiś taki maleńtas, że nie widzę nawet czubka głowy, szlocha: „Ja nie chcę być wiewióreczką”. Pewno — każdy chciałby być lwem, ale to dla starszych.

Poza boiskiem, uzyskiwanym z rzadka dzięki inżynierowi Gorzkowskiemu, jest jeszcze cel marzeń — basen. Ale tam wstęp kosztuje pięć złotych. Kiedyś nastąpił wpadek: złapano pięciu chłopców z naszej kamienicy, którzy przeszwarcowali się przez dziurę w płocie. Czesiek przyniósł tę wieść. Okazuje się, że będą ich trzymać do zamknięcia basenu, a potem będą musieli odpracować, porządkując przez dwie godziny teren.

Ale daleko przed tym czasem — są. Jeden po drugim uciekli.

Są bardzo dumni. Cóż mam innego robić, jak cieszyć się, że zwiali. Umoralniać, że nieładnie przekradać się przez dziurę w płocie? Z czym do gościa, paniusiu? — Przecież to sztuka życia ich rodzin, ich otoczenia. Należałoby wpierw zmienić kilka innych rzeczy, a już potem prawić morały.

— Ale Czesiek najmorowszy — mówię — pierwszy wywiął. Pogardliwe skrzywienie.

— Iiii — tam... Prosił się, dał się, to go puścili. Taki — żebrak... Widać — nie każdy sposób jest dobry.

Kiedyś zastałem całą drużynę na podwórku, dyskutującą zalety piłki „riatówki” a piłki „węgiarki”. Pogadaliśmy sobie i dowiedziałem się, że właśnie o kilkaset kroków jest cyrk „Humberto”.

Zatelefonowałem do inżyniera Gorzkowskiego, ale — proszę sobie wyobrazić — i ten został wysłany za granicę!...

Żona moja z grobową miną oświadczyła, że mięsa nie ma.

— Ale inżynierowie co do jednego za granicę jadą.

Nie mogła zrozumieć, czemu rni tak wesoło. Bo co to ma wspólnego z brakiem mięsa?

No, trzeba było coś radzić bez inżyniera Gorzkowskiego. Na drugi dzień zamiast oglądania obrazków zaproponowałem krótki mityng na temat pójścia do cyrku, który im zafunduję.

Przyjęto propozycję bez wybuchów radości, rzeczowo. Ustaliliśmy dzień.

Ustaliliśmy, kogo jeszcze dokooptujemy poza drużyną. Maleńtasów postanowiliśmy nie brać. Miało się im tłumaczyć, że w cyrku jest wielka małpa, która zje z punktu każde dziecko nie mające ośmiu lat.

Stanęło na tym, że do cyrku ruszymy w dwudziestu trzech dryblasów do lat dwunastu plus pan Wańkowicz, plus pani Wańkowicowa. Oni mieli pójść na czterdzieści minut przedtem, zając miejsca, bo galeria była nie numerowana.

Obserwowałem z okna zbiórkę i wymarsz. Oko mi zbiałało, kiedy ujrzałem tak tych chłopców po raz pierwszy w granatowych ubrankach, jakie mieli pono do komunii, przybliżanych, wypucowanych. Dwunastoletni kapitan drużyny odesłał dwu do domów, żeby się lepiej przyogarnęli. Pomyślałem z przyjemnością, że te dzieci z podwórka są wychowane, że górują pod tym względem nad amerykańskimi rówieśnikami.

Pod cyrkiem czekało nas dwu łączników, którzy zaprowadzili nas na miejsca zarezerwowane w samym środku. Wszyscy cmoktali lody. Zaproponowali i nam. Uchyliłem się i żałowałem potem: niechby fuńdnęli; widziałem, jak się składali

po pięćdziesiąt groszy na napompowanie i napastowanie piłki; niechby się złożyli i dla nas na lody.

Ciekawe, jak dziecko patrzy. Już niemowlak, który nastawia wzrok — pracuje. Ile razy wyjrzą ze swego piątego piętra, widzę tylko ruchy schematyczne, sylwetkowe, nie słyszę sensu zabawy. Te ruchy są setki razy powtarzane, ten sam skok, zeskok, przebieg, wspięcie się. Nieustanne, mozolne, pracowite, benedyktyńskie ćwiczenie ciała, przygotowywanego do życia. Ich dziecinne spory, kiedy za mymi plecami kotłują się w wozie, to ciągłe przymierzanie siebie do tego życia — „aja potrafię to”, „a ja to nawet potrafię”...

Teraz w cyrku numer przyjmowany z największym skupieniem to rodzina akrobatów: ojciec, matka, kilkunastoletni dwaj chłopcy i dziewczynka. Za tym najmłodszym idzie uważne, przymierzające się spojrzenie dwudziestu par oczu. Właśnie skoczył z trapezu w podwójnym salto mortale.

— Oj, nieboraki - przekomarzam się — gdzieżbyście tak potrafili!

Odpowiadają, mi:

— On- ma czternaście lat.

To znaczy, że każdy z nich ma jeszcze najmniej dwa lata na dogonienie. Matki będą miały jutro utrapiony dzień.

Do ewolucji miesza się kłown, który okazuje się akrobatą.

— Tamten z nosem był śmieszniejszy.

— To nie o to chodzi — mówi jeden ze starszych chłopców.

Pies ma się popisywać tabliczką mnożenia. Trener prosi salę o zlecenia.

— Dziewięć razy dziewięć!...

— Powiedz prędko, jeszcze przed psem, ile to jest? — pytam szczerbatego ośmiolatka.

Ale ośmiolatek woli nie słyszeć. Tymczasem pies obiega w koło szyldziki z cyframi i najpierw przynosi 8, a potem 1.

— Bo ten trener — mówi dwunastolatek — ma w kieszeni aparacik, którego dźwięki słyszy psie ucho, ale nie może dosłyszeć ucho ludzkie.

Teraz ja omal nie spadam z ławki z zachwytu. Ten chłopak odwalił najefektowniejszy numer, jaki dziś widziałem. Proszę bardzo, rodzona żona nie odpowiedziałaby tak mądrze. A przecież ma pretensje, aby wychowywać te... kaczęta atomowe.

— Skąd ty wiesz o tym? — pytam w nadziei, że ktoś był w cyrku i powiedział.

— Czytałem gdzieś...

No, naturalnie Zawsze to wiedziałem, że jestem straszliwie zapuszczony z lekturą.

— Gdzie czytałeś?

— Nie pamiętam — mówi z nonszalancją — zdaje się, że w „Płomyku”. Na drugi dzień można było widzieć Starszego Pana, jak przemyka się do domu z „Płomykiem”, po który pobiegł do kiosku. Kompania, którą spotykam w bramie, jest dosyć obolała.

Okazuje się, że chcieli na pierwszy ogień przerobić najłatwiejsze ćwiczenia czternastolatka, który skakał na materac-trampolinę, odbijał się 1 zeskakiwał na równe nogi. Poczuli ćwiczyć na łózkach i tapczanach domowych, łądując na przedmiotach codziennego użytku. Heńkowi najgorzej Słę nie udało: złamał w łóżku „całą deskę”.

— Dostałeś rżniętkę?

— No!... | . .

Byłem z nimi w parę dni potem w Muzeum Wojska Polskiego, gdzie oglądaliśmy z zajęciem model maszyny do latania Leonarda da Vinci.

W drodze powrotnej przypomniało mi się o tej „całkiej desce złamanej”.

Zatrzymałem wóz przed bramą naszej kamienicy, nie pozwoliłem wysiadać i powiedziałem tym najsroższym z głosów:

— Obejrzyjcie się, chłopcy. Widzicie, co tam leży za siedzeniem pod tylną szybą?

— Kij — skonstatowali.

Tędy i owędy - Melchior Wańkowicz.txt

— Twardy kij, na was zakupiony. Jeśli który zechce próbować skoków Leonarda da Vinci z okna, to już wiecie, co będzie...

Dowiedzieli się, że mam dziś występować w telewizji, wybierają się wszyscy oglądać.

— A czyż macie gdzie dostęp do telewizji?

— Poradziem sobie, panie Wańkowic.

Ponieważ żona z innej epoki nie ma tej zaradności, poprosiłem panią inżynierową Suchowiakową, mieszkającą przez klatkę schodową, aby mogła u niej program oglądać.

Opowiadała mi potem, że kiedy zadzwoniła o naznaczonej porze do mieszkania państwa Suchowiaków, zobaczyła osiem postaci rozlokowanych na dywanie. Dzwonili jeden po drugim i pytali, czy mogą obejrzeć telewizję. Najprzód przyszli ci z mocniejszymi tytułami — jeden kiedyś przeprowadził psa, drugi wyniósł śmieci. Potem byli tacy, którzy ponoć ostrzegali, że jedna z wind jest nieczynna, dalej tacy, którzy nie pozwolili dotykać auta pana Suchowiaka, a wreszcie bezwstydne osobniki wcale bez zasług.

Jeśli o ludziach się mówi, że mają lucidum intervallum, to takie dosłownie lucidum intervallum miewają czasem klatki schodowe w naszej kamienicy, kiedy są oświetlone. Dlaczego w przeważającą ilość dni żarówki nie ma czy się nie pali, jeszcze nie zgłębiłem, bo wyjaśnienia pana Franciszka są dosyć schematyczne: że to ta „zaraza”, którą niepotrzebnie rozwydrzam.

Idę więc, macając ściany. Słyszę za sobą tupot drobnych kroków. Dziecinna ręka bierze mocno za przegub mojej:

— Panie Wańkowic — to tędy.